siedem polskich grzechów głównych i inne polemiki

Zbigniew Załuski

iskry

Jest rzeczą smutną, że mądrzy ludzie, walcząc o słuszną sprawę, nie potrafili ustrzec się błędów rażących i bolesnych. Jest bowiem rzeczą pewną, że obraz prymitywnego, niekulturalnego, zdolnego tylko do „siekaniny" bohatera niepodległościowej i rewolucyjnej historii Polski XVIII i XIX wieku jest obrazem z gruntu nieprawdziwym, podobnie zresztą jak fałszywe jest przeciwstawienie Polski walczącej — Polsce pracującej, ludzi pracy — ludziom walki.

Nie jest natomiast rzeczą jasną, dlaczego bojownicy o postęp cywilizacji, komputeryzację i zwykły rozsądek, jak Bratkowski czy zespół STS-u, muszą swe ryzykowne, iście szwoleżerskie przecież szarże na współczesnych ludzi i współczesne warunki zaczynać od... potępiania Kozietulskiego i Poniatowskiego?! Dlaczego nie dostrzegają, jak bardzo ofiarność i odwaga, poczucie obowiązku społecznego i ideowość, stanowiące przecież motor postępowania walczących o wolność pokoleń, są potrzebne dzi-

SIEDEM POLSKICH
GRZECHÓW GŁÓWNYCH

NIEŚMIESZNE IGRASZKI

Zbigniew Załuski

Siedem polskich grzechów głównych

Nieśmieszne igraszki

Iskry • Warszawa • 1973

Siedem polskich grzechów głównych
Wydanie V

Nieśmieszne igraszki
Wydanie I

Okładkę projektował:
JAN FOKIEWICZ

Redaktor: ALEKSANDRA SOBCZYK
Redaktor techniczny: BARBARA WIERZBA
Korektor: KRYSTYNA BAJKIEWICZ

Państwowe Wydawnictwo „Iskry", Warszawa 1973 r.
Nakład 50 000+275 egz. Ark. wyd. 20,6. Ark. druk. 30,5
Papier druk. mat. kl. III, 65 g, 82×104
Druk ukończono w lipcu 1973 r.
Łódzka Drukarnia Dziełowa
Zam. nr 2462/A/72. R-17
Cena zł 24.—

PRINTED IN POLAND

ZAMIAST UZASADNIENIA

„Głos Wybrzeża" dnia 11 sierpnia 1971 roku w notatce „Przez pół Polski z »Królem Ubu«" donosi: „Tegoroczne »Studenckie lato 71« przebiega pod hasłem »Studencka Służba Polsce«. Włączyły się do niej wszystkie agendy Zrzeszenia Studentów Polskich, m. in. TSU »Nawias«, który w dniach 6—30 bm. objedzie Dolny Śląsk i wyruszy »w Polskę« trasą: Kłodzko — Kraków — Tarnów — Łowicz — Warszawa — Toruń — Gdańsk — Poznań — Wrocław, prezentując w 17 miejscowościach «Króla Ubu» Alfreda Jarry'ego w tłumaczeniu Tadeusza Boya-Żeleńskiego".

W programie wydanym do znakomitego montażu Andrzeja Jareckiego „Złota rączka, czyli cierpienia wynalazców", wystawionego przez STS (premiera w październiku 1970 roku), rolę „ideologicznego wstępniaka" spełnia fragment wywiadu z Kazimierzem Kutzem. Ten wybitny reżyser powiada: „Uważam, że nie ma sensu robienie filmów historycznych o Mieszkach i królewnach; powinno się robić filmy o Krzywickim, o Skłodowskiej, bo to są Polacy, których powinniśmy dzisiaj znać, brać z nich przykład i uczyć się od nich. O nich nie pamiętamy, bo wszyscy mamy w głowie te kotleciki szlacheckie. Jeden z szabelką, drugi coś wysadzał, trzeci się topił itd. (...) w tej chwili powinniśmy być bardziej »ze Staszica« niż »z Wołodyjowskiego«. To są

postacie również niesłychanie frapujące, atrakcyjne. Męka tych ludzi, ich dramaty były przypuszczalnie większe niż dramaty księcia Poniatowskiego".

26 listopada 1971 roku pisze do mnie Jan Gaździcki z Warszawy: „Załączony list otwarty powinien ukazać się w »Życiu«, w razie czego proszę mnie wziąć w obronę".

Cytuję z załączonego listu:

„Do Pana Stefana Bratkowskiego, autora artykułu »Zjadanie autora nie zawsze załatwia problem« (»Życie i Nowoczesność« z dnia 25 listopada 1971 r.). — Wielce szanowny Panie. Artykuł pański zaszokował mnie (...) Wzbudziły we mnie niepokój i zdumienie własne pańskie słowa, które cytuję: »... ci, co na przełomie XVIII i XIX wieku chcieli budować Polskę od podstaw, rozumowali logicznie, natomiast to historia okazała się nielogiczna: tylko młody szlachecki dureń z wyobraźnią, zamiast rozsądku, mógł liczyć, że wojaczka w dalekim świecie, miast uczciwej pracy nad rozwojem kraju, przyniesie ojczyźnie wolność. Ówcześni wiedzieli, że do zwycięskiej wojny z zaborcami trzeba silnego, bogatego kraju i taki kraj chcieli budować, a tu historia »przyznała rację« ignorantom od machania bronią... Somosierra nie była g..niarskim samobójstwem, ale też co te bohaterskie niedouki jak Kozietulski mogłyby zrobić dla kraju — w kraju?

Zawsze mnie nieodparcie śmieszyły te namiętne spory o to, czy pomieniona szarża była wyrazem rozsądku czy też nie, w sytuacji, gdy publicystyczny pies z kulawą nogą nie zatroszczył się o tych, którzy orali w domu, żeby coś tu, psiakrew, na tej ziemi było, żeby coś z niej wyrosło! Czy to ich wina, że historia jest głupia?...«

Czytając te słowa rodzi się we mnie wulkan. Każdy atom tego wulkanu to bunt i protest przeciwko podob-

nemu stawianiu sprawy. Trzeba zrozumieć, że były to czasy wyjątkowe... — niewoli. Z pewnością władze rządowe wszystkich trzech zaborów przyklasnęłyby Panu. Ich poddani powinni cicho siedzieć na miejscu, uprawiać ziemię, płacić podatki, nosić w wojsku obce mundury żołnierskie i bić się za sprawy swego pana. Bardziej spodleni mieli możność — jako miejscowa siła pomocnicza — oddać swe usługi aparatowi nadzoru policyjnego i ścigania. Wszak ugodowy pozytywizm może mieć bardzo szerokie pojęcie. Taki na przykład »ignorant« Kozietulski powinien być gemeinem austriackim i uczciwie przelewać krew, i ginąć za c.k. Austrię, miast głupio machać szablą u boku Napoleona z wiarą, że może to przyniesie jakiś pożytek Jego rozdartej i zamęczonej Ojczyźnie..." Nie zaszła potrzeba obrony autora listu.

I jeszcze dwa cytaty:

Jerzy Broszkiewicz w „Przekroju" 19 września 1971: „Bohaterowie dzieł, pisanych ku pokrzepieniu serc, nie czytali Kochanowskiego, nie obchodził ich Kopernik, nie słuchali rorantystów. Wystarczyła im odwaga, rycerska odwaga, mistrzostwo szermiercze itd. (...) Po latach krzepienia serc pora krzepić umysły".

Witold Nawrocki na łamach „Trybuny Ludu" 1 grudnia 1971 r.: „tradycyjne wzory patriotyczne okazały się niewystarczające w epoce, w której liczy się przede wszystkim skuteczna i celowa praca, wysiłek cywilizacyjny i organizacyjny. Skutkiem tej niezgodności jest swoisty bunt antysentymentalny, który wyraża młode pokolenie Polaków, i właśnie jemu należy się wsparcie w poszukiwaniu sposobu zakorzenienia w tradycji cywilizacyjnej (...). Ogniwa tradycji wyrażać się wtedy będą nazwiskami Staszica, Świętochowskiego, Prusa i wszystkich, którzy przyszłość narodu widzieli nie tylko w formowaniu wzorca walki, ale także pracy".

Na jaką okoliczność przywołałem te wszystkie cytaty? Jest rzeczą smutną, że mądrzy ludzie, walcząc o słuszną sprawę, nie potrafili ustrzec się błędów rażących i bolesnych. Jest bowiem rzeczą pewną, że obraz prymitywnego, niekulturalnego, zdolnego tylko do „siekaniny" bohatera niepodległościowej i rewolucyjnej historii Polski XVIII i XIX wieku jest obrazem z gruntu nieprawdziwym, podobnie zresztą jak fałszywe jest przeciwstawianie Polski walczącej — Polsce pracującej, ludzi pracy — ludziom walki.

Nie jest natomiast rzeczą jasną, dlaczego bojownicy o postęp cywilizacyjny, komputeryzację i zwykły rozsądek, jak Bratkowski czy zespół STS-u, muszą swe ryzykowne, iście szwoleżerskie przecież szarże na współczesnych ludzi i współczesne warunki zaczynać od... potępienia Kozietulskiego i Poniatowskiego?! Dlaczego nie dostrzegają, jak bardzo ofiarność i odwaga, poczucie obowiązku społecznego i ideowość, stanowiące przecież motor postępowania walczących o wolność pokoleń, są potrzebne dzisiaj Polsce i Polakom w walce z bezwładem i egoizmem, tępotą i nieodpowiedzialnością, w walce o rewolucyjne, cywilizacyjno-techniczne i kulturalne, socjalistyczne przeobrażenie ojczyzny.

Jest wreszcie rzeczą niewątpliwą, iż ta wizja historii Polski, ten model walczącego Polaka, taki stereotyp polskiego charakteru narodowego — jakie przywołują, by je potępić, wyśmiać i odrzucić — są nieprawdziwe. Ta bezmózga i niepiśmienna słomiana kukła, odziana w szwoleżerski mundur — bez głowy, lecz za to na rączym koniu — z szabelką, lecz z „dwoma lewymi rękami", gdy chodzi o pracę — jest wspólnym wytworem, wspólnym ukochanym dziecięciem nie prawdziwej historii Polski, lecz jej interpretatorów — szyderców i chwalców narodowej jatki. A tu już jesteśmy przy głównym temacie sporu o „Siedem — domniemanych —

polskich grzechów głównych", przy głównym temacie tego „pamfletu na was wszystkich", jak początkowo chciałem tę książkę nazwać.

Nie tylko zresztą przy głównym. Nasze życie — zgodnie z najgorszymi moimi przewidywaniami — tworzy coraz liczniejsze wariacje na wszystkie tematy podjęte w „Siedmiu grzechach". Nie ustały niewybredne, kpiarskie ataki na różne zaszłości polskiej „ofiarniczej historii" i wszelkie współczesne „historyjki o ofiarności". Tylko w pierwszym półroczu 1972 roku zebrałem sporą teczkę wycinków, zawierającą kilkadziesiąt pozycji, z którymi należałoby polemizować. Są tam zarówno prace poważne — jak szkic W. Giełżyńskiego „Historia kulą u nogi" — jak i zupełnie niepoważne, jak felietonik J. Urbana „Bandyto, mój słodki bandyto". Wszystkie jednak zrodzone z tego samego ducha: z krytycyzmu wobec polskości, krytycyzmu, którego trzonem jest głęboka niechęć do męstwa, ideowości i ofiarności ludzkiej, występujących zarówno w przeszłości, jak i w życiu współczesnym Polaków.

Znalazłoby się też co najmniej kilka nowych wybitnych utworów literackich i filmowych zrodzonych z tej samej inspiracji. Przypomnę tylko o wznowieniu w związku z książkami A. Bocheńskiego i B. Cywińskiego wielkiej dyskusji o historycznych korzeniach charakteru narodowego Polaków, w którym jedni szukają źródeł współczesnego zła, a inni znajdują nadzieję na Wielką Odnowę... (tego czy owego — i to już zależy od pozycji dyskutanta).

Coraz wyraźniejsze staje się, iż „bezkompromisowy autokrytycyzm" Polaków do różnych i nader dziwnych prowadzić może wyników. U W. Górnickiego to tylko zabawne nieporozumienie, gdyż swoje uogólniające zderzenia głupkowatej zaściankowej „XIX-wiecznej polskości" z komputerowo-zautomatyzowaną, przeszklono-

-elektroniczną nowoczesną „niemieckością" NRD buduje na zestawieniu rzeczy nieporównalnych: przekupki półwiejskiej z blaskiem wielkiego miasta — Berlina.

I po co? Przecież nauczyć się czegoś — i to niemało — moglibyśmy dopiero z porównań równorzędnych — Berlina z Warszawą, niemieckiego Kłaja z polskim...

W innym wypadku „teoriotwórcze" zapędy autokrytycyzmu narodowego uruchamiać już w nas muszą najsilniejsze dzwonki alarmowe. Zademonstrowano nam ostatnio, jak to nieodpowiedzialne i wcale nieśmieszne igraszki wolnego (od troski o skutki...) intelektu prowadzą w końcu do złośliwej dyskredytacji Polski w oczach cudzoziemców, niezwykle politycznie szkodliwej dla sprawy polskiej. Mam na myśli oczywiście przypadek Witolda Wirpszy, ostateczny sens jego przedziwnej, a zarazem jak na żołnierza, uczestnika kampanii wrześniowej i berlińskiego zwycięstwa — zadziwiającej niemieckiej książki pt. „Polaku, kim jesteś".

Tak małe „niewinne" kpinki sumują się w wielkie teorie o oczywistej szkodliwości. I jedne, i drugie nie mogą zaś nie budzić protestu ludzi normalnych.

Tak więc spór trwa. I trwać musi, bo trwa „szyderstwo szyderców". Wraz z „Królem Ubu" — rzeczą o krwawej głupocie ludzi zaangażowanych w historię, rzeczą, która się dzieje „w Polsce, czyli nigdzie", wędruje przez pół Polski — prawdziwej, żywej i współczesnej.

A przed dziesięciu laty wytknięto mojej książce, że dotyka problemu rzekomo nie istniejącego, zjawisk wyssanych przez autora z palca...

* * *

Tom niniejszy zawiera dwie części: „Siedem polskich grzechów głównych" oraz zebrane po raz pierwszy

„Nieśmieszne igraszki" — różne szkice krytyczne i polemiczne, stanowiące kontynuację publicystycznej walki o właściwe rozumienie polskiej historii, upowszechnienie jej prawdziwego obrazu i o należyte funkcjonowanie przydatnych społecznie wzorców osobowych, walorów moralnych i dorobku intelektualnego, w toku tej historii przez Polaków wytworzonych.

Ośmielam się więc zaoferować czytelnikom książkę napisaną przed trzynastu laty jako głos w toczącej się również dzisiaj dyskusji. Czuję się do tego uprawniony z trzech powodów.

Po pierwsze — wszystkie problemy, o których mówi, są obecnie dyskutowane nie tyle n a d a l, i l e p o n o w n i e, jakby wcale nie najmłodsi przecież uczestnicy sporu nie czytali starych książek i gazet, nie zapoznali się z faktami i argumentami już uprzednio przytaczanymi, jakby w ogóle nie było dotąd żadnych dyskusji na ten temat. Dlatego argumenty użyte przeze mnie przed laty zachowują niestety aktualność. Nie świadczy to o ich świeżości. To polemiści moi zachowali nieprzeciętną świeżość intelektualną, nie zbrukaną jakąkolwiek wiedzą o przeszłości i uwarunkowaniach tematu.

Po drugie — wszyscy moi polemiści sprzed dziesięciu lat szkice i esseje, poświęcone problematyce „Siedmiu grzechów" i późniejszym sporom, rozproszone w czasopismach, włączyli później do wyborów swych prac publicystycznych bądź tomów esseistyki. Czytelnik ma więc łatwy dostęp do tekstów moich oponentów, słuszne jest, aby miał równie łatwy do tekstów atakowanych, do źródła dyskusji.

Po trzecie — zarówno „Siedem grzechów", jak i „Nieśmieszne igraszki" są atakiem nie tylko na ulotną atmosferę kulturalną i tonację ówczesnej publicystyki, są również w dużej części krytyką konkretnych dzieł artystycznych — książek bądź filmów. Te dzieła

nadal funkcjonują w naszym życiu kulturalnym. Książki — zawsze dostępne — stoją na bibliotecznych półkach, były zresztą nieraz wznawiane. Filmy oglądamy w kinach, na przeglądach czy w telewizji. I jedne, i drugie liczą się w ideowo-artystycznej biografii twórcy. Jak długo więc twórca głosi odbiorcom swoje ówczesne idee za pośrednictwem żyjącego już niezależnie od niego dzieła, tak długo uważam za swoje prawo i obowiązek upowszechniać moje krytyczne poglądy o tym dziale.

W tekstach zarówno „Siedmiu grzechów", jak i szkiców składających się na „Nieśmieszne igraszki" dokonałem tylko drobnych poprawek. Nie dotyczą one ani moich tez, ani argumentów. Nie dotyczą w ogóle moich poglądów. Drobnej ich modyfikacji, a właściwie uściślenia dokonałem w okresie dyskusji, po opublikowaniu „Siedmiu grzechów". Te zmiany dostrzegą niewątpliwie czytelnicy porównując „Siedem grzechów" z „Nieśmiesznymi igraszkami".

Poprawki dokonane obecnie dotyczą wyłącznie częstotliwości wymieniania nazwisk moich szanownych polemistów. Bardziej jeszcze niż w pierwszym wydaniu „Siedmiu grzechów" czy w aktualnych publikacjach prasowych nazwiska te staram się jak gdyby ukryć w cieniu, przesunąć z czytanego przez wszystkich tekstu do niezbędnych, ale przez mało kogo wykorzystywanych przypisów.

Wśród powodów tej decyzji nie ma braku szacunku dla moich polemistów. Wprost przeciwnie — wielu z nich głęboko cenię i szczerze szanuję. Poglądy ich, które zmuszony jestem krytykować, uważam za przykre co prawda, ale nietrwałe nieporozumienie intelektualne. Czasami jednak poglądy te są nieporozumieniem tak żałosnym, iż sam odczuwam palący wstyd na

myśl, że zdarzało się wygłaszać je człowiekowi powszechnie znanemu i słusznie cenionemu.

Przede wszystkim jednak oszczędzając w miarę możliwości nazwisk swych oponentów, chciałem raz jeszcze — być może szczególnie manifestacyjnie — podkreślić, iż za swoje prawo i obowiązek uważam zwalczanie słowem i dowodem poglądów, ale nie ludzi, myśli, ale nie osób.

Zresztą — upłynęło przecież dziesięć lat. Niektórzy z moich niegdysiejszych antagonistów zmienili swoje poglądy. Niektórzy zmienili miejsce zamieszkania. I jednych, i drugich nie ma powodu wspominać. Wielu w sporach trwa niezmiennie na swojej pozycji ideologicznej, ale okazało się, że ich praktyczne postępowanie w życiu społecznym i politycznym bliższe jest moim postulatom niż głoszonym przez nich tezom. Byłbym ostatnim, który potępi ich za ten „brak wierności dla idei". O wielu trudno powiedzieć coś zdecydowanego, gdy w każdym numerze gazety głoszą co innego, traktując własną twórczość nie jako trwały wynik rozumowania, lecz jako „pisarstwo ulotne, dokument chwili, może nastroju piszącego". I tacy już pewnie pozostaną — programowo, radośnie, dziecięco nieodpowiedzialni. Nazwiska tracą więc znaczenie. Poglądy — nie.

W ciągu minionych lat dziesięciu zmieniło się w Polsce wiele — nie zmieniło się jedno: troskliwie pielęgnowane przez niektórych, zadziwiająco wygodne rozumienie tradycyjnych „wolności polskich". Szczególnej ochronie podlegają trzy historycznie podobno stwierdzone postacie wolności: „liberum veto", a więc wolność sprzeciwu wobec wszelkiej próby uporządkowania spraw państwowych; „liberum conspiro", a więc wolność konspirowania, knucia spisków, rozpalania pożogi bez poczucia obywatelskiej odpowiedzialności... i wresz-

cie „liberum defecatio", a więc wolność — delikatnie mówiąc — opluwania wszystkiego i każdego, co nam się nie podoba...

Domagam się więc ponownie uznania również mojej wolności — wolności dowodzenia swojej racji przy pomocy argumentów, wolności powtarzania tych argumentów tak długo, jak długo nie zostaną wysłuchane, ocenione, obalone lub przyjęte. I — przyznam od razu — domagam się również przymusu — przymusu wysłuchania cudzych argumentów i przymusu lojalności — lojalności wyciągania wniosków z dyskusji, w której bierze się udział. Jest bowiem intelektualnie nieużyteczne, a społecznie nawet szkodliwe, toczenie sporów, jeśli z ich intelektualnego rozstrzygnięcia nic nie wynika praktycznie dla stanowiska antagonistów.

„Głos Koszaliński" 10 września 1971 roku w notatce „Utrwalenie kłamstwa" pisze: „We wrześniu roku 1971 na ekrany Koszalina wszedł film »Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni«. Reklamuje się go dużymi i kolorowymi planszami (to dobrze), ale wśród nich znalazła się jedna, na której odmalowano ni mniej, ni więcej tylko samotnego ułana gnającego na hitlerowski czołg. Jeśli to jest synteza stosunku i jakości sił zbrojnych w wojnie polsko-hitlerowskiej, to jednak nieprawdziwa, jeśli kolejne powielenie stereotypu, to kłamliwe uproszczenie rodem nie z Polski. Długo będzie nas straszyć?"

Właśnie!

Czy długo nas będzie straszyć to „ukoniowienie" na siłę naszej historii? Co końskie — zostawmy koniom!

Pisał Stanisław Jerzy Lec: „Trzeba być zawsze sobą: Koń bez ułana jest zawsze koniem. Ułan bez konia tylko człowiekiem".

Tylko człowiekiem, a więc aż człowiekiem jest

przedmiot naszych sporów — Polak walczący. Współczesnej przydatności jego doświadczeń, wzorca jego życia, ich użyteczności „poza grób", a więc swoistej socjalistycznej nieśmiertelności „ludzi minionych", którzy żyć będą w swych nam przydatnych osiągnięciach moralnych i intelektualnych, niechaj służy ta obrona naszej historii i ludzi ją tworzących.

Obory *Zbigniew Załuski*
15. VII 1972

7 POLSKICH GRZECHÓW GŁÓWNYCH

Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej...

. . . . . .

Nie jakieś tam coś, gdzieś,
Gdzie nigdy ludzie nie bywalil...

Cyprian Kamil Norwid

Historia jest wielką siłą moralną. Uczy, wychowuje. Jest mistrzynią życia. A my przecież mamy piękną i bogatą historię...

Frazesy, prawda? Każdy je zna od lat, ze szkoły jeszcze. Ale jak to jest z naszą historią na co dzień? Jaki użytek z niej robimy w życiu powszednim? Jak ją widzimy, jak ją przedstawiamy, jakie są tego skutki?

Rzeczywistość w tej dziedzinie, rzeczywistość zwyczajna dla 3/4 Polaków, dla tych wszystkich, którzy już nie zaglądają do szkolnych czytanek, a jeszcze nie sięgnęli (i pewnie nie sięgną) po grube naukowe dzieła, ta rzeczywistość kształtowana przez gazetę, tygodnik, film — nie może nie budzić protestu.

Dlatego napisałem ten szkic.

Chcę trochę pobronić naszej historii, naszej historii romantycznej, trudnej, młodzieńczo „górnej i chmurnej", ale na pewno wcale nie durnej.

Chcę jej bronić przed fałszywymi przyjaciółmi, którzy pieją z zachwytu nad jej krwawą patriotyczną ofiarnością, nad bohaterstwem „bez granic" — sami przekraczają wszelkie granice rozsądku i ciągną na piedestał narodowych cnót lekkomyślność, głupotę, kabotyńską pozę i zwykły idiotyzm.

Chcę jej też bronić przed wrogami, którzy surowo

potępiając owe niecodzienne czyny ofiarność przezwali o f i a r n i c t w e m, bohaterstwo — b o h a t e r s z c z y z n ą, a lekkomyślność, kabotyńską pozę i zwykły idiotyzm uznali za nasze wady narodowe, historycznie jakoby potwierdzone.

Ci to „przyjaciele" i wrogowie wspólnym wysiłkiem psują naszej historii reputację w oczach dzisiejszego pokolenia.

Młodzież, jak słychać, odwraca się od niej, pogardza nią jak starą zdzirą, co straciwszy najcenniejsze lata życia, zdrowie, rozum — nawet majątku za tę cenę nie potrafiła zgromadzić.

W opinii tej utwierdza młodzież nie tylko głos wrogów, ale bardziej jeszcze głos „przyjaciół" -chwalców nawołujących: „Patrzcie, jaka jest piękna w swym obłędzie, jak wspaniałymi ranami okryte jest jej ciało, podziwiajcie, wzorujcie się, idźcie w jej ślady — wszak to matka wasza".

A młodzież istotnie n i e c h c e.

Młodzież pluje.

I ma rację.

Tylko — czy to, co jej przedstawiają, to naprawdę nasza historia?

BAŁWOCHWALCY I SZYDERCY

Czytelnika mniej więcej rozsądnego i obdarzonego wyobraźnią ogarnia zdumienie, gdy ostatnimi czasy w niejednej gazecie czy tygodniku czyta osobliwe relacje o tym czy innym wydarzeniu naszej zbrojnej i bitewnej przeszłości. Na szpaltach czasopism, zwłaszcza tych „żywo redagowanych", tych „dla mas" — w rodzaju „Kulis", obu „Panoram", „Przekroju" czy niektórych prowincjonalnych gazet codziennych — autorzy-popularyzatorzy raz po raz wyczarowują widmo naszej — jakoby ukochanej, jakoby tradycyjnej — rzeźni narodowej.

Rzeźnia narodowa

Wspaniałą, najsolenniej wykorzystaną okazją są tu częste w Polsce rocznice historyczne tak, niestety, licznych wojen, bitew i powstań.

Oto skromniutka garść przykładów z numerów „rocznicowych", poświęconych kampanii wrześniowej:

9 września koło Jeżowa, powiat Brzeziny, polski oddział „zagrodził drogę pancernym watahom hitlerowskim maszerującym na Warszawę, decydując się na beznadziejną walkę. [...] Polscy żołnierze do końca

nie opuścili swoich stanowisk i wszyscy co do jednego oddali swe życie za ojczyznę" [1].

W kampanii wrześniowej „lotnictwo polskie zaprzestało walki straciwszy 90% sprzętu lotniczego i 75% lotników. Pozostali przy życiu lotnicy..." [2] itd.

Na wybrzeżu „Hel i cały półwysep zasypywane były codziennie gradem bomb i pocisków. [...] Resztki obrońców Helu po parotygodniowym desperackim oporze nie mogły już prowadzić walki" [3].

A oto ułani poszli do szarży: „Z trupów ludzi i koni tworzą się wysokie wały, przez które skaczą następni jeźdźcy... Już tylko paru z nich jedzie... Wreszcie daleko pod lasem pada ostatni ułan i gaśnie ostatni błysk kawaleryjskiej szabli... Zostało tylko krwawe pole usiane ich trupami..." [4]

A oto finis Westerplatte w wersji dla „masowego odbiorcy": „Kiedy z całej załogi zostało tylko kilkunastu rannych żołnierzy, wygłodzonych, konających z pragnienia i nie mających już amunicji — umilkły strzały na Westerplatte" [5] (podkreślenia wszędzie moje — Z.Z.).

Jakże ponury obraz! Ale... kilka niezbędnych wyjaśnień.

Nie było w dziejach Września boju piechoty z czołgami, w którym by wszyscy piechurzy „co do jednego" polegli. Czołgi niemieckie łamały polską obronę i szły naprzód nie oglądając się za siebie. „Rozjechany" polski batalion czy pułk albo się zbierał gdzieś w lesie, albo cofał w rozsypce. Tak to zwykle wyglądało.

Lotnictwo straciło, łącznie z porzuconymi na skutek braku paliwa i spalonymi na granicy, 333 samoloty, a więc 75% stanu maszyn. Około 100 maszyn ewakuowano do Rumunii i Węgier. Straty zaś w personelu latającym, łącznie z zaginionymi na drogach ewakuacji,

wahają się od 21% w lotnictwie myśliwskim do 33% w lotnictwie obserwacyjnym. Jak widać, daleko tu do fatalnych 75%[6].

Jeśli chodzi o obronę Helu, to poległo tam i zostało rannych w ciągu miesiąca walk 212 ludzi. Złożyło broń 2 października przeszło 2 800 ludzi[7]. Trudno tu więc mówić o „resztkach".

O ułanach oraz o obrońcach Westerplatte będzie jeszcze mowa — na razie stwierdzę tylko, że ani jedni, ani drudzy wcale nie polegli „wszyscy co do jednego", a w ogóle to było zgoła inaczej.

Już nie chodzi o to, że w tych notatkach, jak i w dziesiątkach podobnych stale się ukazujących, prawda jest bezceremonialnie zniekształcona. Bardziej niepokoi mnie co innego: ta cmentarno-pomnikowa metoda, to najściślejsze łączenie ofiarności z ofiarą życia, bohaterstwa ze śmiercią, patriotycznego czynu — ze zbiorową mogiłą.

Autorzy przytoczonych fantastycznych wzmianek nie chcą zapewne ani zohydzić opisywanych wydarzeń, ani odepchnąć od nich czytelnika. Wprost przeciwnie — pragną podkreślić zasługę, ofiarny trud i bohaterstwo żołnierza. Do tego właśnie celu konieczne im są — jak sobie zapewne wykalkulowali — te „niedobitki", „resztki" i „pozostali przy życiu", te „zwały trupów" i kałuże krwi. W tym celu poprawiają „nieuważną" historię, która wcale wszystkich bohaterów nie wysyła na tamten świat i nie każde spełnienie żołnierskiego obowiązku oblewa potokami krwi.

Dla wielu autorów bez rzeźnickiej scenerii nie ma ofiarności, nie uwidacznia się patriotyzm, nie ma okazji do bohaterstwa. Bohaterem może być tylko poległy — i to o s t a t n i poległy.

I oto mamy pierwszy „przedmiot" naszych rozwa-

żań — osobliwych chwalców naszej historii. A właściwie — chwalców narodowej jatki.

Jeśli dobrze wsłuchać się w tenor ich wystąpień, usłyszymy melodię skoczną a smutną, starodawną a skądś dobrze znajomą...

...Była bitwa, była tam pod Solferino,
aż tam krew żołnierska potokami płynie,
hop, hop, hop!
Krwi aż po kolana, trupów co niemiara,
bo tam krzepko wojowała nasza wiara,
hop, hop, hop!

Co o tym sądził
Kuk Infanterist Józef Szwejk?

Warto go zapytać. Bo to on właśnie śpiewał powyższą piosenkę, jadąc na inwalidzkim wózku na punkt werbunkowy w roku 1914. Jak wiadomo, wymachiwał przy tym raźno swoimi kulami, a w przerwach między zwrotkami wznosił państwowotwórcze okrzyki: „Na Białogród, na Białogród!"

O rzeczonej sprawie miał Szwejk sąd dwojaki:

Gdy usilnie zachwalano mu wypichcone w cesarsko-królewskim propagandaamcie wzorce śmertelnej ofiarności, cmentarnego patriotyzmu, gdy zapowiadano mu okazję do pójścia w ślady pogrzebanych już bohaterów — dobry wojak Szwejk potulnie odpowiadał: „Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że bardzo się cieszę. Będzie to wspaniale, gdy obaj polegniemy za najjaśniejszego pana i jego dom".

Natomiast w zaufanym towarzystwie — to znaczy sam ze sobą — dobry wojak Szwejk inaczej nieco traktował propagatorów patriotycznych jatek. W chwi-

lach szczególnie dobrego humoru nazywał to wszystko skromnie „bałwanieniem do kwadratu". Poprzestańmy na tym określeniu i nie pytajmy, co mówił, gdy był w nieszczególnie dobrym humorze.

Przypomnienie nieśmiertelnego Szwejka i jego bojowej postawy ułatwi nam zrozumienie, jak zrodził się i doszedł do potęgi drugi „przedmiot" niniejszych rozważań — szydercy.

„Król Ubu, czyli Polacy"

Zaczęło się podobno od tego, że pewien młody (wówczas) i bardzo znany później aktor i poeta w którymś studenckim teatrzyku włożył papierowe ułańskie czako, do bosych pięt przyczepił ostrogi, dosiadł beczki z prochem i pocwałował na niej w siną dal, a później — na skutek beztroskiego palenia fajki — poszybował wzwyż. Miała to być kpina z rumaka i czaka, szarżowania i umierania, a zarazem przypomnienie, że powtarzanie tradycyjnych gestów patriotycznych grozi dziś wysadzeniem świata w powietrze.

Potem było kilka innych młodzieńczo-intelektualnych wygłupów, aż przyszedł „Król Ubu, czyli Polacy".

To taka skandaliczna i podobno genialna sztuczka, napisana przed 70 laty we Francji przez 15-letniego prowincjonalnego gimnazjalistę, który znienawidzonemu profesorowi historii chciał powiedzieć otwarcie „merde" — czyli gówno. Powiedział to zresztą bardziej finezyjnie: „merdre" — a więc „grówno", jak tłumaczy Boy. Napchał też ów gimnazjalista, Alfred Jarry, do tej sztuczki wszelkich bzdur, jakich się nasłuchał na ociekających posoką lekcjach historii i napatrzył na obowiązujących przedstawieniach teatralnych wielkich dramatów historycznych, w których, jak wiadomo, też

„trup ściele się gęsto". Sparodiował, wykpił to wszystko: wielkich wodzów — zwykłych morderców, władców — płaskich intrygantów, bezbrzeżną głupotę rozmaitych fanfaronów, a cały ten historyczno-krwiożerczy melanż umieścił w mitycznej Polsce królów Wacława i Byczysława. Sparodiował i wykpił historię — a właściwie (o czym warto pamiętać) taką historię, jaką mu pokazywano, jakiej nauczył go ów znienawidzony (chyba słusznie) gimnazjalny profesor.

Tego to „Króla Ubu" odnaleźli młodzi ludzie z warszawskiej „Stodoły", potraktowali nader poważnie — jak tylko Młodzi Polacy umieją potraktować sztubacki żart — i przyprawili jeszcze bardziej po polsku. Napchali tam i Września, i dawnej historii. Sparodiowali znany wiersz patriotyczny Słonimskiego „Alarm". Rogatywka, lanca, szarża. „Łoś", LOPP, FON, FOM, „silni, zwarci, gotowi" — wszystko to razem stało się dla nich jedynie satyrycznym rekwizytem. Jednakże...

W ustach Młodych Polaków zapowiedź wstępna: „rzecz dzieje się w Polsce, czyli nigdzie" — nabiera innej treści niż w ustach XIX-wiecznego francuskiego gimnazjalisty. Na warszawskiej scenie wszystkie te krwawe błazeństwa króla Ubu i wszystkie tępe i samolubne idiotyzmy Ubicy, ta „radująca serce wojenka", te szarżujące hufce w papierowych czakach wyglądają inaczej niż na paryskiej przed 60 laty. Generał Laxygen woła: „Zająć filtry, pocztę gdańską..." I te nazwy coś w Polsce znaczą, mają swą — wymierną w ludzkim cierpieniu i dumie — cenę. Tragicznemu „Alarmowi" po pełnej grozy pamiętnej zapowiedzi „ogłaszam alarm dla miasta Warszawy" zamiast właściwego „niech trwa!" Młodzi Polacy dodali... nową końcówkę. Tylko te dwa słowa: „Niech ma!" — ale jakże pogardliwie, cwaniacko wypowiedziane... „Niech ma" — to znaczy:

„dobrze jej tak". Niech ma Warszawa, niech ma ten naród swoje alarmy, bombardowania, zniszczenia, wojny. Wszak sam chce, wszak je lubi, wszak najwyżej sobie ceni właśnie takie męczeństwo, ofiary i straty...

I tak warszawski „Król Ubu" stał się kpiną już nie z nauczania historii, lecz z samej historii, szyderstwem nie ze znienawidzonego profesora, lecz ze wszystkich „nauczycieli": starszych braci i ojców — czy ogólniej — przodków, ich wszystkich, całego ich dorobku, całego ich życia.

Oto więc mamy stanowisko szyderców.

„Założenie tego ugrupowania — pisze felietonista — brzmiało: nasi przodkowie chętnie i efektownie umierali za ojczyznę... Byli oni głupimi i śmiesznymi frajerami" [8].

Potępienie umierających frajerów

Nie winmy zbytnio Młodych Polaków — szyderców z warszawskiej „Stodoły". Byli szczerzy. Podobnie jak Jarry wyciągnęli po prostu logiczny wniosek z nauk zaczerpniętych na lekcjach historii. Różnica polega jedynie na tym, że Francuzik zbuntował się przeciw swemu profesorowi, a oni nie musieli wcale się buntować. Oni poszli za profesorem krok w krok. Za swoim profesorem-szydercą. Nie z własnego autentycznego buntu, ale z kpiny starszych czerpali młodzi szydercze natchnienie.

Na długo zanim w „Stodole" wykpiono ubiczno-idiotycznych Polaków — w niektórych środowiskach intelektualnych, wśród wielu piszących, kształtujących tzw. „kulturalną opinię", dzieje polskie uznano za sferę rządów Ubu-króla i taki obraz naszej przeszłości przyświeca i służy za przedmiot ironicznych uwag lumina-

rzom słowa i pióra. W czasopismach niemasowych, nie obliczonych na szerokiego odbiorcę, lecz adresowanych do środowisk intelektualnych, nie znajdziecie pochwały patriotycznej jatki. Wprost przeciwnie. Tu króluje inny, szczególny sposób mówienia o przeszłości: półgębkiem a drwiąco. Intelektualną gafą jest zatrącić o te sprawy z pietyzmem czy bodaj ze zrozumieniem. Zwykle zamyka się je w nonszalanckiej syntezie: „buźka wolnego, wolnego, szwoleżerowie, tam na polu błyszczy kwiecie, z polską szlachtą polski lud, a Maryś idzie, dzban jagód niesie, hej" [9].

Odtąd, od paru lat, wersja polskiego skretynienia, powielana w satyrycznych opowiadaniach i powieściach, w tysiącach felietonów, a nawet w recenzjach teatralnych i filmowych, stała się obiegową formułą obowiązującą zwłaszcza „nowoczesnych".

Nad patriotyzmem przodków można niekiedy powzdychać z ubolewaniem, lecz traktować go poważnie nie wolno — modą jest tęsknić „do szczęśliwych czasów, kiedy pod takt «God save the King», «Marsylianki» czy polskiego «Mazurka» nasze przedszkolaki bawić się będą w kółko graniaste, zamiast pod takt tych melodii być mordowanymi podczas którejś tam z kolei wojny" [10].

Tęsknota do wiecznego pokoju jest oczywiście w pełni uzasadniona, chodzi mi jednak o to, że dźwięk „Jeszcze Polska..." kojarzy się naszemu stęsknionemu pacyfiście z jednym tylko: „być mordowanym podczas którejś tam z kolei wojny".

I oto jest istota tego swoistego stylu historycznego filozofowania, tego szczególnego widzenia całej historii Polski. Ma ona być jakoby nieprzerwanym ciągiem bezsensownego umierania. Historię na serio przekształca się w stek nonsensów, których trzeba jak najprędzej się wyrzec.

„Wyrzekamy się szarż kawalerii na wojska pancerne, cięcia szablą w czołg? Ależ naturalnie, że się wyrzekamy. Koń przeciw czołgom — to nie miało sensu, jak nie miała sensu kosa przeciwko harmacie, a dubeltówka przeciw karabinom" — pisze na marginesie słynnej „Lotnej" recenzent filmowy [11]. Nie o „Lotną" mi oczywiście chodzi, chodzi o wyjątkowo piękne sformułowanie kreda szyderców, o ten skrót historii Polski — syntezę jej bezsensowności.

Z kosami na harmaty, z dubeltówkami na karabiny, z szablą na czołgi... Dodać tu jeszcze trzeba głośniejsze, a najbardziej wytarte i wypaćkane przez szyderców nasze ułaństwo — somosierszczyznę, kozietulszczyznę. („Nazwa wąwozu w Pirenejach* używana jest wyłącznie w sensie pejoratywnym" — stwierdzają felietoniści „Przeglądu Kulturalnego" [12].)

Konsekwentnie dodać by tu jeszcze trzeba nasze grzechy samobójcze, owo wysadzanie się w powietrze, poczęte przez pana Wołodyjowskiego w Kamieńcu — a więc Redutę Ordona i obrońców Westerplatte.

Dodać by tu jeszcze trzeba oczywiście „...niejakiego Poniatowskiego, bawidamka i oczajduszę, który prawdopodobnie po pijanemu utopił się w Elsterze, wydając przy tym kabotyńskie okrzyki..." — jak o nim pisał publicysta „Świata" [13].

W ten sposób otrzymujemy cały komplet kluczowych wydarzeń w naszej historii potraktowanej jako przedmiot drwin. Komplet reprezentatywnych wydarzeń naszej historii — według osobliwego wykładu. Komplet bezmyślnych, idiotycznych błazeństw, zakończonych zwykle mniejszą czy większą ilością trupów. Cmentarz polski.

* Oczywiście nie w Pirenejach, lecz w łańcuchu Guadarrama — drobna omyłka w granicach 450—500 km.

Siedem grobów głównych

Rzecz jakże znamienna — gdy tylko sprawa dochodzi do grobów, to oba „przedmioty" naszych rozważań: chwalcy i szydercy spotykają się. Pozornie sobie przeciwstawni — w kwestii cmentarza pozostają w idealnej zgodzie. Tylko że jedni to umieranie chwalą, a drudzy z niego kpią. Jedni wspomniane wydarzenia nazywają szczytem bohaterstwa i świetlanym wzorem, a drudzy — bezdenną głupotą. Dla jednych to anielskie uczynki, dla drugich — narodowe grzechy główne. Ale zarówno chwalcy, jak i szydercy uczyli się dziejów Polski z tego samego podręcznika. Był to — krótki kurs historii Polski w siedmiu pogrzebach.

Jednakże oprócz krótkich kursów istnieją grube monografie historyczne.

Co prawda nikogo chyba z filozofujących o historii monografie te nie interesują. Już i sami historycy trąbią larum:

„Jeżeli ktoś nie będąc lekarzem weźmie lancet i dokona operacji, najprawdopodobniej spowoduje śmierć człowieka i powędruje do więzienia; na nieszczęście dla historii w tej dyscyplinie, kto umie czytać, a przede wszystkim nie tyle pisać, co trzymać pióro w ręku, uważa się za uprawnionego do zabrania głosu na tematy historyczne" [14].

Wbrew temu — wyciągnijmy jednak stare i grube książki, zajrzyjmy do nich, przekonamy się, jak to było naprawdę na tym cmentarzu. Budzące spór zwłoki można za zezwoleniem wysokiego sądu — publiczności czytającej — ekshumować.

Otwórzmy więc historyczne trumny. Co w nich znajdziemy? Jaki był rzeczywisty obraz i rzeczywisty sens siedmiu „przykładowych" wydarzeń, służących jednym do pokazywania naszej nieziemskiej ofiarności, dru-

głm — do uzasadnienia naszej nieziemskiej bezmyślności? Jak naprawdę wyglądają owe anielskie grzechy naszego narodu?

Dla porządku uszeregujmy sobie te wydarzenia. Darujcie, że nieco humorystycznie. Mowa będzie o sprawach nader poważnych, nie dość poważnie dotychczas traktowanych. Mowa będzie — serio. Niech więc przynajmniej w tytułach pozostanie choć trochę kpiny, na jaką w pełni zasługuje... wcale nie nasza historia, ale właśnie chór jej niefortunnych komentatorów — zarówno chwalców, jak i szyderców.

Ponieważ nie mamy zamiaru tworzyć tu konkurencyjnego kursu historii Polski w siedmiu triumfach, ułóżmy te grzechy nie według chronologii, lecz według... specjalności wojskowej. Będą więc grzechy piesze, grzechy konne oraz grzechy pirotechniczne, czyli wybuchowe. Oddzielnie omówimy przypadek księcia Józefa jako przejaw narodowego rozmiłowania w skokach do rzeki i straceńczych gestach. W sumie — rzecz o samobójcach. Domniemanych.

Traktat o samobójcach, czyli domniemane grzechy polskie

[Poeta:]
Tak by się gdzieś het gnało, gnało,
tak by się nam serce śmiało
do ogromnych, wielkich rzeczy,
a tu pospolitość skrzeczy...

Stanisław Wyspiański

ZUCHWALCY, CZYLI GRZECHY PIESZE

„Pospolitość" — nie nadawajmy temu słowu znaczenia ujemnego — po prostu realna, zwykła nieromantyczna rzeczywistość „skrzeczy" w każdym naszym „bohaterskim idiotyzmie", w każdym naszym „grzechu" narodowym.

W szyku pieszym, jak wiadomo, popełniliśmy co najmniej dwa grzechy. Pierwszy to to, żeśmy się z chłopskimi kosami wybrali zdobywać armaty. Drugi to to, żeśmy się z myśliwskimi dwururkami porwali na nowoczesne karabiny. Mógłby tu co prawda wchodzić w rachubę i trzeci grzech zuchwałości — ataki z motyką na słońce, inaczej mówiąc „szturmowanie nieba", czyli odwaga sięgania po rzeczy wielkie, po cele wzniosłe, lecz dalekie i trudne. Jednakże to „grzech" ogólny rewolucyjnych ruchów, i to wcale nie tylko polskich, ale światowych. To „grzech" paryskich komunardów 1871 roku, to „grzech" robotników Łodzi i Moskwy w rewolucji 1905 roku. Pozostawmy więc ten „grzech" tymczasem na boku i zajmijmy się podobnymi, wymienionymi już, naszymi partykularnymi, zaściankowymi grzechami narodowymi.

Grzech pierwszy: Z kosami na harmaty

Owszem, nie wypieramy się, chodziliśmy. Z naczelnikiem Kościuszką pod Racławicami 4 kwietnia 1794 roku. A było to tak:

„Kościuszko podskoczył poza pagórek do gromady chłopów Krakusów i zawołał: «Zabrać mi, chłopcy, te armaty — Bóg i ojczyzna — naprzód, wiara». Ruszyli natychmiast pędem z krzykiem przerażającym i biegnąc, nawoływali się wciąż: «Szymku, Maćku, Bartku — a dalej!» Towarzyszył im konno Kościuszko, zagrzewając słowem i machaniem. Zdobyli naprzód trzy armaty 12-funtowe; potem ścianą uderzyli na grenadierów rosyjskich, w czym dopomógł im półbatalion swymi bagnetami. Wkrótce napełnili trupami rów wielki i długi, wzdłuż lasu ciągnący się. Zabrali jeszcze 5 armat większych i 3 mniejsze. Nie rozumiejąc wyrazu «Pardon!» na śmierć bili, a potem trupy obdzierali.

Szło do ataku 320, padło podczas biegu tylko 13 chłopów. Pierwszy skoczył na baterię i czapką swą przykrył zapał armaty Wojtek Bartos, gospodarz ze wsi Rzędowic" [15].

Jak widać z powyższego:

a) kolumna kosynierów straciła w ataku 4% stanu (w ówczesnych bitwach regularna piechota traciła w jednym ataku nieraz i do połowy stanu);

b) zdobyła zarówno pierwszą, jak i drugą baterię, ustawioną w głębi ugrupowania wroga;

c) zniszczyła w walce wręcz znaczną liczbę regularnej piechoty nieprzyjacielskiej.

Ten pomyślny wynik dowodzi najlepiej, iż założenia ataku nie były wcale od rzeczy, a zestawienie kosa — armata nie jest takie absurdalne.

Wrażenie piramidalnego nonsensu, jakie próbuje się wzbudzić tym zestawieniem, jest rezultatem nader no-

woczesnego, „atomowego" widzenia zarówno kosy, jak i armaty.

Człowiek XX wieku widzi z jednej strony wątłą żerdkę z blaszanym ostrzem, zdatną — jak kłonica — co najwyżej do bójki na chłopskim weselu. Z drugiej strony wyobraża sobie ogromne spiżowe działo, wsparte na budzących szacunek kołach i mocarnej lawecie, opasłą lufę z mrocznym lejowatym wylotem, zionącym ogniem i żelazem, co zmiata przed sobą wszelkie życie...

Przejdźmy jednak w tym miejscu ze sfery wyobrażeń na realny grunt historyczny, na grunt rzeczywistości ówczesnej.

Osiemnastowieczna armata, np. 12-funtowa, taka, jakie zdobyli kosynierzy, był to twór wielce niedoskonały i mało skuteczny. Po każdym strzale uciekała ze stanowiska kilkanaście metrów do tyłu, trzeba ją było zatoczyć z powrotem, wyczyścić, nasmarować, ochłodzić wodą lub mokrymi szmatami, załadować na kilkanaście temp, wycelować, wbijając kliny pod lufę... Wszystko to trwało półtorej lub dwie minuty — przy dobrze wyszkolonej i spokojnie pracującej obsłudze. A komu się ręce nie trzęsą, gdy widzi nadbiegającego wroga? Póki takie działo załadowano, atakująca piesza kolumna przebiegła 250 albo 300 metrów.

Niosła taka harmata na dwa kilometry. Trafić można było — czasami, gdy nie było wiatru i cel się nie ruszał — na kilometr. Zresztą w ogniu bitwy i w pośpiechu dawano sobie jako tako radę z ładowaniem i strzelaniem, ale często nie starczało czasu i cierpliwości na mozolne podbijanie klinów, tzn. na celowanie.

Z drugiej strony kosa w owych czasach wcale nie była zabawką. Do walki wręcz nie było lepszej broni. Zdecydowanie górowała nad bagnetem. Jeszcze w 70 lat później szerzyła panikę. Obiektywny obserwator powstania styczniowego, wysłannik rządu szwajcar-

skiego, major F. L. von Erlach, zaobserwował, iż żołnierze uzbrojeni w karabiny czuli się niezbyt pewnie w walce wręcz z kosynierami, ponieważ „trwożyła ich długość drzewca, pozwalająca kosynierowi dosięgnąć przeciwnika, a nie być dosięgniętym" [16].

Oczywiście, kosa miała poważny minus — nie można było z nią prowadzić walki ogniowej. Ale też i z ówczesnym karabinem nie bardzo to się udawało.

Ówczesny karabin skałkowy, gładkolufowy, ładowało się od przodu na 14 albo 12 temp, co trwało najmniej minutę. Niósł on mniej więcej na 200—250 metrów. Trafić w stojącego człowieka można było na 75 metrów, niekiedy (salwą) — na 100 metrów. Polskie „Przepisy wojskowe w czasie batalii" z czasów Insurekcji Kościuszkowskiej pouczają, że na 100 kroków (71 m) trafić powinna połowa wystrzelonych kul. Jeśli, oczywiście, w ogóle udawało się wystrzelić. Nie można było bowiem strzelać po deszczu, nim nie przeschły ładunki. Nie można było strzelać na wietrze — nawet słaby powiew zdmuchiwał proch z panewki. Nie można było strzelać długo — przy strzale ciężką, ołowianą kulą kalibru ok. 14 mm odrzut był duży i już po kilku strzałach żołnierze odsuwali kolby od posiniaczonych ramion i strzelali trzymając karabin... pod pachą, przyciśnięty łokciem.

Z takim karabinem „bój ogniowy", wszystkie te chytrze wymyślone przez Wielkiego Fryca — Fryderyka II — „gęsie kroki" (salwa co 30 kroków, ładowanie w marszu), ogień „plutongowy", ogień batalionowy, łamanie, zwijanie, zmienianie długich, wyciągniętych jak na mustrze linii piechoty, wszystkie te przemądre gimnastyczno-pirotechniczne manewry były czystą stratą prochu i czasu. Ówczesny wybitny wódz rosyjski, Suworow, uczył swych żołnierzy, że „kula głupia a bagnet zuch, kula się ośmieszy, a bagnet się nie oś-

mieszy". Napoleon za prowadzącymi bój ogniowy tyralierami szykował ogromne czworoboki piechoty, które rozstrzygały bitwę uderzeniem na białą broń. Te czworoboki w bitwie wcale nie strzelały... Nie było też wielkim nieszczęściem, że Kościuszko swe kolumny odwodowe bądź tzw. „trzeci szereg" w piechocie uzbrajał w kosy (z braku zresztą karabinów). W walce na białą broń — a do tego się te „trzecie szeregi" sposobiły — kosa zdawała egzamin. Zresztą — dwa lata wcześniej ochotnicy paryscy i marsylscy szli pod Valmy z pikami. We Francji nie śmiał się z tego nikt ani wówczas, ani dziś.

Popatrzmy też w końcu, jak sobie naczelnik Kościuszko poczynał w boju z tymi swoimi kosynierami. Pod Racławicami z dwóch tysięcy wykorzystał tylko 320, jako tako sformowanych i utrzymujących porządek. Ustawił ich w centrum swego szyku, ale za piechotą regularną i... za górką, w martwym polu, aby nie byli narażeni na ogień. Niektóre relacje uczestników bitwy (Wodzickiego i Paszkowskiego [17]) pozwalają przypuszczać, że początkowo wcale nie zamierzał użyć chłopów w walce, nie ze względu na broń, ale dlatego, że byli nieostrzelani, niewyszkoleni i „boju nie nawykli". Gdy jednak zawahała się i drgnęła liniowa piechota (nie wymieniany z nazwiska pułkownik miał odmówić wykonania rozkazu Kościuszki), Naczelnik w braku czego innego użył kosynierów. Ale jak?

Prowadził ich sam, nie na wprost, lecz łukiem w lewo — małym wąwozikiem, „zagłębioną" między wzgórzami drogą — tak że nieprzyjaciel dość późno zauważył ten atak. Toteż bateria carska zdążyła dać tylko dwie salwy, ze znikomym zresztą skutkiem. Cały atak trwał, jak należy przypuszczać, nie więcej niż cztery — pięć minut. „W trzy pacierze" było po wszystkim i Woj-

ciech Bartos, późniejszy chorąży Bartosz Głowacki, siedział na harmacie i zatykał czapką... co zatykał?

Aby uniknąć wszelkich możliwych nieporozumień, trzeba przypomnieć, że zatykał nie lufę armaty (o co go łacno szydercy posądzić mogą), lecz zapał — mały otworek w tylnej części działa, którędy iskra od lontu biegnie do ładunku w lufie.

Tyle o Racławicach i chodzeniu z kosami na harmaty. Ot, niełatwa, ale w pełni uzasadniona bitewna rzecz. Nie zwyczajna, ale i nie idiotyczna. Jak to przeważnie na wojnie bywa.

Grzech wtóry:
Z dubeltówkami na karabiny

I to prawda. Z dubeltówkami na karabiny chodziliśmy — raz jeden, w noc z 22 na 23 stycznia 1863 roku. Albowiem gdy szykowało się powstanie, nie było w kraju broni. Agenci, którzy mieli broń zakupić za granicą, haniebnie „zasypali się" w Paryżu, sytuacja zaś w kraju wymagała — jak uznano — natychmiastowej decyzji powstańczej. Na początek więc liczono tylko na 600 strzelb myśliwskich, i z tym właśnie porwano się na karabiny regularnych wojsk.

Sprawiedliwość nakazywałaby podkreślić tu dwa momenty.

Otóż po pierwsze, gdy powstanie dopiero się rozpoczynało i rzeczywiście dysponowało jedynie strzelbami, karabiny rosyjskie na ogół były... nie nabite. Początkowo bowiem władze carskie chciały wyłapać zbiegłych od branki „popisowych" po cichu, bez rozlewu krwi. Obławy wychodziły w lasy podwarszawskie z kategorycznym zakazem otwierania ognia, a nawet bez amu-

nicji, „aby żaden strzał nie mógł paść" *. Pierwsze zwycięstwo powstańcze, jeszcze 22 stycznia w dzień, a więc przed oficjalnym wybuchem powstania — to było właśnie zwycięstwo partii Rogalińskiego pod Ciołkowem (Płockie), odniesione „bez jednego wystrzału" nad oddziałem pułkownika Kozlaninowa.

Po drugie, w noc wybuchu powstania w kilkunastu udanych atakach na drobniejsze garnizony carskie zdobyto znaczną ilość karabinów. W jednym tylko Kodeniu było ich kilkaset, nie licząc dwunastu armat. Tak więc już 23 stycznia w partiach powstańczych ilość karabinów wojskowych na pewno znacznie przekraczała ilość dubeltówek.

Jednakże powróćmy do osławionego kontrastu dubeltówka — karabin.

Gdy dziś porównujemy dubeltówkę i karabin, to mamy na myśli z jednej strony gładkolufową, jednostrzałową „fuzję", z której bije się drobnym śrutem na 30 metrów do kaczek, z drugiej zaś — nowoczesny powtarzalny karabin pięcio- lub dziesięciostrzałowy, niosący na trzy do pięciu kilometrów, dostatecznie celny prawie do 1 000 metrów. Tymczasem dziewiętnastowieczna strzelba myśliwska to często (ładowany co prawda od przodu, ale gwintowany) dalekonośny sztucer, przewyższający znacznie precyzją wykonania (a więc i precyzją strzału) seryjne wojskowe gwintówki batalionów strzeleckich, zresztą nieliczne w ówczesnych armiach. Z ówczesnej zaś myśliwskiej dwururki o gładkiej lufie strzelano też kulą lub grubymi loftkami i choć niewątpliwie ustępowała ona gładkolufowemu karabinowi wojskowemu, to nie tak znacznie, jak by się wydawało.

---

* Wymógł to podobno na władzach carskich sam inicjator „branki", margrabia Wielopolski [4].

Przeciw jakim to karabinom porwano się wówczas ze strzelbami?

Warto przypomnieć, że armia rosyjska w 1863 roku znajdowała się w początkowym stadium przezbrojenia. W połowie 1858 roku zatwierdzono nowy typ karabinu dla całej armii. Był to karabin gwintowany, kapiszonowy, ładowany od przodu, o kalibrze 15,24 mm i o zasięgu 600 kroków (426 metrów). W pierwszym roku wyprodukowano takich karabinów zaledwie 2 tysiące. Na skutek znanego zacofania techniczno-ekonomicznego Rosji carskiej przezbrojenie armii ciągnęło się aż do roku 1868; jeszcze w roku 1867 całe dywizje miały stare, gładkolufowe karabiny [19].

W Królestwie w roku 1863 wojska carskie miały, jak należy przypuszczać, tylko nieznaczną ilość nowych karabinów, a uzbrojone były przeważnie w karabiny gładkolufowe (jeden strzał na minutę, celny strzał — na 140 m, maksymalna odległość rażenia — 210 metrów).

Powstanie w zasadzie uzbrojone było w broń zagraniczną, zakupywaną w Anglii, Belgii i Austrii, przemycaną przez Poznańskie i Galicję. Broń ta była znakomita i znacznie przewyższała rosyjską. Tzw. sztucer Enfielda np. niósł na 1 200 kroków (853 m). Wspomniany już Szwajcar, major von Erlach, opisuje zaobserwowane przez siebie skutki działania sztucerów belgijskich — na 800 kroków kula zachowywała dostateczną siłę, by przebić konia, na 500 kroków nawet niewprawny strzelec łatwo kładł poruszającego się piechura. Nawet najlepsze nowe karabiny armii carskiej ze swym najdalszym strzałem na 600 kroków nie mogły się równać ze sztucerami powstańczymi. Ponadto strzelców powstańczych (wyłączam kosynierów, którzy stanowili początkowo około $^1/_2$, a później $^1/_5$ większych oddziałów) uzbrajano co najmniej w połowie

w sztucery (kompanie karabinierów), a w połowie w broń gładkolufową (kompanie tyralierów). Takiego nasycenia bronią gwintowaną w oddziałach carskich niewątpliwie nie było, przynajmniej w pierwszych, najważniejszych miesiącach powstania.

Później oczywiście do oddziałów carskich napłynęła nowa broń z dostaw własnych, np. słynne „sztucery finlandzkie", a także z konfiskat: broń powstańcza znaleziona na polach bitew, odebrana wkraczającym z Galicji nieskładnym „partiom", skonfiskowana z transportów. Pod koniec powstania, jak pisze prof. Szelągowski, „wszystkie nieomal pułki kozackie uzbrojone były naszymi enfieldami lub sztucerami belgijskimi i wiedeńskimi" [20].

Ile tej broni wszystkiego było? Dziś już nikt nie dociecze. Zakupy poczyniono olbrzymie. Sumienny, choć nie bezstronny historyk powstania, Przyborowski, ocenia liczbę broni zakupionej na 200 000 karabinów. W niekompletnych papierach powstańczej Izby Obrachunkowej w Paryżu znalazł on dowody zakupienia i wysłania do kraju 55 291 karabinów, z czego tylko 1 877 miało po drodze ulec konfiskacie [21]. Do końca sierpnia — według innych źródeł — Prusacy mieli skonfiskować 3 tysiące, Austriacy — 8 tysięcy, a Rosjanie — aż 26 tysięcy sztucerów [22].

Członek Rządu Narodowego, Majewski, zeznał później w śledztwie, iż na początku lipca 1863 roku oddziały powstańcze posiadały jednak 13 tysięcy sztucerów i drugie tyle innej broni palnej. A było w tym czasie w polu co najwyżej 30 tysięcy ludzi.

Oczywiście broń nie była i nie mogła być rozprowadzona równomiernie po wszystkich oddziałach. W głębi kraju broni brakło, za to w świeżych oddziałach wkraczających z Galicji ludzie nieśli czasem i po 2 sztucery.

Jesienią 1863 roku można już mówić o względnym

nadmiarze broni, zwłaszcza w pobliżu granicy galicyjskiej. Np. Bosak w Kieleckiem na polecenie Traugutta, szykującego na wiosnę pospolite ruszenie, rozpoczyna magazynowanie broni. 1 stycznia 1864 roku pisze on do komisarza rządowego zachodniej Galicji w Krakowie: „W obecnej chwili zapewne cała ilość broni przez was nadsyłanej nie może być spożytkowana, lecz takowa według mojego rozporządzenia na składach w każdym powiecie ma się znajdować" [23].

Cały ten prozaiczny i nader rozsądny wysiłek i finansowy, i organizacyjny uznać trzeba za olbrzymi i bezprzykładny. Podobnie zresztą jak i całą piętnastomiesięczną pracę rządu i organizacji narodowej, poczt, wywiadu, administracji, całego podziemnego państwa, działającego w nasyconym obcymi wojskami kraju.

A jednak zakup i transport broni — skromna praca agentów, łączników, wozaków, konwojentów — nie zostały jakoś zaliczone do kronik polskich bohaterstw. Ani do kronik polskich bzdur.

Włączono tam nieszczęsne dubeltówki.

Wbrew temu stwierdzić jednak trzeba, że niczego wstydliwego i śmiesznego w zestawieniu broni powstańców i nieprzyjaciela w 1863 roku nie było.

W każdym razie nie znaleźli się powstańcy w sensie technicznym w takim kompromitującym położeniu, w jakim w tejże epoce znalazły się aż dwie regularne armie potężnych europejskich mocarstw.

Na wojnę krymską 1853 roku armia carska wyszła uzbrojona w 95% w gładkolufowe strzelby niosące na 300 kroków. Zetknęła się z armiami zachodnioeuropejskimi uzbrojonymi w 100% w gwintowane sztucery o czterokrotnie większym zasięgu — niosące na 1200 kroków. Nad Almą strzelcy angielscy i francuscy z bezpiecznej odległości spokojnie i bez przeszkód rozstrzeliwali jak na strzelnicy kolumny carskiej piechoty,

niezdolne dojść w tym ogniu na dystans nawet najdalszego własnego strzału [24].

Na wojnę prusko-austriacką w 1866 roku armia austriacka wyszła z gwintowanymi sztucerami ładowanymi od przodu, o szybkostrzelności 1 strzał na minutę. Armia pruska była uzbrojona w odtylcowe iglicówki Dreyse o praktycznej szybkostrzelności 5 strzałów na minutę. Statystyki sporządzone po wojnie dowodzą, że w najmniejszej, nawet nie rozstrzygniętej potyczce Austriacy tracili od ognia karabinowego co najmniej trzy razy tyle ludzi co Prusacy [25].

Ani z dysproporcji nad Almą, ani z dysproporcji pod Sadową nikt się nie śmiał. Na wojnie i tak bywa.

Tragiczna dysproporcja powstania styczniowego nie leżała w płaszczyźnie technicznej i nie nierówność broni była jej przejawem. Dysproporcja ta kryje się w problemach liczebności, organizacji i wyszkolenia. W początkach powstania 6 000 powstańców uderzyło na 110 000 wojsk regularnych. U szczytu powstania 30 000 powstańców biło się ze 180 000 nieprzyjaciół. Zawsze przeciwko zorganizowanemu, zwartemu, zaprawionemu w walce regularnemu wojsku występowały nader płynne, niezwarte, zupełnie niewyszkolone, a nieraz płochliwe i niezdyscyplinowane powstańcze partie, które niemal nigdy nie miały możliwości uformować się i okrzepnąć.

To są sprawy ogólne, występujące we wszystkich tego rodzaju wojnach, nie tylko w Polsce. A mimo to powstania wybuchały i wojny wyzwoleńcze były prowadzone — jeżeli były po temu dostateczne powody. I styczniowego chodzenia z dubeltówkami na karabiny nie ma się czego wyrzekać. Ani ono głupie, ani śmieszne. Nie w kontraście karabin — dubeltówka tkwił tragizm 1863 roku, a lekkomyślności czy pozy tam — sądzę — nie było.

Żeby nie było nieporozumień

Jak więc widzimy, drwiny z kos i dubeltówek nie wielkie znajdują uzasadnienie w realnym kształcie faktów historycznych. Godzi się zapytać: a może szydercy wykpiwając nasze chodzenie z kosami na harmaty i z strzelbami na karabiny nie mają wcale na myśli żadnych konkretnych historycznych zestawień, lecz traktują te obrazy jako poetycką przenośnię, wyrażającą treści ogólniejsze, bardziej „filozoficzne", odnoszące się nie do jednego czy drugiego ataku, lecz do całego wydarzenia historycznego, w którym ów atak odgrywał tylko najbardziej pamiętną, ale nie najważniejszą rolę?

A jeśli tak, to jeszcze gorzej, to metafory te służą sugestii, iż „wszystko to nie miało sensu", zawierają potępienie Powstania Kościuszkowskiego i Powstania Styczniowego, mają wykazać, że sama idea podjęcia walki o wolność w ówczesnych warunkach była nonsensem, lekkomyślnością i szkodliwą głupotą.

Nie ma w tym stanowisku nic nowego. Reprezentantów takich poglądów mieliśmy każdorazowo i w czasie powstania — i po jego klęsce. Wyznawali już takie poglądy skrajni konserwatyści w społeczeństwie polskim, reprezentanci klasy zagrożonej rozwojem walki narodowowyzwoleńczej i nieuchronnie związanym z powstaniami wzrostem obywatelskiej świadomości mas.

Ci na ogół robili zawsze wszystko, by powstaniu zapobiec, a później walczyli przeciwko niemu czynnie — otwarcie lub skrycie. Metodą walki było również zohydzanie, przedstawianie ruchu wyzwoleńczego w fałszywym świetle.

Do godności szkoły historycznej i politycznej teorii podnieśli pogląd o bezsensowności i szkodliwości powstań dopiero konserwatywni „stańczycy" krakowscy

i wielkomagnaccy „lojaliści", widzący własną i narodową przyszłość jedynie w utrzymaniu swej pozycji społecznej dzięki oparciu o zaborcze trony.

Charakter mistyfikatorski (w sensie historycznym) i reakcyjny (w sensie politycznym) wszystkich wybrzydzań „stańczyków" na społeczeństwo polskie czasu rozbiorów i na insurekcję (a tym się głównie „krakowianie" zajmowali) został szybko dostrzeżony i należycie oceniony. Zgodnie też z tą oceną Adam Asnyk nader złośliwie scharakteryzował sens pracy „historycznej nowej szkoły":

W pełnym świetle jej dochodzeń
Jasną gwiazdą lśni despotyzm
I wychodzi czysto na wierzch
Targowicy patriotyzm...
Gdyż Kościuszko to był wariat,
Co buntował proletariat.

Antyromantyczna, antypowstańcza szkoła „realistycznego myślenia" przetrwała jednak dłużej niż zaborcy, dłużej nawet niż dawna Polska — po dziś dzień *. Na ogół ściśle wiązała się i wiąże z konserwatyzmem, więcej — z reakcją, ze światopoglądem i interesami najbardziej wstecznych grup społecznych w Polsce.

Dawno i w sposób uzasadniony potwierdzony został pozytywny wpływ powstań, mimo ich klęsk, na rozwój naszego narodu, wpływ insurekcji na ukształtowanie się poczucia narodowego, na utrzymanie się sprawy polskiej na porządku dnia aż po Kongres Wiedeński,

* Raz po raz na marginesie najprzeróżniejszych wywodów, niczym nieraz z historią nie związanych, jak rzecz oczywistą rzuca się kamyczki w powstańczy ogródek. Np.: „Od euforii powstańczo-ułańskiej przechodzi do trzeźwej spekulacji historiozoficznej. Z nieudanego powstania wyciąga wnioski może niezbyt heroiczne, ale za to rozsądne..." — pisze Paweł Hertz o Wincentym Polu.

wpływ powstania styczniowego na demokratyzację życia narodu, jego zasadnicze znaczenie dla uwłaszczenia chłopów w Królestwie i założenia fundamentów społeczno-ekonomicznych pod nowoczesne, dwudziestowieczne społeczeństwo polskie.

Nie sądzę przeto, by współcześni szydercy przyznawali się do ideowego pokrewieństwa ze starym i skompromitowanym kierunkiem reakcyjnej myśli politycznej. Najpewniej też nie przyznają się do chęci wykpienia powstań narodowych. Jeśli więc nie — to „po co ta mowa"? Jaki sens ma ironizowanie „na marginesie" naszej historii? Kpina dla kpiny, potężniejsze od rozsądku zamiłowanie do piekącego smaku złośliwości?

Słowa służą do porozumiewania się, a nie do zabawy. Słowa przecież coś znaczą. Nie wolno rzucać ich na wiatr.

SZALEŃCY, CZYLI GRZECHY KAWALERYJSKIE

W szyku konnym grzeszyliśmy najbardziej. Bo Polak kocha konia. A szlachta polska zawsze sługiwała „konno i zbrojno". Konno grzeszyli dziadowie pod Chrobrym, gdy ten szczerbił miecz o kijowską bramę, i ojcowie, gdy z Żółkiewskim ciągnęli na Moskwę. Konno grzeszyli pod Grunwaldem i Obertynem, Kirchholmem i Kłuszynem, Chocimiem i Wiedniem, pod Somosierrą, Stoczkiem, Rokitną, Krechowcami i Krojantami. Bośmy tam wszędzie — w tych wszystkich sprawiedliwych i niesprawiedliwych bitwach — szarżowali. A upodobanie do szarżowania na wroga ma być, nie wiedzieć czemu, szczególnie godnym potępienia przejawem lekkomyślności Polaków.

I dziś nie jesteśmy wobec konia obojętni. Jedni go czczą jako narodowe bóstwo, inni nienawidzą go jak złego ducha, specjalnie przykomenderowanego przez bramy piekielne do naszego narodu ku jego zgubie. Podobno zawsze tak bywało, że ilekroć dosiądziemy konika, to zaraz zaczynamy wyczyniać istne szaleństwa. Kawaleryjskie właściwości — pasja ciemną mgłą zasnuwająca oczy i impet odbierający chłodną rozwagę głowie — stały się już jakoby głównymi cechami narodowego charakteru Polaków.

Ze wszystkich naszych impetycznych szaleństw i ułańskich szarż najsłynniejszą i niegdyś najbardziej

czczoną, a dziś najbardziej ganioną jest Somosierra. Szarżowanie Somosierry, somosierszczyzna, kozietulszczyzna, szwoleżerowie, „skoczył Kozietulski, w czwórki szwadron zwinął" — to dziś wystarczy za najtęższy, niszczący przeciwnika argument w każdej „intelektualnej" dyskusji o naszej historii, charakterze narodowym, współczesnej polityce czy wychowaniu. To zwroty już niemal obelżywe, za których użycie chyba niedługo sądy pociągać będą do odpowiedzialności. I wszyscy się głośno zarzekają, że już więcej nie będą, a zwłaszcza że nie dopuszczą „do wychowania przyszłych pokoleń w duchu Somosierry" [27].

Przepraszam — a dlaczego?

Czy Somosierra dlatego ma być tym wyklętym narodowym grzechem, że i tam chodziliśmy (podobno nierozsądnie, acz nie bezskutecznie) z gołymi szablami na baterie?

Grzech trzeci: Z szablami na baterie

A jak to było — opowiem.

W zbożnym dążeniu do zapanowania nad światem cesarz Napoleon w roku 1808 polecił swym marszałkom zająć Hiszpanię, a królem hiszpańskim mianował swego brata Józefa.

Podobnie jak dla wszystkich zmurszałych feudalnych krajów Europy, tak i dla Hiszpanii panowanie napoleońskie oznaczało pewien postęp społeczny i polityczny. Jednakże podobnie jak dla wszystkich narodów Europy i dla narodu hiszpańskiego postęp wprowadzany przez obce bagnety z towarzyszeniem wszystkich okropności francuskiej okupacji nie był rzeczą szczególnie atrakcyjną. Wybuchło powstanie ludowe, które, wspierane przez Anglików, oczyściło prawie całą

kraj od obcego najeźdźcy. Wówczas, późną jesienią 1808 roku, Napoleon uderzył sam. Przeszedł z armią Pireneje, pobił Hiszpanów pod Burgos i Tudelą, a 30 listopada stanął u stóp niedostępnego łańcucha gór Guadarrama, przegradzającego mu drogę do odległego już tylko o 65 km Madrytu.

Jedyna droga naprzód biegła przez góry ku przełęczy wąskim i krętym wąwozem o urwistych skalnych ścianach, długim na przeszło 2 kilometry i wznoszącym się stromo w górę o 300 metrów. Przejścia wzbraniała 13-tysięczna armia hiszpańska generała Don Benito San Juan. Cztery baterie po cztery działa ustawione w wąwozie „piętrowo" jedna za drugą co 400—500 metrów — zamykały drogę.

Wąwóz nosił nazwę Somosierra.

W pochodzie hiszpańskim szedł z cesarzem po raz pierwszy polski pułk lekkokonny szefostwa Wincentego Krasińskiego, zwany z francuska pułkiem szwoleżerów, zaliczony do młodej gwardii cesarskiej. Był to pułk doborowy, złożony przeważnie z ochotników spośród „dobrze urodzonej" młodzieży polskiej, „ofiarowany" cesarzowi przez wpływowe koła warszawskie jako swego rodzaju wyraz wdzięczności za utworzenie namiastki niepodległej Polski — Księstwa Warszawskiego.

Tego dnia służbę przy cesarzu trzymał trzeci szwadron, czasowo pod szefem szwadronu drugiego, Janem Kozietulskim. Od rana w gęstej mgle stał szwadron na drodze o niespełna pół kilometra od wejścia do wąwozu. Nie opodal sam cesarz w otoczeniu sztabu z niesmakiem obserwował, jak tyralierzy marszałka Victora bez powodzenia usiłują spędzić piechotę hiszpańską ze skał piętrzących się po obu stronach wąwozu i zasypać głęboki rów przy wejściu do niego. Hiszpanie strzelali gęsto. Wyminąć wąwozu ani obejść go nie

było można. Frontalny szturm wiszących na skałach stromego grzebienia górskiego pozycji hiszpańskich nie rokował nadziei na szybkie powodzenie. Po kilku godzinach obserwowania bezładnej strzelaniny Napoleon podjął decyzję: rzucić jazdę do szarży drogą wprost na baterie; rzucić natychmiast to, co jest najbliżej pod ręką, a więc osobistą eskortę — polskich szwoleżerów. Doświadczeni sztabowcy otaczający cesarza spoglądali po sobie ze zdziwieniem: niesłychane, tego jeszcze nie było... i nie będzie. Adiutant, hr. Segur, prosił cesarza jak o łaskę, aby mógł iść ze szwoleżerami do tej śmiertelnej szarży, której rozkaz miał im zawieźć...

A jednak, jak zresztą zwykle, rację miał Napoleon, a nie jego sztabowcy.

Szwadron ruszył z kopyta, tak jak stał, w kolumnie czwórkowej, z braku czasu i miejsca nie rozwijając się nawet do szarży. Przesadził źle zasypany rów i nim Hiszpanie, przyzwyczajeni od kilku godzin do widoku nieruchomej kolumienki kawaleryjskiej, zorientował się we mgle, o co chodzi, już wpadł do wąwozu i wziął pierwszą baterię. Nie zatrzymując się rwał galopem w górę i w górę, w lawinie kartaczy armatnich i kul hiszpańskiej piechoty, która gęsto obsadziła ściany wąwozu.

„I tak — pisze uczestnik szarży, porucznik Niegolewski — lotem błyskawicy pędząc, padł wprawdzie pierwszy, drugi za pierwszym, trzeci za drugim, ale następujący nie uważali na poległych i ciągle spadających kolegów, już każde z czterech pięter z jego czterema armatami, rąbiąc w pędzie kanonierów, jedno po drugim zdobywał, nie pozwalając żadnej bateri jak tylko raz wystrzelić. Które też ledwie co były wystrzeliły, już były nasze. Piechota zaś sama na szczycie gór stojąca, atakiem naszym tak natarczywym przestraszona, uciekła" [28].

Padli kolejno: Segur ranny i Kozietulski, pod którym zabito konia, padli porucznik Krzyżanowski, porucznik Rowicki, kapitan Dziewanowski, kapitan Kraliński, porucznik Rudowski... Chociaż na przełęcz za otwartą baterią, gdzie ranny został ostatni oficer szwadronu, porucznik Niegolewski, wpadło już tylko kilku szwoleżerów — niemniej zwycięstwo było całkowite. W porę nadbiegł pierwszy szwadron szwoleżerów szefostwa Łubieńskiego i francuscy szaserzy, posłani przez cesarza za Polakami.

W ciągu ośmiu minut, bo tyle trwała cała dwu- i półkilometrowa szarża, sforsowany został węzłowy punkt oporu nieprzyjaciela. Broniąca go 13-tysięczna armia, porzuciwszy obóz, tabory, broń, sprzęt, nawet kasy pułkowe pierzchła w popłochu, a nazajutrz, powiesiwszy swego wodza, generała Don Benito San Juan, jako „zdrajcę" — rozbiegła się ostatecznie. Droga na Madryt stała otworem.

Pierwszego grudnia „bóg wojny" — Napoleon — zdjął kapelusz przed polskimi szwoleżerami, oświadczając, iż czci w ten sposób „najdzielniejszych z dzielnych". W trzy dni później cesarz wkroczył do Madrytu, by znowu osadzić na tronie hiszpańskim swego braciszka...

Somosierra była chyba „najtańszym" zwycięstwem Napoleona. Długotrwały bój piechoty na skalnych progach Guadarramy kosztowałby na pewno parę tysięcy ludzi. W szarży ze 125 szwoleżerów 3 szwadronu padło zabitych 18 i poważniej rannych 28, razem 46[29] (nie licząc pokiereszowanych i potłuczonych, którzy pozostali w szwadronie). Stanowiło to 36% stanu. Padli też wszyscy biorący udział w szarży oficerowie, jednak trzech się jeszcze później wykurowało. Sam Kozietulski powrócił do służby i był w Księstwie Warszawskim dowódcą pułku kawalerii.

Dla szwadronu — straty znaczne. Dla armii — znikome. Podkreślić warto, że straty dzienne przekraczające 50% stanu pododdziału nie były w napoleońskich bitwach bynajmniej rzadkością.

Jakkolwiek więc szarża ta była wówczas, jak i później, oceniana jako niezwykła, zupełnie wyjątkowa, a nawet bezprzykładna, to nie ulega wątpliwości, że z punktu widzenia zdrowego rozsądku i praw wojny nic jej zarzucić nie można. Wprost przeciwnie: połączyły się w niej geniusz wojenny Napoleona (który słusznie liczył na zaskoczenie i potężny wpływ moralny niezwykłego ataku na przeciwnika) i istotnie doskonała, wyjątkowa postawa szwoleżerów.

Można się było spodziewać, że szarża utknie gdzieś w połowie wąwozu — ostatecznie ludzie są tylko ludźmi i każdy chce żyć... nawet szwoleżerowie. Niegolewski, który w momencie wyruszania szarży poprawiał właśnie popręg, a kolumnę dogonił dopiero przy pierwszej baterii, wspomina, że tu właśnie, w załomie wąwozu, ujrzał stłoczoną grupę szwoleżerów, którzy wołali do niego: „Panie poruczniku, panie poruczniku nie jeździj, bo tam bardzo strzelają"...[30] A jednak na jego wezwanie wyszli ze względnie bezpiecznego kąta i dokończyli szarży.

Dlaczego?

Pisał po latach uczestnik tej szarży z goryczą:

„My tylko, Polacy, tę jak cud niepojętą szarżę mogliśmy wykonać, my też tylko ją pojąć możemy, których miłość ojczyzny nie tylko na Sierry, ale i do nowego świata napędzała w nadziei, że walcząc pod Napoleonem, uważając go za zesłańca, którego niebo nam dla przywrócenia ojczyzny dały, ojczyznę z jarzma wyswobodzimy i na wrogach naszych za ich na nas dokonaną zbrodnię zemścimy się, a światu całemu

który bezkarnie na morderstwo nasze zezwolił, dowód naszej żywotnej siły damy" [31].

Łatwo jest być mądrym dziś i wypominać szwoleżerom, że sprawę Polski związali z podbojami cesarza Francuzów. Zresztą pretensja ta pod złym skierowana jest adresem. Jak to zwykle u nas bywa (nawet współcześnie), szeregowca historii niejeden chciałby obarczyć odpowiedzialnością za decyzje ideologów i przywódców, co tym ostatnim jakże często pozwala ujść odpowiedzialności. Nie Kozietulski wymyślił polską politykę pronapoleońską, nie on stworzył napoleońską legendę. Legendę wodza wszechmogącego tworzyła sama ówczesna historia, a politykę polską wytyczyli ówcześni politycy, „statyści" * — często zresztą rodzeni ojcowie szwoleżerów spod Somosierry. Szwoleżerowie chcieli służyć Polsce, jak umieli. A to, co umieli, starali się robić jak najlepiej. Wierzyli, że to potrzebne dla wyższego celu. Nie winmy ich — w owej epoce triumfującego „kultu jednostki" (jakże uzasadnionego) sądzili, że jeśli zdobędą serce cesarza pięknym czynem bojowym i wierną służbą, to usposobią go przychylnie do Polski i tym właśnie pomogą krajowi. Prości żołnierze — nie wiedzieli jeszcze, że w polityce o wielkich decyzjach rozstrzyga nie wolna wola i sympatia najwybitniejszych nawet jednostek, ale interesy spo-

* Zresztą, jak sądzę, również z punktu widzenia postulowanego przez szyderców, tzw. realizmu politycznego, trudno Somosierze coś zarzucić. Trzeba się tu chyba zgodzić z pozornie tylko „heretycką" opinią Pawła Jasienicy, który zwracając uwagę, jak niedorzecznej treści nabrało pojęcie „tzw. somosierszczyzny — symbol bezrozumnej rzekomo ofiarności" — przypomina, iż „w rzeczywistości jest to wypadek, kiedy za duże korzyści polityczne zapłaciliśmy stosunkowo niską cenę. Trzeba pamiętać, że Napoleon stworzył Księstwo Warszawskie i w zamian za to przymusowo wybrał wojsko z Polski; wcale nie było to zresztą tak dużo. Tak że Polacy wcale nie pojechali do Hiszpanii na ochotnika, ale po prostu płacili w ten sposób za to, co dostali. Notabene — warto także o tym drobnym szczególe pamiętać, że w bitwie pod Pruską Iławą, która była jakimś etapem do utworzenia Księstwa Warszawskiego, zginęło 40 000 Francuzów" [32].

łeczne i ekonomiczne określonych klas społecznych. Nie byli marksistami...

Ale byli przecież patriotami, dobrymi żołnierzami, a motywem ich działania była miłość ojczyzny. To wiele i tego nie należy lekceważyć.

Nie sądzę, by ci, którzy ze słowa „Somosierra" uczynili swoistą obelgę, na serio chcieli „małego człowieka" — szefa szwadronu, Kozietulskiego — obarczać winą za pronapoleońską politykę Polski w tym czasie. Może jednak chodzi im o to, że szwoleżerowie wzięli tu udział w wojnie niesprawiedliwej, grabieżczej, pomagali odbierać niepodległość narodowi hiszpańskiemu, tłumili krwawo jego walkę wolnościową, grabili, palili, gwałcili i mordowali? Ejże! A czemuż to właśnie biedny Kozietulski ma dostąpić „zaszczytu" reprezentowania całego kilkunastotysięcznego kontyngentu polskiego w Hiszpanii? Młoda gwardia miała przy cesarzu służbę „czystą", nie policyjną, zresztą była w piekle hiszpańskim krótko, nie zdążyła zezwierzęcieć, zbydlęcieć, splamić się w tej niesłychanie okrutnej z obu stron wojnie, tak jak inne pułki. Czemuż więc szwoleżerów „sławią" nasi szydercy, a nie niebieskożółtych ułanów Konopki, którzy nie parę miesięcy, lecz przeszło cztery lata pacyfikowali Hiszpanię, bili się jak diabły i jak demony zła palili, grabili, wieszali, aż wreszcie zyskali przydomek hiszpański „los infernos picadores", co wprawdzie znaczy „piekielni lansjerzy", lecz w wolnym a świadomym podtekstu przekładzie winno raczej brzmieć „łotry z piekła rodem"? Czemuż to do potocznej mowy nie weszła Saragossa — pułkownik Chłopicki (późniejszy dyktator powstania listopadowego) i jego zuchowaci piechurzy z Legii Nadwiślańskiej, uczestnicy wściekłego szturmu i rzezi na ulicach tego miasta, przedstawionej przez Goyę i opisanej tak wstrząsająco przez Żeromskiego w „Popio-

lach"? Nikt nie powie, że z pojęciem Somosierra ktokolwiek (a zwłaszcza czytelnik-odbiorca) wiąże treści podobne jak z pojęciem San Domingo — potępienie wojny niesprawiedliwej przeciwko walczącemu o wolność narodowi. Warto podkreślić, że w tradycji polskiej z a w s z e najdokładniej rozdzielone są: bohaterstwo żołnierza polskiego, walczącego w dobrej wierze — lecz w niesprawiedliwej wojnie — i sens moralno-polityczny kampanii hiszpańskiej, zawsze, nie tylko przez Żeromskiego, ale nawet przez Gąsiorowskiego w „Huraganie", ocenianej jak najbardziej negatywnie. I nie ma po co dzisiaj wywalać otwartych od dawna drzwi. Twórcom „pejoratywnego" pojęcia Somosierry i jego „powtarzaczom" chodzi po prostu o... szarżowanie, o to, że Kozietulski skoczył na te armaty, choć było to bardzo niebezpieczne, a wydawało się niemożliwe, o to, że chciał i umiał nadstawić głowę i ryzykować życie za jakąś chimerę — Polskę, niepodległość, wolność — coś, czego ani zjeść, ani wypić, ani pomacać nie można.

A wobec tego na potępienie Somosierry trudno nam się zgodzić. I nie zarzekajmy się wychowywania przyszłych pokoleń „w duchu". Bo nie zależy nam na tym, by wychować dla przyszłości ludzi niezdolnych do działania w imię innego celu, jak tylko własne, osobiste dobro, zadowolenie, bezpieczeństwo czy zaspokojenie, ludzi żyjących tylko dla siebie, w myśl hasła: „Nie ma dla mnie nic cenniejszego niż ja sam". Wprost przeciwnie, chcemy mieć ludzi zdolnych nadstawiać głowy za „chimery" szlachetnych ideałów, zdolnych zaryzykować siebie w imię wyższego, społecznego, narodowego czy ogólnoludzkiego celu. Dlatego nie ośmieszajmy czynu szwoleżerów, którzy choć mylili się w ocenie Napoleona, to nie mylili się przecież w jednym — i najważniejszym. Oni wiedzieli, że człowiek

winien jest coś nie tylko sobie, ale i innym — społeczeństwu, narodowi. Poczucie tego obowiązku, wyższego nad osobiste życie, pchnęło ich na pierwszą baterię i pozwoliło dojechać do ostatniej.

Grzech czwarty: Z lancami na czołgi

Nasz grzech czwarty, również tradycyjnie kawaleryjski — to szarżowanie z lancami na czołgi we wrześniu 1939 roku. Ciężki to grzech i czyn naprawdę wielce nierozsądny. Trzy lata szukałem, kto i gdzie go popełnił — i nie znajduję. Wszyscy o tym mówią, wielu o tym pisze, ale każdy zasłania się sąsiadem: „to nie ja, to kolega". Jednakże właściwych winowajców odkryłem. Tylko że ci szarżowali wyłącznie na papierze. Ale za to — jak pięknie! Na przykład pewien uroczy skądinąd pan „od muzyki" z łezką wspomina „swój" pułk (w którym zresztą nie odbył kampanii...):

„Ten 11 pułk ułanów przestał istnieć w sposób symboliczny. Gestem tyle bohaterskim, ile daremnym zamknął historię broni, która kultywowała zgubną cechę narodowego charakteru — męstwo nie oparte na rozwadze.

Skoro we wrześniu 1939 roku zasygnalizowano na jednym z odcinków frontu atak czołgów niemieckich 11 pułk runął na czołgi szarżą. Z imieniem Boga i Ojczyzny na ustach kawalerzyści mknęli cwałem, ufni w tragiczne polskie hasło, że duch zwycięży materię. Posępne czołgi nie śpieszyły się z reakcją. Dopiero gdy ludzie i konie znaleźli się w najstosowniejszej odległości, z całej ukrytej wewnątrz czołgów broni maszynowej jednocześnie bluznęły długie serie ognia.

Z tej swojej ostatniej szarży 11 pułk ułanów nie powrócił" [33].

Ach, jak wzniośle! I tak się zresztą zrodził ten mit: wzniośle i poetycko.

Pierwsi bowiem zaczęli poeci, jeszcze w czasie wojny. „Przypomnij, jak to na tanki szli nasi śmiało na koniach..." — pisał Wiktor Budzyński w niezwykle w czasie okupacji popularnym wierszu „Lotnikom". Poetom wolno. Wolno nawet tak: „Przypomnij czołgi niemieckie prute od góry bagnetem..." Dlaczego od góry, a nie od dołu — tego nikt nie zgadnie. Cóż, taka sobie wzruszająca poetycka przenośnia. Tylko biada naszemu rozumowi, jeśli zaczniemy brać ją dosłownie.

Drudzy byli Niemcy. Tych też rozumiem. Na wojnie jak na wojnie. Nieraz mieli stracha i każdy ruch naszej kawalerii, nawet odwrotowy, brali za szarżę. Gdy strach minął, nie omieszkali podkreślić fanatycznej odwagi i — oczywiście — głupoty polskich kawalerzystów. Dlaczego? Militaryści niemieccy są doświadczeni, wiedzą, że warto rycersko uznać bohaterstwo i zaciekłość przeciwnika. Wszak walory pokonanego wroga powiększają rozmiar własnego sukcesu. Zarazem nie mogą przestać być sobą — pogardzają tępymi, nierozgarniętymi Polakami i nie ominą okazji, by ich poniżyć. W czym zaś lepiej niż w szarży na czołgi wyrazić się może zarówno patologiczna wprost wściekłość bojowa, jak i kompletne skretynienie polskich untermenschów?

Trzecie miejsce wśród głosicieli mitów zajęli publicyści. W obrazie rozpaczliwego ataku bezbronnych i nagich na opancerzone kolosy (przypominającym w czymś fresk Picassa „Wojna i Pokój") znaleźli dobitny symbol, ucieleśniający dysproporcje sił między Niemcami a Polską, tragiczny skrót myślowy wrześniowej klęski. Metafora — rzecz w poezji niezbędna, ale w publicystyce politycznej dość niebezpieczna.

Wkrótce też do chóru włączyli się literaci i artyści,

a więc ci, którzy rzeczywiście najbardziej utrwalają w świadomości społecznej obraz przeszłości. Rzecz przy tym znamienna, że w miarę upływu czasu, im dalej od wojny, tym tych szarż na kartach książek i pism przybywa. W pisarstwie lat wojennych i powojennych, powstającym na gorąco, ze świeżej pamięci nie uświadczy takiej szarży i ze świecą. A dziś — są. Gdy tuż po wojnie Wojciech Żukrowski, uczestnik kampanii wrześniowej, pisał swoją „Lotną", kazał ułanom szarżować na ledwie rozbudzony niemiecki biwak czy nawet jakieś tabory. Gdy po piętnastu latach przerabiał „Lotną" na scenariusz filmowy, śpiący biwak zmienił się raptem w kolumnę zmotoryzowanej artylerii w marszu i w... nacierające czołgi — i to jakie! Takie ogromne, jakich, jako żywo, ludzkie oko nie oglądało nie tylko we wrześniu, ale i całej drugiej wojnie światowej. (Ale to już zasługa reżysera, Andrzeja Wajdy, podobnie jak to żałosne rąbanie szabl w lufę czołgowego działa.) W takim też ostatecznym kształcie: jako najzupełniej realistyczny, a właściwie naturalistyczny obraz — stanął przed nami po dwudziestu latach poetycki niegdyś mit o ułanach i czołgach.

Jedna pani nawet napisała, że pewien generał jej wytłumaczył, że szarżowanie na czołgi było bardzo słuszne, gdyż konie są zwrotniejsze od czołgów i mogły między nimi zgrabnie manewrować... Jeden pan zaś pisał w „Przekroju", że wprawdzie pod Krojantam w szarży na czołgi poległo 600 ułanów, ale za to pod Mokrą „desperackie szarże kawalerzystów zniszczyły 20 czołgów" [34], a inny pan przez radio, a także w tymże samym „Przekroju", rozgłosił z dumą na cały świat i pół Ameryki, że wspomniana szarża pod Krojantam „była nie tylko pierwszą, ale jedyną (znaną mu) zwycięską szarżą ułanów na niemieckie czołgi" [35].

Gorzej jest z domniemanymi uczestnikami domniemanych szarż na czołgi. Choć nawet byłym ułanom zamącono w głowach do tego stopnia, iż niektórzy myślą dzisiaj, że owo szarżowanie byłoby słuszne, bohaterskie i dobrze o nich świadczące, to przyznać trzeba, że żaden po laury takiej szarży nie sięga i do czegoś podobnego się nie przyznaje.

Dzieje 11 pułku ułanów w kampanii wrześniowej są dość skomplikowane i opis ich zająć by musiał zbyt wiele miejsca. Ograniczmy się więc do stwierdzenia, że istotnie pułk ten miał do czynienia i z niemieckimi czołgami, i z szarżowaniem. Np. pod Ciechanowem haniebnie przepuścił na tyły polskie niemiecką kompanię zmotoryzowaną, w Głęboczycach zaatakowany znienacka rozprysnął się szwadronami po okolicy, pod Kałuszynem jeden z jego szwadronów szarżował... domki przedmieścia, inne biły się istotnie z czołgami, ale... w szyku pieszym. Ostatecznie pułk rozbity i rozdzielony na drobne części rozgubił się i „zanikł", podobnie jak wiele innych jednostek we wrześniu. Do żadnej śmiertelnej i ceremonialnej szarży „z imieniem Boga i Ojczyzny na ustach" oczywiście nie chodził...

Bitwa Wołyńskiej Brygady Kawalerii pułkownika Filipowicza z 4 dywizją pancerną pod Mokrą dnia 1 września 1939 roku jest dość szczegółowo opisana i wiadomo, że nikt tam na nic nie szarżował, tylko były w robocie wszystkie działa, działka ppanc., karabiny ppanc. całej brygady, a także tankietki i dwa pułki pancerne. Zostawmy ją więc w spokoju. Zajmijmy się Krojantami, o których rozprzestrzeniły się już najdziksze legendy.

Jak to było pod Krojantami *

W korytarzu pomorskim na kierunku Chojnice—Czersk bronił się oddział wydzielony „Chojnice" pułkownika Majewskiego, wchodzący w skład grupy operacyjnej „Czersk" generała Grzmot-Skotnickiego (armia „Pomorze" gen. Bortnowskiego). Oddział wydzielony „Chojnice" dwoma baonami piechoty (Obrony Narodowej „Czersk" i pierwszego strzelców) utrzymywał przy samej granicy pozycję między Jeziorem Charzykowskim a Chojnicami wraz z samym miastem a swe lewe skrzydło w rejonie Moszczenica—Angowice osłaniał 18 pułkiem ułanów. Stawiwszy opór na tej linii oddział miał wycofać się około 20 kilometrów na wschód, na linię rzeki Brda pod miejscowością Rytel.

O świcie 1 września 1939 roku na kierunek Chojnice — Czersk uderzyła niemiecka 20 dywizja piechoty zmotoryzowanej gen. Wiktorina, działająca na lewym północnym skrzydle 19 korpusu pancernego gen. Guderiana. Atak na Chojnice został odparty, lecz Niemcy uzyskali powodzenie na północ, a zwłaszcza na południe od miasta, na odcinku 18 p. uł. Ten po zaciekłej obronie o godzinie 9 rano opuścił Moszczenicę i Angowice i „odskoczył" o 3 kilometry, do rejonu miejsc

* Opis poniższy opieram na relacji zastępcy dowódcy 18 p. uł. mj St. Maleckiego (spisanej przy współudziale grupy oficerów 18 p. uł. „Bellona" nr 3, Londyn 1954), danych zawartych w II części I tom pracy „Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej" (Londyn 195 gdzie wykorzystano relację dowódcy Pomorskiej BK płk. Zakrzewskiego i oficera operacyjnego brygady, kpt. Rękosiewicza, „Wspomnień" płk. A. Zakrzewskiego (Warszawa 1958), w których obszern cytowane są relacje adiutanta 18 p. uł. rtm. Godlewskiego i dowódcy bateril 11 dak., przydzielonej do 18 p. uł., kpt. Pasturczaka, oraz wyjaśnieniach ustnych udzielonych mi przez rtm. Godlewskiego. Krytyczne zestawienie przytoczonych relacji i analiza zawartych w nich faktów pozwalają stwierdzić, że przebieg wydarzeń nosi nieco inny charakter, niż zamierzaliby mu nadać niektórzy relanci (m. in. mjr Malecki), a zwłaszcza trudno mówić o pomyślnym, zgodnym z zamierzeniami przebiegu akcji 18 p. uł.

wości Lichnowy, odsłaniając lewe skrzydło piechoty broniącej Chojnic.

Wkrótce ułani pod bardzo silnym naciskiem Niemców wykonali jeszcze dwa „odskoki", aż w godzinach popołudniowych znaleźli się w rejonie miejscowości Sternowo, około 10 km od Chojnic. Naturalne drogi odwrotu dla wciąż jeszcze uporczywie broniącej miasteczka piechoty — biegnąca wprost na wschód od Rytla szosa i linia kolejowa — zostały odsłonięte na przeszło 10-kilometrowym odcinku i w każdej chwili mogły być przecięte przez nieprzyjaciela, zwłaszcza że ten przed frontem 18 p. uł. ulokował się już we wsi Nowa Cerkiew, dwa kilometry od szosy. Zachodziła obawa, że Niemcy osiągną Brdę pod Rytlem, zanim uda się obsadzić ją piechotą, którą trzeba było dopiero wyprowadzić z Chojnic.

W tej sytuacji gen. Skotnicki zarządził odwrót z Chojnic nie wprost na Rytel, lecz łukiem na północny wschód (prawdopodobnie przez Krojanty) na Mylof nad Brdą. Dowódcy 18 p. uł. pułkownikowi Mastalerzowi przesłał około godz. 15 rozkaz wykonania kontrataku, by przyhamować nieco tempo posuwania się Niemców, zapobiec odcięciu cofającej się piechoty i umożliwić jej osiągnięcie nowych pozycji nad Brdą.

Płk Mastalerz nie znalazł możliwości wykonania zadania przez kontratak wyczerpanych walką oddziałów pułku z obecnie zajmowanych pozycji na nieustannie atakujące przeważające siły niemieckie. Wyniki rozpoznania, jakie przeprowadził właśnie na północny zachód — za swoje prawe skrzydło — pozwalały przypuszczać, że możliwe byłoby obejście i wyminięcie lewego skrzydła niemieckiej kolumny, od rana atakującej ułanów. Mastalerz więc postanowił rozdzielić pułk: jednym szwadronem z cekaemami bronić zajmowanego rejonu Sternowo, jeden szwadron przesunąć

o 3 kilometry na północ,w rejon miejscowości Jeziorki, osłonić tam szosę oraz cały swój manewr od Niemców obsadzających Nową Cerkiew.

Gros sił pułku: dwa pełne szwadrony (pierwszy i drugi) i po jednym plutonie z pozostałych (razem 8 plutonów, około 200—250 szabel, czyli dwie trzecie sił konnych pułku) postanowił przeprowadzić szerokim łukiem wokół domniemanego skrzydła Niemców — ze Sternowa cztery kilometry na północ do rejonu Kruszki, dalej trzy kilometry na zachód do Krojant, dalej sześć kilometrów na południe do Pawłowa, gdzie spodziewał się znaleźć na tyłach niemieckiej kolumny atakującej Sternowo, i tu punktualnie o godzinie 19.00 zaszarżować znienacka na wroga. Pozostałe na pozycjach szwadrony wraz z przydzielonymi przez gen. Skotnickiego kompanią tankietek i kompanią kolarzy miały równocześnie uderzyć z frontu.

Plan Mastalerza został zakwestionowany przez oficerów. Jednemu z nich pułkownik miał jakoby odburknąć: „Za młody jest pan, młodzieńcze, żeby mnie uczyć, jak się wykonuje niewykonalne rozkazy". Drugi — oficer sztabu GO, por. Cydzik — zameldował telefonicznie gen. Skotnickiemu o zamierzonej akcji i ten polecił ją wstrzymać. Grupa konna jednak już odmaszerowała.

Dziś, po spokojnym rozważeniu sprawy z mapą w ręku, można założyć, iż plan Mastalerza był jedynym słusznym wyjściem z sytuacji. Kontratak czołowy tymi samymi siłami, które Niemcy od rana spychali z granicy, nie miał najmniejszych szans powodzenia. Pojawienie się natomiast ułanów pod Pawłowem, 2—3 kilometry za Niemcami nacierającymi od Nowej Cerkwi, i koncentryczny atak z trzech stron na nieprzyjacielską kolumnę mógł dać pomyślny wynik. Oczywiście, gdyby sytuacja była istotnie taka, jak ją sobie przedstawił

Mastalerz, gdyby wszystko działo się według planu, słowem: gdyby rzecz miała miejsce na ćwiczeniach albo na grze wojennej, a nie na prawdziwej wojnie.

W rzeczywistości bowiem Niemcy rozpoczęli bardzo silny atak poprzedzony druzgocącym przygotowaniem artyleryjskim na szwadrony pozostawione w obronie, zadali ułanom bardzo ciężkie straty i zepchnęli ich w głąb lasu w kierunku Brdy. Obiecani kolarze gdzieś się zawieruszyli i nie przyjechali. Tankietki ostrzelały Nową Cerkiew, ale nie mogły przebrnąć przez jakiś rów i do ataku nie poszły. Jakaś inna niemiecka kolumna, nie pozostająca w styczności z ułanami, przecięła już szosę i linię kolejową i obsadziła Krojanty, przegradzając Mastalerzowi drogę. A grupa konna 18 p. uł. jechała sobie spokojnie przez lasy, przez nikogo nie zauważona, nikogo nie napotykając i niczego się nie spodziewając. Zresztą również i Niemcy niczego się nie spodziewali. I oto w połowie zamierzonej przez płk. Mastalerza drogi, przed Krojantami, doszło do obustronnie nieoczekiwanego spotkania:

„Z lizjery lasu w odległości około 300—400 metrów ukazał się oczom oddział piechoty nieprzyjaciela w sile około baonu w luźnym ugrupowaniu. Wydaje się, że oddział ten nie miał żadnego ubezpieczenia ani też obserwacji skrzydeł i tyłów" [36].

Polacy mieli tę przewagę, że z góry nastawieni byli na szarżę.

„Pod ochroną lasu uszykowały się szwadrony w dwa rzuty szwadronowe w odległości 200 metrów i sformowały szyki linii plutonów rozwiniętych, w kolejności: pierwszy szwadron, drugi szwadron. W chwilę później dała się słyszeć kanonada na odcinku pułku. Na dalszym przedpolu na skrzydle ukazał się dowódca pułku ze swoim pocztem w szyku konnym. Szwadrony ruszyły do szarży zaskakując całkowicie nieprzyjaciela. Na-

padnięcie piechoty nieprzyjaciela nie kosztowało dużo strat. W szeregach Niemców powstał duży popłoch i rozproszenie oddziału w terenie.

Nieoczekiwanie dla nas na skrzydle szwadronu wyjechały z ukrycia czołgi nieprzyjaciela, niosąc huraganowy wprost ogień broni maszynowej. Natychmiastowy odskok szwadronów w bok za pobliski grzbiet terenowy, zalesiony, dobry punkt przeciwpancerny — nie obronił przed skutkami tej broni, przed wielkimi stratami" [37].

Według rotmistrza Godlewskiego, który znajdował się wraz z dowódcą pułku na lewym skrzydle szarżujących szwadronów, bliżej niemieckich wozów pancernych * — stały one w miejscu, w zaroślach, i prowadziły huraganowy ogień, w pierwszym rzędzie zresztą na najbliższy sobie poczet dowódcy pułku.

Resztki 18 p. uł. zebrały się i uporządkowały nocą z 1 na 2 września w Rytlu.

A więc, jak z tego widać, na czołgi nikt nie szarżował i nie miał nawet takiego zamiaru. Wprost przeciwnie: gdy tylko ukazały się wozy pancerne, ułani zrobili jedyną rzecz możliwą i słuszną — odskoczyli w las.

Jakie były straty, a jakie wyniki szarży?

Strat polskich ustalić dokładnie nie sposób. 2 września w Rytlu oceniono straty za cały dzień 1 września

* Osobiście nie jestem przekonany, czy ułani 18 p. uł. mieli tu rzeczywiście do czynienia z niemieckimi czołgami. Większość relacji polskich ze wszystkich odcinków frontu całej kampanii wrześniowej wspomina o atakach niemieckich czołgów nawet tam, gdzie z całą pewnością daje się ustalić, że Niemcy czołgami nie dysponowali. Wydaje się, że za czołgi brano często samochody pancerne, które były na wyposażeniu oddziałów rozpoznawczych wszystkich niemieckich dywizji piechoty. W wypadku Krojant stwierdzić należy, że niemiecka 20 dywizja piechoty zmotoryzowanej czołgów organicznych nie posiadała. Wątpliwe, czy Guderian, gorący zwolennik masowych uderzeń pancernych, rozdrabniał czołgi swej 3 dywizji pancernej, przydzielając je piechocie. W gorączce boju i wobec obustronnego zaskoczenia stojące w krzakach samochody pancerne łatwo było przyjąć za czołgi.

na 60% stanu pułku *. Szereg danych pośrednich pozwala sądzić, że szczególnie dotkliwe straty poniosły jednak te pododdziały, które nie brały udziału w szarży, lecz pozostawały w obronie i tam zostały rozgniecione przez Niemców. Tak np. 4 szwadron stracił 80% stanu, szwadron ckm — 7 ckm z posiadanych 12, pluton ppanc. — 2 działka z 4 posiadanych. Co do samej szarży, to red. Kuta na podstawie rozmów z mieszkańcami wsi Krojanty, którzy byli obecni przy grzebaniu poległych, i oględzin cmentarzy w Krojantach i Chojnicach ustala liczbę poległych na około 25, w tym 4 oficerów **.

Stanowiło to około 10% szarżujących i wydaje mi się jednak liczbą zbyt wysoką. Skoszony został co prawda kilkuosobowy poczet dowódcy pułku, który dostał ów huraganowy ogień z bliska. Z czterech znajdujących się tu oficerów zginęło dwóch — płk Mastalerz i jego adiutant, ppor. Mlicki; ciężko ranny został jeden (por. Unrug). Pod jednym zabito konia (rtm. Godlewski). Natomiast w szwadronach szarżujących z prawa, dalej od niemieckich wozów pancernych, straty nie mogły być wielkie — z jedenastu znajdujących się tu oficerów zginął jeden (rtm. Świeściak); ranny nie był nikt.

Tak więc, choć przyznać trzeba, że pułk został w ciągu jednego dnia „zużyty" — jak się mówi — w walkach, to jednak udział szarży jest w tym niewielki.

Wyniki szarży po stronie polskiej były jednak opła-

---

* Pamiętać trzeba, że tylko część z tego stanowią straty krwawe — zabici i ranni. Znaczną część, jak zwykle we wrześniu, stanowią tu po prostu zagubieni — żołnierze, którzy np. utracili konie lub zabłąkali się w czasie skomplikowanych i wykonywanych na dużym obszarze manewrów pułku i bądź dołączyli do innych oddziałów, bądź „rozpłynęli się" w terenie.

** Trzech oficerów pochowanych w Krojantach to niewątpliwie ułani. Czwartym najprawdopodobniej był oficer straży granicznej, który z szarżą nie miał nic wspólnego.

kane, głównie w dziedzinie moralnej *. Nadszarpnęła ona w dużej mierze ducha bojowego ułanów. Nazajutrz czuł się zmuszony do interwencji sam dowódca grupy operacyjnej, gen. Skotnicki. Odznaczył on krzyżem Virtuti Militari sztandar pułku i długo tłumaczył ułanom, że szarża była potrzebna, skuteczna, piękna i bohaterska. Jednakże paniczna wieść o „rzezi", o śmierci dowódcy pułku i „wszystkich pozostałych" rozprzestrzeniła się w całej GO „Czersk" i dziś jeszcze odnajdujemy ją w relacjach uczestników walk.

Jeszcze bardziej zadziwiające są skutki szarży po stronie niemieckiej.

Bezpośrednie skutki, jak wiemy, nie były wielkie. Niemcy i tak bardzo szybko wyparli grupę osłonową za Brdę. (Przyznać jednak trzeba, iż wątpliwe jest, czy bez szarży, która zdezorganizowała piechotę nieprzyjacielską pod Krojantami, wycofanie polskiej piechoty z Chojnic byłoby w ogóle możliwe).

Natomiast znaczne były pośrednie, moralne skutki szarży, i to w całym 19 korpusie pancernym Guderiana. Pamiętając, że 1 września korpus ten nie miał do czynienia z żadną inną polską kawalerią (krakusi z 9 DP pod Kamieniem rozpierzchli się nie stawiając oporu), sięgnijmy do znanych pamiętników tego niemieckiego generała.

Szarża 18 p. uł. miała miejsce, jak wiemy, 1 września

* Tu zresztą kryje się źródło legendy. Mianowicie pewien znany później polski korespondent spotkał w Rumunii jakiegoś łazika czy zbiega z GO „Czersk" i na podstawie jego opowiadania napisał pierwszy, jakże wstrząsający, opis „szarży pod Rytlem", wielokrotnie później przedrukowywany w obozach polskich w Rumunii, aż po rocznicowe numery gazet w kraju na 20 rocznicę Września ". Publicysta ów zapomniał, iż okrzyk: „Wszystko stracone, wszyscy polegli, ja tylko jeden ocalałem cudem", może służyć jako hasło rozpoznawcze łazików i zbiegów wszystkich czasów. Z tym okrzykiem wpadli do Wilna litewscy taboryci, zbiegowie spod Grunwaldu. Tym okrzykiem budzili Kraków dezerterzy spod Racławic. Ci ostatni zresztą na własne oczy widzieli, jak poległ Kościuszko...

około godz. 19.00. Wieczorem tegoż dnia Guderian, stwierdziwszy ogromne sukcesy swego korpusu, którego prawe skrzydło (właśnie 3 DPanc.) wdarło się już 50 kilometrów w głąb terytorium Polski, wraca do sztabu mieszczącego się w Czcianach, w głębi terytorium Niemiec: „...Nagle bezpośrednio przed Czcianami usłyszałem wołające mnie głosy i zastałem ludzi z mego sztabu w hełmach bojowych w trakcie ustawiania działka przeciwpancernego na stanowisku ogniowym. Na moje pytanie, co ich do tego skłoniło, otrzymałem odpowiedź, że w każdej chwili pojawić się może polska kawaleria, która rozpoczęła natarcie" [39].

Już dawno ułani liczyli w Rytlu swoich poległych, cała GO „Czersk" i 9 DP znajdowały się w szybkim odwrocie, a do sztabu 19 korpusu pancernego wciąż napływały trwożne wieści.

„2 zmotoryzowana dywizja piechoty — pisze Guderian — zameldowała po północy, że naciskana przez polską kawalerię zmuszona jest cofnąć się" [40]. Dywizji tej nie atakowała ani w nocy, ani przedtem żadna polska kawaleria. Najprawdopodobniej doszły tu tylko wieści od jej lewego sąsiada — 20 dywizji piechoty zmotoryzowanej — spod Chojnic i Krojant.

„W pierwszej chwili po prostu oniemiałem — wspomina Guderian — potem jednak wziąłem się w ręce i zapytałem dowódcę dywizji, czy słyszał kiedykolwiek o tym, aby pomorscy grenadierzy uciekali przed nieprzyjacielską kawalerią. Odpowiedział przecząco i zapewnił mnie, że utrzyma swe pozycje" [41]. Utrzymać — rzeczywiście utrzymał, bo go nikt nie atakował, ale sam nacierać nie był w stanie.

Jeszcze rano 2 września Guderian osobiście stwierdził w 2 DPZmot., że „sztab dywizji jest w dalszym ciągu do pewnego stopnia bezradny" i dopiero po szeregu osobistych nader energicznych interwencji ten

dowódca korpusu pancernego nacierający na kilka zaledwie rozproszonych polskich batalionów mógł zapisać w swoich pamiętnikach: „Panika pierwszego dnia wojny była przezwyciężona" [42].

Tak więc nieudana w gruncie rzeczy szarża dwóch szwadronów wywarła paraliżujący wpływ na całe lewe skrzydło nieprzyjacielskiego korpusu. Zaiste, dziwne się rzeczy dzieją na wojnie!

Kończąc przydługi, choć niezbędny ze względu na nieopracowanie tematu opis szarży pod Krojantami i jej skutków — wypadnie jeszcze podkreślić, jak bardzo różna jest fama, od pierwszej chwili otaczająca to wydarzenie, od rzeczywistego jego obrazu. Ani to bowiem „zwycięska szarża na czołgi", ani rzeź. Ani Termopile, ani Somosierra. Ot, zwykły wypadek wojenny: dość rozsądne zamierzenie, z którego nic nie wyszło, starcie, w którym obie strony uznały się za pobite, choć jedna nie wiedząc nawet o tym coś niecoś zyskała. I w końcu wszystko się obróciło inaczej na skutek wydarzeń rozgrywających się gdzie indziej i kiedy indziej... * Jak to zwykle bywa na wojnie i jak to najczęściej we Wrześniu bywało.

Prócz opisanych powyżej Krojant żadnego realnego śladu spotkania naszej kawalerii w szyku konnym z niemieckimi czołgami nie znalazłem. Moim zdaniem nigdy we Wrześniu na czołgi nie szarżowano — z trzech co najmniej powodów.

1. Niemcy na ogół nie byli skłonni czekać, aż ich zaatakują — atakowali sami bardzo energicznie, zwłaszcza ich jednostki pancerne.

2. Nasza kawaleria nie była skłonna czekać na niemieckie czołgi w szyku konnym. Albo „manewrowała" w tył lub w bok, jak pod Krojantami, albo spieszała się,

* Ściślej — w pasie natarcia niemieckiej 3 DPanc., która nocą z 1 na 2 września przecięła cały „korytarz pomorski" u jego podstawy.

zakopywała w ziemię i wystawiała działka ppanc., jak pod Mokrą, albo wręcz rozbiegała się po lesie, jak „krakusi" z 9 DP czy wspomniany 11 p. uł. zaskoczony nocą w czasie przemarszu przez Głęboczyce.

3. Najgłupszy nawet dowódca szwadronu nie zarządziłby szarży na czołgi. Młody oficer armii wrześniowej był w swoim zakresie dobrze wyszkolony (co dziś wszyscy przyznają), wiedział, że przeciwko czołgom ma szukać terenu przeciwpancernego, wykorzystywać działka przeciwpancerne, karabiny przeciwpancerne i granaty, w najgorszym wypadku przepuszczać czołgi na tyły i odcinać od nich towarzyszącą im piechotę. Wiedział, że szarżować może tylko niespodziewanie, na nieprzyjaciela zdezorganizowanego, np. w odwrocie, lub niegotowego do walki, na tabory, biwaki itp.

Ponadto uważam, że szarża na czołgi jest psychologicznie niemożliwa, jak psychologicznie niemożliwy jest atak na bagnety bez bagnetu. Żołnierz idący do ataku musi wiedzieć, co zrobi, gdy dopadnie wroga. I choć nigdy prawie do starcia wręcz nie dochodzi (strona psychicznie słabsza załamuje się i cofa), wyruszając do ataku żołnierz musi c o ś w ręku mieć. Co miał ułan przeciw czołgom? Lancę? Szablę? Na nie liczyć nie mógł i o tym wiedział. Teorię wiary w tekturowe czołgi zostawmy tym, którzy ją wymyślili. Żołnierz nie mógł nie doceniać czołgu. Wprost przeciwnie. Jak wiadomo z setek przykładów, żołnierze wszystkich armii pobitych przez Niemców w pierwszej fazie wojny czołgów się raczej bali, nawet bardziej niż na to zasługiwały. Żołnierz polski nie był i nie mógł być wyjątkiem.

Metaforyka Września

Tym problemem trzeba się zająć oddzielnie. Niewątpliwie w poezji i publicystyce zestawienie ułańskiej lancy i pancernego wozu stosowane jest nieraz świadomie jako symbol Września, metafora naszej słabości, zacofania technicznego i wojskowego. Moim zdaniem metafora ta jest niecelna i myląca. Dowodem fakt, iż zbyt wielu rozsądnych ludzi rozumie ją dosłownie i do przenośni stara się dorobić konkretny i realny obraz, a ten, jak należało się spodziewać, okazuje się idiotyczny. Patrz — nieśmiertelna „Lotna".

Jeśli ta główna metafora Września sugeruje nie tragedię (którą był Wrzesień), lecz bzdurę (którą Wrzesień nie był) — to jest zła, nie tylko nieskuteczna, ale też szkodliwa, i musi być zaniechana.

Przerażenie ogarnia na myśl, jak zareaguje np. na sceny z „Lotnej" widownia światowa. Dziś na pełnym grozy filmie dokumentalnym „Mein Kampf", gdzie nieświadomy rzeczy realizator sprytnie zmontował tuż po sobie obrazy z hitlerowskiej propagandówki, „ćwiczenia wojsk pancernych", oraz kawałki polskiej kroniki filmowej przedstawiającej „polską szarżę", widownia paryska — w tym jednym momencie — ryczała ze śmiechu! [43]

Przerażenie ogarnia na myśl, jak to pięknie reprezentuje się na zewnątrz polski rozsądek i polskie poczucie odpowiedzialności — i tym obrazem, i takimi np. rozmówkami „naszych za granicą". Oto dziennikarz polski rozmawia z b. żołnierzem mongolskim, uczestnikiem walk nad Chałchyn-Golem:

„— Czy zdarzyło się wam szarżować na czołgi? — zapytałem przypominając nasz Wrzesień. Dandar nie zrozumiał w pierwszej chwili pytania. Opowiedziałem mu o szarży naszych ułanów. Wydawało mi się, że w dalszym ciągu nie bardzo rozumie, w czym rzecz.

— Po co? Mieliśmy przecież dość własnych czołgów — powiedział — swoich i radzieckich.

Pomyślałem: szczęśliwy, że nie rozumie" [44].

Ja też nie rozumiem. Bo po co robić z siebie wariata? A ponadto — czy wolno robić wariata z innych, ze swego narodu w istocie rzeczy?

A w ogóle warto przypomnieć, że we Wrześniu — wbrew legendzie — i ułanów było mało, i samego ułaństwa nie uświadczysz. Cóż znaczy te 38 pułków konnych po 4 szwadrony — jakieś 15—16 tysięcy szabel * — w przeszło milionowej armii polskiej, która walczyła we Wrześniu? I gdzie w obrazie Września to ułaństwo?

Twardy opór pod Borową Górą i na Węgierskiej Górce, wytrwała obrona Warszawy, Gdynia i Kępa Oksywska, gdzie po 19 dniach wyczerpał się opór, a kapitulacji nie było... „Te pułki pieszo cofające się od granicy śląskiej przez całą szerokość ówczesnej ojczyzny i zdolne do boju jeszcze w lasach pod Tomaszowem Lubelskim i Szczebrzeszynem. Dowódca dywizji lagą na moście popędzający kolumnę. Dowódca armii na bryczce wśród płonącej i bombardowanej puszczy szukający drogi do stolicy jeszcze z myślą, jakie by tu zgromadzić odwody..." [45]. Nie kończący się rytm: w dzień bój, nocą marsz. W dzień bój, nocą marsz, marsz, bój, marsz... i kończąca się mapa. I kończąca się wraz z nią — ziemia ojczysta. To jest Wrzesień. A cóż szarże?

Jeśli chodzi o obraz-metaforę Września, to jakoś bardziej mi odpowiada scena z powieści Putramenta — obraz plutonu Markiewicza, uparcie strzelającego z karabinków do nacierających hitlerowskich czołgów i roz-

---

* Liczę tylko szwadrony liniowe, stanowiące o istocie różnicy między kawalerią a piechotą. Broń maszynowa, drobne pododdziały wsparcia itp. — zarówno w kawalerii, jak i w piechocie — we wszystkich armiach ówczesnego świata miały trakcję konną.

jechanego przez nie. Obraz tych dziesięciu ludzi, którzy nie polegli i nie uciekli, zbierających się po przejściu wroga na świeżym, zrytym gąsienicami śladzie z niemym pytaniem w oczach: co się stało? Przecież zrobiliśmy wszystko, co do nas należało. Nie uciekliśmy. Strzelaliśmy. Rzucaliśmy granaty. I nic to nie pomogło. Co teraz?

We Wrześniu bili się nie zbiegowie z domu wariatów, nie szaleńcy, ale milion ludzi, którzy chcieli bronić ojczyzny i wierzyli, że ją obronią.

Mylili się, mogli zademonstrować tylko swoją wolę walki — i wolności. Nie wiedzieli, że ich oporu starczy zaledwie na to, by „pokojowy" najeźdźczy pochód hitlerowców po Europie zmienić w wojnę. W wojnę, która — pamiętajmy — mocą swych wewnętrznych nieubłaganych praw musiała się przekształcić w powszechną światową wojnę o ludowej treści, wojnę, w której najeźdźca znalazł klęskę, a sprawiedliwość w ostatecznym rachunku zatriumfowała.

Nie wiedzieli, że ich wysiłku starczy tylko „na początek", że zwycięstwo nadejdzie nieprędko, jakże boleśnie nieprędko...

Nie wiedzieli. Lecz czy to ich wina?

Czy oni ponoszą odpowiedzialność za ekonomiczny zastój, za techniczne zacofanie Polski kapitalistyczno-obszarniczej, za politykę sanacyjnego rządu, za słabość wojska? Za własną biedę, nieszczęście? Czy oni swym rozpaczliwym i bohaterskim oporem chcieli osłonić tamto wszystko? Nie. Chcieli osłonić siebie i swe rodziny, swój naród, swoją ojczyznę.

Temu milionowi nie chodziło też o zabłyśnięcie odwagą czy barwną a próżną demonstracją niepodległościową ku moralnemu pożytkowi przyszłych pokoleń. Chodziło naprawdę o tak drogą, niedawno odzyskaną niepodległość. O Kraj.

STRACEŃCY, CZYLI GRZECHY PIROTECHNICZNE

Stare i mądre przysłowie rosyjskie powiada: „Zastaw' duraka Bogu molit'sa — łob razabjot", co się na nasze dzisiejsze wykłada: najgorsi są nadgorliwcy.

Piękne, słuszne stwierdzenie, iż Polacy wielekroć dawali dowody, że ojczyznę kochają nad życie, bez trudu sprowadzić można do absurdu. I zrobiono to. Najwspanialsze, a już na pewno najpopularniejsze dzieła naszej literatury, wsparte tysiącznymi komentarzami, wypowiedziami, opiniami i półsłówkami, od lat ugruntowują w nas obrazy, z których łatwo wyniknąć może, iż rzeczywiście nieprzezwyciężalnym pragnieniem każdego z Polaków jest... jak najprędzej umrzeć za ojczyznę.

Sienkiewicz sławił Wołodyjowskiego grzebiącego się pod ruinami Kamieńca, Mickiewicz — Ordona wysadzającego się w powietrze wraz ze swoją redutą. Gałczyński — obrońców Westerplatte: „Teraz wznosimy się wśród chmur — żołnierze z Westerplatte".

Wymienione tu sztandarowe przykłady literacko-wychowawcze świadczą dość dobitnie o druzgocącej (jakoby...) predylekcji Polaków do straceńczych postaw, uświetnionych nader burzliwymi efektami pirotechnicznymi, o narodowej pasji popełniania patriotycznych samobójstw za pomocą materiałów wybuchowych.

Cóż, wypadnie tu od razu stwierdzić, że i ta „koncepcja" historiozoficzna, ta wizja bohaterskich Polaków wznoszących się ku niebu w chmurach prochowego dymu odrywa nas nie tyle od ziemi, ile od prawdy.

Pana Wołodyjowskiego chroni autorytet Sienkiewicza, toteż małego rycerza, „Hektora kamienieckiego" nikt prócz kilku naprawdę nudnych profesorów w tym kraju nie poważy się szargać. Nie ruszymy go i my, choć — Bogiem a prawdą — dawno to było z tym Kamieńcem i wcale nie wiadomo, czy prawda.

Adam Mickiewicz co prawda też wielki autorytet, ale wiadomo, że do powstania listopadowego szczęścia nie miał. Sam go nie widział. Napisał wprawdzie o nim trzy piękne wiersze, ale cóż? Oj, miał rację Literat I z „Dziadów", gdy wołał: „I proszę, jak opiewać spółczesne wypadki; zamiast mitologii są naoczne świadki..." Nim się ich zapytamy, przypomnijmy ogólnie, o co w „Reducie" szło.

Grzech piąty: „Reduta Ordona"

Po dziesięciomiesięcznej walce powstanie listopadowe chyliło się ku upadkowi. Armia carska Paskiewicza Erywańskiego obległa Warszawę. 6 września 1831 roku rozpoczął się szturm. Paskiewicz uderzył wprost od zachodu na Wolę i Szczęśliwice.

Na zewnętrznym pierścieniu polskiej obrony znajdowały się tu cztery fortyfikacje polowe. Przy szosie wolskiej duża reduta wokół kościółka — „dzieło nr 56" — broniona przez 5 batalionów (około 1 800 bagnetów) i 12 armat generała Józefa Sowińskiego, oraz 3 małe forty, broniące podejść do tej głównej reduty; przed nią na zachód mały redan nr 57 z 200 żołnierzami załogi, a dalej broniące lewego skrzydła — redan nr 55 i mały fort nr 54, położony o około 1400 metrów na południe od reduty wolskiej w kierunku Szczęśliwic, broniony przez pół batalionu piechoty (jakieś 300 ludzi) i 6 dział z kapitanem Juliuszem Ordonem.

Wzdłuż szosy wolskiej na redan nr 57 i redutę wolską (razem pięć i pół batalionu — 2 000 żołnierzy polskich) uderzył korpus generała hrabiego Pahlena — 22 bataliony (11 470 bagnetów). Między Wolą a Szczęśliwicami na odosobniony fort 54 — redutę Ordona (nr 55 nie był obsadzony, a armaty Woli tu nie sięgały), bronioną przez pół batalionu (300 bagnetów) — uderzyło 21 batalionów korpusu generała barona Kreutza (11 400 bagnetów) [46]. Na dobrą sprawę przy stosunku nie 40:1 o walce nie mogło być mowy. I tak też było. Nim się kto zdążył obejrzeć:

...w szaniec nieprzyjaciół kupa
Już lazła jak robactwo na świeżego trupa.

...A więc reduta stracona. Lecz gdzie jest Ordon?

I tak wróciliśmy do Mickiewicza i jego „Reduty Ordona". Nasłuchawszy się w Dreźnie przy dobrym winku opowieści uczestnika powstania, Stefana Garczyńskiego, napisał Mickiewicz swe słynne „opowiadanie adiutanta", który to „adiutant" takie oto dziwy ujrzał „na własne oczy":

Widzę go znowu — widzę rękę — błyskawicę,
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę,
Biorą go — zginął — o nie, — skoczył w dół, do lochów.
„Dobrze — rzecze jenerał — nie odda im prochów".
Tu blask, — dym, — chwila cicho — i huk jak stu gromów!

. . . . . .

...wały, palisady,
Działa, i naszych garstka, i wrogów gromady:
Wszystko jako sen znikło.

. . . . . .

Tam zagrzebane tylu set ciała, imiona:
Dusze, gdzie? nie wiem, lecz wiem, gdzie dusza Ordona.
On będzie Patron szańców! — Bo dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia...

Tymczasem wkrótce po Pana-Mickiewiczowych drezdeńskich rozmowach okazało się, że ów „Patron szańców" — kapitan artylerii Juliusz Konstanty Ordon — bynajmniej nie znajduje się w niebiesiech, lecz żywy i cały cieszy się najlepszym zdrowiem. Jak większość oficerów powstania znalazł się na emigracji. I odtąd zaczęło się jego podwójne życie. Ordon fantastyczny, poetycki raz po raz wysadzał swą redutę wszędzie tam, gdzie grzmiały dumne strofy mickiewiczowskiego wiersza. Umierał na uroczystych akademiach w skupiskach uchodźców za granicą i na tajnych wieczorkach w kraju, umierał na kartkach książek i w zeszytach rozlicznych pism polskich. Ordon prawdziwy, z krwi i kości, tułał się wśród tłumu weteranów i wygnańców po całej Europie, po Niemczech, Francji, Belgii i Anglii, aż osiadł na dalekiej prowincji w Szkocji, gdzie nader skromnie i prozaicznie zarabiał na chleb, dając lekcje języków i matematyki [47]. Czy wiedział o swojej śmierci? Bez wątpienia. Co robił? Milczał.

A jakżeż wyglądała sprawa samej reduty? Co jest legendą, a co prawdą? Generał Klemens Kołaczkowski, wybitny inżynier powstania i twórca warszawskich fortyfikacji, obserwował bój na forcie nr 54 z niedalekich szańców na Czystem. Pisze on w swoim pamiętniku:

„Załoga nasza pułku 1 strzelców pieszych zamiast dać ognia w chwili, gdy nieprzyjaciel zawikłany był wilczymi dołami, nie pokazała się na ławkach ani na przedpiersiu i zdawała się jakby sparaliżowana... Ani jednego granatu ręcznego nie rzuciła załoga, ani bagnetów, ani kos nie użyła do odparcia szturmujących... W tym momencie przypadkiem dotąd niedocieczonym wyleciał w powietrze magazynik prochowy napełniony amunicją, zwycięzców i zwyciężonych bez różnicy okropnie rażąc. Przeszło 100 Rosjan poległo, między

nimi jeden pułkownik, więcej ranionych zebrano, lecz i reszta polskiej załogi przy tym wybuchu zginęła.

...Tym to sposobem, na co własnymi oczyma patrzyłem, dokonane zostało zdobycie nr 54" [48].

Tak... Bardzo, bardzo krytycznie patrzy generał Kołaczkowski na obronę reduty. Nie dziwmy się: mając o wojsku polskim bardzo chlubne mniemanie zbyt już wysokie stawiał mu wymagania. O obronie Woli, gdzie w ciągu kilku godzin zginęło 33% załogi, a drugie tyle było rannych, napisze: „1200 ludzi złożyło broń, około 600 naszych tylko zginęło, wnosić stąd można, jak słaba była obrona..." [49] Tylko 1/3! Skromnie powiedziane.

Inaczej widzieli rzecz oficerowie carscy dowodzący szturmem. Wybitny historyk rosyjski, generał lejtnant Puzyrewski, który w dziele „Wojna polsko-ruska 1831 r." (nagrodzonym przez Cesarską Akademię Nauk w 1897 roku) daje obiektywny i pełen rycerskiej szlachetności wobec przeciwnika obraz wydarzeń, tak opisuje na podstawie relacji uczestników szturmu walkę o „Redutę Ordona".

„Kolumna lewa 2 korpusu pod dowództwem Geismara uderzyła... na prawo ku fortyfikacji nr 54, przeciwko której szła kolumna 2 korpusu pod dowództwem gen. Sulimy; walka długo trwać nie mogła: półbatalion polski broniący fortu zaatakowany z frontu i z tyłu stawiając mężny opór prawie zginął w całości. Ciężko ranionego Geismara zastąpił pułkownik Liprandi. Odniesiony triumf musiał być jeszcze ciężką okupiony ofiarą: z niewiadomej przyczyny skład prochu wyleciał w powietrze, przy czym stu ludzi legło trupem" [50].

Widać, wbrew opinii Kołaczkowskiego, ktoś tam jednak się bronił, jeśli samego dywizjoniera, generała lejtnanta Geismara, ranili... Ale wróćmy do reduty. Ta rzeczywiście wyleciała w powietrze. Dlaczego? Niektóre źródła polskie podają, iż z ową „palną świecą"

rzucił się do lochów jakiś fajerwerker (ogniomistrz). Mało to prawdopodobne — wygląda po prostu na próbę ratowania mickiewiczowskiej wersji, podważonej przez fakt pozostania przy życiu Ordona. Von der Launitz, biorący udział w walce po stronie rosyjskiej, notuje, iż w piwnicy reduty toczyła się walka z oficerem polskim, który „pomimo nalegania żołnierzy poddać się nie chciał, wtedy jeden z nich strzelił do niego i skład wyleciał w powietrze" [51]. Jednakże w tym wypadku założyć wypada, że wszyscy świadkowie wydarzenia natychmiast zginęli, nie zdążywszy przekazać wiadomości nikomu. Skąd więc Launitz wie?

Mimo to wersję jego uznać należy za najprawdopodobniejszą. Po prostu na reducie toczył się bój. Strzelano. Przypadkowa kula trafiła w beczkę z prochem. To wszystko.

Reszta jest legendą. Może piękną, choć sądzę, że bardziej na uwiecznienie zasługiwałby obrońca redanu nr 57, ppor. Antoni Biegański, który mając 200 żołnierzy o dwie godziny opóźnił marsz 8 600 bagnetów gen. Pahlena na Wolę, a w końcu potrafił jeszcze zebrać resztkę swych ludzi w czworobok w załamaniu wału i bić się do upadłego...

Jednakże Sławą jest kapryśna, jej wysłannicy rzadko wieńczą rzeczywistych bohaterów, zwłaszcza gdy tymi wysłannikami są romantyczni poeci.

Gwoli ścisłości zaznaczyć należy, iż laury nadawane Pana-Mickiewiczową ręką nie cieszyły się wówczas taką powagą jak dziś. Grunt bezpośrednio po powstaniu nie był podatny na legendy. Nie wierzono w nie tak łatwo, jak wierzyły następne pokolenia. Ludzie, którzy widzieli wojnę, sami ją robili — znali ją zbyt dobrze, by bez protestu przyjąć romantyczne wizje poety. Wojnę rozumieli nader rzeczowo. Jeśli po klęsce w myślach swoich i sercach przeżywali ją raz jeszcze na

nowo, to dlatego głównie, że szukali, jak można było zwyciężyć, a nie — jak należało ładnie umrzeć.

Anegdotyczne wręcz spięcie przydarzyło się wkrótce po upadku powstania w jednym z salonów drezdeńskich. W licznym towarzystwie po wysłuchaniu opowieści o szturmie Warszawy, klęsce i odwrocie wojsk polskich za Wisłę zerwał się „rozkudłany młodzieniec" i zawołał, iż należało raczej zagrzebać się pod ruinami niż poddać stolicę. „Czy po to, byś pan, panie Mickiewicz, mógł siadłszy na ruinach opiewać pogrzebanych?" — z dobrotliwą ironią zapytał „nestor polskich rycerzy", stary generał Małachowski, weteran Racławic, Lipska i wielu innych bitew [52].

Sądzić należy, że i sam Ordon — inteligentny zawodowy oficer „uczonej broni" — podobnie jak jego koledzy, świadomi praw i potrzeb wojny „fachowcy śmierci", nie przejmował się zbytnio samobójczymi rojeniami „rozkudłanego młodzieńca", co w życiu prochu nie wąchał i trupa nie widział.

Mieszkał sobie kapitan Ordon, jak już powiedzieliśmy, w Szkocji, uczył, żył — i czekał. Jak inni stanął znowu do walki, gdy dojrzały do tego warunki, gdy ruszyła fala rewolucyjna „Wiosny Ludów". Wkrótce znalazł się na Węgrzech, gdzie bił się z Austriakami w szeregach polskiego legionu pod generałami Wysockim i Dembińskim. W wojnie krymskiej widzimy go w Burgas w obozie dywizji polskiej generała Zamoyskiego, gdzie dowodzi baterią. Czy spotkał się tam z Mickiewiczem, gdy ten odwiedzał oddziały polskie na krótko przed swą śmiercią? Kto wie...

Później Ordon przystał do rewolucjonistów włoskich, brał udział w wojnach o zjednoczenie Włoch na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Podobno zaliczał się do słynnego „Tysiąca" bojowników w czerwonych koszulach, którzy pod wodzą Garibaldiego lą-

dowali na Sycylii, by wraz z powstaniem ludowym obalić znienawidzony reżim „króla-bomby" i przyłączyć „królestwo obojga Sycylii" do jednoczących się wokół Piemontu Włoch. Faktem jest, iż zasługi Ordona musiały być niemałe, jeśli ten tułacz bez ojczyzny zaliczony został do regularnej armii włoskiej w stopniu majora. Ostatnie lata życia spędził we Florencji, gdzie skromną emeryturę dzielił z ubogimi, dziećmi i — gołębiami. Ten osiemdziesięciokilkuletni, a może nawet 90-letni wówczas starzec oddał całe życie walce o wolność Polski i Europy. To, co mu z życia zostało po latach poświęceń, było już bezsprzecznie jego prywatną własnością, nikomu, żadnej walce, żadnemu narodowi nieprzydatną. Uznał, że może odejść. I odszedł dobrowolnie, nie czekając swego czasu, popełniwszy samobójstwo w roku 1887.

Taka jest prawda. A więc tam — mgnienie, błysk „palnej świecy", a tu — 50 lat trudnego życia, wiele walk i bitew i wielokrotny wybór drogi życiowej. Nie jednorazowa, lecz wielokrotnie powtarzana decyzja poświęcenia się walce o ideał, wytrwała wiara w skuteczność ludzkiego działania, ciąg bohaterstwa i omyłek, ofiarności i wytrwałości...

Który z tych dwóch Ordonów jest bardziej ludzki, psychologicznie bliższy nam i bardziej godny podziwu?

Sądzę, że ten, który jest — prawdziwy.

„Reduta Ordona" jest pięknym wierszem. Jednakże nie z powodu legendy „Patrona szańców" i mściwego twierdzenia, iż „dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte jak dzieło tworzenia". Natomiast życie Ordona jest piękną rzeczywistością, piękną właśnie w swojej ludzkiej prawdziwości. Podziwiajmy więc „Redutę Ordona" ... ale za wzór stawiajmy Ordona prawdziwego. A nade wszystko z fantazji romantycz-

nego poety nie wyciągajmy wniosków o polskim charakterze narodowym, polskiej historii, polskim patriotycznym nierozsądku i narodowej pasji umierania.

Grzech szósty: Westerplatte

Przed wojną nikt o nim nie słyszał. Chyba ze względu na „tajemnicę wojskową". Potem stało się symbolem. 1 września przed świtem tu właśnie padł pierwszy strzał. Przez siedem dni radio, gazety, komunikaty mówiły o nim. Polskie gazety pisały: „Lwy Westerplatte". Niemieckie pisały: „Kleines Verdun". 7 września Westerplatte umilkło. Wyczerpał się wzór dodający wiary w możliwość oporu, w możliwość walki. A za nim umilkły gazety, radio, zniknął rząd i dowództwo, przestały wychodzić komunikaty. Zdawało się, że wraz z Westerplatte padła Polska, skończyło się wszystko. A jednak — to trwało jeszcze cały miesiąc, właściwie wcale się nie skończyło, kraj nie kapitulował.

Czyż mogła komuś przyjść do głowy myśl o tym, że kapitulowało Westerplatte?

16 września gdzieś w cofającej się, osaczonej ze wszech stron polskiej kolumnie szeregowiec Konstanty Gałczyński napisał:

Kiedy się wypełniły dni
i przyszło zginąć latem,
prosto do nieba czwórkami szli
żołnierze z Westerplatte.

(A lato było piękne tego roku).

Nazajutrz szeregowiec Gałczyński dostał się do niewoli. Po ziemi polskiej ciągnęły nieskładnie długie

kolumny zmiętych, poszarzałych jeńców... Jakże nie było szukać ratunku w myśli o dumnej, czarnej chmurze eksplozji, która żałobnym całunem okryła ostatnie chwile tych, co śmierć przełożyli nad hańbę i gorzkie wyrzuty współczesnych? Toteż idąc w jenieckiej kolumnie wiedział Gałczyński, że:

I ci, co dobry mają wzrok
i słuch, słyszeli pono,
jak dudnił w chmurach równy krok
Morskiego Batalionu.

Tak rodziła się legenda. Kamieniec — Reduta Ordona — Westerplatte.

A prawda? Nie mam potrzeby szukać jej w starych szpargałach. Istnieje solidne opracowanie, podsumowujące całą naszą wiedzę o Westerplatte [53]. Pójdźmy więc za wynikami badań Zbigniewa Flisowskiego.

Westerplatte nie wyleciało w powietrze. Na czarną chmurę, która istotnie przesłoniła półwysep, złożyły się dymy płonących drzew, ciężki kopeć benzyny z kolejowej cysterny wepchniętej w las na półwyspie przez Niemców, pył, kurz i dym wielokrotnie przeoranej najcięższymi pociskami i bombami ziemi. Obrońcy Westerplatte nie wyginęli. Po sześciu dniach, sześciu godzinach i 30 minutach wytrwałego oporu załoga na rozkaz dowódcy, majora Sucharskiego, złożyła broń.

A oto kilka liczb.

Załoga Polskiej Wojskowej Składnicy Tranzytowej w Gdańsku na Westerplatte liczyła w dniu 1 września 1939 roku 155 oficerów, podoficerów i szeregowych (wybranych głównie z 2 dywizji piechoty Legionów) oraz 27 pracowników cywilnych (żołnierzy rezerwy). Razem 182 ludzi. Straty w ciągu 150 godzin walki wyniosły 15 zabitych, 13 ciężko rannych i 25—40 lekko rannych i kontuzjowanych.

Zauważyć należy, że ta ostatnia liczba jest, jak się wydaje, zarówno przez uczestników walk, jak i przez Z. Flisowskiego przyjęta najzupełniej dowolnie. Dotyczy ona ludzi, którzy nie zaprzestali walki, i obejmuje, jak widać, zarówno lekko rannych, jak i draśniętych, potłuczonych, ogłuszonych itp. Sądzić należy, że w warunkach intensywnego ostrzału ciężkiej artylerii i bombardowań takie czy inne obrażenia odnieść musiał co drugi żołnierz. Tak więc istotne straty krwawe określić można w przybliżeniu na 15 zabitych + 2 razy tyle rannych (w tym połowa ciężko), a więc około 45 ludzi — 25% stanu załogi.

Jak na prawie 7 dni nader intensywnej walki jest to — śmiem twierdzić — bardzo niewiele. Doświadczenie wskazuje, że w drugiej wojnie światowej, podobnie jak i w poprzednich wojnach, straty przekraczające 50% stanu w ciągu dnia walki nie stanowiły dla małych pododdziałów czegoś wyjątkowego.

Nie było więc Westerplatte wyczynem pirotechniczno-samobójczym (wzorem Pana-Sienkiewiczowego Kamieńca), nie było też Termopilami. Nie mówię tego, by obrońcom odosobnionej placówki odebrać choćby jeden liść ze słusznie im należnego wieńca chwały. Jednakże warto zapamiętać, że pojęcie Westerplatte zawiera w istocie zupełnie inną treść niż ta, którą mu przypisują, a która jest tak łatwym żerem dla szyderców. Właściwa jego treść — to solidne przygotowanie i sumienne wykonanie prostego, żołnierskiego obowiązku walki. A że warunki uczyniły spełnienie tego obowiązku szczególnie trudnym — stało się ono bohaterstwem. Żadne wybuchowe efekty ani pogrzebowe upiększenia nie są tu potrzebne.

Od antybohaterszczyzny do kolaboracji

Sumienna analiza faktów, rozwianie samobójczego mitu w stosunkowo nowej, jeszcze nie zapomnianej książce nie przeszkadza upowszechnianiu bzdury o garstce niedobitków. Próbuje się jednak zarazem wysunąć nową, wymyślniejszą, płaszczyznę dezawuacji tego wysiłku.

Jeśli więc przebieg i wynik obrony Westerplatte uznać należy za rozsądny i wykpić się tego nie da, to można jeszcze z naciskiem podkreślić, iż jakże słusznie „zarządził kapitulację mjr Sucharski wobec bezcelowości dalszej walki" — a potem niewinnie zapytać: „Ale kiedy — z punktu widzenia wojskowego — w jakim okresie kampanii obrona Westerplatte była uzasadniona? Trzeba na to pytanie — wbrew sprzeciwom moralnym, jakie budzi ta odpowiedź — rzec krótko: nigdy (podkreślenie autora) obrona Westerplatte nie była wojskowo uzasadniona". Takim to prezentem uraczył weteranów poważny publicysta „Życia Warszawy" w 20 rocznicę wydarzeń [54].

Jest to oczywiście reminiscencja propagowanego przez niektórych publicystów poglądu o niecelowości i bezsensie wszelkiego polskiego oporu zbrojnego we Wrześniu, który to pogląd w formie najbardziej sprecyzowanej znajdujemy u Kazimierza Koźniewskiego (na łamach „Polityki"). Np.: „Wszystko, cokolwiek w Polsce się działo po 3 września (wszystko prócz kapitulacji przed Hitlerem, to jedno było niepożądane), nie miało wpływu" [55]. Albo też dosadne polemiczne sformułowanie: „W dwadzieścia lat po tamtym wszystkim pisze się poważnie o tym, że w skali drugiej wojny światowej na tle znanego przebiegu Września coś znaczy jeden dzień czy jedna doba dłuższego beznadziejnego oporu... Kpiny czyste!" [56] Podobny pogląd

rozwija Bohdan Czeszko w „Świecie". Zadaje pytanie: „Czy obrona kraju we wrześniu była idiotyzmem?" — daje kategoryczną odpowiedź: tak i uznaje, że należało w niej brać udział, „świadomie uczestnicząc w działaniu nonsensownym"...[57]

Nietrudno dalej logicznie rozwinąć tę myśl. Uczyniła to „Stolica":

„Dziś z perspektywy 20 lat należy — rozumując na chłodno — zastanowić się nad postawą innych państw Europy środkowo-wschodniej [...] Znajdując się w sytuacji analogicznej państwa te postąpiły — z wyjątkiem Grecji i Jugosławii — inaczej niż Polska [...] Niech nasz czytelnik sam sobie odpowie, czy ówczesna decyzja podjęcia skazanej z góry na klęskę walki, stawienia oporu hitleryzmowi była słuszna"[58].

Nietrudno zauważyć, jak już stąd niedaleko do głoszonej przez Cata-Mackiewicza pochwały Pétaina i Horthy'ego[59]. Cóż, nie miejsce tu na generalną ocenę problemu. Walka w beznadziejnych warunkach, jakie nie bez udziału rządu polskiego zostały stworzone na dzień 1 września 1939 roku, była bardzo złym wyjściem, ale każde inne wyjście było gorsze. Tak zresztą uważał wówczas, 1 września — bez przesady — cały naród. Sądzę, że się nie mylił...

Wróćmy jednak do konkretu — do Westerplatte. Sens obrony ujrzymy wówczas, gdy zastanowimy się nad zadaniami, jakie stały przed tą odosobnioną polską kompanią.

Normalnym pokojowym zadaniem garnizonu polskiego na Westerplatte było strzec majątku wojskowego — magazynów składnicy. We wrześniu 1939 roku zadanie to odpadło, gdyż magazyny były puste. Natomiast przewidywane zadania wojenne wynikały z oczekiwanych wariantów niemieckiego działania. Można się

bowiem było spodziewać różnych form niemieckiej agresji.

Wariant 1: siły hitlerowskie wewnątrz Gdańska dokonują puczu, następuje zawieszenie wszelkich praw polskich i „spontaniczne" przyłączenie Gdańska do Rzeszy. Na taki wariant wskazywałaby rozbudowa nielegalnych sił zbrojnych Gdańska, policji, Heimwehry, SS i SA oraz przykład akcji Henleina w Sudetach Czeskich, akcji zresztą nieudanej.

Wariant 2: wojska hitlerowskie wkraczają do Gdańska — nie naruszając innych interesów Polski i granic państwa. Hitler żąda od Polski i całej Europy „w imię pokoju" uznania faktów dokonanych — tej „ostatniej niemieckiej rewindykacji". Na możliwość zastosowania takiej taktyki wskazywałyby doświadczenia militaryzacji Nadrenii, anschlussu Austrii, okupacji Czech, zajęcia Kłajpedy.

Przy obu tych wariantach obrona Westerplatte miała dokumentować ze strony polskiej wolę obrony swych praw w Gdańsku, przeciwdziałać stworzeniu bez oporu i bez wystrzału ulubionych przez Hitlera faktów dokonanych drogą „pokojową" i miała być podstawą do otwartej interwencji politycznej Polski, popartej siłą zbrojną tzw. korpusu interwencyjnego, a także podstawą do wezwania aliantów do wypełnienia gwarancji i zobowiązań sojuszniczych. To ostatnie było szczególnie istotne, choć bowiem „księżycowy" charakter i znikoma praktyczna przydatność sojuszu wojskowego Polski z Francją nie ulega dziś wątpliwości, to jednak jeśli taki sojusz już istniał, w interesie obrony Polski leżało, by uruchomić go jak najrychlej.

Obrona Westerplatte miała więc w tym wypadku odegrać rolę demonstracyjną i polityczną i wiązała się z określonym wariantem ogólnego planu polityczno-strategicznego. Dowództwo polskie obowiązane było

taki wariant przewidzieć i mieć przygotowany. Ujawnione po wojnie dokumenty niemieckie dowodzą, jak bardzo było to słuszne. Mianowicie dyrektywa Oberkommando der Wehrmacht z dnia 11 kwietnia 1939 roku przewidywała na rok mobilizacyjny 1939—40 następujące trzy alternatywne plany operacyjne:

a) obrona przeciwlotnicza i ochrona granic (a więc plan czysto defensywny);

b) „Fall Weiss" — plan ataku na Polskę;

c) opanowanie Gdańska.

Aneks nr 3 do tej dyrektywy, pt. „Opanowanie Gdańska", wyjaśniał: „Problem niespodziewanego okupowania Wolnego Miasta Gdańska może być postawiony niezależnie od planu Weiss przy istnieniu sprzyjających warunków politycznych" [60].

Do ostatnich godzin 31 sierpnia Hitler był w stanie zrealizować dowolnie każdy z wyszczególnionych planów działania. Wybrał ostatecznie „Fall Weiss" — generalną rozprawę z Polską.

Tym samym polityczne i operacyjne przesłanki obrony Westerplatte upadły. Rzecz jasna, w warunkach powszechnej wojny problem praw polskich w Gdańsku nikł wobec ogromu zagadnienia obrony istnienia narodu, a w walce 2 tysięcy kompanii, szwadronów i baterii na tysiąckilometrowym froncie ginęło echo strzałów Westerplatte. W tym sensie obrona Westerplatte nie była już niezbędna. Lecz co to w praktyce oznacza? Czy załoga miała złożyć broń 1 września o godzinie 5 minut 45? Dlaczego?

Oprócz zadania szczególnego, które utraciło rację, stało przed nią zadanie ogólne — takie samo, jak przed każdą polską kompanią: walczyć z najeźdźcą w miarę możliwości i zadawać mu jak największe straty. Możliwości skutecznej walki 1 września były, a czy ich nie było 7 września — to sprawa sporna. Wiadomo, że

większość załogi oceniała je inaczej niż komendant i kapitulować nie chciała.

Faktem też jest, że załoga Westerplatte swe możliwości walki wykorzystała w bardzo wysokim, jeśli nie maksymalnym stopniu i większej w pełni rozsądnej skuteczności bojowego działania trudno sobie życzyć.

Westerplatte przykuło do siebie na tydzień znaczne, dwudziestokrotnie przeważające liczbą oddziały niemieckie i tym samym spełniało doskonale podstawowe zadanie każdej obrony — związanie jak największych sił przeciwnika.

Obrońcy Westerplatte zadali nieprzyjacielowi bardzo ciężkie straty. Według najostrożniejszych obliczeń z uwzględnieniem wszystkich możliwych źródeł własnych i niemieckich oraz wiadomości pośrednich czy bezpośrednich — przy szturmie Westerplatte poległo około 300 bądź nawet 400 Niemców. Przypominam: przy stratach polskich wynoszących 15 zabitych. By uświadomić sobie, co to oznacza, wyobraźmy sobie: gdyby każda polska kompania i szwadron w ciągu pierwszych 7 dni wojny dokonały tylko połowę tego, co kompania na Westerplatte — straty niemieckie wyniosłyby 250 tysięcy zabitych i odpowiednio dwa lub trzy razy więcej rannych, czyli przeszło połowę armii najeźdźczej. Dnia 7 września nie armia polska, lecz właśnie armia niemiecka znalazłaby się w sytuacji krytycznej, na progu katastrofy.

Takie rzeczy na wojnie się nie zdarzają i nigdy się nie zdarzały. Śmieszne byłoby wymagać w praktyce od całej armii takiej skuteczności bojowego działania, jaką uzyskała jedna odosobniona kompania. Jednakże czy wobec powyższego można powiedzieć, że obrona Westerplatte nie miała wojskowego sensu? Warto też pamiętać, że wzór stawiany jako ideał spełnienia żoł-

nierskiego obowiązku, choć trudny w praktycznej realizacji, musi być chyba jednak dostatecznie wysoki.

Z problematyką pirotechniczną wiąże się jeszcze pewien szczególny pogląd, jak sądzę, niemało nam szkody przynoszący. Szerzy się on, a raczej szerzony jest głównie nie w Polsce, lecz za granicą. To źle, ale co by było, gdyby się przyjął w kraju — wśród chwalców, do których tym razem wypadnie nam powrócić? Ogłoszono by Polskę — Ordonem narodów.

Polska — Ordonem narodów

Sprawa jest poważna, a pogląd dość rozpowszechniony.

Przypomnijmy sobie zakończenie pierwszej serii popularnego i u nas pseudoantymilitarystycznego filmu zachodnioniemieckiego „08/15".

...Minęły już trudy i znoje ćwiczeń i umilkł kapralski wrzask. Na placu koszarowym stoi zwarta podkowa niemieckiego pułku — ludzie zdeterminowani, gotowi na wszystko. Na twarzach nie ma entuzjazmu — tylko powaga. Oto otwiera się nowa karta, tragiczna, bolesna, ciężka — otchłań: wojna. Z głośników płyną słowa: „Polska... nierozważny upór... prowokacja". Twarze żołnierzy niemieckich są pełne smutku. Nie. Oni przecież tego nie chcieli. To Polacy sprowokowali wydarzenia, urządzili ten wspaniały fajerwerk, swój najgłośniejszy wyczyn pirotechniczny: nierozumnym uporem w sprawie „guzika" — takiego drobiazgu jak Gdańsk czy autostrada przez Pomorze — spowodowali wojnę światową, a więc niejako wysadzili w powietrze cały świat, popełniając zresztą w ten nader efektowny sposób samobójstwo narodowe...

Tę samą nutę znajdziemy w pamiętnikach general-

skich Mannsteina, Guderiana, Vormanna. Ta sama myśl o szaleńczym i nierozsądnym uporze zarozumiałych Polaków w mniej lub bardziej zawoalowanej formie wypływa coraz częściej nie tylko w otwarcie rewizjonistycznej, lecz i w najbardziej powszechnej literaturze i publicystyce Niemiec zachodnich.

Jakże to nieodpowiedzialny i niebezpieczny dla otoczenia na skutek swej lekkomyślności i manii wybuchowo-samobójczej naród! W żadnym wypadku nie należało się z nim wiązać, a tym bardziej uzależniać od niego losów świata. Ta ostatnia nuta przewija się w wypowiedziach naszych byłych sojuszników. W milionach egzemplarzy rozprowadził po świecie Fuller swą historię drugiej wojny światowej, a w niej myśl generalną o przyczynach wojny. Anglia związała się z Polską, a było to to samo, co „ubezpieczać fabrykę prochu pełną wariatów" [61]. No i wariaci lekkomyślnie spowodowali eksplozję, która zniszczyła „towarzystwo ubezpieczeniowe" — cały stary, dobry, przedwojenny świat.

Jak widać, wspomniana już w niniejszym szkicu metafora studenckiego teatrzyku — polski ułan z tlącą się fajką w zębach, cwałujący na beczce prochu — nie jest ostrzeżeniem, lecz jakby... przyznaniem się do winy.

Można zresztą ten pogląd zinterpretować inaczej, tradycyjnie po polsku, neomesjanistycznie. Polska stała się już nie Mesjaszem, którego cierpienia miały świat zbawić, lecz mieczem w ręku bożym, a raczej — Ordonem narodów, „palną świecą", za pomocą której Bóg wykonał wyrok przez wieszcza Adama przepowiedziany:

Bóg wyrzekł słowo stań się, Bóg i zgiń wyrzecze.
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,

. . . . . .

Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.

Żarty na bok.

Nic w tym dziwnego, że różnej maści pogrobowcy III Rzeszy — od Mannsteina i Vormanna po Kirsta i Salomona — pragną skupić uwagę świata na nierozsądnej nieustępliwości Polaków, ich pozbawionym realnych podstaw uporze, ich małostkowości, lekkomyślności, zadufaniu we własne siły, zamiłowaniu do pustych gestów i teatralnych póz — i tym wszystkim, a nie naszą życiową, absolutną koniecznością wytłumaczyć niezłomną ogólnonarodową decyzję stawienia Hitlerowi oporu.

Nic też dziwnego, że monachijczycy wszelkiej maści — ci wszyscy, co wówczas nie chcieli bądź nie radzili „umierać za Gdańsk", a wydali Hitlerowi pół Europy — że wszyscy oni od Bonneta do Fullera tak wiele wysiłku poświęcają na wykazanie braku rozsądku, zarozumialstwa i lekkomyślności Polaków, na demaskowanie ich błędów i samobójczych pociągnięć w przededniu wojny.

Oni wszyscy są w tym zainteresowani. Pragną, by za zmyślonym polskim charakterem i domniemanym polskim wariactwem czy nawet rzeczywistymi błędami polityki polskiej ukryć własną odpowiedzialność przed światem — za zbrodnię agresji, za zbrodnię bierności wobec agresji, za 50 milionów poległych, którymi w rezultacie ich działalności zapłaciła ludzkość za drugą wojnę światową.

Póki na świecie trwa pamięć o tragediach wojny — naszym obowiązkiem jest zwalczać ten tak wygodny dla prawdziwych winowajców mit o samobójczym szaleństwie Polaków.

Jakże go jednak możemy zwalczać, gdy stale i wciąż — skrupulatniej niż obcy oszczercy — sami w polskim charakterze narodowym dopatrujemy się tylko lekkomyślności, głupoty i skłonności do pozy,

a w naszych dziejach, w tym również we Wrześniu, chcielibyśmy widzieć na każdym kroku bzdurę, nonsens, głupotę? Jakże bardzo ułatwiamy brudną, oszczerczą pracę zbiegłym spod stryczka norymberskiego zbrodniarzom, oczerniając się sami bardziej, niż ktokolwiek odważyłby się nas oskarżyć! Oskarżając się wręcz, że jesteśmy „społeczeństwem, które konsekwentnie nie tylko działać nie umie, lecz nawet myśleć nie umie" [62], narodem zdolnym do każdego szaleństwa.

TOPIELCY CEREMONIALNI — A WŁAŚCIWIE JEDEN KSIĄŻĘ JÓZEF

Rozważania nasze dobiegają końca. Pozostał nam już tylko jeden grzech — ale za to najznakomitszy, najbardziej znany, najwznioślej rozchwalony i najzacieklej potępiony: ceremonialne skakanie do wody.

Faktycznie, poczynając od Wandy, co nie chciała Niemca, jakoś się to skakanie do wody wlecze za nami przez całe tysiąclecie. Nawet Czarniecki, zda się — człowiek rozsądny, a i to różne morza i rzeki wpław przebywał.

Podobnie z różnymi gestami i historycznymi „bonmotami", co się na nasze wykłada: hasłami. Czy Kościuszko pod Maciejowicami, padając ranny z konia, powiedział: „Finis Poloniae", czy też nie, o to spór się toczył zacięty przez długie lata. Nikomu jakoś nie przyszło do głowy, że jeśli nawet powiedział, to i tak nikt tego nie słyszał, gdyż Kościuszko był w tym momencie samotny, a w chwili ranienia i przez kilka najbliższych godzin nikt ani ze swoich, ani z wrogów się nim nie zainteresował.

Książę Józef Poniatowski, marszałek francuski i naczelny wódz armii Księstwa Warszawskiego, w swojej śmierci połączył jakoby te tradycje i przez lata całe istotnie sławiony był jako światły wzór: jak Polacy umierają. Malowniczo wspięty koń, mierzący kopytami w nurt Elstery, historyczne słowa: „Bóg mi powierzył

honor Polaków i Bogu go tylko oddam" — jedno i drugie straszyło przez 150 lat z tysięcy kopii i reprodukcji obrazu Suchodolskiego oraz tysięcy domowych i szkolnych czytanek dla dzieci. Straszyło swą nieludzką teatralną koturnowością, tak obcą nam, którzyśmy widzieli setki prawdziwych śmierci. Straszyło, aż stało się przedmiotem drwiny, a ukute wokół lipskiego epizodu powiedzonko: „Kościuszek skika do Estery", łącząc trzy epoki, stało się obiegową, zdawkową monetą — syntezą naszej historii. I ono na odmianę straszy dziś na estradzie i w programach radiowych, w felietonach i humoreskach, stodołach, piwnicach i na strychach. Aż wylało się w puszczonym mimochodem (przez pełnego zresztą najlepszych chęci publicystę w poważnym i mądrym artykule) zwrocie o „niejakim Poniatowskim, który prawdopodobnie po pijanemu utopił się w Elsterze, wydając przy tym kabotyńskie okrzyki" [63]. Było to tak oczywiste i naturalne na tle panującego stosunku do przeszłości, że zarówno autor, jak i redakcja ogromnie się zdziwili ilością listów z protestami, jakie napłynęły od czytelników, po czym uznano je za... przejaw kołtuństwa, zacofania i ograniczenia umysłowego.

Myślę, że nie o to chodzi. Chodzi trochę o prawdę, a trochę — o szacunek dla każdego człowieka dobrych chęci, dużej ofiarności osobistej, nawet jeśli w swym działaniu nie miał pełnej racji, zwłaszcza w czasach gdy tej pełnej racji — słusznej i owocnej drogi dla narodu — nikt nie miał, bo jej nie było.

Więc najprzód — o prawdzie. Jak to w rzeczywistości było wówczas, w październiku 1813 roku, pod Lipskiem?

Grzech siódmy: „Bóg mi powierzył honor Polaków"

Po klęsce w Rosji w 1812 roku Napoleon zebrał nowe siły i raz jeszcze stanął do walki. Tym razem nie chodziło już o nowe podboje, lecz o zachowanie stanu posiadania — o utrzymanie hegemonii francuskiej na kontynencie. Obiektywnie była to również sprawa utrzymania tej cząstki dziedzictwa wielkiej rewolucji francuskiej, którą bagnety francuskie przeszczepiły opanowanej części Europy. Jesienią 1813 roku miał Napoleon przeciwko sobie znowu całą koalicję: niezmiennego wroga — Anglię, nadto Rosję, Prusy, Szwecję. Jeden za drugim przechodzili na stronę Sprzymierzonych dotychczasowi sojusznicy Napoleona — Austria, Bawaria. Innych powstrzymywał jeszcze strach przed ciągle groźnym i potężnym „bogiem wojny". O ich wierności czy zdradzie zadecydować miała najbliższa walna bitwa — zwycięstwo lub klęska Napoleona.

16 października 1813 roku rozpoczęła się na przedpolach Lipska czterodniowa, największa w epoce napoleońskiej bitwa, zwana „bitwą narodów" albo „bitwą olbrzymów". Walczyło pół miliona, strzelało 2 100 armat, poległo 150 tysięcy. Napoleon przegrał. Losy Europy potoczyły się innym torem.

W armii Napoleona obok wojsk francuskich, włoskich, westfalskich, saskich i innych walczyły liczne oddziały polskie, pozostające pod ogólną komendą naczelnego wodza armii Księstwa Warszawskiego, księcia Józefa Poniatowskiego, lecz faktycznie podzielone. Sam książę Józef dowodził bezpośrednio VIII korpusem francusko-polskim, w skład którego wchodziło około połowy wszystkich wojsk polskich oraz kilka tysięcy Francuzów.

W pierwszym i drugim dniu bitwy szanse stron walczących wydawały się jeszcze równe, mimo znacznej przewagi liczebnej koalicji antynapoleońskiej. W trzecim dniu, 18 października, nadciągnęły nowe korpusy pruskie, rosyjskie i szwedzkie. Sprzymierzeni zyskali dwukrotną przewagę liczebną nad Napoleonem: 300 tysięcy przeciwko 150 tysiącom. Armia francuska zepchnięta z przedpola do samego miasta, stłoczona wśród jego domów i ogrodów, znalazła się w okrążeniu. Klęska stawała się oczywista. Widząc to, piętnastotysięczny korpus saski, walczący dotychczas w składzie wojsk napoleońskich, przeszedł na stronę Sprzymierzonych i obrócił swe działa na niedawnych sojuszników *.

Wieczorem Napoleon zarządził odwrót.

Jedyna droga z lipskiego kotła prowadziła przez wąską, długą, czterokilometrową groblę na mokradłach, po ośmiu mostach rzuconych przez błotniste koryta rzeki Pleissy i Elstery oraz odnóg, pełnych rwącej bystro mętnej wody, wezbranej jesienną powodzią. Całą noc i ranek dnia 19 października, czwartego dnia bitwy, toczył się po tej grobli chaotyczny potok ludzi, koni, dział, taborów, ambulansów...

Rano 19 października opór Francuzów słabł, brakowało amunicji. Na grobli stłoczyły się resztki rozbitych korpusów: VII — Reyniera i V — Lauristona. Prusacy i Rosjanie podchodzili już do Pleissy, gdy zachęceni tym strzelcy badeńscy i wirtemberscy przeszli na stronę Prusaków, wydając im bramy miasta. W mgnieniu oka cała przestrzeń wokół fatalnej grobli napełniła się pruskimi tyralierami. Widząc to, saper francuski

* Ten charakterystyczny przejaw „rozsądku politycznego" niewiele pomógł Sasom. Zwycięzcy i tak połowę Saksonii oddali potem królowi Prus.

strzegący mostu na Elsterze zapalił lont. Most wyleciał w powietrze.

Za rzeką, za groblą pozostały odcięte tysiące ludzi rozproszonych po całym polu bitwy i dwa niemal rozbite, lecz wciąż jeszcze stawiające opór korpusy straży tylnej: korpus IX francuski marszałka Macdonalda, księcia Tarentu, i korpus VIII polsko-francuski księcia Józefa. Oba próbowały utorować sobie drogę siłą, oba uległy. Marszałek Macdonald nago przebył wpław Elsterę i uratował się. Generał dywizji Dumoustrier utonął. Generałowie korpusu Reynier i Lauriston dostali się do niewoli.

A Polacy? Korpus VIII już od kilku dni był w nieustannych walkach. Jeszcze 14 października książę Józef prowadził sam 3 pułk ułanów do szarży i w starciu został ranny (po raz pierwszy w tej bitwie) piką w dłoń. 16 października odniósł drugą ranę — kulą karabinową w rękę poniżej łokcia. 18 października z wieczora, nocą i 19 rano był przez cały czas wśród toczącej ciężką walkę ariergardy swego korpusu. Trzecią ranę — kulę w pierś między żebra — otrzymał w chwili, gdy już po wysadzeniu mostu pieszo prowadził do ostatniego kontrataku polski batalion. Upadł, lecz — aby zapobiec przygnębieniu w szeregach — wsiadł jeszcze na konia i z osobistą eskortą — adiutantami i krakusami — szarżował, chcąc umożliwić odwrót związanym w walce resztkom piechoty.

„Otaczający go sztab, generałowie Małachowski, Grabowski i inni wobec odciętego odwrotu i niemożliwości dłuższej obrony błagali go, by się poddał, osobę swoją dla kraju zachował. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, twarz nienaturalnym pałającą rumieńcem, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany, na wpół przytomny; odpowiadał na wszystko: «trzeba umrzeć mężnie». Rzucił się do

Pleissy, ale już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prądu. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Blechamp, w chwili gdy uwalniał się od tonącego konia i wydobył na brzeg przeciwny. Ruszył Książę dalej pieszo do Elstery przez błotniste ogrody już wszędzie napełnione tyralierką nieprzyjacielską; tutaj po raz czwarty odebrał kulę w bok; słaniając się padł w objęcia paru dotrzymujących mu kroku oficerów; po chwili odzyskał przytomność, dosiadł z trudnością podanego świeżego konia, ale chwiał się w siodle" [64].

Jechał wzdłuż rzeki wezbranej i rwącej, w której korycie piętrzyły się trupy ludzi i zwierząt, szczątki budynków i sprzętu wojennego. Krążyły gromady obłąkanych z przerażenia żołnierzy. Sam książę ociekał krwią. „Był już zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błagania towarzyszów nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewnym uniesieniem mówił bez związku o Polsce i o honorze" [65]. Naraz o kilka kroków dostrzegł nieprzyjacielskie bagnety. „Porwał się raptem sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w lewą pierś, przeszyty na wylot, osuwa się z konia i po krótkim pasowaniu się — znika pod wodą" [66] *.

Ot, i tyle wszystkiego.

Nie było teatralnego gestu, kabotyńskiego samobójstwa, patetycznych słów. Była zwykła, ciężka i trudna żołnierska rzecz — śmierć. Był niemłody, przeszło pięćdziesięcioletni, sterany wojną człowiek, śmiertelnie zmęczony, wielokrotnie ranny, półprzytomny, umiera-

* Według niektórych źródeł adiutant francuski księcia, kpt. Blechamp, i tym razem rzucił się za nim w rzekę, lecz nie mógł księcia wydobyć spod konia i sam przy tym utonął. Z dwóch adiutantów polskich między Pleissą a Elsterą jeden zginął, a drugi, ciężko ranny, pozostał na polu bitwy.

jący. Był żołnierz, który do końca wypełniał, jak mógł, swój dobrowolnie przyjęty żołnierski obowiązek. Był dowódca, generał polski *, który teraz, w biedzie i klęsce, w śmiertelnym ostatnim zmaganiu nie chciał zostawić swoich żołnierzy, pozostał z nimi, więcej — bił się w straży tylnej, osłaniając ich odwrót.

I był polityk, który nie znalazł innego wyjścia.

Statysta czy charakternik?

Był bowiem książę Józef również politykiem — „statystą", jak wówczas mówiono — który określonej koncepcji rozwiązania sprawy polskiej trzymał się konsekwentnie. Był przywódcą politycznym, który dla poparcia tej koncepcji zbierał siły narodowe i kwiat młodzieży wywiódł na pola napoleońskich bitew. Ginął nie samotnie, jak pojedynczy żołnierz na straconej placówce, lecz ginął z ludźmi, których tam przyprowadził. Nie zamierzam uciec od tego problemu ani ukryć go za żołnierską śmiercią, która zamknęła drogę życiową ostatniego z Poniatowskich.

Jest to rzeczą oczywistą, że w złej tendencji do metaforyzowania wydarzeń dziejowych i nadawania każdemu szczegółowi sensu polityczno-symbolicznego wielu z tych, którzy kpią ze śmierci żołnierza, widzi w niej przede wszystkim krach polskiej polityki pronapoleoń-

* Piszę: generał, gdyż sprawa tytułu marszałkowskiego księcia Józefa posiada nieco charakterystyczny z naszego punktu widzenia aspekt. 15 października 1813 roku, gdy Napoleon, pragnąc podnieść na duchu Wojsko Polskie i uhonorować jego dowódcę, nadał księciu Józefowi tytuł marszałka Francji (żaden cudzoziemiec takiej godności nie dostąpił), żołnierze polscy byli oburzeni: wódz naczelny Wojska Polskiego nie potrzebował, ich zdaniem, obcych i niższych godności wojskowych. Ostatnie dokumenty z 16 i 17 października nie noszą podpisu marszałkowskiego, lecz tak jak zwykle skromną cyfrę: „Książę Józef Poniatowski — generał, wódz naczelny VIII korpusu" [7].

skiej, a wydrwiwając ów „honor", prostą, żołnierską wierność obowiązkowi — traktuje ją jako ślepą uległość, narkotyczne „zapamiętanie", właściwe chyba średniowiecznym „charakternikom" hipnotyczne zapatrzenie się w napoleońską gwiazdę, obłędną wiarę w dobrą wolę cesarza Francuzów, który przecież, jak wiadomo, niczego dla Polski nie chciał uczynić...

Niewiele dał Polsce Napoleon, to prawda. Pamiętać jednak warto, że... nikt wówczas nie kwapił się dawać więcej. Drogo zapłaciła Polska za przesadną wiarę w cesarza. Trudno jednak dopatrzyć się w działalności Poniatowskiego tej wiary, jakiejś szczególnej egzaltacji, uwielbienia i ślepej wierności Napoleonowi.

Nie sposób tu omawiać całej działalności Poniatowskiego. Wystarczy przypomnieć, że przyszedł do Napoleona późno — inni, jak np. Dąbrowski, już dziesięć lat służyli cesarzowi. Zachował rezerwę, niejednokrotnie próbował się „targować" — o jakieś czyny czy bodaj wiążące deklaracje w sprawie polskiej... Stosunek jego do cesarza był nieco inny niż reszty napoleończyków. To Poniatowski właśnie na służbowe pisma byłych legionistów potrafił odpowiadać w tym duchu: „Na odezwę WMPana po francusku uczynioną, Polak odpowiadam Polakowi po francusku..." [68] Inni (jak np. Zajączek), których jakoś ominął zarzut „bonapartyzmu", pisali wówczas do księcia otwarcie: „Niech Pan pamięta, że jestem generałem francuskim, a komenderuję Polakami, bo Cesarz tak chciał..." [69]

Odnosi się wrażenie, że to raczej biografowie księcia i historycy — Skałkowski, Kukiel, w mniejszym stopniu Askenazy — sami ulegli legendzie cesarskiej i post factum usiłują ją wmówić „księciu Pepi". Okres najtrudniejszy, po klęsce Napoleona w Rosji, okres, który wszyscy oni traktują jako „walkę w obronie honoru oręża polskiego", nawet w świetle przytaczanych

przez nich dokumentów ukazuje się nam jako okres dramatycznych decyzji, które z natury rzeczy trudno rozpatrywać w kategoriach moralnych, trzeba natomiast badać jako kroki polityczne, dowodzące rozsądku i znacznego poczucia odpowiedzialności Poniatowskiego.

Gdy niedobitki Wielkiej Armii spływały na zachód, armia Kutuzowa stała u granic Księstwa, Prusy przechodziły na stronę Sprzymierzonych, a Austria zaczynała się wahać — nie brakło i w Księstwie ludzi, którzy uważali, że nadszedł czas, aby sprawę polską oddzielić od sprawy Napoleona. Książę Józef istotnie stał na uboczu od ich starań. Odtwarzał armię, demonstrował wierność Napoleonowi — ale czy naprawdę nie myślał o innym wyjściu? Wsłuchajmy się w ton jego ówczesnych wypowiedzi.

„Konfederacja i władze cywilne niech robią, co chcą — mówił wiosną 1813 roku w Krakowie — król na nie rządy kraju zdał, lecz wojsko poddał pod rozporządzenie cesarza, króla więc tylko i Napoleona słucham rozkazów, w politykę się nie wdaję, jako żołnierz honoru swego strzegę" [70].

A jednak — chociaż mówił: „niech robią, co chcą..." — wiedział, co robią. Pertraktowały za pośrednictwem Adama Czartoryskiego z carem Aleksandrem. Sam książę pozostawał w kontakcie z Czartoryskim — z przyjacielem cara i jego ministrem, choć nie urzędującym. Przyjął też księcia wysłannika dworu pruskiego, księcia Antoniego Radziwiłła. Odbył z nim długą „prywatną" rozmowę. Tak wyglądało w praktyce „niemieszanie się do polityki". A co do drugiej deklaracji: „króla więc tylko i Napoleona słucham rozkazów..." — to miał już w tej chwili Poniatowski w kieszeni carte blanche króla saskiego i księcia warszawskiego, Fryderyka Augusta, na zawarcie rozejmu z Rosjanami, a rezydentowi francuskiemu Bignonowi

powiedział: „Biję czołem przed wielkością i potęgą cesarza, lecz gdyby po mnie wymagał kroku przeciwnego ocaleniu mojej ojczyzny, nie mógłbym mu być posłusznym" [71].

Jednakże gdy na przełomie kwietnia i maja 1813 roku trzeba było ostatecznie zdecydować — wybrał wierność Napoleonowi *: z rozrośniętą już do 17 tysięcy ludzi armią opuścił resztkę terytorium kraju — Kraków — i pomaszerował na spotkanie Wielkiej Armii do Saksonii. Decyzja ta nie przyszła mu jednak łatwo.

„Dnia, którego już miał opuścić Kraków, przyszedł do niego Linowski ** rano, zastał go w łóżku i począł przekonywać w tym sposobie: Cóż, książę, wychodzisz, porzucasz nas i ojczyznę, zastanów się jeszcze raz, czy nie zepsujesz naszej sprawy i nie narazisz siebie, wojska i ojczyzny na zgubę. Przerwał mu Poniatowski: Słuchaj, widzisz te pistolety, które koło mnie leżą, dziś je w nocy dwa razy miałem w ręku, chciałem sobie w łeb strzelić, aby wyjść z tak trudnego położenia, ale na koniec wziąłem determinacyą, nie odstąpię Napoleona" [72].

Dlaczego Poniatowski nie zerwał wówczas z Napoleonem? Sądzę, że z dwóch powodów. Jeden tłumaczy dostatecznie jasno książę Adam Czartoryski — zwolennik przejścia Polski pod opiekę cara Aleksandra. Pisał on później, że książę Józef przystąpiłby wówczas do „rzeczy jasnej i pewnej", do „rozejmu pewnego i uczciwego", a tego właśnie w propozycjach zwycięskich

---

* Wierność nie znaczy tu jednak — posłuszeństwo. Napoleon żądał od Poniatowskiego uderzenia z Krakowa na Warszawę, wzniecenia powstania i rozpoczęcia niszczącej wojny partyzanckiej na tyłach armii rosyjskiej w Księstwie. Poniatowski nie poszedł na tę awanturę, która mogła wprawdzie polepszyć położenie Napoleona, ale w ówczesnej sytuacji likwidowałaby ostatecznie wszelkie „zagadnienie polskie", gdyż kraj uległby zrujnowaniu, a ludność — wyniszczeniu.

** Wysłannik ministrów pertraktujących z Czartoryskim.

mocarstw nie znalazł. Car Aleksander zdobył się tylko na wezwanie — prywatne i nieoficjalne — by Polacy mu zaufali, a nie zawiodą się. Sam Czartoryski — o ileż więcej szans mający na zyskanie czegoś u cara — bezskutecznie w tym czasie wysiadywał w poczekalniach carskich. W Kaliszu, gdy car z królem pruskim omawiali warunki sojuszu przeciwko Francji, Czartoryski zjawił się jako gość nieproszony i niechciany. Przyjaciel-car nie chciał go nawet przyjąć, nie chciał z nim rozmawiać, aż wreszcie zbył go nic nie znaczącymi słówkami. „Gdy chce się pozyskać jakiś ludek kaukaski lub jakiegoś chana perskiego, więcej w to wkłada się starań, jak w pozyskanie Poniatowskiego i jego wojska" — pisał z goryczą Czartoryski w liście pożegnalnym do cara [73].

Rzecz zaś w tym, że losy Polski, a ściślej — Księstwa Warszawskiego — były wówczas przedmiotem przetargu między wielkimi mocarstwami. Car chąc wzmocnić się przed wiosenną rozgrywką z Napoleonem starał się początkowo kupić, a potem mocniej ze sobą związać Prusy, a także przeciągnąć na swoją stronę Austrię, pozostającą wciąż jeszcze w formalnym sojuszu z Napoleonem. Warunkiem było oczywiście zwrócenie obu krajom wszystkich ziem odebranych im niegdyś przez Napoleona. A więc Prusakom należało oddać dwie trzecie Księstwa Warszawskiego z Poznaniem i Warszawą, a Austrii — resztę wraz z Krakowem i Lublinem. Sojusz z Austrią i Prusami był oczywiście dla cara Aleksandra ważniejszy niż sprawa polska. Tak więc odstąpienie Napoleona nie dawało Polsce w roku 1812 czy 1813 niczego. Zwycięska koalicja antynapoleońska miała jej do ofiarowania tylko powrót do status quo sprzed Napoleona. Oznaczało to utratę słabego co prawda i niesamodzielnego, ale zawsze lepszego od zaboru zalążka własnej państwowości, jakim było Księ-

stwo — utratę własnej narodowej administracji, armii, sądownictwa, szkolnictwa, postępowego prawodawstwa, powrót do warunków prawnych, socjalnych i politycznych z roku 1795, po trzecim rozbiorze.

Takie warunki ustaliły też mocarstwa zaborcze w czasie pertraktacji w marcu 1813 roku w Kaliszu, potwierdziły je w Reichenbach 27 lipca 1813 roku i potwierdziły w sierpniu w Pradze. Uznania rozbioru Księstwa domagały się też od Napoleona.

Napoleon się nie zgodził.

I oto druga istotna przyczyna polityczna, dla której, jak sądzę, Poniatowski nie opuścił Napoleona. Mianowicie Napoleon gwarantował przynajmniej Polsce to niewiele, co miała: Księstwo — i nie zgadzał się jeszcze na jego podział. W tym układzie sił przyszłość Polski wiązała się więc ze zwycięstwem Napoleona i zbrojne poparcie go leżało w istotnym interesie narodu polskiego. Ostatecznie przecież — jak czytamy w najnowszym wydaniu „Historii Polski", opracowanej przez PAN — „stworzenie Księstwa Warszawskiego przekreśliło fakt rozbiorowy i pozwoliło Polakom, chociaż na szczupłym obszarze, pracować nad odbudową państwa. [...] Trzeba pamiętać też o korzyściach innego typu, jakie odniosła Polska w zetknięciu z systemem napoleońskim. [...] Zniesienie poddaństwa, Kodeks Napoleona, prawa polityczne mieszczan, modernizacja armii i aparatu rządowego, ograniczenie wpływów Kościoła — zjawiska te miały charakter postępowy" [74].

Jeśli dziś uznajemy je za korzystne — logicznie winniśmy ich obronę również uznać za celową i słuszną.

Zauważyć wypada, że wówczas ze zwycięstwem Napoleona wiązała się również sprawa przyszłości Europy na kilkadziesiąt najbliższych lat. Niesprawiedliwe i reakcyjne były zaborcze pochody Napoleona do Hiszpanii czy do Rosji, a jego panowanie było niebezpieczne dla

przyszłości Europy. Jednakże w 1813 roku na plan pierwszy wysunęło się już nowe, groźniejsze niebezpieczeństwo — stokroć reakcyjniejsza koalicja feudalnych cesarzy, walcząca przeciwko Francji, zalążek przyszłego Świętego Przymierza, które na pół wieku wstrzymało postępowy rozwój Europy. W roku 1813 Napoleon broniąc swego stanu posiadania bronił w istocie rzeczy postępowego rozwoju krajów ogarniętych wpływem (nawet pośrednim i znacznie osłabionym) rewolucji francuskiej przeciwko zakusom — jak to formułował Lenin — „grabieżczych państw, które prowadziły z Napoleonem bynajmniej nie wyzwoleńczą, lecz imperialistyczną wojnę" [75].

Poniatowski broniąc w roku 1813 koncepcji oparcia się o Francję, broniąc jej po dokładnym namyśle i wysondowaniu innych możliwości, nie był też bynajmniej straceńcem ani utopistą trzymającym się niemożliwych do realizacji ideałów. Wiosną 1813 roku sprawa Napoleona nie była jeszcze pogrzebana, a jego zwycięstwo było nader prawdopodobne. Ciągnął on na spotkanie Sprzymierzonych z nową 200-tysięczną armią. Postawa Europy, zwłaszcza państw niemieckich, a także Austrii, zależała od jego zwycięstwa. 15 kwietnia Napoleon przybył do armii w Erfurcie, 1 maja rozbił Sprzymierzonych pod Weissefelds, 2 maja zadał poważną klęskę głównym siłom przeciwnika pod Lützen i zajął Drezno, 20—21 maja rozbił główne siły Sprzymierzonych w bitwie pod Budziszynem, 22 maja dopadł ich straży tylnej pod Zgorzelcem i rozbił ją. Zdawało się, że triumfalna gwiazda Bonapartego znowu wschodzi nad Europą. Obawiali się tego królowie i cesarze, miał prawo — jeszcze w Lipsku — liczyć na to Poniatowski.

A jakie zresztą miał inne wyjście? Rezygnację, kapitulację i bierność? Nie byłoby to równoznaczne z wycofaniem się narodu, a zwłaszcza wojska z imprezy

napoleońskiej. M. in. warto pamiętać, że przy cesarzu pozostawał „zawsze wierny" Dąbrowski. Już wiosną, nim nadciągnął z Krakowa Poniatowski, odgrywał on rolę dowódcy jak gdyby drugiej, konkurencyjnej armii polskiej. Zresztą w tajfunie wojen napoleońskich żaden naród europejski nie mógł zachować „splendid isolation", nie mógł pozostać neutralny, bierny. Wydarzenia wciągały wszystkich i każdego, rzeczą zasadniczą było wyciągnąć z tego pewną przynajmniej korzyść dla przyszłości.

Teoretycznie przed Polską stała alternatywa: z Francją czy przeciw Francji. Tertium non datur. Tertium — to było roztopić swoje roczniki rekruckie w szeregach armii zaborczych. Jednakże secundum — „przeciw Francji" — oznaczało również „roztopić się" w armiach zaborców. Bowiem Sprzymierzeni — cesarze późniejszego „sojuszu trzech czarnych orłów" — niczego Polsce nie ofiarowali, a „flirt" Aleksandra z Polakami zaczął się na dobre dopiero po zwycięstwie lipskim. Pozostawała Francja — i tej linii, po namyśle, ale uparcie bronił Poniatowski. To dawało niewiele, ale jednak coś dawało — właśnie do klęski lipskiej.

Sądzę, że trudno Poniatowskiego winić za to, że w 1813 roku wolał coś — nawet małe — niż nic, że szukał jakiegoś rozwiązania sprawy polskiej i nie wahał się za to nadstawić głowy. Słuszniejszej drogi walki o pełniejsze wyzwolenie znaleźć nie mógł, bo jej nie było.

Przed Lipskiem możliwe było tylko rozwiązanie w oparciu o Napoleona I. Po Lipsku możliwe było już tylko rozwiązanie w oparciu o Aleksandra I. Do innych rozwiązań kwestii polskiej, jak wiadomo, dojrzeć miały warunki społeczne dopiero w sto lat później, z chwilą wkroczenia na arenę dziejową proletariatu i rewolucji socjalistycznej.

W toku bitwy pod Lipskiem, widząc już swoją klęskę, Napoleon zwrócił się nieoficjalnie do cesarza austriackiego z propozycjami pokojowymi. Godził się na warunki Sprzymierzonych, m. in. na likwidację Księstwa Warszawskiego i podział jego ziem. Tak kończył się rozdział historii, w którym sprawa polska istotnie związana była z cesarzem Francuzów.

W końcu bitwy lipskiej garstce piechurów polskich, otoczonej i odciętej od Elstery, oblegające ją wojska rosyjskie zaproponowały kapitulację. Wyczerpani czterodniową walką, niemal oszaleli z żalu ludzie nie chcieli jednak pertraktować z nikim, żadnym oficerem ani generałem — tylko z carem. I Aleksander I sam przyjął kapitulację czarnych od dymu i wytytłanych w błocie obdartusów podpułkownika Macieja Rybińskiego, zaakceptował warunek — zachowanie godeł i orłów pułkowych — co więcej, nie potraktował ich jako jeńców, lecz kazał im zwartym oddziałem odmaszerować do kraju.

Zaczynał się nowy rozdział sprawy polskiej, w którym car Aleksander nie obawiając się już powalonego Napoleona mógł prowadzić intrygę przeciwko swoim sojusznikom, przeciągać na swoją stronę Polaków, ofiarowując im częściowo przynajmniej utrzymanie i zachowanie tych elementów niezależności, które posiadali za Napoleona. W tym rozdziale znajdzie się już cała historia pokongresowego Królestwa Polskiego — spory o konstytucję i działalność gospodarska Druckiego-Lubeckiego, oświata Stanisława Kostki Potockiego i budownictwo Corazziego, spiski Łukasińskiego, Mickiewicz, Słowacki, Chopin i podchorążowie...

Książę Józef Poniatowski należy cały do tamtego rozdziału — francuskiego. Jednakże wszyscy są zgodni co do tego, w jak wielkim stopniu ten okres francuski wpłynął na możliwość i konieczność utworzenia Kró-

lestwa Kongresowego. Na Kongresie Wiedeńskim Aleksander długo zwlekał z zatwierdzeniem konstytucji Królestwa. Podpisał ją natychmiast po otrzymaniu wiadomości, iż Napoleon uciekł z Elby i znowu sięgnął po koronę francuską. Car nie mógł ryzykować. Zbyt wielu miał w Warszawie napoleończyków, zbyt wielu weteranów, zbyt wielu ludzi z okresu francuskiego, by ich drażnić.

*

Po głębszym rozważeniu historycznych okoliczności sylwetka księcia Józefa Poniatowskiego rysuje się przed nami zupełnie inna niż w każdej — zarówno apologetycznej, jak i oszczerczej — legendzie. Pewnie — swego czasu ukochany bratanek, pieszczony ulubieniec króla Stanisława Augusta, był w roku 1792 wodzem jedynie z nominacji. Był też długo elegantem, bawidamkiem, sfrancuziałym paniątkiem. Ale stał się z czasem żołnierzem, organizatorem, dowódcą, którego pracowita działalność i szlachetna postawa w trudnych momentach budzić muszą podziw i szacunek. Był działaczem państwowym, działaczem politycznym, którego rozsądek, takt, ostrożność i wytrwałość w jakże trudnych sytuacjach przełomowych okresów naszej historii dowodzą, iż „przypadek księcia Józefa" do galerii polskich idiotyzmów, lekkomyślności i politycznej ślepoty się nie nadaje.

Zwłaszcza że, jak przekonaliśmy się — analizując powyżej siedem reprezentatywnych wydarzeń historycznych — cała ta galeria to po prostu... teatr cieni stworzony przez legendę. Portrety są, ale... jakże niepodobne do portretowanych!

Intermezzo: Koloryt narodowy

Wyszedłszy z mrocznej, zatęchłej galerii portretów rzekomej narodowej głupoty odetchnijmy swobodnie, siądźmy spokojnie na ławeczce i pomyślmy. Pomyślmy spokojnie. Inaczej się myśli na zalanym słońcem placyku przed muzeum, a inaczej w jego salach, zatłoczonych okrutnymi obrazami. Wiemy już, że są to karykatury. Wiemy, że ta galeria nie jest galerią wyjątkowej głupoty i bezprzykładnego idiotyzmu. Lecz nie podejmiemy się przecież twierdzić, że jest taka zupełnie normalna, taka jak wszystkie inne narodowe galerie cmentarzy, pomników i nekrologów. Nie podejmiemy się przeczyć, że nasza historia musi zadziwiać nie przygotowanego, postronnego obserwatora. Wystarczy tylko przytoczyć kilka dat:

1768—1772 — konfederacja barska;
1792 — wojna w obronie Konstytucji;
1794 — powstanie kościuszkowskie i wielkopolskie;
1806—1807 — powstanie w Wielkopolsce, wojna z Prusami i Rosją;
1809 — wojna z Austrią;
1812—1813 — wojna z Rosją;
1830—1831 — powstanie listopadowe;
1846 — rewolucja krakowska i powstanie chłopskie;
1848 — powstanie wielkopolskie i walki w Krakowie;
1863—1864 — powstanie styczniowe.

W ciągu 96 lat dziesięć dużych wojen, powstań i rewolucji toczonych przez Polaków na ziemiach polskich. Nie licząc oczywiście kilkunastu spisków, sprzysiężeń rewolucyjnych, drobniejszych wystąpień zbrojnych w rodzaju obrony Gdańska przed Prusakami w 1793

roku, wyprawy i partyzantki Zaliwskiego i Zawiszy w 1833 roku, spisku „Ludu Polskiego" i księdza Ściegiennego itp., itd. Nie licząc również walk żołnierza polskiego o tę samą sprawę poza granicami kraju — od wyprawy Kościuszki, Pułaskiego i towarzyszy do Ameryki, poprzez Sułkowskiego i J. H. Dąbrowskiego, udział Polaków w rewolucjach Wiosny Ludów, aż po Komunę Paryską.

Nie wiem, czy w ciągu tych stu lat znajdzie się dziesięć, w których nie strzelał jakiś polski karabin. A co gorsza, we wszystkich tych wojnach, powstaniach i rewolucjach trudno dopatrzyć się na pierwszy rzut oka wyraźnych, dostrzegalnych rezultatów. Jedyny dorobek: buńczuczne nuty Mazurka, nasze „Jeszcze Polska nie zginęła", to — zgódźmy się — dla przeciętnego Europejczyka w dziewiętnastowiecznym, mieszczańskim rozumieniu tego słowa — niewiele.

Nie dziwmy się zbytnio, że nasza strzelająca historia wprawiała w niezwykłe zdumienie wiele ludzi i że szereg z nich nie szczędził jej słów krytycznych. Potknął się na niej w młodości nawet myśliciel tak wnikliwy, jak... Fryderyk Engels. W początkach swej działalności naukowej i rewolucyjnej, nieświadom jeszcze całej złożoności spraw polskich, napisał przecież:

„Polacy nie zdziałali nigdy w historii nic innego poza wygłupianiem się walecznością i pochopnością do zwad. Nie można też przytoczyć ani jednego takiego wypadku, by Polska [...] dokonała jakiegokolwiek czynu o historycznym znaczeniu. [...] Jaskrawych przykładów nieśmiertelności Polski dostarczają wojny napoleońskie z 1807 i 1812 roku. Nieśmiertelna była u Polaków tylko ich zwadliwość bez żadnego powodu" [76].

No cóż, można przyznać, że nawet przytoczony mały kalendarzyk historyczny jednego polskiego stulecia

dostarcza dość materiału do uznania naszej historii za wybitnie wojowniczą, swarliwą, zwadliwą i strzelającą. Te „zwady" i „waleczności" — ta nieustanna gotowość do walki i do bezgranicznej ofiarności w walce stanowi istotnie specyfikę naszej historii, jej koloryt narodowy. Jednakże, aby z dziedziny zjawisk absurdalnych przenieść naszą historię do dziedziny zjawisk politycznych, trzeba dostrzec powody owej „zwadliwości bez żadnego powodu" oraz historyczne znaczenie tych czynów bez znaczenia. Nikt inny, jak właśnie tenże Fryderyk Engels po latach studiów i doświadczeń sprecyzował je najdokładniej:

„Historia wszakże dowodzi, że wielki naród, dopóki brak mu niezależności narodowej, nie ma warunków, by chociażby poważnie przedyskutować jakiekolwiek wewnętrzne sprawy. [...] Każdy polski chłop i robotnik, który budzi się z otępienia i zaczyna brać udział w sprawach ogólnych, napotyka przede wszystkim fakt ujarzmienia narodowego jako pierwszą przeszkodę na swej drodze. Usunięcie tej przeszkody jest podstawowym warunkiem wszelkiego zdrowego i swobodnego rozwoju. [...] Aby móc walczyć, trzeba najpierw mieć grunt pod nogami, powietrze, światło i przestrzeń" [77].

Nieprzypadkowo tedy Engels wraz z Marksem przez długie dziesięciolecia swej działalności uporczywie powtarzali: „Niech żyje Polska". Co więcej — hasło to traktowali jako hasło polityczne, strategiczne światowego ruchu robotniczego.

„Polacy — sądził Engels — mają nie tylko prawo, lecz wręcz obowiązek być narodowymi, zanim staną się międzynarodowymi. [...] Są oni najbardziej międzynarodowi właśnie wtedy, kiedy są prawdziwie narodowi. Polacy rozumieli to we wszystkich przełomowych chwilach i dowiedli tego na wszystkich rewolucyjnych polach walki" [78].

Twórcy rzetelnej nauki o mechanizmie historii dostrzegali bowiem nie tylko zewnętrzną scenerię naszych dziejów. Potrafili zrozumieć zarówno najgłębsze powody upartej walki Polaków o niepodległość, jak i (co jest szczególnie ważne) jej obiektywne znaczenie międzynarodowe.

„Polska jest nie tylko jedynym plemieniem słowiańskim, ale nawet jedynym ludem europejskim, który walczył i walczy jako kosmopolityczny żołnierz rewolucji. Polska lała swą krew w amerykańskiej wojnie o niepodległość, jej legiony walczyły pod sztandarem pierwszej republiki francuskiej, przez swą rewolucję 1830 roku przeszkodziła ona najazdowi na Francję, najazdowi, który już był uplanowany przez zaborców Polski, w 1846 roku w Krakowie pierwsza w Europie zatknęła ona sztandar rewolucji socjalnej, w 1848 roku bierze ona wybitny udział w walkach rewolucyjnych Węgier, Niemiec i Włoch *, wreszcie w 1871 roku dostarcza ona Komunie Paryskiej najlepszych generałów i najheroiczniejszych żołnierzy" ** [81].

Nie dlatego strzelam do naszych szyderców z tak wielkiej armaty, bym miał do nich pretensję, że nie dochodzili w drodze długoletnich studiów do takiego rozeznania naszej historii, jakie osiągnęli klasycy marksizmu. Nie, takich wymagań im nie stawiam.

Nie żądam wcale, by samodzielnie wykonali obliczenia Kopernika czy też, by powtórzyli na wątłej łódeczce podróż Magellana. Sądzę tylko, że trzeba by uznać przynajmniej, że pewne rzeczy są już odkryte i że człowiekowi umiejącemu czytać i pisać po prostu nie wypada twierdzić dzisiaj, że Ziemia jest centrum

* Zdaniem Engelsa Polska „od roku 1792 dokonała dla sprawy rewolucji więcej niż wszystkie te trzy narody razem".

** „Dla sądów wojennych w Wersalu wystarczyło być Polakiem, aby zostać rozstrzelanym" [8].

Wszechświata bądź też, że jest płaska i spoczywa na wielorybie.

Rzecz jasna, że ta dziwna historia Polski — niezbędna z punktu widzenia interesów narodu i przydatna, czemuś służąca z punktu widzenia interesów ludzkości — nadaje określone piętno postawom społecznym Polaków, nadaje psychice polskiej określony koloryt narodowy.

To właśnie wielkość celów przyświecających nieodmiennie od wieku kilku pokoleniom, w połączeniu z praktycznym hartem, zdobywanym w toku wielokrotnych zrywów patriotycznych i rewolucyjnych, kształciła szczególne postawy ludzkie, stanowiące istotę „kolorytu narodowego": oddanie ideałom, wierność, ofiarność osobistą, męstwo, godność i dumę. Kształtowała wysoką cześć dla tak zwanych imponderabiliów, a nawet — zgódźmy się na to — stawianie ich wyżej ponad płaskie realia chwili. A więc to, co bywa nazywane polskim romantyzmem w historii i polityce.

Ten polski „koloryt narodowy" zabarwił w jakiś sposób światowy ruch robotniczy u jego zarania. Nie tylko dlatego, że jego początki — Pierwsza Międzynarodówka, Komuna Paryska — splatały się tak wyraźnie ze sprawą polską, a z kolei Polacy z całym bagażem swych doświadczeń walk o niepodległość tak ściśle spletli swoje losy z tym ruchem. Również dlatego, że ruch ten w swoich początkach tak daleki był od realizacji swych wielkich, dalekosiężnych celów. Jeśli bowiem Polacy raz po raz porywali się z kosami na armaty — światowy ruch robotniczy w połowie XIX wieku znajdował się wręcz (znowu z punktu widzenia europejskiego mieszczucha) w pozycji szaleńca porywającego się z motyką na słońce. Jeśli garstki polskich powstańców szturmowały garnizony najpotężniejszego cara Europy, to pierwsze oddziały zorganizowanego prole-

tariatu porywały się, by „szturmować niebiosa", cytadelę najpotężniejszego cara całego świata — Boga Kapitału. Wówczas też polskie nawyki i właściwości, polski „koloryt narodowy" jakże okazały się przydatne klasie robotniczej...

„Proletariat [...], który nie pozwala, aby go traktowano na równi z motłochem, uważa, że odwaga, godność osobista, duma i poczucie niezależności więcej dla niego znaczą niż chleb powszedni" [82]. Tak o duchu pisał największy materialista ludzkości, człowiek, który naukę o rozwoju społeczeństw, o historii ludzkości postawił „na nogi", osadził w realnym, materialnym świecie. Tak pisał Karol Marks. I on stawiał „romantyczne" postawy wyżej nad powszedni realizm współczesnego mu, przemądrzałego mieszczucha. Znał wagę ludzkiego ofiarnego, ideowego działania. A tani „realizm" nazywał po prostu filisterstwem.

GRZECHY ÓSME, CZYLI O CZYM W PIŚMIE GŁUCHO

„Krótki kurs historii Polski w siedmiu pogrzebach", będący przedmiotem zachwytu chwalców, a drwiny szyderców, ma wąsko zakreślone ramy. Pomija on zupełnie taki „detal" w historii Polski, jak działalność polskiego ruchu robotniczego, a także działalność narodu pod przewodnictwem rewolucyjnej partii.

Zjawisko to wielce interesujące i nieprzypadkowe. Myślę, że to pominięcie bynajmniej nie jest ani dowodem głębszego rozumienia tego okresu dziejów, ani dowodem szacunku twórców „krótkiego kursu" dla wysiłków wyzwoleńczych nowej, dziś zwycięskiej klasy. Świadczy raczej o zamierzonej ignorancji, planowym przemilczaniu.

Głucho w Piśmie świętym „obojga obrządków" o czynach ofiarnych i pełnych ofiar, o czynach odważnych i zgoła nierozważnych, o spiskowcach „Proletariatu", bojowcach roku 1905 i zamachowcach z KPP, o pochodach z gołymi pięściami na policyjne karabiny, o akcjach partyzantów i bitwach żołnierzy, którzy biało-czerwone łączyli z czerwonym. Nie udało mi się jakoś zaobserwować, by pióro wynoszące pod niebiosa bohaterów tego czy innego epizodu Września — co to „wszyscy co do jednego polegli" — drgnęło tym samym wzruszeniem kreśląc dzieje już nie „wszystkich", lecz tych, co istotnie polegli w zwycięskich bitwach, do

których prowadziła ich robotnicza partia. Nie zdarzyło mi się widzieć, by pióro, wytrząsające się nad „bohaterszczyzną" Polaków — bądź wskazywało na tę bohaterszczyznę w działaniach polskiej lewicy, bądź też tamtej, niepotrzebnej, przeciwstawiło ten rozsądnie bohaterski i mądrze pokierowany ludowy wysiłek.

Nie! Dzieje polskiego ruchu robotniczego, a także dzieje walki narodu pod przewodnictwem rewolucyjnej partii robotniczej nie stanowią dla twórców przejmującej wizji „losu Polaka" ani przedmiotu chwały, ani przedmiotu kpiny. Ani przedmiotu jakiegokolwiek zainteresowania. Dla nich — jakby nie istniały.

Pojawia się co prawda coraz więcej publikacji z dziejów tego ruchu — od cienkich przyczynków i zarysów do, co istotniejsze, grubych tomów dokumentów i relacji. Z okazji świąt i rocznic czasopisma zamieszczają liczne artykuły syntetyczne, refleksyjne wspomnienia i wywiady.

Ale przygotowują je „fachowcy wiedzy" — historycy ruchu robotniczego, lub „fachowcy czynu" — sami działacze, aktywiści historii. Jaki wpływ wywierają na atmosferę w środowiskach, w których lęgną się apokaliptyczne wizje polskiego losu i które artykułem, recenzją, a pośrednio i owocami twórczości artystycznej dyktują wzorce, wskazują przykłady odstraszające i wznoszą pomniki-postulaty?

Żaden. W rezultacie dzieje polskiego ruchu robotniczego nie są „powoływane" w dyskusjach o młodzieży, o wychowaniu, o przyszłości, gdyż nie zintegrowały się z całym bagażem psychologicznym, socjologicznym i historycznym, jakim operuje się u nas przy takich okazjach — nie weszły do „kanonu" wiedzy o narodzie.

A przecież te czyny i działania, o których w Piśmie głucho, to nierozłączny dalszy ciąg naszej historii, to kolejne (oczywiście odmienne klasowo, jakościowo róż-

ne, przełomowe, ale jednak kolejne) ogniwo w historycznym łańcuchu naszego rozwoju. Czyny i działania tego ruchu od pierwszych spisków proletariatczyków po ofiarę tysięcy peperowców poległych w walce z reakcyjnymi bandami, w walce o spokój i porządek na polskiej ziemi, o władzę ludu — to nierozłączny dalszy ciąg naszej narodowej historii, to kolejny etap sztafety dziejowej, sztafety pokoleń, w której jedni drugim przekazywali i nie rozwiązane problemy dla ostatecznego rozstrzygnięcia, i wykształcone środki i sposoby walki — cały nagromadzony przez pokolenia dorobek zarówno myśli teoretycznej, jak i praktycznych ludzkich postaw, właściwości psychicznych, charakterów. Te nowe, proletariackie już działania i czyny cechuje — i musi cechować — ten sam koloryt narodowy. I jeśli tamte stanowią siedem grzechów (czy siedem anielskich uczynków) naszego narodu, to te następne — proletariackie i ludowe — nie tak znów bardzo różnią się od nich. W swej barwie zewnętrznej, w swym kształcie, kolorycie są takimi samymi „anielskimi uczynkami" czy też, jeśli kto woli, „grzechami głównymi" naszego narodu w nowej sytuacji historycznej.

Dużo jest tych grzechów, nie mieszczą się w biblijnej, rytualnej siódemce. Są to polskie grzechy ósme, grzechy również zuchwalcze. Grzechy zuchwalstwa uwieńczonego powodzeniem.

Nie wierzmy szeptowi szyderców, iż czyny te z góry „skazane" były na sukces, że już Waryński miał zwycięstwo socjalizmu w Polsce niejako w kieszeni, że niczym jest ofiarność, odwaga, wolna wola i swobodne a mężne decyzje rewolucjonistów, skoro pracowała na nich historia, ekonomika, zbuntowane przeciwko stosunkom produkcji siły wytwórcze, które przecież zawsze muszą zwyciężyć... Nie wierzmy szydercom. Korząc się przed zwycięską dzisiaj siłą historii, składają

hołd nie słuszności i sprawiedliwości socjalizmu, lecz... jego władzy, panowaniu. Historia nie dzieje się sama, historię tworzą ludzie. Tworzą ją poprzez politykę — walkę. Zaś prawo dziejowe — najpotężniejsze nawet prawo dziejowe — jak każde prawo w społeczeństwie musi znaleźć wykonawców. Nie pomniejszajmy roli inicjatywy i ofiarności ludzkiej, odwagi myśli i męstwa działania. Tego właśnie, co stanowi „koloryt narodowy" historii Polski — a także zarówno polskiego, jak i światowego ruchu robotniczego. Nie pomniejszajmy roli człowieka.

Małe przypomnienie szturmowania nieba

Trudno jest spojrzeć wstecz i trudno wczuć się w okoliczności i warunki dawno minionej epoki. Dzisiaj nad trzecią częścią ludzkości powiewają czerwone sztandary i nasz czytelnik z trudem tylko może zrozumieć, że niegdyś do pochodu pierwszomajowego wcale nie zachęcano w biurach, instytucjach i zakładach pracy, lecz wprost przeciwnie — pochody te spotykano nieraz kulami.

Przed 115 laty komunizm światowy dysponował jedną kilkudziesięciostronicową książeczką, w której nikt jeszcze nie podejrzewał bomby, a kilkunastu zwolenników tego kierunku stanowiło grupkę tak śmiesznie niepoważną — ze swym programem całkowitej przebudowy całego świata — że nawet najgłupsza i najbardziej strachliwa prowincjonalna policja nie uważała za potrzebne ich zamknąć. Powiedzieć, że porywali się z motyką na słońce, to zbyt mało. Nie mieli nawet motyki, a porywali się na całą konstelację słońc. Rothschild i Krupp, Mikołaj I i Napoleon III — to gwiazdy pierwszej wielkości. Całe niebo usiane gwiazdami.

I to właśnie niebo — nie mierząc, jak do niego daleko, i nie licząc, ile gwiazd na nim jaśnieje — szturmował odważnie światowy ruch robotniczy już w pierwszych dziesięcioleciach swego istnienia.

Czymże wobec potęgi starego świata były jednostrzałowe chassepoty gwardii narodowej miasta Paryża? A jednak gdy zerwali się do beznadziejnej walki, Marks sławił „szaleństwo odważnych" paryżan, popierał ich, pochwalał i stawiał za wzór [83].

Broniąc zaś komunardów przed zarzutem nierozsądku, romantycznego szaleństwa, które kazało im podjąć niepotrzebną, z góry skazaną na klęskę bitwę, Marks pisał: „Bardzo wygodnie byłoby tworzyć dzieje świata, gdyby walkę podejmowano wyłącznie pod warunkiem niewątpliwych widoków powodzenia". Robotnicy paryscy stali „wobec alternatywy: podjąć walkę lub ulec bez walki". W tym ostatnim wypadku — zdaniem Marksa — „demoralizacja klasy robotniczej byłaby nieszczęściem o wiele większym niż strata dowolnej liczby «przywódców» "[84].

Tę prawdę — jakże daleką od pedantyzmu buchalterów historii, sklepikarskich realistów, którym życie zapełnia liczenie szans, liczenie tak dokładne, tak drobiazgowe, że nie zostaje czasu ni siły na działalność — przypominał Lenin wówczas, gdy bojownicy opłakiwali, a „buchalterzy" opluwali drugie pokonane powstanie robotnicze — rosyjski rok 1905.

W grudniu 1905 roku, gdy do zbrojnej walki porwała się moskiewska Czerwona Presnia — rewolucyjnego dynamitu było w Rosji wiele, a carat osłabiony był wojną z Japonią. Jednakże dynamit sam nie wybucha, a mandżurskie pola klęsk — były daleko. Weźmy rzecz realnie. Czerwona Presnia rzuciła do walki 450 członków „drużyn bojowych", uzbrojonych w pistolety i bomby własnej roboty. Tymczasem sam mo-

skiewski dywizjon żandarmerii liczył 6 tysięcy ludzi. Trudno mówić o całej armii, ale była „zawsze wierna" gwardia. Samych oficerów miała Rosja 120 tysięcy. Murem za carem stało jedenaście dobrze nadzielonych ziemią wojsk kozackich, a wśród nich „wsiewielikoje" wojsko dońskie. Tak to wyglądało w grudniu 1905 roku!

Czyż więc nie piękny przykład romantycznego szaleństwa — z browningiem przeciw korpusom kozackim i całym brygadom artylerii gwardii? A przecież Czerwoną Presnią szczyci się rosyjski i światowy ruch robotniczy.

Szyderców jednak nie brakło; również w samym ruchu robotniczym — wśród mienszewików.

„Obecnie — pisał Lenin wkrótce po klęsce powstania — bardzo rozpowszechnione jest u nas, niestety, jakieś bezzębne, w istocie rzeczy czysto kadeckie chichotanie na temat «browningów» i «drużyn bojowych». Nikomu nie starczy odwagi i szczerości, [...] by powiedzieć, że powstanie jest niemożliwe i że nie należy go przygotowywać. Ale pochichotać na temat wojennych działań rewolucjonistów bardzo lubimy" [85].

Gdy przywódca mienszewików rosyjskich, wybitny wówczas marksista-teoretyk Plechanow, potępił po klęsce powstanie i stwierdził, że „nie trzeba było chwytać za broń!" — Lenin przeciwstawił się tej opinii, powołując się właśnie na zdanie Marksa o Komunie Paryskiej [86].

„O, jak szydziliby wówczas z Marksa nasi współcześni «realistyczni» mędrcy, [...] którzy [...] gromią w Rosji rewolucyjną romantykę! Jak drwiliby ludzie z materialisty, ekonomisty, wroga utopii, który chyli czoło przed «próbą» szturmowania nieba!" [87]

„Pedanci marksizmu myślą: to wszystko etyczna gadanina, romantyka, brak realizmu! Nie, panowie — jest to połączenie rewolucyjnej teorii z rewolucyjną poli-

tyką. [...] I nie jest marksistą ten, kto teorię trzeźwo stwierdzającą obiektywną sytuację zniekształca dla usprawiedliwienia istniejącego stanu rzeczy, dochodząc aż do zamiaru jak najszybszego przystosowania się do każdego chwilowego upadku rewolucji, jak najszybszego porzucenia «rewolucyjnych złudzeń» i przystąpienia do «realnego» zbierania okruchów" [88].

Tak więc również drugi wybitny materialista i rewolucjonista, teoretyk najbardziej realistycznej myśli, a zarazem przywódca najbardziej romantycznego rewolucjonizmu — Włodzimierz Lenin — nisko, jak widać, cenił sobie „realne zbieranie okruchów", przekładając ponad nie „rewolucyjne złudzenia". Przegraną bitwę, stłumione powstanie ocenił lapidarnie: „Klasa robotnicza Rosji dowiodła już raz i jeszcze niejednokrotnie dowiedzie, że zdolna jest «szturmować niebo»" [89].

„Małe przypomnienie szturmowania nieba" potrzebne jest nam po to, by dostrzec, że męstwo, odwaga, szaleńcza nawet śmiałość historycznych inicjatyw — ten koloryt naszych polskich „grzechów ósmych", nie jest właściwy wyłącznie i jedynie dziejom Polski. Jest zarazem kolorytem międzynarodowego rewolucyjnego ruchu robotniczego, komunizmu walczącego. I ten właśnie narodowy polski i międzynarodowy robotniczy koloryt patriotycznych i rewolucyjnych zrywów lśni wszystkimi barwami w wydarzeniach stosunkowo niedawnych, w tych wydarzeniach czasów drugiej wojny światowej, które legły u podstaw współczesnej niepodległej i ludowej, socjalistycznej Polski. Te wydarzenia, te nasze „grzechy ósme" — to przecież fakty najbardziej znane, wydarzenia, których daty stały się celebrowanymi dziś uroczyście i urzędowo rocznicami, świętami. Celebrowanymi tak wzniośle, że dawno zatracił się w naszej pamięci ich kształt rzeczywisty —

ówczesny smak, jakże ułański, jakże szwoleżerski, jakże tradycyjnie straceńczy.

Czymże jest chodzenie z dubeltówkami na karabiny wobec wypraw pierwszych partyzantów Gwardii Ludowej, którzy nawet i tej dubeltówki nie mieli... Czymże jest somosierskie szarżowanie z szablami na armaty wobec tego zrywu polskiej piechoty, wobec piekielnej dynamiki — i bojowej, i politycznej — kościuszkowców, bardziej sercem gorącym niż karabinem łamiących za jednym zamachem i pozycje niemieckiej obrony między Trigubową i Połzuchami, i polarne lody wzajemnej nieufności, latami narastające nieprzebytą przeszkodą w stosunkach między Związkiem Radzieckim a Polską?

Były to czyny zrodzone z ogromnej, bezprzykładnej — nawet w historii tak bogatej w dowody męstwa, jak historia Polski — odwagi myśli i męstwa działania. Ostatecznie przyniosły zwycięstwo i dlatego widać rychło zapomnieliśmy, jakim bohaterskim zrywem ducha były, gdy się działy.

Trudno jest cofnąć się wstecz i ujrzeć fakt historyczny tylko w świetle okoliczności, które mu towarzyszyły, i przyczyn, które go rodziły — wyłączając naszą dzisiejszą wiedzę o skutkach tego faktu, o dziejowym wyroku, jaki wydała na niego późniejsza rzeczywistość, Historia.

A jednak spróbujmy. Spróbujmy cofnąć się do dnia, w którym gdzieś przy zaciągniętych storach wojennego „zaciemnienia", w skromnym mieszkaniu żoliborskim, być może właśnie w mieszkaniu cichego, nieśmiałego inżyniera, jednego z wielu pracowników Zarządu Miasta Warszawy — z namysłem, powoli spływały na papier teraz już historyczne słowa: „Gwardziści, partyzanci! Dziś zgodnie z obowiązkiem wiernych synów Polski wyruszacie w pole..."

Punkt wyjścia: Apogeum mocy

Wczesna, ciepła wiosna roku 1942 szybko rozkwita i żółknie w upalne lato. Dziś niemal automatycznie dopowiadamy sobie: lato przedstalingradzkie. Wówczas Stalingrad nie istniał jeszcze na mapie drugiej wojny — i w ludzkiej świadomości. Wówczas znano tylko przeszłość — i dzień dzisiejszy: dobiegał trzeci rok wojny, siódmy rok nieprzerwanych i niepowstrzymanych triumfów Hitlera.

Łatwo je wymienić, trudniej ocenić dzisiaj tę lawinę uderzeń, zdolną złamać najszlachetniejszą nawet ludzką wiarę w ostateczny triumf Dobra nad Złem. Nadrenia, Austria, Sudety, Czechy, Kłajpeda, Słowacja. Potem — już w łunach pożarów, wyciu stukasów i zgrzycie czołgowych gąsienic — Polska, Dania, Norwegia, Holandia, Belgia, Francja... FRANCJA — zwycięzca pierwszej wojny, jak mniemano — największa lądowa potęga Europy... Haniebna angielska katastrofa: Dunkierka. Dalej — Jugosławia, Grecja, Kreta... Pokojowa kolaboracja — w istocie kapitulacja — Węgier, Rumunii, Bułgarii, wojenny sojusz z Włochami, desant w Afryce, katastrofa Anglików w Cyrenajce... A wreszcie 22 czerwca 1941 — i niezrozumiałe, zaskakujące swym ogromem klęski wojenne ZSRR w pierwszym okresie wojny. Mińsk, Kijów, Rostów, Niemcy u wrót Leningradu, Moskwy, na przedpolach Kubania... A na dalekim, szerokim świecie — Rommel w Afryce rwie ku Aleksandrii. I nowa niezrozumiała i zaskakująca klęska: Pearl Harbour — katastrofa USA, największej potęgi finansowej i technicznej ówczesnego świata.

W ciągu trzech lat padło więcej stolic tysiącletnich państw i więcej niezwyciężonych fortec — od Warszawy i Helu po Singapur i Corregidor — niż ich

zdołał spamiętać przeciętny uczeń szkolny. Ciężko i boleśnie uczyliśmy się geografii świata. Nie palec nauczyciela, lecz ołówek wrogiego sztabowca i komunikaty Oberkommando der Wehrmacht wskazywały nam najważniejsze punkty kuli ziemskiej. Tak, oczywiście, była bitwa pod Moskwą, kontrofensywa radziecka, lecz i ona utknęła gdzieś przed wiosną roku 1942. Fakt pozostawał faktem: w środku Europy wyrosło imperium wojenne sięgające niemal od Gibraltaru po Morze Białe, przedpola Moskwy, stepy Kubania, wrota Azji i piramidy Egiptu.

Można było się oczywiście pocieszać, oglądając na mapie gigantyczne rozmiary krajów demokratycznych walczących przeciwko agresywnej koalicji faszystowskiej czy z rocznikiem statystycznym w ręku wyliczając ich niezmierzony potencjał ludnościowy i produkcyjny. Jednakże od trzech lat czołgi Guderiana i stukasy Kesselringa wywracały do góry nogami wszystkie statystyki, a bredzenia Hitlera o dziejowej Misji długogłowych blondynów, o otaczającej Germanów szczególną opieką Opatrzności oraz o nadludzkiej Intuicji samego wodza zgoła mogły uchodzić za prawdy obiektywne i rzetelne przewidywania, gdy punkt za punktem i fakt za faktem stawały się rzeczywistością, a więc pozornie znajdowały potwierdzenie w praktyce życiowej.

Co widział, o czym wiedział pozbawiony praw Polak nad Wisłą wiosną 1942 roku? Szczekaczki zachłystywały się triumfalnymi komunikatami: „Deutschland siegt am allen Fronten!" „Siegt" gdzieś o tysiąc kilometrów od Polski — pod Rżewem, Charkowem i Rostowem. Właśnie padł Sewastopol. Rommel z szybkością 100 kilometrów dziennie rwał ku Kanałowi Sueskiemu, skapitulował „niezdobyty" Singapur, na

półwyspie Bataan składały broń resztki armii amerykańskiej.

Na oczach tego Polaka przez magistrale kolejowe Polski przewalało się na wschód 69 nowych niemieckich dywizji, setki marszbatalionów na uzupełnienia 156 dywizji już tam walczących. Tamże śpieszyło 35 dywizji Włochów, Rumunów i Węgrów. A jednocześnie z taśm produkcyjnych imperium zbrojeniowego Goeringa i Speera schodziło dzień w dzień po 25 czołgów, 33 działa, 40 samolotów, a liczebność samych tylko niemieckich sił zbrojnych sięgnęła 10 milionów żołnierzy.

Była to potęga, jakiej nikt nad Wisłą nigdy jeszcze nie widział. Z tym przeciwnikiem największe mocarstwa świata zmagać się miały jeszcze przez trzy lata.

Punkt wyjścia: Apogeum grozy

A tu, w naszym polskim kącie Europy, rozdartym między Rzeszę i Gubernię, stłamszonym gąsienicami czołgów, zamarłym i trupio cichym w wyciu policyjnych syren i tupocie butów żandarmskich patroli? Przeszło 300 batalionów niemieckich stacjonujących w Polsce dość wyraźnie dawało odczuć niewiarygodną potęgę 1000-letniej Rzeszy.

Masowy, publiczny, demonstracyjny terror zaczynał dopiero narastać. Planową likwidacją objęto tymczasem „elitę" narodu — ludzi wszelkich kierunków i ugrupowań, zdolnych przejawić inicjatywę. Resztę spychano na dno nędzy i upodlenia, ograbiano, chwytano w łapankach na roboty w Niemczech lub do obozów.

Właśnie latem 1942 roku mówił generalny gubernator Hans Frank: „Udało mi się dostarczyć Rzeszy 600

tysięcy ton ziarna chlebowego, a ponadto 180 tysięcy ton siłom zbrojnym, które tu się znajdują. Poza tym sięgająca tysięcy ton obfitość innych artykułów, jak nasiona, tłuszcze, jarzyny, oprócz tego dostawa do Rzeszy 300 milionów jaj. [...] Podjęto dodatkowe zobowiązania wysłania 500 tysięcy ton ziarna chlebowego. [...] Jeśli porównacie to z naszymi świadczeniami z ubiegłego roku, zobaczycie, że oznacza to sześciokrotny wzrost" [90].

„W ostatnim roku rekwizycji ubyło ponad 20 procent wszystkiego bydła w Generalnym Gubernatorstwie. Jeśli chcemy mieć 120 tysięcy ton mięsa, musimy poświęcić 40 procent pozostałego stanu bydła" [91]. Prezydent rządu Generalnego Gubernatorstwa, Naumann, do którego należą te słowa, obok wykazu bydła potrzebnego Rzeszy miał również inny wykaz: wyniki oficjalnych badań nad wyżywieniem w Generalnym Gubernatorstwie, prowadzonych przez doktora Wahlbauma, który stwierdził, iż „większość Polaków otrzymuje tylko około 600 kalorii, podczas gdy normalne zapotrzebowanie człowieka wynosi 2 200 kalorii" [92].

„Jestem rad — mówi generalny gubernator Frank latem 1942 roku — że mogę pana poinformować oficjalne, parteigenosse Sauckel, że dotychczas odesłaliśmy do Rzeszy ponad 800 tysięcy robotników. Niedawno zażądał pan dalszych 140 tysięcy robotników. Na przyszły rok może pan liczyć — oprócz tych 140 tysięcy — na dalszych robotników z Generalnego Gubernatorstwa, gdyż do rekrutacji użyjemy policji" [93].

Znakomita niemiecka administracja sprawnie rozsyłała zawiadomienia tej treści:

„Na zasadzie obowiązującego dekretu, dotyczącego rekrutacji robotników, z dnia 13 maja 1942 roku, kieruję pana do pracy w Rzeszy. W razie niezastosowania się do tego nakazu pracy członkowie pańskiej rodziny

(rodzice, żona, bracia i siostry, dzieci) zostaną umieszczeni w karnym obozie policyjnym..." [94]

Niemcy sprawowali w Polsce władzę absolutną. Od Warszawy, gdzie troską przechodnia na ulicy było, jak dostrzec na czas nadjeżdżającą „budę" i jak uniknąć łapanki, aż po najbardziej zapadłą prowincjonalną wieś, gdzie przed najparszywszym niemieckim konfidentem trzeba było zejść ze ścieżki, zdejmując pokornie czapkę — nikt nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości.

Było oczywiste, że Niemcy są potęgą, przed którą chcąc nie chcąc trzeba się ukorzyć. Nie było wcale oczywiste, czy uda się to wszystko jakoś przetrzymać. Tymczasem okupant dopiero rozpoczynał „likwidację" gett i do Treblinki przybywały co dzień trzy transporty po 60 wagonów każdy. Palono t y l k o 10—12 tysięcy ludzi dziennie. Lecz po inspekcji Himmlera w Oświęcimiu już rozpoczęto rozbudowę tego „kombinatu". Stosowane dotychczas grzebanie pomordowanych w płytkich rowach w lesie pod Brzezinką okazało się być niedopuszczalnym błędem. Trzeba było je przegarniać płomieniem z miotaczy ognia. Dwie prymitywne, przerobione z chat chłopskich komory gazowe i jedno krematorium o znikomej wydajności 300 trupów dziennie nie mogły, rzecz jasna, sprostać nowym ogromnym zadaniom — zadaniom roku 1942. Znana ze swej solidności, a zarazem szybkości pracy erfurcka firma J. A. Topf i Synowie rozpoczęła już budowę czterech wielkich, nowoczesnych krematoriów, sprzężonych z komorami gazowymi. Dzień w dzień pracowało przy tej inwestycji 8 tysięcy więźniów. Konzentrationslager Auschwitz dopiero miał osiągnąć swoją pełną zdolność produkcyjną — 24 tysiące trupów dziennie... A Reichsführer SS, Himmler, jeszcze dobrotliwie upominał

swych podwładnych, opracowujących „plan generalny Ost", że 20 lat na ostateczne rozstrzygnięcie kwestii polskiej „to jednak za dużo..." [95]

Grzechy ósme:
Czternastu z jednym karabinkiem

„Gwardziści, partyzanci! Dziś zgodnie z obowiązkiem wiernych synów Polski wyruszacie w pole..."

Ludzie, którzy formułowali te słowa, ludzie, których te słowa dotyczyły, nie ulękli się strzegących nowego ładu 300 faszystowskich batalionów, inwestycji oświęcimskich i „generalnego planu Wschód". Nie ulękli się potęgi III Rzeszy, która za nimi stała, a przed którą pokornie schyliły głowę prawie wszystkie europejskie stolice. Ludzie, których te słowa dotyczyły, kończyli właśnie swoje przygotowania bojowe w ogródku Stanisława Grunwalda w Chylicach pod Warszawą. Niektórym z nich udało się oddać po jednym strzale „szkolnym" z pistoletu. Ludzie — zresztą, powiedzmy konkretnie — to było czternastu ludzi: student Politechniki Warszawskiej Franciszek Zubrzycki, robotnik z Targówka Marceli Rostkowski, trzej robotnicy i dwaj czeladnicy z Marymontu, dwaj urzędnicy i dwaj 16-letni uczniowie z Żoliborza oraz trzej żołnierze radzieccy, zbiegli z niemieckiej niewoli. Ta czternastka wyjeżdżała w maju 1942 roku pociągiem z Warszawy pod Piotrków, zabierając ze sobą niemal cały „centralny arsenał" Gwardii Ludowej: jeden ucięty karabin — „obrzynek", sześć pistoletów i dwanaście własnej roboty granatów ręcznych — filipinek. Zabierali też klucze do rozkręcania szyn i piły do ścinania słupów telegraficznych [96].

„Gwardziści, partyzanci!... Nie jesteście ostatni, za

wami pójdą inni" — mówił ten pierwszy rozkaz, 15 maja 1942 roku. W dwa tygodnie później wyruszył drugi centralnie sformowany oddział Gwardii Ludowej — oddział Augusta Langego. Było w nim dwóch dąbrowszczaków, czterech gimnazjalistów, jeden szewc, trzech robotników i jeden chłopiec. Po prostu chłopiec — 14-letni Czesław Orłowski. Mieli jeden rkm, 9 pistoletów, 15 granatów, a ponadto „klucze do rozkręcania szyn, nożyce do cięcia drutu oraz linkę stalową" — jak powiada historyk [97]. Wynikałoby z tego, że pił do ścinania słupów już nie dostali. Widocznie zabrakło pieniędzy. Nie byłoby w tym nic dziwnego, skoro zważymy, że ówczesna drukarnia centralnego organu partyzantów, „Gwardzisty" — jeden powielacz i jeden człowiek oraz kolportaż (dwie dziewczyny) — nie miała czym zapłacić komornego za swój „lokal produkcyjny", a na prywatny użytek nie miała nawet łyżki i wynoszoną z fabrycznej stołówki zupę, która stanowiła jedyne pożywienie tego zespołu, siorbano po prostu po kolei z jednej menażki [98].

Jeśli istotnie w historii Polski wyodrębnić można ciąg czynów tzw. szaleńczych, ciąg czynów, gdzie między środkami a celami, między siłami własnymi a siłami przeciwnika widzimy kosmiczną wprost dysproporcję, to na pierwszym miejscu na liście tych „polskich szaleństw" czy „grzechów" winien się znaleźć ten właśnie: polityczno-bojowa inicjatywa Polskiej Partii Robotniczej wiosną 1942 roku, pierwsze dni Gwardii Ludowej.

„Trzeba było naprawdę wielkiej odwagi, wiary najlepszych w Polskę Ludową, by iść w te dni z tak prymitywną bronią do lasu [...], przejść przez polską wieś z polską piosenką, aby siąść na torach i rozkręcać szyny rękami, gdy nie było trotylu" [99] — napisze póź-

niej o tych czasach pierwszy szef sztabu Gwardii Ludowej, marszałek Polski inż. Marian Spychalski.

Ludzie partii i GL zbuntowali się przeciwko największej potędze imperialistycznego świata, a także przeciwko zwątpieniu, bierności, przerażeniu, przeciwko poczuciu bezsilności, jakie w miarę sukcesów niemieckich ogarniało kraj.

W „dystrykcie radomskim", dokąd jechał „Mały Franek" ze swoją czternastką, jego przeciwnik, dowódca SS i policji SS-Oberführer Böttcher, posiadał do wyłącznej dyspozycji (nie licząc stacjonującego tamże Wehrmachtu) 11 batalionów policji niemieckiej (10 tysięcy ludzi) oraz przeszło 16 tysięcy policji polskiej i ukraińskiej [100]. Pierwszy oddział partyzancki Gwardii Ludowej miał nie tylko atakować przeciwnika. Miał wioskom kieleckim pokazać znowu polskie wojsko, miał śpiewać polskie żołnierskie piosenki, miał pokazać, że wszystko to jest jeszcze możliwe, że niekoniecznie trzeba ustępować z drogi każdemu żandarmowi, bahnschutzowi, policjantowi czy po prostu volksdeutschowi.

Czy wówczas, wiosną 1942 roku, istotnie było aż tak źle? Czy rzeczywiście trzeba było budzić zamarłą wiarę w zwycięstwo, wiarę w przyszłość? Powiedzmy sobie otwarcie: tak.

Dziś, z perspektywy lat, wydarzenia okupacji widzimy jak gdyby zagęszczone, jak w perspektywicznym skrócie, gdzie nakładają się na siebie i stoją obok siebie wydarzenia i nastroje z różnych przecież czasów. Rozkwit państwa podziemnego, niepodległościowej propagandy antyniemieckiej, sabotaże, słynne zamachy, walki, bitwy i potyczki — wszystko to zlewa się nam w jedną masę. To wszystko było, ale było przeważnie później. Nie tylko Café Club i KKO (jesień 1942), ale tym bardziej głośne akcje AK: „100 milionów" (sierpień

1943), Kutschera (luty 1944). Wówczas, wiosną 1942 roku, po pierwszym ożywieniu z lat 1939/40, po załamaniu się nadziei na Francję, po rozkazach i zaleceniach „Londynu", by nie ryzykować w walce, po serii niemieckich sukcesów — wszystko umilkło, przycichło, zamknęło się w sobie. 15 grudnia 1941 roku generalny gubernator Frank przyjął byłego posła polskiego w Berlinie „von Wysockiego" (którego uważał za łącznika ze społeczeństwem polskim) i wyraził mu swoje zadowolenie z powodu „lojalnej postawy społeczeństwa polskiego w GG". Sądził on, że „przy rozsądnym obustronnym zrozumieniu istnieje możliwość utrzymania pokoju na tym terenie" [101].

Podobnie oceniał sytuację w tym okresie w swojej analizie okresowej wydział informacyjny BIP-u Komendy Głównej ZWZ: „Siła i przejawy ruchu oporu w Polsce są na ogół słabe i przejawiają się na nielicznych odcinkach. [...] Nie znajdujemy się w pełni nawet w defensywnej pozycji. Oddajemy wrogowi wszystko, co tylko on chce wziąć. [...] A okupant bynajmniej nie wykazuje dobrej woli, by pozwolić społeczeństwu polskiemu przetrwać okres okupacji" [102].

Daleko jeszcze do tego obrazu Polski — „Bandengefahrgebiet" — „kraju opanowanego przez bandy", jak mówili później Niemcy, tego kraju niepokonanego, buntowniczego, dumnie odpowiadającego zamachem na egzekucję, „eksem" na kontyngenty.

Z paraliżu grozy i niewiary we własny wysiłek miały go obudzić dopiero strzały partyzantów.

Dziś rozumiemy, iż swoją inicjatywę polityczną i bojową Polska Partia Robotnicza oparła na chłodnej, naukowej analizie biegu wydarzeń historycznych i aktualnej sytuacji. Wiemy, iż analiza ta i wyciągnięte wnioski okazały się — dzięki prawidłowemu zastoso-

waniu wskazań marksizmu do rzeczywistości polskiej — w pełni słuszne.

Partia bowiem potrafiła właściwie ocenić nietrwałość ówczesnej sytuacji. Za potęgą hitleryzmu dostrzegała jego wewnętrzną słabość. Za chwilowymi klęskami ZSRR — jego rosnącą potęgę. Za paraliżującym działaniem hitlerowskiego terroru — jego pobudzające do walki skutki. Za paraliżem bierności i dezorientacją narodu — męczące, bolesne poszukiwanie drogi wyjścia, której dotąd nikt nie potrafił narodowi wskazać.

Rachunek był prawidłowy i wynik nie mógł być inny...

Jednakże byt społeczeństw i społeczne działanie, los narodów i poszczególnych ludzi to nie jest elementarna arytmetyka. W historii bywają sytuacje, w których wielką odwagą myśli jest powiedzieć, iż $2 \times 2 = 4$, a wielkim męstwem, bohaterstwem jest oprzeć swe działanie na tym prostym rachunku.

Niezależnie od naukowej słuszności stanowiska PPR, od ostatecznego jego zwycięstwa — prócz chłodnego rozumu dostrzec w nim trzeba również tę „gorącość serca", bez której nie ma ani inicjatywy, ani programu rewolucyjnego działania, ani tym bardziej samego działania. Dostrzec trzeba ową realną sytuację roku 1942 — szczytu niemieckiej potęgi i dna zastraszenia.

Dla człowieka bowiem, a ludzie tworzyli linię partii i realizowali ją zbrojnie w szeregach GL, porwać się z jednym karabinkiem na 300 okupacyjnych batalionów, rzucić w sterroryzowane, wykrwawione, przytłoczone potęgą niemiecką masy hasło natychmiastowej walki zbrojnej — było wówczas odwagą szaleńczą. Było przejawem ducha na pewno nie mniej romantycznego i ofiarnego niż ten, który ożywiał kosynierów Kościuszki i powstańców 1863 roku. Było dowodem niezmierzonej wiary w poczucie godności, męstwo i pa-

triotyczne oddanie narodu. I było zarazem przejawem ogromnej wiary w słuszność swojej drogi, w to, że istotnie ma się jedyną prawdziwą receptę na przyszłość Polski, i w to, iż tę receptę — program walki o Polskę niepodległą i nową, ludową — masy ludowe zrozumieją od pierwszego słowa i poprą. Bez tej wiary nic nie byłoby możliwe.

Nie upraszczajmy bowiem sprawy. „Grzech ósmy" naszego narodu, „grzech" gwardzistów, jest grzechem podwójnym. Porwali się przeciw tysiąckrotnie silniejszej potędze wroga. Zarazem porwali się przeciwko tysiącletniej potędze starego. Chcieli nie tylko Polski — wbrew okupantowi. Chcieli Polski i n n e j — wbrew wszystkim uprzednio już zorganizowanym siłom politycznym w Polsce.

Rozpoczynając swoją działalność organizacyjną i bojową nie wchodzili w „pustą przestrzeń" między sterroryzowanymi masami a butnym okupantem. Wchodzili w przestrzeń opanowaną i wojskowo, i organizacyjnie, i ideologicznie przez różne organizacje o różnych programach i różnej treści, które jednak wszystkie łączyło to, iż reprezentowały stary świat, starą Polskę, Polskę kapitalistyczną. Dla wszystkich tych sił czternastu z jednym karabinkiem było jeśli nie otwartym wrogiem, to przynajmniej konkurentem do władzy, a więc wrogiem potencjalnym.

Kiedy na ręcznym powielaczu odbijano pierwsze egzemplarze „Gwardzisty" z rozkazem do wyruszających w pole, w podziemiu wychodziło około 300 gazet, reprezentujących bogaty wachlarz kierunków — od otwartego faszyzmu polskiego, który z czasem miał się stać zwykłą niemiecką agenturą, poprzez organy rządowe aż po strasznie „czerwone" superlewicowe grupki hura-rewolucjonistów. Niektóre z tych kierunków: Delegatura, Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo

Ludowe — były mocno zakorzenione w terenie, liczyły dziesiątki tysięcy zorganizowanych zwolenników. Oprócz potężnego podziemia „oficjalnego", rządowego, istniało także nader rozbudowane podziemie jeszcze nie scalone, opozycyjne z lewa i z prawa. Stronnictwo Ludowe i Bataliony Chłopskie liczące już wówczas, jak sądzę, kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Stronnictwo Narodowe i Narodowa Organizacja Wojskowa — prawdopodobnie do 70 tysięcy ludzi. Wiele mniejszych grupek, w tym również takich, które bez skrupułów na pierwszym planie stawiały ostateczne wytępienie w Polsce komuny, „bolszewików".

Delegatura rządu posiadała rozbudowaną administrację podziemną od centrali nieomal do gminy, liczne wykwalifikowane kadry, sprawną łączność, informację, kolportaż. Podziemie rządowe posiadało pieniądze. Tylko w ciągu dziewięciu miesięcy na przełomie lat 1942/43 otrzymało z zagranicy 13 milionów dolarów i 5 milionów marek niemieckich, nie licząc podrobionych okupacyjnych „młynarek" oraz innych walut. Licznemu aparatowi cywilnemu i wojskowemu podziemia rządowego można było wypłacać regularne pensje w wysokości 16—18, 10—12 albo tylko 6—9 dolarów miesięcznie [103]. Nie jest to wiele — od 400 do 1 300 ówczesnych złotych miesięcznie. Ale zespół „Gwardzisty" — jak przypomnimy — żył wówczas z fabrycznej zupy kolporterek, które równocześnie pracowały w niemieckiej fabryce, zarabiając po 200 zł.

Podziemie rządowe miało broń. Sam tylko Okręg Warszawski posiadał na przykład zamelinowanych z Września 135 cekaemów, 190 erkaemów, 6 045 karabinów, 1 070 pistoletów, 7 561 granatów, 7 działek ppanc. i 819 900 sztuk amunicji strzeleckiej [104].

Broń ta jednak nie została wydobyta, niszczała we wrześniowych kryjówkach i po roku nie nadawała się

już do użytku. Gwardziści mieli — jak wiemy — kilka karabinów, kilkanaście filipinek, piły i słynną linkę. Dopiero potem uzbroili się — niemal wyłącznie ze zdobyczy.

Podziemie rządowe miało kadrę — polityków, administratorów, oficerów. Gwardia miała jakże nieliczną garstkę zahartowanych w walce komunistów, bez doświadczenia wojskowego, tylko kilku przedwojennych zawodowych oficerów polskich, którzy naprawdę głęboko przemyśleli Wrzesień, kilkunastu lewicowych inteligentów — oficerów rezerwy. Dopiero potem — kilkudziesięciu dąbrowszczaków, oficerów armii Ludowej Hiszpanii, a z czasem i kilkudziesięciu oficerów radzieckich, zbiegłych lub odbitych z niemieckich obozów jenieckich.

Oficjalna armia rządowa — Związek Walki Zbrojnej — ujęła już organizacyjnie teren, miała rozbudowane sztaby — komendę główną, obszary, okręgi, rejony, miała zarejestrowanych i zaprzysiężonych 6 316 oficerów, 26 376 podoficerów, miała 2 469 zorganizowanych plutonów „pełnych i szkieletowych", zakonspirowanych w terenie [105]. Nie miała tylko oddziałów partyzanckich i — poza bardzo nieliczną grupą bojowców przeznaczonych do wykonywania akcji (głównie samoobrona instytucji, sieci łączności oraz tępienie zdrajców) — nie miała oddziałów walczących. GL stworzyła je pierwsza. I od tej chwili pierwsza odkrywała i dyktowała formy walki z najeźdźcą, porywając do niej ludzi dotychczas biernych lub uprzednio gdzie indziej „zorganizowanych", a w końcu — całe inne organizacje.

Kiedy zaś czternastu z jednym karabinkiem uderzyło na najeźdźcę, i t y l k o n a n a j e ź d ź c ę, okupanta, musiało się jednak liczyć z tym, że może się stać obiektem ataków wszystkich tych grup i ugrupowań.

Rozumiano, że atakować należy policję okupanta, lecz bronić się będzie trzeba również przed policjami, żandarmeriami, strażami i bojówkami wielu polskich organizacji podziemnych. Organizacji polskich klas posiadających.

I jeśli gwardziści zbrojnie mieli wygrać pojedynek z władzą okupanta, to zarazem politycznie musieli wygrać bitwę o rząd dusz w narodzie, bitwę o poparcie ze strony narodu, o jego zaufanie. Tę zaś bitwę trzeba było staczać przeciwko całemu zorganizowanemu uprzednio i okrzepłemu już podziemiu, reprezentującemu różne nurty „starej" Polski.

Teoretyczne możliwości i historyczna rzeczywistość

Pamiętajmy: trudno jest wczuć się w okoliczności dawno minionego czasu. Dziś wiemy, że bitwę tę wygrano, że Gwardia Ludowa, realizując strategię PPR, potrafiła zadać okupantowi ciosy dotkliwe i skuteczne, potrafiła nadszarpnąć jego komunikację, naruszyć jego system „zaopatrywania" — ograbiania ziem polskich. Potrafiła przeciwstawić się terrorowi i przyhamować go na dłuższe nawet okresy. Dziś wiemy, że swoim czynem zbrojnym w walce z okupantem Gwardia Ludowa skutecznie pomogła partii w staraniach o zjednoczenie większości narodu do walki o niepodległą i nową, ludową Polskę. Wiemy, jak skupiała ludzi, jak stawała się Armią Ludową, armią narodu, jak rosła w siłę — do sześćdziesięciu niespełna tysięcy żołnierzy — i zyskiwała przewagę akcji: militarną i polityczną.

Wiemy także (i bardzo lubimy te słowa), że za gwardzistami stały „prawa historii", prawa rozwoju spo-

łecznego, które są silniejsze od „prawa armat". Wiemy, że historycznie rzecz biorąc mieli rację — i dlatego właśnie zwyciężyli.

Jednakże — powtarzam — nie pomniejszajmy roli człowieka: prawa społeczne nie działają same, automatycznie, a złamać „prawo armat" też ktoś musi, ktoś taki, co umie chodzić „z kosą na armaty". Z tego, że ogólnie rzecz biorąc mieli rację i że zwyciężyli, nie wynika przecież, że w tym danym, określonym czasie zwyciężyć musieli...

Historia przyznała rację proletariatowi, ruchowi robotniczemu, komunistom — już dawno. Ogólnie — właśnie historycznie — rzecz biorąc, mieli tę rację i w 1848, i 1871, i w 1905, i w 1917, i w 1937 roku. Jednakże dając komunistom rację, historia im samym — ludziom — kazała ją sobie wywalczyć. Polski ruch robotniczy nie tylko w roku 1905, ale również podczas wielkich wstrząsów rewolucyjnych lat 1917—1920 (podobnie zresztą jak w 1937 roku) nie był w stanie osiągnąć sukcesu, choć przesłanek do socjalistycznej rewolucji było w Polsce wówczas nie mniej niż w roku 1944.

Ta niemożność przekształcenia szansy w fakt, rewolucyjnych przesłanek w zwycięstwo socjalizmu ma liczne i skomplikowane przyczyny. Nie mówię o niej po to, by uczynić zarzut pokoleniu Wielkiej Rewolucji, które wszystkie swe siły i życie oddało sprawie robotniczej. Mówię o tym po to, aby stało się jasne, że sam fakt historycznej słuszności nie przesądza doraźnie o zwycięstwie. Potrzebne są bowiem jeszcze dwie rzeczy: słuszna l i n i a polityczna dla konkretnego działania w danej sytuacji historycznej oraz ofiarna k a d r a ludzka, dostatecznie zorganizowana i dostatecznie liczna, aby porwać do realizacji tej linii nie zorganizowane masy — klasę, naród.

Obie te rzeczy są kategorii l u d z k i e j — to przecież ludzie: działacze, przywódcy, opierając się na ogólnej słuszności historycznej, określają właściwą linię. To przecież ludzie stanowią kadrę, tworzą organizację, działają — i w toku tego działania rosną sami, oddziaływają na innych, przez to mnożą organizację i powiększają jej zasięg i siły.

Słuszność historyczna była za komunistami polskimi również w roku 1918, 1919 i 1920. Jednakże okazali się oni bezbronni wobec sytuacji w tych latach.

W roku 1918 burżuazja polska, niezależnie od różnic dzielących ją na zwalczające się ostro kierunki polityczne, miała wspólną i wyraźną linię w jednej sprawie: że należy budować niepodległe państwo polskie *. Oprócz kadry, którą mogła przejąć po zaborcach, miała również pewną ilość (głównie piłsudczykowskiej) kadry własnej, od lat przygotowywanej i wychowywanej wokół centralnego hasła tej niepodległościowej linii. Linia ta i ta kadra miały znaczny wpływ w masach.

Polski ruch robotniczy w latach pierwszej wojny światowej, zapatrzony w dalekosiężne rewolucyjne cele, nie dostrzegł zbliżającego się momentu rozstrzygnięcia problemu niepodległości Polski. Nie przygotował się do niego. Nadto również błędne poglądy na organizację, jak i rozproszenie polskiego proletariatu w czasie wojny, pełne zaangażowanie jego awangardy w kluczowym ogniwie rozwoju świata — w obronie rewolucji w Rosji — wpłynęły na fakt, że rodząca się w 1918 roku Komunistyczna Partia Robotnicza Polski nie posiadała przygotowanej organizacji i kadry ludzkiej, nastawionej na realizację niezbędnej wówczas linii. W rezultacie w latach 1918—1920 ratowała

* Do stanowiska tego główne ugrupowania burżuazji polskiej doszły bardzo szybko w ciągu dwóch ostatnich lat wojny, mimo iż w momencie wybuchu nie stawiały sobie takich celów bezpośrednich.

wprawdzie honor polskiego proletariatu, występując przeciwko hańbie imperialistycznych poczynań burżuazyjnych władców ledwie odrodzonej Polski — m. in. przeciwko udziałowi w antyradzieckiej wojnie interwencyjnej — jednakże nie była w stanie zorganizować zrewolucjonizowanych mas i poprowadzić ich do walki o niepodległą Polskę Socjalistyczną.

W roku 1944 sytuacja przedstawiała się całkowicie odmiennie. I tym razem burżuazja, niemal wszystkie jej odłamy, posiadała wyraźną linię: odbudowy niepodległej Polski burżuazyjno-obszarniczej w dawnych granicach. I tym razem posiadała kadrę — w dodatku znacznie liczniejszą i sprawniejszą niż w roku 1918. Posiadała gotowy aparat, cieszący się — nie ma co tego ukrywać — poparciem bardzo licznych warstw społeczeństwa.

Jednakże w innej sytuacji niż w roku 1918 znajdowali się polscy komuniści. Z „szaleńczej" inicjatywy partii w roku 1942, z porywu garstki (pozornie) straceńców wyrosła silna organizacja, przez trzy lata z bronią w ręku realizująca słuszną linię na oczach całego społeczeństwa, zdobywająca stopniowo jego poparcie i wzbogacająca się w toku walki o ludzi wartościowych, zdolnych tę linię realizować i zdolnych zyskiwać autorytet w społeczeństwie. Organizacja ta potrafiła skupić wokół linii PPR dostatecznie liczne rzesze, by rewolucyjny ruch robotniczy w roku 1944 mógł być już nie tylko partnerem w walce politycznej wewnątrz burżuazyjno-demokratycznego państwa polskiego, lecz samemu sięgnąć po przewodnictwo w narodzie, po państwowe kierownictwo jego sprawami.

„Szaleństwo śmiałych" zostało uwieńczone sukcesem. Jednakże nie tylko dlatego, że stały za nim prawa historii. Również dlatego, że było „czynem śmiałych", że skupiało wokół siebie — poprzez „szaleństwa"

w jakże potrzebnej walce (i dzięki nim) — coraz to nowe i nowe zastępy „śmiałych": ludzi mężnych, pełnych inicjatywy, ofiarnych, pragnących tworzyć historię, a nie tylko biernie obserwować, czekać i obliczać, jaki będzie jej wynik. Ludzi zdolnych przyjąć na siebie trud realizacji wyroków historii, ryzyko działania. Było to ryzyko nie tylko osobiste (zresztą — olbrzymie: mało kto z inicjatorów roku 1942 dożył 22 lipca 1944 roku; z czternastu „Małego Franka" nie przeżył nikt). Było to również ryzyko historyczne — mimo najofiarniejszych starań tej garstki w realizacji „praw historii" i tym razem mogła nastąpić zwłoka. Inna polityka okupanta, inna polityka Komendy Głównej AK, inna polityka mocarstw imperialistycznych — każdy z tych czynników mógł wpłynąć negatywnie na skuteczność działania bojowników odważnej inicjatywy. Nie bawmy się jednak we wróżenie wstecz, „co by było, gdyby". Jedno jest pewne: ostateczne zwycięstwo gwardzistów nie było wcale z góry przesądzone. Wiodła do niego jeszcze bardzo, bardzo daleka droga — wówczas, gdy zaczynali walkę, gdy wyruszali w bój przeciwko III Rzeszy z jednym uciętym karabinkiem, z piłą i stalową linką, z jednym zacinającym się pistoletem z trzema nabojami i z wiązką granatów. Wówczas było to — w sposób najoczywistszy — klasyczne „chodzenie w motyką na słońce", a zarazem proletariackie „szturmowanie nieba". Polskie grzechy ósme — grzechy zuchwalstwa, które wcale nie staje się mniej zuchwałe dlatego, że było mądre, a okazało się zwycięskie.

Grzechy ósme: Między Trigubową a Połzuchami

„Szaleństwo śmiałych" — gwardzistów — zapoczątkowało tworzenie przesłanek dla rozstrzygnięcia problemu: jaka będzie powojenna Polska.

„Szaleństwo śmiałych" — kościuszkowców — rok później, o tysiąc kilometrów od pola walki „Małego Franka" i „Grubego Stacha", tworzyło przesłanki dla rozstrzygnięcia drugiego kluczowego problemu sprawy polskiej w drugiej wojnie światowej, problemu: gdzie ta Polska w ogóle będzie, w jakiej konstelacji geograficznej i politycznej ma się odrodzić.

I znowu — dzisiaj, gdy przywykliśmy do obrazu Polski między Bugiem a Odrą i Nysą, Polski stanowiącej ważne, otoczone szacunkiem i zaufaniem ogniwo Układu Warszawskiego, Polski cieszącej się pełnym poparciem polityki zagranicznej Związku Radzieckiego — trudno jest nam wczuć się w ówczesną sytuację: w sytuację, w której Polska jak gdyby wypadła w ogóle z układu systemów międzynarodowych, nie istniała geograficznie i politycznie na mapie światowej polityki.

Dla imperialistycznych mocarstw zachodnich, którym w połowie drugiej wojny światowej zależało bardzo na jak najbliższej współpracy militarnej ze Związkiem Radzieckim, sprawa polska — daleka i nie rokująca poważniejszych zysków w najbliższym czasie — była kłopotliwym balastem. Dla Związku Radzieckiego była wprawdzie sprawą żywotną i bliską, lecz jakże zagmatwaną, trudną, nieomal beznadziejną wobec narosłych obustronnych urazów, sprawą budzącą wręcz niechęć wobec kilkakrotnego już fiaska prób jej rozwiązania.

Polityczne poparcie radzieckie dla polskich postulatów, pomoc militarną dla sprawy Polski, a w końcu

i samo „miejsce pod słońcem" dla narodu polskiego — tę dzisiaj tak dla nas oczywistą granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej — wszystko to trzeba było jeszcze wywojować w niemałym trudzie. Grupka komunistów polskich, która w 1943 roku podjęła się tego zadania, rozpoczęła dzieło nie tylko historyczne i przełomowe, ale też niezwykle trudne, wręcz gigantyczne...

Tak, ale przecież wszystko to znamy, znamy bardzo dobrze ze szkolnego podręcznika, z okolicznościowych referatów na akademiach i z wstępnych artykułów w gazetach. I nie o to przecież tutaj chodzi. Chodzi o „szaleństwo mężnych", chodzi o odwagę czynienia rzeczy wielkich, sięgania po cele dalekie, chodzi o polskie „grzechy ósme", o szwoleżerstwo, o Somosierrę, o koloryt narodowy.

...To było też w październiku — 12 października 1943 roku — i też poranne mgły długo przesłaniały pole bitwy. Tak długo, że nawet przełożono przygotowanie artyleryjskie. Kiedy wreszcie gruchnęło 500 luf armat i moździerzy, rwąc ognistymi błyskami mleczną mgłę i czarnymi fontannami wybuchów znacząc zarys nieprzyjacielskich pozycji — z płytkich i mokrych okopów zerwały się gęste tyraliery polskiej piechoty i ruszyły w dół ku rzece. Z prawa była wieś Połzuchy, z lewa Trigubowa, dalej na lewo okopcone ruiny miasteczka Lenino. Przesłaniające horyzont wzgórza za rzeką wznosiły się łagodnie, a biegnący między nimi wąwóz nie miał szumnej nazwy. Wiejskimi opłotkami, skrajem chłopskich ogródków prowadził gdzieś ku wsi Puniszcze, na zachód, ku falom Dniepru — ku Polsce. Nie ku Madrytowi.

A jednak... Po ostatniej salwie „katiusz", tradycyjnie kończącej przygotowanie artyleryjskie, w rozbłysku wzywających do natarcia czerwonych rakiet sygnałowych porwała się piechota polska naprzód z furią i im-

petem ogromnym, szła w dół po nie zaoranym rżysku, przez zabagnioną, grząską Miereję, przez błotniste stoki drugiego brzegu ku wzgórzom, wąwozem na niemieckie druty kolczaste, na okopy. Szli gęstymi tyralierami, szybkim, długim krokiem, strzelając w marszu. Szli z oficerami na czele, jak gdyby napoleońskim „Carré", kolumną tyralier, batalion za batalionem. Szli jak na manewrach, jak na zwykłym ćwiczeniu: „Natarcie batalionu z ostrym strzelaniem". Jak na poligonie, a nie pod nieprzyjacielskim ogniem.

I gdy tak w gasnącym już łoskocie dział, przenoszących wał ogniowy dalej i dalej, w gęstniejącym trzasku nieprzyjacielskich karabinów maszynowych jedna za drugą wstawały długie linie zielonych polskich płaszczy, spływały w dół, ginęły w smugach mgły i dymu, by postrzępione i przerzedzone, lecz nie zmięte, pojawić się naprzeciw, na stokach przeciwległych wzgórz — ze stanowisk dowodzenia i punktów obserwacyjnych artylerii, od Sysojewa po gorzelnię w Lenino, z przepraw i punktów pracy saperów w dolinie Mierei, od stanowisk artylerii i „katiusz", pozycji wyczekiwania czołgów i kawalerii — posypały się oklaski. Rzecz niezwykła na wojnie, która nie jest przecież teatrem, rzecz niezwykła dla starych zawodowych wojskowych, najdalszych od zrozumienia teatralności obrazu bitwy.

— „Maładcy Palaki", „Wo wies' rost idut", „Priamo — psichiczeskaja ataka!", „Idut kak mariaki!"

„Idut kak mariaki!" — to w ustach weteranów Moskwy, Stalingradu i Kurska najwyższa pochwała. „Mariaki" — spadkobiercy żelaznej gwardii Października — marynarze, ściślej: żołnierze piechoty morskiej, od pierwszych dni wojny wsławili się w Armii Radzieckiej najwyższym męstwem, szaleńczą odwagą, brawurą i fantazją zgoła polską...

Dziś historycy toczą spory na temat taktycznych problemów bitwy. Czy dywizja miała wyjść do Dniepru, a jeśli tak, to dlaczego nie wyszła? Czy piechota powinna się była zapuszczać wąwozem aż pod Puniszcze? Czy słusznie pchały się tam szarżujące nazajutrz polskie czołgi?... Fachowcy wojskowi nie są też wcale przekonani o celowości i skuteczności tej właśnie brawury polskiego ataku pod Lenino, tego pokazowego natarcia — „jak na manewrach", tego ułańskiego impetu kościuszkowskiej piechoty. Oczywiście jest wiele racjonalnych argumentów: że dywizja wysunęła się zbytnio do przodu, że drugie i trzecie rzuty dogoniły pierwsze i pomieszały się, że nie nadążała ciężka broń, że idąc na czele, kadra oficerska poniosła zbyt duże, nieproporcjonalne straty... W końcu — w dwudniowym boju z 11 500 żołnierzy polskich padło około 520 poległych, w tym 51 oficerów...

Wszystko to rzeczywiście prawda. A jednak... A jednak bitwy tej nie można rozpatrywać wyłącznie jako po prostu dwudniowej walki jednej dywizji o „pierwszą pozycję zawczasu przygotowanej obrony nieprzyjaciela".

Ta bitwa miała inne, o wiele szersze znaczenie i musiała mieć inny, może nieregulaminowy, może właśnie bardziej tradycyjny, polski, bardziej straceńczy, bardziej „szwoleżerski" kształt. Ta bitwa była i egzaminem, i demonstracją, i pokazem.

I nie ma się czego wstydzić. Taki był już nieraz w dziejach Polski żołnierski los i taki był tym razem. Chodziło jednak o to, aby bitewny egzamin, krwawo opłacona demonstracja, aby ten pokaz brawury i ofiarności nie poszedł na marne, by został należycie zdyskontowany, by służył słusznej polityce, myśli mądrej i odważnej na miarę ciężkiej sytuacji, w jakiej sprawa polska się znalazła.

Brawura ataku polskiej tyraliery pod Lenino była niewątpliwie tradycyjnie polskim „szaleństwem" żołnierskim, polskim „grzechem ósmym". Polityka jakże słuszna i przewidująca, a dzisiaj dla nas zupełnie oczywista — polityka, której realizacją była ta bitwa — wówczas była przecież także swoistym szaleństwem: grzechem odwagi sięgania po cele niezwykle trudne i dalekie, nieproporcjonalne do słabości, do ubóstwa własnych środków.

Wzajemny kredyt i wspólna krew

Trudno dziś sobie wyobrazić całą głębię impasu, w jakim znalazła się sprawa polska na arenie międzynarodowej w początkach 1943 roku. Kryzys w stosunkach polsko-radzieckich w szczególnie tragiczną, ślepą uliczkę wtrącił wielusettysięczną rzeszę Polaków przebywających w Związku Radzieckim. Utraciwszy oparcie w dotychczasowej linii współpracy polsko-radzieckiej, proklamowanej układem polsko-radzieckim z 1941 roku, pozbawiona jasnej świadomości swego miejsca i roli w wysiłku wojennym narodów, rzesza ta nie widziała przed sobą perspektyw, nie widziała dróg do walki, do zwycięstwa — i do kraju. Nie kto inny, lecz ona właśnie poznała wszystkie rezultaty błędów i zaślepienia politycznego rządu londyńskiego, a także spowodowanych nimi nieufności i zniechęcenia władz radzieckich. Zgorzkniała, obolała, zdezorientowana, z trudem szukała dla siebie wyjścia.

Niemal nazajutrz po zerwaniu stosunków między rządem polskim w Londynie a rządem radzieckim, 28 kwietnia 1943 roku Związek Patriotów Polskich tak formułował zadania ludności polskiej w ZSRR:

„Macie pełną możność służenia tu, w Związku Ra-

dzieckim, ojczyźnie, macie pełną możność zdobywania sobie powrotu do Polski, do kraju, do rodzinnych miast nie papierkiem, który wydał mąż zufania *, ale waszą własną postawą, pracą i walką.

[...] Wierzymy, że w najbliższym czasie będziemy mogli ramię przy ramieniu z Czerwoną Armią pod polskim sztandarem polskich oddziałów zadokumentować z bronią w ręku naszą miłość do Polski, nasze prawo do Polski.

[...] Polacy w sowchozach, kołchozach, fabrykach, w instytucjach — waszą pracą musicie wykazać wasz patriotyzm i waszą wolę powrotu do wyzwolonej spod jarzma hitlerowskiego ojczyzny.

Rzetelnością, oddaniem sprawie zwycięstwa, pracą i walką musimy zdobywać zaufanie i szacunek tych ludzi, obok, razem z którymi pracujemy" [108].

Był to pierwszy zarys programu wyjścia z ślepej uliczki dla rzesz Polaków przebywających w ZSRR. Była to zarazem inicjatywa rozwiązania generalnego dla przyszłości Polski problemu. Tu bowiem wcześniej jeszcze niż w kraju — przed którym problemy te stanęły praktycznie dopiero rok później — zrozumiano, że alfą i omegą sprawy polskiej są stosunki polsko-radzieckie.

Zarys rozstrzygnięcia problemu, jakże niełatwego — w ówczesnej sytuacji moralno-politycznej zdawałoby się nie do rozwiązania.

Tak już jest, że zazwyczaj znakomicie znamy swoje własne bóle, przeżycia i urazy. Trudno nam „wyjść z siebie", wejść na moment w skórę partnera w dyskusji i zrozumieć jego stanowisko. A trzeba przecież zdać sobie sprawę z tego, że właśnie wówczas, w 1943 roku, zarówno w oczach społeczeństwa radzieckiego,

* Przedstawiciel zlikwidowanego po zerwaniu stosunków polsko-radzieckich terenowego aparatu ambasady polskiego rządu emigracyjnego w ZSRR.

jak i w oczach radzieckich działaczy sprawa polska miała hipotekę jak najbardziej obciążoną.

Nie sposób mówić o wszystkim. Weźmy tylko jeden problem — wojsko. Formujące się w ZSRR dywizje generała Andersa były przez radziecką prasę i radio spopularyzowane. Wiedział o nich każdy. I każdy z dużą sympatią oczekiwał zapowiedzianej uroczyście wspólnej walki. Przez radio moskiewskie przemawiał generał Sikorski, przemawiał generał Anders („My, Polacy, mamy wiele wad, ale posiadamy jedną bezcenną cnotę: nie umiemy zdradzać" [107]). W posiołkach, w kołchozach, sowchozach, miasteczkach miejscowe władze radzieckie i ludność organizowały huczne, uroczyste pożegnania wyjeżdżającym do wojska polskim ochotnikom i poborowym. A potem — potem w Krasnowodsku mijały się dwa potoki. Potok rannych, okaleczonych, ewakuowanych spod Stalingradu czerwonoarmistów i zwarte kolumny znakomicie wyposażonych, umundurowanych batalionów armii Andersa. „Dobrze, sojusznicy idą na pomoc w najtrudniejszym momencie" — mówiono na molo w Krasnowodsku. „Sojusznicy" szli do baśniowej Persji, do spokojnego Iraku. Dziś wiemy, że po dwóch latach przyszła bezmierna chwała „czerwonych maków na Monte Cassino". Ale to było później. A wtedy była tylko dezercja. Tak to odczuto.

Ci, którzy pozostali, płacili za to moralny rachunek. Pisał o tym inż. Józef Sigalin (później oficer operacyjny I dywizji piechoty im. Tadeusza Kościuszki): „Nam, a nie komu innemu, przyszło łykać gorzkie pigułki prawdy rzucanej nam wprost w oczy przez ludzi radzieckich, z którymi razem los złączył nas w pracy i wojennej biedzie. Prości ludzie nie znali arkanów wielkiej polityki. Wielu przestało nam podawać rękę" [108].

Nie trzeba się dziwić, że po tym zawodzie naturalną reakcją tysięcy na wszelką wzmiankę o Polakach, o nowym wojsku polskim było: „A nie ubiegut li ani snowa w Iran?"

Z tym gorzkim doświadczeniem i z tymi nastrojami jak najbardziej musieli się liczyć i rząd radziecki, i Polacy.

Jeden z inicjatorów tworzenia nowych oddziałów polskich pisał na ten temat:

„Prosiliśmy rząd radziecki o zezwolenie na formowanie wojska polskiego na ziemi radzieckiej i o pomoc w uzbrojeniu i szkoleniu. Ciężkie przeżywaliśmy chwile. Czy rząd radziecki, rozczarowany odejściem armii gen. Andersa, zechce pójść nam na rękę? Czy zaufa raz jeszcze Polakom?" [109]

Postulatem zaś, wysuniętym przez ZPP, było:

„Współudziałem w walce zbrojnej przeciwko brunatnym zaborcom zdobędziemy w Związku Radzieckim wszystkie serca, sprawimy, że pójdzie w zapomnienie wycofanie armii gen. Andersa" [110].

Inicjatorzy tworzenia Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR byli komunistami. Znaczy to m. in., iż wierzyli w braterstwo i wzajemne zrozumienie ludów.

Istotnie, inicjatywa Związku Patriotów Polskich spotkała się z przychylnym przyjęciem rządu radzieckiego i zyskała poparcie. Wiadomość o rozpoczęciu formowania nowych, odmiennych od armii Andersa oddziałów polskich na terytorium ZSRR odbiła się szerokim echem wśród ludzi radzieckich i spowodowała wzrost „temperatury uczuciowej" w stosunkach polsko-radzieckich.

Po stronie radzieckiej więc ideowe racje internacjonalistyczne i szczera ludzka sympatia do pragnących walczyć ze wspólnym wrogiem Polaków przeważyły

nad uczuciami rozgoryczenia i zawodu, zrodzonymi z dotychczasowych doświadczeń.

Z drugiej strony nie zapominajmy, że przed inicjatorami tworzenia nowego wojska polskiego na ziemi radzieckiej stał niełatwy problem skupienia wokół siebie Polaków w ZSRR, problem zyskania ich zaufania oraz ich czynnego poparcia dla idei współpracy polsko-radzieckiej. Nie trzeba ukrywać, jak niełatwa była to sprawa. Kim byli ludzie składający się na te polskie rzesze, jakie poglądy wyznawali, jakie polityczne i życiowe doświadczenia kształtowały ich postawę? W ogromnej większości byli to ci sami ludzie, ściślej — tacy sami ludzie, jak ci, których zabrał Anders. Wiemy, że z tamtych potrafił on bez trudu uczynić na pewien okres siłę zdecydowanie przeciwstawną wszelkiej myśli o przyjaźni polsko-radzieckiej. Byli to ludzie z tak zwanych „kresów wschodnich". Często oczywiście zwykli, zasiedziali tam chłopi i robotnicy, lecz w dużym procencie osadnicy, koloniści, drobni funkcjonariusze państwowi — w jakiś sposób związani przez lata całe z polityką kolonizacji ziem ukraińskich i białoruskich i z ideologią antyradziecką. Tragiczne przejścia wojenne, nieszczęścia, urazy i krzywdy, nie zrozumiane przez nich lub też nie dające się rozumieć, nie sprzyjały bynajmniej przekształceniu tych ludzi w materiał gotowy do łatwego przyjęcia idei współpracy polsko-radzieckiej. Potrzebna była olbrzymia, niezwykle wnikliwa praca, serdeczna, czuła opieka i wielkie zrozumienie dla trudnej drogi tych ludzi, potrzebny był duży wysiłek z ich strony, by zrozumiany wreszcie interes ogólny, społeczny, interes ojczyzny potrafili przełożyć ponad całe dotychczasowe swoje życie — wbrew wszystkim swoim dawnym poglądom i niedawnym przejściom. Najszczerszy i najbardziej altruistyczny patriotyzm, leżący u podstaw ich świa-

topoglądu, trzeba było oczyścić ze wszystkich narośli, zniekształceń i wypaczeń, aby przeprowadzić tych ludzi przez próg najtrudniejszej dla nich ofiary.

O „miejsce pod słońcem" dla milionów

Próg ten — to dla żołnierza-kościuszkowca problem domu rodzinnego. Dla Polski — problem generalny, problem granicy wschodniej, problem, którego sprawiedliwe, zgodne z zasadą etnograficzną rozstrzygnięcie było w latach drugiej wojny światowej podstawowym warunkiem pozytywnego ułożenia stosunków polsko-radzieckich.

Dziś rozumiemy to, dziś wiemy, że inicjatywa takiego rozstrzygnięcia tego problemu mogła wyjść jedynie od komunistów polskich. Warto też rozumieć, że inicjatywa ta miała wartość historycznej decyzji politycznej jedynie wówczas, jeśli zyskiwała dobrowolne poparcie nie tylko garstki — awangardy politycznej — lecz szerszych warstw społeczeństwa, zwłaszcza warstw zainteresowanych.

Polacy w ZSRR, pragnący walczyć z najeźdźcą u boku Armii Czerwonej i z bronią w ręku najkrótszą drogą powrócić do kraju, zapewniając przyszłej Polsce sympatię i poparcie Związku Radzieckiego, podejmowali zarazem decyzję walki o Polskę, w której nie znajdzie się ich dom ojcowski, w którym wyrośli i wychowali się, dom, który zrządzeniem dawnych losów historii stał nad Wilią, Styrem czy Dniestrem. Takiej ofiary historia, najwyższe interesy ojczyzny i narodu nie wymagały od żadnego innego odłamu społeczeństwa polskiego.

Usuwając tę generalną przeszkodę na drodze do zbliżenia i współpracy polsko-radzieckiej inicjatorzy pa-

triotycznego wysiłku Polonii w ZSRR zaczynali zarazem walkę o nowe miejsce Polski w Europie, o nową jej pozycję geograficzną i polityczną, o nowy jej kształt. Warunkiem zdrowego rozwoju społeczeństwa polskiego w przyszłości stało się przesunięcie granic Polski na zachód. Warunkiem zaś tego — wobec niewątpliwego, oczekiwanego oporu wielkich mocarstw imperialistycznych Zachodu — było uzyskanie zdecydowanego poparcia dążeń polskich przez Związek Radziecki. Poparcia tak kategorycznego, jak przy obronie własnego interesu państwowego.

Nie od razu zrodził się postulat granicy na Odrze i Nysie. Stopniowo, ostrożnie wyszukiwali działacze Polonii w ZSRR punkty styczne, punkty wspólne — identyczne interesy państwowe dla Polski i ZSRR.

Pisał Alfred Lampe w kwietniu 1943 roku:

„Jeśli pazury niemieckiego imperializmu mają być wyrwane, a nie przystrzyżone tylko, jeśli możliwość nowej agresji niemieckiej nie ma straszyć w Europie i mącić współpracy międzynarodowej po zwycięstwie, pokoju w Europie winien strzec potężny zespół państw demokratycznych, w pierwszej linii na Wschodzie, zespół, do którego obok Związku Radzieckiego wejdzie przede wszystkim Polska i Czechosłowacja. Granice strategiczne tego zespołu, a więc i granice strategiczne Polski leżą na Odrze.

Podobnie jak i Związek Radziecki jesteśmy zainteresowani, by na wschód od Odry żadna wroga siła militarna nie mogła nigdzie i nigdy więcej znaleźć bazy wypadowej przeciw któremukolwiek z narodów Europy wschodniej. [...] Uniemożliwienie nowej napaści Niemiec jest dla nas sprawą życia i śmierci. Taka jest też dla nas waga przyjaźni polsko-radzieckiej. Silni zaś poparciem Związku Radzieckiego i pewni jego współdziałania możemy wziąć na siebie brze-

mię współodpowiedzialności za ustalenie straży pokoju na Odrze.

Nie przesądzajmy form, w jakich zostanie zabezpieczona ta straż pokoju na Odrze, która zapewni bezpieczeństwo olbrzymiego obszaru. Nie wątpimy jednak, że demokratyczna Polska i Związek Radziecki znajdą formy odpowiadające interesom bezpieczeństwa i honoru obydwu państw" [111] (podkreślenia moje — Z.Z.).

Skupić i zjednoczyć tysiące ludzi „z lagrów, z posiołków, z zesłania", jak mówi poeta 1 dywizji, przeobrazić ich w zwarty i świadomy politycznie kolektyw bojowników o przyjaźń polsko-radziecką, przezwyciężyć wszystkie wzajemne, obustronne opory, wzbudzić wzajemne zaufanie, zyskać poparcie narodu radzieckiego i rządu ZSRR, przekonać ich, że poparcia tego sprawie polskiej warto udzielić, i to tak twardego, jak sprawie własnej, zbudować w ten sposób fundament przyszłej sytuacji zewnętrzno-politycznej Polski i przesłanki polityczne dogodnego dla nas zarysu naszej granicy zachodniej, przesłanki polityczne zarysu nowego miejsca Polski w Europie i po prostu „miejsca pod słońcem" dla naszego narodu, miejsca na ziemi dla setek tysięcy Polaków ze Związku Radzieckiego — jakże olbrzymie zadanie postawili sobie inicjatorzy utworzenia Związku Patriotów Polskich w ZSRR i organizatorzy ludowego wojska na froncie wschodnim. Garstka ludzi — przeważnie komunistów polskich, ludzi jakże zszarganych życiem, osiwiałych od wielu bolesnych doświadczeń, nie wolnych od goryczy, którą mieli leczyć, i niepokoju, który mieli uśmierzać, często śmiertelnie chorych (jak przedwcześnie zmarli Brun-Bronowicz i Alfred Lampe) czy boleśnie dotkniętych osobistymi, ludzkimi, wojennymi tragediami i smutkami — podjęła odważnie prawdziwie

ciężkie brzemię odpowiedzialności za los setek tysięcy i za przyszłość całej sprawy polskiej na terenie ZSRR.

I znów zapytajmy: czy musieli zwyciężyć? To prawda — szłuszność była po ich stronie. Mieli rację. Ale nie byli przecież cudotwórcami. Gdy formowali dywizję i otrzymywali dla niej broń — wiedzieli: radziecki kredyt moralny, radzieckie zaufanie, radzieckie poparcie nie są nieograniczone. Zależą od realnych wyników ich pracy nad zbliżeniem zbolałych i rozgoryczonych Polaków do idei sojuszu polsko-radzieckiego. Gdy tysiące ludzi napływały do Diwowa, gdy dawali im polski mundur i radziecki karabin, gdy uczyli ich ABC politycznego myślenia i apelowali do ich patriotyzmu i ofiarności w imię interesów całego narodu — i napotykali serdeczny oddźwięk i szczere łzy tęsknoty — wiedzieli, że to są tymczasem tylko słowa. Słowo — to rzecz potężna, ale słowo to jeszcze nie wszystko. Wiedzieli, że egzaminem skuteczności ich pracy, egzaminem owocności całej ich koncepcji będzie bój. Próba najskuteczniejsza, w której prawdziwych uczuć nie zastąpi się słowami. I gdy 12 października 1943 roku o świcie 11 500 żołnierzy nowego wojska polskiego, wojska polsko-radzieckiej przyjaźni i braterstwa broni stanęło oko w oko z nieprzyjacielem i ramię przy ramieniu z sojusznikiem, oczywiste było, że ta jedna dywizja jest w tej chwili całą Polską, całą przyszłością Polski i cokolwiek zrobi — zrobi w jej imieniu, czegokolwiek zaniedba — tym obciąży konto ojczyzny.

O świcie dowódcy kompanii i baterii czytali w swych pododdziałach przedbitewny rozkaz:

„Nie niesiemy krajowi żadnych gotowych wzorów ani nakazów ustroju. O tym decydował będzie kraj sam. [...] Czujnie będziemy stać na posterunku, by nie wrócił do Polski faszyzm w jakiejkolwiek postaci, strzec będziemy naszego sojuszu ze Związkiem Ra-

dzieckim, któremu chcemy dochować i dochowamy wierności sojuszniczej i serdecznej przyjaźni [...] Idziemy po drodze jasnej i uczciwej i z tej drogi nie zejdziemy.

Przed nami wielki, święty cel, a na drodze śmiertelny wróg.

Po jego trupie droga do Polski" [112].

O godzinie 10.30 artyleria przeniosła ogień w głąb nieprzyjacielskiej obrony. Piechota polska ruszyła do natarcia.

— — — — — — — — — — — — — — —

Po dwóch dniach walki na rozkaz Naczelnego Dowództwa Armii Radzieckiej dywizja została zluzowana przez oddziały radzieckie i odeszła na tyły.

W Trigubowej pod jabloniami zostali
ostatni zabici żołnierze.
Zostali ochraniać tu strzechy i progi —
metr tej, co do kraju prowadzi nas, drogi.

Dziś, na żądanie miejscowych chłopów, kobiet, dzieci, które opiekują się żołnierskim cmentarzykiem, Trigubowa nazywa się śmiesznie, z polska po rosyjsku: „Kastiuszkowo"...

„Żołnierz wykazał niezwykłe bohaterstwo. Dowódcy Czerwonej Armii stwierdzają, że nie widzieli wojska, które by nacierało pod takim ogniem..." — zapisał Lucjan Szenwald w Kronice 1 dywizji.

Można dziś rozważać wraz z nader drobiazgowymi historykami, czy dywizja wywiązała się ze swego zadania taktycznego bądź operacyjnego. Nie to jest istotne i nie temu służyć miała pokazowa brawura, szwoleżerski impet tej pieszej „szarży" między Połzuchami i Trigubową. Imponująca postawa bojowa 1 dywizji, impet bojowy tak krwawo okupiony — były manifestacją zamierzoną, uświadamianą sobie przez każdego

chyba żołnierza, manifestacją woli walki tu właśnie, na froncie wschodnim, i marszu tędy właśnie: prostą drogą na zachód do kraju. Były pokazem, iż koncepcja zbliżenia polsko-radzieckiego, przyjaźni i braterstwa broni jest koncepcją przyjętą w pełni przez masy. Dowodziły po prostu, iż Polacy chcą się bić z Niemcami wraz z Armią Radziecką, w sojuszu ze Związkiem Radzieckim i że zapewnienie polsko-radzieckiego braterstwa broni jest już teraz w pełni realne.

Znaczenia tego dowodu nie można bagatelizować! Wówczas był on istotny. A sprawa ma liczne i trudne aspekty. M.in. wśród trudności i niebezpieczeństw, na jakie narażona była polityka polska czasów drugiej wojny światowej, przestaliśmy jakoś uwzględniać oddziaływanie wroga — Niemiec hitlerowskich. W interesującej nas sprawie było ono większe może nawet, niż przypuszczamy. Wystarczy przypomnieć ogromną akcję propagandową, jaką rozwinęli Niemcy wokół kilkudziesięciu kościuszkowców, którzy trafili do niewoli pod Lenino. Wśród rannych bądź zagubionych na polu walki żołnierzy, którzy dostali się w ręce wroga, znalazło się kilku zdrajców. Wszystkich ich Niemcy z wielką pompą obwozili po całym Generalnym Gubernatorstwie, każąc im wygłaszać rewelacyjne opowieści o losie Polaków w ZSRR i „okrucieństwach bolszewików", starając się wytworzyć wrażenie, iż żołnierze polscy masowo i dobrowolnie przechodzą na stronę niemiecką. Akcja znalazła bogate odbicie w prasie gadzinowej, specjalnych broszurach propagandowych itd. Wątpić należy, czy Niemcy oczekiwali jakiegoś poważniejszego oddźwięku na swoją propagandę wśród ludności GG, zbyt dobrze znającej rządy niemieckie. Sądzę raczej, że w ten pośredni sposób chcieli poderwać zaufanie strony radzieckiej do patriotyzmu, wartości bojowej i chęci walki wojsk polskich formo-

wanych w ZSRR. Nie można zaprzeczyć, że cała ta gigantycznie rozdmuchana akcja znalazła pewien (znikomy zresztą) oddźwięk w ZSRR, jednakże w ostatecznym rachunku nie mogła przekreślić wrażenia, jakie wywarła heroiczna postawa ogółu żołnierzy i oficerów polskich w bitwie.

Sądzę też, że choć w sensie operacyjnym swym brawurowym natarciem kościuszkowcy nie otwarli drogi do Dniepru, jednak osiągnęli cel o wiele istotniejszy — utorowali drogę do powstania w ZSRR całej armii polskiej. Otwarli drogę do obfitej pomocy radzieckiej dla powstających sił zbrojnych Polski Ludowej, a co za tym idzie — do wszystkich późniejszych sukcesów ludowego Wojska Polskiego.

Bez brawurowego natarcia pod Lenino nie byłoby dwóch silnych armii polskich nad Odrą i Nysą w kwietniu 1945 roku, nie byłoby naszego udziału w szturmie Berlina.

Rzecz nie tylko w tym, iż doświadczenie obficie przypieczętowanego krwią bojowego braterstwa broni żołnierzy polskich i radzieckich znakomicie wsparło internacjonalistyczną ideę braterstwa naszych narodów i zapewniło odradzającemu się w dniu 22 lipca 1944 roku Wojsku Polskiemu potężne materialne i moralne poparcie ze strony ZSRR. W tym sensie 1 Armia wniosła ojczyźnie niemałe „wiano": utrwaloną przyjaźń polsko-radziecką i wzajemne zaufanie.

Rzecz w tym również, iż w ciągu 14 miesięcy swego istnienia Polskie Siły Zbrojne w ZSRR przeszły proces intensywnego rozwoju ilościowego i jakościowego, znakomitą szkołę walki i pracy organizacyjnej oraz szkołę wychowania politycznego.

Szkielet organizacyjny, kadra ludzka, dorobek moralny tej armii stały się fundamentem odrodzonego ludowego Wojska Polskiego i dzięki niemu właśnie

ożywiające naród pragnienie walki znalazło tak szybko ucieleśnienie w postaci realnej siły dwóch armii polskich, które w kwietniu 1945 roku wniosły tak istotny wkład w operację berlińską Armii Radzieckiej, w ostateczne zgniecenie hitleryzmu. Dzięki jej istnieniu i tylko w oparciu o jej dorobek stało się możliwe to — co się stało: w ciągu 9 miesięcy od wyzwolenia pierwszych skrawków ziemi polskiej wystawiliśmy 400-tysięczną armię, nowocześnie uzbrojoną. Nikomu więcej w Europie w tym czasie nie udało się niczego podobnego osiągnąć.

„Armia Polska w Związku Radzieckim, której fundamentem była 1 dywizja, wybitnie przyśpieszyła zorganizowanie Wojska Polskiego z chwilą wkroczenia tej Armii na ziemię ojczystą. Gdyby nie było 1 Dywizji, 1 Armii Polskiej w Związku Radzieckim, zorganizowanie Wojska Polskiego opóźniłoby się co najmniej o rok i naród nasz nie posiadałby zorganizowanego wojska w momencie, gdy toczyła się wojna na jego ziemiach i decydowały się jego losy. [...] Jeśli dziś do wszystkich praw Polski do ziem odzyskanych dołączyć możemy walkę żołnierza polskiego i krew przelaną nad Odrą i Nysą — zawdzięczamy to przede wszystkim wam, kościuszkowcy" — mówił Władysław Gomułka na pierwszym zjeździe kościuszkowców w Warszawie 12 października 1946 roku [113].

Bez brawurowego natarcia pod Lenino nie byłoby tej wiary w trwałość przyjaznej współpracy polsko-radzieckiej, w zrozumienie przez Polaków wspólnych interesów Polski i Związku Radzieckiego, tej wiary, która zapewniła nam zdecydowane poparcie Związku Radzieckiego w sprawie naszych granic zachodnich. Wiary, dzięki której właśnie Związek Radziecki bronił idei Odry i Nysy tak, jak zarysu własnej granicy.

A bez tego wszystkiego inaczej wyglądałaby sprawa polska na konferencji poczdamskiej i na pewno inaczej wyglądałaby powojenna Polska.

Grzechy — naprawdę — ostatnie

„Grzechy ósme" wyróżniają się w wiekowym ciągu polskich żołnierskich szaleństw nie tylko tym, że okazały się skuteczne i przyniosły zwycięstwo. Wyróżnia je również to, że są — ostatnie. Wierzę, że definitywnie, ostatecznie i raz na zawsze zamykają i kończą one cykl bojów polskich.

Przygotowały bowiem grunt do swoistego awansu dziejowego losu Polaków. Z problemu własnego tylko, narodowego, stał się on cząstką problemu ogólnego, problemu zwycięstwa socjalizmu. Po wielu latach bojów, jakie żołnierz polski toczył w gorzkim osamotnieniu, po raz pierwszy znalazł się w zwartej kolumnie towarzyszy broni. Dzięki przewodnictwu partii żołnierz-partyzant z Armii Ludowej i żołnierz regularny z Armii Polskiej w ZSRR tocząc swoją własną, polską walkę bili się zarazem o sprawę ogólniejszą, o przyszłość świata. A wraz z nimi przodujące, rewolucyjne siły tego świata biły się o ich polską, narodową sprawę.

W strzałach polskich partyzantów, grzmiących po lasach Kielecczyzny i Lubelskiego, w strzałach żołnierzy polskich pod Lenino i dalej aż po Berlin — historia Polski po raz pierwszy bez reszty łączyła się z historią światowego ruchu robotniczego, z historią socjalizmu, z historią świata.

A ta — dziś — jest i będzie historią pokoju.

*

Historię tworzą ludzie. Tworzą ją nieświadomie, z dnia na dzień, po prostu budując swoje życie codzienne. Ale tworzą ją równocześnie świadomie, stawiając sobie cele wyższe ponad dzień powszedni. Ci ludzie swoją światoburczą chęcią nieraz „grzeszą". Grzeszą śmiałością, grzeszą zuchwałością, grzeszą tym właśnie, że patrzą daleko i sięgają wysoko, czego syta powszedniość nie lubi, ale bez czego powszedniość głodna obejść się nie może.

I naród polski, i klasa robotnicza świata należą do powszedniości głodnej, żądnej zmiany, przez wiele dziesięcioleci uporczywie dążącej do zaspokojenia swego głodu wolności, pragnienia sprawiedliwości, dobrobytu i szczęścia. Dlatego tak wiele jest „grzechów" w historii naszego narodu. Dlatego takie same „grzechy zuchwalcze" cechują światowy ruch robotniczy. Dlatego nasze rewolucyjne czyny czasów minionej wojny zaliczyć wypadnie do „grzechów polskich", do szaleństwa śmiałych, właściwego jednako i dziejom Polski, i dziejom światowego ruchu robotniczego.

Cechą znamienną naszych romantycznych zrywów, tych grzechów polskich, jest przecież nie to, jakeśmy stwierdzili, że kończą się klęską, lecz to, że są próbą realizacji celów dalekich, próbą odważną, nieprzeciętnie śmiałą, zuchwałą. A takie były nasze „grzechy ósme" z przełomowych lat drugiej wojny światowej, które legły u podstaw dzisiejszej ludowej Polski.

Lecz wszystkie polskie grzechy — i te siedem, i te ósme — mają nie tylko tę samą barwę i kształt zewnętrzny. Zawierają również tę samą treść duchową, te same ludzkie cechy, chlubne i jakże w historii potrzebne. I warto tu przypomnieć słowa ostatniego polskiego poety-żołnierza, klasycznego romantyka, który w mickiewiczowską formę wkładał treści i stare zarazem — patriotyczne, i nowe — rewolucyjne, socjali-

styczne. Poety-komunisty, kronikarza 1 dywizji pod Lenino i jakże wielkiego grzesznika, co miast siedzieć na tyłach w mocnym bunkrze nad swoją kroniką — z pepeszą w ręku szturmował Trigubową. Pisał Lucjan Szenwald na krótko przed swą żołnierską śmiercią na przedpolach Warszawy:

Wy, którzy tak żarliwie o szczęściu marzycie!
Zapalcie cel daleki przed swoją tęsknotą!
Jeśli w życiu nie będzie spraw droższych nad życie,
to lepiej czołem w ciemność uderzyć jak w błoto.
Uczcie się goreć! Weźcie pod światło czterdzieści
lat swego świadomego życia — i pomyślcie:
albo w tej szczypcie ogień-twórca się pomieści,
albo wiatr dni rozwieje w ironicznym świście
i zasypie imiona, i kości pobieli.
Uczcie się żyć, abyście umierać umieli,
aby po waszej wiernej, surowej żołnierce
w pamięci trwała jakaś światłość niewybuchła,
ażeby po człowieku, kiedy jego serce
przestanie bić — zostało jeszcze coś prócz truchła!

Przyczynek do problemu nieostrożnego obchodzenia się z historią

Ojcowie: Termopile!
Synowie: za ile?!

St. J. Lec

KRYTYCZNY RYS DZIEJÓW SZYDERSTWA I POGARDY

Nasze dociekania nad siedmioma grzechami głównymi Polaków, historycznymi wykroczeniami narodu przeciwko zdrowemu rozsądkowi dobiegły końca. Poszukiwanego: głupoty, lekkomyślności, manii samobójczej — nie znaleziono. Nie było idiotyzmem w XVIII wieku chodzenie z kosami na armaty ani w wieku XIX — ze strzelbami na karabiny. Swój sens — inny niż przypisuje im legenda — miały i Somosierra, i Krojanty. Nie były samobójstwem ni reduta Ordona, ni Westerplatte. I zgoła inaczej, niż sądzą, miała się rzecz z księciem Pepi... Zastanawiające, że również wydarzenia, których przed atakiem szyderców broni fakt ostatecznego ich triumfu, zwycięstwa, w istocie rzeczy też pełne są treści zuchwale bohaterskich, wręcz szaleńczych, a w kształcie swym (nie w wynikach) niewiele się różnią od tamtych, wyśmianych „Somosierr". Nie tylko tych ostatnich, zwycięskich wydarzeń, lecz całej naszej trudnej i krwawej, ale nie nierozsądnej historii nie da się zbyć szyderczym frazesem.

Co więcej — nie jest to, ogólnie rzecz biorąc, żadna nowość. W dociekaniach powyższych nie dotarłem przecież do żadnych nowych prawd, nie dokonałem żadnych zaskakujących odkryć. Wszystkie nieomal fakty zaczerpnąłem z ogólnie znanych opracowań historycznych, z podstawowych monografii. „Rewelacje"

moje wzbudzą zapewne uśmiech nie tylko historyka, ale również studenta historii...

Ba! Dlaczego więc jednak wbrew tej oczywistości faktów utrzymuje się i, co więcej, szerzona jest w druku przez ludzi, których o nieznajomość podstawowej szkolnej wiedzy posądzić nie można, zmistyfikowana wizja naszej przeszłości i tych historycznych przejawów naszego „głupiego" charakteru narodowego? Skąd ta, przyznać trzeba, potężna tendencja do niesprawiedliwie drwiącego traktowania naszej przeszłości, szyderczego — bez oglądania się na taki szczegół jak fakty — syntetyzowania istoty naszej historii, okrutnie krytycznego stosunku do naszych zbrojnych wysiłków — bo o to przecież w końcu chodzi?

Nie sposób tendencji tej odmówić dawnego — i sławnego — rodowodu.

Psychopatologia poetycka, a ściślej: „odwracalna" teoria wyjątkowości

Przez 150 lat bez mała co pokolenie zrywali się Polacy do zbrojnej walki w obronie swych najświętszych praw i najniezbędniejszych potrzeb. Ogromny był wysiłek narodu w tej walce i ogromna jego ofiarność, lecz większe były powszechne narodowe ambicje i cele, jakie sobie stawiano, a jeszcze większe — trudności i przeszkody. Toteż każdy zryw kończył się krwawą i niezwykle dotkliwą klęską. Stało się to regułą polskiej historii.

Nieprzezwyciężalna niemożność — mimo najwyższej ofiarności i wysiłków — osiągnięcia tak zdawałoby się prostych i oczywistych celów rodziła stopniowo myśl o nieprzydatności walki zbrojnej, myśl o daremnej ofierze. W każdym pokoleniu po każdym zrywie pyta-

no: dlaczego? Potem pytano też: po co? Nim Polska wypiła połowę „czary goryczy" przygotowanej jej przez historię, zrodziły się aż dwie pozornie przeciwstawne sobie teorie wyjaśniające bądź przyczyny, bądź też wyższy sens naszej „nieudanej" historii, pełnej daremnych, na pierwszy rzut oka, czynów.

Jedna, w pełni rozwinięta, to mesjanizm. Polacy to naród szczególny, wybrany przez Boga, który pragnie go wynieść do najwyższej chwały, a teraz, jak syna swego Jezusa, doświadcza boleśnie, by swym niezawinionym cierpieniem, jak ongiś On na krzyżu, odkupił grzechy świata. A więc nasze szczęście leży w naszym cierpieniu. Nasza wielkość — w naszych klęskach. Naszym przeznaczeniem — Ofiara. Jesteśmy narodem najlepszym, najwznioślejszym, najszlachetniejszym, najwartościowszym. Kto nie wierzy, niech zajrzy do „Ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego" Adama Mickiewicza.

Druga teoria — to raczej krzyk bólu, zapoczątkowany przez Słowackiego chyba:

> Pawiem narodów byłaś i papugą;
> A teraz jesteś służebnicą cudzą.

Polska — to paw i papuga narodów, żebrak i błazen Europy... Jesteśmy narodem najgorszym, najwystępniejszym, spodlonym, półobłąkanym, do niczego niezdolnym.

Kompleks wyższości i kompleks niższości plączą się tu i mieszają, jak zresztą zwykle w życiu, i składają się w sumie na nowy kompleks wyjątkowości (nader zresztą nacjonalistyczny). Kompleks „dwustronny", niejako „odwracalny", bo w ostatecznym rachunku wszystko jedno, co uznamy za słuszne: czy to, że jesteśmy „odkupicielem", czy że „pawiem i papugą"; czy to, że jesteśmy gorsi, czy że lepsi od innych — zawsze

w tym znajdujemy jakieś pocieszenie, zawsze tym podkreślamy swoją odrębność, wyjątkowość, bezprzykładność Polski i jej dziejów, Polaków i ich charakteru narodowego.

W różnych okresach bądź jedna, bądź druga strona tego kompleksu dyktowała „ideologię panującą" w społeczeństwie. Paradoksem jest, iż właśnie powstanie styczniowe — najpotrzebniejsze i najowocniejsze z naszych powstań — stało się przedmiotem najostrzejszej i najzjadliwszej krytyki, stało się punktem wyjścia najniezasłużeńszej syntetycznej oceny polskiej historii (szkoła krakowska), zwłaszcza zaś walki zbrojnej i ideologii wolnościowej. Zapoczątkowało to długotrwały okres panowania idei wywodzącej się z owego „pawia i papugi" — ideologii pozytywizmu: „realizmu" małych, przyziemnych spraw. Z tej ideologii rezygnacji zbudził Polskę dopiero ruch robotniczy.

Okres międzywojenny — odwrotnie — jest okresem panowania ideologii romantycznej, okresem apoteozowania naszej bojowej przeszłości, okresem „patriotycznej dumy", bardziej niżby się zdawało przesyconej duchem mesjanizmu. „Gloria victis" — chwała zwyciężonym — to przecież motyw przewodni stosunku do przeszłości w tym czasie. Historii nie pytano o rację, o mądrość, o wyniki działania — w samym działaniu, w walce, ofiarności i ofierze widziano wartości najwyższe. Warto przypomnieć, że okres ten dał Polsce jedno z najwspanialszych pokoleń młodzieży — głęboko ideowe, patriotyczne, ofiarne, wytrwałe, wierne do końca — ale jakże zarazem politycznie niedojrzałe! Właśnie to pokolenie dokazywało cudów bohaterstwa w czasie wojny z faszyzmem hitlerowskim, oddało się całe POLSCE, nie pytając w swojej masie — jakiej, dążyło do niej, nie pytając — jak. I niestety znaczna jego część nader opornie przyjmowała argumenty ro-

zumowe, z ogromną trudnością znajdowała drogę do Polski konkretnej, ludowej, rozsądnej, jaka z tej wojny i z rewolucji się wyłaniała.

Niewątpliwą reakcją na ogromną ofiarę krwi czasu wojny i trudności przestawienia tego pokolenia „wyznawców walki jako najwyższej wartości" na tory skromnej, twórczej pracy był prąd krytycznego wobec historii „realizmu", panujący u nas w latach powojennych. W okresie tym nowe przewodzące narodowi siły polityczne i kulturalne dokonały ostrej krytyki pozornie racjonalnego (z punktu widzenia interesów narodu), a w istocie rzeczy antynarodowego kierownictwa sprawami narodowymi, sprawowanego przez burżuazję w latach przedwrześniowych i później, kierownictwa uwieńczonego jedynym chyba rzeczywistym absurdem w naszych dziejach — powstaniem warszawskim. Okres ten cechują również starania partii i rządu ludowego zmierzające do zapewnienia stabilizacji w kraju, rozładowania kompleksów, uprzedzeń, oporów i uporu, do zjednoczenia sił narodu w zmienionej sytuacji politycznej, geograficznej, ustrojowej, międzynarodowej dla pracy dla własnej przyszłości. Wszystko to znalazło mocny wyraz w ówczesnej twórczości publicystycznej i artystycznej, co trwale odbiło się w świadomości i pamięci narodu.

Słynne „Sprawy Polaków" Osmańczyka, przestrzegające przed wykrwawieniem narodu, ulotna, a jakże popularna twórczość Gałczyńskiego, który księcia Józefa zatrzymał nad brzegiem Elstery, by zaniechał swego samobójczego zamiaru i wyjechał jako osadnik na Ziemie Zachodnie, jego nawoływania: „Więcej Osmańczyka — mniej Grottgera, a wszystko będzie cacy", nadawały ton myśleniu w owej epoce.

Lecz mija już piętnaście lat, wygasły realne, społeczno-polityczne przyczyny i potrzeby tych rozrachun-

ków z przeszłością, wówczas niezbędnych, choć pełnych nieuniknionych uproszczeń. Umilkli sami inicjatorzy tych rozrachunków, natomiast kwitną — epigoni. I jak zwykle bywa z epigonami — jakżeż wszystko jest u nich strywializowane, spłaszczone, wewnętrznie puste. Krytyczna myśl zmieniła się w grymas, smutek — w szyderstwo, ubolewanie — w pogardę, racjonalistyczny twórczy program — w trywialne, egoistyczne „abyśmy tylko zdrowi byli..."

Dzisiejsza ideologia szyderstwa z bojowej przeszłości Polaków i pogardy dla patriotycznej ofiarności daleka jest już od pełnego troski o losy narodu racjonalnego krytycyzmu z pierwszych lat powojennych. Dziś inne ma ona źródło i inne części składowe. Widzę ich trzy.

Co się komu nie podoba — i dlaczego?

Jedno z tych trzech źródeł to tradycyjna postawa, w pewnym sensie z przeproszeniem ideologia, stanowiąca wyraz stanowiska, interesów i poglądów tchórzliwego i samolubnego kołtuństwa. Piękne i pełne patriotycznej ofiarności są dzieje Polaków, lecz nie zamykajmy oczu na fakt, że zarówno w czasach Kościuszki, jak i w drugiej wojnie światowej nie brak było wśród nich ludzi, którzy programowo i z wielką pewnością siebie stawiali swój mieszek, kamieniczkę czy dworek (oraz oczywiście swoją skórę) ponad wszelkie interesy ogólniejsze, interesy społeczeństwa, narodu. Ludzi tych nie da się zamknąć ściśle w jakimś precyzyjnym określeniu klasowym. Wiadomo, że zarówno magnacki pałac czy szlachecki dworek, jak i mieszczańska kamienica dostarczały obozowi patriotyzmu i społecznego działania wielu nader ofiarnych bojowników. Jednakże faktem jest, iż kołtuństwo — sposób

myślenia niezwykle bezczelnie samolubnego, tępego, krótkowzrocznego i tchórzliwego — występuje tam, gdzie jest już ów mieszek, domek czy warsztacik (które przecież tak bardzo cieszą, a które strach utracić), a brak jeszcze wiedzy, doświadczenia, wyobraźni i pewności swego klasowego położenia, pozwalających widzieć sprawy szersze, interesy nawet własne, ale bardziej złożone niż prymitywna troska o posiadanie.

Kołtun nie jest ani patriotyczny, ani antypatriotyczny. Może być krzykaczem nacjonalistycznym (jeśli mu to niczym nie grozi), może też być zdrajcą, sprzedawczykiem (ale gdy musi, raczej ze strachu niż z wewnętrznej potrzeby). Natomiast jest zdecydowanie przeciwny wszelkiemu ryzyku, wszelkiemu działaniu nie we własnym, najbardziej bezpośrednim i prostym interesie. Ideałów, szerszych postulatów, „długofalowych" dążeń nie rozumie i nie uznaje. Wszystko to są dla niego bajki. Nie można powiedzieć, by „frajerzy", którzy się „bajkami" przejmują na serio, byli mu obojętni. Kołtun boi się ich i pogardza nimi.

Dlatego jest zawsze przeciwko walce, a po każdorazowej klęsce odczuwa złośliwą radość z nieszczęścia: „A widzicie, po co wam to było?" Suma naszych klęsk narodowych na przestrzeni 150 lat utwierdza go w jego zasklepieniu i zachęca do uogólnień: „Co tam, panie, ja zaraz mówiłem, szczeniaki z liwolwerami po lasach się kryją, wyłapać toto, a zapędzić do pracy, bo nieszczęście sprowadzą".

W krytyce danego konkretnego działania kołtun wypowiadać może zdania na ogół słuszne, jednakże racja jego jest zwykle przypadkowa i powierzchowna. W roku 1944 pytaliśmy Mikołajczyka i Bora: „Panowie, po coście zrobili to powstanie?" Równocześnie na Mokotowie, gdy minęły pierwsze uniesienia, pełne histerii pseudopatriotycznej, paniusie pytały idących na po-

zycje chłopców z „Baszty": „Panowie, po coście zrobili to powstanie?" Słowa takie same. Ale nie te same. Bo te same paniusie przeklinały gwardzistów za akcje odwetowe — „wymysł Moskwy", i to szkodliwy, „bo się Niemcy zdenerwują". Te same paniusie we wrześniu przychodziły do przeciwpancerniaków: „Panie, zabierz pan tę armatę z mojego ogródka, bo mi zniszczy astry".

Kołtun — choćby się stroił w togę realisty i ideowego „pozytywisty" — w gruncie rzeczy nigdy nie ma racji, bo powoduje nim egoizm drobnego posiadacza i dorobkiewiczowski strach przed utratą, przed deklasacją — uczucie odbierające rozum, otępiające, kształtujące w najwyższym stopniu aspołeczną postawę.

Drugim źródłem „ideologii pogardy" jest zgorzknienie ludzi zupełnie innego pokroju moralno-psychicznego, zgorzknienie bankrutów, ludzi niegdyś ideowych i ofiarnych, którzy jednak związali swój wysiłek ze sprawą skazaną na klęskę i klęski tej — również swojej osobistej — nie potrafili w sobie przezwyciężyć. Wielu ideowych obrońców Polski „starego typu", przedwojennej w najszerszym sensie tego słowa, ciężko przeżyło nieuchronną katastrofę tej koncepcji, o którą walczyli czynnie w okresie okupacji przeciwko Niemcom, a nieraz długo jeszcze po rozstrzygnięciu losów ojczyzny — przeciwko władzy ludowej. Dziś nie chcą czy nie mogą oni uznać tej klęski za swoje tylko osobiste bankructwo i nieszczęście, lecz rozciągają ją na cały naród, i to daleko w głąb jego dziejów. Zmuszeni przez historię, przez bieg wydarzeń do częściowego przynajmniej zaprzeczenia swego życia, do wyrzeczenia się i potępienia swojej linii, nie chcą jednak dać się usunąć z logicznego dziejowego ciągu polskich walk wyzwoleńczych: „Jeśli niesłuszna była, nierozsądna i bezcelowa nasza walka — niesłuszne, bezcelowe i nierozsądne były wszystkie inne poprzednie walki. Jeżeli

pogardzamy własnym nieudanym wysiłkiem, to pogardzać należy wysiłkiem innych, wszelką walką zbrojną..."

Wśród bankrutów powracających z emigracji zarówno zagranicznej, jak i wewnętrznej znajdujemy bardzo różnych ludzi. Są to byli przywódcy i ideologowie, którzy uznali w końcu oczywistą klęskę swej koncepcji, przekreślili swą dawną działalność — nieraz bardzo, bardzo aktywną w złej sprawie — i dziś głoszą nowy program zbawienia narodu: mały realizm, cichą pracę, konieczność wyrzeczenia się wszelkich szerszych, ogólniejszych ideałów i głębszych programów. Są również ludzie zwykli, wystrychnięci na dudka przez reakcyjnych przywódców (którzy lata całe żerowali na ich prostym a nieświadomym potrzeb epoki patriotyzmie), popchnięci nieraz do walki bratobójczej, a dziś odsunięci na bok przez bieg wydarzeń, pełni bólu i rozczarowania. Nie potrafią swej goryczy wylewać tylko na własną nieudaną przeszłość, chcieliby obdzielić nią cały kraj.

„Ojczyzna... — jak już mówią o ojczyźnie, to pan Tyrolski idzie do domu" — powiada w „Kolumbach" Bratnego były żołnierz AK, Tyrolski-„Malutki". Po klęsce londyńskiej koncepcji Polski, która była jego klęską — sprzymierzony z jakże typowym kołtunem, okupacyjnym dorobkiewiczem Kosiorkiem...

Rzecz w tym, że wszyscy oni mają w pewnym sensie „katzenjammer", a niesmak zrodzony ze swej dawnej, fałszywie wycelowanej ideowej działalności rozciągają na wszelką ideowość, gotowość do walki i poświęceń.

Humanizm w szlafmycy, czyli upadek Paryża

Strach kołtuństwa i gorycz bankrutów same nie tworzą jeszcze owej złej aury wokół naszej historii, a bezpośrednio przez nich formułowane idee „małego realizmu" — to jeszcze nie oryginalny światopogląd, lecz co najwyżej klasowa taktyka „przycupnięcia", przeczekania czy cichego ratowania pewnych przebrzmiałych już wartości.

Kołtuństwo i bankructwo — dwa źródła i dwie części składowe ideologii pogardy — to jej podglebie, jej zaplecze. Reprezentacyjny „front" wywodzi się ze źródła trzeciego — i kto inny półsłówkiem i półkpiną ugruntowuje szyderczy osąd opinii publicznej.

Tu genezy zjawiska szukać trzeba przede wszystkim w tanim i łzawym humanitaryzmie, modnym niegdyś wśród części polskiej niekomunistycznej inteligencji postępowej. Zwłaszcza w jej pacyfizmie i powierzchownym antymilitaryzmie, które to zjawiska, niezbyt w Polsce rozpowszechnione, stanowiły idee raczej nieoryginalne — były echem pacyfizmu zachodnioeuropejskiego, zrodzonego tam w sposób naturalny z doświadczeń obustronnie niesprawiedliwej pierwszej imperialistycznej wojny światowej.

W ciągu czteroletniej rzezi ujawniła się nicość ideałów, którymi osłaniano przyczyny socjalne i imperialistyczne cele wojny. Totalny rozmach wojny ogarnął po raz pierwszy całe syte i bogobojne mieszczańskie społeczeństwa Francji, Niemiec i innych krajów. Dziesiątki milionów ludzi przeszły przez koszary, okopy, szpitale, poznały wojsko, wojnę od podszewki. Poznały brutalność kryjącą się za fanfaronadą, ogłupiającą bezwładność pod dziarską barwą wojskowego munduru, nadludzkie cierpienie kryjące się we frazesie

o chwale sztandaru, rozkład i dezorganizację za parawanem wojskowego ładu, podłość maskowaną honorem, kłamliwość komunikatów i kłamstwo ideałów, a właściwie nacjonalistycznych frazesów. Poznały, jednym słowem, „że nie jest tak na wojnie, jak jest w żołnierskim śpiewie". I przekonały się, że — na darmo. Owoce były niczym w porównaniu z wysiłkiem, a i tak zbierał je kto inny.

Wszystko to zrodziło reakcję. Widok munduru napawał wstrętem, karabin okrył się pogardą, patriotyczny frazes wykpiono, bohaterstwo zrównano z szaleństwem, a myśl o walce budziła najwyższy protest. Wojnę — wszelką wojnę — oceniono jako zbrodnię przeciwko prawu jednostki ludzkiej do życia i szczęścia osobistego.

Cechą bowiem szczególną międzywojennego pacyfizmu było, iż nie znalazłszy w źródłach, celach i wynikach pierwszej wojny spraw wartych walki i ofiary odrzucił a priori wszelkie uzasadnienie walki i koncentrował się na proteście przeciwko wojnie „jako takiej", proteście z pozycji krótkowzrocznego humanizmu: bo ludzie giną, kaleczeją, cierpią, bo szerzy się zbydlęcenie, bo strach, upodlenie, obłęd, bo okopy, bo wszy itd. Bo — w końcu — nie ma sprawy dość wielkiej, by warto było poświęcić jej życie, zdrowie czy zadowolenie jednego nawet człowieka.

Gdy dziś, po latach, po doświadczeniach drugiej wojny — wojny o innym zupełnie charakterze — bierzemy do ręki sztandarowe utwory międzywojennego pacyfizmu — „Na zachodzie bez zmian" Remarque'a czy „Ogień" Barbusse'a — zadziwia nas wprost, jak płytkie są to dzieła, jak krótkowzroczne widzenie świata reprezentują, jak małe, wręcz egoistyczne pobudki kierują antywojennym protestem ich bohaterów... Zda się — krzyk rozpaczy statecznego mieszczucha, pozba-

wionego znienacka ciepłej szlafmycy i wtrąconego na dno wszawego okopu, gdzie nie ma ulubionej kawusi ze śmietanką, a za rogiem gniją w błocku wyprute pociskiem ludzkie bebechy.

Ostrzegał przed pacyfizmem Lenin, gdy jeszcze w 1916 roku zwracał uwagę, iż „wojna obecna wzbudza [...] w płaczliwych drobnych burżua jedynie strach i przerażenie, jedynie wstręt do wszelkiego użycia broni, do krwi, śmierci itp." [114], podczas gdy proletariat winien właśnie szykować się do czynu, by siłą zmienić sytuację, do rewolucji i rewolucyjnej wojny, do „użycia broni". W związku z tym winien też doceniać stojące przed nim problemy walki zbrojnej, wojny, a także ofiarności i poświęcenia.

Wprawdzie w okresie międzywojennym, wobec stale grożącego niebezpieczeństwa niesprawiedliwych wojen imperialistycznych, również protest pacyfistyczny w krajach Zachodu odgrywał pewną rolę pozytywną, jednakże i wówczas nigdy nie był główną drogą, po której kroczy postęp. I choć jego dróżka nieraz biegła obok drogi antyimperialistycznej walki światowego ruchu robotniczego, to jednak tylko do czasu.

W Polsce zaś rzecz w ogóle miała się inaczej. Okropności wojny nie były dla narodu polskiego niczym nowym. Pierwsza wojna światowa nie miała w opinii przeciętnego Polaka tego charakteru, co w opinii intelektualisty zachodniego. Niezależnie od okropności, które były udziałem Polaków walczących w armiach zaborców, kojarzyła się ona w umysłach z faktem odzyskania niepodległości, co usuwało na dalszy plan potrzebę analizy jej prawdziwej istoty. Co się tyczy chwili bieżącej i przyszłości — z dawna rozwinięty rzetelny patriotyzm pozwalał widzieć realne niebez-

pieczeństwa grożące świeżo odzyskanej niepodległości i rozumieć potrzebę narodowego wojska.

W Polsce więc nastroje pacyfistyczne i antymilitarne pozostawały raczej powierzchownym, często zrodzonym z przypadkowych przemijających doświadczeń protestem intelektualistów. Demaskowali wojsko — odbywszy krótkotrwałą służbę w koszarach — Rudnicki, Uniłowski i Zagórski. W innej sytuacji i na okoliczność innych zupełnie możliwości pisał Tuwim słynne wezwanie „Do prostego człowieka":

Rżnij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!

Śpiewała antywojenne piosenki również komunistyczna „Czerwona Latarnia".

Od tej najbardziej bojowej „antywojenności" bardzo już niedaleko było jednak do późniejszego słynnego wiersza-deklaracji wielkiego poety narodu polskiego — poety polskiego proletariatu, Władysława Broniewskiego:

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,
obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
wysączymy ją z piersi i z pieśni.

Cóż? W Polsce prędzej niż w innych krajach wypadło przypomnieć słowa Lenina: „My, marksiści, nie należymy do bezwzględnych przeciwników każdej wojny" [115].

Katastrofa europejskiego pacyfizmu była straszna. Nie przeszkodził on jakoś najeźdźcy w przygotowaniu zamachu przeciwko światu. Szybko okazało się, że tym razem nie chodzi o „ich naftę" — o trzos kapitalistycznych pasożytów — ale o być albo nie być narodów,

właśnie prostych ludzi. A do tego pacyfiści nie byli przygotowani.

Hitler spalił książki i filmy antywojenne na stosie, a ich niemieccy czytelnicy i widzowie w karnych kolumnach pomaszerowali na podbój świata.

W Paryżu szła w tym czasie „Elektra" Jeana Giraudoux, pokazująca, jak niebezpieczną rzeczą jest namiętne poszukiwanie prawdy i sprawiedliwości, obrona zasad ideowych, gdyż prowadzi... do zniszczenia dorobku społeczeństwa. Szła też inna jego farsa: „Wojny trojańskiej nie będzie"... Potem sam Giraudoux został w rządzie francuskim... ministrem propagandy i w przededniu hitlerowskiej inwazji pisał... o korzyściach klęski: „Francja miała zawsze jedną filozofię: zadowalać się tym, co jest dane [...] i upiększać to, co się ma. [...] Z okresów, które nastąpiły po klęskach, Francja umiała uczynić epoki najszczęśliwsze" [116].

Hasło: „Nie chcemy wojny" nabrało jesienią 1939 roku precyzji: „Nie chcemy umierać za Gdańsk". Zimą 1939/40 roku, w okresie „dziwnej wojny", zwanej też przez Niemców „Sitzkrieg", wszechwładna paryska piosenka głosiła: „W ogóle nie chcemy..." — Maurice Chevalier w polskim mundurze w towarzystwie dwu rozkosznych dam wykpiwał wspaniale polskich frajerów, co to dali się zabijać o jakąś autostradę, gdy są jeszcze na świecie tak piękne kobiety... Wiosną 1940 roku nie śpiewał już nikt. Hasło: „Nie chcemy umierać" (tym razem — za Francję) realizowano praktycznie — nogami.

„Jest rzeczą dość charakterystyczną — pisze historyk francuski — że na przykład w 3 Grupie Armii zwykły fakt nieporzucenia przez żołnierza karabinu wystarczy, aby został on wyróżniony w rozkazie dziennym, a nawet otrzymał odznaczenie" [117].

„W wielu miejscach wręczano nam nawet kwiaty.

[...] Ludność nastawiona jest pokojowo" — zapisał w swym notesie 14 i 16 czerwca 1940 roku dowódca niemieckiej dywizji pancernej [118].

Przebudzenie przyszło później, pod wpływem bezpośrednich okupacyjnych doświadczeń.

Oczywiście nie wychowawcy społeczeństwa — pacyfiści — spowodowali klęskę Francji w 1940 roku, gdyż słabe morale żołnierza było jedną tylko z licznych jej przyczyn. Ale też niewątpliwie pewną (sądzę, że dość znaczną) częścią tych milionowych strat, jakie świat poniósł w drugiej wojnie światowej, a których można było uniknąć, obciążyć należy konto tych krótkowzrocznych humanistów *, którzy uczyli, że wojna jest zła, a bić się nie należy — nie pytając, przeciwko i o co.

Rychło okazało się, jak bardzo potrzebni są „frajerzy" — ludzie zdolni walczyć, ryzykować i poświęcać się. Powróci po latach na francuską scenę ośmieszony przez Chevaliera polski mundur — w znanej i w Polsce sztuce Franza Werfla: „Jacobowsky i pułkownik". Oczywiście i tym razem wykpiony („pułkownik Umieralski"), lecz jakże przecież potrzebny ściganemu przez hitlerowców panu Jacobowsky'emu, jakże potrzebny Francji i Europie!

W Polsce i tym razem problemy ułożyły się inaczej. Jak przewidział Broniewski — „krwi nie odmówił nikt". Nieliczni niedawni pacyfiści sami wzięli znienawidzoną broń do ręki, bili się, wielu z nich poległo.

Rudnicki pod chmurą dymu płonącego getta wysłuchawszy przedśmiertnej skargi żydowskiego bojowca: „Żebyśmy choć ze d w i e karabiny mieli" — przekreśli swych antymilitarystycznych „Żołnierzy" i całą płytką antywojenną literaturę swego pokolenia:

* Różny zresztą był ich los. Jedni „nie zauważyli" okupacji, kontynuowali działalność, która w tej sytuacji stawała się otwartą zdradą stanu. Inni stali się ofiarami najeźdźcy — Jean Giraudoux zmarł zakatowany w gestapo.

„...nie wiedziałem, czym dla świata jest karabin. Ani ja, ani nikt naokoło mnie. Ci, co wiedzieli, nie umieli nam tego tak powiedzieć, abyśmy usłyszeli.

[...] Nie byliśmy ani patriotyczni, ani niepatriotyczni, lecz po prostu ciemni. Stąd ten podobny u nas wszystkich stosunek do wojska. Otworzyły się nam oczy wtedy, gdy świadomość już niewiele mogła pomóc — w niewoli. Wtedy przejrzeliśmy" [119].

Patriotyczne, bojowe wiersze Słonimskiego i Tuwima wzywały do walki, dodawały sił żołnierzom na frontach i żołnierzom podziemia w kraju. Po latach, zestawiając pewnie swą wspaniałą i mściwą „Modlitwę" z czasów wojny z przedwojennym apelem „Do prostego człowieka", napisze Tuwim: „Wezwania «rżnij karabinem w bruk ulicy» posłuchał tylko jeden Polak — Rydz-Śmigły" [120].

Epigoni-neoprześmiewcy i kto z tego korzysta

Czasy walki z najazdem hitlerowskim pokazały, iż płaskie hasła pacyfistycznego antymilitaryzmu i płytkiego humanitaryzmu najpiękniej współgrają z kołtuńską małodusznością i egoizmem, natomiast znajdują się w ostrej sprzeczności z rzeczywistymi potrzebami narodu i ludzkości, z rzeczywistym humanizmem, który wymagał właśnie walki, ryzyka i poświęcenia, nieraz ofiary. Te doświadczenia poszły dziś, jak się zdaje, w zapomnienie. Znowu intelektualną modą w niektórych kręgach inteligencji staje się przyjmowanie słów: „wojna", „wojsko", „broń", „walka", „ofiarność", „obowiązek patriotyczny" — z miejsca, bez pytania: „jakie?", „o co?", „po co?" — kwaśno-drwiącym uśmieszkiem jako starożytne przeżytki i wykroczenia przeciwko

Człowiekowi. Znowu jeden pisze o umieraniu za kawałek szmaty (sztandar), drugi — że wojsko jest brutalne, a kaprale głupi, trzeci — że serce mu drgało, gdy strzelał do tarczy, a tarczą była sylwetka ludzka z dykty, czwarty... itd., itd. Teorii nikt nie formułuje — trudno o taką odwagę w kraju, który ma świeżo w pamięci nieodwracalną potrzebę walki i umierania „za szmatę" oraz strzelanie do sylwetek wcale nie wyciętych z dykty.

Za to podobnie jak niegdyś chciałoby się importować trochę „szlachetnego pacyfizmu" z zagranicy. Niestety po drugiej wojnie światowej, która na całym świecie odmienna była przecież od pierwszej, nie bardzo jest skąd. Chyba z najbardziej zapóźnionej w rozwoju ideowym i poznawczym wojennej literatury amerykańskiej, której część dopiero teraz przeżyła i oddała to „pierwszowojenne" przerażenie mieszczucha strąconego na dno verduńskiej otchłani. Wysila się więc krytyk filmowy „Kierunków", by przeciwstawić tę literaturę — jako w y ż s z y etap rozwojowy — literaturze radzieckiej, literaturze Wielkiej Wojny Narodowej. Po początkowym, nie pozbawionym racji stwierdzeniu: „Znamienny dla naszej epoki jest fakt odpoetyzowania wojny, odarcia jej z szat romantyczności i przygody. Najbardziej przykre wspomnienia po okresie romantyzmu w literaturze to ów rozkładowy sentymencik dla wojny, skompromitowany — oby raz na zawsze — kult szabelki" — dodaje: „I o ile u radzieckich twórców spotykamy się j e s z c z e z kultem bohaterstwa i usprawiedliwienia wojny obronnej, o tyle na przykład u Mailera czy Remarque'a wystąpi przekonanie o bezcelowości i szaleństwie każdej wojny" [121] (podkreślenie moje — Z.Z.).

Dość żałosne jest to „jeszcze"...

Ale niepokojący jest — upór. Ostatnio na przykład

„neopacyfizm" czy też „remarquizm" odnaleziono raptem... w nowych radzieckich filmach wojennych i w nowej, „po XX-zjazdowej" literaturze o wojnie. Dlatego że pełniej pokazuje ludzką tragedię, że z większą może uwagą niż dawniej pochyla się nad losem jednostki — ceną za przyszłość zbiorowości. Ceną przecież nigdy w społeczeństwie radzieckim nie kwestionowaną. U naszych neoprześmiewców jednak znowu słychać ten sam pacyfistyczny tonik, odnajdujemy kawałki tych samych, co w latach dwudziestych, argumentów, tę samą płytkość w ocenie problemu „człowiek i społeczeństwo", egoistyczną gruboskórność, krótkowzroczność, a zwłaszcza zadziwiająco głębokie zadowolenie ze swej tak manifestowanej „postępowości", „nienacjonalistyczności", „humanizmu" i wyższej mądrości takiego stanowiska... Bić się, umierać — to w złym guście, niegodne Człowieka-istoty myślącej — wręcz niemądre. Zawsze niemądre. Jakże więc niemądry jest nasz naród, jeśli tyle razy zrywał się właśnie do walki zbrojnej...

W historii poruszać się łatwiej — ludzie najczęściej zapominają, jak to tam było i o co chodziło. Stąd tyle wybrzydzania się na naszą zbrojną przeszłość, którego przykłady przytaczaliśmy, stąd tyle złośliwych, a jakże głupich kpinek.

Kłamstwem byłoby twierdzić, że ten nihilistyczny stosunek do przeszłości nie napotyka u nas na opór. Większość ludzi ze starszego czy średniego pokolenia — ci, którzy sami przed laty stanęli wobec praktycznej, narzuconej przez rozwój wydarzeń konieczności walki — nie jest na ogół skłonna do kpinek z własnej przeszłości. Nie mają powodu kpić z niej partyjni konspiratorzy, partyzanci GL, żołnierze AL, Armii Polskiej w ZSRR, żołnierze ludowego Wojska Polskiego. Wprost przeciwnie — choć może się z tym nie obnoszą, dumni

są ze swego wkładu w historię Polski. Nie widać też rozsądnych powodów, dlaczego miałby być deprecjonowany wysiłek bojowy i patriotyczna ofiarność innych walczących z faszyzmem ugrupowań polskich. Kombatanci antyhitlerowskiej walki, nawet ci rozczarowani, zawiedzeni przez przywódców, na ogół cenią wysoko swój konkretny czyn zbrojny. Prawda, są nieraz przygaszeni, rozgoryczeni — wszak tyle czasu tłumaczono im (a nie ich przywódcom, jak by należało), że to wszystko nie miało sensu, więcej — było szkodliwe, że byli głupi, bo się dali oszukać... A jednak pod zgorzknieniem tkwi zwykle słuszna duma i zadowolenie ze spełnionego obowiązku: nie byli bierni, gdy lała się krew, potrafili zdobyć się na poświęcenie w imię sprawy szerszej, narodowej. Uważają, że był to najcenniejszy moralnie okres ich życia: egzamin na człowieka społecznego. I mają rację.

Inna rzecz, że gdy postępowa inteligencja wykpiwa ofiarność i zaprzecza sensowi walki, kombatanckie nastroje wykorzystują środowiska dalekie od postępu, często ci sami ludzie, którzy niegdyś patriotycznym dążeniem kombatantów posługiwali się dla swoich klasowych i politycznych celów. Prasa katolicka — zarówno związana z hierarchią kościelną, jak i z ugrupowaniem PAX — bardzo uważa, by nie urazić dawnych żołnierzy, by nie dotknąć ich sentymentów. Wprost przeciwnie. Umie doskonale wykorzystywać te sentymenty, by wiązać tych ludzi ze sobą, by rozszerzać swe wpływy. Lecz to już zagadnienie ściśle polityczne, nas zaś interesują tu problemy aktualno-wychowawcze, do których właśnie zmierzamy. Nadmieńmy tylko, że zdrowy protest przeciwko kpinie rodzi się również wśród młodzieży (w miarę jak dorasta...), wszędzie tam, gdzie wkracza zwykły rozsądek, gdzie szyderczej egzaltacji przeciwstawia się chłodny realizm pokolenia,

które nie chce się „dać nabrać" — ani na frazes „bogoojczyźniany", ani na antybogoojczyźniany.

„Coraz więcej świetlanych pojęć, czcigodnych rekwizytów tradycji narodowej zaczyna trącić mistyfikacją" — pisała para młodych felietonistów „Przeglądu Kulturalnego", dowiedziawszy się kilku prawdziwych faktów z naszej historii. I nie bez złośliwej satysfakcji dodała: „Jeśli badania historyczne potwierdzą ostatecznie demistyfikację tych redut i jeszcze kilku na dodatek, to co nam zostanie?... Jak byśmy żyć mieli, gdyby okazać się miało, że nie jesteśmy, nie byliśmy tacy inni od wszystkich!" [122].

Nie ma obawy. Damy sobie radę. Bo naprawdę „tacy inni" od wszystkich narodów nie jesteśmy i nie byliśmy. Nie byliśmy przede wszystkim w jakiś szczególnie zauważalny sposób głupsi w swym historycznym działaniu.

I nie trzeba hasła pokolenia: „Myślenie ma kolosalną przyszłość" tak kategorycznie przeciwstawiać całej naszej historii i dniom dzisiejszym. Myślenie ma również kolosalną p r z e s z ł o ś ć, proszę kolegów. To myślenie w przeszłości uwarunkowało w jakiś sposób waszą myśl o przyszłości myślenia...

GRZECHÓW OSTATEK ALBO JESZCZE O TRUPOCHWALCACH

Z obsesji „krótkiego kursu historii Polski w siedmiu pogrzebach" nie mogą się wyzwolić i dzisiaj nawet ludzie, którym dzieje Polski i wysiłki naszego narodu są drogie. Terror intelektualny szyderców jest silny.

Opluwanie Sarmaty zapewnia oklaski widzów i pochwały krytyki. Ileż to atramentu wypisano o bałwochwalstwie narodu, gestach szaleńczych i już przez to komicznych bądź żenujących. Antysarmatyzm stał się więc czymś w rodzaju alibi racjonalizmu: „kto nie kocha wojska i patriotycznych auto da fé — zyskuje tym samym patent postępowca i człowieka światłego, rozumnego..." — trafnie scharakteryzował to zjawisko Jan Błoński [123]. Nawet ci, którzy się z „pseudopostępowcami" nie zgadzają, przyjmują ich ocenę, z tym tylko, iż wykpionego Polaka-Umieralskiego — takiego, jaki jest w szyderczym obrazie: śmiesznego i głupiego — windują na pomnik, ogłaszają świętym.

Święty, święty, święty Sarmata śmieszny!

Cóż bowiem najlepszego przeciwstawiają oni kpinie z głupiego umierania? Pochwałę głupiego umierania...

„W tyradach i drwinach wycelowanych w somosierszczyznę wszystko bywa przedstawione tak, jakbyśmy

mieli pretensję do ludzi, którzy — postawieni w sytuacjach, z których nie było już wyjścia — robili akurat to, co mogli zrobić, to znaczy s t a r a l i s i ę j a k n a j p r ę d z e j u m r z e ć" [124] (podkreślenie moje — Z.Z.).

Nie było to ich nieszczęściem, lecz — zdaniem Błońskiego — bardzo pozytywnym i twórczym wkładem w historię Polski.

„Namiętność śmierci, tak oczywista wśród bojowników o sprawę, dowodzi, że przeczuwali oni podświadomie, iż celem, który mogą osiągnąć, jest wcale nie zwycięstwo, lecz właśnie klęska; nie odzyskanie niepodległości, ale tylko — uprzytomnienie rodakom, że ta niepodległość jest równie konieczna, co nieosiągalna. Powiem inaczej: oni tę niepodległość osiągali i spełniali w klęsce" [125].

Wniosek zaiste zaskakujący! Nie mniej zadziwiające jest uzasadnienie: „Niszczono substancję narodową, ponieważ niszczenie było jedynym aktem, w którym mogły się objawić świadomość patriotyczna i tym samym — poczucie wolności" [126].

Z czego wynika, że autor powyższego „dał się zwariować": uwierzył w to, że historia Polski jest nonsensem, a ponieważ żaden ludzki umysł nie jest w stanie tego znieść — przemianował nonsens w sens.

Tylko w świetle powyższego wywodu zrozumieć można myśli samego Jarosława Iwaszkiewicza, który sławił jednym tchem wrzesień i powstanie warszawskie właśnie za to, że „naznaczyły to społeczeństwo nie dającym się zatrzeć stygmatem", „stworzyły najistotniejszą specyfikę naszej historii XX wieku", ponieważ „one to nadają p o l s k i e cechy przebiegowi zdarzeń na naszej ziemi" [127].

Tak rozumuje „generał myśli". Tego rodzaju kąt widzenia, właściwy od lat kołom wpływowym w sensie

ideowym, musiał oczywiście oddziałać również na „generałów czynu". Jest rzeczą stwierdzoną, że w naszym narodzie pojęcie honoru odgrywało tradycyjnie bardzo dużą rolę. Nie uznałbym tego za zjawisko negatywne. Pięknie, gdy mówią o honorze i troszczą się o honor podchorążowie, podporucznicy i rotmistrze. Gorzej, gdy słowo honor zbyt często występuje w enuncjacjach generałów, tych zwykłych generałów, od wojowania, ściślej — od myślenia o wojnie. Jeszcze gorzej, gdy ci generałowie — miast myśleć — niczym najszczersi zwolennicy teorii o wyzwalającym sensie aktu zniszczenia i śmierci gadaniem o honorze zastępują rozsądną troskę o żołnierskie życie, którym dano im prawo dysponować. Dziś, w dobie sprawozdań ze swej niegdyś aktywnej działalności, jeden pisze: „Za honor i ojczyznę", drugi pisze o „walce o honor oręża". Nie jestem pewien, czy wielce honorowe troski są wyłącznie refleksem dnia dzisiejszego, pamiętnikarskim chwytem, czy nie były też głównym sposobem wojowania, sposobem ujmowania spraw, które przecież winny być ujmowane w kategoriach rozumu, rozsądku politycznego i wojskowego, obliczenia właściwego nader nowoczesnej rzeczowości, a nie w kategoriach nieco średniowiecznych. Jeśli o tym mówię, to dlatego, że kilka istotnie szaleńczych czynów naszej niedawnej historii prowokuje przede wszystkim pytanie:

Czy stanęły zegary historii?

Dostojny patrycjusz w powłóczystej todze z purpurowym obramowaniem kroczący po którymś z forum starożytnego Rzymu budził podziw i szacunek rozwrzeszczanej gawiedzi. Ten sam patrycjusz, przechodzący na placu Konstytucji ulicę Marszałkowską po

malowanej „zebrze" przy zielonych światłach — to istny cyrk...

Wszystko w historii ma swoje miejsce, swoją wartość i swoją godność. Jednakże historyczne stroje, hasła, kostiumy rok za rokiem i wiek za wiekiem gromadzą się w ludzkiej i społecznej świadomości jak gdyby w ogromnym lamusie dziejów.

Z lamusa tego można wyciągnąć wszystko. Nie brak też ludzi, którzy stamtąd czerpią rynsztunek dla aktualnego, bieżącego działania. Jeden stroi się w togę Katona, drugi woli sztylet Brutusa, trzeci przepada za napoleońskim kapeluszem...

Radził urągliwie Stanisław Jerzy Lec:

> Idź na ciuchy historii,
> kupisz tu gesty
> za grosze,
> za które płacono
> życiem i krwią.

Pół biedy, jeśli kandydat do cesarskiego stolca sam zapłaci te grosze za napoleoński kapelusz. Metamorfoza nie będzie nawet tego warta — pozostanie księciem z operetki.

Gorzej, jeśli za wskrzeszony gest przeszłości, gest, który powtarzany staje się komedianctwem, pomysłowy bywalec antykwariatów każe płacić ludziom — setkom, a nieraz tysiącom ludzi pełnych najlepszej woli, a niezdolnych poznać, że historyczny kostium tym razem zupełnie inne niż niegdyś mieści w sobie treści.

Bo to już nie farsa, gdy leje się krew, nie farsa, gdy żywi ludzie naprawdę cierpią głęboko, boleśnie, tragicznie i niepotrzebnie.

Pseudorejtan, czyli Ordonkowie „trzeciej światówki"

W latach 1943—1944 było oczywiste, że „Polska o reakcyjnym obliczu społecznym i politycznym nie mogłaby się utrzymać na widowni międzynarodowej po rozpadnięciu się w gruzy reakcyjnych państw faszystowskich. [...] Linia wewnętrznej i zagranicznej polityki musi być dostosowana do potrzeb i interesów całego narodu, musi wpadać w nurt tego nowego postępowego prądu rozwojowego, który znajdzie swój wyraz w dążeniach mas ludowych również w innych krajach świata" [128].

Przeobrażenie Polski było koniecznością historyczną i ktokolwiek pragnąłby przeciwstawić się mu, co więcej — przeciwstawić mu naród polski — pchał się na śmierć oczywistą, jakby pod koła rozpędzonej lokomotywy.

Inicjatywę tego przeobrażenia podjęła polska lewica pod wodzą komunistów, skupiając stopniowo wokół siebie coraz liczniejsze rzesze narodu — naprzód tych, którzy pragnęli nowej Polski, a później tych, którzy pragnęli po prostu Polski, a zrozumieli, że inna niż ludowa już być nie może. W miarę rozwoju wydarzeń stawało się to oczywiste.

A jednak w środowiskach reprezentujących dawną, skazaną na zagładę Polskę burżuazyjno-obszarniczą — i w podziemnej Warszawie, i w emigracyjnym Londynie — rozległ się gromki okrzyk: „Nie pozwalam!"

Chodziło o rzeczy nader prozaiczne: klasowy charakter przyszłej Polski — o władzę, własność, zasięg i kierunek wpływów. Rzeczy tak płaskie i oczywiste bardziej jeszcze niż wzniosłe ideały potrzebują osłony: historycznego kostiumu i historycznego gestu. Wybrano gest Rejtana.

Nie będę się tu rozwodził nad tym, jak owi „ludzie dnia wczorajszego" ufortyfikowani w „okopach Świętej Trójcy" zwalczali te siły, które podjęły się przebudowy ojczyzny i odbudowy jej niepodległości w nowych warunkach, jakie to mary przeszłości (a głównie wspomnienia o roku 1918 i „władzy leżącej na ulicy") przyświecały ich planom i zamierzeniom „na wewnątrz", w stosunkach z własnym narodem.

Chodzi mi o jeden tylko aspekt problemu, o stosunek reprezentantów Polski wczorajszej do siły wyzwalającej kraj spod okupacji hitlerowskiej, ratującej naród przed wyniszczeniem przez najeźdźcę.

Wystarczy prześledzić uważnie wszystkie kolejne koncepcje i plany postawy Armii Krajowej wobec Armii Radzieckiej *, aby nabrać przekonania, iż główną troską wymienionych instytucji było: jak wynaleźć najkorzystniejszą, najbardziej reprezentacyjną pozycję, by po rejtanowsku upadłszy w poprzek drogi, teatralnie rozedrzeć koszulę na piersi z tym właśnie okrzykiem: „Nie pozwalam!"

Jeszcze 22 czerwca 1942 roku dowódca Armii Krajowej przedstawiał naczelnemu wodzowi rozwiniętą szczegółową propozycję planów na najdalszą nawet przyszłość. Wśród różnych wariantów dotyczących potraktowania Armii Radzieckiej, ścigającej rozgromionych Niemców przez ziemie polskie, jako nowego najeźdźcy, znajdujemy i taki: „Poczynania niepodległościowe wstępują w fazę walki z Rosją, nowym okupantem, wrogiem głównym. [...] Siły nasze, znajdu-

* Sprawą tą zarówno Komenda Główna AK i Delegatura rządu, jak i Naczelne Dowództwo i rząd w Londynie zajmowały się o wiele bardziej niż sprawą aktualnej sytuacji w kraju i sprawą walki partyzanckiej (wystarczy przejrzeć choćby pobieżnie poświęcony historii Armii Krajowej t. III wielotomowej monografii „Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej" Londyn 1950 — absolutna większość przytoczonych tam dokumentów dotyczy tego właśnie problemu).

jące się w kraju, skupiają się na skrawku ziemi polskiej, najdogodniejszym do postawienia oporu najeźdźcy przy zachowaniu związku z siłami będącymi jeszcze poza krajem. [...] Taka reduta oporu polskiego mogłaby być równocześnie Piemontem Polski przyszłej, mogłaby być na Pomorzu. Oparta o Bałtyk, miałaby łączność z Zachodem" [129].

Jeden z wybitnych aktorów ówczesnego dramatu dziejowego, pułkownik Jan Rzepecki, analizując dzisiaj ówczesne pomysły streszcza je następująco:

„Wyłuskajmy myśli podstawowe:

— «wojsko z emigracji» nie wraca — czeka...

— «wojsko konspiracyjne» nie ujawnia się — czeka...

— jeśli zdążyło wyjść z podziemia, uderzając na Niemców, to ściąga do pomorskiej «reduty» i — czeka...

Na co? Chyba na konflikt pomiędzy zwycięzcami" [130].

Projekty te precyzują się stopniowo. Z planu „reduty pomorskiej" zrezygnowano dość szybko. Myślano natomiast o tym, aby... nie czekać zbyt długo. W styczniu 1943 roku dowódca AK depeszuje do naczelnego wodza w odpowiedzi na jego postulat przedstawienia planu powstania zbrojnego:

„Uważam jednak za konieczne, aby takie przeciwniemieckie wystąpienie sił zbrojnych w kraju miało natychmiastowe wsparcie przez desant naszych sił emigracyjnych, przewidziany dla wsparcia powstania, a także i przez oddziały anglosaskie. Desanty te, zrzucone przede wszystkim we wschodniej połaci kraju, stanowiłyby widomy znak współpracy narodów anglosaskich z nami i skrępowałyby Rosję" [131].

Następna instrukcja, tym razem najoficjalniejsza instrukcja rządu dla kraju z 27 października 1943 roku, przewiduje m. in. taką postawę Polski wobec wojsk radzieckich, wypierających Niemców z ziemi polskiej:

„Rząd polski zakłada protest u Narodów Zjednoczo-

nych przeciwko naruszeniu suwerenności polskiej — przez wkroczenie Sowietów na teren Polski bez porozumienia z Rządem polskim — komunikując równocześnie, że kraj z Sowietami współpracować nie będzie" [132].

Tak rodziła się słynna „Burza" — której owocem były bohaterskie walki partyzantów polskich z ariergardami niemieckimi w 1944 roku i tragedia setek ludzi, którym po tych walkach kazano... rozkraczyć się na drodze ciągnących na zachód, na Berlin, wojsk radzieckich i odegrać rolę Rejtanów krzyczących: „Nie pozwalam!"

W styczniu 1944 roku pisma angielskie obiegła karykatura przedstawiająca maszerujących przez śniegi znużonych w boju żołnierzy radzieckich — i okutanego w ciepłe, wygodne futro Polaka, stojącego naprzeciw nich ze zwojem map, memoriałów i paktów w ręku [133].

Pierwszym „Rejtanem" stał się starosta londyńskiej administracji w Sarnach na Wołyniu. Po wyzwoleniu tego miasteczka przez partyzantów ukraińskich spełnił on nałożony nań obowiązek zademonstrowania woli obrońców starego porządku z Londynu. Dowódcy wkraczających regularnych wojsk radzieckich przedstawił się jako gospodarz terenu — polski starosta. „Na co otrzymał odpowiedź: «Głupi jesteście, towarzyszu, jaki wy tam starosta». Władze bolszewickie nie zainteresowały się zupełnie ujawnionym starostą, któremu zresztą nic — jak dotąd — nie zrobiono" — czytamy w raporcie Wydziału Społecznego emigracyjnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, skierowanym 30 maja 1944 roku do Oddziału Specjalnego Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie [134].

Jednakże „Rejtanowie" byli wytrwali. Nie mogli dopuścić, aby ich demonstracja pozostała nie zauważona. Demonstrowano więc setkami, potem tysiącami zbroj-

nych ludzi. Władze radzieckie zostały ostatecznie zmuszone do reakcji. Nie chciały — i można zrozumieć, że nie mogły — pozostawiać na swych tyłach silnych zgrupowań partyzanckich podległych wrogiej im władzy. Z początku proponowano rozwiązanie oddziałów i wstąpienie do regularnego ludowego Wojska Polskiego, uznawanego przez rząd radziecki i związanego z nim sojuszem. Potem — wobec kategorycznej odmowy — zaczęto rozbrajać.

To właśnie było potrzebne „Rejtanom".

„Reakcyjna klika emigracyjna kierowała się prywatą, nie troszcząc się o to, że za jej nieodpowiedzialną politykę jej zwolennicy w kraju płacili wolnością lub życiem. Horyzont polskiego partykularza, ciasnota widnokręgów politycznych, zapatrzenie się w widma przeszłości określone świadomością klasy ginącej — oto jej cechy" [135] — powie po 15 latach historyk.

„Neorejtanowie" nie bali się ceny tej demonstracji. Miał ją zapłacić kto inny — szeregowy żołnierz i oficer AK.

„Jeżeli jednak za cenę nowej krwi polskiej i nowych naszych ofiar uda się przekonać i zmobilizować opinię i stanowisko Anglosasów po naszej stronie [...] — to cena zapłacona w najświętszej sprawie nie będzie za wysoka" — pisało 15 kwietnia 1944 roku „Państwo Polskie", organ sanacyjnego Obozu Polski Walczącej [136].

Protest „Rejtanów" nie miał więc być protestem platonicznym, jedynie „wobec Boga i Historii". Rozumiał to dobrze stary Churchill. Nie chcąc (bo nie mógł w ówczesnej sytuacji...) poprzeć tej prowokacji, krzyczał na Mikołajczyka:

„Nie jesteście rządem, jesteście warcholskim narodem, który chce zburzyć Europę. [...] Nie ma pan poczucia odpowiedzialności, jeżeli chce pan poświęcić ludzi z kraju. [...] Pana argumenty to tylko zbrodniczy

zamysł wywołania rozłamu wśród sojuszników za pomocą waszego liberum veto. [...] Nie mam zamiaru wojować z marszałkiem Stalinem. Jeżeli chce pan podbijać Rosję, to niech pan idzie swoją drogą. Trzeba pana zamknąć w domu wariatów" [137].

Nie tylko więc wizja „Rejtana" przyświecała reakcyjnym politykom polskim. Była tam także wizja Ordona. Chcieli być „Ordonkami" — „trzeciej światówki". Taki piękny termin ukuł wówczas, jak zwykle cięty, Zygmunt Nowakowski.

„Palna świeca", którą „Ordonkowie" mieli w ręku, okazała się jednak zbyt słaba, by wywołać detonację zdolną wstrząsnąć światem. Tymczasem wydarzenia nagliły.

Armia Radziecka wyzwalała rdzenne ziemie polskie. Powstała nowa Polska i nikt w niej nie liczył się z „Rejtanami", a „okopy Świętej Trójcy" uległy zaoraniu i parcelacji między bezrolnych chłopów. Skupiająca wokół siebie znaczną część narodu lewica polska organizowała wyzwolone życie i z natury rzeczy obejmowała władzę. Zegar historii wcale nie chciał stanąć. Potrzebny zaś do tego fajerwerk na skalę europejską nie następował.

Poszukano więc większego płomienia. Dostarczyła go Warszawa.

Wbrew uprzednim planom włączono ją do „Burzy". 31 lipca 1944 roku zapadła decyzja o terminie powstania. 1 sierpnia po południu niemal bezbronni żołnierze AK, przekonani, iż złamany na froncie wschodnim przeciwnik cofnie się bez poważniejszego oporu bądź złoży broń, uderzyli na bunkry i ufortyfikowane budynki niemieckie. Niewątpliwie pragnęli przyspieszyć wyzwolenie i ustrzec miasto od zniszczeń. Wątpię, czy rozumieli dobrze, czy wiedzieli nawet, że chodzi głównie o umożliwienie zainstalowania się w stolicy ekspo-

zytury burżuazyjno-obszarniczego rządu polskiego: Krajowej Rady Ministrów, złożonej z wicepremiera — delegata rządu londyńskiego — i trzech ministrów.

Dalszy ciąg jest znany.

Tysiąc karabinów i jeden odważny

Jeszcze tliły się ruiny Warszawy, a specjalne bataliony saperskie Wehrmachtu wysadzały w powietrze wypalone pudła domów na Marszałkowskiej, gdy jeden z inicjatorów powstania, generał „Niedźwiadek"-Okulicki, tak tłumaczył się w liście do prezydenta Raczkiewicza (9 grudnia 1944 roku) z powodów, dla których podjęto decyzję rzucenia miasta do walki:

„Potrzebny był czyn, który by wstrząsnął sumieniem świata". Roli tej nie spełnił dotychczasowy przebieg „Burzy", „gdyż pomimo wielkich ofiar z naszej strony były to tylko walki o charakterze lokalnym, nie mogły zatem wywołać w świecie nawet takiego echa, jakie odpowiadało ich znaczeniu wojskowemu" [138].

Istotnie czyn ten wstrząsnął sumieniem świata, wstrząsnął przede wszystkim sumieniem narodu polskiego i do dnia dzisiejszego pozostał w naszej świadomości bolesną nie całkiem zagojoną blizną.

Łuna nad półtoramilionowym miastem nie rozpłomieniła się jednak w ordonową „palną świecę", na szczęście nie spowodowała nowego światowego konfliktu. Gdy zagrzmiały pierwsze strzały, stała się Warszawa ogromnym polem zaciekłej i bohaterskiej, choć przedwczesnej i rozpaczliwej bitwy z hitlerowskim najeźdźcą. Te pierwsze strzały ujawniły w pełni dwoistość sensu powstania — rozbieżność polityki powstańczej góry z walką powstańczych dołów, egoizmu klasowego przywódców z patriotyzmem i żołnierskim

męstwem powstańców. I nie da się nigdy ocenić jednym zdaniem, jednym słowem tego zjawiska: ani go rozsławić, ani potępić.

Dziś, po tylu latach, gdy znikły z warszawskich ulic niemal ostatnie już ślady skutków szaleńczej decyzji, zostało nam w pamięci jedno: bliscy, którzy polegli, i ich przeogromne 63-dniowe męczeństwo, przeogromne, nadludzkie bohaterstwo. Determinacja ludzi, którzy z gołymi pięściami poszli na bunkry, na cekaemy, którzy swój żołnierski obowiązek w tych bezprzykładnie trudnych warunkach wykonali — od początku do końca.

Ogólny zaś sens dramatu historycznego ulega stopniowo zapomnieniu. Jakże nie lubimy wspominać rzeczy przykrych, brzydkich, nieczystych... Co nie znaczy oczywiście, by zapomniano o wyciąganiu wychowawczych nauk z powstania. Stało się ono przecież koronnym dowodem w akcji oduczania naszego narodu od... romantyzmu.

Nasze filmy ukazują bezsens żołnierskiego wysiłku, nasza publicystyka (ta sama, która wykpiwa somosierszczyznę) boleje nad brakiem rozwagi u zbyt odważnych powstańców...

Nikt jeszcze nie kpi. Najzacieklejsi nawet szydercy. To zbyt boli, więc na drwinę odbrązowiacze się nie odważą. Tylko łagodnie, jak chorym, tłumaczą, żeście może jednak byli zarażeni tą polską manią umierania, żeście może troszkę jednak byli... niespełna rozumu.

Przepraszam! A kogóż to trzeba uczyć rozwagi i realizmu?

Żołnierza, który szedł na przedpowstańczą zbiórkę pełen wiary, że nie można czekać z założonymi rękami, aż inni „odwalą" za nas wojnę? On nie wiedział, że moment jeszcze nie dojrzał, że zamysł powstania nie

jest ani przemyślany, ani uzgodniony z głównymi siłami wyzwolenia, z siłami radzieckimi.

Żołnierza, który przyszedł na przedpowstańczą zbiórkę, gdzie miał otrzymać broń? On przecież nie znał stanu magazynów. On z tej broni strzelał na ćwiczeniach w Lesie Kabackim. Nie wiedział, że jeden karabin ma dzielić z 39 zaprzysiężonymi kolegami.

Bo karabinów było tysiąc. O tym dzisiaj wie już każdy. Wówczas wiedzieli ci, którzy w ostatnich dniach lipca dwa razy dziennie zbierali się na narady, aby zadecydować o powstaniu.

Pisał znawca armii przedwrześniowej i powstania, generał Kirchmayer, że na nich — przedwojennych zawodowych oficerach polskich — zaciążyło tradycyjne wychowanie w romantycznym duchu. Od lat patrzyli w krzywe zwierciadło, jakże opacznie przedstawiające polską przeszłość, polską teraźniejszość i polskie możliwości. Od lat obracali się w zadziwiającym polskim światku, w którym zawsze za mało było realnych — materialnych, technicznych — elementów działania, a zawsze w nadmiarze było elementu ludzkiego i ludzkiego ducha: impetu, ofiarności i odwagi. Czyżby istotnie na psychice i na decyzjach Bora-Komorowskiego, Niedźwiadka-Okulickiego, Grzegorza-Pełczyńskiego, Montera-Chruściela tak przemożnie zaciążyła szlachetna wiara, iż „niezłomny duch zawsze zwycięży plugawą materię"? [139] Skłonny jestem raczej wierzyć realistom, wskazującym na logikę idiotycznej decyzji, wynikającej z idiotycznej polityki, więcej — na logikę zabójczej dla miasta decyzji, wynikającej z zabójczej dla narodu polityki umierającej klasy. Na przykład w postaci człowieka, którego meldunek o gotowości Warszawy do powstania, a później meldunek o załamaniu się obrony niemieckiej na Pradze posłużyły za ostatnią przesłankę dla podjęcia decyzji o po-

wstaniu — jednym słowem, w postaci dowódcy warszawskiego okręgu AK, a później korpusu, generała Montera-Chruściela — nawet przy najlepszej woli trudno się dopatrzyć romantycznego rycerza, uduchowionego zwolennika tezy o wszechmocy czynników spirytualnych. Był to, jak sądzę, wielce krótkowzroczny i lekkomyślny fanfaron, „najzwyczajniej" w świecie pozbawiony wyobraźni i poczucia odpowiedzialności. Wystarczy zajrzeć do jego raportów z pierwszych dni powstania. Pierwszy meldunek, z godziny 5 rano 2 sierpnia, daje absolutny obraz załamania się powstania we wszystkich dzielnicach. Jedynie z Pragi brak meldunku. A więc ogromnie szczęśliwy Monter wnioskuje: „Na Pradze położenie zdaje się być dla nas korzystne"... Drugi meldunek, 2 sierpnia godzina 11.15: „We wszystkich obwodach ważniejsze obiekty nie zostały opanowane". Ale oczywiście wynikające z tego rozsianie ognisk walki po całym mieście uważa Monter — nie wiedzieć czemu — za korzystne. „Amunicja na wyczerpaniu, w niektórych oddziałach wręcz ostatkami gonią [...] Z powodu braku amunicji nie mogę mieć właściwie wpływu na przebieg walki". Jednakże — logika zadziwiająca: „Czas pracuje dla nas". 3 sierpnia dowódca rozpaczliwie walczącego kilkudziesięciotysięcznego zgrupowania znalazł nareszcie sposób strategiczny, aby wpływać na sytuację na polu walki: „Zamierzam ożywić działania we wszystkich częściach miasta, zwłaszcza tam, gdzie te działania są niemrawe. Każę wywieszać flagi narodowe jako widomą oznakę, że dana dzielnica walczy" (podkreślenia moje — Z.Z.). Przecieramy oczy z niedowierzaniem. Niestety, tak jest. Ponieważ zaś prócz flag narodowych istnieją konkretne problemy walki, Monter obiecuje: „W razie wyczerpania amunicji czołgi będą atakowane butelkami zapalającymi" [140].

Będą atakowane... Były atakowane! Były atakowane skutecznie. Przez żołnierzy, przez dzieci.

Tylko kto tu jest opętańcem? Kto tu jest szaleńcem? Żołnierz, który po prostu robił, co mógł; a mógł wiele, bo ożywiony był najszczerszym patriotyzmem? Czy też generał, który miast patrzeć na mapę i w kwatermistrzowskie zestawienia — patrzy na niebo, a miast wpływać na przebieg walki odwodem przeciwpancernym czy artyleryjskim — „oddziałuje" narodowymi flagami? Kto jest niebezpiecznym szaleńcem — ten, kto z butelką chodzi na czołgi, czy ten, kto na czołgi z butelką posyła? Kto tu jest zarażony romantycznymi (domniemanymi) szaleństwami przeszłości i nieudolnie kopiuje tradycyjne, niegdyś pełne treści gesty?

Odpowiedź jakże prosta. A przecież obca całemu rozumowaniu szyderców. Jak gdyby w ogóle nie brali jej pod uwagę. Natomiast warszawskim chłopcom i dziewczętom z powstania wytykają przy każdej okazji, że za bardzo ponoć kochali ojczyznę, że zbyt wiele gotowi byli dla niej poświęcić, że zbyt rwali się do walki i że to oni swym „niedzisiejszym" romantyzmem cofnęli się do czasów zamierzchłych, spartańskich, termopilskich... niepotrzebnie.

Kto poprzestawiał zegary, a głównie — po co?

Po scenie wielkiego dramatu dziejowego Polski w latach drugiej wojny światowej, jak po wielkiej i nader realistycznej chłopskiej chacie w Bronowicach, snuje się istotnie kilka mar przeszłości — jakiś Szela z kosą, jakiś Wernyhora, czy Rejtan, jakiś „Czarny rycerz", jakiś fanfaron, „Napoleon słowa" — bezradny w działaniu, nieco podobny do Skrzyneckiego. Jakieś

postacie spod przestawionego, cofniętego zegara historii. Ich czyny uzasadniałyby sąd o irracjonalizmie polskich dziejów... Czy jednak irracjonalizm poszczególnych czynów, zbrodnicza wręcz lekkomyślność niektórych decyzji może być uznana za lekkomyślność narodu? Tymczasem nie brak uparcie powtarzających, że nie mary przeszłości są winne, lecz zwykli ludzie. Że zegar historii cofali nie tamci przywódcy ginącej klasy, lecz szeregowcy historii — dziś (jeśli dożyli) szeregowcy socjalizmu. Kazimierz Koźniewski od lat wyrzeka nad pokoleniem, które tak łatwo wchodziło w konspirację, które tak łatwo dawało się porywać do czynu zbrojnego, które tak łatwo szło służyć ojczyźnie, bić się i umierać...

Wcale niełatwo. Niełatwo, ale ze zrozumieniem konieczności, ze zrozumieniem właśnie trudnego, gorzkiego obowiązku walki — zabijania i ginięcia. Dziś już to dobrze wiadomo. Koźniewski zaś idzie dalej: „Chętnie zwalamy dzisiaj wszystko na szefów Armii Krajowej; a jednak ich zbrodnicze decyzje rozpoczęcia takiego powstania w takich okolicznościach politycznych, strategicznych, międzynarodowych były tylko dlatego możliwe, że ci generałowie świetnie wiedzieli, iż słuchać ich będzie naród porażony legendą bezwzględnej wartości czynu zbrojnego samego w sobie. Nie wyobrażam sobie, żeby w innym narodzie możliwe były tego rodzaju decyzje powstańcze, podejmowane przez najbardziej nawet reakcyjnych generałów".

I żeby nie było żadnych wątpliwości, że wszystkiemu winna jest ta młodzież, która poszła się bić, ten zwykły żołnierz, który swój obowiązek spełnił do końca — powtarza Koźniewski za pamiętnikiem Zbigniewa Florczaka historię z papierowym workiem:

„W jakiejś komórce leżało kilka worków ze sznurków papierowych. Byłoby zbyt pięknie, żeby to były

worki konopne. Wyciąłem trzy otwory: na głowę i dwa na ramiona. [...] W ten sposób powstanie wyfasowało mi pierwszy mundur. Potem na Mokotowie dostałem szary kombinezon, który stanowił tam typowy ubiór powstańczy, wreszcie wydobyłem skądś kompletny mundur lotnika niemieckiego. [...] Jednak ten pierwszy uniform z papierowego worka wydaje mi się najwłaściwszy. Jakoś bardzo pasuje do powstania. Jest w nim powstaniu do twarzy" [141].

Tak pisze Florczak. Strasznie się Koźniewskiemu ten pokutny worek spodobał. Istotnie gratka to dla szyderców, którzy za swe zadanie wciąż uważają „na rozmaite sposoby deprecjonować legendę o urokach żołnierskiej walki" [142]. Toteż pisze dalej: „Legendzie żołnierskiej może sprzyjać opis bohaterskiej śmierci niemal całego batalionu młodych chłopców — choćby to była śmierć pozbawiona jakiegokolwiek strategicznego lub politycznego sensu. Tak już niestety jest. Legendzie tej nie będzie jednak nigdy sprzyjał żołnierz w papierowym worku zamiast plamiastej panterki" [143].

Nie jestem zwolennikiem legendy pięknego umierania. Jest idiotyzmem szkodliwym w wychowaniu dla pokoju, bezużytecznym dla wychowania do walki. I nie o legendę mi chodzi, lecz po prostu o traktowanie serio tej sprawy, która była tak bardzo s e r i o — sprawy żołnierskiego wysiłku i gotowości do ofiar w imię słusznej walki z okupantem...

Dlatego sądzę, iż nikomu nie wolno w pokutny worek z papieru przebierać powstańców Warszawy, podobnie zresztą jak żadnych innych „szaleńców polskich". Nie pójdą oni — ani „grzesznicy" Września, ani „grzesznicy" powstańczych barykad, ani „grzesznicy" spod Café Clubu czy spod Lenino (bo my wszyscy jesteśmy tymi grzesznikami) — w tym pokutnym wor-

ku do Canossy. Bo nie mają za co błagać przebaczenia, bo robili to, co było trzeba — bili się z najeźdźcą, z faszyzmem. A manewr z papierowymi workami — powiem otwarcie — bardzo mi się nie podoba. Bo czy chciał tego autor, czy nie, papierowy worek wdziany na szeregowego powstańca przesłania, maskuje rzeczywiste mary przeszłości, ludzi zarażonych śmiercią i niepotrzebną śmierć sprowadzających. Ludzie ci nie są wcale „zarażeni romantyzmem" — są przepojeni trupim jadem umierającej, gnijącej klasy. I ci ludzie właśnie rzeczywiście ponoszą odpowiedzialność za to, że żołnierski wysiłek powstania nie przyniósł ojczyźnie i narodowi tego, co mógłby i powinien był przynieść. Za to, że był zmarnowany.

Podobnie zresztą jak w kilku innych, nielicznych zresztą wypadkach.

Niestety, zgoła inny morał prześwieca dość wyraźnie z niektórych „uogólniających" wypowiedzi patentowanych szyderców. Czy będzie to Mackiewicz ze swoją tezą, iż Polska jest krajem bohaterskich dzieci [144], czy będzie to Krzysztof Teodor Toeplitz w dwóch znakomitych i jakże niebezpiecznych szkicach [145], drukowanych w „Dialogu", a także w bardzo inteligentnym, a zarazem pełnym najelementarniejszych błędów historycznych i zupełnie fałszywym „Seansie mitologicznym" — poświęcają oni swe utalentowane pióra udowodnieniu tezy, iż bezradna wobec trudnych problemów polskiej historii, świadoma całej ich złożoności elita intelektualna, a nawet całe pokolenie starszych składa pono zwykle w najtrudniejszym momencie losy narodu w ręce niedojrzałej młodzieży. Ta młodzież ma instynkt, ducha i zapał, niech ona sama rozstrzygnie... A starsi umywają ręce.

I młodzież — jakoby — rozstrzyga: romantycznie, bojowo i nierozsądnie.

Jest to oczywista nieprawda. „Dorośli" — reprezentanci starzejącej się klasy — wcale nie byli tak znowu skłonni do rezygnowania z przewodnictwa w narodzie. Ani na rzecz młodej klasy, ani na rzecz — oczywiście — młodzieży jako takiej. I wcale ta bojowa młodzież nie czyniła swych błędów sama — bez wskazówek, rozkazów, nauk... I tu wyrasta problem — czyich?

Nietrudno zauważyć, że historia Polski pełna jest wyleniałych i osiwiałych w intrygach wilków, chytrych graczy, którym kilka razy udało się wykorzystać nie tylko siły młodzieży, ale siły całego narodu w celach jakże dalekich i od zwykłego rozsądku, i od narodowego interesu.

Więc po co odwracać kota do góry ogonem i — jak mówią Rosjanie — zwalać winę z chorej głowy na zdrową? Po co to kuglarstwo? Te niedawne przypadki historyczne nie utraciły jeszcze swej aktualnej politycznej wagi, a równocześnie — mają niemałe znaczenie społeczno-wychowawcze. Po co dyskredytować — jakże potrzebne — cnoty obywatelskie, osłaniając równocześnie rzeczywistych winowajców?

Narodu nie trzeba leczyć z romantyzmu i „bohaterszczyzny". Należy go natomiast ostrzegać przed wilkami.

HISTORIOZOFOWIE POKĄTNI I HASŁO „ŚMIERĆ FRAJEROM"

I tu powrócimy do tematu: do naszej nieszczęsnej historii — przez jednych wystawianej do wykpienia, a przez drugich wykpiwanej. Bo przecież nie chodzi nam tu wcale o śledzenie doraźnych skutków tej czy innej prowokacji politycznej bądź propagandowego kuglarstwa, o ten czy inny niedawny przypadek historyczny, którego treść zasadnicza nie utraciła jeszcze aktualnej politycznej wagi. Chodzi nam raczej o ogólny obraz naszej historii — tak jak rysuje się on w oczach szarego, przeciętnego „zjadacza" gazetowego papieru i filmowej taśmy. Chodzi nam o ogólny sens naszej historii, płynący z tego nie tyle uproszczonego, ile wręcz wyfantazjowanego obrazu. Chodzi nam wreszcie o ową ubogą felietonową historiozofię, podsuwającą „zjadaczowi" karykaturalną interpretację skarykaturowanych dziejów — i o niebagatelne tego skutki moralne.

Cóż z tego, że prawdziwa historia nie zna problemu „polskich grzechów" — ani anielskich uczynków, ani opętańczych szałów? Cóż z tego, że prawdziwa historiozofia inaczej zgoła interpretuje nasze dzieje? Cóż z tego, że w grubych księgach inną prawdę znajdziecie niż w historyzujących kącikach gazet, między wierszami okolicznościowych druków i w ideowych szczelinach filmów?

Między prawdą historii i doktorami tej nauki a zwykłym konsumentem druku, dźwięku i obrazu rozciąga się ogromny obszar. Trochę jakby intelektualna prowincja. A tu — jak zwykle na prowincji — królują znachorzy, prorocy w skali gromadzkiej, powiatowi historiozofowie pokątni, nielicencjonowani pośrednicy między narodem a jego historią.

Niestety, musimy zdać sobie sprawę ze smutnego, zubożającego życie duchowe naszego społeczeństwa faktu: minęły czasy, gdy interesowano się u nas na serio treścią i sensem dziejów, gdy poważne syntezy historyczne budziły żywe, szerokie dyskusje. Dziś grube książki pozostawiono doktorom — uczonym. Dzieła te ani środowiska, które się nimi zajmują, nie oddziałują bezpośrednio na szerokie i coraz rosnące rzesze aktywnych konsumentów idei. Podstawową pożywką mas staje się artykuł w magazynie, felieton gazetowy, sensacyjny bryk, no i oczywiście literatura piękna i wszechwładny film.

Zaraz! Coś tu jest nie w porządku! — zakrzyknie oburzony czytelnik. Przecież wiadomo, jaką popularnością cieszy się „literatura faktu". Wszelkie poważniejsze opracowania historyczne, pamiętniki, eseje znikają z księgarń w kilkanaście dni. Bestsellerami są u nas nie powieści współczesne, lecz poważne studia lub szkice, na przykład książki Pawła Jasienicy. Któż to wszystko czyta?

Odpowiem. Czytają to — ludzie. Ale nie tzw. masy. Owa literatura faktu miewa od trzech do maksimum dziesięciu tysięcy egzemplarzy nakładu. Bestsellery w rodzaju Jasienicy osiągają trzydzieści tysięcy nakładu. Tymczasem front aktywnych odbiorców strawy duchowej liczy u nas kilka milionów ludzi. Popularne serie broszur rozchodzą się w nakładach 150 tysięcy egzemplarzy. „Przekrój" ma nakład półmilionowy,

a filmy polskie mają po dwa do czterech milionów widzów.

Tak popularna na pozór poważna literatura dociera więc tylko do małej cząstki odbiorców. Postawę zaś całej masy kształtują pośrednicy. Przy tym złudzeniem byłoby myśleć, że ta poważna literatura stanowi strawę duchową tych, którzy tworzą środki oddziaływania na masowego odbiorcę. W licznych ankietach, prowadzonych wśród pisarzy, dziennikarzy i artystów, w rubryce dotyczącej najlepszych książek przeczytanych w minionym roku, sezonie itd. nieomal nigdy nie pojawiają się tytuły poważniejszych prac historycznych czy studiów z pogranicza nauk humanistycznych i publicystyki.

Powołany Paweł Jasienica napisał dwie książki o powstaniu styczniowym, w których zgodnie z pracami profesora Kieniewicza pokazał rolę powstania w uwłaszczeniu chłopstwa. Jestem przekonany, iż nasi pośrednicy nadal, w ślad za niesławnej pamięci Iłłowajskim, uważają, iż to car Aleksander wbrew oporowi powstańców obdarował chłopów polskich ziemią. A Krzysztof Teodor Toeplitz na tym fakcie [146] w swym „Seansie mitologicznym" buduje całą teorię historio-psycho-kulturową.

Obchody XX-lecia PPR przyniosły mnóstwo poważnej i popularyzatorskiej literatury i wiele publikacji na łamach czasopism. Obok czytamy: „Lubelszczyzna ma szczególny tytuł do uczczenia zbliżającego się XX-lecia Partii: z miejscowych lasów wyruszył do walki pierwszy oddział Gwardii Ludowej pod dowództwem Franka Małego".

To jedno zdanie zawiera trzy błędy!

Czyta to kierownik działu, czyta pewnie jeszcze ze dwóch odpowiedzialnych dziennikarzy — i nic. Zwykłe niedopatrzenie? Nie wierzę. Nie wierzę, aby podobne

niedopatrzenie mogło powstać przy tego rodzaju na przykład zdaniu: „Trolejbus jako najlepszy konny środek spławiania ładunków sypkich..." Odpowiecie, że to co innego, gdyż wszyscy redaktorzy na co dzień stykają się z trolejbusem, a nie co dzień mają do czynienia ze sprawą Małego Franka — Zubrzyckiego. A chyba powinni.

Niestety, przekonuję się codziennie, że wśród „pośredników" wiedza po prostu nie obowiązuje. Do filmu Lesiewicza i Hena „Kwiecień" zrobiono plakat — znowu ktoś go omawiał z artystą, ktoś rysował, ktoś przejrzał i robił korektę, ktoś zatwierdził. Potem na płocie oglądamy: dziarskie sylwetki żołnierzy rozmieszczone nad szeroką wstęgą rzeki, nurtem której biegnie ogromny napis: Odra. A i w książce, i w filmie chodzi najzupełniej konkretnie o 2 Armię, a więc o forsowanie Nysy.

Reasumuję: wielekroć na kartach tego szkicu dowodziłem, iż kpiny szyderców oparte są bądź na negacji, bądź na nieznajomości prawdy. Popularność „literatury faktu" nie jest równoznaczna z szerokim zasięgiem jej oddziaływania. Szeroki front odbiorców obejmują tylko formy oddziaływania znajdujące się we władaniu „pośredników". Ich rola w wychowaniu mas kolosalnie wzrosła i wzrasta w miarę rozszerzania się frontu odbiorców. Wśród pośredników zbyt wielu nie ma czym pośredniczyć. Niemniej niejeden z nich bierze się za tworzenie na własną rękę systemów filozoficzno-historycznych i moralno-wychowawczych. Są to znachorzy leczący naród bez lekarskiego dyplomu. Obecnie wciąż jeszcze panuje wśród nich moda na leczenie kpiną. Stąd w obszarze między wiedzą a odbiorcą królują szydercy.

Co gorsza — pacjent jest wobec nich bezradny.

Starsze i średnie pokolenie ma jeszcze jakąś moż-

ność konfrontacji felietonowych szpilek z dorobkiem własnego życia i doświadczenia. Jednakże dziś już dwie trzecie narodu to młodzież i dzieci. Pokolenie pozbawione doświadczeń, pokolenie wyrabiające sobie sąd o przeszłości, o historii swego narodu z tych właśnie źródeł. I tu zaczyna się duży, poważny problem. Części młodzieży wystarcza Sienkiewicz, idea „kamieni rzuconych na szaniec", przepojona duchem mesjanizmu apoteoza „cmentarza polskiego". Jednakże lepszej, bardziej krytycznej i rozsądnej, a przede wszystkim głębszej, mniej skłonnej do płycizny części młodzieży to nie wystarcza.

Daleka od egzaltacji, a zarazem nader wrażliwa, nieufna i rozważna, młodzież ta odrzuca stare tradycyjne mity. Po prostu przestaje w nie wierzyć — i tym namiętniej szuka prawdy: prawdziwej prawdy o swoim narodzie. Co znajduje — prócz mitu chwalczego, sławiącego wyfantazjowaną przez poetów i złych propagandzistów polską sztukę umierania? Nie znajduje nic.

Za cały bagaż, który ma zastąpić tamten — jak by to nie było, ale jednak pewien ładunek moralny — znajdzie jedynie kilkanaście kpinek, szydercze siedem grzechów głównych, ocenę historii Polski jako steku niedorzeczności, idiotyzmów i przejawów narodowej głupoty.

Że to są tylko dowcipy? Że to przecież takie nieobowiązujące, lekkie, żartobliwe?

Bardzo śmieszne,
ale nieobojętne dla zdrowia

Mniemam, że nie jestem człowiekiem c a ł k o w i c i e pozbawionym poczucia humoru. Nawet — przyznać się muszę — odpowiada mi wypowiedziany niegdyś,

z okazji rozważań nad charakterem Francuzów, sąd Ilji Erenburga, iż zdolność społeczeństwa do dowcipkowania na temat własnej historii jest przejawem zdrowia moralnego. Ba, ale Francuzi podobno mają wysoko rozwinięte poczucie humoru — m. in. nie biorą własnych żartów na serio. A my?

Zgodzę się, że poszczególna kpinka wzięta serio nic jeszcze nie znaczy. Ugruntowany kpiarski sąd o wydarzeniu, stający się podstawą do uogólnień na serio — to już niedobrze. Składający się z kilku poszczególnych sądów szyderczy o s ą d całej historii narodu i psychiki narodowej, współbrzmiący pięknie z mętnymi, wręcz rasistowskimi wywodami naszych przeciwników o polskiej integralnej niezdolności do spokojnego i rozsądnego istnienia — to już zjawisko nader negatywne, nieobojętne właśnie dla zdrowia psychicznego społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży, dla przyszłości. A z takim właśnie zjawiskiem niewątpliwie mamy u nas do czynienia.

Nie łudźmy się. Kpina, a raczej s y s t e m k p i n y oddziałuje zupełnie na serio. Zwłaszcza na młodzież — krytyczną, poszukującą, tę, która burzy autorytety i boleśnie rodzi, tworzy sobie nowe.

Zresztą przypomnijmy sobie: zwykle kiedy taki prawie-młodzieniec pewnego dnia przestaje wierzyć w bociana, natychmiast nabiera niewzruszonego przekonania, iż wszystkie kobiety źle się prowadzą. Jakże często też młodzieniec współczesny przestawszy raptem wierzyć w duchową szlachetność, piękno i wyższą, „transcendentną" wartość umierania — przechodzi natychmiast do stanu zgryźliwej pogardy dla „umrzyków". Odrzuciwszy zheroizowaną wersję historii, nie znalazłszy innej, rozsądnej — przyjmuje z zapałem, jako kolosalne odkrycie, wersję zidiotyzowaną, istotnie godną najzjadliwszej kpiny, i wyciąga z niej w s z y s t k i e

wnioski. Bo dzisiejsza młodzież jest diabelnie logiczna, rzeczowa i konsekwentna — konsekwencją moralną i intelektualną, którą trzeba cenić i z którą trzeba się liczyć.

A zidiotyzowana historia odstręcza od siebie. Odstręcza również od narodu. Godni pożałowania wydają się przodkowie, ojcowie — starsi, którzy tyloma głupstwami wypełnili nasze dzieje, na głupstwach strawili życie i na głupstwa roztrwonili majątek narodowy. Wstrętny, godny pogardy jest kraj szamoczący się od wieków w otchłani nonsensu, naród niezdolny zrobić coś rozsądnego — same tylko Somosierry i Reduty... Kto chce być podobny do ogłupiałych swoim życiem ojców? Kto chce być członkiem narodu idiotów i samobójców? Kto chce być poddanym „króla Ubu" — okrucieństwa i nonsensu — który nieodmiennie od tysiąclecia rządzi w tym kraju? I rozpoczyna się duchowa dezercja tej młodzieży z ojczyzny.

Trans-Atlantyk, czyli uciekinierzy spod władzy króla Ubu

Zasada konkretności — a młodzież dzisiejsza jest nader konkretna w myśleniu i w stosunku do życia — skłania młodzież do oceny każdej pobudki i każdego działania na podstawie ich realnych wyników. Liczą się tylko fakty, a więc tylko rezultaty (nie zaś zamiary, nie pobudki, nie „dobre chęci"). Nie jest też żadną nowością twierdzenie, że dorastająca młodzież niczego nie boi się bardziej niż śmieszności. Szczytem śmieszności jest dzisiaj, w czasach konkretu — donkiszoteria. Najbardziej ośmiesza się bowiem ten, czyje wyniki pozostają w największym dysonansie z pobudkami i działaniem. Jest to Don Kichot, toczący śmiertelny bój

z olbrzymami i armią Maurów, a przewrócony przez wiatrak, podeptany przez stado świń...

Młodzieniec „konkretny" idzie do kina na „Lotną", patrzy, jak ułani rąbią szablami w pancerz stalowego olbrzyma — i śmieje się. Pokazano mu całą nicość tego czynu — widzi Don Kichota walczącego z wiatrakami. A wiatraki nie mogą wstrzymać biegu skrzydeł.

Młodzieniec „konkretny" przechodzi alejami Jerozolimskimi obok tablicy pamiątkowej na byłym Café Clubie — i uśmiecha się ironicznie. To drugi etap edukacji. W gwardzistach z bombą w teczce atakujących hitlerowskiego kolosa, z którym przez pięć i pół roku zmagał się świat — widzi też malutkich, naiwnych maniaków robiących niepotrzebne głupstwa. Młodzieniec „konkretny" czyta „Redutę Ordona" — i krzywi się szyderczo. To trzeci etap edukacji. Dureń Ordon zginął, a świat się przez to nie zawalił. On gnije, a ja żyję... Po co się pchał, kretyn!

Edukacja skończona. Liczą się wyniki: jeśli wynik działania jest kretyński — głupie działanie ułana, gwardzisty, Ordona — to kretyńskie było samo działanie, kretyńskie były pobudki tego działania.

„Niedzisiejszym" idiotą jest ten, kto wysadza się w powietrze albo rzuca z szablą na armaty. Stał się „niedzisiejszym" idiotą, bo uwierzył w coś, co skłoniło go do tego czynu. „Niedzisiejszym" idiotyzmem są więc same ideały — patriotyzm, ofiarność — które skłaniały ludzi do tak kretyńskich czynów jak umieranie.

Oto przesłanki dwóch jakże znanych i jakże szkodliwych postaw pewnej istotnej części naszej młodzieży — wstrętu do wszelkich ogólniejszych ideałów oraz niechęci do historii i do... starszego pokolenia.

Wy, starsi — od bolesławowych wojów poprzez kosynierów, wrześniowców, akowców czy alowców

i wszelkich innych wojaków — bez wyjątku byliście naiwni i głupi, daliście się opętać ideałom, daliście się nabić w butelkę, „upupić" — ku swojej i narodowej krzywdzie. Nie ominęliście żadnej okazji poświęcenia się i umierania. Niech wam będzie, plećcie sobie dalej o ideałach, ojczyznach, przyszłościach i obowiązkach. Samoupupiajcie się nadal. Ale „bez nas". Bez nas młodych, mądrzejszych, starszych o całe wasze doświadczenie, młodszych o wszystkie wasze sentymenty. My się upupić ideowo i patriotycznie nie damy. My się zajmiemy pracą i nauką, telewizorem i skuterem, lodówką i wałówką. I już nigdy nie damy się nabrać na chimerę czynu nie we własnym bezpośrednio interesie. „Ochotnicy wyginęli pod Lenino", więcej ich nie ma.

Jest to pierwszy etap „emigracji" młodzieży spod zasugerowanej jej władzy okrutnego nonsensu historii — władzy króla Ubu. Jest to ucieczka z tradycyjnej sfery uczuć: patriotyzmu, szacunku dla ideowości — ucieczka od obowiązków moralnych, jakie społeczeństwo, naród nakłada na swych członków.

Ucieczka z „czegoś" jest zawsze ucieczką „dokądś". Twórca pojęcia „upupienie", Witold Gombrowicz — autor najzjadliwszego szyderstwa z tradycyjnej polskości, a zarazem głosiciel tezy, iż Polak dopiero wówczas staje się człowiekiem, gdy wyzwala się z polskości, z wiary w „grzech pierworodny" przynależności do narodu polskiego i konieczności „odkupienia go" działaniem w służbie tego narodu — swym „wyzwolicielskim" „Trans-Atlantykiem" wylądował w końcu na emigracji, w Ameryce Południowej. Podobnie też duchowa ucieczka naszej młodzieży z polskości prowadzi najczęściej — do Ameryki.

Któż chce być członkiem narodu idiotów, kontynuatorem tradycji głupich zrywów, Don Kichotem kretyń-

skich ideałów? To wszystko jest wstrętne i godne pogardy. Wszak pokazano nam, że normalne narody nie szarżują Somosierr — za to są bogate; nie chodzą z kosami na armaty — za to mają samochody; nie znają ideałów — za to znają ludzkie zadowolenie: weekendy i lodówki, dobry jazz i barwne etykietki — sekundowe szczęście zaspokojenia. Uciekajmy od tych wszystkich polskich tragedii i zrywów, wyrzutów sumienia i poczuć obowiązku w baśniowy świat szczęścia, uciekajmy do Australii, bądźmy Anglikami, Amerykanami... No, a jeśli to nie jest możliwe, to choć pomarzmy o tym, poudawajmy. I Janek staje się Johnem, a Baśka — Betty. Nawet zespoły instrumentalne muszą nazywać się po angielsku. Niemały tłumek wystaje zawsze przed wystawami komisów, przed byle żyletką czy ożywiającą but pastą „Kiwi", a przed każdym nowym samochodem koło „Bristolu" czy „Grand Hotelu" odbywają się całe misteria, uroczyste msze neofitów nowej religii — „anacjonalizmu konsumpcyjnego".

Są to w gruncie rzeczy bardzo nieszczęśliwi młodzi ludzie, których nauczono wstydzić się własnej ojczyzny, pogardzać własnym narodem, którym zaszczepiono wstręt do samego siebie. Oni oczywiście z tego wyrosną. Już wyrastają. Nieomal całkowicie wyrośli. Ale pozostał katzenjammer, niesmak, zgorzknienie, apatia.

W rezultacie: „jest to środowisko [...] świadomie ahistoryczne. Próbują smakować życie. Obca im jest docelowość dążenia, nie interesuje ich smak przemian. Wsłuchani w rytm jazzu próbują zatrzymać czas. Zamykają się we własnym kręgu, izolują od wpływów z zewnątrz. Dążą do zakonserwowania się w młodości, do utrzymania swojego stanu świeżości i nieodpowiedzialności. Droga prywatnego dorabiania się nie za cenę zbyt wielkiego wysiłku, ale w każdym razie

zdobywanie na własność takich koniecznych atrybutów nowoczesności, jak skuter, samochód czy żaglówka, nęci ich i jest jedynym motorem popychającym do żywszej działalności" [147].

Apostołowie reedukacji antybohaterskiej

Tu przymrużmy jedno oko. Tak, oczywiście pamiętamy: dużo było lamentów nad współczesną młodzieżą, potem dużo sprostowań, że wcale nie jest taka, tylko zupełnie inna, aż wreszcie przyszła fala wielce uzdrawiająca, głosząca hasło: „Publicyści, przestańcie wymyślać sobie młodzież — dobrą czy złą, ale zawsze nieprawdziwą, tylko pasującą do waszych wywodów".

Niestety „uciekinierów" nie wymyśliłem. Znam ich, znacie ich i wy. Natomiast nie liczyłem „pokolenia Ubu" i nie mam zamiaru liczyć. Nie interesuje mnie ani zasięg zjawiska, ani problem jego typowości. Ta młodzież interesuje mnie tu wyłącznie jako dowód w procesie przeciwko pokątnym historiozofom-szydercom.

Istotnie nie wypada „konstruować" sobie w myślach młodzieży takiej, nad jaką by się chciało popłakać. Ale słuszna i konieczna ostrożność nie zwalnia nas od obowiązku „konstruowania" w myślach — a ściślej: wyobrażania sobie, przewidywania — skutków naszej działalności. A nas tutaj interesują właśnie społeczne skutki działalności prześmiewców. Jeśli bowiem coś twierdzą, o czymś piszą, coś pokazują, czemuś apostołują — to nie sobie a muzom, dla własnej tylko przyjemności wypowiadania się, lecz dla wywarcia określonego wpływu na odbiorców, czytelników, widzów. Na ludzi.

Najgorszą dla nich samych obelgą byłoby stwierdze-

nie, iż działalność ich mija bez echa. Zgódźmy się, że wpływ osiągają. Jaki? Nie pokuszę się o określenie jego zasięgu: duży, średni czy mały. Chcę tylko pokazać jego kierunek, chcę przedstawić moralny charakter wyników.

Dziwnie żałosny i wstrętny jest bowiem widok starych i wytrwałych propagandzistów „racjonalnej" i „nienacjonalistycznej" postawy, którzy drą dziś szaty na sobie i rozkładają ręce, zawodząc boleśnie: „Ach, mój Boże, co to się stało z tą młodzieżą! Bezideowa jakaś, przyziemna, płaska, egoistyczna..."

No cóż, to przecież w pewnym sensie wymarzony rezultat realizowanego przez nich uparcie programu „reedukacji" narodu. Może wstręt i obrzydzenie do własnej przeszłości i własnego narodu są skutkiem niezamierzonym. Ale tępienie „romantyzmu", ale rozwinięcie „rozsądnej" przyziemności celów, wyrachowania — było celem zamierzonym, głównym „neopozytywistycznej" działalności wychowawczej, tej kontynuacji szyderczej i oszczerczej kampanii zakłamywania naszej historii, zapoczątkowanej przed stu laty przez polskich „lojalistów" i zaborczych apologetów zwycięskiej siły, zgodnie twierdzących, że Polacy nie są zdolni do samoistnego bytu państwowego na skutek właściwej ich narodowemu charakterowi lekkomyślności, skłonności do awantur i przewagi „uczuciowości nad rozumem".

Nie z nieuctwa i nie z lekkomyślności jak w zdrowego chorobę wmawiano naszej historii głupotę, nie zważając na rzeczywisty przebieg i sens faktów. Miało to służyć określonej tezie, miało umożliwić wyciągnięcie z góry przygotowanych wniosków.

Tez tych i wniosków nie kryto wcale „pod korcem".

Tzw. „naga prawda" wyziera z wielkich dyskusji wokół „szkoły polskiej" w filmie i z dyskusji o „boha-

terszczyźnie", jaka rozwinęła się wokół twórczości Wańkowicza. Tej ostatniej ruszać nie będziemy. Jak zazwyczaj, gdy biorą się za bary ludzie niepośledniego talentu i — co zwykle za tym idzie — niepośledniej zdolności do artystycznych przejaskrawień (co się na język nieartystyczny tłumaczy: do „przeginania pały"), obie strony dogadały się tam do rzeczy dziwnych, których chyba same na serio nie biorą.

Natomiast dyskusja o „polskiej szkole" w filmie, o szkole jakoby antyheroicznej, antymilitarystycznej i antybohaterskiej, stanowi dla nas materiał ciekawszy. Mniej tu zacietrzewienia, więcej zimnego wyrachowania. Tu program uogólniający formułowano metodycznie, z niemałym uporem i wytrwałością.

Nie zamierzam mówić tu o samym polskim filmie. Nie sądzę wcale, by był on „programowo" antyheroiczny, nie sądzę także, by Wajdę, Munka, Kawalerowicza, Petelskiego i Nasfetera można było wrzucić do jednego garnka „szkoły". Jednakże — jak to bywa z dziełami artystycznymi dużego kalibru — polskie filmy z ostatnich lat nie są bynajmniej jednoznaczne; obrazy w nich przedstawione mogą budzić żywe dyskusje, tak jak obrazy i problemy rzeczywistego życia dopuszczają czy prowokują różnorodne interpretacje. Charakterystyczne, iż interpretacje te w prasie poszły w jednym tylko kierunku. Jest co najmniej interesujące, co interpretatorzy w filmie polskim widzą, co pragną widzieć, co z dużą dozą pewności siebie natrętnie wmawiają nie tylko widzom, lecz również — twórcom.

Na długo przed ukończeniem „Lotnej" Kazimierz Koźniewski zamknął twórczość Andrzeja Wajdy w logiczną, połączoną jednością idei trylogię, wyłączając z jego dorobku nie pasujące mu do jego idée fixe „Pokolenie":

„Jeżeli mówi się o trylogii Andrzeja Wajdy rozpo-

czynając ją od «Pokolenia» — to ja bym ryzykował inny układ takiej trylogii: «Kanał», «Popiół i diament» oraz «Lotna». Ten ostatni film dopiero się kręci, ale świetnie rozumiem, dlaczego Wajda z dorobku polskiej literatury współczesnej wybrał tę właśnie nowelę. I wiem już (idę o zakład...), jak Wajda ją zrobi. Jak — nie w sensie wizualnym, ale w sensie tendencji, którą Wajda będzie chciał narzucić widzowi. Śmierć w ściekach kanałowych, śmierć na śmietnisku — jako finały działania żołnierskiego — i śmierć, pewnie w pełnym słońcu, setek ułanów szarżujących z szablami na czołgi — to przecież jest niemal jedno i to samo; zawsze jest to śmierć sprowokowana przez działanie żołnierskie, wprawdzie bohaterskie albo w jakimś sensie bohaterskie, ale prowadzone na przekór rozsądnym wnioskom płynącym z analizy sytuacji politycznej, materialnej, militarnej.

Atak kawalerii jest desperacją — ale i głupotą. Zwyczajną głupotą..." [148]

Nie będziemy już tu wracać do uzasadnionego poprzednio twierdzenia, iż taki obraz jest po prostu fałszem. Tu chodzi nam o to, jak obrazy naszego filmu podporządkowane są przez „filozofa" z góry założonym wnioskom, o to, że zamierza on uogólnić je jako obrazy o jednej treści ideowej, obrazy demaskujące głupotę zbrojnego zrywu.

Oczywiście zatrąca on również o problem tych, którzy d a l i r o z k a z — ale po co to czyni? Nie oni go interesują:

„Proszę sobie wyobrazić, czy jakikolwiek generał francuski, angielski czy czeski wydałby polecenie szarżowania na czołgi czy rozpoczęcia walk powstańczych w sytuacjach, w jakich bez większego wahania uczynił to polski oficer. Pomiędzy — bowiem — oficerem francuskim czy czeskim a masą jego podwładnych istnieje

pełne porozumienie psychiczne — ani oni, ani on nie dopuszczają po prostu możliwości działania w tak niekorzystnych warunkach technicznych lub politycznych. I to bez względu na wielkość celów — ideowych, narodowych czy nawet osobistych. Po prostu ludzie tych i wielu innych narodów w trudnych okolicznościach historycznych, narodowych, wojennych odruchowo z reguły przybierają inną postawę, niż my ją na ogół przybieramy. U nas rozstrzygają emocje uczuciowe, często posługujące się tradycyjnymi schematami myślenia, w znikomym tylko stopniu konfrontowane z nową sytuacją. I one zawsze przeważają nad rozsądnym wyrachowaniem" [149].

A więc znowu zniknęli nam z oczu owi generałowie — winien jest szeregowiec historii. Aż przykro wracać do tego tematu.

Zarazem jednak doszliśmy do celu. Do celu, jaki stawiają sobie szydercy w swej akcji wychowawczej, jakiemu podporządkować chcą (nieraz, jak to się mówi — „na siłę") popularne dzieła sztuki.

Cel ten formułuje wyraźnie Koźniewski w tymże artykule:

„W naszym polskim społeczeństwie niestety ciągle pilną sprawą jest dyskusja z nadmiernie romantyczną postawą wobec życia i historii. Nadmiernie romantyczną, to znaczy nadmiernie uczuciową, a zbyt mało rozumową, nadmiernie honorową, a zbyt mało wyrachowaną" [150].

Ta „deklaracja ideowa" sprzed lat czterech wystarczy nam za charakterystykę całej kampanii reklamowej wokół „antybohaterskiej" szkoły w filmie. Stanowi jej wytłumaczenie i właściwie można przejść do omówienia skutków tej pedagogiki antybohaterskiej Warto jednak zaznaczyć, że dyskusja toczyła się długo, stanowiska ulegały wyjaskrawieniu, przybyło argumentów

i oczywiście trudno powiedzieć, abyśmy dziś jeszcze znajdowali się w tym samym punkcie, co przed „Lotną", w 1958 roku. Wygodnie i szybko jedziemy, a przy tym — jakże fałszywą drogą.

Bohater za swe zbędne bohaterstwo ukarany śmiercią w cuchnących kanałach, jak pies zastrzelony na śmietniku, bohater, więcej — bohaterskie bydło, stadem cwałujące na czołgi, ten (czy też: tak odczytany) bohater znalazł dziś ostateczne ucieleśnienie w swej antytezie, w Piszczyku z „Zezowatego szczęścia". Ten bowiem, jak pouczają nas szydercy, jest doskonałym wcieleniem, typowym przykładem owych godnych potępienia i pogardy cech polskiego charakteru, polskiej ułańskości i bohaterszczyzny.

„Typowość zasadza się bowiem nie na sukcesie czy też fiasku, lecz na z a m i a r a c h — poucza Zygmunt Kałużyński. — Ważne jest to, że Piszczyk p r a g n i e być wzorowy zarówno za sanacji, jak i podczas wojny, okupacji, w klimacie gorliwości biurokratycznej lat pięćdziesiątych itd. O mały włos, a byłoby mu się to udało — i tylko owo końcowe potknięcie się różni go od wielu herosów, którym się powiodło. [...] Piszczyk różni się od innych tylko pechem. To właśnie jest teza «Zezowatego szczęścia»: otaczający nas ludzie-«herosy» są to Piszczyki, którym się mniej lub więcej udało; ale dokładne wpatrzenie się w każdy pomnik wykryje rysy «Piszczykowe»" [151].

Nie wierzycie własnym oczom? A jednak tak jest. Tzn. tak się istotnie pisze. Bez żenady. Biedny Piszczyk, nawet ten żałośnie mały (w sensie moralnym, nie chaplinowskim) Piszczyk, któremu nic się w życiu nie udało, który zawsze chciał być w pierwszym szeregu i któremu przecież zawsze czegoś (ściślej — właśnie ideowości i charakteru) do tego brakło, Piszczyk pokazujący dowodnie, że polskiego losu i polskiego boha-

terstwa nie można udawać, nie można po prostu „odegrać" tanim kosztem, tylko trzeba je przeżyć naprawdę i umieć zapłacić pełną cenę — ten Piszczyk w antybohaterskim zacietrzewieniu naszych szyderców stał się dla nich ucieleśnieniem polskiej postawy wobec życia, społecznej aktywności i bohaterstwa. Bądźmy ściśli: ucieleśnieniem ich myśli w tym przedmiocie.

Dlatego sławili Munka za „Zezowate szczęście" — wbrew wszelkim jego protestom i zaprzeczeniom *. Dlatego sławią Piszczyka.

Bo... „dzięki «Zezowatemu szczęściu» prowadzona przez nasz film kampania przeciwko pedagogii heroizmu rozszerza się [...] dociera do kulis, odsłania karierę bohatera niejako z dnia na dzień" [153].

Bo wraz z Piszczykiem znaleźliśmy się nad brzegiem ukochanego przez naszych „wychowawców" rynsztoka.

Sławmy Piszczyka nad brzegiem rynsztoka

Okazuje się, że nasz polski bohater nie zasługuje na śmierć żołnierską — nawet w kanale z nieczystościami.

Trzeba go żywego zepchnąć do rynsztoka. Zwykły rynsztok, w którym leżą pijacy przed szynkiem, to przecież nie to samo, co warszawski powstańczy kanał.

Tak więc ten rynsztok to istotnie nowe słowo w dyskusji o „bohaterszczyźnie". Wiąże się ono z nowym etapem dyskusji, który znamionuje i „Zezowate szczęście", i warszawska inscenizacja zmodernizowanych „Ptaków" Arystofanesa. Właśnie rynsztok stanowi isto-

* Np. w wywiadzie dla „Nowej Kultury" Andrzej Munk powiedział: „U podstaw bohaterstwa leży zawsze sprzeciw, czynna manifestacja przeciw istniejącemu złu. Przeciwko objawom bohaterstwa może występować jedynie łajdak. Ci, którzy zarzucają mi, że reprezentuję w moich filmach tendencje antybohaterskie, czynią mi dużą krzywdę" [152].

tné — jak sądzą szydercy — intelektualne pogłębienie ich akcji wychowawczej.

„Dotychczasowa polemika miała charakter jednostronny: wyszydzała ona z brakiem współczucia niemal nihilistycznym wzór pedagogiczny bohatera wojennego. W «Zezowatym szczęściu» oglądamy natomiast owego herosa w sytuacjach codziennych, w «Ptakach» zaś znajdujemy próbę przeniesienia satyry z wąskiego gruntu szarży pod Somosierrą na dalsze kulisy państwowe" [154].

Szyderców niepokoi mianowicie, iż nie wszyscy jakoś razem z nimi chcieli drwić z samego nagiego faktu wojennej tragedii czy z tragicznej śmierci bohaterów. Szyderców niepokoi również, iż nie wszyscy za ich atakiem na pewne właściwości narodowej postawy dostrzegli „drugie dno" — atak na odrębność narodową w ogóle, na polskość i Polskę „jako takie".

Niedobrze, ich zdaniem, „zaczęło się dziać z filmami, jak «Kanał», «Eroica», «Popiół i diament», oglądanymi z wypiekami na twarzy i już produkującymi nową manierę samosatysfakcji z tej klęski absurdalnej, nihilistycznej, masochistycznej, lecz tak efektownej. Nasz antybohaterski bohater zaczął się przewracać ze zbyt szaloną godnością. Toteż szwejkowska kpina «Zezowatego szczęścia» czy ironia «Ptaków» Arystofanesa zaaplikowanych do współczesnej Warszawki wydaje się bardzo na czasie: spycha ona nasz mit bardziej do rynsztoka i nie pozwala mu się zmonumentalizować" [155].

A więc jesteśmy już w rynsztoku. Przy czym — przypominam — to nie ja, lecz szydercy widzą w Piszczyku ucieleśnienie „polskości". Piszczyk przecież „chciałby się znaleźć zawsze w pierwszej linii — zgodny tu z tradycyjną taktyką Polaka-somosierszczyka — i tylko głupi przypadek strąca go z owych licznych dróg do kariery. W «Popiele i diamencie» była to ma-

sakra, w «Zezowatym szczęściu» małoduszność, niedołęstwo i głupota. Tu i tam punktem wyjścia jest jednak absurd polskiej sytuacji, traktowany zarówno przez bohaterów «Eroiki», co poprzez obywatela Piszczyka — po ułańsku" [156].

Tu jesteśmy przy drugiej części problemu — przy kwestii „Polski jako takiej". Na czym bowiem — zdaniem szyderców — polega ów absurd polskiej sytuacji? Nietrudno „dorozumieć się" tego na podstawie ich wywodów. Absurdem mianowicie jest samo istnienie „problemu polskiego", samo istnienie n a s wraz z naszą przeszłością i przyszłością, ambicjami i aspiracjami. Z dala, zza oceanu kłania się tu szydercom ich intelektualny papież, Witold Gombrowicz. Gdyby nie było samych pojęć: Polska, polskość, gdyby nie było całego tego zjawiska, nie bylibyśmy Polakami z urodzenia i tradycji historycznej i kulturalnej, nie mielibyśmy kłopotów. Oczywiste, prawda? Trzeba tylko zdać sobie z tego dokładnie sprawę — i wyzbyć się świadomie tego, co przeszkadza nam żyć: poczucia przynależności do narodu i poczucia obowiązku wobec niego. Trzeba „wyzwolić się z polskości". Tak rozumuje Gombrowicz w Argentynie. Krajowi szydercy są ostrożniejsi. Tymczasem zadowala ich, że „autorowie przeróbki skorzystali [...] z tekstu «Ptaków» Arystofanesa, by wykpić jeszcze raz polską ambicję heroicznego konstruowania «mocarstwa» czy nawet mniej, państwa z «zasadami», na tle warunków niezbyt się do tego nadających", że arystofanesowski Chmurokukułczyn urobili na obraz tego „podrzędnego państwa operetkowego gdzieś w centralnej Europie, w ciągu ostatniego wieku dziejów tego kontynentu", że w końcu ów Chmurokukułczyn okazał się „jeszcze jedną wersją kretyńskiego państwa heroizującego" [157].

I na tym właśnie polega ideowe i intelektualne „po-

głębienie" dyskusji z polską historią, która jak widzimy, staje się dyskusją... z Polską, wymierzoną przeciwko naszej ambicji, by być narodem i mieć państwo — by być sobą i być u siebie. Te właśnie i tak odczytane elementy „Zezowatego szczęścia" i „Ptaków" wskazują, zdaniem szydercy, w „jakim kierunku winno zmierzać rozwijanie myślowe tematu polskiego antyheroizmu". Dotychczasowe dzieła — jego zdaniem — „działały na nas raczej emocjonalnie przez swą bezkompromisowość, zaciekłość, odwagę w tarzaniu mitów w błocie". Potrzebne jest jednak opisane „rozszerzające" i spychające wszystko do rynsztoka rozwinięcie tematu: „Takie rozpracowanie intelektualne, dalsze rozdrobnienie i nawet rozbabranie może wreszcie ocalić tę najpozytywniejszą w naszej kulturze akcję negatywną" [158].

I tu właściwie należałoby postawić kropkę. Jesteśmy bowiem u kresu.

W rynsztoku ma się znaleźć wszystko: i Piszczyk, i „mit polski", bohaterstwo i ofiarność w imię wyższych ideałów — patriotyzmu, ojczyzny — i sam ideał ojczyzny. W rynsztoku ma się znaleźć i ma być tam „rozbabrany" ten ideał — zdaniem szyderców — „podrzędnego państwa operetkowego", które jest w istocie rzeczy „jeszcze jedną wersją kretyńskiego państwa heroizującego".

Nie dajmy się zwariować!

Nie będę sławił Piszczyka ani spychał go do rynsztoka. Nie będę go też z tego rynsztoka wyciągał. Nie będę bronił Chmurokukułczyna ani go potępiał. Nie będę też rozdzierał szat i nie zagrzmię słowami poety: „Świętości nie szargać!" Solennie to obiecuję.

Ideały w ostatecznym rachunku same obronią się przed szydercami, a prawdziwym świętościom szarganie nie zaszkodzi. I już nie chodzi nawet o to, że „to boli".

Chodzi o to, by rozumieć dokładnie, co się czyta — i co się pisze. Chodzi o zdrowy rozsądek, podobno tak luby krytykom „bohaterskich mitów". Zdrowego rozsądku należy bowiem używać nie tylko do oceny naszej przeszłości. Zdrowym rozsądkiem należy się również posługiwać przy pisaniu na te tematy. Poza tym zdrowego rozsądku nie należy nadwerężać nadaremno, każąc mu wyprawiać sprzeczne z jego istotą harce. Raczej należy go pielęgnować i chronić. Bo może się zbuntować.

Nie dajmy się zwariować! I — panowie — nie zwariujcie się, proszę, sami! Trzeba zachować jakiś umiar, trzeba przestrzegać zasad samokontroli, trzeba się czasem zastanowić: co właściwie oznaczają słowa, które spływają z wartkiego pióra? Bo można tak sobie gadać, gadać, aż się człowiek dogada — nie wiadomo do czego. Rosjanie mają takie znakomite powiedzonko: „dagawaritsa do czortikow". W wolnym przekładzie — do białych myszek.

A potem owe „czortiki" mnożą się. Gdziekolwiek by człowiek rzucił okiem — wszędzie je widzi.

Przecież to, co pisał Kałużyński na przykład o „Matce Joannie od Aniołów", świadczy wręcz o obsesji:

„...«Matka Joanna od Aniołów», mimo średniowiecznego tematu, literackiego pomysłu i rafinowanego «estetyzmu» ocierającego się o abstrakcję, należy jak najbardziej do pedagogii «szkoły polskiej» i wpisuje się jako dalszy filozoficzny ciąg «Kanału», «Popiołu i diamentu», «Eroiki», «Lotnej», «Zezowatego szczęścia» i innych filmów, atakujących pasożytnicze mitologie trawiące nasze społeczeństwo w ciągu ostatniego

okresu historycznego. Jest to, w szerszym zakresie, polemika z każdym fijołem, sprzeciwiającym się w myśl wykombinowanych zasad, tradycji, służby itd. ludzkim uczuciom, naturalnym koniecznościom i podstawowej logice życia" [159].

Istna mania prześladowcza: wszędzie węszy szyderca przeklęte fijoły ideowości, wszędzie też widzi swoje ukochane „czortiki", wszędzie węszy opętanych i... egzorcystów. Teraz już się nie zdziwię, jeśli szydercy pasują Szekspira na wybitnego wychowawcę narodu w nowym duchu „pedagogii antybohaterskiej", skutecznie atakującego „pasożytnicze mitologie, trawiące nasze społeczeństwo", a „Romeo i Julia" ogłoszone zostanie za przełomowe dzieło polskiej szkoły narodowej, zwalczające „fijoła", który „w myśl wykombinowanych zasad, tradycji i służb sprzeciwia się ludzkim uczuciom i naturalnym koniecznościom"...*

Z drugim bohaterskim bojownikiem przeciw bohaterszczyźnie nie jest jeszcze tak źle. Podtrzymuje on uparcie swoje recepty wychowawcze sprzed czterech lat, cytowane już wyżej. Stanowisko swoje modyfikuje ostrożnie. Zgadza się już dzisiaj, iż należy czcić czyny bohaterskie i przejawy ofiarności, podkreśla tylko, że powinniśmy „czcząc jakieś bohaterstwo akcentować, że nie zawsze najlepiej przysłużyło się ono narodowi". Wielkodusznie przyznaje zarazem, iż nie jest to łatwe „ze względu na to, że przecież były w historii działania, były akty bohaterstwa, które w ostatecznym rachunku przysłużyły się interesowi narodowemu" [160].

Te dwa zdania warte są odrębnego studium — charakterologicznego. Autor przecież wie, że bohaterstwo bywa celowo wykorzystane, i wówczas przynosi korzyść, lub bywa zmarnowane, i wówczas nie pomaga —

* Stało się. Uczynił to Jan Kott.

ale nigdy samo bohaterstwo nie zaszkodziło ojczyźnie; szkodzili ci, którzy je źle wykorzystali. Zwróćcie też uwagę, jak wielkoduszne a poniżające jest to uznanie, że były akty, które w ostatecznym rachunku... Ileż zawiera się w nim przekonania, iż tylko niekiedy mogło się tak przytrafić, że ci „wariaci od umierania" coś jednak — oczywiście przypadkiem, nieświadomie — zrobili dobrze.

Najnieszczęśliwszy, najbardziej poszkodowany na skutek całej tej ideo-historio-moralnej ekwilibrystyki jest zwykły, a pełen dobrej woli tzw. „aktywny" czytelnik. Bywa, że przejmie się na serio nawoływaniami szyderców, ulegnie pokusom pozornej postępowości, pozornej szerokości widzenia, niby-humanizmowi i humanitaryzmowi ich wywodów. Pisze wówczas: „Jeśli była potrzeba historyczno-polityczna (nie zawsze słuszna), by nas uczyć i wychowywać na Polaków o «aspiracjach» wielkomocarstwowych z powołaniem się na kości naszych przodków, to teraz nie ma potrzeby, by nasze nowe pokolenie wyrastające w Polsce Ludowej miało czcić te same ideały, co nasi ojcowie. Nasza młodzież ma już inne aspiracje, naszej młodzieży nie grozi obecnie obrona kraju przed napaścią ze strony sąsiadów — już nie ma tego problemu. [...] Wychowanie w stosunkach międzynarodowych powinno się opierać o internacjonalizm, a nie nacjonalizm podsycany «bohaterszczyzną»" [161] (podkreślenia autora listu).

Nie winmy czytelnika. Po prostu uważnie czyta enuncjacje szyderców. Natomiast nie czyta depesz z zagranicy. Tego, że nie grozi już naszej młodzieży obrona kraju, tego, że już nie ma tego problemu, nauczyli go szydercy — to ich właśnie w całej ich bogatej twórczości nie obchodzi wcale fakt, że niestety epoka od szeregu narodów coraz to wymaga

zwykłego, frontowego bohaterstwa z karabinem w ręku. Oczywiście zrobiono wiele, aby oszczędzić tego naszemu narodowi. Jednakże nie wolno problemu konieczności zbrojnej obrony ojczyzny całkowicie usuwać z naszych rachunków. Walczymy o rozbrojenie, wierzymy w skuteczność tej walki, ale musimy chyba pamiętać, że rozbrojenie moralne nie może nastąpić wcześniej niż zniszczenie broni — i jądrowej, i klasycznej — o r a z m. in. likwidacja Bundeswehry... To zaś, że się biednemu czytelnikowi pomylił patriotyzm z nacjonalizmem i kości naszych przodków z aspiracjami wielkomocarstwowymi — to też zasługa szyderców. To dla nich historia, naród i ojczyzna są pojęciami — ściślej: fijołami opętania, przeciwko którym właśnie wymierzone są ich egzorcyzmy. Nie będę winił czytelnika. Winię tych, którzy go „uświadamiają".

Skutki tej akcji nie ograniczają się niestety do sporadycznych wypadków zbałamucenia pełnego dobrych chęci, a pozbawionego krytycyzmu człowieka. Myślę, że co dzień potykamy się w życiu o mniejsze czy większe rezultaty całej tej „pedagogii antyheroicznej" — wychowywania narodu w duchu antyromantycznym, w duchu realistycznym, w duchu hasła „bieda chcącym!", co oznacza, mówiąc bez ogródek: „śmierć frajerom!"

„Śmierć frajerom!" —
A co będzie z ludźmi?

Uparte wmawianie narodowi głupiej przeszłości i demaskowanie tej głupoty w imię przytłumienia „romantyzmu" i pielęgnowania wyrachowania nie jest zupełnie bezskuteczne. Rzeczywiście wywiera wpływ na postawy społeczne. Przyczynia się mianowicie do osnucia społeczeństwa paraliżującą i usypiającą dymną chmu-

rą. Współtworzy określoną aurę — aurę wyrachowania równoznacznego tu z egoizmem, aurę pogardy dla „głupoty" tych, co poświęcają się dla niezrozumiałych chimer jakichkolwiek ideałów, aurę pogardy dla frajerów, co się „wychylają".

Wykoślawiona, zidiotyzowana wizja historii naszej walki zbrojnej stanowi „historyczną podbudowę" wielce współczesnego, głęboko aspołecznego i jakże szkodliwego hasła „Śmierć frajerom!"

Cóż bowiem wynika z tej wersji, jakie racjonalne wnioski można z niej wyciągnąć?

Tylko frajerzy nabijają sobie głowy jakimiś ideałami, które zmuszają ich do idiotycznych czynów, stających się potem przedmiotem kpiny... Tylko frajerzy wyobrażają sobie, że coś mogą zrobić na tym świecie, na coś wpłynąć — i „wychylają się". Walczą, szarżują — i co? Wychodzi „psyk" i dużo trupów, czyli śmierć frajerów. Stąd rozsądny wniosek: a więc „śmierć frajerom". Wychylać się nie warto, naprzód człowiek dostanie po głowie, a potem go jeszcze wyśmieją.

Rezultat? Proszę, dosyć typowe zeznania — tu w procesie przeciwko małżonkom C. oskarżonym o systematyczne maltretowanie 81-letniej matki Agnieszki C.:

„Usłyszałem krzyk i uderzenia. Wyszedłem na korytarz — zeznaje świadek, sąsiad oskarżonych, 25-letni mężczyzna. — Oni wystawiali tam łóżko Agnieszki C. Kiedy im tego broniła, syn pchnął ją tak mocno, że upadła. To mnie oburzyło, wróciłem więc do mieszkania. Potem długo jeszcze słyszałem przez ścianę krzyki i odgłosy uderzeń" [162] (podkreślenie moje — Z. Z.).

Rezultat? Proszę: felietonista popularnych „Szpilek", Teofil, otrzymał szereg listów:

„Żaden z nich nie jest podpisany. Nie muszę chyba podkreślać, że świadczy to o niemałym rozsądku moich korespondentów. Są oni symbolem zachodzącej tu i ówdzie ewolucji socjopsychicznej, której kierunek nietrudno określić. Od szaleńczej Somosierry sprzed 150 lat — do jakże rozważnego unikania podpisów pod listami krytycznymi przesłanymi do redakcji. Czyż nie znamienna to i optymistyczna linia rozwoju?..." [163]

Cóż, „szydercy" mogą być zadowoleni. Duch somosierszczyzny nareszcie został zwalczony. Zgodnie z ich programem wychowawczym zgubny dla narodu, przestarzały „romantyzm" zastępujemy stopniowo wielce „realistycznym" wyrachowaniem.

I ten „mały realizm" coraz to wyłazi nam bokiem — właśnie w małym, codziennym, szarym życiu.

W polu własnego widzenia, na szpaltach codziennej gazety raz po raz natrafiamy na sprawy nie załatwione lub źle załatwione, bo gdzieś zabrakło drobiazgu — woli. Tu słuszna idea „przepadła" na naradzie produkcyjnej, tam rozkwitła gromadzka klika, ówdzie bezkarnie i bezczelnie działają chuligani, gdzie indziej na oczach ludzkich odbywa się zorganizowana grabież mienia społecznego. Wszędzie tam zabrakło tego drobiazgu — ściślej: zabrakło k o m u ś tego drobiazgu — iskry woli, chęci, uporu, szczypty odwagi. Tego drobiazgu, bez którego jednak sprawy drobne nabierają monstrualnych rozmiarów, a sprawy duże gmatwają się i wloką, zabagniając życie. Brak tej odrobiny bojowego ducha zaczyna ważyć również na sprawach zda się wymagających tylko wysiłku intelektu... Oto do jakich wniosków dochodzi publicysta „Świata", zastanawiając się nad przeszkodami w rozwoju i upowszechnieniu nowoczesnej techniki:

„Zarzucaliśmy sobie wszyscy nawzajem, że jesteśmy narodem o wybujałej wyobraźni. Rozlegał się wielki

krzyk potępiający przerost fantazji, pogoń za mirażami i brak realizmu w myśleniu. Wiele wskazuje na to, że okazał się skuteczny. Dziś prawie każdy dureń chwali się, iż mądrze woli chudego wróbla, byle w garści, od najpiękniejszych perspektyw. Tymczasem brak wyobraźni staje się przyczyną osobistych klęsk. Jest jednym z hamulców, o których się będzie sporo mówiło" [184].

A będzie się mówiło, będzie...

Cóż? Trudno. Nie będzie Somosierr. Nie będzie też odwagi cywilnej. Nie będzie pewnie również wynalazków, inicjatywy w pracy, postępu technicznego. Być może — nie będzie w ogóle żadnego ruchu. Śmierć frajerom!

Tylko... co wart człowiek, który choć raz w życiu nie był „wychylającym się", pragnącym, marzącym, dążącym do czegoś „frajerem"? A kiedy wytępimy wreszcie „frajerstwo" — co będzie z... człowiekiem? Ze zwykłym człowiekiem, wcale nie przez duże C, człowiekiem, który ma na swoim miejscu i rozum, i serce? Który wykształcił w sobie wyobraźnię i realizm, odwagę i ostrożność, poczucie rzeczywistości, opanowanie i zdolność do wzruszeń, twardość i współczucie? Jednym słowem — z człowiekiem normalnym, człowiekiem żyjącym, a nie wegetującym? Współkształtującym otoczenie, a nie wyłącznie dostrajającym się do niego?

Czy będą jeszcze ludzie, którzy potrafią przeżywać: pragnąć i pogardzać, kochać i nienawidzić, szanować i współczuć, cieszyć się i gniewać? Czy w ogóle będą jeszcze ludzie? Czy tylko ameby, jakieś fantastyczne jednokomórkowce o idealnie wykształconej zdolności przystosowawczej?

PRZECIWKO SZYDERCZO-PSEUDOKRYTYCZNEMU BZDURZENIU

Motto:

„Walka klasowa przebiega w nas samych między oportunizmem a marzeniem".
Głos „wołającego na puszczy" na pewnej naradzie młodej inteligencji twórczej.

Sądzę, że pseudokrytyczne szyderstwa, niby-intelektualne drwinki z naszej historii, będące zresztą w istocie rzeczy czystą kpiną z prawdy historycznej, czystą brednią — powinny zniknąć na zawsze z naszego repertuaru. Komu leży na sercu sprawa kształtowania postaw życiowych ludzi w tym kraju, ten nie powinien nigdy — pod groźbą uzyskania efektów przeciwnych do zamierzonych — pozwalać sobie na pewne rzeczy.

Nie wolno idiotyzować przeszłości narodu, przedstawiać jej jako ciągu czynów pozbawionych sensu i świadczących o naiwności i braku rozsądku naszych przodków. Nie wolno wykoślawiać w ten sposób obrazu dziejów, opinii o narodzie. Prowadzi to mniej czy bardziej skutecznie do zaszczepienia ludziom pogardy i wstrętu do własnego narodu, prowadzi do rozwijania nihilizmu narodowego.

Nie wolno ogłupiać ludzi wykrętną interpretacją historii. Nie wolno łgać w żywe oczy wbrew temu, co ludzie wiedzą lub czego łatwo dowiedzieć się mogą. Człowiek, częstowany co chwila dość dowolną interpretacją faktów, postaw, wartości niegdyś utrwalonych, dochodzi w końcu do mniejszego czy większego kryzysu duchowego, do „trzęsienia ziemi" i rychło czuć się zaczyna nabitym w butelkę, oszukanym i oszuki-

wanym. Nie bacząc na to, gdzie w końcu jest racja, traci wszelką orientację moralną i pozostaje twardo jedynie przy tym, co dla niego jest bezpośrednio sprawdzalne i najłatwiej zrozumiałe, a więc najbliższe i zarazem najprymitywniejsze. Własną doraźną korzyść, własny prymitywny interes najłatwiej odróżnić, zidentyfikować, a najtrudniej przeinaczyć i „zainterpretować". Na gruncie osobistego tylko interesu szuka więc wówczas człowiek niezbędnego mu dla równowagi poczucia trwałości, stałości poglądów, szuka kryteriów moralnych — „najpewniejszych" i jakże zarazem ubogich, przyziemnych, społecznie bezużytecznych.

Nie wolno wydrwiwać bojowych czynów przeszłości, czynów i faktów, w których znalazły wyraz wartościowe postawy psychiczne, niezbędne człowiekowi dnia dzisiejszego, a także człowiekowi przyszłości, niezbędne społeczeństwu przez tego człowieka tworzonemu — socjalizmowi. Nie można kpić z ofiarnej ideowości — umiejętności przełożenia interesu ogólniejszego, społecznego, narodowego nad doraźny, osobisty. Nie można kpić z gotowości działania, z aktywności społecznej, z dążności do rozstrzygania problemów życia społeczeństwa i narodu własnym wysiłkiem, bez oglądania się na to, czy ktoś to zamiast mnie (czy nas) zrobi.

Nie można kpić z odwagi i męstwa w działaniu w słusznej sprawie, z gotowości ponoszenia ryzyka — nawet ryzyka pomyłki w metodach działania — i z umiejętności mężnego wystawiania siebie samego na niebezpieczeństwo utraty zdrowia i życia, gdy potrzeby podjętej walki o ideał tego wymagają.

Nie należy więc wybrzydzać się na kosynierów i powstańców, szwoleżerów i ułanów, Ordonów i westerplatczyków, a także na księcia Pepi, na tysiąc mniej czy bardziej jaskrawych wzorów patriotycznej ofiar-

ności i mężnej aktywności, jakich dostarcza nasze tysiąclecie. Nie należy — jeśli się nie chce obrzydzić i ośmieszyć w ludzkich oczach wszelkich ideowych postaw i wszelkiego aktywnego działania w szerszym niż osobisty, społecznym interesie. Nie wolno tego robić — jeśli się chce kształtować ludzi zdolnych wziąć udział w zmianie rozwoju kierunku świata, zdolnych przebudować swój kraj i kulę ziemską, ludzi — świadomych twórców swego losu i losu społeczeństwa, ludzi socjalizmu.

Szyderstwem z wysiłków wszystkich pokoleń przeszłości — wysiłków nawet nieudanych czy źle ulokowanych, ale ożywionych szczerą wiarą w celowość walki i ofiary dla przyszłości — nie wychowa się ludzi socjalizmu, ludzi, którzy mają być źródłem i podmiotem historycznego działania. Wychowa się bierny przedmiot procesów historycznych, ciasnych egoistów, porażonych obojętnością, tchórzliwych i uległych.

Sądzę, że powinni zdawać sobie z tego sprawę ci, którzy wojują słowem. Jeśli to słowo ma coś znaczyć. Jeśli pragną — a sądzę, że pragną — liczyć się z jego społecznym rezonansem, z jego oddziaływaniem.

O ostrożne obchodzenie się z historią

Słowo nie buduje nowych światów. Nie słowo tworzy człowieka. Człowiek wychowuje się, rośnie, kształtuje w społeczeństwie, pod wpływem tysiąca różnych czynników, z których najważniejsze dla urobienia postawy życiowej jednostki są społeczne warunki bytowania, własne doświadczenia.

Wychowanie socjalistyczne to wychowanie poprzez tworzenie takich warunków bytowania, które kształtowałyby w ludziach cechy pozytywne, szlachetne,

wzbogacające człowieka i społeczeństwo. To wychowanie poprzez społeczeństwo — dla społeczeństwa.

Nietrudno też wszystkim powyższym wywodom przeciwstawić stwierdzenie: grymas nawet znacznej części zamkniętego w gruncie rzeczy i wąskiego środowiska intelektualnego, wygłupy studenterii nie tworzą jeszcze „pogody" wychowawczej w Polsce, a historia dawna czy najnowsza i stosunek do niej w gruncie rzeczy mało kogo obchodzą wobec takich spraw, jak olbrzymie potrzeby inwestycyjne, nie uzasadnione przekroczenie funduszu płac i konieczność jego obniżenia, nienadążanie rolnictwa, trudności mieszkaniowe, nadużycia gospodarcze, łapownictwo i chuligaństwo...

Trzeba się zgodzić, że o trwałym kształtowaniu się postaw psychicznych decydują istotnie obiektywne, materialne (w marksistowskim, szerokim, a nie wąskim, obiegowym tego słowa znaczeniu) warunki życia narodu. Jednakże w toku ich stawania się, w procesie ich aktywnego przekształcania decydującą rolę odgrywają właśnie ideowe postawy ludzkie, postawy wyprzedzające rzeczywistość materialną, postawy p a r t y j n e. Prawdą jest, że ludzie nie będą chodzić przez most, jeśli mostu nie ma. Ale mostu nie będzie nigdy, jeśli nie znajdą się ludzie, którzy go wymyślą i zapragną zbudować, którzy znajdą w sobie zdolność wyobrażenia sobie nowego i siłę podjęcia starań o nowe.

Nieprzypadkowo ruch robotniczy przywiązywał zawsze taką wielką wagę do pracy ideologicznej, do ideowego wychowania. Nieprzypadkowo marksizm akcentował zawsze, iż siłą zmieniającą obiektywne warunki społecznego bytowania będzie „ideologia, która opanowała masy", a partie rewolucyjne wychowywały tysiące i setki tysięcy aktywistów — „romantyków" dwudziestego wieku: ideowych, ofiarnych, zdolnych do poświęceń, odważnych, gotowych podjąć ryzyko czynu.

W ideowym wychowaniu mas historia odgrywa ogromną rolę. Odpowiedzi na pytania o sens życia, o cele i wartość ludzkiego bytowania, o zakres swoich obowiązków i granice swojej wolności, o kryteria i wartości moralne przeciętny człowiek rzadko szuka w filozofii. Najczęściej odnajduje je w przykładach — w postawie swego ojca, w doświadczeniu starszych, w dziejach swojej klasy i narodu, w historii. Ona dostarcza mu użytecznej tabeli klasyfikującej etycznie uczynki, miarki dla zmierzenia wartości swego życia, ona dostarcza wzorów pozytywnych i negatywnych, przykładów słusznego i niesłusznego, skutecznego i niecelowego, mądrego i nierozsądnego, owocnego i bezowocnego działania. Historia nawet w najuboższym, strywializowanym wydaniu rodzinnej tradycji czy legendy jest rzeczywiście mistrzynią, nauczycielką życia, a człowiek oderwany od niej staje się szybko podobny do wyzwolonego z prawa ciążenia kamienia, lecącego donikąd w międzygwiezdnej próżni. Historia jest potężną bronią moralną i dlatego należy się z nią obchodzić bardzo ostrożnie.

Jest to tym bardziej niezbędne, iż błąd w obchodzeniu się z tą bronią nie manifestuje się od razu głośnym hukiem niechcianego wystrzału. Naciśnięta nie tam, gdzie należy, historia może długo syczeć, kopcić i smrodzić, a szkody z tego powodu są trudno uchwytne, choć niemałe. Czasem zaś wybucha w momencie najmniej oczekiwanym i najnieszczęśliwszym. Zwykle w okresach dużych przesileń dziejowych, społecznych kryzysów psychicznych, w momentach, gdy skutki takiego wybuchu mogą być nieobliczalne i nie do naprawienia.

Tendencja do bezideowości, społecznej bierności wśród części naszego społeczeństwa rozwija się niewątpliwie jeśli nie na skutek — to na pożywce dostar-

czanej przez kpiarzy i szyderców wybrzydzających się mimochodem na każdy niemal ważniejszy fakt patriotycznej, bojowej aktywności w naszych dziejach, których treścią jest ofiarna walka o idee wolnościowe.

Hamując kształtowanie godności narodowej i ludzkiej wiary we własne i społeczne siły, osłabiając dynamizm społeczny może ona długo przynosić trudno dostrzegalne wyniki w postaci obniżania społecznej aktywności, inicjatywy, spadku uczuć społecznych, wzrostu egoizmu, wygodnictwa, oportunizmu życiowego. Może też w jakimś momencie trudnym spowodować „wybuch" — istotne i dostrzegalne gołym okiem załamanie odporności moralnej większej czy mniejszej części narodu.

Historię naszą trzeba uwolnić od szyderczych komentarzy i zawarty w niej bogaty ładunek wychowawczy w pełni wykorzystać do kształtowania ducha społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży.

Kryzys wartości względnych

Aby przywrócić historii rolę wielkiej wychowawczyni, musimy zdać sobie sprawę z jednego nieodwołalnego faktu. W dzisiejszych czasach stary wzór historii, oddziaływanie obrazem „kamieni przez Boga rzucanych na szaniec", historia rozumiana jako zbiór wzorów bohaterskiej śmierci, tradycyjna pedagogika „od pana Podbipięty" ze swym Allachem Sienkiewiczem i Wańkowiczem jego prorokiem — umarła. A w każdym razie nie nadaje się do użytku.

Byliśmy świadkami kryzysu i bankructwa określonego wzoru wychowawczego, zrodzonego dawno i długo skutecznego. Pewien niepokój moralny, a nawet niesmak odczuwamy dziś, czytając taką np. — tylu po-

koleniom służącą za moralną wytyczną — opowieść o Spartance:

„Pewna Spartanka miała pięciu synów na wojnie i oczekiwała wiadomości z pola bitwy. Przybywa helota; Spartanka z drżeniem pyta go o wieści: «Twoich pięciu synów zostało zabitych». «Nędzny niewolniku, czyliż o to się pytałam?» «Zwyciężyliśmy». Matka biegnie do świątyni i składa dziękczynienie bogom. Oto obywatelka" [165].

Dziwne zaiste uczucie ogarnia nas, gdy w raporcie nie byle kogo, bo samego Naczelnika Kościuszki (z 9 czerwca 1794 roku, o bitwie pod Szczekocinami) znajdujemy taki passus, jakby żywcem wyjęty z opowieści Szwejka:

„Wspomnę tu sierżanta Regimentu drugiego imieniem Franciszka Derysarza, który mając obydwie nogi od kuli armatniej urwane wołał jeszcze na swoich: Bracia, brońcie Ojczyzny! Śmiało brońcie, zwyciężycie" [166].

Ha! Inne były czasy, inni ludzie. Dziś już tak nie wolno. Długo by trzeba dumać, żeby zrozumieć dlaczego. Może wyraźniej zarysowała się rozpiętość — subiektywnie biorąc dysproporcja — między celem wojny, zwykle ogromnym, oddalonym, trudnym do objęcia, a niezwykłą konkretnością i bezpośredniością ofiary z własnego, dobrze znanego ciała, nie wyczerpanego, a tak bogatego w możliwości życia? Może dla człowieka dzisiejszego życie przedstawia o wiele większą wartość, gdy dziś rozwój życia, techniki, wiedzy o świecie i o sobie pozwala nam na tyle różnych możliwości jego użytkowania? Na pewno ascetyczne i ofiarne wzory starożytności, do których nawiązywał i nasz wiek XIX, znajdują się w rażącej kolizji z dzisiejszą „ceną" człowieka, wagą życia, jego wartością, z jakże ogromnym głodem życia, pragnieniem najzupełniej ziemskie-

go bytowania. Dziś te stare wzory są już nie do przyjęcia. Co więcej — zestawienie nowoczesnych potrzeb, reguł współczesnej psychiki z ideałami i postawą antycznych bohaterów-ofiarników naszej tradycyjnej historii jeśli nie wzbudza refleksji: „idioci" i „frajerzy", to na pewno skończy się na określeniu ich mianem „niedzisiejszych", co oznacza dość wyraźnie duchowe od nich odcięcie się, a nawet odżegnanie.

Co więc robić?

Ratunek — w ludzkiej prawdzie historii

Propozycja, którą pragnę tu sformułować, opiera się na głębokim moim przeświadczeniu (któremu dałem wyraz przy okazji omawiania każdego z siedmiu „grzechów głównych" naszego narodu), iż ów antyczny wzór ofiary właściwie nigdy zbyt ściśle nie pasował do naszej polskiej rzeczywistości, że bohaterskie sprawy naszej historii mają charakter o wiele bardziej ludzki, zwyczajny, zrozumiały i dziś dla nas o wiele prostszy, niż wmawiali to nam poeci, pisarze i malarze.

Wbrew Mickiewiczowi nie byliśmy Mesjaszem narodów. I nikogo nie zbawialiśmy. Wbrew Słowackiemu nie byliśmy też ani pawiem, ani papugą i nie ma się co śmiać. Trzeci — Wyspiański — zrozpaczony tym wszystkim modlił się o Polskę zwyczajną, jak inne narody. Nie zdawał sobie sprawy, jak ten jego postulat bliski jest rzeczywistości.

Trzeba chyba nareszcie zrozumieć, że nie byliśmy, nie jesteśmy ani nie będziemy chyba ani najbardziej bohaterskim, ani najgłupszym na świecie narodem. Jak wszystkim innym zdarza się nam i jedno, i drugie. Ale poza tym jesteśmy zwyczajni. I nic ponadto.

Zwyczajni zarówno w swej zbiorowej historii, jak i w czynach swoich bohaterów.

Sądzę, że wypada po prostu powrócić do prawdy historycznej. Nie przeceniając świadectwa poezji i pieśni, ówczesnych oficjalnych enuncjacji i publicznych deklaracji, szukać prawdy ówczesnego życia i tę prawdę w ludzkim, powszednim wyrazie przedstawiać.

Trzeba pokazać, że — by pozostać przy omawianych przykładach — zarówno szwoleżerowie spod Somosierry, jak i powstańcy 1863 roku, obrońcy Westerplatte i racławiccy kosynierzy chcieli żyć i bali się śmierci. Nie byli ani nadludźmi nie znającymi strachu, ani cierpiętnikami rozkoszującymi się własną ofiarą. Bardzo chcieli żyć — zwyczajnie. Znali tysiąc w pełni im dostępnych przyjemniejszych zajęć niż chodzenie pod ogień, pod kule, granaty, kartacze i jak to się tam nazywało. W tym ludzkim pragnieniu życia i szczęścia byli tacy sami jak my dzisiaj. A jednak mimo to znajdowali w sobie siłę moralną, niezbędną, by nie strawić swego życia na ciepłym przypiecku, pod pierzyną czy w karczmie przy piwie albo gorzałce (które nie były gorsze od dzisiejszych) — lecz pójść się bić, nastawiać głowę, ryzykować życie w imię sprawy dalekiej, a przecież bliskiej im i zrozumiałej, sprawy niewymiernej i nie dającej się wycenić w groszach, a przecież dla nich wartościowej — w imię marzenia: wolności, niepodległości, ideałów społecznych i politycznych.

Trzeba pokazywać, że ci Głowaccy i Mastalerze, Poniatowscy i Kozietulscy, Sucharscy i Ordonowie naszych dziejów to nie były barany prowadzone na rzeź, pod nóż historii przez przeklęte fatum — własną nieprzezwyciężalną impulsywność bądź chytrą intrygę, oszustwo i otumanienie. Nie byli oni wcale głupi czy naiwni, na ogół (choć tylko z grubsza bądź wprost in-

stynktownie) orientowali się w sytuacji, znali możliwość pomyłki. A jednak wierzyli, że trzeba — i szli, choć nie byli pewni skuteczności swego czynu, choć uświadamiali sobie, że może niczego nie zwojują. I w tym naturalnym sceptycyzmie ludzkim wcale nie byli inni niż dzisiejsze pokolenie. A jednak mimo to — ryzykowali. Przyjmowali na siebie nie tylko pewność wyrzeczeń i cierpień, prawdopodobieństwo kalectwa czy śmierci, ale także możliwość porażki, niepowodzenia, wręcz pomyłki. Woleli się mylić w działaniu niż trwać biernie, woleli błądzić w drodze niż stać w miejscu. Woleli ryzykować przegraną, śmierć, zapomnienie, a nawet przekleństwo współczesnych i potomnych niż zaniedbać rzucenie na szalę historii ziarnka swojego wysiłku (jakie by nie było małe wobec ogromu wydarzeń) wówczas, gdy ważyły się losy narodu, a nieraz i losy ludzkości.

Trzeba pokazywać tę naszą przeszłość zwyczajnie — i prawdziwie. I trzeba mieć do niej trochę, odrobinę sentymentu.

Niech nie będzie tylko bezpiecznym placem do ćwiczeń w krytycznych harcach, niech nie będzie osełką, na której ostrzy się języki do aktualnych polemik.

Historia jest potężnym orężem moralnym. Częściej niż filozofia i etyka dostarcza ona zwykłemu człowiekowi odpowiedzi na pytanie o sens ludzkiego bytowania, o potrzebę i celowość społecznego działania, o wzór człowieczej postawy. Historia najplastyczniej uczy, jak żyć — i po co żyć.

Świadomość indywidualna i pamięć jednostkowa czyni istotę ludzką tym, czym jest: c z ł o w i e k i e m, istotą społeczną i doskonalącą się.

Świadomość narodowa i pamięć społeczna — historia — czyni ze zbiorowiska ludzkiego s p o ł e c z n o ś ć — nie bierną masę, przedmiot dziejów, lecz kolektyw

aktywnych współtwórców losu własnego i losów świata.

Społeczność taka musi się bronić przed obcą pogardą i własnym zwątpieniem. Musi uwierzyć w rozumność własnego wspólnego „życiorysu", by mogła uwierzyć w logikę jego „dalszego ciągu" — w logikę przyszłości. Musi szanować siebie.

1959—1961

POSTSCRIPTUM: GARŚĆ BANAŁÓW

Każde pokolenie manifestuje swój nowy stosunek do świata. Każde, gdy dojrzeje do samodzielnego myślenia i działania, przeciwstawia się zastanym poglądom, obowiązującemu systemowi wartości, w którym było wychowywane. Każde przechodzi swój kryzys ideowy, swój bunt przeciwko światu ukształtowanemu przez ojców.

Banały — prawda? Więc jeszcze jeden. Dawniej życie biegło wolniej niż dziś...

Z tego ostatniego potwornego truizmu płynie jednak wniosek nieobojętny dla oceny tzw. dzisiejszych czasów. Te przewroty umysłowe, bunty ideowe, zmiany nagminnych postaw i obowiązujących poglądów, które dawniej następowały co lat 15—20, przybierając złudną postać walki ojców i synów, walki pokoleń, dziś występują z o wiele większą częstotliwością.

Pierwszy zarys szkiców o siedmiu polskich grzechach głównych pisałem w roku 1959 i publikowałem na łamach mało na rynku czytelniczym popularnego miesięcznika oficerskiego „Wojsko Ludowe" [167]. Opierałem się na materiale prasowym, literackim, kabaretowym, filmowym, odbijającym w jakiś sposób poglądy dość rozpowszechnione w latach 1957—1958, choć tak mało, w istocie rzeczy tylko pozornie, wiążące się z rzeczywistą treścią „wielkiego trzęsienia ziemi" lat minio-

nych. W początkach roku 1961 byliśmy pod wpływem tej samej fali — produkcja filmu trwa rok, książki nieraz i dłużej — wciąż jeszcze nad opinią publiczną ciążyły utwory poczęte w atmosferze pokracznego nawrotu „neopozytywizmu" pełnego goryczy rozczarowanych, w atmosferze, której pragnąłem się przeciwstawić pisząc „Grzechy". Pozwoliło mi to znacznie rozszerzyć i uzupełnić argumentację, dokładniej zrozumieć atakowane postawy, a zwłaszcza przyczyny i konsekwencje stanowiska niektórych reprezentantów katechetycznego poglądu na historię Polski.

Gdy jednak przeglądam gotowy do druku tekst szkicu, gdy nakreślony w nim obraz poglądów pokolenia oraz niebezpieczeństw, jakimi ich utrwalenie się mogłoby nam grozić, porównuję z sytuacją dzisiaj, w lutym 1962 roku, zastanawiam się, czy też tymczasem nie odeszło już w przeszłość tamto pokolenie, czy tonu nie nadaje już to następne, nowe — odmienne, nawet przeciwstawne.

Przecież dawno już zszedł z afisza „Król Ubu, czyli Polacy" i nie straszy „Chmurokukułczyn" spolonizowanego Arystofanesa. Ruderę „Stodoły" rozebrano i koparki pogłębiają tu doły pod fundamenty nowych domów. Na scenach studenckich teatrzyków nie widać ułanów w rogatych czapach i nikt nie wysadza się w powietrze dla ostatecznego skompromitowania polskich tradycyjnych gestów. Pokolenie wielkiej kpiny przestało szydzić. Porobili dyplomy i poszli do pracy, obijają się po kulisach i garderobach zawodowych teatrów, pożenili się i zajęli dziećmi. Pokolenie dojrzało, zajęło się codziennością. Zbiera pieniądze na skuter i spółdzielcze mieszkanie. Myślę o tym ze smutkiem, choć nie cofnę niczego, co powiedziałem wcześniej o jego poprzedniej ideologii, ideologii szyderstwa.

Tymczasem zaczyna wchodzić w życie następne po-

kolenie, następne i odmienne, choć ledwie o kilka lat młodsze — dziś dobijające do matury. To pokolenie nie zna smaku drwiny. Przykładnie nosi kwiatki na narodowe cmentarze, zaczytuje się Sienkiewiczem i Wańkowiczem, „Tygrysami" i „Kulisami". Ale także „Szerszeniem" Voynich i „Rokiem 1793" Wiktora Hugo. Jutro sięgnie po Conrada. Ten schemat znamy. Zaczyna się od zabawy w bitwę pod Grunwaldem, po dziesięciu latach przychodzi czas na „Lorda Jima", a potem pisze się własne „Kamienie na szaniec". I być może za dwa, trzy lata trzeba będzie napisać książkę już nie w obronie szlachetnej polskiej sztuki ryzykowania życia w walce o wzniosły ideał, ale w obronie szlachetnej polskiej sztuki pozostawania przy życiu dla powszedniej pracy w imię równie szczytnych ideałów.

Trudno zaprzeczyć, iż zmieniła się też sytuacja wśród wychowawców społeczeństwa. Ludzie poważni zaczęli myśleć — co się właściwie dzieje. Jedni nie bez słuszności zauważyli, że nie wszystkie rozmowy, jakie dorośli prowadzą wieczorem przy stole, wpływają budująco na dzieci. Mówiąc prościej — dostrzegli negatywne skutki wychowawcze niezbędnego być może przewartościowania pojęć, jakie stało się udziałem gorzko doświadczonego, ale mijającego pokolenia. Inni zakwestionowali racjonalne podstawy tego przewartościowania. Zaczęto pisać o mitach i zwalczaniu jednych za pomocą drugich. Inni wreszcie — „domyśleli" do logicznego końca proponowane stereotypy.

Tak np. ewenementem bezprzykładnym w naszej literaturze jest niewielka i naprawdę znakomita książka Kornela Filipowicza „Pamiętnik antybohatera". W precyzyjnym studium psychologicznym szmaty ludzkiej — volksdeutscha, dorobkiewicza, denuncjanta i zdrajcy — skompromitowany został „życiowy rozsądek" i realizm, antyromantyczność i antybohaterszczyzna, tak lube

sercu szyderców. Tadeusz Różewicz w „Kartotece" sportretował znakomicie człowieka wyzwalającego się z dwóch obowiązujących mitologii: sarmackiej i kołtuńskiej, i pokazał zarazem próżnię, w jakiej (po tym wyzwoleniu) znalazł się ów człowiek, któremu nie wskazano dostatecznie umotywowanej i dostatecznie przekonywającej ideologii: „widnokrąg jest coraz mniejszy, najlepiej widzę, gdy zamknę oczy".

Wreszcie — nie pedagog i nie psycholog, i nie filozof, lecz... ekonomista, profesor Czesław Bobrowski, największe niebezpieczeństwo, grożące zaburzeniami w naszym życiu społecznym, dostrzegł w lukach społecznego wychowania, w błędnych filozoficznych uzasadnieniach postaw ludzkich: „sprawa poczucia absurdu życia i poczucia braku związku między własnym działaniem a tym, co nas spotyka, filozofia ślepego losu bynajmniej nie jest w pełni przezwyciężona..." [168]

Socjologowie zwrócili uwagę na różne aspekty bądź przyczyny, bądź skutki niewłaściwej pedagogiki społecznej.

Profesor Jan Szczepański przestrzegał przed katastrofalnymi skutkami społecznymi „epidemii przygnębienia", wskazując na urazy powodujące tę chorobę. Pierwsza przyczyna to: „Systematyczne odmawianie uznania dla wysiłków...", druga polega „na złośliwej interpretacji motywów działania i posądzaniu jednostki działającej o motywy nisko oceniane moralnie" i wreszcie trzecia — to „gwałtowna i radykalna dezaprobata społeczna dla celów, które niegdyś były wysoko oceniane". Zdeterminowana takimi postawami atmosfera środowiska powoduje w ostatecznym rachunku, iż jednostka d z i a ł a j ą c a odczuwa, że „znalazła się w próżni, że pozbawiona została oparcia, prestiżu i że zakwestionowano społeczny sens samych podstaw jej aktywności" [169].

Z gorzkim poczuciem zadowolenia zaznaczyć tu muszę, iż ta analiza wybitnego naukowca precyzyjnie wskazuje całą szkodliwość opisanej w „Siedmiu grzechach" działalności szyderców.

„Walka z depresją — powiada prof. Szczepański — polega na życzliwym podtrzymywaniu ludzkiej wiary w sens działania, na uznaniu i rozwijaniu poczucia przynależności do zgodnie działających kolektywów".

Tak więc w ciągu tych krótkich dwóch lat zarysował się kierunek zmian: zjawisko zostało dostrzeżone i ocenione, co uznać można za początek trwalszej jego krytyki. Szydercy przez kilka lat skutecznie rozprawiali się z bohaterszczyzną — dziś, jak się wydaje, sami ulec muszą następnej, krytycznie w stosunku do nich nastawionej fali. Wyrażają ją nazwiska nader poważne i pióra tak znakomite, że autorowi niniejszego wypadałoby się powstrzymać od wkraczania między nie ze swymi przestarzałymi już argumentami sprzed lat kilku. Szkic, który ośmielam się jednak przedłożyć uwadze czytelnika — być może zbyt powierzchowny i na pewno pełen przejaskrawień szkic, a właściwie złośliwy pamflet, miast być pobudką do jeszcze nie rozpoczętej dyskusji — staje się w tej sytuacji jednym tylko i na pewno nie najcelniejszym strzałem w kanonadzie broni poważniejszej i bardziej skutecznej. I jeśli mimo wszystko decyduję się na przypominanie notatek i poglądów, teatralnych przedstawień i filozoficznych uogólnień zaczerpniętych drogą niebezstronnego przecież wyboru z bogatego naszego życia kulturalnego sprzed kilku lat, to dlatego że...

Że choć istotnie zmieniło się coś niecoś — to właściwie na razie jednak zmieniło się niewiele.

Znowu, gdy biorę do ręki rocznicową gazetę czy masowy tygodnik, natrafiam na te same enuncjacje

chwalców narodowej jatki. Znowu czytam, że pod Jeżowem dwustu polskich żołnierzy zagrodziło drogę niemieckim czołgom: „...do końca nie opuścili swoich stanowisk i wszyscy co do jednego oddali swe życie za ojczyznę" [170]. Z przerażeniem dowiaduję się od nieźle chyba zorientowanego Jerzego Putramenta, iż „w gmachu władz filmowych różni oficjele od programów mają odwagę bronić jatek jako narodowego stylu" [171]. A Andrzej Kijowski nie bez słuszności wskazuje, iż te właśnie jatki filmowe to jego zdaniem zupełnie świadomie pojęta i propagowana linia ideowa:

„Wywleczono z lamusa całą naszą romantyczną rekwizytornię, skonstruowano na wpół żartem, na wpół serio legendę narodu nieznanego, z lekka obłąkanego, przedstawiono Europie jej chyziowatego, zakompleksionego krewniaka, [...] uszyto Polsce błazeński stroik, aby go wyeksportować wraz z fałszywym folklorem Mazowsza i Cepelii" [172].

A z drugiej strony znowu z przerażeniem dowiaduję się, że gdy ktoś wmówił poznańskiej młodzieży, iż na Westerplatte zginęli wszyscy obrońcy, to — oczywiście — telewizja poznańska na takim potraktowaniu naszej historii oparła całą dyskusję z młodzieżą: „Sąd nad historią", starając się uzyskać od niej odpowiedź, czy nie lepiej spodlić się i pozostać żywym łajdakiem niż stawać bohatersko i obowiązkowo zginąć, zgodnie z doświadczeniami naszych dziejów. Sąd nad taką historią musiał oczywiście przerodzić się w sąd nad poległymi [173].

Znowu tylekroć wspomniani z okazji wcześniejszych wypowiedzi najzacieklejsi krytycy naszej historii rozwijają i pogłębiają swoje wywody, co więcej, w swojej praktyce publicystycznej realizują konsekwentnie antybohaterską linię.

Krzysztof Toeplitz swoją antymitologiczną mitologię

wszystkiemu jakoby winnych „świętych młodzianków" opublikował w książkowym wydaniu [174]. Kazimierz Koźniewski bardzo konsekwentnie zaangażował się równocześnie w dwóch bataliach. Pod hasłem obrony pryncypiów myślącego istnienia — stoczył bój z Olgierdem Terleckim, który odważył się wyrazić tak heretycką myśl, iż wobec najazdu hitlerowskiego Polakom nie pozostało nic innego, jak tylko strzelać.

Natomiast pod hasłem obrony dobrych obyczajów napadł Koźniewski na krytyków Cata Mackiewicza, zajmującego się — przypomnijmy — uporczywie od lat propagowaniem nieodżałowanej pamięci „wielkich realistów" — Pétaina i Horthy'ego, a także głoszeniem chwały największych tyranów i wydrwiwaniem największych rewolucjonistów XIX wieku. Wybielał go też Koźniewski, fryzował i podmalowywał na tak świetlaną postać, o tak olbrzymich i niezaprzeczalnych zasługach wobec narodu polskiego, iż sam Cat Mackiewicz pełen jak zwykle poczucia komizmu paradoksów dziejowych musiał się przed nim bronić, mniej więcej w duchu twierdzenia: proszę nie zapominać, że jednak jestem starym i czarnym reakcjonistą i dobrze mi z tym...

Bardzo to było budujące widowisko.

Nie umilkli krytycy bohaterszczyzny, apostołowie niby-realizmu, wyraźniejszych tylko barw nabrał sens ich działalności. Na katowickim zjeździe Związku Literatów Wilhelm Szewczyk, analizując cały zespół postaw związanych najściślej z poglądami „szyderców", nazwał go antypolonizmem i mówił: „Antypolonizmem w tym znaczeniu jest twórczość literacka, która w swym historycznym rewizjonizmie poszła zbyt daleko, skrapiając patriotyczne porywy, z których wyrosło przecież nasze ludowe państwo, nihilistyczną mgiełką" [175].

Ukazała się też cała intelektualna nicość argumentacji szyderców, a ściślej ich wydziwiań. I trudno od-

mówić racji Stanisławowi Dygatowi, gdy stwierdza, iż „bezideowość znaczy tyle, co bezmyślność" [176].

Prosperują jednak chwalcy narodowej jatki, prosperują więc też szydercy. Nadal ciąży nad świadomością szybko wkraczających w życie nowych pokoleń „krótki kurs historii Polski w siedmiu pogrzebach". I właściwie zmieniło się tylko jedno: coraz ostrzej, coraz wyraźniej występują negatywne zjawiska będące w pewnym przynajmniej stopniu pochodną fałszywych zabiegów wychowawczych, dokonywanych w duchu obojga narodowych pedagogik.

Na naszym głębokim samokrytycyzmie narodowym, ujawnianym w tak popularnych za granicą filmach, zbijają kapitał zagraniczni oszczercy, umiejący znakomicie wykorzystać dla swoich antypolskich celów sporządzone przez nas samych krzywe zwierciadło do oglądania spraw polskich. Na festiwalu moskiewskim pokazano zachodnioeuropejski film dotyczący czasów okupacji, w którym wszystkie „czarne charaktery", wszyscy właściwie zbrodniarze — to Polacy. W końcu okazało się, iż Polacy są wszystkiemu winni. W kuluarach festiwalu mówiono o polskim proteście, chyba nawet spodziewano się go. Cóż, filmowcy polscy mieli skrępowane ręce... nie bez słuszności uznali, iż nie mogą protestować, jeśli sam film polski tradycyjnie tak właśnie przedstawia Polaków.

Nie ustała też żegluga na „Trans-Atlantyku" — ucieczka z polskości. Szczeremu zainteresowaniu jazzem — tą, bezsprzecznie, muzyką XX wieku — towarzyszy fala snobistycznego małpowania i ogłupiającej, wręcz fanatycznej histerii. Ta psychosocjologiczna otoczka „problemu jazzu", ta w gruncie rzeczy epidemia niewiele ma wspólnego z upodobaniem do dobrej muzyki. To raczej muzyka upodabniania się do czegoś, czym się nie jest i nigdy nie będzie. Oprócz znakomitej

muzyki czy też odpowiadającej temperamentowi młodzieży rozrywki „epidemia jazzu" przynosi niestety równocześnie masowe powielania wzoru „Anglika z Kołomyi", a ściślej — „Amerykanina z Kobyłki". Już nie tylko śpiewają po angielsku, już nawet sami komponują — po angielsku, nawet nieartykułowane dźwięki wydają z pseudoangielskim akcentem. „Ara sepleni po angielsku" [177], jak zauważa felietonista „Życia Warszawy". Te żałosne młodzieżowe papugi są chyba jakimś produktem działalności tych, którzy obrzydzili im Polskę i polskość.

Zidiotyzowane przedstawienie historii Polski, coraz skuteczniej docierając do młodzieży, choćby poprzez imprezy w rodzaju wspomnianego już „Sądu nad historią" w poznańskiej telewizji, powoli, lecz systematycznie szerzy spustoszenie. Pewnie, że sami wychowywani z trudem doszukaliby się więzi między własną postawą — zniechęceniem, brakiem zapału, nudą, poszukiwaniem ideału gdzieś daleko, daleko poza kręgiem spraw znanych, bliskich, krajowych — a problemami właściwej oceny dorobku historycznego poprzednich pokoleń. Nie twierdzę też, że szydercze słowo jest głównym twórcą ludzkich postaw. Myślę po prostu, że wytwarzana przez nie aura oddziałuje jednak — może trochę na świadomość, a może trochę na podświadomość. Może trochę na zasadzie tego, zakazanego już w Stanach Zjednoczonych, sposobu reklamy, polegającego na wyświetlaniu w czasie seansu kinowego wielokrotnie, lecz za każdym razem na niezauważalny tylko moment sloganu „Kupujcie herbatniki". Liter napisu rzuconych na migający obraz nikt świadomie nie dostrzegał, jednak po wyjściu z kina tłum, party niepowstrzymaną podświadomą koniecznością, rzucał się na stoisko z herbatnikami...

Jakże znamienny jest obraz przemian w postawach

młodzieży studenckiej, rysujący się w świetle badań przeprowadzonych w 1958 roku i w czerwcu 1961 roku przez katedrę socjologii UW pod kierownictwem prof. St. Ossowskiego.

Oto odpowiedzi studentów z roku 1958 i 61 na pytanie: „Czy sądzisz, iż należy narażać życie w obronie tych wartości?" [178]

GOTOWOŚĆ DO NARAŻANIA ŻYCIA W OBRONIE IDEAŁÓW

Czy uważasz, że należy narażać życie w obronie? (% odpowiedzi „tak")	1958 %	1961 %	Różnice 1961—1958 %
1. Życia ludzkiego	89,2	87,4	— 1,8
2. Rodziny	87,4	77,3	—10,1
3. Ojczyzny	85,1	75,2	— 9,9
4. Godności ludzkiej	72,5	63,5	— 9,0
5. Przyjaciół	69,9	63,6	— 6,3
6. Prawdy	62,5	46,0	—16,5
7. Religii	50,0	31,3	—18,7
8. Idei społecznej	30,9	29,5	— 1,4

„Jak widzimy — piszą relacjonując wyniki badań A. Pawełczyńska i S. Nowak — spadkowi zainteresowań sprawami społecznymi i politycznymi (co wynikało z odpowiedzi na inne pytania — Z.Z.) towarzyszy spadek zaangażowania wobec bardzo różnorodnych wartości. Ogólnie biorąc, obserwujemy wyraźny spadek popularności wzoru, w myśl którego Polak jest gotów za wszystko życie narażać i głowy nastawiać lub przynajmniej cenić ową gotowość u innych. Wydawałoby się, iż wśród młodych ludzi umacnia się przekonanie, iż życie jest zbyt cenne i zbyt wiele można po nim oczekiwać, aby je łatwo narażać..." [179]

Hm. Mile uspokaja ten nieco — przyznajmy — zaskakujący wniosek. Wielkimi widać optymistami są socjologowie, serca ich pełne są słonecznej życzliwości dla świata i ludzi...

Niestety, ten słodki optymizm jakoś mnie nie przekonuje.

Pisałem już o niebezpieczeństwie zaniku „postaw somosierskich", podawałem za prasą pierwsze przykłady oburzającej bierności, znieczulicy, braku odwagi. Dziś dziennikarze zajmujący się problematyką tzw. obyczajów zestawiają takie długie kolumny:

„Konduktorka w tramwaju szarpie się samotnie z podchmielonymi smarkaczami.

Inwalida nad grobem — wyzyskiwany przez sąsiadki za wiedzą całej kamienicy.

Na chodniku — zmarły na atak serca przechodzień wymijany obojętnie przez współobywateli.

Pijak pastwiący się nad żoną — to słuchowisko dla całego osiedla.

Człowiek zatłuczony na śmierć przez pijanych zbirów przed progiem dwupiętrowej kamienicy, głuchej na wołanie o pomoc.

Od chuligaństwa do zwyczajnej zbrodni. A jednak łączy te — autentyczne zresztą — przypadki wspólna cecha: r e a k c j a o t o c z e n i a.

Ż a d n a" [180].

Wypadki te charakteryzują nową narodową postawę psychiczną, „postawę kapitulacji". Postawę określaną krótko — „U s z y p o s o b i e" [181].

A gdzieś tam, gdzie indziej, ktoś zaniedbał czegoś, co spowodowało jakieś bardzo negatywne skutki. Dlaczego? Pisze publicysta o nie wygasłym jeszcze sercu: „obawiał się narazić jakiejś górze. Po prostu wyczuł, że coś się tam może jakiejś zwierzchności nie podobać, ktoś się może o coś czepiać, więc po co ryzykować, po

co uzewnętrzniać swoją opinię pomimo wymowy jasnych faktów? Zawsze lepiej odłożyć, poczekać, zobaczyć, skąd wiatr wieje.

Znamy to? Znamy. Dostrzegamy podobne objawy u tego i owego ze znajomych?

No to spuścimy kurtynę i do widzenia za tydzień" [182].

Do widzenia za tydzień. Za tydzień nowa porcja bierności, paraliżu, już nawet nie strachu przed możliwym niebezpieczeństwem, ale po prostu wygodnictwa, niechęci do wszelkiego działania. Znamy to? Znamy... Zjawisko normalne, o którym się pisze i mówi — z niepokojem oczywiście, ze wstrętem nawet, ale jak o sile nawyku, jeśli nie nieprzezwyciężalnego — to w każdym razie utrwalonego, powszechnego...

Widać nie ma już takich, którzy by życie narażać chcieli w imię wyższych wartości — ojczyzny, ideałów społecznych i politycznych, godności ludzkiej czy ludzkiego życia. Widać nie ma nawet takich, którym by się w imię tych ideałów chciało wyjść z domu.

Oczywiście znowu przesadzam, znowu przejaskrawiam i znowu — macie to prawo powiedzieć — wywalam otwarte drzwi, bluźnię w imię najbardziej przecież znanych, szablonowych, najbardziej wytartych, najbardziej sztampowych truizmów. W imię haseł tak oczywistych dla każdego człowieka, że wprost wstyd o nich pisać.

Ale jeżeli okazuje się, że wciąż jeszcze trzeba pisać, że drzwi jednak są zamknięte — to co robić?

Warszawa, 17 III 1962 r.

NIEŚMIESZNE IGRASZKI

„Na początku było słowo"
„Słowo buduje — słowo rujnuje"

OBRACHUNEK RACJI

Spór o aktualność polskich grzechów

OSTATNIE SŁOWO OSKARŻONEGO

Cyprian Kamil Norwid dawał wyraz pragnieniu, by Polacy potrafili różnić się „mocno a pięknie". Niebezkrytyczne studiowanie wystąpień przeciwników [1] mego szkicu „Siedem polskich grzechów głównych" przekonuje mnie, iż poglądy nasze istotnie różnią się bardzo. Nie tylko ogólna tendencja, główne tezy, koronne argumenty, ale nawet prawie każde zdanie wystąpień moich odwersarzy powoduje sprzeciw, prowokuje do polemiki.

Różnimy się więc mocno.

Ale czy pięknie?

Rzecz w tym, że ja napisałem książkę. Niezbyt dużą, ale jednak książkę. Na swoich 240 stronach mieści ona oprócz kilku tez, z którymi moi polemiści się nie zgadzają, również kilkadziesiąt argumentów, przemawiających za moimi tezami bądź wymierzonych przeciw tezom przeciwstawnym.

Karol Irzykowski marzył kiedyś, aby ustanowiono przynajmniej ś w i ę t o słuchania cudzych argumentów.

Niestety...

Co trzeba powtórzyć?

W „Siedmiu polskich grzechach głównych" starałem się przedstawić, jak to było naprawdę z rozlicznymi domniemanymi polskimi szaleństwami patriotycznymi, z rzekomą nierozważną brawurą, męstwem bez obrachunku, pragnieniem ofiary dla ofiary samej, dla demonstracji. Starałem się więc zbitki myślowe w rodzaju „somosierszczyzny" sprowadzić z obłoków wielkiej debaty o sensie polskiej historii i polskim spaczonym charakterze narodowym na grunt realny, na grunt historycznych faktów, które to pojęcie rzekomo zrodziły.

Moi antagoniści nie kwestionują przytoczonych przeze mnie dowodów świadczących, iż żaden z najczęściej powoływanych przykładów „bohaterszczyzny" nie może być traktowany jako przejaw głupoty, pustej fantazji czy braku rozwagi i poczucia odpowiedzialności ze strony tworzących go ludzi. Nie próbują wykazać, że np. pod Somosierrą, na reducie Ordona czy we Wrześniu wydarzenia przebiegały inaczej, niż ja to w książce przedstawiam, nie twierdzą na ogół, że ich kształt rzeczywisty jednak uzasadnia sąd, jaki wydają o nich „szydercy". Wielki nacisk natomiast położyli na wywody o tym, iż „Załuski toczy spór z ludowymi porzekadłami", „z politycznymi czy literackimi metaforami, które sprzeczne nawet z protokołem historii trafnie charakteryzowały naszą, ubolewania godną, sytuację polityczną w danym czasie". I do tego właśnie twierdzenia, iż nie dostrzegam, że mity te niosą zsyntetyzowane, ogólniejsze treści, ogranicza się najczęściej krytyka z a w a r t o ś c i mojej książki.

Argumentacja ta oparta jest na przemilczaniu całego, i to nader istotnego ciągu argumentacji, zawartej w „Siedmiu polskich grzechach".

Istotnie, opis każdego z inkryminowanych wydarzeń

naszej historii przytoczyłem głównie po to, by unaocznić, że treść historycznego faktu nie pokrywa się z treścią wkładaną w pojęcie ani przez bałwochwalców, ani przez szyderców. Że Westerplatte to nie Termopile, całopalenie na ołtarzu ojczyzny, bo poległo tam 15 ludzi — 8 procent załogi. Że szarże na czołgi we wrześniu nie są „desperacją, ale i głupotą", czy wprost „zwyczajną głupotą", ale że ich po prostu nie było.

Ale też oprócz tego zająłem się obszernie uogólniającym właśnie, metaforycznym sensem wszystkich tych mitów po kolei.

Starałem się przede wszystkim ustalić, jaki jest ten metaforyczny sens, co się ma na myśli nadużywając w słowie i w piśmie nazwy tej czy innej bitwy. Starałem się ustalić, w jakim stosunku pozostaje treść faktu historycznego — symbolu, do treści, sytuacji bądź zjawiska, które ma symbolizować. Wiele stron poświęciłem w związku z tym polskiej polityce pronapoleońskiej. Uzasadniałem, że sytuacji politycznej Polski w sojuszu z Napoleonem nie wyraża w najmniejszej nawet mierze ani gest somosierski Kozietulskiego, ani gest lipski księcia Józefa. Stwierdziłem też, że „Somosierra" i „San Domingo" nie są w mitologii polskiej pojęciami wymiennymi, gdyż San Domingo wyraża tragedię żołnierza, który chcąc walczyć o wolność własnego narodu — zwalcza wolność innego narodu. Somosierra natomiast to w obiegowym znaczeniu szaleńcze męstwo bez zastanowienia nad jego celem, „samobójstwo bez politycznych korzyści" — jak pisano nieraz. Mojej argumentacji nie wypada chyba pomijać całkowitym milczeniem i twierdzić, że symbolem polityki pronapoleońskiej, tak czy inaczej — „nie będzie Somosierra — będzie San Domingo".

Wiele stron poświęciłem też symbolice Września, zarówno obrazowi Westerplatte, jak i obrazowi szar-

żujących na czołgi ułanów. Uzasadniałem, że Wrzesień to nie była wcale wojna samobójcza ani „ułańska", że nie wolno zamykać go w symbolu „pasji umierania" bądź głupoty żołnierzy, bo nie oni przecież „ponoszą odpowiedzialność za ekonomiczny zastój, za techniczne zacofanie Polski kapitalistyczno-obszarniczej, za politykę sanacyjnego rządu, za słabość wojska, za własną biedę i nieszczęście". Pisałem: „Jeśli ta główna metafora Września sugeruje nie tragedię (którą był Wrzesień), lecz bzdurę (którą Wrzesień nie był) — to jest zła, nie tylko nieskuteczna, ale też szkodliwa i musi być zaniechana".

Antagoniści niechętnie wspominają o moich argumentach. Jeden z nich pisze: „Nie wymyślono by szarż na czołgi (a zgoda, że je wymyślono), to wyobraźnia ludowa znalazłaby inny symbol wrześniowej klęski". No cóż, właśnie ja w „Siedmiu grzechach" dopominałem się o ten inny symbol. Symbol o innej treści. Intelektualnie płodniejszy. Zawierający zarówno obraz żołnierskiej walki, jak i ludzkiej bezradności — nie przez żołnierza zawinionej.

Pisałem o wybuchu prochów w magazynku „działa Nr 58" nie tylko, że był on wynikiem przypadku, a nie samobójczej decyzji Ordona. Pisałem o niebezpieczeństwie właśnie metaforycznego ładunku tego obrazu, który sugeruje samobójczy rzekomo charakter naszego patriotyzmu, niszczycielskie skłonności, przejawiające się w patriotycznie uzasadnionej walce Polaków. Pisałem o aktualnej nośności politycznej tej metafory.

Twierdziłem w „Siedmiu — domniemanych — grzechach polskich", że metafory i mity „poszczególnych działań zbrojnych" nie tylko nie są „zgodne z protokołem historii", lecz również, że — i to właśnie wydało mi się najistotniejsze — nie niosą wcale treści w czym-

kolwiek podobnych do wielkich wydarzeń historycznych, które mają rzekomo wyrażać.

Oczywiście nie omówiłem równie obszernie metaforycznej nośności wszystkich siedmiu mitów. Książka moja nie jest przecież popularną czytanką historyczną, lecz pracą polemiczną. Nie sądziłem po prostu, by można było dzisiaj uważać Powstanie Kościuszkowskie czy Styczniowe za imprezy nie uzasadnione, pozbawione sensu i jakichkolwiek pozytywnych skutków, świadczące jedynie o nieopanowanej sarmackiej fantazji. Uważałem, że wystarczy powołać się tu na opinię współczesnej historiografii polskiej, właśnie krytycznej wobec przeszłości, historiografii marksistowskiej. W tej sprawie istotnie bowiem uprawiam „grzech ósmy — bezkrytycyzm" wobec pochlebnej opinii wystawionej przez nią naszym przodkom.

W każdym razie dyskusji o grzechach Polaków nie posuniemy naprzód, jeśli polemiści pomijają milczeniem co drugą stronę mojej książki, jeśli ignorują połowę dowodów w niej zawartych. Powtarzanie starych twierdzeń, przeciwko którym wysunąłem już argumenty, wprowadza tylko w błąd czytelnika. Zgodnie z regułami wszelkiej rozsądnej dyskusji właśnie na moich antagonistach spoczywa obowiązek obalenia moich dowodów bądź przytoczenia nowych faktów na korzyść swoich tez.

Co wypada przypomnieć

Można by przypuszczać, że wielu polemistów nie zrozumiało, po co w ogóle toczyłem ów „dziwny bój z ludowymi porzekadłami", z poszczególnymi mitami, „których obiegowe popularne znaczenie fałszuje historię poszczególnych działań zbrojnych". Że nie zauwa-

żyli oni, iż chodzi mi nie o poszczególne wydarzenie, lecz właśnie o to, że się „idiotyzuje historię własnego narodu".

Jestem przeciwko używanym i nadużywanym w dyskusjach symbolom, metaforom, mitom, ponieważ zamknięcie treści wydarzenia historycznego w jednym plastycznym i wyrazistym symbolu to właśnie zamknięcie drogi do analizy i oceny samego wydarzenia. Widząc na „Lotnej" ułanów rąbiących szablami czołgi, można już tylko albo śmiać się, albo płakać, albo pochwalać, albo potępiać. Ale nie można myśleć. A mnie chodzi o to, abyśmy rozważnie pomyśleli o naszej historii. Nie zrobiliśmy tego, zanim wytworzono i uogólniono w bałwochwalczy lub w szyderczy osąd historii narodu te wszystkie mity. Nie zamykajmy sobie drogi do rozsądnej rewizji tego osądu.

Przykro mi niezmiernie, że wielu polemistów nie zauważa faktu, że ujawnienie prawdziwej treści przykładowych szaleństw polskiej historii, że zdemaskowanie nieadekwatności faktu i uogólnienia obala zarazem ową propagowaną przez nich ogólną ocenę naszej historii, w której chcą oni widzieć właśnie „naszą szlachetczyznę". Zachowują się, jak ów legendarny wschodni przekupień. Oferuje nam drewnianą skrzynkę wypełnioną butelkami i powiada: oto skrzynka przedniego wina. Otwieramy jedna za drugą wszystkie butelki — ani śladu wina, jedynie mętna woda. Przekupień powiada: to prawda, w butelkach jest tylko woda. Ale to jest skrzynka wina.

Nie może się ostać uogólniający sąd o historii, jeśli przeczą mu główne fakty tej historii. To chyba oczywiste.

Nie sądzę, abyśmy naszą dyskusję o grzechu głównym narodu polskiego i polskiej psychiki narodowej, o bohaterszczyźnie, mogli posunąć dalej, jeśli twórcy

i zwolennicy tej tezy nie zechcą ujawnić, na jakich to faktach historycznych opierają swoją generalną ocenę, jeśli nie zechcą uzasadnić, w czym, w jakich wydarzeniach przejawia się owa „bohaterszczyzna" czy choćby ta „dyspozycja powstańcza", o której pisano tyle w dawnych i nowych artykułach, ta dyspozycja psychiczna, „która wyraża się w absolutyzowaniu wartości każdego czynu zbrojnego, w stałej gotowości do ofiary życia i mienia narodowego, bez obrachowania szans walki, bez uwzględnienia okoliczności politycznych". Dopóki nie ujawnią, w jakich to realnych postawach mas ludzkich, w jakich to wydarzeniach naszej historii (a nie poezji) znajduje wyraz fakt, że u nas „miast by walka zbrojna była kontynuacją polityki innymi metodami — czyn zbrojny był dla nas polityką samą w sobie".

Niestety, nie może nas zadowolić wprowadzenie do dyskusji nowego elementu: przyczyn rozbiorów Polski. Dyskusja o bohaterszczyźnie dotyczy problemów walki narodowowyzwoleńczej Polaków, a więc dziejów Polski porozbiorowej. Z twierdzenia jednego z głównych moich polemistów, iż naród polski w XVII i XVIII wieku „był wyjątkowym społecznym i ustrojowym anachronizmem wśród państw Europy, za co zapłacił cenę najwyższą — a w konsekwencji nabył te wszystkie kompleksy powstańcze, o które toczy się spór" — nawet gdyby było słuszne — nic jeszcze nie wynika.

Zresztą — czy to o rozbiory chodzi w naszym sporze? Czy ja w „Siedmiu grzechach" bronię Targowicy i Baru, samowoli magnatów i ciemnoty szlachty? Liberum veto, praw „najjaśniejszej gwarantki", saskiej swawoli, wiekowego ucisku chłopa? Jezuickiej kontrreformacji? Polityki upośledzenia miast? Wtórnego rozwoju folwarku pańszczyźnianego?

A czy szydercy drwią z tamtych zjawisk? Nie, oni atakują nie przyczyny upadku Polski, nie ludzi, którzy go spowodowali, i nie postawy, które do niego doprowadziły. Oni drwią ze skutków — z tych ludzi, którzy usiłowali je przezwyciężyć, z tych postaw, które zrodziły się jako zaprzeczenie egoizmu klasowego czasów przedrozbiorowych.

Spór o bohaterszczyznę dotyczy dziejów Polski porozbiorowej, dotyczy zjawisk walki narodowowyzwoleńczej i od tego się nie da uciec. Jeśli zaś spór ten zatrąca o taką czy inną „szlachetczyznę", to właśnie o szlachecki rewolucjonizm i patriotyzm Jasińskich, Wysockich i Dąbrowskich, a nie o szlachecką anarchię Wiśniowieckich, Sicińskich i Branickich, nie o ślepotę „ideologów" i zgoła... mieszczańskie sobkostwo szlacheckiej masy, które zgubiły pierwszą Rzeczpospolitą.

I zresztą z tego, że naród polski po rozbiorach znalazł się w tragicznej sytuacji, nie wolno wyciągać wniosku, że jego późniejsza postawa musiała być odpowiednio tragicznie niemądra. Myślę, iż fakt, że istniały przesłanki do popełnienia zbrodni przeciwko rozsądkowi, nie dowodzi jeszcze, iż zbrodnie takie były popełnione. Myślę, że trzeba by tu zastosować zasadę znaną prawu karnemu Anglii: nie ma ciała — nie ma zbrodni. Dopóki nie odnajdziemy owego ciała — czynów zrodzonych z bohaterszczyzny — nie możemy również wytoczyć narodowi procesu o zbrodnię bohaterszczyzny. Nie moim, lecz mego antagonisty — prokuratora obowiązkiem jest dostarczenie sądowi tego ciała. Jeśli oczywiście zamierza podtrzymywać oskarżenie.

Moim zdaniem zresztą — nie musi. Bo historia, jak pisałem właśnie w „Grzechach", jest w tym sporze tylko „placem do ćwiczeń w krytycznych harcach",

„osełką, na której ostrzy się języki do aktualnych polemik".

Bo i tak większości polemistów wcale nie chodzi o historię. Podobnie jak mnie wcale nie chodziło o problemy wojskowe, chociaż polemiści tak często do nich powracają — wówczas gdy referują moje — rzekomo — „pułkownikowskie" stanowisko.

Co należy sprostować

W książce mojej istotnie jest wielkie „wszelkiej materii pomieszanie". Znajdzie się tam i trochę historii wojskowości, i historii politycznej, historiozofii i poglądów na socjologię i pedagogikę, krytyki literackiej i filmowej, kawałek księżego kazania i trochę anegdot czy nie najlepszych zapewne dowcipów. Rzecz oczywista, że dla dyskusji wybrać trzeba część tylko z tego — chyba to, co najistotniejsze.

Wielu i to poważnie liczących się na naszym rynku intelektualnym polemistów z upodobaniem podkreśla wojskowy jakoby wyłącznie charakter moich zainteresowań publicystycznych. Wielokrotnie powtarza, iż Załuskiego drażni „podważanie autorytetu historii i wojska", „jego furia kieruje się przeciwko krytykom nie tyle naszej narodowej, co zbrojnej przeszłości". Niejeden wręcz sugeruje, iż ja biję na alarm z powodu zaniku „dyspozycji zbrojnych" w psychice narodu, że wołam o kurację „uzbrajającą". Jeden wreszcie stwierdza wprost: „mówmy o walce żołnierskiej — skoro ten temat narzucił Załuski", i akcentuje: „Załuski wali w nas jeszcze mocniejszym pociskiem. Rozbrajacie psychologicznie młodzież, a tam, za Łabą, Bundeswehra się zbroi" i polemizując jakoby ze mną, poświęca wiele uwagi żołnierskim postawom w ewentualnej przyszłej

wojnie, w szeregach Układu Warszawskiego. W sumie więc prawie wszyscy przeinaczają moje stanowisko, starając się zasugerować czytelnikowi, iż Załuskiemu (jako — jak wiadomo — pułkownikowi) chodzi o problemy bezpośrednio wojsko interesujące, o problemy gotowości psychologicznej do wojny, o problemy ideologii wyłącznie militarnej czy może nawet militarystycznej.

Omyłka! To nie ja narzucam ten temat i nie mnie chodzi o „walkę żołnierską". Przypomnieć muszę, iż w „Siedmiu grzechach" nie mówię bynajmniej o wychowaniu wojskowym, o pracy politycznej z żołnierzami czy z poborowymi i że celem tej książki nie było zmobilizowanie publicystów, aby pomagali Ministerstwu Obrony Narodowej w organizowaniu pogadanek dla żołnierzy w obliczu przyszłej wojny. Chodziło mi — we wnioskach — o problemy wychowania narodowego, o problemy kształtowania postaw moralno-psychologicznych społeczeństwa, na dziś i na realne jutro, na użytek przyszłości, na użytek pokoju i socjalizmu. Pisałem o tym dość wyraźnie i obszernie.

Życzliwego, a przynajmniej obiektywnego, czytelnika „Siedmiu grzechów" nie powinny chyba mylić bardziej wojskowe elementy analizy poszczególnych wydarzeń naszej historii. Jest przecież rzeczą oczywistą, że w minimalnym stopniu interesuje mnie taktyka Powstania Kościuszkowskiego czy też organizacja „służby tyłów" Powstania Styczniowego. Wszystkie „grzechy" zbrojne Polaków traktuję przede wszystkim jako przejawy ludzkich postaw, właśnie jako przejawy polityki realizowanej innymi środkami, jako przejawy psychologicznych predyspozycji człowieka-obywatela, jako formy jego mniej lub bardziej świadomej działalności politycznej. Nie chodzi mi też o bo-

haterstwo sensu stricto wojenne, „patriotyzm zbrojny". Chodzi mi o to coś, czego przejawem było owe bohaterstwo: postawę patriotycznej ofiarności, gotowość do działania w imię wyższych celów, poczucie obowiązku jednostki wobec społeczeństwa. Sądzę, że postawy te nie są zbędne również dzisiaj, w toku życia pokojowego i budowy Polski Ludowej. Sądzę, że postawy te zachowają swój walor moralny niezależnie od tego, czy staniemy kiedykolwiek wobec wojennego egzaminu z uczuć społecznych, czy też nie.

O sprawach wojskowych, o tym, że nikt nie jest zaasekurowany przed koniecznością dokumentowania swego patriotyzmu w dawnych formach, z karabinem w ręku, o tym, że rozbrojenie moralno-psychologiczne nie może wyprzedzić rozbrojenia materialnego, a w Polsce nie może nastąpić, dopóki istnieje Bundeswehra — zrobiłem jedną marginesową uwagę. Sprawie tzw. wychowania „w duchu obronności" poświęciłem ledwie kilka akapitów, pewnie nie więcej niż stronę maszynopisu.

W tym kontekście też nietrudno było zrozumieć sens moich uwag i o pacyfizmie okresu międzywojennego. Sądziłem, iż warto pamiętać, że zetknięcie z realną historią, w której nie ma wojen „w ogóle", skłoniło ludzi uczciwych do opowiedzenia się po stronie napadniętych przeciwko napadającym, a więc do wyrzeczenia się wrogości wobec wojny „w ogóle", wojska „w ogóle". Pisałem: „niedawni pacyfiści sami wzięli znienawidzoną broń do ręki, bili się, wielu z nich poległo". Pisałem: „patriotyczne, bojowe wiersze Słonimskiego i Tuwima wzywały do walki, dodawały sił żołnierzom na frontach i żołnierzom podziemia w kraju". Tym zaś, którzy nadal sądzą, że „kto nie kocha wojska, zyskuje tym samym patent postępowca i człowieka światłego, rozumnego", chciałem przypomnieć słowa Adolfa

Rudnickiego, który po wojennej konfrontacji napisał o dawnej antywojskowej postawie swojej i Zamojskiego (Burga), Uniłowskiego i Jalu Kurka: „Nie byliśmy ani patriotyczni, ani niepatriotyczni, lecz po prostu ciemni. Stąd ten podobny u nas wszystkich stosunek do wojska. Otworzyły nam się oczy wtedy, gdy świadomość już niewiele mogła pomóc — w niewoli. Wtedy przejrzeliśmy (...) pisząc »Żołnierzy« nie wiedziałem, czym dla świata jest karabin".

Wbrew sugestii oponentów twierdzenie, że istnieje Bundeswehra, nie jest demagogią, lecz uznaniem faktu. Bundeswehra istnieje i zbroi się, m. in. w najzupełniej konwencjonalne karabiny i czołgi. Tymczasem więc nie mogę pomijać sprawy predyspozycji obronnych. Uważam je za istotną niestety c z ę ś ć współczesnych postaw moralno-psychologicznych społeczeństwa.

Nie mnie tylko, lecz przede wszystkim naszym czytelnikom nie zrobili dobrej przysługi ci z mych antagonistów, którzy przeinaczyli moje stanowisko, doszukując się w nim przede wszystkim troski o gotowość Polaków do walki zbrojnej w przyszłej wojnie. Uważny czytelnik nie znajdzie w „Siedmiu grzechach" dowodów na to, iż moje rozważania o naszej zbrojnej przeszłości mają na celu kształtowanie jedynie cnót żołnierskich współczesnego Polaka. Jeśli z tamtej epoki chcę uratować cokolwiek dla przyszłości, to nie umiejętność celnego strzelania (choć przypominam: i ta może okazać się potrzebna). Chcę uratować więcej: wzór aktywnych patriotycznych postaw. Formy realizacji tych postaw podyktuje rzeczywistość i mądra polityka państwowa.

Istota sporu I: stereotypy postaw

Wbrew pozorowi, wbrew wojskowo-historycznej „otoczce" istota sporu między nami nie tkwi w sprawach naszej przeszłości. Istotą sporu jest diametralnie odmienna, przeciwstawna ocena dzisiejszej sytuacji moralno-psychologicznej w naszym społeczeństwie, zwłaszcza wśród młodzieży i diametralne przeciwieństwo praktycznych wniosków dla wychowania, jakie ja i obrońcy „szyderców" wyciągamy ze swojej oceny sytuacji. Szydercza synteza polskich walk narodowo-wyzwoleńczych, tego, co stanowiło istotę i główny nurt dziejów narodu w ciągu ostatnich 150 lat, główny kierunek jego zaangażowania uczuciowego jest dla moich antagonistów zarówno przesłanką dla oceny charakteru i postaw dzisiejszych Polaków, jak też i narzędziem dla zmiany tych postaw. Temu poświęcają najistotniejsze części swoich wystąpień i najwięcej argumentów, tworząc nawet oryginalną teorię nieuniknionych kosztów własnych wielkiego programu reedukacji narodowej i czyniąc kpinę, szyderstwo, podstawowym jego narzędziem.

Nie kwestionuję bynajmniej przydatności, a także zasadności używania również kpiny z tych czy innych zjawisk w naszej przeszłości dla doraźnych celów wychowawczych. Sam w sobie nie jest to środek zły, a jak wiemy, jest to również środek skuteczny. Pisałem zresztą o celowości i o słuszności przeprowadzania takiej kampanii bezpośrednio po zakończeniu wojny, gdy nawyki myślowe, stereotypy „wierności aż do końca" przeszkadzały części społeczeństwa w przejściu na płaszczyznę akceptacji nowej, powojennej Polski, gdy za stereotypy (pomijając obiektywne warunki, bo wiemy, że nie stereotypami ideowymi człowiek żyje) nieraz płaciło się krwią.

Rzecz w tym, że moim zdaniem sytuacja moralno-psychologiczna w Polsce od roku 1945—1947 zmieniła się w sposób zasadniczy. Niektórzy z mych głównych polemistów wydają się tego nie dostrzegać.

W sprawie kierunku wychowania narodowego np. główny mój polemista[2] jeszcze w 1958 roku pisał: „W naszym polskim społeczeństwie niestety ciągle pilną sprawą jest dyskusja z nadmiernie romantyczną postawą wobec życia i historii. Nadmiernie romantyczną, to znaczy nadmiernie uczuciową, a zbyt mało rozumową, nadmiernie honorową, a zbyt mało wyrachowaną".

Właśnie tę ocenę i ten kierunek pedagogiki narodowej zakwestionowałem w „Siedmiu grzechach". Uważałem bowiem i uważam, że ocena ta jest fałszywa zarówno w odniesieniu do przeszłości, jak i do teraźniejszości Polski, a zwłaszcza że obecnie grozi nam nie nadmiar romantyzmu, lecz nadmiar szarego, przyziemnego realizmu, realizmu zgoła mieszczańskiego, nie tylko wykluczającego śmielsze ryzykowne działanie, lecz zgoła wszelkie działanie nie w bezpośrednim, oczywistym, osobistym interesie. Uważałem i uważam nadal, iż wykoślawiona, zidiotyzowana wizja historii naszej walki zbrojnej, stanowi historyczną podbudowę wielce współczesnego, głęboko aspołecznego i jakże szkodliwego hasła: „śmierć frajerom".

Myślę, że nie wszyscy „szydercy", wymienieni w mojej książce, są w pełni świadomi kierunku i obiektywnie zarysowujących się celów własnej działalności... Świadomy — w polemice z mymi poglądami, wyrażonymi w „Siedmiu grzechach" — jest zdecydowany zmierzać do celu bez względu na okoliczności. Utracił, co prawda, historyczną podbudowę swoich teorii, nie próbując bronić się na płaszczyźnie analizy faktów historycznych. Nie pokusił się też o znalezienie dla tej

teorii uzasadnienia w opartej o badania socjologiczne analizie postaw współczesnej młodzieży — analiza ta wreszcie przemawia na korzyść moich tez. A mimo to nadal z uporem powtarzał: „Istnieją narody, u których zanik pewnych dyspozycji zbrojnych oraz koniecznego minimum skłonności do ryzyka posunął się tak daleko, że należy aplikować im odpowiednią kurację »uzbrajającą«. Nasz naród nie wymaga jednak takiej kuracji, raczej innej, nawet krańcowo innej.

Nie ma recepty, która by w naszej sytuacji w pełnym procesie przemian społecznych zabezpieczała naszą szlachetczyznę, naszą sarmacką fantazję (właśnie tę bohaterszczyznę) przed mieszczańskością, przed zmieszczanieniem. (...)"

I owo zmieszczanienie jest zdaniem oponenta nie tylko nieuniknione, ale też całkowicie słuszne. Jest jedyną drogą do socjalizmu. „Ostatecznie socjalizm jest produktem świata nie szlacheckiego, lecz mieszczańskiego właśnie. Pewnych faz jakoś nie daje się uniknąć".

W głowie się kręci przy czytaniu tego credo. Tu właściwie każde zdanie, każde słowo wymaga sprostowania. Jednakże jeden błądzący potrafi w ciągu minuty zrobić więcej błędów, niż sześćdziesięciu mędrców potrafi w ciągu godziny sprostować.

Pomijam omówiony już przedtem problem podstawienia pojęcia „dyspozycje zbrojne" zamiast szerszego „aktywność patriotyczna", o którą cały czas chodzi. Ograniczymy się do — merytorycznie tu najistotniejszego — stwierdzenia, iż polemista dlatego pragnie „odromantyzować" naród polski, że jedynie w rozwoju duchowego mieszczaństwa — a więc ograniczonego egoizmu, filisterstwa — widzi możliwość doprowadzenia go do socjalizmu.

Ja zaś dlatego napisałem „Siedem grzechów", że uważam, iż nie należy kpić z romantyzmu i ofiarności,

odwagi myśli i męstwa działania — „jeśli się nie chce obrzydzić i ośmieszyć w ludzkich oczach wszelkich ideowych postaw i wszelkiego aktywnego działania w szerszym niż osobisty — społecznym interesie. Nie wolno tego robić, jeśli się chce kształtować ludzi zdolnych wziąć udział w zmianie kierunku rozwoju świata, zdolnych przebudować swój kraj i kulę ziemską, ludzi — świadomych twórców swego losu i losu społeczeństwa, ludzi socjalizmu".

I oto istota sprawy. Ja po prostu pragnę, by publicystyka, literatura, film współdziałały w wychowaniu postaw aktywnych, ideowych, nonkonformistycznych.

Niestety, niejeden z mych antagonistów zmierza w istocie do tego, by publicystyka, literatura i film zabiły w Polakach tradycyjne postawy ideowości i ofiarności, by sprzyjały kształtowaniu postaw nieromantycznych, nacechowanych mieszczańskim rozsądkiem, postaw w istocie rzeczy konformistycznych.

Nonkonformizm i socjalizm

Paradoksalne, ale cel, jaki sobie stawiamy, jest ten sam — socjalizm. Widocznie różnie rozumiemy treść tego pojęcia. Ja pragnę, aby naród polski d o s z e d ł do socjalizmu i oparł go na własnej twórczej aktywności, na własnej twórczej akceptacji. Niestety, moi antagoniści, jak mi się wydaje, pragną naród polski do socjalizmu d o p r o w a d z i ć, a ten socjalizm zamierzają fundować na sile bezwładu, na powszedniości, na akceptacji biernej. Ściślej: na zgodzie człowieka, a nie na jego woli.

Nie jest to w dziejach praktyki socjalistycznego budownictwa stanowisko zupełnie oryginalne i nowe.

Natomiast na pewno jest to rewelacja w dziedzinie socjalistycznej ideologii.

Ja w tej sprawie wolę pozostać ideologicznym tradycjonalistą. Dlatego napisałem w „Siedmiu grzechach":

„Historię tworzą ludzie. Tworzą ją nieświadomie z dnia na dzień, po prostu budując swoje życie codzienne. Ale tworzą ją równocześnie świadomie, stawiając sobie cele wyższe ponad dzień powszedni. Ci ludzie swoją światoburczą chęcią nieraz «grzeszą». Grzeszą śmiałością, grzeszą zuchwałością, grzeszą tym właśnie, że patrzą daleko i sięgają wysoko, czego syta powszedniość nie lubi, ale bez czego powszedniość głodna obejść się nie może.

I naród polski, i klasa robotnicza świata należą do powszedniości głodnej, żądnej zmiany, przez wiele dziesięcioleci uporczywie dążącej do zaspokojenia swego głodu wolności, pragnienia sprawiedliwości, dobrobytu i szczęścia. Dlatego tak wiele jest grzechów w historii naszego narodu. Dlatego takie same grzechy zuchwalcze cechują światowy ruch robotniczy".

Uważam, że warunkiem wszelkiego rozwoju, wszelkiego ruchu naprzód jest umiejętność chcenia, umiejętność niezgadzania się na zastane. Nonkonformizm.

Nie wiem natomiast, jakimi konkretnymi drogami ma dzisiaj skutecznie chadzać komunistyczny nonkonformizm. Napisałem przecież tylko pamflet przeciwko tym, co wzywając „w drogę, w drogę" — gaszą ogień pod kotłami. Nie pisałem instrukcji o remoncie maszyn parowych.

Jednego jestem pewien: niezależnie od tego, czy predyspozycje nonkonformistyczne ujawniły się i jaka była, bądź byłaby, efektywność ich ujawniania się — wola chcenia, umiejętność działania — były nam bar-

dzo potrzebne wczoraj, są nam również potrzebne dziś i będą chyba potrzebne jutro.

A przede wszystkim: komuniście nie może wystarczyć z g o d a na przeobrażenie świata. Musi go cechować w o l a przeobrażenia świata. To jest również warunek znalezienia s p o s o b u przeobrażenia świata i posłużenia się nim.

Uważam, że wynikające z podobieństwa sytuacji proletariatu i Polski historycznie ukształtowane wzory nonkonformizmu, wzory rewolucyjności nie utraciły wartości funkcjonalnej.

Nie należy tego rozumieć w sposób wulgarny. Wzory te nakładają obowiązek nie „ręcznej" właśnie rozprawy ze złem, lecz w o l ę zwalczania tego zła. Zakładają potrzebę odwagi. Dzisiaj na pewno najczęściej — odwagi myśli, odwagi badania, odwagi nazywania rzeczy po imieniu, odwagi obrony swego poglądu. Odwagi cywilnej. Wzory te nakładają również obowiązek wytrwałości i uporu, uczciwości wobec samego siebie, intelektualnej uczciwości wobec ideologii, którą się wyznaje. Są to wzory wysokie, trudne, wymagające charakteru. Łatwiej i wygodniej żyć mając przed oczyma stereotyp mieszczański niż starając się dorównać wzorcowi moralnemu np. szlacheckiego rewolucjonisty XIX wieku, typu Dąbrowskiego.

Zadania, jakie stawia przed nami wiek XX, nie są ani mniejsze, ani łatwiejsze, niż te, z którymi próbowali uporać się nasi przodkowie w XIX wieku. Nie sądzę, by dało się je zrealizować mniejszym nakładem sił moralnych, przy pomocy ludzi mniej dynamicznych, mniej wartościowych, mniej ofiarnych niż patrioci polscy czy rewolucjoniści europejscy minionego wieku. Socjalizm nie jest manną, która sama spada z nieba. To niebo trzeba nadal szturmować — jak paryscy komunardzi.

Odpowiedzialność i możliwości

Odrębnym zagadnieniem jest realny wpływ moich czy też moich antagonistów poglądów na postawy ludzi socjalizm w Polsce budujących. Ja również daleki jestem od przeceniania siły środków oddziaływania ideowego. W „Siedmiu grzechach" cały rozdzialik poświęciłem temu, iż „nie słowo tworzy człowieka", jednakże uważałem i uważam nadal, iż niezależnie od rozmiarów rzeczywistego wpływu na postawy ludzkie — ci, którzy działają piórem, winni wyraźnie zdawać sobie sprawę z tego, do jakich celów dążą i jakich skutków mogą się spodziewać. W każdym razie nie sądzę, aby publicysta, który tworzy i propaguje określone programy, mógł później bronić się argumentem, iż nie jest istotne, jaki kierunek przybiera jego działalność, gdyż w ostatecznym rachunku publicystyka i tak nie wywiera istotniejszego wpływu na postawy mas.

Zaznaczyć muszę, że tak jak nie wolno „Siedmiu grzechów" traktować jako nową syntezę historii Polski, tak też nie trzeba od tej książki wymagać wyczerpującego programu wychowania narodowego. Wysunąłem tylko tezę, iż kpina z historii Polski nie sprzyja kształtowaniu postaw ideowych, postaw aktywnych, które są niezbędne dla prawidłowego rozwoju naszego społeczeństwa, dla socjalizmu. Wcale natomiast nie jestem pewien, czy formuła ta jest odwracalna, czy właśnie apoteozowanie naszej heroicznej przeszłości będzie sprzyjało kształtowaniu charakterów, będzie urabiało postawy nonkonformistyczne.

Jest pewne, że długo skuteczne stare wzory spartańskie czy romantyczne wzory heroicznego umierania budzą dzisiaj sprzeciw i przekorę. Trzeba wypracować nowe metody ideowego oddziaływania. Jakie?

Tego nie wiem. Wydaje mi się jednak, że dla wykorzystania dorobku moralnego przeszłości mamy nie dwie przeciwstawne, lecz trzy różne drogi. To nie jest tak, że albo Gombrowicz ze swoją teorią wyzwolenia z obciążeń polskości, albo Mickiewicz z postulatami „Do matki Polki" i tertium non datur. „Sądzę, że wypada po prostu powrócić do prawdy historycznej. Nie przeceniając świadectwa poezji i pieśni, ówczesnych oficjalnych enuncjacji i publicznych deklamacji, szukać prawdy ówczesnego życia i tę prawdę w ludzkim, powszednim wyrazie przedstawiać". Trzeba pokazać, że twórcy naszej zbrojnej historii „nie byli ani nadludźmi nie znającymi strachu, ani cierpiętnikami rozkoszującymi się własną ofiarą". Że „nie byli oni wcale głupi czy naiwni (...) w naturalnym sceptycyzmie ludzkim wcale nie byli inni niż dzisiejsze pokolenie, a jednak mimo to ryzykowali (...) woleli ryzykować przegraną, śmierć, zapomnienie, a nawet przekleństwo współczesnych i potomnych, niż zaniedbać rzucenia na szalę historii ziarnka swojego wysiłku (jakie by nie było małe wobec ogromu wydarzeń) wówczas, gdy ważyły się losy narodu, a nieraz i losy ludzkości".

I to właśnie, tę chęć działania w ogólniejszym niż własny, osobisty, w społecznym, narodowym interesie, w imię idei chciałbym z naszej wojowniczej przeszłości przenieść w nasz pokojowy dzień dzisiejszy. To z moralnego dorobku wszystkich polskich powstań i bitew uważam za najtrwalsze. Najbardziej ogólnoludzkie właśnie.

Pisał John Steinbeck: „Lękajcie się czasów, gdy człowiek nie zechce cierpieć i umierać dla idei, bo ta właściwość jest podstawą człowieczeństwa i tylko ona tworzy człowieka, wyróżniając go spośród innych stworzeń na ziemi".

Dla tej postawy domagam się uznania. Czy jednak jest to istotnie tak „bardzo niebezpieczna formuła rozgrzeszenia", czy istotnie zmierza do tego, by „zagłuszyć jakiś ważny rozrachunek w narodowej lub społecznej sprawie", czy „sprzyja wszelkim tendencjom kanonizującym naszą narodową przeszłość"?

Nowe aspekty:
krytycyzm — analiza czy kpina?

Główny zarzut wysunięty pod moim adresem to zarzut bezkrytycyzmu wobec naszej historii, więcej — zarzut przeciwstawiania się postępowej krytyce naszych dziejów, a przynajmniej ograniczenie krytyki do niewojennej działalności politycznej.

Występując przeciwko kpinie z historii, nie przeciwstawiam się wcale krytycznemu w sensie naukowym spojrzeniu na historię. Nie można przecież utożsamiać kpiny z rozsądną krytyką. Trzeba mieć trochę poczucia humoru ... „Przekrojowy" „Otek" jako Kleopatra, Bartosz Głowacki i książę Józef jest po prostu zabawny. Tragedia zaczyna się wtedy, gdy „Przekrojową" wizję historii traktuje się na serio, komentuje ze zgrozą i z niej wyciąga wnioski historiozoficzne i pedagogiczne.

Lipiński może narysować Bartosza zatykającego wylot armatniej lufy czapką. Ale żaden poważny publicysta nie powinien twierdzić, że tak naprawdę było, i dedukować z tego, że Polacy od wieków po dzień dzisiejszy opętani są manią zatykania czapkami z pawim piórem żałosnych dziur w swojej historii.

Kpina może być zapładniającym intelektualnie zwiadem w dziedzinie dawno nie przewietrzanej; kpina może być też skutecznym środkiem oddziaływania na

poglądy społeczne. Jeśli krytyka naukowa potwierdzi szydercze sugestie pierwszego zwiadu, wówczas kpina staje się narzędziem wykonawczym wyroków krytyki naukowej. Ale kpina nie może być fundamentem syntez historiozoficzno-psychologicznych. Nie może też pretendować do roli samodzielnego, niezależnego od prawdy osądu przeszłości.

Starałem się udowodnić, że w dyskutowanym wypadku, w odniesieniu do wysiłków zbrojnych Polaków, za enuncjacjami szyderców nie stoi wcale orzeczenie krytyki naukowej; że kpina jest tutaj wartością samoistną, zrodzoną z pozanaukowych, pozaracjonalnych nawet, psychologicznych motywów.

Natomiast o naukowo-krytyczny pogląd na historię Polski, o krytyczne rozpatrzenie wszystkich legend i mitów obiegowych, które sprzedaje się masom lub też które wyznawane są przez masy, jako rzekoma historia Polski, wołamy wszyscy. Zarówno w „Przepustce", jak i w „Siedmiu grzechach" starałem się dorzucić do tego i swój rzeczowy, uzasadniony faktami pogląd na niektóre zagadnienia.

Jeśli jednak w rezultacie krytycznej analizy i odrzucenia mitów odsłonimy obraz ludzkich zamierzeń i czynów mądrzejszych i piękniejszych niż dotychczas uważano — to co wówczas? Racjonalna krytyka może przecież doprowadzić właśnie do rehabilitacji, a nie do potępienia.

Mieć do czegoś krytyczny stosunek, to znaczy rozpatrywać to wnikliwie, nie ulegając zastanym opiniom, poszukiwać prawdy o czymś. Ale może równie znaczyć: wyrażać do tego przedmiotu swój negatywny stosunek.

Myślę, że właśnie ta dwoistość znaczenia leży u podstaw wielu zarzutów moich polemistów.

Krytyczna analiza wydarzeń ostatnich 150 lat naszej

historii ujawnia, iż główną ich oś stanowi zbrojna walka narodowowyzwoleńcza coraz głębiej przesycona społecznymi treściami. W walce tej przejawiają się masowo postawy społeczne, aktywne, altruistyczne, ideowe. Buntownicze. Nonkonformistyczne. Ta tonacja głównego nurtu naszej historii może się oczywiście podobać lub nie podobać. Jest to jednak problem psychologiczny. Nie ma celu wiązania go ze sprawą naukowego krytycyzmu czy też bezkrytycyzmu wobec historii.

Odrębnym problemem jest twierdzenie niektórych oponentów, iż rzekomo zabraniam krytyki czynu zbrojnego żołnierza polskiego, że podejmuję znowu grzmiący przed laty krzyk w obronie „honoru munduru", „nie szargać świętości", „ciszej nad tymi mogiłami" itd.

Pomijam insynuacje zawarte w takim postawieniu sprawy — to sugerowanie znaku równania między moją postawą a poglądami, których nie wyznawałem, głoszonymi przed wojną przez ludzi, których nie znałem. Uważny czytelnik „Siedmiu grzechów" sam stwierdzi, iż poglądy moje nie mogą być porównywane z postawą moralnych malwersantów z czasów sanacji, którzy osłaniali przed opinią publiczną swoje sprawki tezą o „obronie honoru munduru", czy ze stanowiskiem endeckich morderców prezydenta Narutowicza, którzy w dniu jego pogrzebu wołali: „ciszej nad tą mogiłą"; co zaś do frazesu o świętościach, wypowiedziałem się dość wyraźnie w książce.

Samo postawienie sprawy „krytyki wojska" wydaje mi się nieporozumieniem. Analizując wydarzenia wojenne zawsze starałem się je pokazać nie jako sumę ściśle wojskowych działań dowódców i żołnierzy, ale jako sumę decyzji moralnych o znaczeniu ogólnoobywatelskim, doszukać się racjonalnych i uczuciowych przesłanek tych decyzji zarówno w postawie i koncep-

cjach przywódców, jak i w postawie i dążeniach mas wykonawców.

A poza tym nie znam świętości poza ludzkim rozsądkiem. Właśnie ten rozsądek nakazuje mi właściwe zarzuty kierować pod właściwym adresem. Nie mogę mieć krytycznego stosunku do porucznika saperów Juchtmana, broniącego 1 września 1939 roku mostów w Tczewie, nie dlatego, że nosił polski mundur, ale dlatego, że rozumiem i uważam za słuszną jego wolę stawiania oporu najeźdźcy. Nie mogę też krytykować go za to, że Beck nie prowadził przyjaznej wobec ZSRR polityki, a Rydz nie przygotował planu wojny z Niemcami. Będę miał natomiast krytyczny stosunek do por. Juchtmana, mimo iż zginął, jeśli okaże się, że nie przygotował nakazanego wysadzenia mostów na Wiśle czy nie wykonał go na czas. Ale tak nie jest. Więc o co chodzi?

Historia Polski, a więc i historia Wojska Polskiego zawiera różne stronice.

Na cmentarzyku wolskim obok generała Sowińskiego i tych, którzy trwali z nim do końca i polegli na wolskiej reducie, leżą również ci, którzy porzucili swego dowódcę, ppłk. Piotra Wysockiego, i polegli doścignięci w ucieczce.

Można, jeśli trzeba, zanalizować krytycznie postawę tych, którzy walczyli na reducie, i tych, którzy spod niej uciekli. Ale nie można potępiać predyspozycji patriotycznej, która i jednych, i drugich zaprowadziła do szeregów wojska na przedpola Warszawy.

Nigdy nie uważałem, że o jakimkolwiek czynie żołnierza polskiego „nihil nisi bene". Nie uważam, aby śmierć bohaterska uniemożliwiała ocenę życia i działania. Sądzę zresztą, że nie ma bohaterskich śmierci. Śmierci są zwykłe. Ostateczne. Czyny natomiast są — bohaterskie, uczciwe, podłe. Żołnierskie mogiły rów-

nież można rozkopywać. Jednak nie na urągowisko. Dla nauki.

W działalności szyderców nie znajduję chęci poważnego, krytycznego rozważenia czegokolwiek. Spośród najbardziej żywotnych „tez krytycznych" moich co znaczniejszych antagonistów zwrócę uwagę na dwie: 1. że opór Polski po 3 września 1939 roku nie miał sensu; 2. że współodpowiedzialność za wybuch Powstania Warszawskiego ponosi szeregowy żołnierz powstania.

Z tego punktu widzenia krytykowano tych, którzy we Wrześniu walczyli dobrze, umiejętnie i ofiarnie. Przecież w ten sposób przedłużali niepotrzebną walkę! Krytykowano też tych, którzy w czasie okupacji miast siedzieć w domu angażowali się w taką czy inną konspiracyjną robotę patriotyczną według swego najlepszego rozumienia — bo duchowo przygotowywali powstanie... Jest to więc krytyka nie poszczególnych faktów z dziejów oręża polskiego, lecz o wiele więcej: krytyka patriotycznych postaw, krytyka poczucia obowiązku. Prowadzi do niesłychanego zamieszania moralnego, gdyż logicznie z niej wynikają takie na przykład absurdy, iż najlepszym patriotą polskim był marszałek Rydz-Śmigły, bo jego błędy, słabość i małoduszność zdezorganizowały opór Polski i najskuteczniej wpłynęły na skrócenie kampanii.

Obiema tezami krytycznymi zająłem się właśnie w „Siedmiu grzechach głównych" i sądzę, że pisząc tak wiele o moim bezkrytycyzmie historycznym mógł ktokolwiek z mych antagonistów znaleźć choć kilka wierszy na merytoryczną obronę swego stanowiska bądź kapitulację w tym przedmiocie. Mogłoby to nas posunąć nieco naprzód. Nie posłużą temu natomiast długie wywody o tym, iż lewica zawsze była krytycznie ustosunkowana do historii Polski, prawica nato-

miast zawsze była apologetyczna, które to wywody służyć mają w sposób oczywisty temu, by uzasadnić, że Załuski będąc „apologetą" demaskuje się jako „człowiek prawicy".

„Lewica" i „prawica" wobec historii Polski

Pomijając niejasność kwestii, co jest lewicą i prawicą w rozumieniu niektórych moich antagonistów, wydaje się to, ogólnie rzecz biorąc, nieporozumieniem. Pomijam problemy „szkół historycznych" — tu zwykle bój toczył się nie o wydarzenia historyczne jako takie, o krytycyzm i bezkrytycyzm wobec nich, ale o krytykę zastanego poglądu, w związku oczywiście z odnośną sytuacją polityczną. Lewica i prawica natomiast rozumiane jako pewne tendencje polityczne miały do historii Polski stosunek z gruntu odmienny.

Lewica analizowała przyczyny niepowodzeń ruchów powstańczych po to, by wyciągnąć praktyczne wnioski dla dalszego rozwoju walki narodowowyzwoleńczej. Kołłątaj w ocenie Konstytucji Trzeciego Maja przygotowywał postulaty jakobińskie Powstania Kościuszkowskiego, aktualne aż po dni Powstania Listopadowego i znajdujące odbicie w dyskusjach powstańczego Sejmu i w czynach warszawskiej ulicy. Krytyka konserwatyzmu Powstania Listopadowego przygotowała program roku 1846, a potem program „czerwonych" i manifest rządu powstańczego 22 stycznia 1863 roku. Krytyka błędów powstania 1863 prowadziła jego niedobitki na barykady Komuny Paryskiej i w szeregi Międzynarodówki. Krytyka niepowodzeń ruchu rewolucyjnego w latach 1917—1921 prowadziła do programu ocalenia narodowego II Zjazdu KPRP

w 1923 roku, główny motyw którego powraca nam w latach walki z faszyzmem i ucieleśnia się w programie PPR i jego zwycięstwie. Ta lewicowa krytyka w swym głównym nurcie szła wraz z biegiem tego, co w historii Polski porozbiorowej najważniejsze: walki o niepodległość i wyzwolenie społeczne rozumiane coraz pełniej i coraz ściślej z postulatami i siłami narodowymi sprzęgnięte. Nie była to więc „generalna krytyka, najbardziej pełna i konsekwentna krytyka w historii Polski". Natomiast była to krytyka twórcza.

Najbardziej pełną i konsekwentną krytyką historii Polski, krytyką odrzucającą i potępiającą główny nurt naszej historii, nurt wyzwoleńczy, potępiającą szaleństwo bezrozumnych zrywów, a okresami i szaleństwo zbrodniczych marzeń o wolności, była krytyka konserwatywna. Krytyka prowadząca od targowickiego potępienia Konstytucji Trzeciego Maja, poprzez krytykę Listopada podjętą czynnie przez polityków i generałów związanych z caratem, aż po ten nurt publicystyki polityczno-historycznej po klęsce Powstania Styczniowego, z którego stopniowo wyrosła Liga Narodowa, dmowszczyzna, polska kontrrewolucja roku 1905, polityka pasywistów, korpus Dowbór-Muśnickiego, Pogotowie Patriotów Polskich, a w końcu ten nurt ugody z groźbą faszyzmu niemieckiego, z którego wyrośli zarówno ci, którzy w przededniu najazdu niemieckiego tłumaczyli, że Polska jest zbyt słaba, by myśleć o oporze, jak i ci, którzy w latach okupacji próbowali znaleźć drogi do kolaboracji. Wbrew temu bowiem, co twierdzą moi antagoniści (kryjąc w tym szczególnie niewybredną insynuację pod moim adresem), nieliczne elementy kolaboracjonizmu w Polsce nie wywodzą się wcale z tego środowiska, które wołało o szacunek dla żołnierza polskiego i potrzeb obronnych kraju, lecz z tego środowiska, które głosiło rozsądek, trzeźwy obra-

chunek sił i perspektyw realizacji swoich politycznych interesów. Wywodzą się one nie z „kozietulszczyzny", a raczej z „wielopolszczyzny". Dialektyka historii bowiem polega na tym, że w naprawdę trudnych momentach dziejowych „logika interesu" najczęściej sprowadza się do logiki w ł a s n e g o interesu lub interesu swojej klasy. Logika ideowej ofiarności sublimuje się zaś w logikę poświęcenia dla wyższych celów, co czasem rzeczywiście ułatwia ideowe oszustwo, lecz przeważnie jednak pozwala coś niecoś uratować. Przynajmniej godność ludzką, i to nie godność poległych, ale godność żywych.

Ci, którzy w roku 1944 zawierzyli obrachunkowi interesu, znaleźli, że ich interes, interes klasy, którą reprezentują, i formacji kulturalno-politycznej, której są częścią, nakazuje przeciwstawić się ludowej, a w ich pojęciu — zbolszewizowanej — Polsce. Lądowali w Brygadzie Świętokrzyskiej, w lesie, w najlepszym wypadku na zagranicznej i wewnętrznej emigracji.

Ci, którzy zawierzyli potrzebie ofiar dla ojczyzny, potrafili złożyć w ofierze bliską im osobiście część wizji ojczyzny w imię całości — tego, że Polska jest tylko jedna, ta, która jest tu, nad Wisłą. Szli na front, do pracy przy odbudowie, współtworzyli nowe. Mimo wszystkich trudności i przeszkód — ich własnym wkładem nowa Polska stała się ich Polską. Z podniesionym czołem są dziś wśród nas.

Solidaryzm narodowy czy jedność narodu

Wróćmy jednak do „lewicowego krytycyzmu". Kardynalnym argumentem, jaki wyłonił się tu w dyskusji, była komunistyczna „przecena" wartości polskiego romantyzmu i Powstania Listopadowego. A więc Leon

Kruczkowski. A więc „Kordian i Cham". Niestety, argument to — jak kulą w płot. Współczesna legenda tej książki niezbyt ściśle odpowiada faktom historycznym... Ani tym z lat trzydziestych naszego wieku, gdy książka się ukazała, ani tym z samego Powstania Listopadowego, którego dotyczy...

Ukazanie się „Kordiana i Chama" w roku 1932 nie było wcale skandalem ani bluźnierstwem. Materiału dostarczyły publikacje oficjalnej nauki, opinia polska była jak najbardziej skłonna do rewizji romantycznych mitów i książka została przyjęta przychylnie. Ukazując ostrość przeciwieństw klasowych, rozdzierających przedpowstaniowe Królestwo, malując los i postawę chłopstwa czarnymi barwami, przypominając szlachecki charakter, szlacheckie obciążenia inicjatorów i głównej siły powstania, książka Kruczkowskiego popularyzowała tylko wyniki pracy historyków i szła śladem ujęć literackich Żeromskiego i Struga, którzy wcześniej poruszyli ten problem, odnośnie zresztą Powstania Styczniowego.

Kruczkowski jednak do tego stopnia uległ fascynacji autentycznym pamiętnikiem chłopa-nauczyciela Deczyńskiego, na którym oparł swą powieść („Momentem, który w nim zajął mnie najżywiej — pisał w przedmowie do »Kordiana i Chama« — była wyraźnie na jego kartkach ujawniona świadomość klasowa autora"), że uznał rzeczywisty życiorys Deczyńskiego za nielogiczny i „nieco" go w finale książki poprawił.

Jak to jest w „Kordianie i Chamie"? Szkoła podchorążych maszeruje ulicami Warszawy, wznosząc okrzyki „Polacy, do broni!"; towarzyszy jej pustka i milczenie. Trzaskają zamykane okiennice i bramy... Nikt nie chce poprzeć szlacheckich synków. Napotkany Deczyński na wezwanie swego panicza, podchorążego Czartkowskiego, odpowiada: „Nic mi do waszej rewolucji,

panie podchorąży. Moim wrogiem jesteście wy". Pan Czartkowski zabija chłopa Deczyńskiego. Podchorąży zabija szeregowca.

Jak to było naprawdę? Podchorążowie maszerowali Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem, trzaskały zamykane bramy, ale były to bramy bogatych kupieckich kamienic i magnackich pałaców. Poparcia odmówił im nie szeregowy żołnierz-chłop, lecz generałowie-magnaci: Potocki, Hauke, Trębicki, Nowicki. Trzech ostatnich z nich, a nie Deczyńskiego, zabili podchorążowie na szlaku swego marszu w Noc Listopadową. Natomiast Deczyński wziął udział w powstaniu, został promowany na oficera, otrzymał Virtuti Militari, a swój gorzki pamiętnik napisał na emigracji. Tak więc rzeczywistość historyczna nie zgadza się z „logiką świadomości klasowej" i jest dokładnie przeciwstawna artystycznej wizji Kruczkowskiego.

Warto jednak przypomnieć, iż sam Kruczkowski w cytowanej przedmowie pisał, iż ten moment (świadomość klasowa ujawniona w pamiętniku Deczyńskiego) to dla niego „więź aktualności przerzucona między dniem dzisiejszym a »historycznym« tematem tej książki". Obok „Ojczyzny" Wasilewskiej i oczywiście „Przedwiośnia" Żeromskiego stał się „Kordian i Cham" powieścią współczesną odgrywającą wówczas olbrzymią aktualną rolę polityczną. Wszystkie te utwory (i to było najistotniejsze) przypominały, że Polska — ówczesna, międzywojenna — nie stała się ojczyzną ludu pracującego. Były ostrzeżeniem, że formalna więź państwowo-narodowa w odzyskanej ojczyźnie nie jest trwała, gdyż nie jest oparta na pełni praw gospodarskich dla ludu pracującego.

Ale to nie przypadek, że Deczyński — mimo prawdziwie przedstawionej przecież swojej przedpowstańczej golgoty — do tej „pańskiej rewolucji" jednak poszedł,

tak jak nie jest przypadkiem, iż to środowisko, które od roku 1918 twierdziło, że „ojczyznę ukradli panowie" — w siedem lat po „Kordianie i Chamie", który był jego manifestem, powtórzyło za Broniewskim: „Są w ojczyźnie rachunki krzywd, obca dłoń ich też nie przekreśli, ale krwi nie odmówi nikt..." — sam zaś autor „Kordiana i Chama" poszedł na front jako oficer „sanacyjnej" armii.

Nie jest to przypadek, szczególna bowiem sytuacja Polski w ostatnich 200 latach sprawia, iż postulat obrony ojczyzny (albo postulat walki o niepodległość ojczyzny) jest istotnie postulatem ludowym, wyrażającym rzeczywisty, najistotniejszy, kluczowy interes mas pracujących, przytłaczającej większości, jeżeli nie całego narodu. Jest on mocą szczególnego zbiegu okoliczności — przez 100 lat przeszło również postulatem sił światowego postępu. Ujął to pięknie Engels, pisząc: „Historia wszakże dowodzi, że wielki naród, dopóki brak mu niezależności narodowej, nie ma warunków, by chociażby poważnie przedyskutować jakiekolwiek wewnętrzne sprawy. (...) Każdy polski chłop i robotnik, który budzi się z otępienia i zaczyna brać udział w sprawach ogólnych, napotyka przede wszystkim fakt ujarzmienia narodowego jako pierwszą przeszkodę na swojej drodze. Usunięcie tej przeszkody jest podstawowym warunkiem wszelkiego zdrowego i swobodnego rozwoju. (...) Aby móc walczyć, trzeba najpierw mieć grunt pod nogami, powietrze, światło i przestrzeń" [3].

Rozpatrując sprawę z punktu widzenia interesów postępu światowego, Engels pisał:

„Polacy mają nie tylko prawo, lecz wręcz obowiązek być narodowymi, zanim staną się międzynarodowymi, (...) są oni najbardziej międzynarodowymi właśnie wtedy, kiedy są prawdziwie narodowi" [4].

Nie ma potrzeby przypominać tu przesłanek tego sta-

nu, roli Polski jako „węzła wspólnej zbrodni" łączącego „Święte Przymierze": roli Polski wobec „żandarma Europy" Mikołaja czy wobec hitlerowskiej dążności do „pokojowego" opanowania Europy.

Dlatego też hasło jedności narodowej w obronie najistotniejszego dla przyszłości Polski i doniosłego dla przyszłości Europy problemu wyzwolenia ojczyzny, niepodległości, było zawsze w Polsce hasłem postępowym, programem walki sił najbardziej przodujących w narodzie — od obozu reform w Sejmie Czteroletnim po Polską Partię Robotniczą w latach wojny i okupacji. Temu „solidaryzmowi narodowemu" przeciwstawiała się otwarcie zwykle tylko garstka, i to najczęściej garstka z p r z e c i w n e g o bieguna społecznego. Zdrada magnatów, a nie bunt klasowy mas uciskanych, łamała w Polsce patriotyczną i postępową jedność narodu. Zdrada magnatów — od Targowicy po Brygadę Świętokrzyską. I dlatego teza mych oponentów, iż „solidaryzm patriotyczny, który tak chętnie i zawsze maskuje się wojskowym sztandarem, nigdy nie był i być nie powinien postawą ludzi postępu i ludzi lewicy", jest tylko niezręcznym i mechanicznym przeniesieniem tezy zachodnioeuropejskiego ruchu postępowego z pierwszych dziesiątków lat XX wieku, a zwłaszcza z czasów pierwszej imperialistycznej wojny światowej, do zupełnie innych warunków i zupełnie innych czasów. W polskim kontekście teza ta jest po prostu fałszywa.

Powracając do symptomatycznej sprawy oceny „Kordiana i Chama" muszę przypomnieć tu kilka wiadomości z zakresu wiedzy szkolnej. W podręczniku „Literatura polska lat 1918—1956" czytamy:

„Kruczkowski w »Kordianie i Chamie« (...) sugerował końcową sceną powieści, że — zrozumiała subiektywnie, nieufna postawa jego bohatera wobec powstania jest również obiektywnie słuszna.

Na ten błąd w ocenie roli powstania wpłynęła niewątpliwie także sugestia niesłusznych poglądów niektórych rewolucjonistów polskich. Przed pierwszą wojną światową wielu przedstawicieli polskiego ruchu robotniczego, członków SDKPiL — między innymi wybitna rewolucjonistka Róża Luksemburg — nie doceniało znaczenia walk narodowowyzwoleńczych w teraźniejszości i w przyszłości. Z poglądem tym walczył zdecydowanie Lenin. Stosunek do sprawy powstania w »Kordianie i Chamie« był dalekim echem tego błędnego poglądu na sprawy walki narodowowyzwoleńczej" [5].

Krytyczna analiza wydarzeń ostatnich 200 lat naszej historii, której główną oś stanowi zbrojna walka narodowowyzwoleńcza, odkrywa mi coraz więcej godnych podziwu ludzkich postaw. W rewolucyjno-patriotycznej wytrwałości naszych poprzedników znajduję coraz więcej nie tylko męstwa działania, ale i odwagi myśli, coraz więcej entuzjazmu, ale też i zrozumienia konieczności, bohaterstwa, ale też i rozwagi. Wszystko to budzi istotnie mój szacunek i podziw, czego nie kryję. I dlatego widocznie uważają mnie za bezkrytycznego apologetę naszej przeszłości...

Antagoniści moi sądzą, iż mają prawdziwie krytyczny stosunek do historii Polski, ponieważ po prostu nie podoba im się ta heroiczna, stawiająca wysokie wymagania moralne jednostce ludzkiej historia, której zresztą nie znają, nie rozumieją i obawiają się.

Twierdzą, iż obawiają się jej między innymi dlatego, iż przeszkadza ona socjalizmowi w Polsce.

Istota sporu II:
bagaż historyczny a droga do socjalizmu

Przypominam: polemiści toczą boje przeciwko naszej „bohaterszczyźnianej" historii. Powiadają: nasza sarmacka fantazja, ta właśnie „bohaterszczyzna" musi ulec zmieszczanieniu. Jest to niezbędny warunek, niezbędny próg na drodze do socjalizmu. Socjalizm jest bowiem produktem świata nie szlacheckiego, lecz mieszczańskiego. Stwierdzają oni również, że „zasadniczym novum dla polskiego żołnierza w czasach najbliższych (...) będzie nowa sytuacja psychiczna, wynikająca z tego kapitalnego faktu, iż żołnierz ten będzie musiał walczyć ramię w ramię z żołnierzami narodów, do których przyjaźni nie uczyła go nasza historia. Diametralnie zmieniła się sytuacja polityczna naszego narodu, a my chcemy powtarzać tę samą litanię historii..."

I znowu nie sposób sprostować wszystkich błędów zawartych w tym stwierdzeniu. Odpowiedź na najważniejsze jest tak prosta, że aż banalna. Przecież „diametralnie zmieniła się sytuacja polityczna" również tamtych narodów. I nie jest to frazes bez pokrycia. Bo Armia Radziecka ceni Suworowa jako „fachowca", ale swoje tradycje ideowe wywodzi naprawdę od tych Murawiewów, których wieszano razem z polskimi powstańcami, a nie od tych Murawiewów, którzy polskich powstańców wieszali. Nie jest to frazes bez pokrycia, bo Dąbrowski i Wróblewski, Sierakowski i Kalinowski są również dla młodzieży radzieckiej jak i polskiej bohaterami swojskimi, własnymi, jak Hercen, Czernyszewski i Chałturin, Perowska i Aleksander Uljanow. A na przykład do Ludwika Mierosławskiego i Sznajdego czy polskich ochotników z Hiszpanii żołnierz Narodowej Armii Ludowej NRD ma na pewno

stosunek bardziej osobisty niż przeciętny młodzian nadwiślański.

Nie chcę zbyt wiele dedukować z przytoczonych twierdzeń antagonisty, ale przecież sam reasumuje: „Akceptując narodową historię — jak uczy doświadczenie — można wychować nacjonalistę starego formatu; rewidując tę historię można wychowywać ludzi o innym światopoglądzie. Trzeciej drogi nie ma".

Jak daleko ma się posunąć ta rewizja? Czy nie chodzi tu o odrzucenie całej historii Polski? Bo przecież jest rzeczą oczywistą, że nie jest ani na jotę mieszczańska — w formie ani w treści.

Kluczowy dla narodu polskiego od czasów Sejmu Czteroletniego po lata II wojny światowej problem — to problem splotu potrzeb narodowowyzwoleńczych i społecznowyzwoleńczych. Kluczowy dla postaw ludzkich wobec rzeczywistości problem — to niemożność zgody na istniejący stan, na ówczesną narodową i społeczną sytuację ludu polskiego. Kluczowe wydarzenia, wydarzenia najistotniejsze i najbardziej ważące na przyszłości — to fakty zbrojne, wynikające z tendencji do przekształcenia tego stanu i przekształcające go. Nonkonformizm zbrojny. Bohaterszczyzna?

W innych narodach rozwój mógł całymi dziesięcioleciami przebiegać drogą stopniowego, codziennego gromadzenia zmian ilościowych, metodą tego rozwoju mogła być również mieszczańska zapobiegliwość (mimo mieszczańskiej krótkowzroczności). Mogła być również filisterska zgoda na codzienność. W Polsce było to niemożliwe. W Polsce konformizm umacniał status quo rozbiorowe i społecznie konserwatywne. Głównym nurtem historii Polski i jedyną drogą prowadzącą naprzód był nonkonformizm — prowadzący nieuchronnie co kilkadziesiąt lat do rewolucji i powstań i w tych rewolucjach i powstaniach przejawiający się.

Nie neguję, że może istnieć inna generalna ocena historii Polski. Inaczej oceniali wysiłki powstańcze krakowscy stańczycy, a później publicystyka endecka... Roman Dmowski przed pierwszą wojną, a Jędrzej Giertych po drugiej z uporem twierdzą, że powstania polskie były dziełem obcych agentów, słuszność zaś i prawdziwy mądry patriotyzm były po stronie tych, którzy budowali — a więc „lojalistów". Wiem, że można również współczesną Ludową Polskę fundować nie na tamtym, własnym i wyrastającym z własnej narodowej gleby nurcie jednoczącym komunistów z masami ludowymi, kojarzącym socjalizm z patriotyzmem. Wiem, że próbowało się w latach powojennych i próbuje nieraz i dzisiaj wywodzić Polskę Ludową z tamtego nurtu, nurtu Lubeckich i Wielopolskich, nurtu konformizmu programowego, nurtu ugody.

Z dwóch więc możliwych ciągów w historii Polski ja wybieram ten pierwszy, który prowadzi od kosynierów Kościuszki poprzez legionistów Dąbrowskiego, podchorążych Listopada, spiskowców 1846 roku i powstańców Stycznia. Wybieram go nie jako ciąg mniej lub bardziej interesujących bitew, lecz jako podstawową formę przejawiania się świadomości obywatelskiej i politycznych dążności naszego narodu.

Kilka rozdziałów swojej książki poświęciłem uzasadnieniu ciągłości rozwojowej w walce naszego społeczeństwa o przyszłość. Napisałem o grzechach ósmych. O tym, że odważna inicjatywa i ofiarna walka rewolucyjnego nurtu, który wytworzył w kraju Gwardię i Armię Ludową, a na emigracji Polskie Siły Zbrojne w ZSRR, jest przedłużeniem i sfinalizowaniem tamtego, patriotycznego i rewolucjonizującego się w miarę nabierania doświadczeń dziejowych, a ogólnie rzecz biorąc nonkonformistycznego nurtu w naszych dziejach.

Człowiek do socjalizmu dochodzi różnymi drogami. Można nauczyć się komunizmu z własnej nędzy i bezrobocia, można uczyć się go w strajkach — najpierw ekonomicznych, potem solidarnościowych, potem politycznych, w demonstracjach, w walce. Ale do komunizmu dochodzi się także drogą narodową, którą określają tradycje polityczne, atmosfera społeczna, krąg odziedziczonych wartości kulturalnych i duchowych. Można zaczynać „od zafascynowania się polską poezją romantyczną", można trzymać się tej „tradycji żarliwej ideowości, ciągłego poszukiwania sposobu najpełniejszej realizacji swoich przekonań, sprzeciwu wobec myślowego lenistwa, nienawiści do wszystkiego, co brudne i lepkie".

Dziś wiemy też, że nie tylko jednostki ludzkie, ale całe narody idą do komunizmu różnymi, własnymi drogami.

Jestem przekonany, że polską drogą jest właśnie rewolucyjna kontynuacja 150-letniej walki polskich patriotów — demokratów o niepodległość, walki coraz ściślej sprzęgniętej z hasłami społecznymi, jest pepeerowska linia jedności n a r o d o w e j i k l a s o w e j, linia walki i o Polskę, i o jej nową treść społeczną — o nową Polskę, w nowej bratniej rodzinie narodów.

Myślę, że rozważny i pełen szacunku stosunek do ciężkiej drogi, jaką polski ruch narodowowyzwoleńczy przeszedł od Manifestu Połanieckiego do Manifestu PKWN, od pierwszych ulotek „do braci Rosjan", pisanych przez Lelewela, do Układu Warszawskiego, od Racławic i Maciejowic do Lenino i Berlina — jest naturalnym obowiązkiem każdego Polaka współbudującego owoc tej drogi — Ludową Polskę. Nie sądzę również, aby widzenie ciągłości rozwojowej w dziejach naszego narodu było nacjonalizmem i szowinizmem.

Uczono mnie, że nacjonalizm to przekonanie o wyż-

szości własnego narodu. Przekonanie o odrębności jego dróg dziejowych to tylko realizm.

Uczono mnie, że szowinizm to nienawiść i pogarda dla innych narodów. Szacunek i miłość do własnego — to po prostu patriotyzm.

To co napisałem w „Siedmiu grzechach", nie zmierza ani do wykazania wyższości narodu polskiego, ani do szerzenia nienawiści i pogardy do innych narodów. Myślę, iż naród nasz w swej prawdzie i w swych błędach, w bohaterstwie i w głupocie nie był ani gorszy, ani lepszy od innych. Tego sądu się nie wyrzeknę. Nie dlatego, bym pryncypialnie odrzucał możliwości zmiany poglądów. Dlatego że polemiści nie przekonali mnie, nie próbowali przytoczyć żadnych zresztą rzeczowych dowodów. Nie zamierzam zaś uwierzyć im na słowo, że historię Polski należy wyrzucić do kubła na śmiecie, gdyż wspomnienie o niej zagraża ładowi i porządkowi w kraju, fundamentom budownictwa socjalistycznego i podstawom naszego sojuszu z ZSRR i NRD.

I to jest „najistotniejsza istota" różnicy między nami.

Słowo o metodzie

Reszta — to wszystko, o czym moi antagoniści tak wiele pisali: krytycyzm i apologetyka, prawica i lewica, pacyfizm i nacjonalizm, przyszła wojna i szowinizm — wszystko to są momenty uboczne w tej dyskusji, włączone do niej bynajmniej nie w trosce o ujawnienie prawdy, z doskonałym pominięciem moich rzeczywistych sądów, wyrażonych w książce.

Rzeczywiste rozbieżności między nami są dostatecznie wielkie merytorycznie, byśmy je musieli jeszcze sztucznie powiększać. Płyną one — jak dzisiaj myślę — nie tylko z rozbieżności poglądów, ale nawet

z odmienności charakteru i światopoglądu. Powinniśmy je z całym spokojem przedstawić czytelnikowi, któremu przysługuje prawo swobodnego wyboru intelektualnego między dwiema koncepcjami, dwoma rozstrzygnięciami problemów:

a) przydatności heroicznych wzorów przeszłości dla potrzeb dzisiejszych;

b) związku między historią Polski a jej dniem dzisiejszym, socjalistyczną przyszłością.

Chodzi właśnie o to, aby czytelnik wolny od uczuciowego terroru mógł swobodnie zadecydować wiedząc zarazem, że jeśli opowiada się za poglądami Załuskiego, to nie zostanie oskarżony o nacjonalizm i szowinizm oraz obarczony dobrodziejstwami sanacyjnego i endeckiego spadku, który niektórzy polemiści byli laskawi mi przypisać. Jeśli zaś opowiada się za mymi antagonistami, to opowiada się tylko za ich poglądami wobec przeszłości i dnia dzisiejszego Polski, bez brania na siebie odpowiedzialności za moralną wartość ich postawy dawniej, teraz i w przyszłości — oraz za wszelkie koneksje ideowe, jakie bez trudu w ich stanowisku potrafiłbym odnaleźć.

KOMENTARZE DO WOJNY O „GRZECHY"

Jako autor, a więc — obok samych „Siedmiu grzechów polskich" — niejako przedmiot analizy i obiekt dyskusji nie mogę być bezstronny. Broniąc książki, bronię siebie. Dlatego przede wszystkim muszę przypominać nie, o czym pisałem, a głównie, o czym w ogóle nie pisałem.

W mojej książce nie ma zbyt wielu sprecyzowanych propozycji wychowawczych. Są głównie stwierdzenia negatywne. Starałem się postawić płotek zagradzający fałszywą drogę, ale nie postawiłem obok płotka drogowskazu, wskazującego właściwy kierunek. Twierdziłem tylko: nie wolno szydzić, ponieważ nie ułatwia to wychowania dla socjalizmu. Nie próbowałem natomiast formułować programu wychowawczego.

Napisałem, że gdy się wybiera w drogę parowcem, nie wolno gasić ognia pod kotłami. Być może, że kotły są stare i niesprawne, ale ja nie opracowywałem instrukcji remontu maszyn parowych. Wiem, że ten remont jest potrzebny, ale nie zamierzałem w jednej książce objąć i naświetlić wszystkich problemów współczesnej Polski.

Czy stare etykietki zasłonią nowe problemy

Wydaje mi się, że w polemice wokół „Siedmiu grzechów" zaczyna dochodzić do głosu swoisty schematyzm. Coraz częściej próbuje się sprowadzić problematykę sporu do tematyki tych dyskusji, które już kiedyś były, do schematycznych zestawień i przeciwstawień: patriotyzm — kosmopolityzm, nacjonalizm — internacjonalizm.

Nie sądzę, aby moja książka mogła sugerować potrzebę wskrzeszenia tych dylematów. Zresztą są to dylematy najczęściej fałszywe.

Jeśli mówi się o historii, to niekoniecznie po to, by przypominać antynomię nacjonalizm — patriotyzm, niekoniecznie po to, by zajmować się w ogóle kwestią narodową...

Przypomnienie starych dylematów wprowadza do dyskusji wielce nowoczesny chaos pojęciowy. Myśmy już kiedyś wiedzieli, że patriotyzm i nacjonalizm to nie jest to samo. A dziś wielu dyskutantów używa tych pojęć wymiennie, powiększając mętlik. Tak np. jeden z poważniejszych dyskutantów [6] w znakomitym artykule (z którym zresztą w zasadniczych sprawach trudno się zgodzić) wszelkie uczucia narodowe od końca XVIII wieku po dzień dzisiejszy nazywa nacjonalizmem, nie kładąc w to zresztą żadnej negatywnej treści. W wielu wystąpieniach jednym tchem mówi się o kosmopolityzmie i pacyfizmie, o humanizmie i humanitaryzmie. To nam ogromnie utrudnia wyjaśnienie sprawy.

A przecież nie te, szeroko kiedyś dyskutowane kwestie, lecz sprawy aktywnych postaw w interesie społecznym i skuteczności ludzkiego działania w his-

torii są przedmiotem mojej książki i punktem wyjścia dyskusji.

Według mnie naszego sporu nie powinniśmy sprowadzać do pytania: co nam bardziej grozi: kosmopolityzm czy nacjonalizm? Gdybyśmy chcieli podjąć ten według mnie nowy temat dyskusji, to przede wszystkim musielibyśmy sobie wyjaśnić, jaka realna treść kryje się w tych pojęciach dzisiaj, po wielu latach władzy ludowej w Polsce. Zbyt często zapominamy, że coś, co wygląda jak jakaś ideologia, jest często tylko koszulką, w którą przebiera się konkretny problem, materialne zjawisko z innej zupełnie dziedziny. I jeżeli na meczu międzypaństwowym rozwścieczeni kibice uciekają się do nacjonalistycznego słownika, to trzeba się dobrze zastanowić, czy to jest przejaw s t a r e g o nacjonalizmu, który znalazł ujście z okazji meczu, czy też jest to po prostu przejaw n o w o c z e s n e g o chamstwa sportowego, które jedynie ujawnia się w formie zaczerpniętej z arsenału dawno przebrzmiałych bojów.

Trzeba się też zastanowić, jak wygląda niebezpieczeństwo nacjonalizmu dzisiaj. Czy nie będzie się ono ujawniać raczej w innej zupełnie sferze — w sprawach stosunkach gospodarczych, w tendencji do autarkii, w konserwowaniu barier celnych, administracyjnych i politycznych, w hamowaniu obiegu idei i ludzi, wymiany informacji, korzystania z doświadczeń kulturalnych, przenoszenia ogólnych prądów odnowicielskich?

Jeżeli zaś niezależnie od właściwego kierunku dyskusji podejmiemy problem dodatkowy i zastanowimy się nad tym, czy ujawnia się któreś z niebezpieczeństw — nacjonalizm bądź kosmopolityzm — i które z nich jest aktualnie groźniejsze, to trzeba po prostu obserwować rzeczywistość. Uchwytnych ekscesów nacjonalistycznych w Polsce jakoś nie notujemy. Od wie-

lu już lat nie ma dla nich sprzyjającej atmosfery. Natomiast dezercja z kraju i osobliwa dezercja z narodu jest i jest umożliwiająca ją atmosfera. To są rzeczy wymierne w cyfrach, jak np. dezercja za granicę, albo niewymierne, ale dostrzegalne, jak dezercja wewnętrzna. Marzeniem wielu jest bliżej nie określone życie „gdzieś za granicą", byle nie tu, w kraju.

Co i po co nam się wmawia

O co chodzi w naszej dyskusji? Nie o narodową historię i nie o patriotyzm, nacjonalizm, kosmopolityzm czy internacjonalizm. Najogólniej rzecz biorąc chodzi o aktywność i bierność. Ale te problemy bierności bądź chęci działania, zaangażowania bądź niezaangażowania są w jakiś sposób związane w ogóle z humanistycznymi postawami, z problemem wiary w człowieka, w ludzkie możliwości kształtowania własnego życia i otoczenia, a także własnej historii. W jakiś sposób to się wiąże również z poglądem na historię, a ja zająłem się w książce tym jednym malutkim wycinkiem problemu. Rozumiem przecież, że historia jest tylko jednym z elementów wychowania, rozumiem, że decydują warunki obiektywne, kształtujące postawy, że decyduje byt społeczny. Ale nie podejmuję się referować całej pedagogiki społecznej. Chciałem poruszyć tylko jeden problem: jak może oddziaływać nieustanne przekonywanie czytelnika i widza o tym, że ludzkie działanie jest nieskuteczne? Jak może oddziaływać na postawy ludzkie przekonanie, że w szczególności działanie społeczne Polaków zawsze jest nieskuteczne, nie może przynieść rezultatów. Jak może oddziaływać na postawy ludzi nieustanne wmawianie im, że są spadkobiercami narodu idiotów, narodu, którego treścią dotychczasowych

dziejów jest jeden wielki grzech — to nieustanne szarpanie się w celu osiągnięcia czegoś, co się osiągnąć nie da.

To jest wycinek problemu, ale czy wycinek mało istotny? To co się mówi, to co się pisze w tym duchu, w jakiś przecież sposób utwierdza się w ludzkiej świadomości i rzutuje na ludzkie postawy. Nawet najbardziej osobiste doświadczenia niepowodzeń, to, że dany człowiek w swym działaniu dziesięć razy poniesie klęskę — to jeszcze nie rodzi samo z siebie trwałej postawy. Doświadczenie samoczynnie nie nabierze mocy uogólnienia, mocy filozofii życiowej. Musi dopiero przyjść ktoś z zewnątrz, postronny obserwator, który powie: nie szarp się, nie ty pierwszy, tak było i jest zawsze, nie bądź więc taki zapalony jak ojciec, dziadek i pradziadek. Niebezpieczna rola szyderców polega na tym właśnie, że dostarczają odbiorcy takie uogólnienia paraliżujące wolę działania. Jeśli działalność szyderców wytwarza taką aurę, jeśli utwierdza ją od lat, to musi współdziałać z doświadczeniami ludzkimi i przekształcać je w trwałe postawy. Nie twierdzę oczywiście, że likwidacja samej aury bez usunięcia społecznych przyczyn zniechęcenia załatwi nam od razu wszystkie problemy. Ale aura też jest ważna.

Książka trafiła szybko do szerokiego czytelnika, trafiła do młodzieży, co mnie ogromnie cieszy, ale adresowana była przede wszystkim do „pośredników", którzy widzowi i czytelnikowi dostarczają tych uogólnień. Bezpośrednio dla mas nie jest tak bardzo istotne, jaki jest bieg dyskusji, ogarniającej tylko tygodniki kulturalne, ale to jest ważne dla kształtowania postawy samych „pośredników". Dla masowego czytelnika jest bowiem istotne, co przeczyta w pismach o masowym nakładzie, w „Szpilkach" czy w „Perspektywach", „Przekroju" czy „Kulisach", w felietonie czy w recenzji

filmowej. Recenzja filmowa np. we współczesnej cywilizacji nabiera kolosalnego znaczenia. To jest często właśnie to filozoficzne uogólnienie przeżytych przez widza w trakcie oglądania filmu obrazów, „morał", który krytyk widzowi podsuwa. Na tym szerokim forum „środków masowego oddziaływania" obserwujemy właśnie nadal uparte demonstrowanie niezłomności ideowej szyderców. Oto co np. pisze jeden z nich w „Szpilkach":

„Wystarczy pobieżny przegląd podręcznika historii świata, aby przekonać się, że Polacy ubóstwiają uczestniczyć. Nie ma ani jednego większego wydarzenia historycznego, rzezi lub masakry, w której by nie uczestniczyło z zupełnie niezrozumiałych i całkowicie bezinteresownych pobudek co najmniej kilku Polaków. Ambicja uczestnictwa rozwinięta jest w nas do tego stopnia, że znam nawet osobnika, który mawia: «Dwukrotnie uczestniczyłem w katastrofie kolejowej»".

Bardzo dowcipne. Ale jest tu pewien problem: my uczymy w szkole, że Polacy stawali na barykadach wszystkich rewolucji europejskich i że to było potrzebne, słuszne i piękne. A o tym właśnie mówi tu szyderca... Z tysiąca tego rodzaju półgębkiem wyrażonych opinii tworzy się właśnie ta aura, ów sąd ogólny o immanentnym nierozsądku naszej historii i śmiesznej bezcelowości ludzkiego działania w historii. I o to mi właśnie chodziło.

Jeżeli pokazałem fragmenty zbrojnej przeszłości Polaków, to nie po to, żeby się opowiedzieć po stronie „chwalców narodowej jatki" czy „szyderców", ale po to, żeby szukać nowej, trzeciej drogi: ludzkiego zrozumienia tej historii. Przede wszystkim starałem się wyjaśnić, o co chodziło w tych wszystkich wydarzeniach, o co się ludzie bili. Ja sądzę, że aby przeciwstawić się szyderczym koncepcjom i ocalić możliwości wycho-

wawczego oddziaływania na społeczeństwo za pomocą historii, trzeba pokazać, że ta historia miała sens, że działali w niej ludzie, którzy działać umieli, a przede wszystkim — którzy umieli zarówno chcieć, jak i oceniać, myśleć. Mogli się mylić, mogli też mieć rację, ale zawsze postępowali w myśl reguł racjonalnego działania, a nie w sposób absurdalny.

Ta moja intencja nie została na ogół dostrzeżona. Chciałem podkreślić: nikt w polemice nie zakwestionował tych faktów historycznych, o których mówię. Bagatelizowano je co najwyżej. Polemiki często zaczynały się od stwierdzenia, że to, co Załuski z dziedziny „historii wojskowości" napisał, wcale nie jest ważne, zresztą może być przyjęte. Ale takie wypowiedzi zwykle kończyły się konkluzją: a jednak historia Polski to stek orężnych nonsensów albo: nie namówi nas Załuski na próżne gesty wzorem dawniejszych. A przecież książka zawiera właśnie dowody, iż rzekome nonsensy miały swój sens, iż tych próżnych gestów wcale nie było.

Dlaczego Polacy strzelali zamiast murować

Moim zdaniem w warstwie dociekań historycznych, związanych z tematyką mojej książki, nie stoimy wcale wobec zadania nowej interpretacji historii Polski. Chodzi tylko o jej prawdziwe zrozumienie. Bardzo szanuję uczonych polskich, organizatorów życia cywilnego, inżynierów, odkrywców. Ale w historii każdego kraju jest jeden wiodący nurt. Myśmy nawet w okresie minionym zrobili wiele w zakresie wydobycia i popularyzacji osiągnięć polskiej myśli twórczej, pokojowej. Po raz pierwszy zaczęto szukać bohaterów cywilnych, dzia-

laczy, badaczy, lekarzy i inżynierów. Ale co się okazuje, gdzie na przykład ci polscy inżynierowie? Kierbedź zbudował jeden most w Warszawie, a sześć czy osiem w Petersburgu. Podobnie twórca wiaduktu na Nowym Zjeździe, Pancer. Polscy inżynierowie budowali koleje w Andach i mosty w Ameryce, cukrownie na Ukrainie i linie kolejowe na Syberii. Rozproszyli się po świecie. Dlaczego? Bo nie mogli pracować w ujarzmionym i zacofanym społecznie kraju. A osiągnięcia ekonomiczne, administracyjne w dziedzinie organizacji życia cywilnego?

Są oczywiście ciekawe postacie, np. Drucki-Lubecki, Wielopolski. Nie peszy mnie, że realizowali dążenia klas posiadających. Prekursorzy przewrotu kapitalistycznego we Francji czy Holandii też nie służyli masom ludowym bezpośrednio, a jednak reprezentowali klasę, która wówczas miała coś do ofiarowania społeczeństwu, która realizowała postęp. U nas tak się składa, że tacy właśnie działacze jak Lubecki i Wielopolski, którzy mieli koncepcję i pewne wyniki swej pracy, występowali w imieniu klasy schodzącej z historycznej sceny, a nie wstępującej na nią. Ich osiągnięcia to osiągnięcia w celu powstrzymania postępu, zakonserwowania zacofanej struktury społecznoekonomicznej kraju. Trudno nam dzisiaj do nich nawiązywać.

Wszelkie wysiłki cywilnych bohaterów naszej historii utykały przed deformującą życie polskie zaporą postępu, jaką stanowił fakt narodowego ujarzmienia i społecznego zacofania kraju. Toteż głównym, wiodącym nurtem w historii Polski jest walka narodowowyzwoleńcza, coraz bardziej sprzęgająca się z walką społecznowyzwoleńczą. Jest rzeczą oczywistą, że składają się nań dwie warstwy — warstwa koncepcji i warstwa działania, próby realizacji tych koncepcji. Tego rozdzielać nie wolno.

Wzniesienie tego głównego nurtu naszej historii na piedestał nie może się w żaden sposób wiązać z nacjonalizmem. Nurt ten jest bowiem z istoty swojej rewolucyjny.

Każdy naród ma zarówno tradycje postępowe, jak i reakcyjne, ale w historii jednych narodów przez wieki główna oś wydarzeń nie zbiega się z nurtem rewolucyjnym. Natomiast w historii Polski ostatnich 200 lat ta główna oś to właśnie nurt rewolucyjny.

Kwestionowanie tego jest próbą powrotu do innej, przezwyciężonej już w ludowej Polsce reakcyjnej i idealistycznej koncepcji historii. Do jakiej koncepcji? W naszym ludowym dwudziestoleciu próbowano ją już kilkakrotnie ekshumować. Ostatnio wskrzeszano ją w odniesieniu do Powstania Styczniowego. Jest to wizja historii Polski porozbiorowej, rozumianej jako wyzbyte podstaw racjonalnych, ale przemożne, irracjonalne, nieomal przyrodnicze dążenie do spełnienia absolutu, do realizacji ideału niepodległości.

Istotnie tak właśnie spreparowano obraz Stycznia w początku XX wieku. Robił to m. in. osobiście Piłsudski. I stąd zafałszowanie obrazu powstania 1863 roku w naszych własnych głowach, gdyż ta epoka, która nas wychowała, wyznawała tę teorię. Ale dzisiaj wiemy o mechanizmie historii i o konkretnych wydarzeniach trochę więcej. Ponadto — jesteśmy marksistami. Zresztą nawet niemarksiści przyjmują w historiografii materialistyczny sposób myślenia, przyjmują m. in. zasadę dostrzegania materialnych korzeni idei społecznych, wiedzą, że w ten strój ideału narodowego, patriotycznego ubierają się konkretne realne potrzeby i interesy ludzi, grup, klasy społecznej, nieraz kilku klas i warstw, a czasami niemal całości narodu. Nie widzę powodów, dla których mielibyśmy nasz mark-

izm konserwować dla ogólnych tylko rozważań, a w praktyce politycznej i wychowawczej opierać się na idealistycznych wytłumaczeniach historii Polski.

Czy sami sobie wierzymy

Muszę przyznać, że przykry niepokój budzą we mnie niektóre akcenty wystąpień w naszej dyskusji. Wydaje mi się mianowicie, że ujawniają one pewne rzeczywiste, istotne nieszczerości, nie uświadomione być może zafałszowania postaw. Wielu autorów mniej lub bardziej wyraźnie formułuje sąd, że trzeba odsunąć, zapomnieć naszą przeszłość żołnierską i powstańczą, gdyż ona nie pasuje nam do dzisiejszej sytuacji. Jeden z polemistów mówi otwarcie: „jest antyrosyjska". Drugi zaś pisze, że ta historia „nie uczyła nas przyjaźni do narodów, z którymi musimy stać teraz w jednym szeregu" [7].

Mnie w tym stanowisku niepokoi dowód (nie chcę używać mocnych słów) pewnej dwoistości poglądów. My wszyscy od lat popieramy deklarację ideową naszej partii. Sami realizujemy jej wytyczne, formułowane ściślej bądź powtarzane, ostatnio chociażby z okazji 1000-lecia czy rocznicy PPR-owskiej. Mówimy o ciągłości w rozwoju historycznym, o drogach prowadzących z głębin naszej historii do obecnej Polski Ludowej. Mówimy, że naród polski w socjalizmie i w obozie socjalistycznym znalazł ukoronowanie swoich dążeń wyzwoleńczych i najpełniejszą gwarancję swoich interesów narodowych. Kiedy zaś przychodzi do gorącej dyskusji, to okazuje się, że nie wszyscy jesteśmy tak bardzo pewni ani tego, co główne w historii naszego narodu, ani zgodności z tym naszej obecnej sytuacji dziejowej.

Wątpliwości te mają jeszcze drugą, bardzo nieprzyjemną stronę. To jest problem rzeczywistej treści politycznej świata, w którym żyjemy, między innymi treść politycznej państw — naszych sąsiadów: NRD i Związku Radzieckiego. Jakbyśmy trochę nie dowierzali rewolucyjnej i n n o ś c i tamtych organizmów politycznych. Bo jeśli ktoś mówi, że tradycja powstań narodowych nie pomaga w wychowaniu stosunku braterstwa do narodu rosyjskiego, znaczy to nie tylko, że powstanie traktuje wbrew prawdzie historycznej i wbrew tezom partii jako ruch nacjonalistyczny. Znaczy to również, że współczesny Związek Radziecki uważa za przedłużenie Rosji dawnej, za spadkobiercę Romanowów i hrabiego Berga. Innego intelektualnego wytłumaczenia takiego stanowiska odnaleźć nie sposób.

Myślę, że nie należy wątpić w słuszność naszej ideologii. Historia Polski istotnie tak przebiegała, jak w ogólnych zarysach powtarzamy w oficjalnych deklaracjach z okazji rocznic. Związek Radziecki istotnie swój stosunek do dziedzictwa Romanowów wyraził najpełniej w fakcie ich obalenia. Istotnie jest on organizmem nowym, stworzonym na ruinach caratu. Młodzież — i radziecka, i nasza — bo to jest to pokolenie, które ma budować przyjaźń, rzeczywiście ma wspólnych bohaterów z powstania styczniowego, bo nie Berg, nie Murawiew i nie Czengiery są bohaterami młodzieży radzieckiej, ale Hercen, Czernyszewski, Dąbrowski, Wróblewski, Sierakowski i Kalinowski...

Nie uważam oczywiście, że niebezpieczeństwo nacjonalistycznych interpretacji całkowicie przestało istnieć, ale chodzi o generalną ocenę stosunku wzajemnego historii ludu polskiego i historii ludu rosyjskiego. Uważam, na przykład, że obchody setnej rocznicy Powstania Styczniowego — tak jak zostały potraktowane i u nas, i w Związku Radzieckim, jako obchody

wspólnego święta, ze wspólnymi wystawami i wspólną akcją wydawniczą — torują drogę do zgodnego z obiektywną prawdą przedstawienia tej historii i właśnie do wyjaśnienia nieporozumień i umocnienia przyjaźni. Zresztą właśnie historyk radziecki, tow. Miller, będąc w Polsce pierwszy wskazał na obraźliwy dla narodów radzieckich charakter występujących w Polsce obaw przed nadmiernym rzekomo eksponowaniem walki ludu polskiego przeciwko caratowi.

Trzeba nasze własne twierdzenia dotyczące genezy Polski Ludowej traktować poważnie. Amputacja przeszłości, pogląd w rodzaju tego, iż Polska spadła z nieba 22 lipca 1944 roku, niczego nie daje.

Istnieje oczywiście i przejawia się w poglądach społecznych filozoficzne prawo negacji...

Sprawa kontynuacji i negacji to jest rzeczywiście problem do dyskusji, ale wymaga ona analizy faktów historycznych, a nie przepisywania formułek filozoficznych. Spotkałem się np. w pewnym interesującym artykule [8] z zaskakująco niesłusznym wywodem o tym, że PPR wkroczyła do historii narodu polskiego na zasadzie kompletnego zaprzeczenia przeszłości. To oczywista nieprawda, choćby tylko dlatego, że partia stanęła wobec określonego bagażu problemów nie rozstrzygniętych w poprzedniej epoce i w momencie, kiedy partia podjęła się odpowiedzialności za losy narodu, musiała te problemy rozstrzygać. Między innymi właśnie dlatego partia mogła przewodzić narodowi, że rozstrzygała sprawy, na których rozstrzygnięcie naród długo czekał. Poparł ją właśnie dlatego, że tylko ona te problemy mogła rozstrzygnąć.

Dzisiaj tak samo jak wówczas powinniśmy chyba walczyć o masowe poparcie ze strony narodu na zasadzie pełnej szczerości między partią i masami. W wielu wypowiedziach moich oponentów natomiast czuje się

niewiarę w socjalizm, w osiągnięcia socjalizmu, w rzeczywistą wartość tej więzi między partią i narodem, jaką z uporem przez tyle lat budowaliśmy. Boję się, że po prostu nie znamy i nie doceniamy tych osiągnięć, zwłaszcza przeobrażeń świadomości ludzkiej, tego wyniku trudnych studiów na „uniwersytecie historii", które naród polski niemałym kosztem, ale pomyślnie ukończył.

Wołanie o czyn — na melodię kołysanki

Chcę jeszcze poruszyć parę problemów dotyczących korzyści i niebezpieczeństw powoływania się na historię w życiu codziennym. Podobno historia jest nauką stosowaną... gdyż często przystosowuje się ją do bieżących potrzeb. Jest kilka metod „stosowania" historii. Pozwolę sobie przytoczyć taką konstrukcję myślową: niektórzy przekonują nas o immanentnym idiotyzmie Polaków, dowodzą, że myśmy nigdy niczego nie potrafili zrobić sensownie. Dotyczy to nie tylko walki zbrojnej, ale również polskiej gospodarki, organizacji, administracji itp. wszelkiego działania.

Jaką może to mieć relację do współczesności? Ktoś mówi: — poczta źle chodzi. Odpowiedź prosta: — nie martwcie się, dawniej Polacy nawet takiej nie mieli. Jest więc ułatwienie dla rozgrzeszenia wszystkich dzisiejszych niedociągnięć: nie jest przecież źle i tak jesteśmy mądrzejsi od naszych przodków. A to kłamstwo.

I trzeba wreszcie powiedzieć: nauczmy się przynajmniej tak administrować, jak było administrowane Księstwo Warszawskie. Wkraczam w dziedzinę, którą się dotąd nie zajmowałem, ale wiem, że i tam dałoby się wiele ciekawego znaleźć. Zresztą administracja

Księstwa Warszawskiego, a potem Królestwa wywodziła się ze znakomitej napoleońskiej szkoły administracji wojskowej. Paradoks, ale to właśnie jest względnie trwała pozostałość po tamtych ułańskich i somosierskich zrywach...

Przypomnę, że starałem się i będę się nadal starał odnaleźć w naszych wojnach właśnie przykłady dobrej roboty, nie w sensie takich czy innych doświadczeń taktycznych, bo to się zmienia, a w końcu przestaje być przydatne, ale właśnie wzorów ładnego, sprawnego działania, przykładów pozytywnego „chciejstwa", umiejętności dążenia do celu i rozsądnego działania na rzecz tego celu.

Wracając do polemiki chcę stwierdzić, że mnie osobiście w stanowisku co poważniejszych moich antagonistów niesłychanie dziwi ideowa niespójność, wewnętrzna sprzeczność. Czytam przecież inne ich wystąpienia od lat. Serdecznie, z troską zajmują się aktualną sytuacją w kraju, nieustannie piszą o brakach, błędach i niedociągnięciach w naszym życiu, domagają się naprawy, formułują słuszne postulaty. Jednocześnie uporczywie popularyzują filozofię absurdalności ludzkiego losu, bezradności człowieka wobec świata i nieskuteczności ludzkiego działania. Przejawia się to zawsze, ilekroć dotkną szerszej problematyki historycznej czy społecznej, przejawia się szczególnie w formach służących najszerszemu upowszechnieniu najbardziej strywializowanej filozofii dla mas — w ich recenzjach z książek, w recenzjach z filmów. Na przykład film „Jak być kochaną" — na pewno godne zauważenia dzieło sztuki — może być odbierany i interpretowany w bardzo różny sposób — jak samo życie.

Różni recenzenci wskazali na różne aspekty filozofii tego filmu. Moi antagoniści w sporze o „Grzechy" wyciągali na ogół wniosek o bezcelowości ludzkiego dzia-

łania, bezskuteczności starania się o cokolwiek. Zdaniem jednego z nich, „Jak być kochaną" to kolejne dzieło polskiej szkoły antyheroicznej — dotychczas film polski pokazywał bezsens działania patriotycznego, teraz pokazał bezsens i nieskuteczność działania nawet na rzecz osobistego szczęścia człowieka. W tym stanowisku jest logika!

Niespójność stanowiska w sprawach dnia dzisiejszego i w sprawie naprawy Rzeczypospolitej przypomina formułowaną już koncepcję oddzielenia myślenia od działania.

Koronny świadek odwołał zeznanie...

Zastanawiające, jakie zamieszanie myślowe zapanowało w czasie dyskusji o „Grzechach". Przykładem rozgardiaszu jest reakcja znanego myśliciela i krytyka. Znakomity publicysta, gdy się wziął za tę sprawę, stracił głowę. Zaczyna od twierdzenia, że nie będzie pisał o książce — po czym poświęca jej cały duży artykuł. Powiada, że dla obrony historii nie warto było pisać dwustustronicowej książki, bo nikt tej historii nie atakuje, a „szydercy" są tylko moim wymysłem. Czy rzeczywiście? Biorę do ręki uprzednio wydaną książkę tegoż samego publicysty i znajduję tam słowa, jakby wyjęte z moich „Siedmiu grzechów":

„Utwory antyheroiczne zalały kabarety i pisma satyryczne, przeciwko »kozietulszczyźnie« występowały w sposób nieprzejednany czasopisma literackie, drwienie z atrybutów bohaterszczyzny stało się obowiązującą modą.

Obchody Tysiąclecia Państwa, ewokując zainteresowania historyczne dostarczyły nowego materiału i im-

pulsu do satyrycznego wyśmiewania «wiecznie polskiego» i podsunęły bogactwo historycznych analogii.

(...) Przeciwko owym bluźnierstwom, mającym przecież kogoś szokować i oburzać, nikt nie protestował. Przeciwnie. Krytycy pisali pochlebne recenzje, a na premiery teatrzyków przychodzili dygnitarze, aprobując uprawiane tu herezje. Paradoks ten najlepiej chyba określa nowość powstałej sytuacji.

(...) Narodowi czyni się wyrzut: jesteście głupi, wasze poczynania są śmieszne, wasze bohaterstwo nikomu niepotrzebne, wasze fetysze, morały i świętości są grą operetkowych gestów i farsowych gagów. Śmiejcie się z tego i to być może będzie antidotum na operetkowość waszej sytuacji. Zrozumieć własną śmieszność to znaczy ją zwalczyć. To jest reakcja antyheroiczna" [10].

Publicysta ten zanalizował więc niegdyś sytuację podobnie jak ja i tak samo ją ocenił. A teraz zaprzecza istnieniu zjawiska, które sam równocześnie ze mną wskazywał. Dziwne? Takie zwroty występują w dyskusjach wtedy, kiedy nie chodzi już o poglądy, o których mowa, a kiedy zaczyna chodzić o coś zupełnie innego. O co? Nie podejmuję się sformułować.

Postępowość przerażonych i kopniaki historii

Myślę, że przyczyną ataków na książkę nie są jakiekolwiek moje sądy historyczne, dotyczące walki zbrojnej, jakie w niej zawarłem. Przyczyną rzeczywistą jest jeden jedyny rozdział o pacyfizmie, który zresztą odczytywano w sposób dla mnie zupełnie niezrozumiały. Raptem ni z tego, ni z owego w polemice ze mną mówi się ogromnie dużo o postępowej roli inteligencji polskiej okresu międzywojennego, o jej antyfaszystow-

skiej postawie, o walce przeciwko terrorowi, przeciwko Brześciowi, Berezie Kartuskiej — tak jakbym ja kwestionował którąkolwiek z wartości reprezentowanych w okresie międzywojennym przez tę inteligencję. Nie wątpię, że z ogromnego humanistycznego dorobku tych ludzi, ukształtowanego w walce z sanacyjną dyktaturą, z jej mężnej postawy w obronie ideałów ogólnoludzkich, demokracji, wolności, z jej antyfaszyzmu, antyrasizmu ocalić trzeba jak najwięcej i jak najwięcej przenieść w dzień dzisiejszy. Ale przecież nie to było przedmiotem moich rozważań na tych kilku najostrzej atakowanych kartach książki. Ja uważałem — zresztą nadal tak sądzę — że z dorobku humanistów i postępowców tego okresu nie wszystko nadaje się do wielbienia i nie wszystko zdało egzamin historyczny. Uważam, że tego, czego sami ludzie tamtych czasów musieli się wyrzec pod naciskiem okoliczności historycznych, a zwłaszcza doświadczeń II wojny światowej, nie ma sensu dzisiaj konserwować bądź też odświeżać na użytek nowej epoki. Jest to chyba teza zupełnie nie rewelacyjna i na pewno nikogo zaskoczyć nie mogła.

Trzeba było moim zdaniem wyraźnie powiedzieć, że pewne poglądy już były w obiegu, ukazały swoją słabość i zostały przezwyciężone, że koncepcje ogólnej niechęci do wojen i wojska, bez względu na to, jakie i w jakich warunkach, że to płytkie wyznanie wiary polskiego studenta „My kochamy nie kochać wojska" skompromitowało się i musiało być odrzucone. Że z tej koncepcji ogólnej negatywnej oceny wojny, jako rzeczy nieludzkiej, i wojska, jako narzędzia tej rzeczy nieludzkiej, trzeba było zrezygnować, kiedy wróg załomotał do drzwi.

I to jest jedyna paralela, jedyna nitka łącząca sprawę pacyfizmu w okresie międzywojennym z dzisiejszą

sytuacją. Myślę, że w wadliwych postawach antywojskowych części współczesnej inteligencji czy młodzieży wiele jest czkawki po poglądach sprzed lat trzydziestu, przezwyciężonych już przez samych twórców tych poglądów. Wygląda na to, żeśmy się niczego z tych doświadczeń nie nauczyli.

Dzisiaj również rozwija się ruch pacyfistyczny np. w USA, ale jest on inny niż pacyfizm lat dwudziestych i trzydziestych naszego wieku. Tamten pacyfizm miał jedną słabą stronę. Był dość jednostronny. Było już i tak, że szybko milkł w krajach faszystowskich czy autokratycznych, a głośno krzyczał w krajach, którym groziła agresja...

Ja zresztą nie zajmuję się pacyfizmem w cudzysłowie — ideologią dywersyjną, uprawianą w latach międzywojennych przez agentury hitlerowskie. Taki też był. Chodzi mi o szczery, ale łzawy humanitaryzm. To bezradne rozczulanie się nad człowiekiem na wojnie, nad człowiekiem w ogóle na wojnie, nad jego doraźną sytuacją, bez zastanowienia się nad tym, w imię czego się poświęca, czy to jest nieuchronne, bez zadania sobie pytania: a może to konieczne?

Fakt, że w okopach jest mokro i strasznie, że trudno leżeć tygodniami w błocie, że na wojnie czasem trzeba umierać, nie jest dla naszego pokolenia rewelacją. Argumentacja antywojenna typu: „my cierpimy w okopach, a na tyłach dekownicy uwodzą nam żony" nie przemawia do nas. I stąd mój atak na Remarque'a i Barbussa. Przeczytajcie „Ogień" Barbussa dzisiaj! Od tego czasu była druga wojna światowa i nowe doświadczenia. Tak samo jak wtedy i w okopach było strasznie, i na tyłach używali życia dekownicy. A jednak trzeba było się bić, bo broniliśmy czegoś, co było tego warte, a inaczej obronić się nie dało.

Wyższy etap świadomości, który osiągnęliśmy i n którym powinniśmy się utrzymać — to jest zrozumie nie, że mimo tych nieszczęść, trudności, błędów, okrop ności, świństw, mimo tego wszystkiego — bywa, ż walka staje się jedyną drogą do celu i że na tej drodz trzeba czasami i cierpieć, i krwawić się, i umierać.

Nie widzę powodu dla przekreślenia tych doświad czeń i nauk, choć wierzę, że przyszłość nie postawi na wobec konieczności ponownego składania egzaminu z umiejętności siedzenia w zalanych błotem, gnijących okopach.

Co na to... nastolatki

Nam, humanistom, wychowawcom śni się prosta, logiczna budowla: prawdziwa nauka historyczna — najwyższe piętro, popularyzacja — trochę niżej, a na końcu szkoła, która dostarcza wszystkim odpowiedniej wiedzy i kultury myślenia historycznego. Wizja pięknego ideału — kiedy ludzie odpowiednio przygotowani przez szkołę i popularyzację zechcą sięgnąć bezpośrednio do grubych i specjalistycznych dzieł historycznych, dojrzeją do tego, ażeby konsumować bezpośrednio historię prawdziwą.

Niestety — oddziaływanie przeszłości, wiedza o przeszłości, to co dociera do szerokich mas społeczeństwa — dociera najprzeróżniejszymi kanałami. Bezpośrednie znaczenie społeczne, znaczenie wychowawcze mają te kanały, w których historyka — naukowca nie uświadczysz ze świecą... W ostatecznym rachunku w ludzkich głowach i postawach elementy wiedzy o przeszłości swego narodu i całego świata przejawiają się jako jakaś siódma czy dziesiąta nawet woda po kisielu prawdziwej wiedzy historycznej.

Nie jestem historykiem, jestem publicystą, a nawet „gorzej" — uważam się za propagandzistę. Stykam się nie z młodzieżą szkolną i nie z hobbistami ze szkolnych kółek historycznych, lecz z młodzieżą przeciętną, a więc z powszechnymi skutkami całego systemu wychowania. Postawy młodzieży 16—19-letniej, ich postawy patriotyczne czy niepatriotyczne, ideowe czy obojętne — w jakiś sposób związane są z jej pojęciem — bądź brakiem pojęcia — o historii.

O ile się orientuję w postawach dziewiętnasto- czy dwudziestoletnich młodych ludzi, nie dostrzegam w nich generalnego braku zainteresowania przeszłością. To jest legenda. W rzeczywistości jest odwrotnie: istnieje ogromne zainteresowanie przeszłością, które przejawia się m. in. w wykupywaniu książek traktujących o przeszłości. Każdy ciekawszy materiał, czy to będą pamiętniki z II wojny światowej, czy to będzie zbiór „Uczestnicy powstania listopadowego mówią", jest rozchwytywany. Pęd do poznawania własnej historii lokalnej staje się formalnie konikiem wielu miast i powiatów.

Mimo jednak ogólnego pędu do poznawania swojej przeszłości w społeczeństwie niewątpliwie działają pewne hamulce psychologiczne. Reakcje młodzieży na literaturę pamiętnikarską, na film, na szereg rzeczy mówiących o problemach II wojny światowej czy w ogóle niedawnej przeszłości — bywają bardzo różne. Pełne przejęcia, aprobaty. Nacechowane rezerwą, ostrożnością. Bywają także wobec historii reakcje bardziej sprecyzowane, typu: „przestańcie nam nareszcie grzebać o tych okropnościach, strasznych rzeczach, o wszystkich naszych klęskach, katastrofach i nieszczęściach, my jesteśmy zdrowa młodzież, która chce żyć". To już stanowisko bardziej uświadomione. Ale mam wrażenie, że za wszelkimi oporami, nawet szczenięcymi

wyskokami, kryje się to samo: niechęć do pewnych dziedzin, do pewnych momentów historycznych, tych smutnych, tych strasznych, tych nieszczęśliwych i tych jak gdyby pozbawionych sensu.

I tu zaczyna się problem pokazywania prawdziwej historii. W XIX wieku uważano na ogół, że największymi cynikami są lekarze, ponieważ zbadali ludzkie ciało i nie znaleźli tam miejsca na duszę; w literaturze pięknej znajdziemy postacie tych XIX-wiecznych lekarzy, zgorzkniałych, cynicznych, dopiekających ludziom i budzących ludzki opór. Dlaczego? Bo ludzie bronili się przed postawą tego lekarza, który wie wszystko, ludzie bronili swojego wyobrażenia o wyższym sensie ziemskiego bytowania. W XX wieku największymi cynikami są historycy. Oni znają mechanizm społeczny, wiedzą, jak „to" się dzieje. A jak to wygląda od strony ludzi? Ludzie bronią się przed skalpelem, każdym skalpelem, obojętne — lekarzy czy historyków. Bronią się, bo chcą znowu ocalić wiarę w jakiś sens istnienia społecznego i swojego indywidualnego istnienia w historii.

Otóż naród polski — wyjątkowo czy nie wyjątkowo — rzeczywiście miał historycznego pecha, był nieustannie bity po głowie. Wulgaryzuję, upraszczam, trywializuję haniebnie, ale jednak tak to się na ogół widzi, a jeśli „tak to się widzi" w skali masowej, jeśli tak widzą miliony — to jest to już jakieś zjawisko, jakaś prawda, jeśli nie historyczna, to psychospołeczna. Liczne powstania, całe pasmo wysiłków, ciągle się coś robi, coś się w tym kraju zaczyna, ktoś podnosi rękę do czegoś, setki, tysiące ludzi porywają się do jakiegoś działania — i co? Kupa trupów. Przychodzi analiza tego wszystkiego, zaciekła, ostra, tak jak zwykle analiza dokonywana przez ludzi, których boli serce. Padają tysiące zarzutów i w końcu historia tych 200 lat uka-

zuje się jako historia ludzi, którzy niczego nie potrafią zrobić, historia złych wodzów, złych działaczy, złych polityków, złych oficerów i złych żołnierzy. Mieliśmy to już w XIX wieku. Potem w wolnej Polsce przyszedł miraż jakiegoś uwolnienia się od tego ciężaru wszystkich klęsk przeszłości. Niestety po dwudziestu latach przerwała ten stan klęska wrześniowa i zaostrzyła na nowo wszystkie kompleksy. Zresztą nic nowego w tych kompleksach nie ma, wszystkie ich elementy można znaleźć w krytyce roku 1863 czy nawet Powstania Kościuszkowskiego. Później doszedł jeszcze krach Powstania Warszawskiego i cała katastrofa nurtu związanego z „Londynem". Wszystko to wytworzyło w społeczeństwie bardzo poważne urazy.

Odstępstwa i zastępstwa

Z tych to urazów rodzą się dwa poglądy, dwa stanowiska. Jedno polega na odrzuceniu historii: „ja się historią nie zajmuję, bo to nie jest ciekawe, to jest smutne, straszne — nie warto". To jest źródło swoistego „odstępstwa" od ciągłości narodowych losów.

Drugie stanowisko wyraża się w szukaniu rekompensaty — przeżyć zastępczych. Jeśli przez 100 lat doświadczenie historyczne wykazuje ludziom, że wszystkie działania nie osiągnęły celu, a więc nie miały sensu, to naród wpada w jakimś stopniu w kompleks niższości, a naturalną rekompensatą tego jest właśnie mania wielkości. I tu znajdujemy tłumaczenie odbioru np. „Krzyżaków". Po obrazach tragedii i klęsk ludzie chcą zobaczyć na filmie wielkiego króla i polską potęgę, pasjonują się tym, że jest wspaniały dwór królewski, przychodzą posłowie obcych potęg, że muszą się z nami

liczyć. Ludzie szukają w tym wszystkim właśnie wielkości państwa.

Co z tym fantem robić? W jakim stopniu nauka historyczna i w ogóle cały zespół czynników wychowawczych może na to oddziałać? Czy powinniśmy iść za tym, co się dzieje samorzutnie w społeczeństwie, za „Krzyżakami", za niesłychaną popularnością Sienkiewicza, Kraszewskiego, Gąsiorowskiego i w ogóle wszystkich książek, w których się Polakom chociaż trochę coś udało? Weźmy np. Gąsiorowskiego, jego książki zawsze tak mądrze się kończą — na przykład p r z e d Lipskiem. Więc czy iść za tym, czy też uporczywie kontynuować chłodną analizę przeszłości — i wyniki tej analizy, często nader krytyczne, oskarżycielskie, z dużym osobistym zaangażowaniem, doprowadzić do mas? Mnie się zdaje, że ani tak, ani tak.

Historia nasza, o ile ją znam, wbrew obiegowym poglądom nie wydaje mi się wcale jakaś zupełnie wyjątkowa ani mądrzejsza, ani bardziej bohaterska, ani mniej owocna niż historia paru innych narodów. Wydaje mi się dosyć zwyczajna. Sądzę, że przekazując wyniki badań historycznych, trzeba starać się stworzyć obraz historii prawdziwej, ale h i s t o r i i l u d z k i e j, budowanej przez osobistości zwykłe, które mają prawo do błędu, tworzonej przez ludzi, którzy jakoś dojrzewają w toku działania. I nie chodzi tu chyba o to, czy pokazywać różne opinie historyków o takich czy innych zagadnieniach, lecz raczej o to, aby pokazywać zmienność wartości tego czy innego problemu w zależności od okoliczności, czasu i miejsca.

Czy historią trzeba się jakoś szczególnie w tej chwili zająć? Mnie się zdaje, że bardzo. Po to, żeby wyjść na spotkanie tym wszystkim zapotrzebowaniom, po to, żeby jakoś jednak wyprostować wizję własnej przeszłości w oczach narodu. Jesteśmy uczestnikami procesu,

z którego znaczenia nie zawsze sobie dokładnie zdajemy sprawę, procesu, na który składają się i procesy migracyjne miasto-wieś, i zasadniczy proces migracyjny ze wschodu na zachód (to co ludnościowo było „wschodem" Polski, w tej chwili stało się zachodem). Z tej „kaszy" rodzi się przecież zupełnie nowy naród... Jakie będzie jego spoiwo, jego wspólny „konterfekt" — we własnych oczach?

„Normalka" — rzeczywistość historyczna

W jakim stopniu historia może pomóc publicystyce, filmowi, broszurce popularnej, wszystkiemu, co bezpośrednio dociera do mas i wychowuje je? Myślę, że przede wszystkim musi wyjść ze swego polskiego zaścianka, musi zacząć rozpatrywać problemy polskie „na tle epoki". Zawsze frapował mnie problem porównań w historii. Na przykład chodziliśmy pod Racławicami z kosami na armaty i od dawna spotykamy dwie interpretacje tego faktu. Jedni krzyczą: „Radujmy się, jakiż bohaterski jest naród, który potrafi robić takie rzeczy!" Drudzy zaś krzyczą: „Oto naród idiotów, jeśli na takie rzeczy sobie pozwala!" I właśnie interpretacja, a nie żadna wielka filozofia historii, jest czynnikiem, który kształtuje bezpośrednio postawę społeczeństwa. Jeśli zaś popatrzymy na ten fakt na tle historii europejskiej, to zobaczymy, że w tym samym czasie pod Valmy chodzono na armaty z pikami, zresztą z takim samym niezłym skutkiem jak pod Racławicami. We Francji nikt się temu nie dziwi. Przyjmuje się to jako określony fakt historyczny, który się jakoś tłumaczy, ale nie uważa się tego ani za szczyt heroizmu, ani za jakiś idiotyzm, tylko za normalne zjawisko na tle epo-

ki. Dopiero kiedy mamy możność porównania z tym, co się działo gdzie indziej na świecie, zyskujemy skalę ocen. Czy dany czyn był na poziomie „przeciętnej światowej", czy też jest poniżej lub powyżej przeciętnej rozsądku i stopnia wykorzystania możliwości? Takie właśnie oceny są nam bardzo potrzebne.

Dzisiaj, uprawiając historię, trzeba liczyć o wiele więcej, niż liczyli historycy XIX wieku. Chcemy uczyć naród wiedzy o przeszłości po to, by zaszczepiać mu r o z s ą d n y stosunek do własnej historii, a co za tym idzie — do zjawisk nas otaczających. Na przykładach historycznych chcemy przecież wytworzyć właściwy, m. in. realistyczny, stosunek do otaczającej nas problematyki.

Trzeba natomiast bardzo uważać ze swoistym „pocieszaniem się", zwłaszcza argumentami moralnymi, oraz np. wkładem Polaków do osiągnięć innych społeczeństw. Moralna wartość powstań, przenoszenie „kagańca" świadomości i ducha narodowego, wszelkie sprawy trochę z gatunku metafizyki zawierają wprawdzie pewne elementy zupełnie realne, ale u nas są za bardzo podkreślane. Przecież wszystko to są kompensaty. Pocieszanie się, że ten czy ów naukowiec światowej sławy jest z pochodzenia Polakiem, że takiego korowodu bohaterów, prosto z pola walki wstępujących do nieba, nie można znaleźć w żadnym innym narodzie, to jest tylko kompensata.

Pokolenie, które w tej chwili w sposób decydujący oddziaływa na kształtowanie się świadomości następnych pokoleń, jest pokoleniem, które przeniosło na swoich plecach drugą wojnę światową. To pokolenie w tej chwili oddziaływa na dwie trzecie narodu — na młodzież, która o tamtej epoce niczego nie wie z własnego doświadczenia, lecz uczy się wszystkiego od ojca w domu, od nauczyciela w szkole, od dziennikarza, który

też z tego samego pokolenia pochodzi, od filmowca, od autora popularnych „Tygrysów", które nauczyły nasz naród historii drugiej wojny światowej, ale nieraz w bardzo dziwnym sosie itd.

To pokolenie wojenne jest, jak to się mówi, „ciężko uderzone" przez historię i jest zagrożone przeświadczeniem o bezsilności człowieka wobec historii.

Lata 1939, 1944, 1952 — to też są pieczątki w świadomości społecznej, z którymi trzeba się liczyć. Ludzie się przed przekreśleniem sensu swego życia bronią. Wielki wybuch kombatanckich uczuć w ostatnich latach był także próbą pokazania, że choć wiele się nie udało, przecież jednak jakieś wartości w tym samym naszym działaniu wojennym były.

Problemy te same się nie rozwiążą, ale muszą być przedmiotem bardzo czułej, bardzo wnikliwej analizy, pełnej ciepła, pełnej jakiegoś umiłowania historii i wysiłków narodu oraz życzliwości wobec ludzkiej aktywności, działania na rzecz społeczności, działania nawet podporządkowanego złemu kierownictwu, ale zrodzonego ze szczerych patriotycznych pobudek. To właśnie trzeba „liczyć", to jest analizować koncepcje polityczne, pokazywać problem zależności wyników ludzkiego wysiłku od politycznego kierownictwa, problem zmarnowanego wysiłku żołnierskiego i winowajców klęsk (czego nie należy rozumieć jednak w sensie kryminalnym), a także problem słusznego kierownictwa, owocnego wysiłku, bohaterstwa nie zmarnowanego, w pełni skutecznego.

Moje credo: myślenie ma kolosalną przeszłość

Dyskusje dotyczące stosunku do tradycji walk zbrojnych narodu i głośnych czynów żołnierskich interesują

mnie przede wszystkim ze względu na ich znaczenie światopoglądowe. Mamy wreszcie młode pokolenie, wyrosłe w normalnych warunkach pokojowej pracy, z wyraźnie rysującą się perspektywą budowy powszechnego dobrobytu. Jaka będzie wizja przeszłości, którą utrwalimy w jego uczuciach i wyobraźni? Jak wpłynie w konsekwencji na jego aktualną postawę, a zwłaszcza na poczucie obowiązku społecznego?

Przeraża mnie, jak bardzo odległe od rzeczywistości są wizje rozpowszechnione w naszym społeczeństwie. Ani bohaterszczyzna, ani antybohaterszczyzna, ani wreszcie ów materializm ekonomiczny (bo przecież nie historyczny) nie dają prawdy o przeszłości. Nieprawda antybohaterszczyzny powstała jako polemika z nieprawdą bohaterszczyzny, jej rzecznicy jednak zdają się sądzić, że polemizują z prawdziwą historią.

Chodzi po prostu o sprowadzenie spraw do właściwych wymiarów. Ruch antybohaterski dokonał czegoś zgoła innego: wziął mity za dobrą monetę, zmieniając jedynie komentarz. Co było nazwane świętym, nazwano bezsensownym. Co było wyrazem walki o pewne ideały — nazwano głupim. Pozostaliśmy jednak dalej w błędnym kole fałszywego widzenia historii.

Co robić?

Po prostu nie kłamać. Mieć trochę historycznego spojrzenia, a więc przedstawiać człowieka na tle epoki i jej możliwości. Ukazywać prawdziwe problemy ludzkie, a nie oderwane od tła symbole. Chodzi o człowieka, po prostu o człowieka, który chce coś zrobić w trudnej sytuacji, szuka wyjścia, nie boi się ryzyka decyzji, kierując się motywami ideowymi — czy będzie to walka społeczna, czy narodowowyzwoleńcza. Właśnie dlatego, że młodzież jest albo „czysta", nie skażona wiedzą, albo już „zepsuta", zdezorientowana, trzeba w sposób szczególnie odpowiedzialny przekazywać jej

nauki naszej historii. I nie trzeba hasła pokolenia: „myślenie ma kolosalną przyszłość" przeciwstawiać całej naszej historii. Myślenie ma również kolosalną przeszłość.

Walka o prawdziwą wiedzę o przeszłości to istotny fragment walki oportunizmu z ideowością. Czymże jest tzw. antybohaterszczyzna jak nie próbą stworzenia „nadbudowy ideologicznej" dla ograniczonej postawy mieszczańskiej, negującej sens działania, podjętego w innym interesie niż interes osobisty? Niezwykłe wprost uczulenie reprezentantów takiej postawy na naszą tradycję historyczną jest zrozumiałe — ona uczy nas bowiem czegoś wręcz przeciwnego. Stąd ta furia w stosunku do ludzi, którzy nie szczędzili trudu i nadstawiali głowy w imię „niesprawdzalnych" pojęć: ojczyzny czy wolności. W moim natomiast przekonaniu tę właśnie tradycję należy ocalić, jeżeli chcemy skutecznie przeciwdziałać zjawiskom zobojętnienia społecznego.

Na czym bowiem polegała przede wszystkim tradycja polska począwszy od powstania Kościuszki aż po drugą wojnę światową? Na dobrowolnym, świadomym „wyjściu z chałupy" w celu podjęcia walki o coś więcej niż ta tylko chałupa. Jest to więc tradycja nakazująca pamiętać o nadrzędności interesu społecznego. To właśnie należy z niej ocalić. I coś jeszcze: umiejętność podjęcia ryzyka działania.

Kiedyś opowiadano taką anegdotę: „A jakie pan ma oblicze? — Jak sobie dobrze obliczę, będę wiedział, jakie mam oblicze". Jeżeli niektórzy powiadają dzisiaj, że wszyscy ci, co ryzykowali w naszej przeszłości, „źle obliczyli", mylili się, nasuwa się wniosek: lepiej w ogóle nie szukać dla siebie oblicza, lepiej po prostu nie angażować się, siedzieć w domu.

Wydaje się również, że doświadczenia ostatniej woj-

ny nie są właściwie wykorzystywane. Panuje jakaś raczej wiecowa forma odwoływania się do tych wydarzeń, nawiązująca w istocie do wzorców bohaterszczyzny. Młodzieży ukazuje się posągowych bohaterów (zresztą przeważnie poległych), a znowu brak prawdy o człowieku, o tym, jak dokonywał swego wyboru. A przecież były to sprawy skomplikowane, choćby ze względu na ostrą walkę polityczną w społeczeństwie. I tu mamy kapitalny problem: politycznego rozsądku, szukania nie byle jakiej drogi dla swej aktywności, ale drogi w aktualnych warunkach najlepszej. W tej sprawie w odniesieniu do czasów wojny i okupacji rozpowszechniona jest u nas „teoria przypadku" — kto, z kim się w konspiracji zetknął. Ale to nie jest zgodne z prawdą. Reguła polegała jednak na umiejętności dokonania wyboru — świadomego politycznego wyboru. Stąd przecież ten ogólny — w końcu okupacji — „ruch na lewo". Dziś poznajemy coraz lepiej szczegóły tego procesu rozwojowego — radykalizacji szeregów AK, „odpadania" ludzi i całych oddziałów, przyłączania się do AL itd.

Sens mówienia o tradycji ostatniej wojny tkwi również w czym innym. Oto ruch narodowowyzwoleńczy, kierowany przez partię, był ruchem zwycięskim. A więc nie ma jakiegoś fatalizmu historii. Pięć pokoleń, być może, myliło się, być może nie znalazło historycznej możliwości zrealizowania swej racji. A jednak szóste miało rację i nie zaprzepaściło okazji, stwarzającej możliwość jej realizacji.

„Naród bez mózgu..."

„Naród bez mózgów, (...) naród zaopatrzony tylko w serce i w ciężkie łapy do bicia (...). Naród, który sam do siebie traci sympatię".

(Z recenzji słynnego polskiego filmu „Popioły" A. Wajdy)

„My rozumiemy Wajdę, bo on mówi o bezsensie życia naszego pokolenia..."

(Głos w dyskusji o tym filmie)

Listy do przerażonego

„Moim pierwszym odczuciem było przerażenie. Lęk na myśl, że należę do tego samego narodu, którego czyny pokazano na ekranie. Burzyciel sumień, Stefan Żeromski, poprzez film Wajdy ręką zza grobu jeszcze raz spędza nam sen z powiek. Dławi wstydem".

(Z opinii wrażliwego krytyka o „Popiołach" Andrzeja Wajdy)

„Beznadziejnie głupia wystawa i za dużo straszy".

(Wpis uczennicy do księgi pamiątkowej wystawy scen, kostiumów i rekwizytów z „Popiołów" Wajdy)

List pierwszy

Szanowny Panie!

Na marginesie premiery filmowych „Popiołów" ogłosił Pan [11] swe refleksje o książce Żeromskiego, o filmie Wajdy, o „popiołach napoleońskich wojaków", o „losie polskim".

Należę do ludzi, których obchodzi przede wszystkim sprawa i dzisiaj ważna — sprawa polskiej samowiedzy — naszej własnej dzisiejszej świadomości „losu polskiego" i jego nauk. Niestety, nie miałem jeszcze okazji obejrzenia filmu i nie o film mi tu chodzi, lecz o te myśli ogólniejsze, którym dał Pan wyraz w swojej wypowiedzi. Mianowicie nie wszystko w niej jest dla mnie jasne i — przykro mi — lecz nie wszystko potrafię zrozumieć. Mam nadzieję, że zechce mi Pan pomóc udzielając odpowiedzi na kilka pytań. Chociaż jest to w pewnym sensie sprawa między nami, to skoro już Pan pewne kwestie postawił na łamach gazety, myślę, że pożyteczne będzie przeanalizować je publicznie.

Najprostsze z moich wątpliwości dotyczą właściwego sensu niektórych słów używanych w dyskusjach o polskim losie. Czy aby wszyscy wkładamy w nie jednakową treść?

Pisze Pan na przykład, że „Popioły" Żeromskiego to „próba wymierzenia sprawiedliwości polskiemu bohaterstwu i polskiej bohaterszczyźnie".

Myślałem zawsze, że bohaterszczyzna to bohaterstwo traktowane jako swego rodzaju wyczyn sportowy bez względu na cel i sens żołnierskiego działania, rekord — dla samego rekordu. Doprawdy nie ma bohaterszczyzny w „Popiołach" Żeromskiego, tak jak nie ma jej w czynach polskich w epopei napoleońskiej. Nawet pod Somosierrą — zgodnie ze świadectwem uczestnika szarży por. Niegolewskiego — jeżeli myślano o dokonaniu „pięknego czynu", to po to właśnie, aby ofiarować go Napoleonowi — w zamian za Polskę. Koncepcja pewnie dziecinna, naiwna, ale jednak pragmatyczna, a nawet „kupiecka", daleka od kultu czynu dla samego czynu. Jeśli więc używa Pan pojęcia bohaterszczyzny w rozważaniach o „Popiołach" i polskim losie w epoce napoleońskiej, to myślę, że w tym słowie kryje Pan inne treści, których nie mogę uchwycić.

Pisze pan dalej, że „Popioły" Żeromskiego należą po trosze do cyklu „narodowej, mimo wszystko — tromtadracji". Pisze Pan, że również film nie jest wolny od tej tromtadracji, bo „są konne galopady, szarże ułańskie, furkoczą proporczyki na lancach, tną pałasze, maszerują malowani chłopcy".

Czy tromtadracja polega według Pana na tym, że jeździ się konno, walczy lancami i pałaszami? Zawsze myślałem, że to słowo zawiera jakieś głębsze i wyraźnie pejoratywne treści... Konie, lance, pałasze, kolorowe mundury to przecież po prostu historia, i to nawet nie historia człowieka, a historia techniki wojennej. Rozwój społeczeństw stworzył takie środki techniczne, a środki podyktowały takie sposoby prowadzenia walki. A że proporczyki furkoczą? — no cóż, koń w galopie idzie dość szybko, pęd powietrza musi poruszać proporczyki...

Pisze Pan też, jak w filmie pokazano: „tę operetkową scenę, gdy nasz Pepi z nieodłączną fajeczką w zębach

atakuje Austriaków pod Raszynem". Dlaczego scenę tę uważa Pan za operetkową? Dla mnie „operetkowe" było zawsze działanie nieprawdziwe, teatralne i śmieszne — papierowy strój, tekturowa dekoracja, malowane rekwizyty, farba zamiast krwi. Generał Poniatowski — że opuszczę ówczesne zwyczajowe tytuły — wziął do ręki autentyczny karabin, nie atrapę. Na grobli falenckiej brzęczały kule prawdziwe, prawdziwe były też trupy padające wokoło, prawdziwa krew i prawdziwa śmierć. Tam, gdzie jest prawdziwa śmierć, tam się kończy śmiech i sztuczność, kończy się teatr, a tym bardziej operetka. Można dyskutować o sensie obrony kraju przed najazdem austriackim w 1809 roku, o sposobie przeprowadzania bitwy raszyńskiej, o celowości osobistej interwencji dowódcy, własnym przykładem świadczącego wojsku, że rozkaz, który wydał, uważa za konieczny i ważny, wart wystawienia się na ryzyko śmierci. To już historia Polski albo sztuki wojennej, ale nie teatrologia... Być może operetką była Blacha, ale nie Raszyn.

Nie rozumiem też żalu, który Pan wyraził w słowach adresowanych już wyraźnie do filmu: „To historia bohaterska o niebohaterach. Okropna jest ta ich fantazja, dziarskość, siła, młodość, swoboda — zarazem kompletna bezradność, niemożność, gdy pojawia się szansa dokonania czynu chlubnego, chwalebnego. Wspaniały, sympatyczny bohater Rafał nie może wybronić Michcika przed kaźnią, nie może sprzeciwić się powieszeniu inwalidy, weterana z kampanii włoskiej..."

Jakżeż to? Przecież kaźń Michcika to punkt przełomowy w edukacji moralnej Rafała Olbromskiego. Przecież nie urodził się ze świadomością tego, że wszyscy ludzie są równi. Potrzebny jest wpływ brata-jakobina, potrzebne jest własne poniżenie — incydent z księżniczką i potrzebny jest jeszcze ów obraz hańby Michcika.

„— Szanuj mnie, psiekrwie, człowieka wolnego" — woła Michcik i Rafał — szlachecki syn szlacheckiej Polski, po raz pierwszy to słyszy i rozumie. Później pójdzie w świat, by szukać drogi do wolności. Lecz cóż ma zrobić natychmiast, gdy austriaccy żołnierze walą kijami weterana? Czy Pan chce, żeby jeszcze niedojrzały, ledwie zaczynający myśleć — zaraz rzucił się sam jeden z gołymi rękami na porządek społeczny ułożony przez własnego ojca, a strzeżony przez zaborczych żołnierzy? Czy nie za wiele Pan wymaga od tego kilkunastoletniego uczniaka?

Natomiast gdy austriaccy dragoni na Krakowskim Rynku wieszają ludzi, którzy próbowali uciec do powstania — Rafał nie pozostaje obojętny. Przecież właśnie sam jest w drodze i nie zrażony śmiercią tamtych przedziera się przez granicę i wstępuje do wojska polskiego, które — jak ma prawo sądzić — będzie skuteczniejszym niż gołe pięści narzędziem walki przeciwko zbrodniom zaborców.

Jak godzi Pan oskarżenie o kompletną bezradność i niemożność ludzi epopei napoleońskiej, jak i literackich bohaterów „Popiołów" — z rzeczywistością, zarówno historii, jak i książki, gdy obie o niczym innym nie mówią, jak tylko o olbrzymiej, niesłychanej erupcji aktywności ludzkiej, są epopeją czynu, a zarazem — jak książka — bólem nad zawiłymi drogami jego niezamierzonych skutków.

Na wstępie swych refleksji nadaje Pan „Popiołom" miano „jednej z najbardziej gorzkich, rozpaczliwych polskich historii". Wszystkie dalsze uogólnienia Pańskie nasuwają myśl, że mówi Pan tu nie tylko o filmie, lecz szerzej — o jego materii historycznej, o epopei napoleońskiej. Jeśli dobrze zrozumiałem, to czy nie zechciałby Pan wyjaśnić, dlaczego za „jedną z najbardziej gorzkich i rozpaczliwych polskich historii" uważa

Pan ten właśnie okres, w którym — ogromną co prawda ceną ludzkiego bólu, krwi i goryczy — wysiłek patriotyczny stworzył jednak podstawowe elementy składowe nowoczesnego narodu polskiego: jego świadomość narodową i organizacyjne formy życia. Okres, w którym z dna klęski, zniechęcenia, moralnego rozkładu siłą patriotyzmu najlepszych, złączonego z wpływem mniej lub bardziej radykalnie rozumianych wzorów rewolucji francuskiej, powstawał zrąb polskiego życia — niewymownie nowocześniejszy niż Polska Konfederacji Barskiej i Targowicy. Zrąb oparty o niewątpliwie postępowy Kodeks Napoleona, powszechne jak na ówczesne czasy szkolnictwo, narodową administrację, skarbowość i po raz pierwszy nie stanowe, lecz ogólnonarodowe wojsko. Zrąb dostatecznie trwały, choć zwał się tylko Księstwem Warszawskim, a nie Polską, by przetrwać katastrofę Napoleona. Przecież u progu epoki napoleońskiej Polska zda się na zawsze i doszczętnie skreślona została z mapy Europy, wykazu spraw europejskich i języka politycznego ówczesnego świata. Czy Pan zapomniał, że przed Legionami, przed Powstaniem Wielkopolskim 1806 roku istniały tylko „Prusy Południowe", po tym wszystkim zaś — okazało się jednak niemożliwe odebranie Polakom własnego języka i narodowej szkoły w Warszawie, Krakowie i Poznaniu?

Czy nie sądzi Pan, że na etykietkę „jednej z najbardziej gorzkich i rozpaczliwych polskich historii" zasługiwałaby bardziej historia nieco wcześniejsza, te cztery lata między 1791 a 1795, kiedy żywy, wzbierający siłami twórczymi naród nim zdążył okrzepnąć, został rozszarpany przez trzech drapieżników, pozbawiony możliwości unowocześnienia się i rozwoju, zepchnięty z powrotem na dno, skazany na zagładę?

Czy najbardziej gorzką polską historią nie byłby los

żołnierzy armii Sejmu Wielkiego i Powstania Kościuszkowskiego, kosynierów Bartosza Głowackiego, rzemieślników warszawskich Jana Kilińskiego, od razu na polach przegranych bitew ubieranych przemocą w austriackie kamasze, w pruskie pluderki, w carskie grenadierskie czapy, albo też los chłopów polskich i polskich rzemieślników, bezimiennych, nieobecnych w polskiej literaturze i w historii — przez sto lat „wybieranych w rekruty" przez władzę zaborców i w obcych mundurach w interesach obcych cesarzy słanych na Kaukaz i do Serbii, przeciw rewolucji francuskiej i chłopskim powstańcom nad Wołgą — ku szkodzie i zgubie innych narodów, ku niepowetowanej stracie dla własnego narodu, krwią swoją i wysiłkiem wzmacniających trójstronny system zbrodni, ciążący i nad naszym krajem, i nad całą Europą?

Lecz może miał Pan na myśli „Popioły" Żeromskiego, nie epokę, lecz tylko książkę? Zapewniam Pana, że aczkolwiek „Popioły" są istotnie wstrząsające, znam kilka bardziej gorzkich i rozpaczliwych „polskich historii". Nie mówię od razu o „Dziadach" drezdeńskich. Wystarczy „Powstanie Warszawskie" Borkiewicza albo protokoły Głównej Komisji do Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

Przejdźmy dalej. Pisze Pan dosłownie: „Ocean bólu, wycierpianego nie tylko przez nas, nie tylko przez naszych rodaków pradziadów — ale zadanego przez nich obcym ludziom, którzy wcale nie byli naszymi wrogami. I tego jest więcej. Więcej jest tych okropnych morderstw w cudzym interesie..."

Czy mógłby mi Pan powiedzieć, w jaki sposób Pan to obliczył? Oraz — i to najważniejsze — po co? Literatura polska, polska świadomość narodowa nigdy nie dały moralnego przyzwolenia na żadną — ani jedną — zbrodnię spełnioną przez jakiegokolwiek żoł-

nierza polskiego, bez względu na zachodzące liczne okoliczności łagodzące. Nigdy w Polsce nie liczono tak: za stu Polaków zgnojonych w Szpilbergu, Moabicie i Szlisselburgu wolno zabić jednego albo dwóch... Murzynów.

Jeśli zaś chodzi nie o moralność, lecz o statystykę cierpień, to nie sposób zapomnieć, że w czasie rozbiorów i niewoli wymordowano w Polsce kilka milionów ludzi — a właśnie przeciwko zaborcom i niewoli kierowały się zawsze serca legionistów, choć nie zawsze ich bagnety. A jednak San Domingo jest tylko degrengoladą Legionów, przeciwko której protestowali wówczas wszyscy — przy czym legioniści nie pojechali tam dobrowolnie i nie jako wojsko polskie. Hiszpania — krwawą zapłatą za miejsce w Europie, jeśli nie dla Polski, to przynajmniej dla Księstwa, zapłatą, która ani wówczas, ani później nie zyskała powszechnej aprobaty. W sensie ilości Polaków biorących udział w tych sprawach jest to drobny ułamek polskiego wysiłku w epoce napoleońskiej. W polskiej świadomości narodowej pochody te właśnie dlatego, że wyjątkowe, tkwią od dawna jako bolesna zadra. Myślę, że moralnie ratowała nas zawsze świadomość. Świadomość zbrodni, która znalazła tak wstrząsający wyraz w „Popiołach" Żeromskiego, lecz także w literaturze jak najbardziej „młodzieżowej" „ku pokrzepieniu serc" w rodzaju Gąsiorowskiego czy Przyborowskiego. Świadomość, dodajmy, nieobca również legionistom na San Domingo i żołnierzom polskim w Hiszpanii...

Powiada Pan „któż się tym wzruszy, kto się zlituje nad tragedią polskich chłopów mordujących Murzynów na Antylach". Czy wzywa Pan, aby się wzruszyć, czy twierdzi Pan, że poznawszy ogrom zbrodni nikt nie jest w stanie się wzruszyć? A przecież wzruszył się właśnie Żeromski, choć tak mało o San Domingo wie-

dział, dużo mniej niż my dzisiaj... A przecież zlitował się właśnie ów mordowany Murzyn dominikański...

Bo to nie było zupełnie tak, jak w „Popiołach" Żeromskiego, bo ten polski legionista wychowany na „Dekadzie legionowej" i wolnościowych ideach traktował je poważnie. Dezerterował masowo do powstańców murzyńskich, buntował się, zbiorowo odmawiał wykonywania rozkazów. Nie przypadkiem powstańcy inny zupełnie mieli stosunek do Polaków niż do Francuzów. I nie o awanturnictwie polskim świadczy fakt, że wielu Polaków służyło w armii powstańczej na San Domingo. Również w Hiszpanii nieodosobnione były fakty sprzeciwu, dowody sympatii wobec Hiszpanów, kontaktów i pomocy — bardzo niełatwe, zważywszy olbrzymie obustronne okrucieństwo tej wojny.

...To już nie pytanie, to tylko niepokój. Boję się, boję się bardzo tego Pańskiego sądu: „więcej jest tych okropnych morderstw w cudzym interesie", bo wyziera z niego wizerunek narodu najbardziej w tym wszystkim winnego, najbardziej ze wszystkich zbrodniczego... Boję się zwłaszcza, gdy sąd ten wspiera Pan twierdzeniem: „naród bez mózgu (...) naród zaopatrzony tylko w serca i ciężkie łapy do bicia".

Boję się nie tylko dlatego, że to monstrualna nieprawda, a łatwość, z jaką Pan formułuje sąd niszczący o całym narodzie — zdumiewa. Boję się również dlatego, bo nieraz już to słyszałem — w uzasadnieniach potrzeby rozbiorów Polski sporządzonych przez kancelarie trzech cesarzy, w głosach na Kongresie Wiedeńskim, w Wersalu. I później, już za naszej gorzkiej pamięci.

Dziś też słyszy się czasem taki sąd. Nie utracił on roli przydatnego narzędzia. Narzędzia zbrodni przeciwko prawom narodu i prawom człowieka... Bo przecież taki naród — to logiczne — nie zasługuje na byt

samoistny. W interesie „zdrowej" Europy trzeba go ubezwłasnowolnić. Bo przecież taki naród — to logiczne — nie zasługuje na demokratyczną samorządność. Zawsze musi być rządzony. We własnym rzekomo interesie...

Czyżby Pan o tym nie wiedział?

Pisze Pan, że film zaostrzył konflikty, powiększył okrucieństwo obrazu, pozbawił „Popioły" sentymentu do polskości, sentymentu do kraju i ludzi. Nie podejmuję się jeszcze wypowiadać w tej sprawie, być może, że ma Pan rację. Wiem jednak, że „Popioły" Żeromskiego tak jak i trudna, bolesna nasza historia nie dają podstaw do tego upiornego wrażenia, jakiemu daje Pan wyraz w swoich refleksjach. To: „patrzcie, jacy jesteśmy — okrutni, głupi, lecz wierni"; to: „naród zdradzony, lekceważony, pogardzany, naród, który sam do siebie traci sympatię". Te Pańskie słowa: „moim pierwszym odczuciem było przerażenie. Lęk na myśl, że należę do tego samego narodu, którego czyny pokazano na ekranie"; oraz te, że film „dławi wstydem".

Niestety, nie miałem jeszcze — jak wspomniałem — okazji obejrzenia filmu i nic o nim nie powiem. Ale Pan, Panie Redaktorze, nie wstydzi się filmu. Pan się wstydzi — narodu. Dlaczego? Pan przecież zna „Popioły" autentyczne, zna — jak słyszałem — Polskę epoki napoleońskiej, przynajmniej zajmował się Pan nią. Miał więc Pan okazję przekonać się, iż również w tamtej epoce nie byliśmy „narodem bez polityków" i „bez mózgów". Miał Pan okazję poznać tę walkę koncepcji politycznych, rozterki przywódców i dowódców, obywateli i żołnierzy, zrozumieć, jak było im niełatwo, jak mozolnie szukali dróg. Nie sądzę, aby należało zarzucać im naiwność. Wiem, że nie wolno zarzucać im bezmyślności.

Jeśli zaś chodzi o najogólniejsze oceny, „cenzurki"

wystawione narodowi, to myślę, że przedmiotem naszej chluby winno być to, że literatura polska zdobyła się na tę „okrutną odwagę", o której Pan pisze, by pokazać zbrodnie ludzi własnego narodu, mimo iż spełnione w sytuacji bez wyjścia, w rozpaczy i mimo iż stanowiły drobny tylko ułamek wielkiego pozytywnego wysiłku Polaków. Nim w oparciu o „Popioły" wypowie się słowo potępienia pod adresem naszego narodu, warto przypomnieć, że literatura innych narodów — przynajmniej do czasu narodzin moralistyki komunistycznej — nie zdobyła się na podobnie ostre potępienie zbrodni własnych rodaków, nawet gdy stanowiły one główną treść działalności milionów, a spełniane były bynajmniej nie z konieczności i nie w błędzie, i nie in articulo mortis, lecz w majestacie prawa, mocy, samozadowolenia i tłustej sytości.

Jednakże głęboka wrażliwość tej najszlachetniejszej sztuki nie powinna nam służyć za miernik w uogólniającej ocenie przeszłości, charakteru, wartości całego narodu. I jeśli środek doskonalący do niesłychanej precyzji sumienie narodowe, jakim jest sztuka Żeromskiego, został użyty tak, że odbiorca czy też pacjent ociera zimny pot przerażenia, ogarnia go lęk i wstyd, że „należy do tego samego narodu", to myślę, że środek użyty został niewłaściwie, że zabił pacjenta, że zerwał jego związek z ojczyzną.

Pisze Pan, że iskra nie powstaje z popiołów. Istotnie. Chyba że pod grubą warstwą popiołu, w który zmieniły się ciała tych, co czegoś chcieli, wciąż jeszcze tkwi niegasnący żar, ten sam, który ich ogrzewał. Żar „buntu żyjących", o którym Pan pięknie pisze. Z popiołów nie wykrzesze się iskier. I to prawda. Ale niedobre iskry krzeszą się ze wstrętu i wstydu, z nie-

chęci, pogardy i nienawiści. Do jakiegokolwiek narodu. Również do własnego.

Z szacunkiem
Zbigniew Załuski

List drugi

Szanowny Panie!

Nie z mojej to ani z Pańskiej winy rozmowa nasza, która przed miesiącem mogła wnieść coś oryginalnego do kwestii rzeczywistej treści „Popiołów" i ich społecznej użyteczności, rozwija się z opóźnieniem, dopiero teraz, gdy różnorakie aspekty dzieła Wajdy zostały już obszernie naświetlone.

Niewiele już można dodać do kwestii zgodności wizji Wajdy z wizją i intencją Żeromskiego. Przeciwko tezie o zgodności wypowiadają się, jak rzadko zgodnie, zarówno autorytety [12], jak i fakty. Żeromski oczywiście nie napisał powieści „optymistycznej", intencje jego były inne niż intencje Sienkiewicza. Jednakże gdy Żeromski pisał o rozdzieraniu ran, by nie zabliźniły się błoną podłości — nie tamte na myśli miał rany i nie tamte blizny szarpał. W „Popiołach" mówił o gorzkiej cenie narodzin nowoczesnego narodu i ktokolwiek bądź zapragnie udowodnić, że „Popioły" Wajdy i „Popioły" Żeromskiego są ideowo identyczne, musi najpierw albo dowieść, że Żeromski w przypominanej ostatnio przedmowie do szwedzkiego wydania nie napisał prawdy, albo pokazać, że film jest z nią zgodny i pokazuje, jak się rodzi nowy dziewiętnastowieczny Polak — patriota. Niestety, jak wszyscy wiemy, dobór obrazów w filmie podporządkowany jest pokazaniu ceny historii, z pominięciem wyników hi-

storii, bólów porodu — z pominięciem samych narodzin. Jest to tak oczywiste, że obrona tezy o jedności ideowej Żeromskiego i Wajdy spowodowana być może tylko przyczynami pozamerytorycznymi, takimi jak np. wola obrony filmu Wajdy przed niebezpieczeństwem, co prawda urojonym, ale pozornie tak wielkim, że usprawiedliwia wszystkie środki walki, między innymi nieuprawnione intelektualnie osłanianie filmu autorytetem Żeromskiego.

Niewiele też dodać należy do kwestii stosunku między wizją Wajdy a rzeczywistością historyczną, a prawdą epoki. I tu autorytety i fakty są zgodne. I tu tezę o zgodności trzeba odrzucić z tych samych powodów, dla których odrzucono tezę poprzednią. Czasy przedstawione w „Popiołach" to czasy odrodzenia, nie śmierci. Epopeja Wajdy mówi zaś o śmierci, o końcu epoki, o wysiłku, który niczego Polsce nie dał i niczego nie zostawił.

Wystarczy porównać sytuację międzynarodową i wewnętrzną, a także moralno-polityczną Polski w roku 1795 bądź 1797 i jej sytuację w roku 1815, aby dostrzec oczywistą błędność tej tezy. W roku 1795 Polska nie istniała już w polityce międzynarodowej. Jej podzielony organizm został zintegrowany administracyjnie i prawnie z organizmami zaborczymi. W świadomości ludzkiej, również polskiej, od prawicy do skrajnej lewicy (z nielicznymi wyjątkami), sprawa polska była na długo, jeśli nie na zawsze pogrzebana. W roku 1815 była faktem realnie istniejącym, z którym coś trzeba było zrobić, a „kwestia polska" stanowiła jeden z najistotniejszych problemów w rozgrywce między mocarstwami. Trzon jej ziem — dawne Księstwo Warszawskie — był administracyjnie i prawnie wyodrębniony i przeciwstawiony organizmom krajów zaborczych — cały wiek trwały wysiłki asymilacyjne, które zresztą nigdy

nie zostały uwieńczone pełnym powodzeniem. Istniała bardzo liczna ponapoleońska kadra ludzi na zawsze związanych z organizmem państwowym Polski, ze świadomością narodową polską, z nowym prawem i nowymi potrzebami.

W roku 1795 maksymalistycznym hasłem Polaków było: „wolność, całość i niepodległość". Właśnie Legiony proklamowały wolność, równość i braterstwo, a Księstwo Warszawskie zadekretowało w konstytucji: „Znosi się niewolę. Wszyscy obywatele są równi przed obliczem prawa. Stan osób zostaje pod opieką Trybunałów". Chłop polski w świetle prawa stał się obywatelem, chłop pruski, austriacki czy rosyjski pozostawał mniej lub bardziej chronionym, jednakże biernym przedmiotem praw, „mówiącym narzędziem", stanowił jak w Rosji carskiej przedmiot wolnego handlu, osnowę „siekomogo sosłowia" — stanu podlegającego chłoście.

W dalszej mieszczańskiej demokratyzacji stosunków i upowszechnianiu poczucia obywatelskiego ogromną rolę odegrało wojsko — równy i powszechny obowiązek służby wojskowej, ten fakt, że po raz pierwszy jednakowo do popisu i do służby stawali — na równych prawach — szlachcic, mieszczanin i chłop. Rzeczywiście później, po miesiącach wspólnej zwykłej służby, na stanowiska oficerskie awansowała przede wszystkim szlachta, jednakże ważna była ta formalna może, ale po raz pierwszy w Polsce wprowadzona równość, a właściwie zniesienie w ogóle cenzusu pochodzenia w służbie, w awansie na oficera, w przyjmowaniu do szkół. Z tym samym karabinem stali obok siebie w kolumnie obywatele — szlachcic, chłop, mieszczanin. A potem — przy jednym stole w radach gospodarczych zasiadali: generał — magnat, oficer — przeważnie szlachcic lub mieszczanin oraz podoficer,

starszy szeregowiec, chłop — po raz pierwszy wolny obywatel i kolega żołnierz. I nie chodzi o „zgodę narodową". Chodzi o uznanie „niskiego stanu" za ludzi i obywateli, czego w ościennych mocarstwach zaborczych nadal i długo jeszcze nie było. Oczywiście wszystko to wyrasta jakoś i z Sejmu Wielkiego, i z Powstania Kościuszkowskiego, i Legionów, lecz zadekretowane zostało i upowszechnione jako reguła w Księstwie. I nie wolno dopatrywać się winy Księstwa w owym „straszliwym wewnętrznym rozdarciu klasowym", bo odziedziczyło je po poprzedniej epoce. Jego zasługą zaś jest to, co zrobiło, aby to rozdarcie przezwyciężyć. Tak samo nie można obarczyć winą Księstwa za to, „co było po roku 1812" — to znaczy za klęskę Napoleona i upadek napoleońskiego ładu w Europie. Natomiast dorobkiem pokolenia napoleońskiego jest, że stworzyło fakty, których ani klęska Napoleona, ani zwycięstwo świętego przymierza nie mogły już odwrócić i całkowicie zlikwidować. Wysiłek Cedry i Rafała nie poszedł na marne. Zresztą w sposób niezwykle charakterystyczny sam Pan tu sobie przeczy, mówiąc, że naród „ponownie stracił wszystko". Co miałby do stracenia w roku 1812, gdyby czegoś nie zyskał w latach poprzedzających? Przecież u progu epoki napoleońskiej nie miał już nic!

Film zakrojony na miarę epopei narodowej nie mówi nic o tym, co było w tym czasie najważniejsze dla losów narodu! Oto istota rozbieżności między historią a wizją Wajdy. Oczywistość tej sprzeczności jest tego rzędu, że i tu, jak sądzę, próby pogodzenia Wajdy z historią nie mogą już płynąć ze zwykłego błędu, a raczej ze względów pozamerytorycznych. I tu, jak sądzę, w obawie przed domniemanym niebezpieczeństwem przejawia się dążność do obrony filmu za wszelką cenę, również za cenę naciągania historii, w któ-

rym słyszę echo niedawnych poglądów, kreujących Francję na trzeciego obok Prus i Austrii uczestnika rozbiorów Polski.

Pozostałaby więc sprawa Pańskiego i mojego stosunku do filmu. Tu potrzeba kilku wyjaśnień. Nie obejrzawszy filmu wyraziłem obawy co do jego interpretacji. Nie mogłem bronić filmu ani go atakować. Chciałem bronić zdrowego rozsądku. Było mi obojętne, czy Pan formułował własne poglądy, czy referował wyrażone w filmie poglądy Wajdy. Interesują mnie poglądy, a nie nazwiska ludzi, którzy je głoszą. Ostrzegałem przed niebezpieczeństwem fałszywego rozumienia nie filmu, lecz epoki i jej nauk historycznych i filozoficznych. Dziś w świetle Pańskiego listu rozumiem, że Pańskim zdaniem to właśnie film kreśli obraz narodu bez mózgów i bez polityków, zaopatrzonego tylko w serca i ciężkie łapy do bicia; narodu, który więcej czynów okrutnych popełnił w cudzym interesie niż dobrych we własnym. Czytam, iż Pan jest również zdania, że w ten przerażający sposób przedstawił Polaków właśnie Wajda. Nie jest tu istotne, czy odczytanie to rzeczywiście odpowiada intencjom Wajdy. Niestety, film zawiera dosyć materiału dla takiego właśnie zrozumienia go, a sąd Pański uznać można za zasadny. Stwierdzić przy tym warto, że tak odczytawszy film stał się Pan w sposób niezamierzony, obiektywnie niejako jednym z najbardziej bezlitosnych demaskatorów dzieła Wajdy i jednym z najsurowszych jego krytyków. Powstaje tylko pytanie: cóż z tego wynika? Albo zgadza się Pan z tym obrazem, albo też nie zgadza się Pan z nim. Albo uważa Pan, że obraz skreślony przez Wajdę jest prawdziwy, sprawiedliwie charakteryzuje naród polski, albo też uważa Pan, że obraz ten nie jest prawdziwy, fałszuje przeszłość Polaków, a więc jest oszczerczy. Odpowiedzi na te pytania nie znala-

złem ani w Pańskiej recenzji, ani — wyraźniej w Pańskim liście [13]. W liście bowiem stwierdza Pan najpierw trzykrotnie, że to nie Pan, ale Wajda tak widzi Polaków, a potem jednak, w nawiązaniu do rzekomych intencji Żeromskiego i własnych indywidualnych sądów o epoce napoleońskiej, a także w ostatnich słowach listu, zda się Pan z powrotem solidaryzować z tak przez Wajdę nakreślonym obrazem.

Panie Redaktorze! Nikogo nie będzie interesować nie kończąca się dyskusja, do której musi prowadzić nieprecyzyjność sądów. Są dwie możliwości:

a) wizja Wajdy jest Pańskim zdaniem prawdziwa;

b) wizja Wajdy jest Pańskim zdaniem nieprawdziwa.

W pierwszym wypadku dalsza dyskusja jest niecelowa, ponieważ nieprzyjmowanie oczywistych argumentów literackich i historycznych świadczy o pozamerytorycznym charakterze postawy obrońców tej wizji.

W drugim przypadku istnieją dwie możliwości:

a) Pan się nie solidaryzuje z Wajdą. Wówczas jestem szczęśliwy, ponieważ cieszy mnie zawsze, gdy zwycięża zdrowy rozsądek;

b) Pan uznaje wizję Wajdy za nieprawdziwą, a jednak pożyteczną z takich czy innych względów wychowawczych.

O ile jestem w stanie pojąć, mamy do czynienia z tą właśnie okolicznością. Stanowisko takie rozumiem, aczkolwiek nie podzielam go.

Z goryczą tylko przytoczyć mogę Pańskie zdanie adresowane do mnie: „Myli się Pan sądząc, że surowe sądy o historii narodu stoją w sprzeczności z miłością ojczyzny. Patriotyzm wymaga przede wszystkim prawdy". Rzecz w tym, że ja nigdy nie twierdziłem, że patriotyzm wymaga pobłażania. Uważam jednak, że wszelki sąd wymaga przede wszystkim rzetelnej znajomości okoliczności czynu, który ma być sądzony,

a więc przede wszystkim prawdy. Uważam, że nie tylko patriotyzm polski, ale zwykły rozsądek, wyciąganie nauk z historii i wychowanie społeczeństwa — wymaga prawdy. A prawda jest wielostronna. Nie tylko prokuratorska.

Problem dla mnie stoi tak: czy fałszywa wizja przeszłości (niezależnie od jej walorów estetycznych) jest wychowawczo płodna? Albo inaczej: czy dopuszczalne i celowe jest wychowywanie w oparciu o kłamstwo? Jest mi przy tym obojętne, czy to kłamstwo „na czarno", czy „na różowo".

Moim zdaniem: i nie można, bo to bezskuteczne, i nie wolno, bo szkodliwe.

Jeśli Pan uważa, że w celach wychowawczych należy bądź można przedstawiać fałszywy obraz wydarzeń czy to przeszłych, czy współczesnych, jeśli Pan jest zwolennikiem wychowania poprzez kłamstwo — dalsza dyskusja jest bezcelowa.

Sprawa „przyprawiania" naszej historii (a nie wykorzystywania prawdy historycznej) ad usum jakichś potrzeb wychowawczych nie jest rzeczą nową. Przed pięciu laty sformułowałem swoje sądy na ten temat w dosyć obszernej książce, która wzbudziła żywą dyskusję. Wówczas wielu krytyków sądziło, że wojuję z urojonym niebezpieczeństwem, że demaskuję rzekome zjawiska i przez nikogo nie wyznawane poglądy. Z głęboką przykrością przekonałem się z okazji „Popiołów", że krytycy moi nie mieli racji, a analizowany w mojej książce styl myślenia nadal owocuje dziełami artystycznymi i wystąpieniami publicystycznymi. I to by było wszystko.

Należy się Panu ode mnie jeszcze jedno: wyraźne stwierdzenie, jaki jest mój stosunek do „Popiołów" Wajdy. To, co miałbym do powiedzenia o genezie tego filmu, o jego sensie i o jego społecznej użyteczności,

napisałem przed pięciu laty w „Siedmiu polskich grzechach głównych".

Jak Pan widzi, starałem się pominąć wszelkie nieporozumienia — wierzę, iż tylko intelektualne — w naszej wymianie listów. Gdybym zaczął prostować nieścisłości, nieuprawnione Pańskie sugestie i zakamuflowane oskarżenia, nigdy nie doszlibyśmy do meritum sprawy. Muszę tylko zaznaczyć, że z sześciu pytań, jakie Panu zadałem, na dwa nie odpowiedział Pan wcale, na dwa odpowiedział Pan nieściśle, dwa zaś potraktował jako obraźliwą insynuację, choć doprawdy niczego Panu nie chciałem insynuować, bardzo chciałem natomiast uzyskać zrozumiałą odpowiedź, tłumaczącą powody takiego formułowania sądów przez Pana. Stoję na stanowisku, że nie ma nietaktownych pytań, są tylko nietaktowne odpowiedzi. Uważam, że prawo zadawania pytań jest takim samym dobrym prawem z zakresu wolności obywatelskich, jak i prawo formułowania poglądów.

Z szacunkiem

Zbigniew Załuski

POPIÓŁ POKUTNY

Notatki ze złego snu, czyli
Andrzeja Wajdy „Popioły".

O godzinie 20 minut 5 prawie codziennie ze szklanego okienka wychyla się miła pani i ciepło, lecz zdecydowanie, oświadcza: „Przypominam, że film, który za chwilę pokażemy, dozwolony jest od lat szesnastu".

Bo się całują.

Codziennie od drzwi polskich kin, na tysiącu seansów w setkach miejscowości bileterki odpędzają dzieci. Niedozwolone. Bo pokazują kolana. Albo, co gorsza, całują się.

Jednakże nikomu nie przyszło do głowy odpędzać nieletnią młodzież od reklamowych stendów filmu Andrzeja Wajdy „Popioły", rozstawionych na głównych placach i pryncypalnych ulicach wszystkich miast polskich. Zgwałcone i pomordowane mniszki, zarzynani na chłodno Murzyni, najokropniejsze sceny przemocy, gwałtu i zbrodni w ogromnych fotograficznych powiększeniach bądź realistycznych, nadnaturalnej wielkości „wcierkach" przez długie tygodnie straszyły przechodniów — starców, kobiety i niewinne dzieci.

Trzeba było powszechnego protestu rodziców i nauczycieli, by wreszcie po długich oporach zmieniono kwalifikację filmu z „dozwolony od 11 lat" na „dozwolony od lat 16" i aby przestano prowadzić uczniów szkół podstawowych całymi tabunami do kina na przy-

musowe oglądanie „żywych obrazów" do szkolnych lektur obowiązkowych. Natomiast wystawa, urządzona przez muzeum im. Adama Mickiewicza — ów koszmarny „Grand Guignol", gabinet figur woskowych ubranych w kostiumy i ustawionych w sceny z „Popiołów" Wajdy, jeszcze długo funkcjonowała w Warszawie, a potem objechała całą Polskę.

A były tam rzeczy ciekawe... Nad woskową kukłą z tekturowym nożem w piersi, przedstawiającą trupa zakonnicy, zgwałconej przez legionistów polskich, wionęły subtelnie nadawane z ukrytego głośnika dźwięki i słowa pieśni legionistów „Jeszcze Polska nie umarła". Obok grupy przedstawiającej rozpasanych pijanych żołnierzy polskich, znęcających się nad zwłokami hiszpańskiego powstańca i za jednym zamachem bezczeszczących święte relikwie jakiegoś klasztoru, stanęła gablota z odznaczeniami wojskowymi, z krzyżem Virtuti Militari na czele. A wszystkiemu patronował gołąbek pokoju, wielce odkrywcze hasło, że wojna jest wstrętna, i wielokrotnie przywoływany duch Stefana Żeromskiego, tego, co to rany szarpał, by nie zarosły błoną podłości... I nigdzie, ale to nigdzie nie można było znaleźć prawdziwego tekstu „Popiołów" Stefana Żeromskiego, właściwych, jego własnych słów, wyrażających nie mniej i nie więcej, lecz tylko i dokładnie jego własne uczucia i myśli, poświęcone epoce napoleońskiej i jej ludziom...

Czy to Żeromski?

„Popioły" Stefana Żeromskiego dają wstrząsający, okrutny obraz wojny, jakiego nie znała literatura światowa, bodaj że do czasu pojawienia się pacyfistów po pierwszej wojnie światowej. Wielkie panoramy historyczne odmalowane przez Francuzów czy Rosjan

w XIX wieku tchną klasycystycznym umiarem, olimpijskim spokojem w porównaniu z tą rwaną, pulsującą autentycznym bólem, nieomal histerycznie krzyczącą opowieścią Żeromskiego o tym, jaki ludzie ludziom i sobie samym zgotowali los. W sztuce światowej podobnie namiętny protest znaleźć można tylko u Goyi i miał prawo Wajda opowiadać Żeromskiego obrazami Goyi. Ale całego Żeromskiego. Bez opuszczeń, bez retuszów. Jakże charakterystycznych.

Nieludzka prawda wojny, przekraczający wszelką miarę tragizm polskich losów, jest jednak przecież rzeczą ludzką, rzeczą człowieka, wszechstronnego, skomplikowanego, uwikłanego w historię i historię współtworzącego. Ale gdy się ogląda „Popioły" filmowe, „Popioły" Andrzeja Wajdy — choć niby wydarzenia te same, bohaterowie ci sami, problemy te same — nie sposób oprzeć się wrażeniu: jak mało tu Żeromskiego! Ani jego subtelności, ani zrozumienia człowieka, złożoności jego postaw, ani ciepła w ukazaniu kraju i ludzi, ani tej osobistej nuty w oskarżeniach, jaką daje ból własnego serca. Pozostał chłód, twardy zdecydowany kontur, jednoznaczność, czerń. Wszystko, co złe, zostało zaostrzone, natrętnie dopowiedziane do końca. Wszystko, co dobre — odrzucone bądź przeinaczone, zbrutalizowane. Więcej — spodlone.

Czyta się w wypowiedziach Wajdy peany na cześć Żeromskiego i przysięgi dochowania wierności jego myśli i uczuciu. Mówi Wajda: „Film jest tylko adaptacją dzieła Żeromskiego (...) Przebieg akcji filmu w zasadzie pokrywa się z jej przebiegiem w powieści (...) Szliśmy możliwie najwierniej śladami jego trzech bohaterów..." [14]

I wreszcie: „Nie wydaje mi się, aby można było zrealizować wersję filmową »Popiołów« przeciwko »Popiołom« Żeromskiego, przeciwko autorowi" [15].

Okazało się jednak, że można. I to za pomocą stosunkowo niewielkich zabiegów. Czasem wystarczyło skreślić jedno zdanie, czasem zmienić jedno słowo, a obraz zbudowany na tym zmienionym słowie dokonał reszty. Czasem skreślono cały rozdział, a rozbudowano do rozmiarów nowego trzy zdania z innego. Drobiazgi — ale jak to w filmie: nieważne, co się mówi, ważne, co i jak rusza się na ekranie.

Zacznijmy od drobnych poprawek. Czasem wręcz śmiesznych. Podrostek szlachecki, Rafał Olbromski, trafia na dwór wielkiego pana w europejskim stylu, księcia Gintułta. Proszą do stołu. Obiad. U Wajdy — dzikus roztrąca wydekoltowane hrabiny, rzuca się łapczywie na jedzenie, jak gdyby w życiu nie siedział przy stole, a nadto gada i zachowuje się tak, iż rychło staje się pośmiewiskiem dla całego wielkopańskiego, kulturalnego towarzystwa. Pomijam już słuszną uwagę Melchiora Wańkowicza, iż tego rodzaju prostactwo nie mieściło się w zasadach dobrego tonu, które te najbardziej nawet skorumpowane, zepsute, reakcyjne wielkopańskie domy miały jednak znakomicie opanowane, iż w stylu tej warstwy leżało nie dostrzegać gaf, popełnianych przez współbiesiadników... Ale przecież sam Rafał u Żeromskiego przez trzy co najmniej strony drży, aby się nie skompromitować, nie uchybić swej godności wobec tak znakomitego towarzystwa, nie ujawnić swego skrępowania i niewiedzy. I wreszcie przy stole dosłownie: „nierychło podniósł łyżkę do ust", a potem jadł „z sakramentalnym namaszczeniem". Paplające zaś po francusku towarzystwo oczywiście ostentacyjnie nie zwróciło uwagi na jego szaraczkowy strój i wytarty na łokciach kaftan.

W imię czego zbrutalizowano tę scenę? To się zaraz okaże.

Drugi przykład: Tom III „Popiołów", obrona Sandomierza w roku 1809 przed nacierającymi Austriakami. Austriacy opanowują klasztor św. Jakuba, widmo klęski staje przed obrońcami miasta, na rozkaz generała Sokolnickiego bateria polska wycelowuje działa w starodawne mury, pełne historycznych pamiątek, szacownych trumien wielu pochowanych tu pokoleń sandomierzan. Stary Gintułt, który już od dawna, wycofawszy się z aktywnej politycznej działalności, snuje się po pobojowiskach Europy, starając się bronić wiekowego dorobku ludzkości przed zarzewiem wojny, rzuca się na generała Sokolnickiego: „Wstrzymaj rozkaz, generale (...) Święte popioły rujnujesz i depcesz... Czyliż nie widzisz, co zburzą te kule?" (...)

Tak jest w powieści i tak jest w filmie. Lecz w filmie nadal padają kule i Gintułt masońskim wezwaniem: „Do mnie, dzieci, wdowy" stara się pokrzyżować niszczycielski rozkaz Sokolnickiego.

W powieści natomiast Żeromski daje Sokolnickiemu replikę, argument nie słabszy niż troska Gintułta o pamiątki przeszłości. Sokolnicki odpowiada: „Widzę nie gorzej od Waści. Ale zburzę święte popioły dla ocalenia żywego miasta..."

Dwie małe poprawki w stosunku do tekstu i do intencji Żeromskiego, ale jakże charakterystyczne.

W pierwszej ogólne strywializowanie, „obchamienie" bohaterów opowieści, ludzi, o których mowa, Polaków epoki napoleońskiej. W drugiej pozbawienie tych ludzi motywacji ich czynów, pozbawienie argumentów uzasadniających ich wiarę w sens małych i wielkich działań, które podejmują.

Nieprzypadkowo nie znalazło się w czterogodzinnym filmie miejsca na postacie tych, tak ważnych dla opowieści Żeromskiego postaci, które miały coś niecoś do powiedzenia na temat ogólnego sensu dziejącej się

historii, które potrafiłyby uzasadnić swą wiarę w czyn, w imię której sami nadstawiali karku i prowadzili żołnierza polskiego na pola walki o niepodległość. Nie ma w filmie Sułkowskiego, bo to on gniewnie rzuca Gintułtowi: „Znienawidziłeś wojnę! I to po tym, cośmy widzieli! (...) Po tej hańbie, która mi kopytami zmiażdżyła duszę! Więc mam przejść przez to krótkie życie jak obserwator? Nic nie uczynić?" Nie ma w filmie Dąbrowskiego, który dobrze wie, kogo i po co zebrał na szlakach zaalpejskich wędrówek legionów polskich. „Myśl teraz nad tym — wołał do Gintułta — te legie, ta chłopska i małoszlachecka masa — to któż to jest? Ludzie z prizonów i zbiegi. Gniew w tobie kipi na samą myśl, że oni w służbie Bounaparty czynią, co im dzienny rozkaz przepisze... Myśl nad tym, co by ci sami czynili w austriackim glicie. (...) Ile krwi, męki, trudu, sławy wsiąknie w obce pola — któż to odgadnie? Ale zostanie reszta. Ze wszystkich rozstajnych dróg jedna jakaś będzie prowadziła".

Dokąd „idzie żołnierz borem lasem"

Dokąd? Wiedział to dobrze Stefan Żeromski, a przynajmniej wiedział i pokazał, że świadomi swego celu byli sami legioniści. Znajduje to wyraz na wielu stronach „Popiołów", w wielu dyskursach i monologach wewnętrznych, trudno na język filmu przekładalnych, ale też i w wielu obrazach nader nowoczesnych, w pełni filmowych. Ni bieda legionowa, ni gorzki sens moralnej ceny tej drogi do Polski nie były obce legionistom prawdziwym i legionistom opisanym przez Żeromskiego. A jednak... oto fragment opowieści legionisty z drugiego tomu „Popiołów": „Idzie oto nasz Słoński, chłop osobisty, walny, z jednej sztuki, krokiem twardym

a buńczucznie, a hardo. Mundur na nim białą nicią w stu miejscach ześcibany, buty jeść wrzeszczą, że to w szeregu całym słychać. Kiszki w nim takiego marsza grają, że żadnej nam orkiestry nie trza. Wszystko — bajki. Wąs drze do góry, nadął się jak po trzech obiadach, mina jak sto tysięcy diabłów. »Trzymaj się jeden z drugim — wrzaśnie, gdy mu w glitach stękają — równaj się. Widzisz jeden z drugim, że najjaśniejszą Rzeczpospolitą w tornistrze dźwigasz«".

I takimi widzi ich Żeromski oczyma księcia Gintułta gdzieś w czasie przypadkowego spotkania na mozolnej apenińskiej drodze — „szli ludzie przywaleni kurzem od głów do stóp jak ruchome jego słupy, ledwie w dymach pyłu wapiennego widać było zgorzałe na węgiel ich twarze, zamknięte oczy, zaciśnięte usta (...) Ludzie ci byli oberwani, prawie bez butów..." Gintułtem, uczniem szkoły rycerskiej, uczestnikiem wojny w obronie konstytucji i Powstania Kościuszkowskiego, wstrząsa widok polskiego munduru, t a m t e g o munduru — to jakby munduru kawalerii narodowej, to regimentu marszałkowskiego strzelców, to regimentu Działyńskich... Przypomnienie Polski zniesionej, skasowanej, której i on się wyrzekł, a która przecież żyje...

Jest ta scena i w filmie Wajdy. Maszerują obdarci legioniści z oczami wpółślepymi, postawionymi w słup, wloką się sztucznym, sztywnym półkrokiem, powłócząc nogami jak dziady kościelne czy tabetycy, chybają się z boku na bok i niesie się nad nimi jak na ironię zwolniona i rozwlekła, niczym dziadowskie „godzinki" nad pielgrzymką do Góry Kalwarii, pieśń legionów „Jeszcze Polska nie umarła..."

A przecież Żeromski napisał wyraźnie: „Szli wielkim, twardym, młodym, niestrudzonym krokiem (...) Nogi półbose dzielnie i twardo wytrzymywały takt na tej nieskończonej drodze..."

W filmie przemawia obraz, rytm i dźwięk. A przypadków nie ma — przynajmniej u reżysera tej klasy, co Wajda.

W epoce „Popiołów", której akcja obejmuje piętnaście lat polskiej historii, różnymi drogami maszerował żołnierz polski. Szedł — między innymi, podkreślam — między innymi — przez legionowe rozczarowania obu kampanii włoskich, szedł przez grozę San Domingo i przez dno piekieł hiszpańskiej guerilli.

Ta ciernista droga utkwiła mocno w polskiej świadomości narodowej, inspirowała polską poezję i literaturę i wstrząsający wyraz znalazła na kartkach „Popiołów". Ale jaki to obraz? Jak Żeromski go konstruuje? Mamy w „Popiołach" dwa razy opisane oblężenie i kapitulację Mantui. Po raz pierwszy osaczeni Polacy, zdradzeni przez swych francuskich sojuszników, bezbronni zostają wydani na łaskę i niełaskę Austriaków. Po raz drugi zwyciężają Polacy, garnizon austriacki kapituluje, bezbronny dostaje się w ręce zwycięzcy. Legioniści nie szukają pomsty... O tym wszystkim opowiada inwalida i emisariusz legionowy Ojrzyński, ten sam, który opisuje San Domingo — długa, straszna opowieść o francuskiej zdradzie i szalbierstwie, o niechęci, oporze, wręcz buncie legionistów, o przemocy francuskiej, o strasznej, niepotrzebnej im wyspie i strasznej, niechcianej wojnie z broniącymi swych ludzkich praw Murzynami. I na tym dopiero tle, kreśląc sytuację „in articule mortis" krótka, powściągliwa, gorzka i wstydliwa wzmianka o wybiciu bezbronnego murzyńskiego batalionu.

Jak to jest u Wajdy? Troszkę inaczej. Nie ma drugiej Mantui, wspaniałomyślności Polaków, nie ma tych słów pięknych: „...nie fałszywymi przysięgi, nie zdep-

taniem słabego, nie pobratymstwem z zakonem zbójców walczy Polak...", nie ma też opowieści o losach przymusowych, które doprowadziły Ojrzyńskiego na San Domingo.

Konstrukcja jest prostsza i też ma dwa bieguny. Las austriackich bagnetów nad głowami bezbronnych Polaków pod murami Mantui — las polskich bagnetów nad głowami bezbronnych Murzynów na polanie pod Saint Marc.

Z tym, że Austriacy są lepsi. Jeńców nie mordują. Biorą ich w „kamasze", wcielają w glit — w szeregi własnej armii, na wojnę do śmierci, gdzie cesarz rozkaże — we Włoszech i Francji, Serbii czy Galicji, przeciw Francuzom i Włochom, Serbom czy Turkom. Albo — Polakom.

Saint Marc kończy się jedną z najwspanialszych scen w dziejach polskiego filmu, równą słynnym odeskim schodom w „Pancerniku Potiomkinie", najstraszliwszym oskarżeniem własnego żołnierstwa... jakiego nie zna literatura i kinematografia wielkich mocarstw kolonialnych, których humaniści naprawdę mają się czego wstydzić... Tyle, że scena ta zbudowana jest na jednym wąziutkim przekazie, na jednym pamiętniku legionisty, który słyszał o tym... Jego zaś świadectwu przeczą wszystkie inne źródła. Ale do tej sprawy trzeba będzie jeszcze wrócić.

Przejdźmy do sprawy hiszpańskiej. Można się głowić, dlaczego Żeromski nie opisał w „Popiołach" Somosierry, a Cedrę uczynił nie szwoleżerem napoleońskiej gwardii „o czystych rękach", lecz lansjerem z pułku Konopki, zwanego w Hiszpanii pułkiem ułanów z piekła rodem. Wajda „poprawił" Żeromskiego i skręcił Somosierrę wstrząsająco jak rzadko jaki batalistyczny obraz filmowy. Szalony pęd skazanego na zagładę szwadronu we mgłach tego pamiętnego poranka, lawina koni i ludzi,

a w końcu już tylko koni bez jeźdźców... żywa błyskawica Piotra Michałowskiego z najlepszej ze wszystkich malarskich Somosierr. Tylko kto broni historycznego wąwozu? Garstka obdartych hiszpańskich chłopów z cepami i widłami, kilku księży, z których jeden próbuje wystrzelić z armaty... Gdzie sam wąwóz? Dziwnie łagodne stały się w filmie jego kamieniste, skaliste zbocza, niemal w łąki zamieniły się jego przepastne gardziele. Nie tak to było w rzeczywistości, inaczej Somosierra nie stałaby się tak sławna. A ponadto znikły okoliczności i przyczyny. Z prawdy pozostał u Wajdy tylko pęd, szaleńcza fantazja, kawaleryjska, polska, „wiernopoddańcza" ambicja.

„A wtem Napoleon na Polaków skinął,
Skoczył Kozietulski, w czwórki szwadron zwinął..."

I znowu to jest drobiazg. Ale z tych drobiazgów buduje Wajda konstrukcję myślową odmienną od tej, na której oparł Żeromski legionowe i hiszpańskie rozdziały swej powieści.

Idźmy więc dalej do punktu węzłowego, który wszystko wyjaśnia: wizyta cesarza wśród rannych. U Żeromskiego po bitwie pod Tudelą. U Wajdy — po Somosierze.

To pole, usłane rannymi, umierającymi i trupami, kipiące nieporadnym pełzaniem kalek, stękające maligną konających, pełne najstraszniejszych monstrów, przypominających bardziej zawodowych żebraków niż umierających żołnierzy, jest z Bunuela, nie z historii. Niejeden z tych pełzających i wyjących nieprzytomnie to jurudiwyj z „Iwana Groźnego" czy innych obrazów rosyjskiego średniowiecza... Przez to pole kroczy sztywno, kwadratowy jak skała i jak skała zimny, On, Pan Zastępów, wcielenie pogardy dla pełzających wokół ludzkich liszek. Tylko dlaczego ten tłum ludzkich strzępów, obolałych i półprzytomnych wyje triumfalnie

„Vive L'empereur" i „Niech żyje cesarz", dlaczego z nadzieją i z wdzięcznością zwracają się na niego wszystkie oczy, dlaczego wyciąga do niego ręce umierający Krzysztof Cedro, lansjer polski...

Nie ma odpowiedzi.

A jeśli nie ma racjonalnej odpowiedzi, jest ta tylko dedukcyjna, którą z filmu odczytało wielu recenzentów i bardzo wielu widzów: zbiorowe opętanie, polski obłęd, rozmiękczenie mózgu. Albo jego brak.

Tyle pokazuje Wajda. O ileż więcej mówi Żeromski: „Zjawił się w uliczce między rannymi, ułożonymi szeregiem, oficer wielkiego wzrostu i czytał manifest cesarski głosem donośnym, wyraźnym, potężnym. Manifest głosił wszem wobec zdrowym i konającym żołnierzom, pracowitemu ludowi i bogaczom, księżom i świeckim, Francuzom i Hiszpanom, wszystkim zgoła, kto oddycha na Półwyspie Iberyjskim, że w chwili tej cesarz Francuzów na wieki wieczne znosi i niweczy inkwizycję świętą, wypuszcza jej więźniów, umarza sprawy, że liczbę zakonów i klasztorów zmniejsza o dwie trzecie, że na zawsze odmienia i kasuje odwieczne prawa feudalne panów, że znosi i niweczy wszelkie przywileje..."

Cedro słyszał wszystko dokładnie i wszystko zrozumiał.

„— Teraz już wiesz, Szczepanku — mamrotał śmiejąc się i ziewając — dlaczego łamaliśmy starą Saragossę, kastel Aljaferją z jej więźniami, czemuśmy broczyli lance pod Tudelą we krwi ciemnego motłochu. Naszą to krwią pisana twoja konstytucja, więźniu hiszpański".

I dopiero wówczas: „Z barłogów, sienników, materaców, płaszczów, der, z nagiej ziemi dźwigają się porwane szczątki, potrzaskane głowy, wspierają się na łokciach przeszyte bezsilne tułowia — i zeschłe gardła, uszczęśliwione usta miotają krzyk:

— Vivat cesarz".

Gdy Cedro żąda od Napoleona obietnic dla Polski, to przecież w tym właśnie kontekście — tuż po opublikowaniu tego manifestu woła do cesarza: „Poszedłem z domu mego ojca... Wierzyłem, że moją ziemię... A teraz na obcej... Wyrzecz, że nienadaremnie, że dla mojej ziemi..." Kiedy Napoleon powiada: „Soit" — „niech się stanie", nie brzmi to jak obietnica, lecz jak wyrok.

Zastanówmy się: bolesny dla Cedry — hrabicza. Radosny dla Cedry — żołnierza polskiego, nie legionisty, lecz spadkobiercy legionów, jednego z tych, co chcieli nie tylko wrócić do kraju i dla kraju, ale — jak śpiewali — „wrócić z prawem człowieka".

Legioniści Dąbrowskiego, legioniści Żeromskiego, żołnierze napoleońskiej doby, na wojence dalekiej nie oślepli w apenińskim kurzu, nie wszyscy oszaleli na San Domingo i nie całkiem wypalili się na hiszpańskim pobojowisku. Jak żaden dotąd w dziejach Polski żołnierz wiedzieli, czego chcą. To prawda, swoje prawo nieśli do Polski zarówno przez ogień, jak przez błoto, przez bohaterskie wojenne czyny i przez wszystko brudzący ocean wojennego świństwa.

Niewielu ich doszło i niewiele donieśli. Ale ani tej — nadmiernej może — wiary, ani — zbyt małych pewnie — wyników nie odebrał im Żeromski. I nie miał prawa odbierać Wajda, jeśli chciał być wierny Żeromskiemu, prawdzie i człowieczeństwu.

Na wojence
dalekiej... a na bliskiej?

A jednak zrobił to. Zrobił konsekwentnie, dokonując rozległych amputacji w „Popiołach" Żeromskiego za-

równo w sferze myśli, jak i czynów, w sferze słów, obrazów i nastrojów. Nie tylko w drobiazgach.

Jest w „Popiołach" Żeromskiego cały obszerny wątek historycznie jak najprawdziwszy, a zarazem jak na pierwsze lata XX wieku, gdy „Popioły" były pisane, proroczy może, a na pewno prekursorski. To nurt „zachodni", który wybuchnie później w „Urodzie życia" i najpotężniej w „Wietrze od morza". Był bowiem Stefan Żeromski pierwszym w dniach rodzenia się nowoczesnej ogólnonarodowej świadomości Polaków propagatorem Polski Zachodniej. W jego czasach Polska to była Warszawa, Wilno i Krzemieniec. W literaturze ogólnonarodowej pierwszy Żeromski woła, że Polska to Poznań, Grudziądz, Gdańsk, Kołobrzeg, Wrocław i Legnica. A przecież nic w tym nowego, tak to odczuwano jeszcze w czasach napoleońskich. Żeromski nie uczynił nic innego w „Popiołach", tylko opisał rzeczywiste dzieje napoleończyków, i to opisał obszernie, tak jak na to zasługiwały te zachodnie rozdziały ich marszów i bojów.

„Rozeszła się w Legii wieść: »Na Gdańsk, na Kołobrzeg«. W marszu, na postojach, nocą na pocztach uczył starszy żołnierza, co jest ów Gdańsk, gdzie i na jakiej ziemi stoi Kołobrzeg". Opowieść żołnierza o rajdzie ułanów polskich przez Dolny Śląsk pod Legnicę, Nysę i Wrocław zajmuje w „Popiołach" więcej miejsca niż opowieść o San Domingo. Dzieje pierwszej Legii Dąbrowskiego na Pomorzu i szturm Grudziądza to więcej niż całe Włochy razem z Mantuą. Tak jak pierwszy tom kończy się dramatem mantuańskiej zdrady, tak drugi opisem grudziądzkiego triumfu i tymi słowy: „Wtedy jeden okrzyk rozległ się w szeregach: — Na Gdańsk! Ku morzu!".

Tak jak myślał, jak wierzył Dąbrowski, wiele krwi, wiele chwały wsiąkło w obcą ziemię, ale została prze-

cież ta reszta — reszta dorobku legionów, fundament odrodzonego Wojska Polskiego — narzędzia polskiej polityki na własnej ziemi, nad Wisłą.

Cała więc kampania zimowa 1806—1807 roku — powstanie w Kaliskiem, Sieradzkiem, Częstochowskiem, Łowickiem treściwie opisane stanowi u Żeromskiego punkt wyjścia do skoku na północ i zachód, na szlak Bolesławów. Przypomnienie tej wiekowej więzi duchowej np. z Pomorzem Zachodnim, żywej od Krzywoustego po epokę napoleońską, było tym właśnie historycznym novum, proklamowanym przez Żeromskiego.

Niestety, nic z tego całego obszernego wątku w „Popiołach" Andrzeja Wajdy nie pozostało.

Niewiele też zostało z tej „wojenki bliskiej", z przypomnianej i rozsławionej przez Żeromskiego, jedynej od czasów Wiktorii Wiedeńskiej, w pełni zwycięskiej samodzielnej kampanii polskiej, toczonej w sercu ziem polskich nad środkową Wisłą. Myślę o wojnie z najazdem austriackim w 1809 roku.

Z ośmiu rozdziałów Żeromskiego, które stanowią gros treści trzeciego tomu „Popiołów", pozostała u Wajdy jedna scena i jeden epizod.

O obronie Sandomierza już mówiłem. Jest to w filmie bardzo krótki epizod, niosący jedną tylko ubożuchną myśl: wojna niszczy pamiątki, a tępe żołdactwo na nic nie zważa.

Bitwa pod Raszynem za to pokazana jest obszernie, z punktu widzenia filmowego ciekawie, jednakże zwrócić wypada uwagę na dwa aspekty tych bitewnych, teatralnych i ideowo nośnych obrazów.

Po pierwsze nie jest to bitwa prawdziwa, lecz bitwa na niby, idea bitwy-rzezi, ucieleśniona w ruchomych żywych obrazach. Nie ma w nich ładu ni składu, zamysłu wodzów, ruchu wojsk. Jest mozolny marsz przez błota niezwyciężonych białych linii austriackiej pie-

choty, bezlitośnie spychających z pozycji daremnie szarpiących się w bitewnym obłędzie Polaków. Jest masowa topiel, śmierć w błocie. I tyle. O epizodzie z księciem Józefem wspominam przy innej okazji: i on nie ma swego bogatego, ludzkiego, psychologicznego zaplecza.

Po drugie, ta czysta filozofia bitwy, filozofia teatralnej rzezi podobnie jak epizod sandomierski została najstaranniej wyizolowana ze swych okoliczności historycznych, pozbawiona sensu politycznego i strategicznego, wyjęta z naturalnego, logicznego ciągu przyczyn i skutków.

Niemal nie sposób się domyślić, że toczy się bój o Warszawę, bliski, zrozumiały dla żołnierza, że toczy się bój o istnienie tego zalążka odrodzonej Polski, jakim było Księstwo. Nie słychać nad Wajdowskim polem raszyńskiej bitwy głosu generała Sokolnickiego z tamych prawdziwych „Popiołów": „A zasię, pludry! Tuś to przywędrował, niemiecki ryju! Twoja to tu ziemia, złodzieju?"

I nie ma, oczywiście, wszystkiego, co było po Raszynie, a więc polskiego manewru na południe, osaczenia Austriaków, wyzwolenia Galicji, Lublina i Krakowa, tych początków zjednoczenia.

Z tej zarówno heroicznej, jak i mądrej, krwawej, a zarazem skutecznej kampanii polskiej uczynił Wajda jeszcze jedną polską klęskę, jeszcze jedno żołnierskie bezsensowne niszczenie i umieranie. Jest w prawdziwych „Popiołach" związana z sensem kampanii 1809 roku niezwykle ważna scena sporu między polską generalicją napoleońską, gdzie Zajączek mówi: „Jestem generałem Cesarza", a Poniatowski, Dąbrowski, Sokolnicki stwierdzają, że są generałami polskimi, scena, w której waży się sprawa, co ma być nadrzędną dyrektywą dla wojennych decyzji — wola i interes cesarza czy

pragnienie wojska i potrzeba nadwiślańskiej ojczyzny.

I tę scenę, i tę decyzję Wajda usunął z filmu. Nie pasowała. Znalazł za to miejsce na nader obszerną rozbudowę sekwencji hiszpańskiej, na rozwinięcie jej nie tylko w duchu Goyi, ale na wzbogacenie jej o elementy z innych zupełnie utworów, a nawet epok. Jest tam więc i koń, spadający w przepaść, i kawałek „Sułkowskiego", i nawet kawałek „Przedwiośnia": toczy się przez równinę aragońską arba z Tyflisu, a zwisająca ręka zamordowanej dziewczyny, która w „Przedwiośniu" ucieleśnia grozę rewolucji, tu zaostrzać ma przerażenie widza obrazem skutków polskiej wojaczki.

Miał też chyba Żeromski coś na myśli, gdy cały trzeci tom swej powieści budował na zasadzie montażu równoległego, na długo, zanim powstało kino i zanim wymyślono ten montaż. Wydarzenia w Hiszpanii i wydarzenia w Polsce rozgrywają się równocześnie i pokazane są równolegle. Sugeruje to pewną równowagę artystyczną i ideową, równowagę goryczy i triumfu, wysiłku daremnego i sensownego. Równowagę historyczną, choć nie moralną, oczywiście. Nie twierdzę bowiem, że zwycięstwo w kampanii 1809 roku nad Austriakami usprawiedliwia przewagi Polaków nad powstańcami hiszpańskimi, że wyzwolenie Krakowa przekreśla choćby jedną, choćby najmniejszą zbrodnię popełnioną w Saragossie. Nie ulega wątpliwości, że „Popioły" Żeromskiego są dziełem wstrząsającym i oskarżycielskim, najostrzejszym w literaturze światowej potępieniem zbrodni popełnionych przez przedstawicieli własnego narodu. Ale też trudno jest i wątpię, czy należało „zaostrzać" Żeromskiego, przelicytowywać surowość jego sądu. Zresztą Żeromski miał moralne prawo wydawać wyroki, ponieważ jak sąd sprawiedliwy oddawał głos obu stronom, wysłuchiwał oskarżenia i obrony. Andrzej Wajda pozwolił oskarżeniu wykorzystać wszy-

stkie argumenty, nie tylko rozumowe, ale i uczuciowe. Pozwolił mu wykorzystać zarówno błędy śledztwa (jak na przykład w sprawie San Domingo, gdzie badania nie potwierdzają polskiej zbrodni), jak i prawa już po omawianych wydarzeniach ustanowione. Natomiast obronie odebrał głos. Nie był tu wierny ludzkiej mądrości i humanizmowi Żeromskiego.

Zresztą mimo odwołań do tekstu „Popiołów" powiedział sam wyraźnie, czego by chciał: „Myślałem nawet o filmie obejmującym wyłącznie Saragossę. Wówczas można by okrucieństwo rzezi zdobywanego miasta wyostrzyć, przedstawić w formie par excellence współczesnej. Tym bardziej że są to elementy, które ja osobiście w kinie cenię. To byłaby moja propozycja" [18].

Na czym to uwspółcześnienie miałoby polegać? Nietrudno wydedukować z tych uzupełnień, którymi Wajda upstrzył hiszpańskie rozdziały „Popiołów".

Maćki, Wawrzki, Bartki i Adolf Bonaparte

Na wstępie kilka uwag o szczególnej „polskości" obrazu epopei napoleońskiej, przedstawionego przez A. Wajdę.

W legiach włoskich, naddunajskich, północnych, w szwoleżerach i lansjerach — podobnie jak później w rdzennych pułkach Księstwa Warszawskiego i korpusu posiłkowego francusko-galicyjskiego — służyły te same Maćki, Wawrzki i Bartki z polskich wsi i polskich parafii nad Nidą i Dunajcem, Pilicą, Bugiem, Narwią, Wkrą i Wieprzem. Niejeden przeszedł przez austriackie czy pruskie szeregi i stąd owe „gwery", „glity" i „rukowania" w ich języku. Potem język im „sfrancuział" na dalekich drogach wojennych, przemierzonych

ramię przy ramieniu z francuskimi strzelcami. I jednako krzyczeli „niech żyje Cesarz" i „Vive l'empereur!" Ale też i ta „przyfrancuska" służba jakoś im się spolszczyła. Jeszcze we Włoszech francuskich generałów nazywali „Bartkami", a Bonapartego „najstarszym Bartkiem". Później, w Księstwie, wydano pierwsze regulaminy po polsku i rzeczywiście mówiono o polskich wojnach Cesarza — pierwszej 1806 roku i drugiej — 1812 roku. Istotnie wówczas i długo jeszcze znaczna część społeczeństwa wiązała sprawę polską ze sprawą Napoleona. Pisał Mickiewicz ćwierć wieku później:

> Bitwa! gdzie, w której stronie? pytają młodzieńce,
> Chwytają broń, kobiety wznoszą w niebo ręce;
> Wszyscy pewni zwycięstwa wołają ze łzami:
> „Bóg jest z Napoleonem — Napoleon z nami!"

Jednakże „napoleońskość" sprawy polskiej nie oznacza i nie oznaczała nigdy dla nikogo przy zdrowych zmysłach „polskości" sprawy Napoleona.

Wiadomo powszechnie, że Napoleon prowadził swoje francuskie wojny we Włoszech i w Egipcie, w Hiszpanii i w koloniach, w Niderlandach, Prusach i Austrii, a wreszcie w Rosji. Wiadomo, że stawiał sobie cele dynastyczne, że realizował zarazem dążenia francuskiej burżuazji do uzyskania hegemonii w Europie, do złamania konkurentów itd., itd. To wszystko wiadomo. Ale czy z filmu Andrzeja Wajdy? Nie. Paradoksalne i śmieszne, ale w tym filmie o wojnach „Cesarza Francuzów" nie ma wcale... Francuzów. Włoskimi drogami maszerują polskie legiony. Murzyńskie bunty w koloniach tłumią krwawo Polacy, jak wiadomo przedstawiciele najwybitniejszego mocarstwa kolonialnego XVIII-wiecznego i XIX-wiecznego świata. Hiszpanię podbijają polscy szwoleżerowie. Saragossę szturmują i mniszki

gwałcą Polacy. Już nie mówię, że w Rosji z Napoleonem znowu są sami Polacy. Jedynym chyba wyjątkiem jest Mantua, gdzie są Francuzi, którzy nie chcą walczyć, walczyć chcą właśnie Polacy... Z olbrzymiej panoramy wstrząsów i konwulsji, w których rodzi się nowa Europa, pozostali w filmie tylko Polacy i ich niewierny wódz Napoleon. Zda się, że jest on cesarzem Polaków... i dlatego chyba mamy do niego tyle pretensji, że nie zrealizował naszych polskich postulatów...

A teraz przejdźmy do szturmu Saragossy. Obrazy opisane u Żeromskiego należą do zupełnie wyjątkowych w światowej literaturze. Na tych kilkudziesięciu stronicach można znaleźć chyba wszystko, co da się o wojnie powiedzieć. Pytanie, czy trzeba. Pytanie postawiłem nie ja, lecz sam Andrzej Wajda. Mówi on: „Nie można przecież pokazać młodzieży tego, co się pokazuje tylko dorosłym. Szokująca do dziś drastyczność epizodów szturmu Saragossy została w wersji filmowej osłabiona" [17].

Otóż, niestety, nieprawda. Nie została osłabiona, lecz uzupełniona, rozwinięta, co więcej — przeinaczona. Uwspółcześniona, jak zapowiadał Wajda.

Popatrzmy na jeden tylko, ale kluczowy epizod.

U Żeromskiego — w Saragossie trwa zaciekły bój, piekło rządzące się własnymi prawami, którym podlegli są wszyscy — żołnierze, kobiety, księża i dzieci. Cedro buntuje się przeciwko tym prawom, ale im ulega. Żołnierze giną i gwałcą, mordują i giną. Są bestiami i ofiarami. Lecz wszystko, co się dzieje, dzieje się w gorączce bitwy. Tylko, gdy nocą na chwilę umilkną strzały, Cedro chłonie obraz zniszczenia, boleje nad nim, idzie do domu, który zdobywał, odnajduje mnicha, modlącego się nad ciałami poległych, odnajduje wśród nich s w o j e trupy. Widzi ocalałą „Donicellę" — dziewczynę, która dwa razy chciała go zabić, a którą

on dwa razy wyrwał z rąk żołnierzom. To jej właśnie, śpiącej, ofiarowuje teraz różę i ona półprzytomna przyciska kwiat do serca. A gdy grzmot armat rozpoczynającego się na nowo szturmu dociera do jej świadomości — jeszcze mocniej przyciska do piersi kwiat ofiarowany przez wybawiciela-najeźdźcę...

Tak jest u Żeromskiego. I jest jeszcze coś zupełnie pominięte w filmie Wajdy: wewnętrzny opór Polaków przeciwko okrucieństwom, narzuconym przez rzeczywistość tej strasznej wojny. To przecież Cedro z pałaszem kilkakrotnie rzuca się na francuskich i na polskich gwałcicieli, to on woła do Wyganowskiego, dowódcy rozszalałych woltyżerów: „Gdyby to ode mnie zależało... gdybym to ja... Kazałbym strzelać we łby tym gałganom, kazałbym... Na miły Bóg... przecież to... wieszać, jak kundlów!"

I to właśnie Wyganowski salutuje szablą przed ciałem Hiszpanki, która popełniła samobójstwo, by nie dostać się w ręce żołnierzy, przecież to on właśnie chce obrońcom Saragossy stawiać pomniki, z nich uczynić „nazwę kraju, herb narodu i pieczęć państwa" — nowej Hiszpanii.

Bolesna uwaga, jaką poświęcił Żeromski szaleńczej zaciekłości hiszpańskiego oporu, była odbiciem nie tylko tej wielkiej fascynacji męstwem i wytrwałością Hiszpanów, jakiej ulegli żołnierze polscy, ze wstrętem i niechęcią walczący wówczas w Hiszpanii. Obłęd bitewny minął, pozostał podziw i zachwyt. Hiszpańska guerilla stała się dla Polaków na wiek cały przykładem, jak bronić ojczyzny.

Nic z tego nie dostrzegł, a przynajmniej nie pokazał tego Wajda. „Uwspółcześnił" szturm Saragossy zupełnie inaczej.

W filmie przeciwnika prawie nie widać. Prawem szatana rządzą się przede wszystkim żołnierze. Protes-

tów Cedry, przemyśleń Wyganowskiego nie ma. Nadto dochodzi cała scena, której nie nakreślił Żeromski i kwiat odgrywa w niej zupełnie inną rolę... Widzimy na ekranie miasto wygasłe, bezbronne, zdobyte. Wszystko się dzieje już na chłodno, spokojnie, rozważnie. Pod murem stoją na wpół rozebrani, skrępowani mieszkańcy miasta. Rytmiczny łoskot podkutych butów, zwierzęce szczeknięcia komend, łoskot salwy. Osuwają się na ziemię pomordowani. Goya? Nie tylko. Coś znacznie nam bliższego. I znowu rytm maszerującego plutonu egzekucyjnego, tupot, zwierzęcy szczek, łoskot. I jeszcze raz to samo... Cały czas rogate polskie czapy i szczek polskiej komendy... Pustą ulicą miasta umarłego idzie Cedro. Trzyma kwiat w ręku, podnosi do twarzy, wącha. A za ekranem ten sam dźwięk, ten sam łoskot, tak dobrze nam znany.

I znowu Cedro, znowu kwiat...

Napisze później życzliwy filmowi, ale nie ślepy i głuchy publicysta: „Za dopisek realistyczny w duchu Goyi i duchu polskiej okupacyjnej pięciolatki uznałbym obraz plutonu egzekucyjnego w Saragossie. Nie jest to bynajmniej scena nadrealistyczna w stosunku do rzeczywistości napoleońskich czasów, ale wydobywając z nas skojarzenia z naszej własnej niedawnej historii i dublując się ze sceną wykłucia kompanii Murzynów na San Domingo stwarza akcent dość wymowny..." [18]

Niestety, tak jest i tak to odczytało wielu, bardzo wielu widzów, czego dowodem liczne listy i wypowiedzi. Wypowiedzi protestujące. Bo jakby straszna nie była historia czasów napoleońskich, są to zjawiska społecznie i politycznie, i moralnie nieporównywalne. Naprawdę Bonaparte nie nazywał się Adolf, a nasze Maćki i Bartki nie byli wcale jego wiernymi SS-chłopcami.

Pokolenie skrwawione czy stracone

Jest w „Popiołach" Żeromskiego scena, która bodaj że wszystko tłumaczy. To długa opowieść inwalidy Ojrzyńskiego o losach Legionów. O wszystkim: o nadziejach i zawodach, o chwale i hańbie. Również o San Domingo. Opowieści tej słuchają stary Trepka i młodzi zapaleńcy, Cedro i Olbromski. Ważna jest sama opowieść, ważna jest też reakcja słuchaczy. Hańba San Domingo jest dla nich absolutnie nie do przyjęcia. To Trepka przecież mówi: „Trza było skonać, a nie iść pod niemusem". A potem: „Niegodne były Wasze nogi, żeby na ziemię tę (ojczystą) wstąpić. Bóg pewnie karze za takie czyny, jak wasze na wyspie".

A przecież ta właśnie opowieść, mimo tragicznego akordu San Domingo, staje się jakby ostatnią kroplą, ostatnią przesłanką dla decyzji Cedry i Olbromskiego. Przez austriackie kordony, pod kulami, przedzierają się do Napoleona, do Wojska Polskiego. Ważniejszą niż epizod antylski okazuje się być ta perspektywa, ta nadzieja, ta wiara, którą głosił Ojrzyński, mimo iż wszystko przecież wiedział: „Onych i wtedy nie opuściła nadzieja — opowiadał o San Domingo — mówili sobie: zginął nas jeden tysiąc, drugi, zginie trzeci, a taki zatrwamy. Dziesiąty tysiąc, a nie, to dwudziesty z kolei przyjdzie na miejsce swoje..."

Takie było odczucie współczesne i taka okazała się prawda historyczna, potwierdzona przez współczesne badania.

Ani „Popiołów" Żeromskiego, ani epoki napoleońskiej nie można zrozumieć, jeśli nie widzi się „punktu wyjścia" i „punktu dojścia", roku 1795 i roku 1815, trzeciego rozbioru i Kongresu Wiedeńskiego.

Układem rozbiorowym Polska została wykreślona nie

tylko z liczby państw istniejących, ale też i z liczby istniejących problemów. Sama jej nazwa nigdy więcej nie miała być użyta. Prowincje polskie zostały zintegrowane z obszarem mocarstw zaborczych. Na przykład Mazowsze wraz z Warszawą stało się częścią Królestwa pruskiego jako prowincja „Południowe Prusy". Polityka zaborców zmierzała do asymilacji arystokracji, skorumpowania i rozkładu warstw średnich oraz zintegrowania i całkowitego wykorzystania przez państwo bezimiennej masy ludzkiej — chłopstwa. W ten sposób Cedro został austriackim hrabią, pełnoprawny o b y w a t e l szlacheckiej demokracji Olbromski — zwykłym p o d d a n y m austriackiego cesarza, chłop zaś znad Nidy i Pilicy po prostu szedł „w kamasze", by jako austriacki „gemain" walczyć za Najjaśniejszego Pana we Włoszech i na Bałkanach. Trzeba pamiętać przy tym, że ziemie polskie integrowano z trzema najbardziej zacofanymi, najbardziej reakcyjnymi, wręcz gnijącymi feudalnymi reżimami ówczesnej Europy. Między te mocarstwa rozdzielona została nie Polska Sasów — chory człowiek Europy — lecz dynamiczna, odradzająca się, postępowa Polska Konstytucji Trzeciego Maja i Manifestu Połanieckiego. Postępowe dążenia i postępowe siły ówczesnej Polski, zahamowane w rozwoju, nie mogły zaprzestać działalności wymierzonej teraz i ze względów politycznych, i ze względów społecznych przeciwko reakcyjnym zaborcom. Ideowym punktem oparcia z natury rzeczy stawała się dla nich Francja porewolucyjna, mimo upadku jakobinów — najbardziej postępowy organizm prawno-polityczny ówczesnej Europy, a kierunkiem działania — tworzenie wojska, tworzenie kadry ludzkiej, niezbędnej dla przyszłego odrodzenia ojczyzny.

Czym były Legiony Dąbrowskiego? Zagraniczną emanacją krajowego nurtu postępowego, a zarazem are-

ną walki o mobilizację mas ludowych wokół rewolucyjnej awangardy.

Według najnowszych badań przez Legiony przeszło około 33 tysięcy ludzi. Prof. Pachoński ustalił, iż na tę liczbę złożyło się około tysiąca ochotników, którzy przedarli się z kraju już po rozbiorach, oraz około dwóch tysięcy ochotników z emigracji, najprawdopodobniej spośród tych patriotów, którzy opuścili kraj w związku z klęską powstania Kościuszki. Około 30 tysięcy ludzi to Polacy przymusowo powołani do armii austriackiej, którzy bądź przeszli na stronę Francuzów, bądź dostali się do niewoli i z obozów jenieckich wstąpili do Legionów. Mamy więc patriotyczną, rewolucyjną kadrę — około 10 procent, i masę ludzką — 90 procent skazaną na zagładę w obcych jej, zaborczych wojnach cesarza austriackiego, dzięki Legionom odzyskaną dla Polski i dla postępu. Były bowiem Legiony wielką praktyczną i teoretyczną szkołą wychowania obywatelskiego, w duchu postępowym jak na koniec XVIII wieku. Były pierwszą w historii Wojska Polskiego regularną armią, konsekwentnie wychowywaną w duchu swej społecznowyzwoleńczej misji. Świadczą o tym zarówno dokumenty legionowe, numery słynnej gazety armijnej „Dekada", świadczą wspomnienia, a nade wszystko — czyny legionistów.

I tu warto parę zdań poświęcić sprawie San Domingo. Trzeba powiedzieć wyraźnie: na San Domingo n i e b y ł o Wojska Polskiego, nie było żadnych polskich oddziałów. Na San Domingo byli Polacy wcieleni przymusowo w szeregi armii francuskiej, tak samo jak Polacy na polach pruskich bitew przeciwko Francji, austriackich bitew przeciwko Włochom czy bałkańskim Słowianom czy na polach rosyjskich bitew przeciwko narodom Kaukazu czy Azji Środkowej.

W ramach likwidacji Legionów najbardziej buntow-

nicze (jak twierdzą źródła francuskie), najbardziej zrewolucjonizowane oddziały Legii przeformowano w 113 i 114 półbrygady armii francuskiej i jako takie podstępem, a potem siłą, pod bagnetami, załadowano na okręty i wysłano na Antyle. Legioniści na San Domingo jechać nie chcieli i w wojnie z Murzynami przejawiali wyjątkowo mało zapału. J. Gerhard, który przestudiował w Paryżu niektóre dokumenty francuskie, dotyczące epoki, stwierdza [19], iż pełne są one skarg, iż Polacy biją się miękko i że szerzy się wśród nich dezercja. Znajduje to potwierdzenie w źródłach haitańskich, a zwłaszcza w żywej tam tradycji wdzięczności i szacunku dla Polaków.

Jest rzeczą pewną, że przywódca powstania, Dessalines, do swej gwardii honorowej powołał 30 legionistów polskich, że jednemu ze swych najlepszych pułków nadał honorową nazwę „pułku polskiego" i wreszcie, gdy po zakończeniu wojny wydano dekret relegujący wszystkich białych z wyspy, dekret ten zastrzegał od razu, że nie dotyczy to jedynie Polaków.

Byli legioniści utworzyli na San Domingo dwa duże skupiska i do dziś mali Murzynkowie z Cassale i Fond de Blanc chodzą w rogatywkach i noszą polskie nazwiska...

Fakt „bajonetażu" — wykłucia bezbronnego murzyńskiego batalionu przez Polaków, mógł w sytuacji przymusowej się przydarzyć, jednakże mamy o tym jeden jedyny przekaz historyczny: pamiętnik polskiego oficera, który o tym słyszał. Mamy również jeden przekaz haitański, mówiący, iż w takiej właśnie sytuacji Polacy wbili karabiny bagnetami w ziemię i odmówili wykonania rozkazu.

Mimo likwidacji Legionów i wszystkich (a nie tylko tej antylskiej) tragedii ludzkich z tym związanych wysiłek legionowy nie był bynajmniej daremny ani nie

został zmarnowany. Z 33 tysięcy legionistów poległo, zaginęło i pozostało za granicą około 18 tysięcy. 15 tysięcy powróciło do kraju. Stali się najwartościowszą, a zarazem najbardziej postępową częścią kadry wojsk Księstwa Warszawskiego, zalążkiem nowego aparatu państwowego, a często — postępowego systemu podstawowej oświaty. Tragedia Michcika, aczkolwiek symptomatyczna, nie jest wcale typowa. Wielu byłych żołnierzy wychowanych na „Dekadzie Legionowej" zostało potem nauczycielami podstawowych szkółek wiejskich, zakładanych w Księstwie i w Królestwie.

Wojsko Polskie w Hiszpanii to odrębny rozdział. Stanie się zrozumialszy, gdy uświadomimy sobie, iż Napoleon nie miał żadnego moralnego obowiązku przelewania francuskiej krwi w polskim interesie. Dziesiątki tysięcy Francuzów zginęło w bitwach z Prusakami i z Austriakami, w rezultacie których Polska mogła rozpocząć pracę nad odbudową państwowości, przynajmniej na części ziem byłego zaboru pruskiego i byłego zaboru austriackiego. Każdy sojusz jest wymianą usług. Za usługę się płaci taką walutą, jaką kraj dysponuje. Polska dysponowała żołnierzem. Cyniczne? Owszem. Ale nie mamy przecież do czynienia z bajkami wujka Jachowicza, tylko z historią powstawania i upadku państw i narodów.

Podkreślam — punkt ciężkości historii Polski leży nad Wisłą. Najważniejsze więc, za co płacono tę krwawą cenę daleko od Wisły. Odpowiadam: za przywrócenie problemu polskiego w wykazie europejskich problemów do rozwiązania, za zbudowanie fundamentu nowoczesnego, XIX-wiecznego państwa polskiego, za polską administrację, sądownictwo, za kodeks cywilny, za przywrócenie odrębności politycznej i prawnej, z których pierwszą likwidowali potem zaborcy długo

i z trudem, a drugiej nie udało im się zlikwidować do końca zaborów.

Takich faktów nie mogła już przekreślić nawet całkowita klęska Napoleona. Musieli je uznać zwycięscy monarchowie i zgodzić się na to, by stały się fundamentem rozwiązania kwestii polskiej na Kongresie Wiedeńskim. Tak więc za sprawą pokolenia skrwawionego, ale nie straconego, nie zmarnowanego sprawa polska zdjęta na wieki z porządku dziennego w 1795 roku — w 1815 stała się znowu jedną z kluczowych spraw Europy.

Orężne triumfy napoleończyków nie trwały dłużej niż lat piętnaście. Jednakże duchowe, moralne, a także prawno-ustrojowe wyniki polityki Dąbrowskich i Poniatowskich i zbrojnego zrywu Cedrów i Olbromskich przetrwały przeszło sto lat, a w znacznej mierze jeszcze i dziś są żywe.

Dlatego „Popiołów" nie da się zamknąć między dwoma kuligami, jakże smutnym, który otwiera film Wajdy, i jakże tragicznym, który go zamyka. Ten kulig cesarski przez pola usłane trupami, wśród echa okrzyków wznoszonych przez wybite armie, żegnany przekleństwem przez oślepłego, wypchanego słomą Olbromskiego — to przecież z innej sztuki, z tej, która mówi o ludziach zaczarowanych, śpiących, tańczących „wciąż dokoła, wciąż dokoła", na melodię piosenki paraliżującej, obcej im, obezwładniającej... To chocholi taniec z „Wesela", taniec narodowego bezsensu.

Co to ma wspólnego z bogatą i twórczą rzeczywistością epoki „Popiołów"?

W czasie burzliwej dyskusji o „Popiołach" w środowisku studenckim jeden ze współtwórców filmu powiedział, iż bardzo długo analizowali tekst Żeromskiego i nie mogli zrozumieć, dlaczego w końcu Cedro i Ol-

bromski decydują się wstąpić do wojska. Ktoś z sali rzucił: „— no to jak mogliście zrobić ten film?"

I rzeczywiście.

Kogo będzie straszył po nocy — pan Stefan?

„Dochodząc lat czterdziestu Stefan Żeromski i Andrzej Wajda pracowali nad »Popiołami«..." tak napisał jeden z entuzjastów filmu. Ba, tylko że obaj mieli różny, a nawet przeciwstawny sąd i o epoce, i o utworze. Stefan Żeromski na przykład tak pisał o swojej książce:

„W dobie napoleońskiej stary naród polski przerodził się w znacznym swoim odłamie na inne zgoła społeczeństwo, na żywy i twórczy organizm, który pod obcym panowaniem począł żyć własnym intensywnym życiem i nabierać siły duchowej na całe następne stulecie. Gdy ten okres czasu, o którym mowa, przeminął, na Kongresie Wiedeńskim w roku 1815 władcy i dyplomaci Europy innych zgoła ujrzeli Polaków, niż ci, którzy przeżyli zgubę swej politycznej niezależności (...)" Zamierzenie autora polegało na przedstawieniu najpierw całej pierwszej przemiany dusz i sumień w czasie wojen napoleońskich, a następnie na uwydatnieniu ich skutków w rewolucjach, emigracji, buntach, powstaniach i wygnaniach.

Natomiast Andrzej Wajda powiada: „Dorośli, grający młodych, całą problematykę »Popiołów« uczyniliby sztuczną, infantylną. Byłoby to największe sprzeniewierzenie się powieści. W jej bohaterach jest niedojrzałość, pewne niedookreślenie i niezakończenie". A więc: „Naszymi bohaterami są ludzie młodzi, niedojrzali, ludzie takiego niedojrzałego kraju, jaki odziedziczyliśmy

i po pierwszej wojnie, i po pierwszej niepodległości. Ten młodzieniec jest bohaterem i »Ferdydurke«, i Powstania Warszawskiego. On jeszcze ciągle za nami idzie. Dlatego oni weszli do sztuki, a nie ci głowacze, którzy siedzą w domu i wszystko to wymyślają" [20].

Dokładniej określa to entuzjasta filmu: „Wajdę interesuje tragedia polskiej niedojrzałości, o czym mówił wprost kilka tygodni temu w wywiadzie udzielonym »Polityce«. Przy czym niedojrzałość jest tu rozumiana, jak sądzę, podwójnie. Po pierwsze w sensie dysproporcji między dziejami a ich rozumieniem, po drugie zaś w tym bardziej dosłownym znaczeniu, w którym dzieje Polski spadają na barki młodzieńców, Olbromskich roku 1812 czy 1944" [21].

Nietrudno dostrzec przepaść między tymi dwoma poglądami, między poglądem humanisty i obsesjonisty. Bowiem koncepcja „Popiołów" Andrzeja Wajdy wywodzi się z obsesji. Obsesji świętych i potępionych młodzianków. Jeden jej przejaw to pozorna obrona powstańców warszawskich: „...tacy, wiecie, niedojrzali byli, sami poginęli i Warszawę spalili". Drugi jej przejaw to krytyka pozornej historii Polski: „...tyle głupstw bitewnych i umieralskich ci Polacy popełnili, ale młodzi byli, głupi i nie miał kto nimi pokierować".

Obsesjami tymi zajmuję się obszernie w „Siedmiu polskich grzechach głównych", tu powtórzę tylko, iż nie mają nic wspólnego z rzeczywistością historyczną. I „głowaczy" w tym kraju nie brakło, i koncepcje wymyślali wcale nie głupsze niż „głowacze" innych narodów, i na ogół wcale nie siedzieli w domu.

Niezależnie od odmienności sensu politycznego, stworzonych i realizowanych przez siebie koncepcji, nie siedzieli bezpiecznie w domu ani generał Grot-Rowecki, ani generał Bór-Komorowski z jednej strony, ani generał Dąbrowski, ani książę Józef z drugiej. „Niewinni

młodziankowie" też nie byli tacy niewinni, znali swą koncepcję, wierzyli w nią i wiernie jej służyli — zarówno żołnierze AK, żołnierze Powstania Warszawskiego, jak i żołnierze Legionów, żołnierze Księstwa Warszawskiego, polscy napoleończycy.

Rzecz nie w niedojrzałości ludzi, ale w klasowym i politycznym charakterze koncepcji politycznych i wojskowych. Koncepcja Armii Krajowej okazała się koncepcją bezpłodną nie dlatego, że była rzekomo infantylna, ale właśnie dlatego, że była starcza, zmierzała do restytucji Polski w kształcie i treści niewiele odbiegającej od tej, która została obrócona w perzynę w roku 1939. Koncepcja napoleońska okazała się płodna, trwalsza od samego Napoleona, ponieważ była młoda w porównaniu ze strupieszałymi organizmami państw zaborczych, ponieważ była bardziej postępowa, niż rzeczywistość Polski zamordowanej w 1795 roku. I dlatego żadnej paraleli między losem historycznym pokolenia roku 1944 i pokolenia roku 1807 nie ma. Jedni, by służyć nadal ojczyźnie, musieli zrezygnować ze swej koncepcji, drudzy wprost przeciwnie, musieli tej koncepcji uparcie bronić. Krok za krokiem, punkt za punktem: prawnej odrębności ziem polskich od ziem mocarstw zaborczych, polskiego orła na czapce i tradycyjnego koloru wyłogów na mundurze, kodeksu cywilnego, paragrafu konstytucji o równości wobec prawa, niezależnej od dworu pańskiego administracji, świeckiej szkoły itd., itd.

I jedni, i drudzy zrobili to. Ponieważ przy odmienności historycznego losu oba te odległe o sto trzydzieści lat pokolenia łączy jedno — umiłowanie ojczyzny, umiejętność podporządkowania się jej interesowi.

Film Andrzeja Wajdy nasunął widzom polskim myśli ciężkie i skojarzenia ponure. Pytano, czy Hiszpania nie była polskim Wietnamem? Czy wachmistrz Gajkoś

nie służyłby dzisiaj w oddziałach generała Massu w Algierze?

Być może. Ogień wojny nie oczyszcza, lecz wypala. Pierwszym spadochroniarzem francuskim, który w czasie agresji anglo-francusko-izraelskiej na Egipt w 1956 roku wylądował w Port Saidzie, był sierżant Legii Cudzoziemskiej „Stanisław Tarkowski" — z jakichś powojennych polskich tułaczy, którzy nie znaleźli drogi do ludowej ojczyzny. Ale poszczególne wypadki nie zmienią reguły odmienności. Bowiem i Gajkoś, i człowiek zwany Tarkowskim brali broń do ręki, by służyć ojczyźnie, a ich dramatem jest to, że na nader zawikłanych polskich drogach do wolności wypalili się wewnętrznie. To jest ta cena, którą nieraz już płacono, to są te popioły.

Lecz i na popiołach wyrasta zielona trawa młodego życia. Mistyfikacją jest przedstawienie opętanych największym nawet szałem bitewnego zniszczenia Maćków i Bartków epoki napoleońskiej jako zawodowych najemnych zbirów, którzy kochają zabijać, jako jakichś Kongo-Mullerów, a Saragossy jako My Lai.

Przedwczesna i nieuzasadniona płaska aktualizacja! Nigdy ani Hiszpania, ani San Domingo nie były p o l s k i m i wojnami, nigdy nie były aprobowane przez sumienie społeczne ani też przez tych nawet, którzy w nich brali udział.

Dzieje polskiego żołnierstwa to nieraz najgłębsze dramaty sumień, ale nigdy pokaz bezmyślnego a ochoczego okrucieństwa czy orgia głupoty i zaślepienia. Wielostronności i wieloznaczności tej tragedii nie ukaże najgenialniejsze artystyczne wizjonerstwo. Potrzeba trochę prawdy, tej wyśmianej, zdrowej, „przaśnej", „polskiej", ludowej — zwykłej prawdy o losach, myślach i postawach Polaków.

Żeromski wiele wiedział i wszystko rozumiał. „Ser-

cem gryzł" polską nieprawość, podłość. Dziś, aby pójść w jego ślady, trzeba więcej wiedzieć, a nie mniej rozumieć. Trzeba mieć rozum i serce. Bo jakże gryźć sercem bez serca?

Osobliwe poglądy Andrzeja Wajdy

Skontrolujmy raz jeszcze tok naszego rozumowania. Czy naprawdę taki jest sens, taki wydźwięk „Popiołów" Andrzeja Wajdy? Czy powyższa analiza nie jest wyrazem skrajnie subiektywnego, wyjątkowego mojego poglądu? Niestety, nie. Przytłaczająca większość krytyków i zwykłych widzów odczytała film jednoznacznie. Zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy „Popiołów" Wajdy toczą boje wokół tych samych tez, tak samo rozumianych, inaczej tylko wartościowanych moralnie. Powołam się jeszcze na jeden przykład — pisze zwolennik poglądu Wajdy [22]: „Dwa są główne motywy twórczego, czyli dzisiejszego odczytywania »Popiołów« przez Wajdę. Pierwszy dotyczy okrucieństwa wojny (...) Wszelka wojna jest jatką (...) Ta wojna jest równie okrutna i przeciwludzka, jak dzisiejsza w Wietnamie.

(...) Drugi motyw dotyczy straconych złudzeń (...). Znów młodzi ludzie, porywczy i szlachetni, (...) i znów ciężkie doświadczenia narodowe. Oszukani. Zostaje w pamięci (...) przede wszystkim oślepły Rafał i martwa pusta twarz cesarza ze sceny zamykającej film". W filmie: „(...) jest mit żołnierza-tułacza i mit Żeromskiego, jest wreszcie u dna leżąca wieczna »sprawa polska«. Andrzej Wajda odczytał wszystkie te złożone elementy w świetle doświadczeń człowieka XX wieku, który ma już za sobą Oświęcim, Hiroszimę i ...Powstanie Warszawskie".

A oto co pisze publicysta, raczej krytycznie usposobiony do filmu: „Podsumowanie — to obraz końcowy, drugi kulig Rafała. Otóż ten obraz zarówno swą treścią, jak i swą finalną lokatą, jak swą genezą — bo ojcostwo Wajdy jest tu niewątpliwe — jak i parantelą z podobnym zakończeniem »Popiołu i diamentu« — zdobywa sobie szczególne miejsce w tym filmowym utworze. A mianowicie miejsce historiozoficznego klucza interpretacyjnego, reżyserskiego, współtwórczego postscriptum. Jest to filozofia żałobnych skumbrii w tomacie, postscriptum zawiadamiające, że »Rozdziobią ich kruki, wrony...«" [23].

Od siebie dodam, iż ta historiozofia buduje i upowszechnia złą, taniutką filozofię. Cóż bowiem wynika dla nie uprzedzonego widza z obrazów stworzonych przez Wajdę? Jaki jest morał tej opowieści?

Morały są trzy.

Morał pierwszy: nie ma taryfy ulgowej dla skopanych przez historię Polaków. Nieważne, że buntowaliśmy się przeciwko przemocy, że szukaliśmy dróg walki o własne prawo do istnienia. Odwrotnie — jest „taryfa karna" dla Polaków — my ponosimy odpowiedzialność za San Domingo, Saragossę i wyprawę do Rosji, za wszelkie bestialstwa, w jakie zostaliśmy uwikłani, odpowiedzialność, od której zwolnione są wielkie mocarstwa, inicjatorzy i organizatorzy tych bestialstw. Ja, widz-Polak, mam się wstydzić tego, że nie byliśmy stadem aniołów i nieważne, że rzecz dzieje się w piekle, w tłumie zamiłowanych, urodzonych szatanów. Ja — widz-Polak — obarczony jestem więc obowiązkiem większej niż inni odpowiedzialności, wynikłym z „grzechu pierworodnego polskości". Czy nie lepiej więc wyrzec się tej niewygodnej, zbyt już moralnie uciążliwej kondycji?

Morał drugi: powodowany szlachetnymi intencjami,

starasz się coś uczynić: Nie waż się! Jeśli bowiem wkroczysz na drogę czynu, masz przed sobą dwie możliwości — albo się zeszmacisz, albo cię wykiwają. Nie rób nic. Nic nie robiąc, zachowasz honor, dobry nastrój i życie. Sama chęć czynu zresztą jest już opętaniem diabelskim...

Morał trzeci: możni tego świata w żaden sposób nie chcą pomyślnie załatwić twoich spraw. Miej do nich pretensję. Przecież są obowiązani ci pomóc.

W ogóle miej pretensję: do Polaków, którzy coś robią dla Polski, i do nie-Polaków, którzy nic nie robią dla Polski.

Na ten temat Andrzej Wajda nakręcił już wiele kilometrów taśmy filmowej, jego bałwochwalcy zaś napisali wiele kilometrów szpalt peanów i panegiryków.

Jest rzeczą zadziwiającą, jak mocno utrwaliła się legenda tego wielkiego odnowiciela myśli i uczuć polskiej sztuki filmowej, jak trudno pokazać rzeczywisty sens, intelektualną miałkość, moralną taniość Wajdowskiego buntu przeciwko polskiej mitologii, polskiej historii, polskiemu losowi. Osobliwa to bowiem kontestacja! Jeśli współcześni kontestatorzy uderzają w establishment, w sytą, nieruchawą i wytresowaną „zastałość", w obrońców porządku ciepłego i zyskownego, zbudowanego na fundamencie przelanej krwi i kości pomordowanych, jeśli mówią — „wasz ład jest niemoralny i musi być zniszczony" — Wajda z niezwykłym uporem uderza zawsze właśnie w to wszystko, co w polskiej historii było buntem przeciwko porządkowi opartemu na zbrodni. Uderza w całą buntowniczą, rewolucyjną, domagającą się zmiany polską historię. Właśnie w kontestatorów! W istocie rzeczy ze współczesną kontestacją łączy go tylko jedno — brak świadomości celu, nieumiejętność odpowiedzenia na pytanie: „Po co?", brak zainteresowania dla kwestii,

czym zastąpić zburzony porządek ideowy i moralny. Kontestatorzy zachodnioeuropejscy odpowiadają: „— cokolwiek wyrośnie na ruinach establishment będzie lepsze, czystsze". Co wyrośnie na ruinach polskiej rewolucyjnej romantyki? Chwasty oportunizmu...

Wajda zwycięski

„Popioły" Żeromskiego są trudne, pełne młodopolskich dziwactw językowych, egzaltowanych wielosłownych deklaracji, monologów wewnętrznych. Mało kto przeczyta bez przymusu. Nie każdy z tych, co muszą, przeczyta wszystko. „Popioły" Wajdy są łatwe: ludzie mało mówią, jeszcze mniej myślą, ciągle coś się dzieje i coś się rusza. „Popioły" Żeromskiego istnieją może w 200, może w 250 tysiącach egzemplarzy. Czytają je co najwyżej setki tysięcy ludzi. „Popioły" Wajdy obejrzało kilka milionów widzów. Reżyser był tej różnicy w pełni świadom. „Najważniejsze jest — mówił — aby nasza wizja przedstawiona na ekranie była na tyle przekonywująca i logiczna, i sugestywna, żeby ci wszyscy, którzy powieść znają, uznali ją nie za naszą, lecz za własną. A dla tych, którzy powieści nie czytali, żeby stała się w ogóle jedyną wizją »Popiołów«".

I tak się stało. Na nic zdały się protesty publiczności, wyjaśnienia znawców literatury, miłośników Żeromskiego, specjalistów epoki napoleońskiej. Pod naciskiem rodziców i nauczycieli podniesiono tylko granicę wieku, od którego dozwolony jest film. Pominięto całkowitym milczeniem wnioski wielkiej dyskusji zorganizowanej przez Polskie Radio i drugiej zorganizowanej przez Telewizję, na których nauczyciele literatury i historii szkół warszawskich wyrazili opinię: „jednoznaczną w określeniu wychowawczych skutków filmu jako

szkodliwych, a poznawczych jego wartości jako bałamutnych".

W kilku dyskusjach zorganizowanych przez pisma literackie, a także w długim cyklu artykułów na łamach „Polityki", najwybitniejsi znawcy epoki z profesorami Herbstem, Leśnodorskim, Pachońskim spokojnie i rzeczowo wyjaśnili, jak to było naprawdę. Profesorowie Wyka, Jakubowski i inni wykazali, na ile to różni się od prawdziwych „Popiołów" Żeromskiego.

I cóż? Nic. Szeroka i burzliwa dyskusja z natury rzeczy wzmogła zainteresowanie filmem, przedłużyła jego żywot ekranowy, a zwykła krytyka prasowa, ta, którą kieruje się szeregowy widz kinowy, nadal powtarzała, iż wszystko jest w porządku: „Nie ma w tym niczego więcej niż w powieści" [24] — powiada rutynowany krytyk w gazecie o półmilionowym nakładzie. W tym czasie Andrzej Wajda przygotował eksportową, zagraniczną wersję „Popiołów". Jaką? Nie wiemy. Nie pokazał jej nikomu z antagonistów.

Z czasem, gdy ucichła dyskusja, zdawało się, że problem jest wyczerpany, wróciła do „Popiołów" Wajdy telewizja. I tym razem 10 milionów widzów, z których co najmniej połowa po raz pierwszy zobaczyła ten film, nie dowiedziało się już niczego o minionych sporach, sprostowaniach i wyjaśnieniach. Nie ukazały się żadne recenzje, nikt nie przypomniał, iż przed kilku laty udowodniono, że to wszystko nieprawda.

Przed kilku laty miałem możność przejrzenia kilkuset prac maturalnych z języka polskiego. Większość z nich analizowała bądź „Popiół i diament" Andrzejewskiego, bądź „Pierwszy dzień wolności" Kruczkowskiego. Niestety, uważna lektura wypracowań dowodziła, że wszyscy, dosłownie wszyscy abiturienci mieli przed oczyma nie teksty tych pisarzy, lecz obrazy filmowe Wajdy bądź Forda. Dzisiaj śmiało już możemy

stawiać przed maturzystami takie tematy: „Wojna w obronie polskiego imperium kolonialnego w Ameryce Środkowej w świetle »Popiołów« Żeromskiego" albo „»Popioły« Żeromskiego jako zwierciadło ludobójczego reżimu okupacji polskiej w Hiszpanii".

Ostatecznie więc Wajda zwyciężył. Fałszywe treści, wniesione przez niego do narodowej opinii o epoce napoleońskiej, weszły trwale do światopoglądu polskiego. Dlatego również, że komponują się z całą tą akcją „przerabiania" historii Polski, którą bezskutecznie, jak widać, zwalczałem przed dziesięciu laty w „Siedmiu polskich grzechach głównych". I słusznie pewnie napisał jeden z moich głównych antagonistów: „Wartość »Popiołów« polega właśnie na tym, że film stanowi podsumowanie dzieła Wajdy i również kierunku »szkoły polskiej«, daje jej monumentalną pełnię i perspektywę historyczną" [25].

I tylko żal mi ludzi, którzy tworzyli jedną z największych epopei filmowych polskiej kinematografii. Szkoda tego wysiłku tysięcy ludzi, którzy ogrom pracy i niewymierne skarby serca włożyli w realizację filmu. Szkoda aktorów, którzy ufnie zrobili wszystko, co im reżyser kazał. Szkoda starań tych wszystkich, których widzimy na ekranie, i tych, których nie widać, ale którzy przyczynili się do stworzenia filmu. Szkoda tych, którzy mokli w falenckich stawach i godzinami brnęli po błocie, tych, którzy szarżowali „Somosierrę" z zapałem godnym tamtych, historycznych szwoleżerów i zupełnie na serio rozbijali sobie głowy i łamali ręce i nogi. Szkoda ich talentów, wysiłków i ofiarności. Znam ich, wiem, że do ostatka wierzyli, iż służą prawdzie, pamięci bohaterów i mądrej nauce na przyszłość. Wierzyli, że praca ich przysłuży się ojczyźnie.

ZGRZEBNE, DUMNE PRAWDY

Recenzja z epoki,
czyli Mariana Brandysa
„Kozietulski i inni".

Na początku był tylko pretekst: zielone teczki z krośniewickiego dworu, pożółkły wystrzępiony list matki do syna: „...wiem, jaka jest przeciwko Tobie opinia, jak Cię oskarżają o Twoją prędkość nazywając Cię siarką..." [26] pisany na długo, nim ów syn, niepomny matczynych przestróg, „w czwórki szwadron zwinął" i przez dymiące lufami armat somosierskie wrota wpadł galopem do żołnierskiej piosenki, do polskiej historii i na wiek cały do wszystkich polskich spraw, myśli i rozmów. Lecz dalej z zielonej teczki obok spraw bitewnych i honorowych wyjrzały po kolei jakiś szal na sprzedaż, wożony „tam i nazad" po całej Europie, jakiś rewers na pięć tysięcy z czymś złotych zużytych na ekwipunek żołnierski, do końca chyba nie spłacony, jakieś troski o zatracone w pochodach konie i nie spełnione marzenia o własnym domu, i galowy mundur raz czy dwa tylko włożony, i codzienna nędza, chłód, głód i nostalgia, ambicje i rozczarowania, wybory dokonane i ucieczki od takich wyborów. Żadna tam „kozietulszczyzna"! Ot, po prostu człowiek — raz na scenie, raz za kulisami — trzydzieści dziewięć lat i siedem miesięcy jego drogi przez życie. Postać pasjonująca przez to życie właśnie, a nie przez tamte jedyne osiem minut szarży, z którą związał go — śmieszne! — po prostu tzw. „grafik służby", kancelaryjna kolejność dyżurów w pułku.

„...i inni"

Brandys — biografista poszedł tropem wskazanym przez krośniewickie dokumenty, odtwarzał życiorys człowieka w odmęcie historii. Ale człowieka tego czasu nie sposób wyodrębnić z potoku społecznego. W tej epoce nie było wyalienowanych, toteż dzisiaj nie dają się wypreparować z otoczki. O całych okresach życia Kozietulskiego trzeba było po prostu powiedzieć: przeżył ten czas wraz z innymi i tak jak inni. Więc w końcu coraz więcej miejsca w opowieści o Kozietulskim zajmowali ci inni — zauważa sam autor: „trzeba było wezwać na pomoc cały pułk szwoleżerów". Ów „pański" pułk, z samej zacnej szlachty do ostatniego ciury złożony, z synów posesjonatów — obywateli, a nieraz i magnatów — „statystów" (wszak służyli w nim synowie pięciu aktualnych ministrów Księstwa!), a dalej pojawili się — tych szwoleżerów ojcowie i matki, żony i kochanki, dzieci i koledzy, żołnierze i cywile, dostawcy, lichwiarze, ordynansi, staromodni marszałkowie szlachty i nowomodni prefekci, proboszczowie i urzędnicy stanu cywilnego. Cała polska epoka napoleońska. Cała napoleońska legenda.

Prezentuje ją Brandys oględnie i powściągliwie. Na wszystkich 566 stronach obu tomów książki powstrzymuje go jakby ta sama obawa, której dał wyraz na wstępie: „Nie miałem najmniejszej ochoty (...) narażać się na podwójny ostrzał — ze strony chwalców i przeciwników kozietulszczyzny". Toteż sam autor niewiele nam opowie — przypomni tylko podstawowe fakty epoki, podrzuci kilka cyfr, przypomni, „kto jest kto", co najwyżej jednym wtrąconym słowem, epitetem (broń Boże nie własnym, lecz cytowanym) podbarwi charakterystykę postaci. Naszkicuje dekoracje i wprowadzi na scenę swoich bohaterów. Potem znika. Boha-

terowie mówią sami. Relacjonują. Zeznają. Brandys polega na nich. Ma zaufanie i do tamtych minionych ludzi, i do nas, współczesnych czytelników. „Zauważcie, proszę, ja nie potępiam ani nie pochwalam, ja tylko opowiadam..." A wszystko polega tu na doborze relantów, wyborze zeznań i na ich zestawieniu. Cały obraz i cały dramatyzm. I nic autorowi nie pomoże ucieczka od point. Zabawne jest obserwować, jak Brandys przytaczając powszechnie znane epizody skreśla z nich równie znane pointy, które wydają mu się zbyt jednoznaczne i zbyt teatralne, mimo iż są autentyczne i przechowały je właśnie liczne relacje współczesnych. Lecz czy w ten sposób uda się ocalić prawdę „zgrzebną" i jedyną, a zwłaszcza — uniknąć sporu? Ten spór tkwi przecież w istocie problemu, w każdym wydarzeniu i w każdym zdaniu dokumentów i pamiętników.

Cóż to na przykład krzyknął Kozietulski, wyciągając szablę pod Somosierrą: konwencjonalne „Vive l'empereur!" czy też swojsko i bardziej zrozumiale: „Naprzód, psiakrew, cesarz patrzy!"?

Ja wierzę w to drugie. Nie tylko dlatego, że wiem, iż pola bitew częściej słyszą słowa nieprzystojne niż hasła piękne i zgodne z aktualną linią polityczną, wymyślane zresztą zwykle ex post. Nie tylko dlatego, że doceniam wagę tego dziś niewinnego „psiakrew", które wówczas, w nie zakończonej jeszcze epoce „dobrze" i „źle" urodzonych miało wagę nie mniejszą, niż dzisiejsze wywody genealogiczne „o mamie" i uniwersalne polskie słowo na k... Dlatego przede wszystkim, że w tym „cesarz patrzy" zawarty jest nakaz nie tylko dla szwoleżerów, lecz i dla cesarza, dlatego że takimi zgodnie z prawdą pokazał Brandys wszystkich Kozietulskich epoki: pokazał ich nie jako wpatrzonych w cesarza, ale jako zmuszających go do patrzenia, nie

jako opętaną ideą fix trzodę ofiarną, ale jako na miarę możliwości i we wszystkich swych chęciach strumień świadomy, dążący i wymuszający — podmiot historii.

Cesarz i natrętni Polacy

Brandysowski obraz epoki to nie opowieść o „bardzowiernych". Własne zeznania świadczą, że autentyczni „napoleończycy" w odróżnieniu od swych synów — ludzi romantyzmu — niezbyt kochali cesarza. I nie tylko: niewątpliwie podziwiali go i liczyli na niego, ale już z szacunkiem było nieco gorzej. W relacjach zazgrzyta nieraz i ostra przygana, krytycyzm zmieszany z żalem, nieraz zabrzmi też obelga. „Wielu z Ich MP oficerów polskich, zapomniawszy, że wykonali przysięgę wierności Najjaśniejszemu Cesarzowi, poważają się po oberżach, biliardach i miejscach publicznych schadzek używać słów nieprzyzwoitych i wyrazów uwłaczających powinnego temuż monarsze uszanowania..." zwraca uwagę Dyrektor Policji Aleksander Potocki. Oni znali „swego cesarza" lepiej niż późniejsze pokolenia i lepiej go chyba rozumieli. I mniej się mylili. Toteż nie czuć w większości relacji tego uczucia zawodu, które wytworzyło późniejsze pokolenie. Oni dobrze wiedzieli, że Napoleon w istocie rzeczy niczego im nie obiecywał.

Mówił im o tym wyraźnie wkraczając do Polski w Poznaniu w 1807 roku, mówił o tym w Warszawie, mówił o tym w Schoenbrunnie.

Ale wierzyli w siebie, wierzyli we własną zdolność do wywarcia wpływu na bieg myśli i decyzje cesarza, na kształt historii. Wierzyli, że zostaną zobaczeni — jak pod Somosierrą, usłyszani — jak osiemnasto-

letni podporucznik Chłapowski, wbrew opiniom generałów i ministrów przedstawiający cesarzowi własny punkt widzenia, że zostaną d o c e n i e n i — gdy wytrwała krzątanina Wybickiego wyczarowywała setki fur chleba, mięsa, wódki, furażu dla walczącej armii.

I wbrew późniejszej legendzie nie spieszyli się wcale z niesieniem tej ofiary na ołtarz ojczyzny, a krwi i chleba do cesarskiej szkatuły, nie wyzbywali się lekkomyślnie najlepszych kart w rozgrywce, starali się zachować możność przetargu, nawet targów, możność wywierania nacisku. Nieprzypadkowo książę Józef witał wkraczających Francuzów w dawnym polskim mundurze z pruskimi i rosyjskimi orderami na piersi — nie był jeszcze napoleończykiem, mógł nim zostać — za określoną cenę, którą formułował w swych memoriałach do cesarza, domagających się przywrócenia Polski. W pierwszym pochodzie hiszpańskim chciano, by cesarz widział Polaków, ale już od drugiego mężni szwoleżerowie uciekali i kryli się, jak mogli, nie pogardzając najbardziej nieżołnierskimi sposobami. I w roku 1809 długo wzdragali się napoleończycy przed wezwaniem Galicji do powstania — możliwą irredentę proponowali cesarzowi, jednakże pod warunkiem, by mogła się odbyć pod zagwarantowanym hasłem zjednoczenia ziem polskich rozdartych zaborami. A gdy zachodziło już „słońce boga wojny", szukali wyjścia przekładając sprawę polską nad sprawę Napoleona. Po Lipsku nawet ci najwierniejsi powiedzieli cesarzowi: „odchodzimy". I wówczas jeden jedyny raz cesarz obiecał, zachęcił — że lepiej później niż teraz. I miał rację i słowa dotrzymał. W akcie abdykacji w Fontainebleau.

Nie, w mozaice wydarzeń, postaw i ówczesnych poglądów ułożonej przez Brandysa nie czuć żalu, że Napoleon oszukał Polaków. Czuć natomiast żal, że

nie wykorzystał szansy. Szansy, jak sądzono wówczas, jedynej dla Polski i jedynej również dla Francji, szansy, aby poprzez silną Polskę umożliwić utrwalenie cesarstwa napoleońskiego we Francji. Mieli do cesarza żal, że nie zrozumiał własnego interesu, że prowadził politykę fałszywą nie z punktu widzenia moralności, nie z punktu widzenia interesu polskiego, a z punktu widzenia interesu Francji i własnego interesu dynastycznego. Po latach generał Prądzyński akodyfikuje niejako te poglądy, pisząc książeczkę analizującą szczegółowo „polskie" błędy Napoleona, i wojskowe, i polityczne, jako błędy uczynione na własną, napoleońską niekorzyść.

Dlaczego do dziś mamy wierzyć, że był nieomylny; wzdragamy się przyjąć, iż to nie polska polityka napoleońska była błędem, lecz że błędem była polska polityka Napoleona? To właśnie, że nigdy niczego nie chciał obiecać, że nigdy niczego nie chciał uczynić, że do wszystkiego trzeba go było zmuszać! A przecież tak właśnie było.

Czas nie utracony

Wszak to nie Napoleon powołał do życia Polskę, on tylko krok za krokiem musiał sankcjonować jej istnienie, bowiem jeszcze zanim zjawił się w Warszawie, a potem co dzień i co rok, korzystając z każdej okazji powoływali ją z niebytu sami Polacy — ludzie epoki napoleońskiej.

Napoleon żądał rekruta — powstawało narodowe wojsko. Potrzebował mięsa i chleba — powstawała rodzima administracja kraju. Chciał porządku i spokoju na zapleczu działań wojennych — powstawała władza państwowa, nowoczesny aparat urzędniczy, a przy oka-

zji ogólnonarodowe szkolnictwo. Z oburzeniem wspominamy dotąd, jak to Napoleon w ciągu kilku godzin p o d y k t o w a ł konstytucję Księstwa Warszawskiego. Czy konstytucją tą stworzył coś nowego, jakiekolwiek rzeczywiste materialne zjawisko polskie? Uregulował tylko odrodzoną w ciągu roku państwowość polską, i to — jak wiemy — w szeregu zagadnień wewnętrznych wcale niegłupio.

Pisze współczesny historyk, Barbara Grochulska, o metodach pracy stosowanych przez polskich „napoleończyków": „...Najczęściej dopiero po fakcie powiadamiano o nim cesarza lub któregoś z jego marszałków i podsuwano im do zatwierdzenia takie czy inne zarządzenia, które bywały nieraz i bez tego wcielane w życie". I dalej w innym miejscu: „...Napoleon nie przypuszczał, że zastanie Polaków w takim stanie gotowości i zorganizowania, że będzie stykał się na każdym kroku z elementami państwowości, która wedle wszelkich logicznych przesłanek nie powinna była istnieć" [27].

Nikt nie kocha urzędników, ale w nowoczesnym świecie są niezbędni. Tego, może trochę sztywnego spoiwa i sprawnego, choćby nawet zbyt posłusznego narzędzia ogólnopaństwowego rządu brakło pierwszej Rzeczypospolitej, by przekształcić się w państwo zdolne do życia. Tych właśnie wiernych, związanych z państwem, a nie z własnymi fortunami ludzi zabrakło Sejmowi Wielkiemu i Insurekcji Kościuszkowskiej dla realizacji i utrwalenia zbawczych dla kraju programów.

Jakże śmieszy nas dziś ten wstyd, który odczuwają notable magnackiego sejmu, gdy za od wieków w Polsce honorowe czynności państwowe biorą po raz pierwszy pensję z państwowej kasy! („zdało mi się, że z urzędnika zostanę jurgieltnikiem" pisze Koźmian).

Lecz w ślad za przywiązaniem do „listy płacy" idzie nigdy dotąd nie zrealizowana usuwalność urzędników, a więc i odpowiedzialność za czynności urzędowe, a dalej ścisłe określenie praw i obowiązków, podział kompetencji i wreszcie konkursowy egzamin na każdy wakat urzędniczy i niezbędny cenzus wykształcenia i doświadczenia (stażu) dla każdego stanowiska publicznego. A za cenzusem wykształcenia — intensywnie rozbudowywane szkolnictwo, od elementarnej „parafialnej" szkółki (1200 szkół — 1 szkoła na 1,2 mile kw.) dla wszystkich, bez względu na stan społeczny, wyznanie i płeć!, szkolnictwo programowo „drożne", a więc umożliwiające każdemu zdolnemu przebycie wszystkich szczebli wykształcenia, co otwiera z kolei drogę do godności i odpowiedzialności państwowej. A dalej prawo cywilne, prawo świeckie, pierwsze urzędy stanu cywilnego (tymczasem tylko w Warszawie!) itd, itp. W mgnieniu oka powstawała nowa rzeczywistość polska. Nie odradzała się tylko, lecz właśnie powstawała — do głębi i od podstaw przeobrażona.

Niczego jeszcze nie było, ani obietnic, ani deklaracji, ani dekretów, prócz wyczarowanego z nicości wojska i prawem kaduka powołanej administracji, gdy Stanisław Staszic w broszurze-ofercie „O statystyce Polski — krótki rzut wiadomości potrzebnych tym, którzy ten kraj chcą oswobodzić, i tym, którzy w nim chcą rządzić" rzucił hasło: „Waleczny narodzie! Przestrzegam, użytkuj z czasu! Już masz punkt do zbrojenia się i do zbioru. Działajże cały, jak tylko możesz, i właściwymi i niewłaściwymi, i jawnymi, i skrytymi sposoby!" [28]

Narodzie, użytkuj z czasu! Od kwietnia 1807 roku „Nowa Gazeta Warszawska" podjęła publikację wypowiedzi o sposobach urządzenia ojczyzny — od metody

garbowania skór aż po kwestię charakteru narodowego Polaków. Nb. zbiór tych wypowiedzi pt. „Korrespondencja w materyach obraz kraiu i narodu polskiego roziaśniających" wyszedł w Warszawie jeszcze w tym samym roku! Prócz tej ciekawostki wydawniczej warto wymienić, że pierwsza książka, która się ukazała u progu „Nowego odrodzenia", to była praca Wawrzyńca Surowieckiego o ...ówczesnych kłopotach z „pokoleniem następców" pt. „O wadach edukacji młodzieży polskiej" oraz że chyba właśnie wtedy wymyślono dla autorów i tłumaczy stawkę honoraryjną „od arkusza tekstu"...

Narodzie, użytkuj z czasu! — jakże jednak mieli go mało ci ludzie — twórcy epoki napoleońskiej! Uruchamiali procesy społeczne, wytyczali im nowe ramy prawne, montowali mechanizmy społeczne, lecz były to głównie fundamenty nowego życia i trudno dziś powiedzieć, jak wyglądałby cały gmach.

Historycy współcześni zwracają uwagę, iż np. dorobek ekonomiczny Księstwa jest dotychczas niesprawiedliwie negliżowany. Cytowana uprzednio Barbara Grochulska twierdzi, iż podobnie jak na legendzie wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych zaciążyło to, iż pisała o niej przeważnie subtelna i zgorzkniała inteligencja, reprezentująca Południe — tak na obrazie osiągnięć Księstwa ciąży specyficzny punkt widzenia Skarbka czy Koźmiana, kreślących obraz żałosnej ruiny magnackich majątków, a nie dostrzegających nic dobrego w rozkwicie „spekulantów" — szlachty, która umiała dostosować się do nowych burżuazyjnych porządków. Promotorom epoki śniło się przecież znacznie więcej niż tylko prawno-organizacyjne początki.

W 1811 roku mówił Staszic o potrzebie „przekroczenia progu", jak byśmy dziś powiedzieli — uprzemysłowienia, mówił o nowoczesnych zagłębiach górniczych,

miastach przemysłowych, drogach handlowych, wzywał patetycznie: „gdzież jest u nas turkot, ruch bryk po drogach brukiem brukowanych?" W działaniach i zamiarach epoki Księstwa Warszawskiego brzmi jakby zapowiedź nowej epoki kazimierzowskiej, urządzenia od podstaw, kodyfikacji praw i obowiązków, równowagi sił społecznych, sprzężonych w imię wspólnego ogólnonarodowego i państwowego interesu umocnienia ojczyzny. Ale Kazimierz na swoje statuty wiślickie i piotrkowskie, „sądy pod lipą", wielki plan inwestycyjny budowy 70 miast i 53 zamków miał 37 lat, 37 lat drogo co prawda okupionego, ale rzetelnego pokoju. Ludzie Księstwa mieli tylko lat sześć, i to obciążonych olbrzymim brzemieniem wojennym. Powściągliwością postulatów niepodległościowych płacili nie za lata pokoju, lecz tylko za samą możność i s t n i e n i a w wojennej zawierusze. Wznosząc fundamenty pokoju robili więc przede wszystkim wojnę i jej narzędzie — wojsko. Takie właśnie, jaki miał być kraj: nowe.

Jakże żałosna jest u Brandysa owa obraza szwoleżera, gdy oficer po raz pierwszy miast „waćpanie" mówi do niego „per ty". A przecież to właśnie przejaw zrównania stanów. Drugą stroną tego medalu jest uznanie prawa do patentu oficerskiego dla każdego szeregowca posiadającego żołnierską zaprawę, umiejętności, zdolności i znajomość sztuki czytania i pisania.

W doborze do szkół średnich np. Korpusów Kadeckich ów jakże charakterystyczny dla armii Księstwa Warszawskiego brak kryterium pochodzenia społecznego przejawił się w tym, że przywilej stanowy zastąpiono określeniem: „pierwszeństwo mają synowie wojskowych i urzędników państwowych". Robili więc to wojsko na nową modłę, w której pobrzękiwało echo najśmielszych pomysłów z czasów Sejmu Wielkiego i ideałów „Dekady" legionowej, i przede wszystkim,

zdobycze rewolucji francuskiej. Wojsko z kompanijnym sądem szeregowców, jako najwyższą władzą dyscyplinarną, z radami żołnierskimi w kompanii, w pułku i w dywizji, z radami, które decydowały i o karach, i o wspólnej gospodarce, opiniowały awanse i odznaczenia. Robili to dziwne wojsko, w którym żołnierz-chłop — ledwie i podobno tylko formalnie uwolniony z poddaństwa — pisał list do swego byłego dziedzica „...a gdy zostanę uwiadomiony od mojej żony, że będzie pokrzywdzona grabieżą, pochwałką lub dalszym zniewoleniem odbywać powinność, to użyję środków takowych, a to praw mych, jak okazuje zasługa mojej ojczyzny".

Brandysowscy „...i inni" odtworzyli pojęcie Polski i czego by się nie mówiło o jej terytorialnym zasięgu — polską rzeczywistość. Stworzyli zrąb nader jak na swój czas nowoczesnej budowli. Co więcej — to, co było w ich dziele najważniejsze, przenieśli chlubnie poprzez wszystkie kryzysy międzynarodowe i wewnętrzne.

Pomnożenie wartości

Przypomnijmy: jesienią 1806 roku nad Wisłą, Wartą i Sanem były tylko Prusy Zachodnie i Nowe Południowe, Galicja Stara i Nowa itd. W roku 1807 w czasie „spotkania na szczycie" w Tylży mocarze przysięgali sobie nawzajem, iż nie uznają pojęcia i nigdy nie użyją nazwy Polska. W roku 1809 nawet z gotowym wojskiem robić trzeba było niesłychane cuda, dzieląc je na wojsko „warszawskie" i „francusko-galicyjskie". Później nieraz ponawiano przysięgi, iż żadna kwestia polska w polityce europejskiej nie istnieje. W kilka lat później zaś Marcin Badeni zgryźliwie zauważył: „Polacy powinni by w suplikacjach do Boga dodać: od po-

wietrza, głodu, ognia, wojny i wskrzesicieli zachowaj nas Panie".

Zimą z 1812 na 1813 księciu Józefowi proponowano, aby o przyszłości Polski pertraktował z zapomnianym zupełnie przez historię podrzędnym dowódcą korpusu, generałem Sackenem. W dziesięć miesięcy później, w ostatnim dniu bitwy pod Lipskiem, czterystu piechurów podpułkownika Macieja Rybińskiego osaczonych, na wpół utopionych w bagnach Pleissy, oszalałych z rozpaczy i wyczerpania bitwą odmówiło jakichkolwiek pertraktacji chyba, że z samym carem. I car Aleksander I przyszedł do nich, przyjął kapitulację, nie kazał ich uwięzić, lecz rozkazał, by z bronią i sztandarem maszerowali do Warszawy.

Nazajutrz po abdykacji Napoleona w Fontainebleau Polska w osobie resztek swego wojska z otwartą twarzą, z honorem i godnością staje wobec zwycięzcy i powitana z szacunkiem zostaje uznana. Nie tylko swój honor, lecz właśnie Polskę, i to Polskę nowoczesną, jak na owe czasy, wznieśli na nowo i przenieśli przez wszystkie katastrofy.

Przez wszystkie pola zawodów, klęsk i porażek — dopiero stamtąd, spod Paryża, pomaszerowali do kraju nie jako jeńcy, nie jako obywatele Prus Południowych czy „przywiślańskiego kraju", lecz jako Polacy, zalążek Królestwa Polskiego. Pomaszerowali w mundurach, z bronią i ze sztandarami, trumną swego „rycerza niezłomnego" — księcia Józefa i z całym swoim bagażem — ze swoimi radami pułkowymi, z mieszczańskimi, a nawet i chłopskimi oficerami, ze swoją świadomością patriotyczną, obywatelską i demokratyczną, ze swymi szeregowcami-chłopami, co czytali gazety i umieli pisać, ze swoimi masonami i ateuszami, z kodeksem Napoleona, z napoleońskim poczuciem prawnym, z klubami politycznymi i ideałem wolnej prasy, z baronami ce-

sarstwa wyrosłymi z drobnej szlachty-dzierżawców, z kapralami piechoty, przyszłymi nauczycielami gminnych czteroklasówek i fajerwerkami artylerii — przyszłymi technikami i budowniczymi. Pomaszerowali do kraju, by tam — pokonani wobec zwycięzców — oświadczyć słowami Linowskiego „Pamiętajcie, że możecie mieć z nas braci, nigdy dobrowolnych niewolników".

Mówimy często: niczego nie ocalono z daremnych zrywów epoki napoleońskiej. Gorzki paradoks: przecież ocalono właśnie z b y t w i e l e. Ocalono zbyt wiele ze świata rewolucji i świata burżuazyjnego porządku, by mogło się to ostać w dniach świętego przymierza, w ramach prawnych i państwowych najreakcyjniejszego z reakcyjnych cesarstwa rosyjskiego. Łamanie opozycji i łamanie charakterów, samozniszczenie i niszczenie ludzi — degrengolada Zajączka, samobójstwo Wilczka, losy Niemojewskich i Łukasińskiego byłyby nieznacznym epizodem, gdyby nie to, że stała za nimi realna i jakże już odmienna od rosyjskiej rzeczywistość społeczno-polityczna nad Wisłą. Bowiem nie można już było złamać narodu i rodzącej się „stale, codziennie i w skali masowej" nowoczesnej XIX-wiecznej polskości.

Panorama losów napoleońskich „...i innych", skreślona przez Brandysa, umacnia nas w przekonaniu, iż w Polsce samo pojęcie legendy napoleońskiej wymaga przewartościowania. To nie jest legenda cesarza. To jest legenda ludzi tamtych czasów. Nie „wielce wiernych" cesarzowi — „słońcu Franków", ale wiernych ojczyźnie i rozumnym, upartym dążeniom do jej odbudowy. To apoteoza nie tylko ich dążeń, ale ich dokonań. Jeśli jest w niej gorycz, to nie zawodów i rozczarowań tych, którzy się dali oszukać, ale gorycz niespełnienia tych, którym historia dała za mało czasu.

Tragiczne rozczarowania tych ludzi przypadają na inne czasy i są związane z innymi okolicznościami.

Chce tego Brandys czy nie, ale jego książka budzi podziw dla tych ludzi, jest apoteozą wysiłku narodowo-organizacyjnego i państwowo-twórczego (tak! to słowo, aczkolwiek splugawione, coś jednak znaczy). Zatrzymuje się z uwagą Brandys nad ludźmi czynnymi, postacie ich kreśli z sympatią, ceni ich za odwagę, z jaką wzięli na siebie ów ciężar zaangażowania wraz z nieuchronnym ryzykiem błędu i niepowodzenia. Rozumie ich załamania i wątpliwości: wszak u progu 1807 roku zniechęceni są nawet Wybicki, nawet Dąbrowski, współczuje tym, którzy rozczarowani rezygnują na zawsze z aktywnej działalności. Jednakże trudno stwierdzić, aby pochwalał tych, którzy na drodze bierności pragnęli zachować „czyste ręce". Dezercją oczywistą jest dla niego postawa tych, którzy porzucają sztandar w trosce o zagrożone konfiskatą majątki, nie spieszy potępić odchodzących ideowo, tych, którzy wcześniej zorientowali się, iż napoleońska koniunktura dla Polski dobiega końca, takich jak Chłapowski, Chłopicki, mężny Kniaziewicz. I wreszcie — nieprzekupny Kościuszko, wróg osobisty tyrana, bardziej niechętny mu niż nawet Aleksandrowi I.

A jednak — jakże żałosny jest w tej końcowej scenie w wiosce pod Fontainebleau ów starzec w chłopskich portkach, w dziurawym, słomianym kapeluszu, teraz, gdy ginie świat i nadzieja Polaków, broniący wiązki słomy przed głodnymi, zmordowanymi żołnierzami! Owszem, jeszcze napisze list do cara w sprawie przyszłości Polski i... odpowiedniego stanowiska dla swego szwajcarskiego przyjaciela, jeszcze zjawi się w Wiedniu, w czasie Kongresu, ale prywatnie — i nadaremnie. A przecież — gdyby... Gdyby stanął tam — a mógł! —

jako zasiedziały Naczelnik wciąż jeszcze istniejącego ponapoleońskiego Państwa Polskiego...

Nie sposób oprzeć się myśli, czy w swej opozycyjnej wobec rzeczywistości postawie wieloletniej negacji nie roztrwonił czasem tego olbrzymiego kapitału moralnego, którym dysponował, jak ów zły sługa, co nie pomnożył talentu, danego mu przez Gospodarza, gdyż obawiał się wypuścić go z rąk.

Nie, książka Brandysa nie jest apoteozą „niezłomnych w bierności". A ponadto...

Przedwczoraj i dziś

Dzisiejszego czytelnika uderza jakaś „niedzisiejsza" uczciwość ówczesnego życia politycznego. Uczciwość czynna i osobista — umiejętność „płacenia swoich rachunków" przez ówczesnych ludzi. Stateczny obywatel ówczesnej epoki, polityk-statysta, robiący politykę i wojnę, współkształtujący życie kraju według określonej koncepcji, nie tolerował innej koncepcji na użytek własnych dzieci, nie kupował synowi skutera i gitary, by potem wyrzekać na przepaść dzielącą pokolenia. Kupował synowi konia, szablę i żołnierski mundur i posyłał go na pola bitew, by praktycznie realizował i przeżywał propagowaną przez ojców koncepcję.

Cena historii nie była dla tych ludzi abstrakcją i nie kazali jej płacić tylko innym. Wybicki sam wydeptywał o głodzie i chłodzie polskie ścieżki, gromadząc prowiant dla armii, syn Dąbrowskiego został kaleką na polu bitwy, a syn Wybickiego, szeregowy, a potem młodszy oficer szwoleżerów, zmarł po prostu z wyczerpania po odbyciu kilku wyczerpujących kampanii.

Za polską politykę napoleońską płacił ranami i kontuzjami Kozietulski, a wyczerpującym wysiłkiem i cięż-

ką chorobą najbliższych płaciły jego matka i siostra. Na głodowe zarazy marli i chłopi, i szlacheckie dzieci. Straszne są te opublikowane przez Brandysa wykazy zwalnianych z wojska inwalidów — nie zabitych właśnie, nie rannych, nie kalek, lecz niezdolnych do służby na skutek chorób i wyczerpania.

Baronowie cesarstwa sami spali na mokrej słomie i przymierali głodem. Nie były im potrzebne moralne olśnienia Bertolda Brechta. Wózek matki Courage towarzyszył im na wszystkich drogach wojny, nie byli ślepi, widzieli go. Nazywała się w rzeczywistości „Baśka od szwoleżerów", męża straciła pod Możajskiem, wózek z całym majątkiem zostawiła na wschodnim brzegu Berezyny, dziecko wypadło jej z ręki, gdy przepływała rzekę. Dostrzegli ją i opisali wszyscy ówcześni pamiętnikarze.

Znali cenę wojny. „Pola niemal całe były spalone od ognia armat, które sobie przez zboża dojrzałe torowały czarne szerokie drogi, a w tym pożarze całych pól ulegali spaleniu się ranni żołnierze" pisze porucznik szwoleżerów Józef Załuski. „Pod Raschdorf widziałem pagórki z amputowanych nóg i rąk". Ale — i znowu rys niedzisiejszy: płacąc — niczego nie usprawiedliwiali. Stąd ten żywy — na każdej niemal karcie opowieści Brandysa, w każdej niemal relacji — protest i oburzenie. Nie transcendentne, nie wymierzone w Kosmos, a konkretne: przeciwko okrutnym rozkazom dowódców francuskich w Hiszpanii i przeciwko fanatyzmowi hiszpańskich księży, przeciwko okrucieństwu maruderów i okrucieństwu komendantów wojennych, przeciwko temu wszystkiemu, co niehonorowe, niegodne, powiększające ból ludzki ponad miarę. Aż po ową wzruszającą i jakże prawdziwą historię opowiedzianą przez porucznika szwoleżerów Płaczkowskiego o chłopach rosyjskich, fortelem obronionych przez niego

przed śmiercią z rąk... Hiszpanów w służbie Napoleona. Rozumiejąc nieuchronność okrucieństwa wojny, w zakresie postępków człowieka, nie wynajdywali usprawiedliwień, buntowali się przeciw zasadzie „à la guerre comme à la guerre", która pozwala robić każde świństwo w ogólnym bałaganie, żądali jakże niemądrych, feudalnych jeszcze przeżytków: honoru, uczciwości, ludzkiego stosunku do otoczenia — nawet w piekle. Jest w tym coś pięknego, gdy żołnierska matka pisze do syna tkwiącego w hiszpańskim inferno z oburzeniem i wstrętem: „Tu mają wiadomość, że wasz regiment w Hiszpanii miał szukać zdobyczy i... pozwalać sobie na excessa; choć temu nie chcę wierzyć, ale pomyślenie każde, że taka opinia tylko mogłaby być o Polakach, sił mnie pozbawia. Polacy mogliby być tak podli, żeby dla jakiegoś zysku powiększali liczbę nieszczęśliwych! O mój Jasiu, czyliż nie potrzeba by się wyrzec nazwiska Polaka...".

Dziś wzruszono by po prostu ramionami: „no cóż, taka jest wojna. Trudno się dziwić, daremnie protestować".

Przyznam się, że wolę tamtą „feudalną" uczciwość i rycerskość. Wiara w imponderabilia służyła jednak słabemu człowiekowi jako gorset, pomagała mu zachować człowieczeństwo, podczas gdy — jak wiemy — zwalanie wszystkiego na „trudne dzieciństwo" i „okoliczności historyczne" nie tylko otwiera drogę przed draństwem, ale też rozbraja zwyczajnego człowieka.

Książę Józef Poniatowski nie brał pensji należnej mu według nowego porządku ani z tytułu ministerialnej funkcji, ani z tytułu generalskiego stopnia, przekazywał je na budżet armii. Swój prywatny majątek traktował feudalnie — jako dobro własne, a zarazem własność publiczną, nieraz obracaną na potrzeby wojska, którym dowodził. Jeszcze w 1813 roku przed wymarszem

z Warszawy nie jako minister, lecz jako Poniatowski, zaciągnął prywatną pożyczkę na wyekwipowanie ruszających oddziałów. Intendent pani Walewskiej pożyczki udzielił na słony procent.

Tak mieszało się stare i nowe w tej epoce. I nie zawsze to „stare" jest w oczach dzisiejszego czytelnika gorsze... Nie tylko w zakresie polityki, gdzie ciągoty w stronę Dorpatu, gdzie to jeszcze Stefan Batory... zmieniały się ciągotami w stronę Pomorza Zachodniego i „piastowskiej dziedziny" Śląska, i jakże ostro wyczuwalnej w listach i rozkazach polskiego 10 pp spod Kołobrzegu więzi Polski z Bałtykiem. I co tu stare, a co nowe?

I tak, zamiast o książce Brandysa, piszę o epoce, którą przedstawił... Trochę tu winna epoka i dużo — sam pan Marian, który tak starannie ukrył własną indywidualność pod stosami dokumentów i tomami wspomnień. Oczywiście nieraz, mimochodem, daje on wyraz swoim sympatiom i antypatiom — wiemy na przykład, że nie lubi intrygantów, pozerów, nienawidzi koterii dworskich i mafii sztabowych, bardzo nie lubi „prezesa Wicusia" — Wincentego Krasińskiego. Ale w ostatecznym rachunku jest to chyba najbardziej bezosobowa, „obiektywistyczna" książka Mariana Brandysa. Jego robota i styl są tu jakby skrzynią ze szkła kryształowego: widać doskonale wszystko w środku — co tam jest i jak poukładane, nie widać natomiast samej skrzyni. Myślę jednak, że właśnie ta książka okaże się najtrwalsza. Nie te poprzednie, zrodzone z wyraźnej osobistej sympatii, bardzo własne książki o Sułkowskim czy Poniatowskim — owoce przyczynkarskiej ciekawości i dowód bardzo prywatnej hierarchii wartości, ale właśnie ta ostatnia — obraz epoki. Świetnie napisana, fundamentalna kodyfikacja nowej polskiej legendy napoleońskiej. Z niej wiele „roczników" czytelni-

czych dowiadywać się będzie, o co tam dziadkom u progu XIX wieku chodziło.

Można oczywiście wykazać niepełność tego obrazu, można przypomnieć właśnie, że ważniejsi niż szwoleżerowie byli stary Łubieński i Surowiecki, Potocki i Staszic, te bataliony gwardii narodowej z oficerami-piwowarami i szewcami na czele, o których Brandys ledwie wspomina, że byli urzędnicy, górnicy i hutnicy, że wreszcie zamiar wcale nie był taki, że chodziło po prostu o Kozietulskiego, a co najwyżej o szwoleżerów. Ale na to już nic nie poradzimy — ani autor, ani ktokolwiek inny. To był główny nurt historii Polski w tym czasie i książka o tym nurcie zostanie panoramą epoki, przenosząc wszystkie swoje osiągnięcia i usterki do świadomości czytelnika.

Jednego jej nie sposób zarzucić — zagubienia ciągłości historycznej. To nie jest tylko efektowna anegdotka — to spotkanie autora z pułkiem szwoleżerów im. Kozietulskiego na polach ostatniej bitwy 1939 roku pod Wolą Gułowską. Proszę tylko uważnie wczytać się w brzmienie nazwisk bohaterów książki Brandysa. W szwoleżerach służyło nie tylko trzech Krasińskich, trzech Radziwiłłów, dwóch Rostworowskich, „jeden arcybogaty Pac", ale także Kozicki, Wilczek, Zaorski, dwóch Załuskich, Dziewanowski (inny w sto przeszło lat później zginął przy wyzwoleniu Pragi w 1944 r.), pięciu Trzcińskich (jeden Trzciński utonął w Wilii w 1812 roku, inny Trzciński zginął w kościele św. Jana w czasie szturmu Kołobrzegu w 1945 roku). Nb. również znane skądinąd nazwisko — Cedro, ułan 15 p. uł. zginął w 1944 roku nad rzeką Sangro we Włoszech.

Jest to ciągłość dziejów wcale nie tylko szlachecka, nie tylko ludzi o nazwiskach „na... ski". Pisze Brandys, że rybak Karaś z Siedlec (!) oddał niemałe usługi w 1809 roku, przewożąc żołnierzy i pocztę przez Wisłę

pod Warszawą. Rybak Karaś z wodniackiej wsi Sielce pod Wilanowem (o nią to chodzi również w poprzednim wypadku) nieraz woził przez Wisłę zwiadowców 4 DP im. Jana Kilińskiego w przededniu ofensywy styczniowej 1945 roku, żyje do dziś i jest honorowym żołnierzem ludowego Wojska Polskiego...

To jest nasza historia, historia naszych dziadków!

Więc naprzód, psiakrew, cesarz patrzy! Cesarz — naród. Suweren jedyny i jedyny prawy właściciel swojej trudnej, ale niebrzydkiej przeszłości. Również tamtej, somosierskiej.

Rzeczy bliższe i rzeczy ważniejsze

TWÓJ BRAT — ZBIR

Twój brat. Mój brat. Może ojciec.

Ci z rocznika 1918, których wojna zastała w szeregach. Ci z rocznika 1926, ostatniego poborowego rocznika II Wojny Światowej.

Co prawda niektórych nazwano pięknie Kolumbami. Ale tylko niektórych. Nie tych: twego brata, mego brata. Mnie.

Kombatanci 1946

Byli stamtąd. Ojczyste wioski, chałupy i morgi zostawili tam. Nie mieli do nich powrócić. Nie oni chadzali niegdyś na Smoleńsk i Kijów, lecz oni właśnie zapłacić mieli rachunek dziejowy. Mówiono im: ojczyzna żąda ofiary, nie tylko waszego życia, które niesiecie na front pod hitlerowskie kule, ale waszej przeszłości. Macie się wyrzec ojcowizny i dzieciństwa, wsi, gdzie groby rodziców, i poleskiej wikliny za oknem. Idźcie tam, na zachód, tam będzie wasz dom. Mówiono im: ofiarujecie najwięcej, ale nie myślcie, że najwięcej będzie wam dane. Najofiarniejsze sługi narodu — nie będziecie nowymi legionistami.

Zrozumieli, uwierzyli.

Byli stąd. Z podlaskich piasków i lasków, z zamoj-

skiej wygorzałej puszczy, z podkarpackich kamieni, gdzie dziesięć gąb na morgę. Mówiono: idźcie tam, na zachód, tam będzie wasze pole. Pytali, czy nie będzie tak, jak wtedy, w dwudziestym roku, gdy te obiecane własne morgi jak miraż pojawiały się wraz z karabinem, który wkładano do ręki, i — jak miraż — zniknęły nazajutrz po wojnie, gdy karabin odbierano, gdy już nie byli potrzebni. Mówiono im, że nie, że teraz już będzie inaczej.

Zrozumieli, uwierzyli.

Byli zewsząd, z lasów Zamojszczyzny i Kieleckiego, z Puszczy Rudnickiej i Solskiej, z lasów mosurskich i chroberskich, ze wszystkich polskich partyzantek i armii, przez wszystkie ścieżki szukający drogi do mocy, szczęścia i bezpieczeństwa ojczyzny. Mówiono im: to, czego szukacie — tam leży, na zachodzie, i w was leży, w waszej walce dziś i w waszej pracy jutro.

Zrozumieli, uwierzyli.

Nazajutrz po wojnie, ci którzy przeżyli, odkładali pistolety maszynowe, wracali do wsi, których nigdy nie widzieli. Na ziemię, która była ich, a której nie znali, na ziemię, którą dla Polski wywalczyli, a którą trzeba było jeszcze ojczyźnie przywrócić. Brali poniemieckie gospodarki ze strzaskanymi, wybebeszonymi budynkami albo zgoła puste spłachetki ziemi, skrawki parcelowanych pojunkierskich majątków. Obsadzali wsie nadgraniczne, sołectwa i gminy, stanowili pierwsze posterunki milicyjne i ciągnęli pierwsze druty cywilnych telefonów. Wypłaszali z lasów niedobitki obcego wojska, wyłapywali ostatnich podpalaczy z Werwolfu. I czekali na rodziny.

Dano im „ze względów strategicznych i politycznych" powiaty nadgraniczne — najtrudniejsze, zniszczone i wciąż jeszcze zagrożone. Bo przecież zahartowani i najbardziej świadomi. Do innych, bliż-

szych starym ziemiom, bogatszych, nie zniszczonych napływał potok tych, którzy niczego nie stracili i niczego nie ofiarowali. Za tymi szły władze, pełnomocnicy, PUR-y, UNRR-y i wszystko inne. A oni — żołnierze — czekali na rodziny.

Ogólnokrajowa fala dotarła wreszcie i do nich, sięgając po lepsze gospodarstwa, lepiej zachowane budynki: czyż władze mogą wciąż czekać, nim ci pierwsi w potokach transportów repatriacyjnych i ewakuacyjnych odnajdą swoich, przywiozą ich, osiedlą się, zagospodarują...

Zapełniły się więc wreszcie i te luzy, luki między nimi. No cóż, już dawno nastał pokój, karabiny nie były potrzebne, żołnierskie mundury wytarły się, a nadania ziemi, rozdawane przez sztab armii, budziły wątpliwości prawne władz cywilnych. Zresztą i te różnice wkrótce się zatarły. Funkcjonowały normalne urzędy, normalna milicja, wydawano normalne akty prawne i gdy wkrótce przestano je wydawać — to przestano wszystkim, także byłym żołnierzom. Gdy zaczęto nakładać dostawy obowiązkowe i dodatki do dostaw, i domiary do dodatków — nakładano je wszystkim, także byłym żołnierzom. Tylko że jakoś coraz częściej za nie spłaconymi zaległościami szła tu represja — prawna i bezprawna. Może dlatego, że byli niepokorni, nie chcieli się pogodzić z oczywistą niesłusznością, przypominali, że i oni mają tu coś do powiedzenia, nie tylko naczelnik z powiatu. Bo walczyli i o tę ziemię, i o władzę ludu, a lud to także oni, nie tylko komornik.

Wielu nowych gospodarzy porzuciło wówczas tę ziemię, zostawiając zwłoki folwarczków i gospodarstw, zarośnięte brzeziną pola, puste czarne oczodoły okien i rozmywane deszczem, obdarte z dachów ściany budynków. Oni wytrwali — zresztą, dokąd mieli uciekać? Ich ziemia była ta — innej już nie mieli. Groby ich

najbliższych? Ostały się tylko te groby kolegów za opłotkami w n o w e j wsi rodzinnej...

Po cóż przypominać? Wszystko to minęło. Dziś mają te swoje papierki i te swoje morgi, i te swoje chałupy, i wianek od szkolnych dzieci na te swoje żołnierskie krzyżyki cmentarne. Gospodarzą, żyją, dostają pieniądze i ordery — za urodzaj kartofli i za niebywałą świnię, za róże na eksport i za winogrona. Niczego właściwie już nie chcą nauczeni doświadczeniem. Wolą niepamięć niż pamięć — gdyż pamięć zbyt często była nieżyczliwa. Wiedzą, co im wolno: 22 lipca ze starymi orderami w klapie siąść w prezydium akademii, 12 października postać godzinę razem z harcerzykiem na honorowej warcie przy mogile brata, któremu nie o wiele tylko dane było przekroczyć wiek harcerski. Czasem myślą, że może jednak tamten był szczęśliwszy. Umarł w wierze. Kula wszystko mu zabrała, ale też i wiele oszczędziła.

A teraz doczekali się przypomnienia. Doczekali się filmu o sobie. Filmu o zagubionej wśród jezior nadgranicznej wiosce — ruinie, o pierwszych jej mieszkańcach w drelichowych mundurach 1 Armii. Oni sami nie opowiedzą wnukowi, jak to było. Oni nie potrafią, niech więc się dowie od tych, którzy sprawniej władają myślą i słowem, piórem i kamerą filmową. Niech posłuchają, zobaczą.

Opowiadają: Wilhelm Mach, Zdzisław Skowroński, Sylwester Chęciński [20].

Agnieszka w krainie koszmarów

Wyboistą rozjeżdżoną drogą między wierzbami telepie się roztrzęsiona ciężarówka. Między siwym panem w przedwojennym płaszczu a wygadanym gołowąsem

dziewczyna-cud. Pulchna, słodka i niewinna, naiwna i szczera jedzie na pierwszą posadę, zbrojna w kursową trzymiesięczną wiedzę, walizeczkę, turystyczny plecak i elegancko skrojone spodnie. Ma jeszcze okręcik. Niezwyczajny to okręcik. On przykuje uwagę dzieci, on będzie symbolem szerokich światów i horyzontów, przestrzeni, swobody, wszystkiego tego dobrego i radosnego, co ucieleśnia ona — Agnieszka 46.

Nim z drogi powiatowej, na której są jeszcze ludzie, skręci na groblę wśród jezior i moczarów prowadzącą na odosobnioną zdziczałą wyspę, już dowie się wszystkiego. Jak to go spili siłą i wlekli za wozem po polu, aż skonał, jak to wyszczuli od siebie każdego obcego, każdego z zewnątrz, jak to w strachu trzymają okoliczne spokojne wsie, jak to nie ma co jechać bez broni do tych Białobrzegów — bandyckiej wioski. Wioski żołnierskiej.

I idąc krok w krok za Agnieszką ujrzymy tę „wieś — nie wieś, jakieś skrzyżowanie osady ludzkiej ze śmietnikiem" [30], jak napisze potem recenzent. Wilcze gniazdo, kryjówkę zbirów, tonącą w błotach.

Pierwsza wiadomość — to wiadomość o morderstwie. Pierwsi spotkani mieszkańcy — to banda młodocianych praktykantów zbrodni topiąca w jeziorze dziecko z sąsiedniej wsi. Pierwsze wrażenie — to obleśny wzrok dwóch kosmatych drabów wyłażących niespodzianie z zarośli wikliny. Przywitanie z wioską — to ponury łoskot dzwonu, mary ludzkie, wynurzające się z ciemnych kątów na nieskładną zbiórkę zarządzoną przez „pana komendanta" — sołtysa wsi. Dalej przegląd bohaterów: Typy, wspaniałe typy — ucieleśnienie ciemnoty, ucieleśnienie grzechu, ucieleśnienie obżarstwa, ucieleśnienie lubieżności, ucieleśnienie brudu, ucieleśnienie zbrodni, ucieleśnienie brutalności... Nie ludzie, lecz typy charakterystyczne. Mundury, rozpięte mun-

dury, podarte mundury, brudne mundury, połatane mundury. Zarośnięte gęby i ponuro, spode łba, łakomie, a nienawistnie patrzące oczy. I „pan komendant", komenderujący wszystkim. Jego harem. Lukratywne stanowisko kierowniczki sklepu, przywiązane do pozycji kochanki komendanta, sponiewierany konkurent dopuszczany lub odstawiany przez komendanta od ukochanej kobiety. Jakiś cień złodziejstwa. Realne wspomnienie morderstwa. Taż sama banda „praktykantów" płonącymi pochodniami osaczająca przywiązanego do drzewa pieska. Gest „komendanta" — huk strzału, przerywającego cierpienia biednego zwierzęcia, huk jak echo tamtych sprzed roku, toczący się między krzyżami żołnierskiego cmentarzyka na skraju wsi, na przedpolach zamku, zdobytego niegdyś przez komendanta i jego żołnierzy, dzisiejszych mieszkańców wioski. Jeszcze próba gwałtu, jeszcze to płaskie ohydne chamstwo „filozofującego watażki", jeszcze strumienie bimbru i koszmarna zabawa w szkole... Groteska: ceremonialny marsz, gdy na rozhulaną salę wkracza pan komendant. Jeszcze jedna zbrodnia wobec „pokojowych" gości z sąsiedzkiej „cywilnej" wsi. I ta samotność, gasnące światła, zaryglowane drzwi, gdy Agnieszka — człowiek obcy — szuka w żołnierskiej wiosce drugiego człowieka.

I jeszcze kołtun, ohydny kołtun na głowie małej Uli, kołtun, który trzeba oglądać — aby przerażał — ale którego nie wolno tknąć — aby nie utracił siły. Kołtun, który daje władzę nad sierotą babce wiedźmie. Kołtun, który daje władzę nad skołtunionymi ludźmi ciemnym siłom rządzącym tym gniazdem ciemności. I jeszcze — nad wsią, na zboczu — ten cmentarz, który trzeba oglądać, ale którego nie wolno tknąć. Przerażający i gniotący. Ciągle obecny w życiu i myślach wsi. Czy uzasadniający?

Taka jest wioska żołnierska 1946.

„Niby to słuchamy o czynach bohaterskich i wojskowym braterstwie broni, równocześnie jednak nie dziwimy się, jeśli pośród tych kombatantów raz po raz pojawi się twarz zbira" — pisze recenzent.

Powierzchownego obserwatora zdziwią niewątpliwie te nie golone brody, rozchełstane mundury — bo jeśli już ta osadnicza wieś żyje ciągle w niewoli żołnierskiej przeszłości, przeżytej wojskowej subordynacji, jeśli dyscyplina wojskowa, gwałcąca wolne życie zdemobilizowanych chłopów — to gdzież wojskowy porządek, schludność, wojskowy fason, na który przecież nieśmiertelna „pryszybiejewszczyzna" i rodzime „kapralstwo" są takie czułe!

Ale to drobne i pozorne nielogiczności, zresztą nie o to chodzi. W ogóle nie wolno pytać o konkrety.

Konfrontacja z realiami nie jest — jak nam mówią — potrzebna... „Nie szukajcie w tej powieści wiernego autentyku, ścisłej dokumentacji rzeczowej, bo nie znajdziecie ani w geografii, ani w chronologii" — pisał później jeden z twórców filmu. Tak jest przecież wygodniej i tak w dyskusji odpowiadali oponentom autorzy filmu.

...Zmyliło was to „46" w tytule, te żołnierskie rogatywki, te kombatanckie medale, odznaki 1 Dywizji Kościuszkowskiej na piersiach zbirów? Zmylił was ten żołnierski cmentarz i jakże polski apel poległych? Nie trzeba przywiązywać wagi do tego, co się widzi, to tylko kostium... strój teatralny odwiecznego wątku o siłach ciemności i siłach światła. To tylko baśń o ohydnej twarzy zła i promiennym obliczu dobra, o knowaniach ciemnych mocy, o promieniu światła, który zwycięża ciemność... Cicho, dzieci, nie płaczcie i nie narzekajcie, a przede wszystkim nie używajcie

brzydkich wyrazów w obecności kulturalnych ludzi. Dobrzy wujciowie opowiadają wam tylko baśń...

To nie baśń tylko, w kostiumach zupełnie przypadkowych. Nie! Prawda — autor mocen jest swój konflikt ukazać w każdym miejscu i w każdym czasie. Zwykle jednak wybiera nieprzypadkowo. Ten, kto chciał zobrazować przeżycia rybaka — zdobywcy wielkiej ryby, nie uczynił swoim bohaterem Tuarega na Saharze. Kto opiewa dramat miłości i zazdrości, nie lokuje akcji wśród eunuchów. Jeśli twórcy wybrali wieś osadniczą na ziemiach zachodnich roku 1946, to dlatego, że uznali, iż tam właśnie odnajdą najwymowniejsze dowody dla swojej tezy. Jeśli swoje baśniowe zło ubrali w mundur zdemobilizowanego żołnierza ludowego Wojska Polskiego roku 1945, to ukazali publiczności w zamierzonym „czarnym" świetle właśnie tych żołnierzy, a nie baśniowych szatanów. Czy chcieli tego, czy nie — tak jest. Taka jest siła literatury, takie są rezultaty konkretności filmowego obrazu.

Śmiała diagnoza — cudowny lek

Film nie udziela jasnej odpowiedzi: dlaczego. Dlaczego ci ludzie są tacy, dlaczego ta wioska jest taka? Krytyka w obrazach filmu znalazła taką odpowiedź. Oto zdanie różnych recenzentów: „Wojskowy rygor przekształcony w gangsterski terror," w „gangsterski styl". Widzimy „bohaterów zaczadzonych przez wojnę, mniej lub bardziej wykolejonych i zdziczałych". „Te krzyże i medale trzeba jednak zdejmować przy robotach polnych. Przeszkadzają przy siewie, przy orce, przy koszeniu..." „Są tacy, bo wojna nie uczy bynajmniej sztuki społecznego współżycia (...) nie uczy szacunku dla powszedniego ludzkiego trudu".

Czy odpowiedź taka immanentnie zawarta jest w filmowym obrazie Białobrzegów i białobrzeżan? „Kim właściwie są? (...) wiemy tylko, że są byłymi żołnierzami" — powiada recenzent. Istotnie — nic poza tymi pokazanymi mundurami i orderami o tych ludziach nie wiemy. Przypominam: rzecz dzieje się jesienią 1946 roku. Białobrzeżanie mają za sobą tylko front. A więc są tacy, ponieważ byli na wojnie i ponieważ nie mogą przestać być żołnierzami. Są tacy jako żołnierze, weterani. Tak to zrozumiał widz, tak to zrozumiała krytyka.

Nie zmieni tego wrażenia stwierdzenie, że wywodzą się z kompanii karnej. Opisany w filmie przykład losów komendanta Bałcza świadczy zgodnie z prawdą, iż wcale niekoniecznie zbrodnie prowadziły do szeregów karnych oddziałów. Zresztą film się nad tym nie zatrzymuje. Wprost przeciwnie — akcentuje ogólnowojskowe elementy charakterystyk czy uzasadnień swojego zbiorowego bohatera. Żołnierskie mundury, medale pamiątkowe, nadawane żołnierzom w 1 Armii, frontowe krzyże i ordery, pamiątkowe odznaki 1 Dywizji — to wszystko rzeczy, które charakteryzują nie w szczególności pensjonariuszy wojskowego zakładu karnego (skierowanie do oddziału karnego automatycznie pozbawiało posiadanych odznaczeń), ale właśnie żołnierzy jako takich. Wreszcie linia rozwojowa filmu prowadzi poprzez epizody aż po węzły dramatyczne „szlakiem spraw — zwykłych i głównych — żołnierskich". Kulminacją jest apel poległych, a właściwym finałem — żołnierskie wspominki. Pozwala to stwierdzić, że chodzi o żołnierzy, o „problem kombatantów", jak to słusznie moim zdaniem odczytała krytyka.

Ponieważ nic o nich nie wiemy, ponieważ dla nas w świetle wiedzy dostarczonej przez film są żołnierza-

mi i tylko żołnierzami — a więc są tacy, jak nam ich pokazano: ciemni, źli i zbrodniczy — ponieważ są żołnierzami. Aby ich uleczyć, trzeba ich oczyścić z tej właściwości. Tu — pisze recenzent — toczy się „gra o powrót mieszkańców do pokojowego życia — gra o pokojową i społeczną reedukację tych ludzi".

Cóż czyni wysłannik jasności w gnieździe grzechu? Pozytywny bohater — Agnieszka — trwa. Nie ulega przemocy. Nie ulega pokusom. Nie daje się ani uwieść, ani zgwałcić. Ocala swą cnotę. To niewiele. Ale ma jeszcze magiczny okręcik. Okręcik przykuwa wzrok dzieci, tych najmniejszych, nie zatrutych tchnieniem wojny. Nawet gdy dotknie go sam Bałcz-oberszatan — okręcik działa: łagodzi jego reakcje, hamuje brutalność. Okręcik pociąga również maleńką Ulę z kołtunem na głowie. „Pozytywny bohater" postanawia uderzyć w sedno: „będziesz zdrowa, będziesz taka jak inne dzieci, będziesz normalna". Dajcie światło, miskę gorącej wody, nożyczki... Spada kołtun i zły czar pryska.

Czego teraz można się spodziewać od Bałcza „monomana, opętanego wspomnieniami", który „nie chce czy też nie może żyć poza własną heroiczną i tragiczną legendą", przekonanego, że „tylko on jest strażnikiem wielkiej tradycji żołnierskich grobów" — jak charakteryzuje go recenzent. „Komendant" wraca tam, skąd wyrasta jego moc, pętająca wioskę... Na cmentarz.

I znów obraz z filmu: Jak sparaliżowani, sztywni i martwi stają białobrzeżanie w rzadkim wojskowym ordynku na cmentarzu. Nieruchomi, kombatanci, kobiety, dzieci... w mroku bieleją tylko krzyże i łoskocze werbel... zły wiatr świszcze wśród krzyży, ze świeżych mogił paruje obezwładniający zaduch, łoskot werbla przypomina, upomina i odtrąca. Odtrąca obcych, odtrąca tego, co chce przerwać zły czar, odpycha Agnieszkę. I nie widzi zły Bałcz, odprawiając te mo-

dły, że wśród mroków cmentarnych już dwoje jest ludzi żywych. Niewrażliwych na paraliżujący czar przeszłości, śmierci. Wolna Agnieszka lekkim spacerowym krokiem przemierzająca alejki między grobami, by gdzieś tam, na którymś złożyć swój bukiecik — daninę ofiarowaną przeszłości, jak jałmużna dla kaleki. I mała Ula, która nie słyszy szamańskich zaklinań i tam-tamów: raz po raz podnosi klapę kurteczki, patrzy w ukryty tam ułamek lusterka, podziwia swoje czyste włoski, wolną od kołtuna głowę. Wyzwolona...

Obciąć kołtun! Obciąć kołtun tej wiosce, wyzwolić ją ze złego czaru, uzdrowić ją, niech będzie normalna. Więcej światła, więcej gorącej wody, nożyczki...

Prosta, niezawodna recepta... Bo siły zła nie są wcale tak potężne. Nawet — są śmieszne. Bełkot kacyka i moc żałobnego rytuału, ekstaza czerpiąca siły we wspomnieniu przeszłości — cóż to wszystko znaczy wobec mocy niewinności i wcielonego dobra?

...Szesnastu ocalałych zbiera się w tajnej piwnicy pod ruinami zamku, który niegdyś zdobywali. Widzimy obraz ohydnej speluny tonącej w bimbrze, w porykiwaniu rozochoconych buhajów, w szmerze wysnutych z alkoholowej mgły rzeźnickich wspomnień. Świetlana Agnieszka ani przez moment się nie waha. Zstępuje do jądra ciemności, nieustraszona wchodzi w krąg półprzytomnych. Nieustraszona, bo moce piekielne jej się nie imają: nie docierają do niej ni żarty sprośne, ni pochabne ryki śmiechu. Ona ich po prostu nie rozumie.

„Panowie, wyjdźcie z piwnicy, wojna się dawno skończyła".

Taki jest morał opowieści o tym, jak dobro oświaty zwycięża zło sołdafońskiego chamstwa, czerpiące siłę z pamięci o cmentarnych krzyżach poległych towarzyszy.

Dziejowa misja niemowlaka

Cóż autorzy przeciwstawiają białobrzeskiemu mrokowi, siedlisku zła? Co nam proponują? Proponują nam Agnieszkę. Lecz jaki konkretny program, jakie działanie? Uważna analiza treści dowodzi, że akcja Agnieszki jest bardzo uboga. Prócz opisanych epizodów — jeszcze lekcja, gdzie Agnieszka naucza dzieci, co to jest ojczyzna — że przede wszystkim są Polakami, a później dopiero białobrzeżanami... I to wszystko.

Symbolika obciętego koltuna i solidarności „czystych" niewrażliwych na cmentarne czary jest przejrzysta, ale niebogata w treść. Nauczanie żołnierskiej, osadniczej wioski ogólnonarodowego patriotyzmu to zajęcie niecelowe i niezbyt nawet taktowne. Toć przecież w końcu ci ludzie — jacy by nie byli, ojcowie tych dzieci — walczyli o tę Polskę. Polskę w ogóle. Jej właśnie poświęcili rodzinne wsie, zmieniając je na nieprzytulne Białobrzegi w cieniu cmentarza poległych kolegów. Symbolika okręcika, który przywozi Agnieszka, a który dla białobrzeżan ma ucieleśniać dziecięce marzenie o szerokim oddechu i otwartym horyzoncie, zawędrowała do filmu z zupełnie innej parafii politycznej. To przecież karawela Kolumba, a ściślej Kolumbów Bratnego, którzy — jak wiadomo — wśród osadniczych wiosek żołnierzy 1 Armii nie mieli czego szukać. Pozostaje niewiele. Fakt, że Agnieszka jest młoda, czysta i po prostu rozsądna, zwyczajna.

Myślę, że nie jest to błąd filmu, ta pozorna słabość charakterystyki pozytywnego bohatera. Myślę, że jest to kamień węgielny koncepcji ideowej. Jako remedium na zdziczenie „zbrukanych wojną" ofiarowano nam Agnieszkę jako taką. I właśnie dlatego, a nie na sku-

tek przeoczenia, jest ona tak idealnie wyizolowana z życia, z tak niedawnej przeszłości, z przeżyć i doświadczeń narodu. Właśnie dlatego nie ma życiorysu.

Bo zastanówmy się. Gdzie się uchował ten czyścioszek, ta naiwniaczka („Panie Bałcz, przecież prosiłam, żeby wódki nie było"), ten słodki, promienisty anioł dobroci? Ile Agnieszka ma lat? Osiemnaście — dziewiętnaście? Jest rok 1946, a więc gdy zaczęła się wojna — miała trzynaście, gdy się skończyła — siedemnaście. Niczego nie widziała? Nic nie przeżyła sama? Skąd się więc ona wzięła? Chyba nie z kraju, gdzie ledwie przed rokiem skończyła się wojna, a teraz szaleją właśnie reakcyjne bandy? To uczy. Nawet gdyby wróciła z Zachodu, miałaby za sobą jakąś szkołę życia. Więc z Włoch, Anglii, obozu jenieckiego? Nie do pomyślenia! Chyba repatriowała się ze Szwecji — to znaczy z nieba! Agnieszka jakby spadła z księżyca — i właśnie o to chodzi. Chodzi o przeciwstawienie złu — zwykłych ludzi, a więc siłom, które dotąd tworzyły historię — ludzi i sił nowych, czystych, niczym nie zbrukanych.

To prawda — każde działanie brudzi. Czyści są tylko ci, którzy nic nie robią. Upływ lat to działanie. Starzy są zbrukani. Są nie tylko zmęczeni, uszarpani, są również brudni. Prawdziwie czyści są tylko nowi, są młodzi. Tylko ich nie ma po co pytać, co robili dotąd, tylko od nich nie wypada wymagać uzasadnionego doświadczeniami programu.

Spodziewam się, oczywiście, iż obrońcy filmu mogą zapytać, czy chodzi mi o to, by Agnieszkę zastąpić starszą panią „z życiorysem". Odpowiem od razu: gdybyśmy dokonali tej operacji, ujawniłaby się pustka myślowa filmu. Nie byłoby młodości i wdzięku Agnieszki — nie byłoby filmu. Starszej pani nie wystarczyłyby te treści, jakie dane są siłom dobra, siłom

nowego w filmie. Starsza pani musiałaby mieć przecież argumenty, musiałaby mieć program i musiałaby coś robić. Aby zaś coś robić, musiałaby wnikać w przyczyny stanu w Białobrzegach. Nie wystarczyłoby, że po prostu jest... Mielibyśmy pewnie jakiś film, ale w każdym razie nie „Agnieszkę 46". Dowodzi to właśnie, że „młodzieżowy" charakter przeciwstawienia dobra i zła stanowi istotę koncepcji intelektualnej filmu.

Mówiło się potem również o „ludowej baśni o zwycięstwie dobra nad złem". Film zbyt natrętnie operuje realiami czasu i okoliczności, by była to propozycja wiarygodna. Jedynie to maksymalne uproszczenie, spolaryzowanie przeciwieństw, to „czarno-białe" przeciwstawienie pozwala bronić takiej baśniowej koncepcji: dobro zwycięża zło, niweczy stare, a stare, pokonane — odchodzi. Jednakże i w tym baśniowo-metaforycznym rozumieniu nie da się uniknąć trapiących widza wątpliwości. Bo trudno nie zauważyć, że rzeczywisty konflikt nowego ze starym zastąpiono w filmie konfliktem młodych ze starymi, a zmagania dobra i zła przedstawiono w formie dobra objawionego, archanielskiego — przeciwstawionego złu ziemskiemu, przeżytemu, nabytemu w toku życia i walki. Walka nowego ze starym przybrała kształt mechanicznego zaprzeczenia dorobkowi przeszłości, jest walką nie o przekształcenie i rozwinięcie, lecz o odrzucenie i usunięcie. Wszystko, co z przeszłości, musi być przezwyciężone, nie zostawiła ona bowiem nic dobrego. Dobro będzie budowane na pustym miejscu.

Dobro zaś — powtarzam — ma w Agnieszce charakter „pozaziemski", a zło — immanentny, ludzki. I tu przypomnieć wypadnie o trudności wyrażenia metafory językiem filmowym. Film jest konkretny, diabelnie konkretny. Nie ma w nim abstrakcyjnego „ponadhistorycznego" dobra i nie ma abstrakcyjnego

„ponadhistorycznego" zła. To „zło" to komendant Bałcz, to jego osadnicza wioska, to te żołnierskie mundury, ordery, wspominki i cmentarze, apele poległych. To wszystko jest zbyt konkretne jak na baśń o archaniele Michale, strącającym do otchłani potępione chóry Belzebuba. To realny kompleks kombatanta, człowieka w żołnierskim drelichu z Odznaką Grunwaldzką, znaczkiem 1 Dywizji Kościuszkowskiej na kieszeni, z baretkami odznaczeń, które — dowodząc udziału w wojnie — stanowią jakby krosty, znamię choroby. I zupełnie nie rozumiem, z czego tak się cieszy recenzent pisząc: „Ocena poszczególnych zdarzeń i postaci jest dla widza jednoznaczna i zrozumiała. Zdrową i rozumną satysfakcję sprawić mu musi końcowy — choć nie ostateczny może — triumf Agnieszki"...

Niestety bowiem filmowy obraz Agnieszki staje się głosem w dyskusji o bohaterstwie — głosem przeciwko dorobkowi tradycji bojowej, przeciwko moralnym prawom żołnierzy — uczestników walki o wolność i demokrację, pionierów zagospodarowania ziem odzyskanych.

Jakaż to „drętwa mowa" i wulgaryzacja idei filmu!!! A jednak nie tylko ja — cała polska wnikliwa krytyka filmowa uznała, że jest to film o leczeniu ludzi zarażonych wojną, o żołnierzach, którzy pozostali niebezpieczni dla otoczenia, o starych, których trzeba uleczyć z przeszłości. Zrozumiała — jako film przeciwko bębnieniu na cmentarzach.

Zresztą posłuchajmy: „Skreśliłem obraz — powiada w autorskim komentarzu jeden z twórców filmu — niektórych uczuć, przekonań i wyobrażeń obecnych w życiu ludzi na dalekiej polskiej prowincji, a może nie tylko tam; w pierwszym powojennym dziesięcioleciu, a może nie tylko wtedy..."

Prawda, Białobrzegi daleko, rok 1946 dawno. Ale

Lasy Janowskie, Kołobrzeg, Kielecczyzna i Warszawa — bliżej i od niezbyt dawna brzmią na żołnierskich cmentarzach uroczyste rocznicowe werble. To przecież właśnie między dwudziestoleciem PPR a dwudziestoleciem zwycięstwa przypomina nam Agnieszka, że od patosu do histerii niedaleko, a od histerii do śmieszności jeden krok. To przecież teraz pokazano nam ten film wołający jednoznacznie, żeby przestać bębnić na cmentarzach, i wskazujący, że ten, co bębni i „szarogęsi" się w imię tego bębnienia, ten „komendant", człowiek silnej ręki, musi odejść. Bo nawet, choć jest trochę sympatyczny, nie nadaje się do współpracy z normalnymi, zdrowymi ludźmi, bo nawet, gdy chce poskromić chamstwo, to potrafi tylko chamskimi metodami, metodą „mocnego uderzenia".

Zbrukani i nieskalani

Czas chyba, aby sformułować parę własnych sądów. Otóż myślę, iż ten „moralitet" jest w istocie rzeczy głęboko niemoralny. Jest niemoralny, ponieważ wymierzony jest przeciwko ludziom społecznego działania, przeciwko ludziom walki z okresu, w którym ten bój był warunkiem istnienia społeczeństwa. Ponieważ potępia ich za właściwości, immanentnie (rzekomo) związane z ich dotychczasową działalnością, z tą właśnie bojową działalnością. A więc — implicite — potępia tamto działanie żołnierskie, ponieważ (wszelkie) działanie brudzi. Jest głęboko niemoralny wobec historii tego kraju, w którym żołnierski mundur i bojowe odznaczenia są jednak odznaką nie zdziczenia, lecz trudnego starania o realizację szlachetnych ideałów, w imię społecznej potrzeby. Jest głęboko niemoralny, ponieważ obraca się przeciwko budowniczym

fundamentów życia, tego życia zwykłego, pokojowego, dzisiejszego.

Sądzę również, że ten film o wychowawcy i potrzebie wychowywania jest głęboko niewychowawczy, ponieważ rzeczywistej sytuacji, w której dziś żyjemy, pracujemy, wychowujemy swoją młodzież i dzieci — przeciwstawia konflikt wysnuty z teorii walki pokoleń. Ponieważ młodzieży wątpiącej, krytycznej i zbyt często hiperkrytycznej, pewnej siebie, a zbyt często zarozumiałej, daje fałszywą a tak „wygodną" wytyczną myślową: gloryfikuje „czystą", „nieskalaną" młodość i odrzuca „pretensje" steranego, zmęczonego, zbrudzonego życiem i działaniem pokolenia poprzedniego, tamtego „pokolenia fundamentów". Co więcej: dezawuuje dorobek, wagę słowa, moralne prawo tamtego pokolenia do zabierania głosu, do uczenia i przekazywania własnych doświadczeń w oparciu o walory moralne, wykazane w tamtym okresie, doświadczenia i osiągnięcia zgromadzone w toku walki i pracy.

W imię czego? W imię zwalczenia „kompleksu kombatantów"?

Nie sposób nie zgodzić się ze zdaniem jednego krytyka, który wyłamał się ze zgodnego chóru zwolenników filmu w naszej prasie; z tego właśnie punktu widzenia kwestionował społeczną przydatność „Agnieszki 46". Zgadzam się z nim, gdy pisze: „sama teza wydaje się dosyć ryzykowna w odniesieniu do tematu filmu. Walcząc z kompleksem kombatanta — jakże już dziś nieistotnym — można poddać w wątpliwość wartości moralne i psychologiczne związane z prawami weteranów..." [31]

A poza tym sądzę, a nawet wiem, że ten film o Agnieszce roku 46, o osadnikach wojskowych, o „kompleksie kombatantów" jest głęboko, podwójnie, nieprawdziwy.

Agnieszka na tle epoki

„Agnieszka 46" to film z artystycznego punktu widzenia zrobiony bezbłędnie. Każdy epizod, każda postać, każdy rekwizyt, każde ustawienie kamery podporządkowano bez reszty idei filmu. Nie ma tam przypadkowości, nie ma żadnych nawet drobiazgów, żadnych „wajd", które nie wiadomo skąd się wzięły i nie wiadomo czemu służą. Tu przysłowiowa strzelba, wisząca w pierwszym akcie na kołku — niechybnie w trzecim akcie zostanie zdjęta ze ściany i wystrzeli.

Wszystko, co pokazano w filmie, dobrano celowo.

Wszystko, co nie służyłoby celowi, odrzucono, pominięto milczeniem.

Co pokazano? Nie będę powtarzał. Czy prawdę? I tak, i nie.

Prawda jest obszerna — jest z czego wybrać...

Wśród kilku tysięcy osadniczych wiosek, w których zamieszkali pierwsi Polacy na ziemiach odzyskanych, żołnierze 1 i 2 armii (wraz z rodzinami przeszło 200 tysięcy ludzi), można byłoby znaleźć każdy poszczególny fakt i każdy prawie obraz pokazany w filmie. Może więc istniał taki Bałcz, może wygrzebano go gdzieś z protokołu sądowego. Może istniały gdzieś takie Białobrzegi i taki okręcik, i Agnieszka, wydobyta gdzieś z „Pamiętników młodych nauczycieli".

Ale my wiemy, że na świecie było już wszystko, że dla każdej postaci znaleźć można prawdziwy prototyp, dla każdej zbrodni papierek w sądowych aktach, dla każdej ohydy wzór realny z życia wzięty. Jednakże nawet w tych „Białobrzegach" zmontowanych z dziesięciu obrazów dobranych z tysiąca wsi działo się coś jeszcze oprócz tego, co zgodnie z artystycznymi założeniami pokazano nam w filmie.

Co więc pominięto w filmie? Dużo... Całe życie...

Na przykład — można by zapytać — z czego wioska się utrzymuje? Jak się zagospodarowała, jak pracuje? Trzeba by zapytać, z czego żyją te kobiety — wdowy po tamtych? Przecież z kompanii Bałcza wróciło tylko szesnastu. Reszta mężczyzn leży tam, pod zamkiem. Można by się zapytać, ile komendant — sołtys Bałcz — nachodził się za tym, aby swoich zdemobilizowanych tu osiedlić, jak zabiegał o przydział koni i krów z UNRR-y i poniemieckich maszyn, jak organizował robotę i życie, dzielił niepodzielne i jednoczył nie dające się zjednoczyć prace szesnastu samodzielnych gospodarzy dla sześćdziesięciu czy osiemdziesięciu rodzin, jak zresztą ściągał te rodziny, jak ich szukał, wyreklamowywał z transportów, przywoził, jak je prowadził po raz pierwszy na grób ojca czy syna. Nie tylko można, trzeba by się zapytać. Nie w imię „wszystkoizmu". W imię zrozumienia właściwej treści tego, co się na filmie pokazuje. Np. wówczas pewnie inaczej wyglądałaby białobrzeżańska nienawiść do tej sąsiedniej „cywilnej" wioski... Wioski, w której jest tylu mężczyzn. Wioski, w której nie ma sierot. Nie pytajmy natomiast, skąd tyle goryczy już po roku od zakończenia wojny u tych ludzi, u „komendanta" Bałcza; nie pytajmy, skąd nabrał przekonania, że ludzie po wojnie stali się mniejsi, podlejsi niż w czasach heroicznych, choć przecież czas heroiczny dla Białobrzegów nie skończył się jeszcze wcale — ledwie przed paroma miesiącami po długiej podróży w nieznane przybyły rodziny. Ta gorycz z dużo późniejszych lat pochodzi.

Tak, my już wiemy, że prawda jest obszerna, mieści w sobie wszystko i wszystko można z niej wybrać. Ale i to wiemy — w sztuce nawet nie chodzi o to, co się wybiera — ogolonych czy nie ogolonych bohaterów. To naturalne, że wybiera się taki budulec, jaki najle-

piej odpowiada charakterowi budowli, którą się zamierza wznieść. I w sztuce — nie ma złego czy dobrego, czarnego czy różowego budulca. Są tylko złe lub dobre budowle, złe lub dobre cele.

Jakiemu celowi służy ta budowla?

Tym celem głównym „Agnieszki" — jak się wydaje — było ukazanie negatywnej treści „kompleksu kombatantów". Pięknie — tępić należy wszelkie zło. Tylko czy to zło realne?

Czy w naszych najnowszych dziejach tkwi materiał do tego zestawienia postaw bohaterów „wykolejonych i zdziczałych" z tymi, którzy wnoszą „nowe pokojowe wartości"? Czy w ogóle w Polsce istniał kompleks kombatanta, klasyczny kompleks „zaczadzonych przez wojnę" taki, o jakim piszą wszyscy krytycy filmowi i recenzenci?

Nie ulega wątpliwości, że wśród dwóch milionów Polaków, którym narodowa potrzeba włożyła broń do ręki, musieli się znaleźć tacy, którzy kochali samo wojenne działanie i którzy 9 maja 1945 roku znaleźli się w próżni. Jednakże nie wolno zapominać, że wojna dla Polski trwała bardzo długo, że była naprawdę straszna, niezwykle uciążliwa, krwawa, wyczerpująca. Mało kto z tych, którzy „kochali walkę", dotrwał do jej zakończenia. Mało komu w Polsce nie wystarczyło sześciu lat, aby uleczyć się z wojennych zamiłowań. 9 maja doprawdy bardzo mało było u nas ludzi, którzy jeszcze nie nawojowali się do syta. Ci zaś nieliczni znajdowali szerokie polityczne ujście dla swoich niewyżytych ambicji, a „kompleks kombatanta" utonął u nas bez śladu w kompleksie „wojny jeszcze nie skończonej" wobec tego, że „nie powstała Polska" taka, jaką sobie niektórzy wyobrażali. Utonął wśród postukiwania strzałów zza węgła polskiej małej wojny domowej.

Ogromna żołnierska masa, kończąca wojnę 9 maja

1945 roku, naprawdę nie kochała wojny. Robiono, co trzeba, z poczucia obowiązku, z poczucia dziejowej konieczności, ale bez smaku. Nic nie sprawiło takiej radości ludziom 1 Armii jeszcze w mundurach, jak możność wzięcia udziału w zwykłych wiejskich pracach rolnych na Pomorzu jeszcze w czasie wojny, gdzieś między szturmem Kołobrzegu a forsowaniem Odry. O nic nie dopytywano się tak gorąco, jak o rozkazy demobilizacyjne, warunki osadnictwa i kwestię sprowadzenia rodzin.

Nie mieli łatwego życia pierwsi osadnicy na pustych zagrodach, w najczęściej najbardziej zniszczonych przygranicznych powiatach. Bez krowy, bez konia, bez najprostszego łacha cywilnego na grzbiet czy do chałupy, długo, zbyt długo czekający na swe kobiety, bez których przecież na wsi nie sposób gospodarzyć, na swoje dzieci.

Mieli za plecami też swój bagaż, którym obarczyła ich historia. Nie, nie sama wojna, lecz wcześniejsza, przedwojenna rzeczywistość. Z „Polski B", z zachodniej Białorusi, z Wołynia, z zachodniej Ukrainy, ze wsi biednych i zacofanych — dalecy byli od gotowości do roli, jaką wyznaczyła im sytuacja dziejowa, roli pionierów nowego. Z trudem dawała im się nowa rzeczywistość. Ale też w swym bagażu mieli wartość bezcenną, ukształtowaną właśnie w wojsku, a ściślej — w związku z tym, że w szeregach tego ludowego wojska stanęli i walczyli. Świadomość własnej woli, świadomość, że własny los od nich będzie zależeć, że są ważni, że własnymi decyzjami i własnym wysiłkiem kształtowali i nadal kształtować będą przyszłość kraju i przyszłość własną. Mieli poczucie podmiotowości.

Istotnie, w pierwszym okresie istniały tendencje do utrzymania pewnych form wojskowej organizacji i długo jeszcze trwały frontowe powiązania, uwarst-

wienia społeczne, autorytety i moralne zobowiązania. Byli frontowi dowódcy zostali sołtysami, a kompanijni fryzjerzy nadal strzygli całą kompanię — wieś. Tę organizację rodziło samo życie. Poczuciu samotności wobec rozbicia dawnych więzi wiejskich przeciwstawiali zyskane w wojsku poczucie koleżeństwa. Dezorganizacji powojennej — trwałą i sprawdzoną organizację wojskową. Bezradności wobec nowego środowiska życiowego na nowych nie znanych ziemiach — kolektywność wiejską, sąsiedzką, tu — przybraną w kształt wojskowego porządku. A poza tym naprawdę potrzebowali pomocy. Ci z dowódców, którzy pozostali z nimi również po demobilizacji, ci, którzy wyprowadzili ich — Polaków zabużańskich — ze ślepej uliczki politycznej, którzy przeprowadzili ich przez ogień i wodę okupacji i wojny do zwycięstwa, starali się pomóc im na nowej drodze, prowadzić ich dalej ku światłu, ku postępowi, ku szczęściu.

Kompleksy przyszły później. Gdy w epoce błędów i wypaczeń zaprzeczono sensowi ich wysiłku nad zagospodarowaniem ziem odzyskanych. Gdy zaprzeczono prawu do własnego zdania, do wpływu na bieg wydarzeń nawet we własnej wsi. Gdy zaprzeczono ich podmiotowości. Odbiciem tego właśnie, jak myślę, jest nastrój „Agnieszki" tamtej, Machowej, nastrój książki opisującej czasy „popaździernikowe", późne lata pięćdziesiąte. Przeniesienie go na jesień roku 46, związanie przyczynowe ze służbą wojskową, wojną jest po prostu fałszem.

Prawdziwa „Agnieszka roku 1946" nie spadła z nieba ani nie przybyła ze Szwecji. To po prostu sam komendant Bałcz być może kazałby dzieci czwórkami prowadzić do szkoły. Ale szkołę on właśnie założył. Szkołę i kuchnię dla sierot. Przede wszystkim.

Ciekawe jako objaw

Jak to się stało, że trzej twórcy wielkim nakładem pracy, talentu, serca tworzyli dzieło poruszające, a tak odległe od prawdy — prawdy historycznej tamtej epoki i prawdy moralnej naszego czasu? Jak to się stało, że opowiedziano nam historię zupełnie jakby rzeczywistą, tak mocno osadzoną w realności, a zarazem rzeczywistości przeciwstawną, stanowiącą w istocie negatyw prawdziwego obrazu?

Myślę, że stało się tak dlatego, iż autorzy wysnuli swoją opowieść wbrew pozorom nie z rzeczywistości, ale wprost przeciwnie — z głowy. Że rolę naczelną — przed „prawdą materialną" — przyznali „myśli porządkującej", a dokładniej: nie myśli własnej, lecz pewnej obsesji, z dawna rozpowszechnionej wśród naszej inteligencji twórczej.

„Agnieszka 46" to głos w dyskusji sprzed lat. Głos niestety dowodzący potęgi i trwałości legend, deformujących naszą wiedzę o świecie, w którym żyjemy.

Powzięte a priori przeciwstawienie „pokolenia walki" „pokoleniu pokojowej pracy", „pokolenia bohaterów" i moralnych ofiar wojny „pokoleniu pozytywnej twórczości", ta teoria walki i zmienności pokoleń — to relikt ukształtowanego od wielu dziesięcioleci poglądu na historię Polski, jako na historię zmiany „pokoleń prowadzących" — romantycznego i pozytywistycznego. Próżno przed laty Berent przypominał, że to właśnie pokolenie klasycystyczne, pokolenie Sejmu Wielkiego, pokolenie bardzo „organicznikowskie" chwytało za broń w latach insurekcji i epopei napoleońskiej, próżno Kieniewicz charakteryzuje dziś „dramat trzeźwych entuzjastów". Ani rusz nie chcemy zrozumieć, że rzeczywistość polska jest inna, że nie cechuje jej przeciwstawność tych postaw, ale ich ciągłość, że budowali

ci sami, którzy wojowali, i ci sami, którzy zrywali się do walki, stawali później w pierwszym szeregu budujących. Tożsamość celów najwyższych dyktowała tę ciągłość, tożsamość zaś sytuacji wymagała stosowania tych samych metod ofiarności, entuzjazmu, realistycznego romantyzmu i w walce, i w pracy.

To upostaciowanie walki dobrego i złego w kształcie konfliktu „wojowniczych" weteranów i pozytywistycznej „siłaczki" to właśnie rzutowanie na Polskę współczesną — historii, i to historii źle zrozumianej, mitu polskiego. I oto znowu jesteśmy przy rzeczywistym temacie dyskusji sprzed lat, dyskusji o „Siedmiu grzechach".

Obranie za formę właściwą dla upostaciowania zła, „starego" — żołnierskiego munduru, kombatanckiego środowiska — to również relikt apriorycznego antymilitaryzmu i specyficznego, formalnego pacyfizmu naszej „postępowej inteligencji" (w rozumieniu sprzed lat czterdziestu). Zabawne, że ta sama postawa „humanitarna" — która każe jej odnajdywać okoliczności łagodzące, winę społeczną w każdej pospolitej zbrodni, jak choćby owe „trudne dzieciństwo" bądź brak rozrywek, np. gdy trzech szczeniaków dla kilkusetkilometrowej wycieczki morduje kierowcę taksówki — ta sama postawa łączy się z brakiem zainteresowania dla motywów i implikacji jednego tylko „wykroczenia" przeciw normalności: — udziału w walce zbrojnej. Co prawda czasem bywają okoliczności łagodzące: obłudne kierownictwo sanacyjne czy akowskie, które nieświadomą młodzież wtrąciło w nonsensy walki...

Odznaki 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki na mundurach zbirów w „Agnieszce" nie pozostawiają cienia wątpliwości, że „okoliczności łagodzące" tu nie miały miejsca. Byli na wojnie? To wystarczy jako wyjaśnie-

nie, dlaczego są zbirami. Trwają w przywiązaniu do wojskowej organizacji, zachowują dawne autorytety i zależności? To wystarczy, by stworzyć organizm zbrodniczy, który musi być odrzucony i rozbity w imię życia. Sięgają do wojennych przywiązań, cenią sobie godność swego czynu, swoje pamiątki i swoje wspomnienia, powołują się na więź między sobą i więź z tymi, którzy leżą za opłotkami, pod murem pałacu, na cmentarzu. Czynią to oczywiście w złej sprawie, jakże mogłoby być inaczej? „Duch wojenny" może tylko zatruwać, paraliżować, wykoślawiać...

Z góry wiadomo, że wojna rodzi zło, wojsko odczłowiecza człowieka, wojenna przeszłość prowadzi do degeneracji. I to nam powiedziano. To wiadomo pewnie jeszcze od Remarque'a i wcale nie trzeba sprawdzać... Wiedzą o tym również recenzenci, przyjmują tę tezę za oczywistą bądź nawet rozwijają ją i konkretyzują... I oto jesteśmy znowu przy istotnym temacie dyskusji sprzed lat. Bo to jest właśnie najbardziej wulgarne widzenie złożonego zjawiska walki zbrojnej i organizacji służącej do walki, a także polskiej rewolucyjnej tradycji żołnierskiej.

I wreszcie sprawa najtrudniejsza. Najtrudniejsza nie ze względów merytorycznych, ale ze względu na obyczaje, jakie się u nas od lat utarły. Otóż u nas nie wypada czuć się dotkniętym. To znaczy — nie wypada traktować poważnie tego, co się czyta, i tego, co się pisze. Niewybaczalnym zaś grzechem prostactwa intelektualnego jest protestować.

„Obrazili się rotmistrze..."

Cóż? Rozumiem, że trzeba mieć poczucie skromności. A także poczucie humoru. Myślę jednak, że trzeba

mieć także poczucie godności. I poczucie więzi, serdecznej więzi z tysiącami, setkami tysięcy zwykłych ludzi, z którymi związał nas los narodowy, los żołnierski. Powiem otwarcie, co myślę.

Myślę, że piórem scenarzystów, kamerą realizatorów filmu kierowała również, między innymi, nawet może nieuświadomiona, ale jednak pogarda. Pogarda dla tych setek tysięcy, które w żołnierskich drelichach wróciły z frontu na zdewastowane gospodarki Pomorza i Śląska. Bo tylko pogardą wytłumaczyć można tę „swobodę twórczego ducha", która pozwoliła realizatorom ani przez minutę nie zastanowić się nad tym, jak będą się czuły te setki tysięcy, gdy ujrzą taki swój portret. Nawet nie karykaturę, nawet nie gorzką groteskę, gdzie satyryczne przejaskrawienie wiele uzasadnia, ale portret, portret na serio, ponurą czarną fotografię. Fotografię z listu gończego. Powiem otwarcie: tak nie wolno — niech będzie, że „obrazili się rotmistrze".

Obrażają się zresztą — jak sądzę słusznie — również inne środowiska. Przedstawiciel środowiska dziennikarskiego protestuje w „Prasie Polskiej", gdy niejako „służbowym" negatywnym bohaterem szeregu utworów staje się dziennikarz, a jego „negatywność" polega właśnie na cechach wynikających rzekomo z jego zawodu. Pyta wręcz: „komu służy taka propaganda?" [32]

Pewne rzeczy są nie do pomyślenia w odniesieniu do innych środowisk społecznych. Wyobrażam już sobie reakcję Związku Nauczycielstwa Polskiego, Ministerstwa Oświaty, całej prasy, gdyby ukazał się film o identycznej jak „Agnieszka", lecz odwróconej sytuacji: młody, czysty jak łza, szlachetny i niewinny podchorąży w imię postępu, swobody myślenia i godności ludzkiej wydaje bój „ciału pedagogicznemu", środowisku zasłużonych pedagogów, profesorów i nauczycieli, które terroryzuje otoczenie, łamiąc bezlitośnie ludzi od

siebie zależnych, dopuszczając się zbrodni, morderstw i gwałtów w imię obrony swego autorytetu i pozycji, w imię obrony honoru i godności zawodu nauczycielskiego...

Nie wyobrażam też sobie, aby ktokolwiek z inicjatorów, realizatorów i propagatorów „Agnieszki" zdecydował się ubrać białobrzeżan w battle-dressy II Korpusu bądź powstańcze panterki. Nie odważyłby się nawet o tym pomyśleć... I to bardzo dobrze. Niestety jednak — nie odważyłby się, ale tylko ze względów utylitarno-politycznych. Przykro mi, że nie ze względów moralnych. Te nakazywałyby mu bowiem chronić również drelich ludowego Wojska Polskiego i Odznakę Kościuszkowską.

Myślę, że byłoby dobrze, aby twórcy bardziej liczyli się jednak z tym, co pomyślą ludzie — zarówno odbiorcy, jak i bohaterowie ich utworów. Myślę też, że mój sąd jest jednak zgodny z rzeczywistą wymową dzieła. Przejrzystość jego tez ideowych sprawiła, że wszyscy krytycy odczytali go jako film o potrzebie moralno-psychicznego leczenia weteranów. Jego artyzm, a więc jego siła sugestywna, sprawił, że wszyscy przyjęli jako oczywiste najbardziej absurdalne jego założenia. Niestety, jeden tylko dostrzegł te tezy i te założenia na tle dzisiejszej realnej rzeczywistości polskiej, zaniepokoił się i zaprotestował. Sądzę, że fakt ten nie najlepiej świadczy o naszej krytyce filmowej.

Twórcę tłumaczy wiele: i obsesje, bez których podobno nie ma sztuki, i talent, który pozwala zawrzeć w dziele treści, które w innych czasach inaczej będą odczytywane. Krytyk ma znacznie mniej na swe usprawiedliwienie. Nie wolno mu tkwić bez reszty w „czystej sztuce". Choć niewątpliwie głową winien jej sięgać — nogami musi tkwić na dzisiejszej ziemi. To krytyka właśnie powinna pokazać właściwy sens lub

bezsens treści utworu. Powinna ocenić słuszność lub niesłuszność jego myślowych propozycji. Pomagać odbiorcy w zrozumieniu dzieła. Pomagać twórcy w zrozumieniu odbiorcy. A także, między innymi — uprzedzać odbiorcę, ostrzegać twórcę. Myślę, że takiej pomocy właśnie oczekuje od niej odbiorca, myślę, że taka właśnie pomoc potrzebna jest twórcom.

Co mi wolno

Nie kwestionuję, nie oburzam się, nie potępiam. Bardzo dobrze już znam obyczaje na naszym froncie kulturalnym. Dobrze wiem, co wolno w ogóle, a czego nie wolno mnie.

Wolno napisać książkę i nakręcić film, pokazujący, że my, którzyśmy wrócili z wojny, jesteśmy chorzy i niebezpieczni dla otoczenia, że normalni ludzie musieli toczyć bój „o pokojową i społeczną reedukację tych ludzi". Wolno ten film zanalizować i wydobyć z niego właściwą czerń barw w nim użytych. Wolno powiedzieć, że to zbiry, że „wieś nie wieś, jakieś skrzyżowanie osady ludzkiej ze śmietniskiem", że rządzi tam „wojskowy rygor przekształcony niemal w gangsterski terror", w „gangsterski styl". Ale mnie nie wolno powiedzieć, że to nieprawda, że to paszkwil, bo ja wyrosłem z wojny, która „nie wyrabia skłonności do złożonej moralnej refleksji". Nie wolno mi zakwestionować prawa „Agnieszki" do tego, by właśnie ona — spadła z księżyca — została właściwym „strażnikiem wielkiej tradycji żołnierskich grobów". Nie wolno, bo jestem „skażony wojną", która „nie uczy szacunku dla powszedniego, ludzkiego trudu".

Wolno powiedzieć, że „Agnieszka" to „przyczynek do przebrzmiałej już dziś dyskusji o bohaterstwie i bo-

haterszczyźnie", że to głos „upominający się o historyczny i psychologiczny realizm", przypominający „prostą, lecz niedocenioną prawdę", że „etyka stanu wyjątkowego nie może być mechanicznie i w całości przenoszona na okres pokojowego życia". Ale mnie nie wolno powiedzieć, że to po prostu bzdura, że fałszywy obraz przeszłości nie może być żadnym argumentem i że nikt niczego nie chce przenosić, natomiast nie w imię żadnych tam historycznych i psychologicznych realizmów, lecz w imię zwykłej uczciwości uprasza się nie kłamać. Nie wolno mi, gdyż jestem skażony wojną, „która nie skłania do tolerancyjnego i rozważnego wysłuchiwania cudzych opinii..."

To wszystko wiem i dlatego już nic więcej nie powiem. M. in. również dlatego, że zdaję sobie sprawę, że to, co piszę, że moja krytyka jeszcze nikomu nie pomogła ani nie zaszkodziła, że nikt tego nie wysłucha i nikt żadnych wniosków z tego, co piszę, nie wyciągnie. Jedno więc tylko chciałem jeszcze wyjaśnić: Jak to właściwie jest z tymi prawami weteranów? Od dwudziestu pięciu lat w żadnej z epok, jakie przeżył nasz kraj — ani w gromadzie, ani w powiecie, ani w stolicy nigdy nie słyszałem, aby ktoś powiedział: „zasługi upoważniają". Jeśli kiedykolwiek słyszałem o czyichś zasługach, to tylko w kontekście negatywnym: „Dawne zasługi nie rozgrzeszają" bądź „nie zwalniają z obowiązku".

Kapitan X, którego nazwiska ze zrozumiałych względów nie podam, dwukrotnie ranny dowódca kompanii z 1 Armii, pierwszy komendant wojenny i pierwszy komendant milicji w powiatowym miasteczku M. gdzieś na zachodzie, już w 46 roku uzyskał w zamian za te zasługi eksponowane stanowisko kierownika administracyjnego niewielkiej nieruchomości ziemskiej, zwanej wówczas PNZ — późniejszego PGR-u.

Stanowisko eksponowane, zważywszy, że pierwszym dyrektorem tego PGR-u i szefem kapitana był niepiśmienny, dawny zaufany fornal byłego ziemianina, jednego z organizatorów Państwowych Nieruchomości Ziemskich w województwie, drugim — stetryczały cesarsko-królewski pułkownik, trzecim — szarpany delirium tremens alkoholik itd. itp. przez piętnaście lat. W tym czasie tylko trzy razy przypomniano sobie o zasługach kapitana X. Raz nauczycielka tłumaczyła mu, że minione zasługi ojca nie upoważniają córki do podpowiadania na lekcji. Drugi raz, gdy z majątku zbiegli ostatni robotnicy, w odpowiednich organach stwierdzono, że polskie, a nawet radzieckie, frontowe ordery nie uchronią kapitana od oskarżenia o sabotaż. Trzeci raz, gdy pewien młody człowiek złakomił się na jego stanowisko i wytoczył mu sprawę o to, że do wojska wstąpił... dopiero w 43 roku: „późniejsze zasługi nie przekreślają tego... opóźnienia!"

Nie wiem, do czego upoważniają dawne zasługi, co to są prawa weteranów. O ich r ó w n o u p r a w n i e n i e, elementarny szacunek, upamiętnienie poległych starać się musiały długo całe organizacje — ZBOWiD, Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, wojsko, organizacje młodzieżowe. Nie wszędzie dotarły... A cóż mówić o zasługach i prawach szczególnych...

Widzę ciągle jeszcze, że sami weterani za coś raz po raz ponosić mają odpowiedzialność, że raz po raz powraca sprawa „kompleksu kombatanta", że każda próba ukazania naszych doświadczeń bądź utrwalenie pamięci poległych kolegów napotyka zaciekły opór w niejednym środowisku, a postać żołnierza-uczestnika walki antyfaszystowskiej staje się obiektem oszczerczych ataków. „Agnieszka 46" jest tego dobitnym dowodem. Jest ona niewątpliwie głosem w niedawnej dyskusji o tradycjach, o patriotycznej, wychowawczej

wartości moralnego dorobku naszego pokolenia. Jest głosem przeciwko temu dorobkowi. Jest głosem przeciwko nam, którzy od czasu do czasu nosimy te stare mundury, te medale, te odznaki grunwaldzkie i kościuszkowskie. Jest głosem przeciwko nam, którzy stajemy na baczność w czasie apelu poległych, dla których łoskot żałobnego werbla ma sens ogólnoludzki i bardzo osobisty. Jest głosem przeciwko nam — żołnierzom osadnikom ze wszystkich Białobrzegów, jak Polska długa i szeroka. Jest głosem również przeciwko mnie. Bo ja też jestem z Białobrzegów. To chyba wolno mi powiedzieć?!

O TRADYCJI SERIO

Specyfika polskiego procesu historycznego sprawia, że tradycja narodowa, pamięć o wydarzeniach i doświadczeniach historii odgrywają u nas szczególnie doniosłą rolę w kształtowaniu zarówno jednostek ludzkich, jak i całego społeczeństwa. Wskutek tego — jak gdyby na zasadzie sprzężenia zwrotnego — specyfika ta wywiera również szczególnie doniosły wpływ na bieg i kształt wydarzeń historycznych w Polsce.

Tradycja a współczesność

Gdy w zachodniej Europie kształtowały się nowoczesne narody w ramach własnych państw narodowych, naród polski pozbawiony był niepodległości. Na skutek rozbiorów więź ekonomiczna — wspólny rynek narodowy, będący istotnym elementem wytwarzającym współczesny naród — ulega znacznemu osłabieniu. Również szczególnie charakterystyczne dla naszej historii przesunięcia ludnościowe i terytorialne osłabiły znacznie oddziaływanie poczucia związku z najbliższym, dotykalnym kształtem ojczyzny: krajem rodzinnym, „krajem lat dziecinnych", ziemią, wsią, domem ojców, z tzw. ojcowizną, która stanowi istotny element kształtowania świadomości narodowej. Toteż

w kształtowaniu się nowoczesnego narodu polskiego zupełnie szczególną rolę odegrały więzi językowe i kulturalne, elementy duchowe, a wśród nich właśnie pamięć o wspólnej historii — tradycja narodowa. W pewnym sensie można powiedzieć, iż Polska przez sto pięćdziesiąt lat istniała jedynie w sferze świadomości społecznej — w „przeszłości" i w „przyszłości", jako wspomnienie i jako nadzieja, jako tradycja i jako postulat.

Zwraca uwagę aktywny charakter tego rodzaju postawy duchowej, twórcza i buntownicza treść tak rozumianej polskości, patriotyzmu, gdzie tradycja — przeszłość — rozumiana jest jako nakaz działania i doświadczenie działania dla osiągnięcia upragnionej przyszłości.

Ten twórczy charakter tradycji i aktywna forma patriotyzmu znajdują szczególny wyraz w walkach narodowowyzwoleńczych, toczonych przez nasz naród w ciągu minionych 150 lat. Byłoby głęboko niesłuszne, gdybyśmy zlekceważyli dziś ogromny ładunek ideowy zawarty w historii, w tradycji, w naukach i doświadczeniach tych walk, które wciąż jeszcze żywe są w świadomości szerokich mas narodu, którymi przepojona jest polska kultura — poezja, literatura, sztuka.

Szczególny bieg naszej historii sprawił, że polska tradycja narodowa przesycona jest treściami nie tylko patriotycznymi, ale również internacjonalistycznymi, a także licznymi elementami doświadczeń historycznych, swoistych nauk z przeszłości, układającymi się w pewne tradycyjne, historycznie umotywowane tezy polityczne, stanowiące fundament polskiego światopoglądu. Marksistowska analiza historii Polski, naukowe podejście do obiektywnej sytuacji narodu i płynących z niej wniosków, nie obala tego tradycyjnego kanonu polskiej polityki, lecz przeciwnie — pogłębia go, za-

pewnia mu lepsze uzasadnienie i większą precyzję. Stąd partia robotnicza w swojej akcji wychowawczej w społeczeństwie opiera się w całej pełni na doświadczeniach historii, na tradycji narodowej, nadając jej pełniejszy politycznie i głębszy naukowo wyraz.

Wschód—zachód

Na powstaniu państwa polskiego przed tysiącem lat zaważył w sposób istotny napór teutońskich feudałów. Gdy tylko wśród plemion polskich dojrzały wewnętrzne społeczno-klasowe warunki kształtowania się władzy państwowej, naturalny proces tworzenia się państwa został niezwykle przyspieszony wobec nieustannego zagrożenia z zachodu. Ekspansja doskonalszych pod względem organizacyjnym form społecznych, jakimi były marchie feudałów niemieckich, niosła za sobą doskonalsze metody eksploatacji, a nawet wręcz eksterminacji słowiańskich mas ludowych. Stąd państwo polskie pierwszych Piastów było — w o wiele większej mierze niż to zwykle w pierwszym okresie powstawania państwa bywa — obronną organizacją ogólnonarodową. Zawsze miano przed oczyma tragiczny przykład Słowian zachodnich, którzy takiego organizmu państwowego wytworzyć nie potrafili, wskutek czego ulegli niemieckiej przemocy, a w konsekwencji — wyniszczeniu i wynarodowieniu.

Pierwsze wieki istnienia państwa polskiego upływają pod znakiem obrony przed najazdami z zachodu. Również charakter polityki zagranicznej, sojuszów państwowych wypływa z tej ogólnopaństwowej potrzeby. Unia polsko-litewska jest też najwyższym wykwitem tej polityki. Owocem tej unii — rozumianej w pierwszym okresie istnienia jako sojusz narodów

zagrożonych przez niemieckich feudałów — jest wiekopomne zwycięstwo grunwaldzkie. Dopiero później coraz potężniej dochodzi do głosu druga strona unii — jej funkcja agresywna, jako sojuszu panów krakowskich i rusko-litewskich bojarów dla rozszerzenia władzy na coraz odleglejsze ziemie wschodnie.

Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że w dalszym biegu historii Polski widzimy jakościową wprost odmienność dwóch nurtów politycznych, dwóch kierunków politycznego działania: na wschód i na zachód.

Polskie akcje polityczne na granicy północnej i zachodniej, wojny prowadzone przez Polskę na tych granicach są z reguły wojnami obronnymi, wojnami odpowiadającymi interesom szerokich mas ludowych, zagrożonych przez feudałów niemieckich — zwłaszcza pruskich. Wojny te prowadzone są przez szerokie masy — z udziałem drobnej szlachty i mieszkańców miast, często przy poruszeniu takich czy innych warstw chłopstwa. Zwycięstwa w tych wojnach oznaczają umocnienie państwa polskiego, jego konsolidację polityczną, zwiększenie w nim wpływu czynników na owe czasy postępowych. Polska polityka wschodnia i wojny toczone przez Polskę na wschodzie są w przytłaczającej większości imprezami dalekimi od potrzeb i zainteresowań społeczeństwa polskiego. Prowadzone są zwykle przez samego króla, nieraz z własnej szkatuły (wojny Batorego z Moskwą), bądź też przez poszczególnych magnatów polskich własnymi siłami (wyprawy moskiewskie Mniszchów). Sukcesy w tych wojnach umacniają siły i wpływy „królewiąt kresowych" — najbardziej reakcyjnej części magnaterii polsko-litewsko-ruskiej, osłabiają natomiast władzę królewską, osłabiają państwo polskie. Prowadząc do wzrostu sił magnaterii, pozwalają jej stopniowo zyskać pozycję panującą, zdławić i stłamsić nie tylko stan

chłopski, lecz również mieszczaństwo, a tym samym osłabić spoistość wewnętrzną i siły ekonomiczne kraju.

Punktem zwrotnym na drodze do upadku pierwszej Rzeczypospolitej są wojny kozackie w XVII wieku, które doprowadziły do takiego wyczerpania sił Polski, że w kilka lat później nie była ona w stanie oprzeć się najazdowi szwedzkiemu. Jednorazowy zryw patriotyczny drobnej szlachty, miast i chłopstwa w okresie „Potopu" potrafił doraźnie zaradzić klęsce, nie mógł już jednakże tchnąć życia w rozpadającą się Rzeczpospolitą. W połowie XVIII wieku Polska — państwo ogromne jeszcze i pozornie potężne, zwłaszcza na wschodzie — jest już właściwie niespójnym terytorium, rozszarpywanym przez magnacki egoizm, tonącym w szlacheckiej ciemnocie i pozbawionym źródeł siły, jakie ówczesnym krajom dawało sprawne, scentralizowane państwo, bogate miasta i gospodarna wieś.

Epoka pierwszej Rzeczypospolitej zamyka się jedną niemało ważną nauką polityczną: istotne interesy Polski leżą na zachodzie, z nimi związany jest los twórczych, produktywnych warstw narodu. Pozorna potęga na wschodzie, budowana na ucisku obcych narodowo mas pracujących, zawsze była śmiertelnym niebezpieczeństwem dla istoty siły Polski i dla jej przyszłości.

Niepodległość — postęp

W drugiej połowie XVIII wieku w całej Europie dojrzewa przełom formacji społeczno-ekonomicznych, kryzys systemu feudalnego — na czoło społeczeństw wysuwa się burżuazja. Również w Polsce narastają elementy przełomu. Wówczas, w dobie reform stanisławowskich, Sejmu Wielkiego i Konstytucji 3 Maja, kształtuje się zasadniczy układ sił, zasadnicza formuła

polityczna historii Polski na całą nową epokę — epokę walki o Polskę niepodległą, nowoczesną i potężną.

Czołowym problemem stojącym przed patriotami polskimi tej doby jest sprawa utrzymania niepodległości Polski jako niezbędnych ram dla rozwoju nowoczesnego narodu. Warunkiem utrzymania niepodległości Polski jest gwałtowne dokonanie przeobrażeń wewnętrznych o charakterze postępowym, przeobrażeń leżących w interesie szerokich warstw narodu. W tym dążeniu do postępu społecznego los i przyszłość Polski wiążą się najściślej z nowoczesnymi, postępowymi prądami Europy — wówczas konkretnie z hasłami rewolucji francuskiej. Odrodzeniu ojczyzny przeciwstawiają się zdecydowanie jedynie żerujący na jej słabości magnaci. Walka przeciwko postępowi w obronie egoistycznych, klasowych uprawnień prowadzi na pozycje zdrady narodowej, do hasła, które w uproszczeniu tak można by sformułować: „Ojczyzna? Jeśli nie ma być nasza, lepiej, by jej nie było". Podczas gdy patrioci dla zapewnienia postępowej przebudowy i umocnienia siły ojczyzny starają się zorganizować swoisty front narodowy (obejmujący początkowo część szlachty i mieszczaństwo) i pragną zapewnić sobie przynajmniej życzliwość chłopstwa, magnateria sięga po pomoc obcą — pomoc najbardziej reakcyjnych sił ówczesnej Europy: carycy i króla pruskiego. „Z samych panów zguba Polsce" — pisał wówczas wybitny działacz polskiego Oświecenia, Stanisław Staszic.

Ten ogólny układ sił i ta ogólna tendencja historii Polski obowiązują przez 150 lat, do czasów II wojny światowej. Oczywiście w miarę rozwoju wydarzeń, a także w miarę nabierania doświadczeń poszczególne elementy tego układu sił i problemów ulegają pogłębieniu i sprecyzowaniu. Przede wszystkim ulega sprecyzowaniu postulat ścisłego związku między narodową

przyszłością ojczyzny, jej niepodległością a postępem społecznym, unowocześnieniem struktury społecznej Polski. Pogłębia się zrozumienie więzi między walką narodowowyzwoleńczą i społecznowyzwoleńczą.

Reformy Sejmu Wielkiego, które zmierzały do odsunięcia od wpływu wielkiej magnaterii, a złożenia losu ojczyzny w ręce bardziej postępowej średniej szlachty, sprzymierzonej z mieszczaństwem, okazały się niewystarczające. Rozumiano coraz lepiej, iż kluczem do historii Polski jest rozwiązanie kwestii chłopskiej: uwolnienie chłopstwa z feudalnej niewoli i nadzielenie go ziemią. Już Powstanie Kościuszkowskie bierze chłopa pod opiekę prawną państwa, ale czyni to zbyt nieśmiało. Analiza przyczyn klęski insurekcji przekonuje postępowych patriotów, iż środki te nie były wystarczające.

W późniejszych latach polski ruch patriotyczny wiąże swe nadzieje z Napoleonem — przy swoistej dwoistości stanowiska wobec niego. Jedno skrzydło patriotów dostrzega w Napoleonie przede wszystkim zewnętrzną siłę polityczną, walczącą z krajami, które podzieliły między siebie Polskę, drugie skrzydło — ściśle związane z ideologią francuskiego Oświecenia, a nawet rewolucji burżuazyjnej — dostrzega w prądach napoleońskich przede wszystkim to, co w nich jeszcze pozostało z postępowych haseł przewrotu burżuazyjnego. Stąd polskie formacje wojskowe walczące pod Napoleonem, a potem zalążek nowoczesnego państwa polskiego, jakim było Księstwo Warszawskie — mimo wszystkich stron ujemnych, płynących z uzależnienia od coraz bardziej zaborczej polityki cesarza Francuzów — posunęły znacznie dzieło postępu społecznego w Polsce. Zapewniły jej fundamenty nowoczesnego, burżuazyjnego ustawodawstwa, własnej administracji państwowej, skarbowości, nowoczesnej oświaty, a także pierw-

sze narodowe, obejmujące wszystkie warstwy społeczne, wojsko przepojone duchem demokratyzmu.

W latach „Świętego Przymierza" jednak wiele z tych osiągnięć zostało zaprzepaszczonych, a szlachcie przywrócono wiele uprawnień typu feudalnego.

Radykalne postulaty społeczne, wysuwane jeszcze przez Kołłątaja w okresie Sejmu Czteroletniego i Powstania Kościuszkowskiego, po trzydziestu latach okazały się równie aktualne.

Ruch patriotyczny w początkach XIX wieku w dalszym ciągu miał do rozstrzygnięcia generalny problem epoki — problem uwłaszczenia chłopstwa. Ogólnie uznaną przyczyną klęski Powstania Listopadowego jest, iż żywioły rewolucyjne nie potrafiły wymusić na kierujących powstaniem ugrupowaniach zachowawczych radykalnego rozstrzygnięcia tej kwestii. Wołanie posła Jana Szanieckiego „uczyńmy milion wolnych chłopów, a z nich milion obrońców wolnej ojczyzny", propozycje Lelewela, rewolucyjne wystąpienia studentów i rzemieślników, młodszych oficerów powstania i wiejskiej inteligencji nie zostały wysłuchane. Za to po klęsce powstania większość działaczy polskiego ruchu wyzwoleńczego — od potężnego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego po utopijno-socjalistyczne Gromady Ludu Polskiego — dostrzegła, iż problem niepodległości ojczyzny oraz problem praw politycznych i pozycji społeczno-ekonomicznej chłopów, stanowiących przytłaczającą większość ludności kraju, jest w gruncie rzeczy jednym i tym samym problemem. Hasło wyzwolenia chłopów znajduje się odtąd na pierwszym miejscu wśród haseł wszystkich wystąpień patriotycznych, spisków wewnątrz kraju, poważniejszych wystąpień lat 1834 i 1844 oraz powstania krakowskiego 1846 r. Powstanie Styczniowe roku 1863 zaś rozpoczyna się od opublikowania dekretu tajnego Rządu Narodowego,

obalającego porządki feudalne na ziemi polskiej, nadającego chłopu wszystkie prawa obywatelskie oraz nie kwestionowaną własność ziemi, którą uprawia.

Rozwój kapitalizmu na ziemiach Polski zmienia nieco kształt zależności między przyszłością polityczną, niepodległością kraju a jego treścią społeczną. Dochodzą do głosu nowe siły społeczne — klasa robotnicza — i rodzą się nowe potrzeby wyzwoleńcze. Nie zmienia się jednak istota problemu: nienaruszalna, obiektywna zależność między niepodległością a wyzwoleniem społecznym, między postępem a wolnością. W tym stadium na czoło społeczeństwa wysuwa się klasa robotnicza, która tocząc walkę o własne wyzwolenie społeczne, podejmuje również rozstrzygnięcie wszystkich nie załatwionych dotychczas problemów społeczno- i narodowowyzwoleńczych, podejmuje również sztandar walki o wyzwolenie narodowe.

Związek między wyzwoleniem społecznym a narodowym, między walką patriotyczną a walką klasową, nabiera szczególnej ostrości na ziemiach zaboru pruskiego. Tam zarówno panowanie klasowe, jak i ucisk narodowościowy reprezentują te same siły: niemieckie obszarnictwo i mieszczaństwo w Poznańskiem, na Pomorzu i na Śląsku. Niemiecki wielki kapitał i stojące za nim niemieckie państwo są oczywistym wrogiem zarówno narodowym, jak i klasowym polskich górników i hutników Śląska, robotników, rzemieślników i chłopów Poznańskiego i Pomorza. Stąd narodowe powstania antyniemieckie w grudniu 1918 roku w Poznańskiem oraz w latach 1919, 1920 i 1921 na Śląsku są bardziej niż którekolwiek z dotychczasowych ruchów narodowowyzwoleńczych ruchami chłopsko-robotniczymi, a w niektórych swoich fazach (jak na przykład I Powstanie Śląskie) wręcz występują jednolicie pod biało-czerwonymi i czerwonymi sztandarami.

Polska—Rosja

Drugim obok splotu potrzeb narodowo- i społeczno-wyzwoleńczych momentem szczególnym, przewijającym się przez całe ostatnie 150-lecie historii Polski, jest więź wysiłków wyzwoleńczych Polaków z ruchami rewolucyjnymi i postępowymi w Rosji.

Pierwsi Polacy prześladowani przez carat za swą patriotyczną postawę — w stepach ziemi orenburskiej, na Uralu i Powołżu łączyli się z chłopskimi oddziałami powstańczymi Pugaczowa.

Uwikłana między zaborcze potęgi Prus i Austrii Polska od początku swej walki o wyzwolenie — z początku nieśmiałe, potem coraz wyraźniejsze nadzieje wiązała z przemianami demokratycznymi i siłami rewolucyjnymi wewnątrz bratniego narodu rosyjskiego, tylko w zwycięstwie postępu w tym wielkim kraju widząc szansę zwycięstwa i utrwalenie bytu ojczyzny.

Już Powstanie Kościuszkowskie próbowało apelować do chłopów rosyjskich. Później splatają się ściśle więziami sojuszu politycznego i przyjaźni osobistej losy spiskowców polskich z lat dwudziestych XIX wieku i przyszłych rosyjskich dekabrystów. Powstanie Listopadowe uczciło imiona i czyny straconych przez carat dekabrystów, a w rocznicę ich śmierci urządzono im w Warszawie symboliczny honorowy pogrzeb wojskowy. Tegoż dnia Sejm polski oficjalnie pozbawił cara Mikołaja I władzy w Polsce. Z inicjatywy Lelewela na drogach marszu armii carskiej specjalne patrole powstańcze pozostawiały proporczyki z napisem: „Za Waszą wolność i naszą" oraz rozrzucały proklamacje rewolucyjne adresowane do żołnierzy rosyjskich. W latach przygotowań do powstania styczniowego więź między ruchem wyzwoleńczym Polski a ruchem rewolucyjno-demokratycznym w Rosji była najściślejsza.

„Czerwoni" w Polsce, działacze „Ziemli i Woli" w Rosji planowali wspólne wystąpienie przeciwko caratowi w całym imperium.

Oficerowie Rosjanie z organizacji kpt. Potiebni obiecując poprzeć polskie powstanie zawarowali sobie prawo tworzenia na terenie Polski Wolnych Drużyn Rosyjskich, które pod sztandarem walki z caratem, rewolucji demokratycznej i wyzwolenia chłopstwa miały z Polski przedzierać się na ziemie rosyjskie. Najpiękniejsze karty polskiego powstania roku 1863 związane są z działalnością tych czerwonych dowódców i powstańców, którzy wychowani byli w ideowej szkole Czernyszewskiego i Sierakowskiego, w myśl umowy Hercena z Padlewskim, oraz ze wspólną walką rewolucyjnych oficerów i żołnierzy Rosjan i powstańców Polski. Rewolucja rosyjska miała proklamować niepodległość bratniej Polski. Powstanie polskie miało dopomóc w dokonaniu rewolucji w Rosji.

Jedność dążeń wyzwoleńczych Polski i ludu rosyjskiego na nowym etapie historycznym podjęła klasa robotnicza i jej partia. Wspaniałym jej przejawem jest wzajemna pomoc rewolucjonistów polskich i rosyjskich w roku 1905, solidarnościowe wystąpienia Petersburga i Moskwy, Warszawy i Łodzi. Pod tym samym sztandarem, pod tymi samymi hasłami walczyli polscy żołnierze Rewolucji Październikowej na wszystkich frontach wojny domowej. Pod tymi samymi sztandarami, pod tymi samymi hasłami walczyli ramię przy ramieniu partyzanci i żołnierze Polski i Związku Radzieckiego w latach II wojny światowej. I tak samo walczyli oficerowie rosyjscy w mundurach polskich w roku 1863 oraz w szeregach polskiego wojska w latach 1943, 1944 i 1945; oddawali swe życie w walce przeciwko wrogowi Polski — przeciwko wspólnemu wrogowi naszych narodów.

Rządy czy ludy

Trzecim niezwykle istotnym elementem doświadczenia historycznego, zawartym w naszej tradycji narodowej, jest ostateczne wyjaśnienie stosunku istotnych interesów narodu polskiego do generalnych problemów życia politycznego Europy i świata.

Już u swego zarania polski ruch wyzwoleńczy, toczący walkę z trzema feudalnymi mocarstwami — naszymi sąsiadami — poszukiwał punktów oparcia w ówczesnej Europie. Związany od początku z rozpoczynającym się przewrotem burżuazyjnym, sięgał początkowo w sposób słuszny i zdrowy po sojuszników w siłach europejskiego postępu, europejskiej rewolucji burżuazyjnej. Sam też w epoce Powstania Kościuszkowskiego odegrał istotną rolę, ratując rewolucję francuską przed zdławieniem przez koalicję feudalnych monarchów. Podobnie zresztą późniejsze wystąpienia powstańcze Polaków osłaniały i w pewnej mierze ratowały rewolucję burżuazyjną na Zachodzie — we Francji, w Belgii itd.

Jednakże rychło okazało się, że rewolucja burżuazyjna w Europie — właśnie na skutek swego burżuazyjnego, a więc ograniczonego charakteru — nie jest w stanie wywrzeć istotnego wpływu na losy Polski, zwłaszcza w późniejszej epoce, gdy na zmianę burżuazji walczącej, rewolucyjnej, przychodzą ukonstytuowane burżuazyjne państwa, strzegące sytego dostatku swych klasowych mocodawców. Doświadczenia zarówno wojen napoleońskich, jak i powstań roku 1830 i 1863 dowiodły, iż Polska nie może liczyć na pomoc burżuazyjnych krajów Zachodu, choć te zawsze gotowe są posłużyć się polskim ruchem narodowowyzwoleńczym dla własnych interesów.

Stąd w połowie XIX wieku gruntuje się w polskim ruchu narodowowyzwoleńczym przekonanie, iż oparcia

należy szukać „nie wśród rządów, lecz wśród ludów Europy". Polski ruch narodowowyzwoleńczy sprzęga się nierozłącznie z europejskim ruchem radykalnym i rewolucyjnym, z tajnymi stowarzyszeniami karbonariuszy, z Młodą Europą Mazziniego, z Garibaldim, a potem z rodzącym się międzynarodowym ruchem robotniczym. Polscy rewolucjoniści walczą na barykadach wszystkich europejskich rewolucji w roku 1848 — w Berlinie i w Wiedniu, w Paryżu i w Brukseli, w Palatynacie i Nadrenii, a wreszcie na Węgrzech. Z kolei w polskim ruchu narodowowyzwoleńczym biorą udział Francuzi i Włosi, Niemcy, Węgrzy i Czesi.

Gdy przeobrażenie Europy w drugiej połowie XIX wieku wysuwa naprzód nową siłę społeczną — klasę robotniczą i jej ruch — patrioci polscy są pierwszymi wśród europejskich ruchów wyzwoleńczych, którzy opowiadają się za tą siłą i łączą swe starania z jej rozwojem. Przywódcy Powstania Styczniowego zostają generałami Komuny, a kilkuset Polaków walczy w jej obronie. Ci z nich, którzy ocaleją, skupią się wokół Marksa i Engelsa, wokół I Międzynarodówki.

Doświadczenia początków XX wieku niczego też w tym układzie sił nie zmieniły. Zarówno w latach pierwszej, jak i drugiej wojny światowej potwierdziła się XIX-wieczna teza, iż naród polski nie ma czego oczekiwać od rządów Europy, może natomiast liczyć na poparcie ludów Europy, na poparcie sił rewolucji i z nią winien wiązać swoje nadzieje. Tak też czynili żołnierze polscy radzieckiego listopada 1917 r. i ochotnicy polscy w Hiszpanii lat trzydziestych. Ucieleśnione w postaci socjalistycznego państwa radzieckiego siły rewolucyjne nowej Europy okazały się tymi, których pomoc pozwoliła ostatecznie zakończyć zwycięstwem 150-letnią walkę narodu polskiego o wolność narodową i wyzwolenie społeczne, o własne państwo — bezpieczne i silne.

Suma doświadczeń

Polska tradycja narodowa jest więc jak gdyby sumą doświadczeń historycznych narodu polskiego, zdobytych, pogłębionych i utrwalonych w toku 150-letniej walki. Nie jest ona tylko obyczajem narodowym, nie jest tylko kształtem odrębności, formą bytu narodowego, lecz jest swoistym kanonem wiedzy politycznej, a zarazem swoistą sumą wzorów postępowania obywatela-patrioty i człowieka postępu.

Tradycja historyczna, ta właśnie suma doświadczeń i dyrektyw ludzkiego postępowania, jest w społeczeństwie polskim niezwykle silna właśnie ze względu na rolę, jaką odgrywa w okresie rozbiorów, a później okupacji hitlerowskiej. Treściami tej tradycji przepojona jest wielka poezja i literatura polska — od utworów Mickiewicza i Słowackiego, poprzez polską powieść realistyczną końca XIX wieku, aż po dzieła klasyków XX wieku i duchowych ojców współczesnej socjalistycznej literatury polskiej, jak Stefan Żeromski. Treści te zawarte są w wielkim polskim malarstwie XIX wieku, w tematyce utworów malarstwa realistycznego z początków XX wieku. Treściami tymi żyje i dziś przodująca część polskiej literatury i sztuki. Treści te zawsze odgrywały ogromną rolę i odgrywają ją również dzisiaj w tej cząstce tradycji narodowej, którą stanowi tradycja rodzinna, wspomnienia o ojcach i dziadach, a nawet dalszych przodkach, którzy wysiłki swego życia poświęcili walce o wyzwolenie społeczne i narodowe, przy mniej lub bardziej wyraźnie zaznaczonej świadomości tych wymogów politycznych, o których poucza 150-letnie doświadczenie historyczne.

Tak rozumiana tradycja historyczna polskiego patriotyzmu o treści wyraźnie społecznowyzwoleńczej i internacjonalistycznej, prócz określonego zasobu wie-

dzy o drogach rozwojowych i potrzebach narodu zawiera również nieocenione dyrektywy moralne i wzorce ludzkiego postępowania. Opiera się ona przede wszystkim na wyraźnym nakazie obowiązku jednostki ludzkiej wobec narodu. Zawiera ona również dyrektywę aktywności w służbie interesów społecznych, przekładania zawsze interesów społecznych ponad interesy indywidualne.

Dwudziestolecie

Szczególne znaczenie patriotycznych tradycji narodowych znakomicie rozumiały polskie klasy posiadające. Oba ich główne odłamy w XX wieku — endecja i sanacja — żerowały na tych tradycjach, starając się jednak zgodnie z własnymi interesami klasowymi zamaskować przed narodem zawarte w polskiej historii i w polskiej tradycji najistotniejsze treści polityczne i społeczne, zwłaszcza tezę o jedności sprawy niepodległości ze sprawą wyzwolenia społecznego i tezę o jedności interesów narodu polskiego i sił postępowych Europy. Później, w latach II wojny światowej, dobitnie ujawniła się pustka wewnętrzna tak okrojonej idei patriotyzmu.

Te najbardziej żywotne nurty polityczne nowoczesnej Polski burżuazyjnej nie wyciągnęły wbrew pozorom wniosków z niektórych nawet najważniejszych polskich doświadczeń historycznych.

Endecja wysuwała co prawda postulat obrony interesu polskiego na zachodzie i proklamowała współpracę Polski ze wschodem, z Rosją, jednakże program ten nie oznaczał nigdy rezygnacji z interesu polskich klas panujących na wschodzie. Oznaczał jedynie ograniczenie terytorialne tego interesu i przekształcenie go

w interes nowoczesnego nacjonalizmu. Trzymać na wschodzie tyle, ile się da połknąć, ile się da „spolonizować" — taka była istotna treść „programu wschodniego" endecji i to właśnie uniemożliwiło porozumienie na wschodzie — porozumienie rzetelne — z narodami Ukrainy, Białorusi, Litwy i Rosji.

Piłsudczyzna, zwłaszcza w swoim wczesnym wydaniu, obficie barwionym socjalistyczną czerwienią, istotnie wiązała sprawy socjalne (choć na pewno nie sprawę rewolucji) ze sprawą wyzwolenia narodowego. Jednakże nigdy nie rozumiała organicznego charakteru tego splotu potrzeb, traktowała hasła socjalne jako służebne, przydatne dla uruchomienia energii rewolucyjnej mas, wprzęgnięcia jej w służbę sprawy niepodległości, traktowanej jako budowa „własnego narodowego śmietnika z własnym narodowym żandarmem", jak powie później jeden z piewców piłsudczyzny i mimowolnych jej demaskatorów.

Niepodległa, odrodzona Polska roku 1918 zrodziła się niespodziewanie — pozornie z tej wojny powszechnej ludów, o którą modlił się Mickiewicz, a głównie z rewolucji powszechnej w mocarstwach zaborczych, z której możliwością nie liczył się żaden polski nurt burżuazyjny. Na pewno zrodziła się również z wysiłków (mniej czy bardziej świadomych) tych wszystkich, którzy pracowali dla rewolucji, nie myśląc nawet o Polsce, i tych, którzy pracowali dla Polski, nie myśląc o źródle jej odrodzenia, o rewolucji. Ci ostatni, nieświadomi jeszcze potrzeby dokonania cięć zasadniczych, przekształceń rewolucyjnych, urzeczeni ogromem potrzeb i niemałą skalą możliwości, jakie się otwierały, służyli krajowi, budowali go po wiekowej niewoli, dokonując ogromnego pozytywnego dzieła scalania i unowocześniania na miarę możliwości odrodzonej ojczyzny.

Niestety, odrodziła się ona obciążona wszystkimi nie

rozwiązanymi dotychczas problemami, które od wieków coraz bardziej kategorycznie i w wymagającej szybkich decyzji postaci stawiał rozwój historyczny. Rychło przekonano się, jak niedostateczny wobec potrzeb jest rozmiar dokonanych przeobrażeń. I wkrótce też międzywojenna druga Rzeczpospolita upadła z tych samych przyczyn ogólnej swej słabości, nad których usunięciem trudził się bezskutecznie ruch postępowy od stu lat.

Upadła dlatego, że nie potrafiono zmienić kierunku rozwojowego, kierunku zainteresowań w sposób radykalny ze wschodu na zachód. Wprost przeciwnie — rozpaczliwie czepiano się resztek imperium na wschodzie, środkami dzikiego nacjonalizmu usiłując przedłużyć tam polskie panowanie.

Upadła dlatego, że nie potrafiono zapewnić odrodzonej ojczyźnie prawdziwie rewolucyjnej dynamiki postępu społeczno-ekonomicznego. Wprost przeciwnie — niepodległa, lecz nie wyzwolona, tonęła w marazmie, niezdolna dopędzić szybko kroczącego naprzód ówczesnego świata. Barwna narodowa fasada nie kryła dość dynamicznej treści, odrodzona ojczyzna nie była odrodzona wewnętrznie.

Upadła wreszcie dlatego, iż nie potrafiła utrwalić swego międzynarodowego sojuszu z narodami. Wprost przeciwnie — odcięła się najbardziej zdecydowanie od źródeł własnej wolności, od sił rewolucji i w ościennym Związku Radzieckim, i w całym świecie.

Praktyka polityczna międzywojennej Polski, Polski burżuazyjno-obszarniczej, przecząc doświadczeniom, przecząc nakazom polskiej historii, dowiodła raz jeszcze słuszności wniosków, jakie z tej historii płyną.

Okazało się, iż klasy, których czas historyczny przeminął, aczkolwiek wiele mówią o Polsce i jej interesach narodowych, faktycznie działają na ich szkodę, ponie-

waż przeciwstawiają się temu, co w problematyce niepodległości polskiej najistotniejsze, a więc rewolucji społecznej i braterstwu z siłami społecznowyzwoleńczymi — w tej epoce już z siłami socjalizmu.

Charakterystyczne jest to, jak oba wpływowe nurty polityczne Polski międzywojennej dobrowolnie ograniczały swoją świadomość historyczną, jak starały się nie widzieć realiów przeszłości i realiów rzeczywistości. Myśl tych nurtów wolna była od takiego balastu, jak fakty historycznych kronik i liczby rocznika statystycznego. Widzenie i ocena rzeczywistości oznaczały bowiem wyrok śmierci dla obu tych i wszystkich innych nurtów politycznych polskich klas posiadających.

Historia Polski po rok 1944 dostarczyła pełnego narodowego i ludzkiego uzasadnienia dla rewolucji polskiej. Rewolucji rozumianej nie tylko jako dzieło i interes proletariatu, lecz jako dzieło i najżywotniejsza potrzeba całego narodu, jako przełomowy etap w całej tysiącletniej historii narodu, jako podsumowanie i zamknięcie rachunku epoki, dokonane w oparciu o cały jej dorobek i regulujące wszystkie stworzone przez nią należności.

Tradycja a ruch rewolucyjny

Jeśli partie polskich klas posiadających w wieku XX nie potrafiły utrzymać więzi z rzeczywistością społeczną i historyczną życia narodowego, to partia robotnicza przeżywała w tym okresie dynamiczny rozwój, w toku którego kształtowała się zarówno sama, jak i też kształtowała swą pozycję w narodzie.

Jak wiadomo, rewolucyjne partie robotnicze kierujące ruchem wyzwoleńczym mas uciskanych w Polsce nie od razu uchwyciły znaczenie problematyki na-

rodowowyzwoleńczej i tradycji patriotycznej w Polsce. Zarówno Wielki Proletariat Waryńskiego, jak i Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy nie ogarniały jeszcze obiektywnego związku między walką klasową proletariatu a walką narodowowyzwoleńczą (socjaldemokrację skrytykował za to bardzo ostro Lenin).

Komunistyczna Partia Polski już w pierwszych latach swej działalności potrafiła znacznie zbliżyć się do zrozumienia nowej roli, jaką proletariatowi polskiemu dyktuje historia. Już w 1923 r. na swym II Zjeździe wskazywała, że proletariat winien stanąć na czele narodu w walce o realizację programu ocalenia narodowego. Podobne traktowanie problemu odnajdujemy w postawie KPP w latach walki z faszyzmem. Nie ulega dziś wątpliwości, że represje stalinowskie zahamowały ten proces obejmowania przez ruch robotniczy przewodnictwa w narodzie. Rozwiązanie KPP było dla tego procesu ciosem szczególnie dotkliwym.

Nieprzemijającą zasługą Polskiej Partii Robotniczej jest, iż od momentu swego powstania podjęła tamtą, tragicznie przerwaną walkę i doprowadziła ją do zwycięstwa, sprawiając, iż zarówno w tworzeniu obiektywnych faktów historycznych, jak i w świadomości społecznej polski rewolucyjny ruch robotniczy stał się wykonawcą szlachetnego testamentu wielu pokoleń patriotów i rewolucjonistów. Doprowadził on do zwycięskiego końca ich walkę o wolność narodu, o odbudowę niepodległej ojczyzny, o wyzwolenie mas ludowych spod władzy zarówno tradycyjnego wroga — obszarnictwa, jak i wroga nowego — kapitalizmu, zwłaszcza kapitału zagranicznego. Uwieńczył ostatecznym sukcesem wiekową walkę przeciwko imperializmowi niemieckiemu, staranie o sojusz z wolnym narodem rosyjskim, z narodami socjalistycznego Związku

Radzieckiego, ze światowymi siłami postępu i socjalizmu.

W ogniu II wojny światowej partia wypracowała system poglądów na swoje miejsce w ruchu mas i miejsce tego ruchu mas w całości historii Polski. Zdobyła sobie również — niemałym trudem — miejsce kierownicze w wysiłku wielomilionowego patriotycznego „aktywu narodowego". Program PPR, wysiłek zbrojny Gwardii i Armii Ludowej, wysiłek Armii Polskiej w Związku Radzieckim stały się kolejnym etapem w rozwoju polskiej myśli i starań, poświęconych rozstrzygnięciu trzech najgłówniejszych problemów kształtowania bytu ojczyzny — etapem przełomowym, w którym problemy te zostały w sposób rewolucyjny i całokształtowy rozstrzygnięte.

Przejmując obowiązek rozwiązania głównych kwestii narodowych, partia robotnicza przejęła również od minionych pokoleń dotychczas ukształtowane nauki i doświadczenia oraz moralne środki rozwijania „sprawy polskiej". Nowy, rewolucyjny nurt historii Polski stał się pełnym, całkowitym spadkobiercą przeszłości, a zarazem rewolucyjnym jej likwidatorem. Polska przezeń zbudowana jest ostatecznym wnioskiem z całej tysiącletniej swej historii, a zarazem kształtem zupełnie nowym, otwierającym nowe tysiąclecie, nową epokę socjalistycznego rozwoju ojczyzny niepodległej i wyzwolonej.

Polska Partia Robotnicza, a w ślad za nią również Polska Zjednoczona Partia Robotnicza podjęły swe obowiązki narodowe w pełni świadomie. Świadomie też podjęły i wykorzystują w swej pracy wychowawczej szlachetną tradycję narodową, społecznowyzwoleńczą i internacjonalistyczną.

Skazani na historię

O stosunku współczesności do historii, o stosunku człowieka dzisiejszego do przeszłości mówi się ostatnio i pisze niemało. Sprawa ta wydaje się dzisiaj szczególnie zagmatwana. Z jednej strony obserwujemy niebywałą manifestowaną niechęć do wszelkiej „historycznej gadaniny", z drugiej strony — coraz silniej manifestują się tendencje przeciwne, nie pozbawione żarliwego, serdecznego stosunku do spraw, problemów i pamiątek przeszłości.

Ludzie sięgają dzisiaj do przeszłości, szukają w niej czegoś i wreszcie znajdują. Jedni potrzebują jej „ku pokrzepieniu serc", inni wzywają jej pomocy ku moralnej nauce. Jeszcze inni z goryczą i bólem znajdują w niej tylko pogardę dla tych, którzy byli przedtem, jak gdyby rację miał poeta epoki walki, Tadeusz Borowski, pisząc: „Zostanie po nas złom żelazny — głuchy, drwiący śmiech pokoleń".

Jedno jest pewne — obojętność wobec przeszłości jest udawana, zbyt wiele w niej niechęci czy goryczy, uczuć stanowiących osąd, a więc stosunek, jaki miewa się tylko do rzeczy przecież nieobojętnych.

Nieobojętność jest oczywista i zrozumiały też jest ów — w różnych formach wyrażany — bunt przeciwko przeszłości.

Każdy człowiek wchodzi w świadome, aktywne życie zastając je jakoś ułożone, jakoś ukształtowane. Przez poprzedników. Przez historię. Każdy człowiek, każde pokolenie wchodząc w życie widzi potrzebę przekształcenia tej zastanej sytuacji, dostosowania jej do siebie, do swoich zamierzeń, potrzeb i pragnień. Wejście w życie człowieka, pokolenia — to jego niezgoda, bunt przeciwko zastanemu. Zarazem — niechęć do tych, którzy stan istniejący wytworzyli, nie potra-

fili uczynić go lepszym. Wydaje się, że wszystko można było i należało urządzić inaczej, że dopiero my podejmujemy i rozstrzygniemy właściwe zadania, zaniedbane, nie dostrzeżone przez poprzedników. Wydaje się, że jeśli przed nami nie dokonano tego, na czym nam zależy — to nie dokonano niczego, a cała krzątanina poprzednich pokoleń była daremna, pusta, bezcelowa...

Ten bunt — jakże naiwny — jest, jak myślę, nie tylko nieunikniony, lecz potrzebny. Choć oczywiście — niepełny, kulawy.

Dopiero później, w miarę gromadzenia własnych doświadczeń zmieniania świata człowiek i pokolenie porzucają stopniowo postawę czystej negacji. Coraz częściej, coraz pełniej dostrzegają, jak wiele w ich twórczym i przeobrażającym wysiłku jest kontynuacji, jak wiele w nich samych z tej odrzucanej przeszłości, jak wiele w problemach, które rozstrzygają — wyniku starań i wysiłków poprzednich pokoleń. Dostrzegają wreszcie w bycie społeczeństwa, w bycie narodu — problemy wiekowe, ciągi trwałe, jeśli nie wieczne, to tak długotrwałe, że nieomal stałe. Ciągi, których wystarcza na nawarstwiające się i sumujące wysiłki wielu pokoleń. Ciągi problemowe, przy rozstrzyganiu których i dziś, i jutro jakże przydatna jest właśnie znajomość historii, znajomość doświadczeń zgromadzonych przez poprzedników, parających się niegdyś tymi zagadnieniami.

Oczywiście, są ludzie, grupy, pokolenia wchodzące w życie bynajmniej nie na zasadzie świadomej woli przekształcenia świata, świadomego buntu. I to już było. I to jest regułą. Jednakże właśnie to, co było, pozwala prędzej i tańszym kosztem — zanim przyjdą własne i drogo opłacone doświadczenia — zrozumieć, że „nie chcieć" historii to polityka strusia, że historia

nie przestaje się dziać, dlatego, że my jej „nie chcemy", że historia jednakowo wtrąca się w życie i tych, którzy ją cenią i starają się zrozumieć, i tych, którzy jej nie uznają. „Biada pokoleniu nie przygotowanemu". Nie zawsze słowa te muszą zapowiadać wielki egzamin historyczny. Wolno i trzeba powtórzyć je w czas pokoju, w czas zwykłego, powszechnego dziania się historii.

Na odchodnem

W naszym kraju współżyją, współistnieją i współtworzą byt społeczny dwie wielkie nader odmienne grupy pokoleniowe. Starzy i młodzi. Ci, którzy stworzyli ten świat, i ci, którzy pragną go najszybciej przeobrazić. Ci, którzy działali, a dziś wiedzą, i ci, którzy działać zaczynają, i tak mało wiedzą.

Należę do tych pierwszych. Do tych odpowiedzialnych za rzeczywistość. Tych, którzy przed dwudziestu pięciu i trzydziestu laty rozstrzygali problemy naczelne bytu narodowego Polaków.

Niektóre dylematy, nad których rozwiązaniem biedził się wówczas naród, miały lat 700, sięgając czasów sporu między koncepcją piastowską a koncepcją jagiellońską polityki polskiej. Niektóre liczyły lat 200, jak problem rewolucyjnej likwidacji obszarnictwa polskiego, bowiem „Z samych panów zguba Polsce". Inne — jak problem polsko-rosyjskiego braterstwa — uwidoczniły się 150 lat temu, inne były nieco młodsze. Jednakże żaden z tych dylematów nie był jeszcze definitywnie rozstrzygnięty w momencie, gdy do świadomego życia politycznego, obywatelskiego i żołnierskiego dorastały te pokolenia „starych Polaków",

które dziś, choć jeszcze istnieją — odchodzić zaczynają bezpowrotnie.

Na barykadach 1905 r. uczyli się, czym dla nas jest jedność ludu pracującego Polski i Rosji. Na polach bitew rewolucji październikowej przekonali się, jak to jedynie rewolucja, zmieniając porządek europejski, otworzyć może drogę do niepodległości Polski.

W sukcesach i niepowodzeniach powstań polskich roku 1918—1921 przekonywali się, jak trudno bez uruchomienia wszystkich rewolucyjnych sił społeczeństwa zapewnić sukces narodowy.

Na polach Hiszpanii uczyli się, że wolność jest niepodzielna i niepodzielny jest pokój.

Samotność na wpół bezbronnych okopów września 1939 r. i warszawskich barykad sierpnia 1944 r. uczyły ich i nas gorzkiej wiedzy o bezcelowości związków z Zachodem, trudnej nadziei i świadomości potrzeby oparcia się o bratni rewolucyjny wschód.

Na krwawych drogach, ścieżkach i bezdrożach, przez wszystkie fronty Europy i przez wszystkie polskie lasy, na zachodzie i wschodzie, na północy i południu, w powietrzu i na morzach uczyliśmy się, które z nich są drogami wiodącymi w przyszłość, a które tylko gorzką próbą wyjścia z sytuacji bez wyjścia, w której nie ze swej winy znalazł się naród.

W niemieckich więzieniach, obozach koncentracyjnych, obozach śmierci widzieliśmy na własne oczy, jakim może być, jakim ma być los narodu, jeśli nie znajdzie on słusznego rozwiązania podstawowych problemów swojej historii, swojego istnienia.

Wreszcie na polach zwycięskich bitew ostatniego okresu wojny, na polach Pomorza, Brandenburgii, Saksonii i na ulicach Berlina, na polach nowego Grunwaldu, pod który prowadził nas nowy przewodnik narodu — rewolucyjna Partia Robotnicza, przekonywa-

liśmy się dowodnie o słuszności wniosków, jakie z naszej historii wyciągnął ruch rewolucyjny, uczyliśmy się nowego abecadła, socjalistycznego języka, języka sukcesów i zwycięstw, nowej i jedynej metody budowy trwałego szczęścia naszej Ojczyzny.

My starzy — ludzie pokoleń walczących — nieraz niełatwo znajdowaliśmy właściwe drogi, nieraz błądziliśmy. Najkosztowniejszą metodą poznawania prawdy, metodą prób i błędów, przy której za każdy błąd płacić trzeba krwią i cierpieniem, odnajdowaliśmy właściwy kierunek.

Nas uczyła historia, nas uczyło życie i nasza wiedza jest głęboko ugruntowana.

Ten dorobek przemyśleń i doświadczeń nie jest tylko dorobkiem żywych i starych, lecz dorobkiem wszystkich z naszego pokolenia — tych, którzy nie dożyli naszych dni, tych, którzy polegli, padli zamordowani bądź zmarli przedwcześnie, wyczerpani życiem ponad siły, zgnębieni potrzebami przekraczającymi możliwości. Jest dorobkiem młodych tamtego czasu, tych, którzy już zawsze mieć będą tylko te dwadzieścia lat, zamknięte nieodwracalnie w któryś z tych dni, które potem stają się datami z podręcznika historii.

Sens naszego istnienia i naszej śmierci to nie tylko owe daty walk i dzisiejsze pomniki „ku pamięci" starań naszego pokolenia. To również nasze trudne doświadczenie, nasza gorzka, ale trwała mądrość.

Znamy wartość historii jako szkoły politycznego myślenia. Znamy wartość politycznego myślenia — dla życia — dla powszedniej codzienności — dla szczęścia narodu i człowieka. Wiemy również bardzo dobrze — z praktyki — że światopoglądu się nie dziedziczy, że każde pokolenie musi sobie wyrobić sąd o świecie samo, że musi się nauczyć świata i praw nim rządzących, życia własnego społeczeństwa, jego potrzeb i spo-

sobów prowadzących do ich realizacji. Jednakże różne mogą być metody tej nauki. Byłoby tragedią, gdyby doświadczenia pokoleń walczących pozostały naszą tylko własnością i zeszły ze świata razem z nami, byłoby tragedią, gdyby ci czynni a nieświadomi młodzi — nasze przecież dzieci i wnuki — szkołę politycznego myślenia przechodzili znowu od pierwszej klasy, znowu najkosztowniejszą metodą prób i błędów, za ogromną cenę.

Rozwój intelektualny, rozwój świadomości obywatelskiej, wiedzy politycznej wchodzących w życie pokoleń Polaków nie może być powtórzeniem — musi być twórczą kontynuacją rozwoju mijających pokoleń. Ofiarowujemy naszym młodym antagonistom (i naszym następcom przecież...) to, co zostało nam najcenniejszego — nasze doświadczenie. Naszą historię. Historię narodu.

Do spadkobierców

Historia jest namiastką własnych doświadczeń, konspektem może werbalnym, ale jednak użytecznym. Każdy człowiek i każde pokolenie musi samo na własnej skórze wypraktykować, czym jest człowiek, jakie jest jego miejsce w świecie, jaka jest współzależność między losem jednostki i losem społeczności, jak żyć w ludzkiej masie, wśród praw swojego „ja" i prawidłowości historycznie ukształtowanej zbiorowości. Jednakże bez tego werbalnego konspektu, bez tej „propedeutyki" wiedzy społecznej człowiek w świecie jest bezradny jak małe dziecko znienacka wypuszczone na wielkomiejską ulicę.

Znajomość historii, znajomość przeżyć i doświadczeń tych, którzy byli przed nami, ułatwia ogromnie zrozu-

mienie „praw ruchu" na tej osobliwej ulicy. Pozwala zrozumieć, jak iść, by dojść do celu, pozwala zrozumieć, że mimo trudności iść trzeba i choć nie jest to łatwe — dojść można.

Zresztą nie macie innego wyboru. Jesteście „skazani" na udział w życiu, jesteście „skazani" na samodzielne tworzenie własnego losu, a więc na udział w losach społeczności, a więc na udział w tworzeniu historii narodu. I znikąd, jak tylko z historii dowiedzieć się możecie, co robili inni ludzie, znajdując się w określonej, towarzyszącej im epoce i sytuacji. Wiedza o doświadczeniach tych ludzi nie zastąpi własnych doświadczeń, pozwoli jednak przyjąć je łatwiej i zrozumieć pełniej i głębiej.

Ci, którzy byli przed wami, ci, którzy odchodzą, zostawili wam nie tylko ów stan zastany — materialną i duchową rzeczywistość, w którą wchodzicie, chcąc zawsze, aby była nowa, inna i lepsza. Zostawili wam również pamięć o swoich staraniach i tęsknotach, o sukcesach i klęskach, o radościach i tragediach. Zostawili wam pamięć o dramacie swojej drogi przez życie. Chcieli wam — swym dzieciom — zostawić jak najwięcej, byście byli jak najbogatsi, aby było wam jak najłatwiej.

Ci, którzy żyli, budowali i walczyli, potem i krwią, uśmiechem i łzami budowali historię Polski, zamknęli już swój rachunek życiowy. Nie zbudują dla was nowych domów, nie wytyczą nowych dróg, nie napiszą mądrych rozpraw i pięknych książek. Niczego już, poza doświadczeniem własnego życia utrwalonym i w naszej historii, i w narodowej pamięci, nie mogą wam ofiarować.

Historia ich wysiłków nie nauczy was, co robić jutro o szóstej po południu. Pomoże wam tylko przemyśleć

i wypróbować samemu — jak żyć mądrze i ciekawie, pięknie i z sensem, a przede wszystkim — nienadaremnie. Aby nie mijać bez śladu.

Co czynić wypada

Jakże łatwo na pytanie, w czym wyrażać się powinien patriotyzm, odpowiedzieć po prostu: „w pracy". Ta niewątpliwie słuszna odpowiedź obejmuje wszystko i nie wyjaśnia niczego. Myślę, że dzisiaj nie wolno już tak upraszczać problemu socjalistycznej miłości ojczyzny, nie wolno ograniczać się do suchego, jak trzaśnięcie bata, zawołania: „kochacie ojczyznę — to pracujcie". Myślę, że współczesna miłość ojczyzny przejawia się zarówno w pracy, jak i w myśleniu, że implikuje zarówno radość i dumę, jak smutek i troskę.

Socjalistyczny patriotyzm nie zrodził się w Polsce z dnia na dzień, nie został powołany do życia tym samym manifestem, który proklamował Polskę Ludową. Podobnie jak cały światopogląd socjalistyczny ma on w Polsce korzenie znacznie wybiegające poza datę 22 lipca 1944 r. I jeden, i drugi zrodziły się z tego samego źródła — miłości ojczyzny, miłości do kraju, oddania sprawie swego ludu i krytycznej troski o stan ojczyzny i jej przyszłość.

Miłość ojczyzny, jak każda miłość, jest krytyczna, jest miłością m i m o. Mimo wszystko. To co nazywają bezkrytycznym uwielbieniem, to najwyżej chwilowy cielęcy zachwyt, uczucie na wpół biologiczne, żeby nie powiedzieć zwierzęce. Miłość zaś ludzka jest pełna troski. Boli wszystko, co w obiekcie naszej miłości jest niedoskonałe. Miłość ludzka pełna jest niepokoju — towarzyszy jej obawa o los, o przyszłość obiektu tej miłości. Miłość to ból i żal, a nieraz gorycz.

Myślę, że duchowym ojcem polskiego patriotyzmu socjalistycznego nie będzie żaden z największych nawet chłodnych i dalekowzrocznych myślicieli-filozofów, lecz Stefan Żeromski. I jeśli ten nurt troski o przyszłość kraju, nurt krytycyzmu twórczego — bo mobilizującego wszystkie siły intelektualne i moralne do zmiany tego, co złe — był tak żywy w polskim patriotyzmie „przedsocjalistycznym", to dzisiaj musi wystąpić ze zwielokrotnioną siłą.

Socjalizm to ideologia i ustrój, który wiele obiecuje. Socjalizm to ustrój, w którym nie sposób obarczyć kogokolwiek poza nami odpowiedzialnością za los narodu i kraju. Socjalizm to ustrój dynamiczny, nieustannie przemieniający społeczeństwo, a więc pozostający w stanie nieprzerwanej a u t o k r y t y k i.

Socjalistyczny patriotyzm dzisiaj to z jednej strony afirmacja rzeczywistości — ze względu właśnie na zawarte w niej możliwości nieprzerwanego postępu — z drugiej zaś strony negacja tej rzeczywistości w imię następnej, lepszej, powstającej co dzień.

Jednakże — uwaga! — miłość krytyczna zawsze stoi o krok od dwóch niebezpieczeństw. Jedno — to obezwładniająca rozpacz, płynąca ze świadomości różnicy, zresztą odwiecznej, między pragnieniem a rzeczywistością. Drugie — to pogarda dla „tworzywa historycznego" — człowieka, narodu, państwa, które jakoby nie dorosły do naszych szczytowych ideałów, do naszego obrazu obiektu miłości. Rozpacz pozbawia siły, prowadzi do rezygnacji z działania, do jałowego moralizatorstwa. Pogarda zaś izoluje, złudnie wywyższa, dopuszcza gwałt nad „na siłę" uszczęśliwianą ojczyzną.

Patriotyzm jest pracą dla ojczyzny nie tylko „w imię narodu", ale wraz z narodem i poprzez naród. Toteż socjalistyczny patriotyzm jest nie do pomyślenia bez

prawdziwego humanizmu, bez wiary w człowieka i bez szacunku dla człowieka.

Jeszcze jedna uwaga: nienowy to problem stawiany niegdyś: kto komu jest coś winien — ja ojczyźnie czy ojczyzna mnie? Myślę, że ojczyzna mnie tyle, ile ja ojczyźnie. I że warto pamiętać o tym, jak często każdy z nas korzysta z kredytu. Z praktyki życia społecznego wiemy, iż patriotyzm potrafi być jak gdyby „dosiębierny" i „odsiębierny". Ja głosuję za „odsiębiernym". Trzeba umieć dawać z siebie, trzeba się tego uczyć. Bowiem brać umiemy, robimy to nawet niedostrzegalnie dla samych siebie.

Nie uspokajają mnie zapewnienia wielu spośród naszej młodzieży, że już oni, gdy trzeba będzie, potrafią być ofiarni, oddani i aktywni. Trudno czekać na czas wielkiego egzaminu. Zresztą każdy egzamin wymaga przygotowania. Bez treningu nie ma sukcesów. Głosuję za treningiem, za codziennym treningiem służby społeczeństwu. Warto bowiem przywrócić obywatelską godność temu staremu słowu: SŁUŻBA. Nie tylko praca — limitowana godzinami, przepisami i bodźcami materialnymi — ale właśnie służba — ideowa służba bliźniemu, służba społeczeństwu, służba ludzkości.

PRZYPISY
do
„Siedmiu polskich grzechów głównych"

[1] *W XX rocznicę bitwy — Hołd dla bohaterów.* „Życie Radomskie", 1959, nr 217.

[2] Melchior Wańkowicz: *Zapomnienie jest powtórną śmiercią.* „Dziennik Polski" (Kraków), 1959, nr 207.

[3] *Encyklopedia tygodnia.* „Kulisy", 1959, nr 35.

[4] Patrz Janusz Księski: *Fabrykanci legend.* „Polityka", 1959, nr 42.

[5] *Encyklopedia tygodnia.* „Kulisy", 1959, nr 35.

[6] Płk lotn. W. Zaczkiewicz: *Lotnictwo polskie w kampanii wrześniowej 1939 r.* WINW, Warszawa 1947, s. 257—277.

[7] Jerzy Pertek: *Wielkie dni małej floty.* Wyd. Poznańskie, Poznań 1958, s. 130.

[8] Anna Bratkowska, Ryszard Turski: *Mit na karuzeli.* „Przegląd Kulturalny", 1959, nr 44.

[9] KTT: *Z polską szlachtą polski lud.* „Nowa Kultura", 1959, nr 48.

[10] Józef K. Śliwowski: *Bluźnić czy zamiatać.* „Życie Warszawy", 1959, nr 262.

[11] J. A. Szczepański: *Film na wirażu.* „Trybuna Ludu", 1959, nr 296.

[12] Anna Bratkowska, Ryszard Turski: *Mit na karuzeli.* „Przegląd Kulturalny", 1959, nr 44.

[13] Wiesław Górnicki: *Czasy inżynierów.* „Świat", 1959, nr 14.

[14] Krystyna i Adam Kersten: *O popularyzacji historii.* „Kwartalnik Historyczny", rocznik LXVII, Warszawa 1960, nr 1, s. 133.

[15] Tadeusz Korzon: *Dzieje wojen i wojskowości w Polsce.* Wyd. Zakł. Nar. im. Ossolińskich, Lwów 1923. t. III, s. 193.

[16] Fr. L. V. Erlach: *Partyzantka w Polsce w 1863 r.* Warszawa 1919, s. 91—92.

[17] Patrz K. Bartoszewicz: *Dzieje insurekcji kościuszkowskiej* Wiedeń b. d., s. 166.

[18] Patrz K. Pruszyński: *Margrabia Wielopolski.* „Czytelnik", Warszawa 1949, s. 122—124.

[19] Patrz A. Fiodorow: *Russkaja armija w 50—70 godach XIX wieka.* Leningrad 1959, s. 143—145; P. Zajonczkowski: *Wojennyje rieformy 60—70 godow w Rossii.* Moskwa 1952, s. 139.

[20] Adam Szelągowski: *Dzieje Polski w czasach powstania styczniowego.* „Polska, jej dzieje i kultura". Trzaska, Evert i Michalski, Warszawa b. d., t. III, s. 429.

[21] Patrz „Wypisy źródłowe do historii polskiej sztuki wojennej". Zeszyt 14, *Polska sztuka wojenna w okresie powstania styczniowego.* Oprac. Emanuel Halicz, Wyd. MON, Warszawa 1954, s. 72.

[22] Adam Szelągowski: op. cit., s. 429.

[23] Patrz J. Płażewski: *Szabla i pióro.* Wyd. MON, Warszawa 1952, s. 127.

[24] E. Tarle: *Wojna krymska.* Wyd. MON, Warszawa 1953, t. II, s. 105.

[25] *Encyklopedia wojskowa.* Pod redakcją mjr. Ottona Laskowskiego. Wyd. Tow. Wiedzy Wojskowej i WINW, Warszawa 1934, t. I, s. 15.

[26] Paweł Hertz: *Z dziennika lektury.* „Nowa Kultura", 1960, nr 15.

[27] Janusz Księski: *Fabrykanci legend.* „Polityka", 1959, nr 42.

[28] Andrzej Niegolewski: *Somo-Sierra.* Nakł. N. Kamieńskiego i Ski, Poznań 1854, s. 13—14.

[29] Marian Kukiel: *Dzieje oręża polskiego w epoce napoleońskiej 1795—1815.* Wyd. II, Poznań b. d., s. 220.

[30] Andrzej Niegolewski: op. cit., s. 15.

[31] Tamże, s. 33—34.

[32] Paweł Jasienica: *O historii po heretycku.* „Polityka", 1960, nr 48.

[33] Jerzy Waldorff. *„Malowane dzieci" na Krakowskim Przedmieściu.* „Stolica", 1960, nr 37.

[34] Mieczysław Kieta: *Wrzesień.* „Przekrój", 1959, nr 751.

[35] Tadeusz Kuta: *W sprawie szarży na czołgi.* „Przekrój", 1959, nr 753.

[36] *Wyciąg z relacji mjr. Stanisława Maleckiego o szarży 18 p. pod Krojantami.* „Bellona" (Londyn), zeszyt 3, 1954, s. 33—36.

[37] Tamże.

[38] Władysław Leny-Kisielewski: *Ostatnia szarża ułańska. Au-*

tentyczny opis szarży 18 p. uł. „Biuletyn". Codzienne pismo żołnierzy polskich internowanych w Rumunii. Obóz Calafat nad Dunajem. 1939, nr 17.

[39] H. Guderian: *Wspomnienia żołnierza.* Wyd. MON, Warszawa 1958, s. 60.

[40] Tamże.

[41] Tamże.

[42] Tamże.

[43] Andrzej Kijowski: *Notatki z Francji.* „Przegląd Kulturalny", 1960, nr 50.

[44] *Uwertura nad Chałchyn-Golem.* „Żołnierz Wolności", 1960, nr 32.

[45] Kazimierz Wyka: *1 wrzesień 1939 — 1 wrzesień 1959.* „Życie Literackie", 1959, nr 35.

[46] A. Puzyrewski: *Wojna polsko-ruska 1831 r.* Warszawa 1899, s. 431.

[47] *Encyklopedia Orgelbranda.* Warszawa 1911, t. 11, s. 121.

[48] Klemens Kołaczkowski: *Wspomnienia.* Kraków 1901, t. V, s. 101—107.

[49] Tamże.

[50] A. Puzyrewski: op. cit., s. 431.

[51] Patrz A. Puzyrewski: op. cit., s. 431.

[52] Por. Mieczysław Jastrun: *Mickiewicz.* PIW, Warszawa 1951, st. I, s. 250.

[53] *Westerplatte. Wspomnienia, relacje, dokumenty.* Zebrał, opracował i wstępem opatrzył Zbigniew Flisowski. Wyd. MON, Warszawa 1959, XXXIX+297.

[54] Artur Hajnicz: *Czwórkami do nieba.* „Życie Warszawy" 1959, nr 209.

[55] Kazimierz Koźniewski: *Business as usual.* „Polityka", 1959, nr 39.

[56] Kazimierz Koźniewski: *Lew ryknął chwostem.* „Polityka", 1959, nr 37.

[57] Bohdan Czeszko: *Kawał życia.* „Świat", 1959, nr 49.

[58] Kazimierz Rosen-Zawadzki: *W XX rocznicę września.* „Stolica", 1959, nr 36.

[59] Patrz Stanisław Mackiewicz: *Zielone oczy.* Inst. Wyd. PAX, Warszawa 1958, zwłaszcza rozdz. VI, XIII i XV.

[60] *Dokument norymberski nr 120-S Niurnbiergskij process.* Moskwa 1952, t. I, s. 334.

[61] J. F. C. Fuller: *Druga wojna światowa 1939—1945.* Wyd. MON, Warszawa 1958, s. 32.

[44] Stanisław Mackiewicz: op. cit., s. 64.

[45] Wiesław Górnicki: *Czasy inżynierów*. „Świat", 1959, nr 14.

[46] Szymon Askenazy: *Książę Józef Poniatowski*. Poznań 1913, s. 295.

[47] N. M. Skałkowski: *Książę Józef*. Bytom 1913.

[48] Tamże, także Szymon Askenazy: op. cit., s. 295.

[49] Tamże, s. 290; także Marian Kukiel: op. cit., s. 420.

[50] Patrz Wacław Tokarz: *Książę Józef jako wychowawca wojska. Rozprawy i szkice*. PWN, Warszawa 1959, t. II, s. 299.

[51] Patrz Marian Kukiel: op. cit., s. 162.

[52] N. M. Skałkowski: op. cit., s. 454.

[53] Bignon: *Souvenirs...* patrz N. M. Skałkowski: op. cit., s. 454.

[54] Szymon Askenazy: op. cit., s. 280—281.

[55] Marian Kukiel: *Historia polska w latach 1796—1815*. „Polska, jej dzieje i kultura". Cyt. wyd., t. III, s. 86.

[56] *Historia Polski*. T. II, cz. 2, Instytut Historii PAN, Warszawa 1958, s. 187.

[57] W. I. Lenin: *Nieszczęsny pokój. Dzieła*. T. 27. „Książka i Wiedza", Warszawa 1954, s. 37.

[58] *F. Engels do K. Marksa 23.V. 1851 r. Marks i Engels o Polsce*. „Książka i Wiedza", Warszawa 1960, t. I, s. 251, 252.

[59] *F. Engels do K. Kautskiego 7.II.1882 r. Marks i Engels o Polsce*. Cyt. wyd., t.II, s. 118, 124.

[60] Tamże, s. 124.

[61] F. Engels: *Przedmowa do polskiego wydania „Manifestu komunistycznego" z roku 1892. Marks i Engels o Polsce*. Cyt. wyd., t. II, s. 205.

[62] K. Marks, F. Engels, P. Lafargue i F. Lessner: *Do mityngu w Genewie zwołanego dla uczczenia 50 rocznicy Rewolucji Polskiej 1830 r. Marks i Engels o Polsce*. Cyt. t. II, s. 114.

[63] K. Marks: *O kwestii polskiej. Marks i Engels o Polsce*. Cyt. wyd., t. II, str. 104—105.

[64] K. Marks: *Komunizm pisma „Der Rheinische Boebachter". K. Marks i F. Engels o religii*. „Książka i Wiedza", Warszawa 1956, s. 79.

[65] *K. Marks do L. Kugelmana 12.IV.1871 r. K. Marks i F. Engels: Listy wybrane*. „Książka i Wiedza", Warszawa 1951, s. 349.

[66] *K. Marks do L. Kugelmana 17. IV. 1871 r. K. Marks i F. Engels: Listy wybrane*. Cyt. wyd., s. 350, 351.

[67] W. I. Lenin: *Rewolucja rosyjska a zadania proletariatu. Dzieła*. T. 10. „Książka i Wiedza", Warszawa 1955, str. 133.

[68] W. I. Lenin: *Przedmowa do rosyjskiego przekładu listów*

K. Marksa do L. Kugelmana. Dzieła. T. 12. „Książka i Wiedza", Warszawa 1955, s. 93, 94.

[87] Tamże, s. 94.

[88] Tamże, s. 91—92.

[89] Tamże, s. 96.

[90] Patrz Tadeusz Cyprian i Jerzy Sawicki: *Nie oszczędzać Polski!* „Iskry", Warszawa 1960, s. 200—201.

[91] Patrz tamże, s. 202.

[92] Patrz tamże.

[93] Patrz tamże, s. 215.

[94] Patrz tamże, s. 216.

[95] *H. Himmler do Greifelta 12.VI. 1942 r. Porażenije giermanskogo impierializma wo wtoroj mirowoj wojnie.* Moskwa 1960, s. 236.

[96] Ppłk mgr Józef Garas: *Oddziały Gwardii i Armii Ludowej w Obwodzie Warszawskim.* „Wojskowy Przegląd Historyczny", 1960, nr 1, s. 154—155.

[97] Tamże, s. 156—157.

[98] Patrz Stanisława Sowińska-„Barbara": *Lata walki.* „Książka i Wiedza", Warszawa 1957, rozdz. I i II.

[99] M. Żymierski, M. Spychalski: *Wojsko Polskie 1944—1947.* „Prasa Wojskowa", Warszawa 1947, s. 180.

[100] Maria Turlejska: *O wojnie i podziemiu.* „Książka i Wiedza", Warszawa 1959, s. 99.

[101] Tamże, s. 97.

[102] Czesław Madajczyk: *Ważna decyzja.* „Najnowsze dzieje Polski". T. IV, PWN, Warszawa 1960, s. 67.

[103] *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej.* T. III, *Armia Krajowa.* Instytut Historyczny im. gen. Wł. Sikorskiego w Londynie 1950, s. 346—347.

[104] Tamże, s. 324.

[105] Tamże, s. 120.

[106] Z przemówienia Wandy Wasilewskiej przez radio 28 kwietnia 1943 r. — patrz Janina Broniewska: *Z notatnika korespondenta wojennego.* Wyd. MON, Warszawa 1953, t. I, s. 133, 134.

[107] Patrz H. Werner: *Na drogach powrotu.* „Nasza Myśl", 1947, nr 6, s. 6—7.

[108] Józef Sigalin: *W sprawie wspomnień.* „Żołnierz Polski", 1958, nr 18.

[109] Wiktor Grosz: *Gdy rodziło się Wojsko Polskie.* Wyd. MON, Warszawa 1954, s. 64.

[110] Tamże, s. 22.

[111] Alfred Lampe: *Miejsce Polski w Europie.* Nakł. ZPP w ZSRR. Moskwa 1944, s. 51, 52.

[112] Rozkaz do żołnierzy 1 dywizji z dnia 11 października 1943 r. podpisany przez dowódcę 1 Polskiego Korpusu w ZSRR, gen. bryg. Zygmunta Berlinga — patrz Henryk Hubert: *Lenino.* Wyd. MON, Warszawa 1959, s. 273—275.

[113] Władysław Gomułka: *W walce o demokrację ludową.* „Książka", Warszawa 1947, t. II, s. 131.

[114] W. I. Lenin: *Program wojenny rewolucji proletariackiej. Dzieła.* T. 23, „Książka i Wiedza", Warszawa 1951, s. 81.

[115] W. I. Lenin: *Wojna a rewolucja. Dzieła.* T. 24, „Książka i Wiedza", Warszawa 1952, s. 418.

[116] Patrz Andrzej Kijowski: *Notatki z Francji.* „Przegląd Kulturalny", 1960, nr 46.

[117] A. Goutard: *1940 — wojna straconych okazji.* Wyd. MON, Warszawa 1959, s. 429.

[118] Patrz tamże, s. 432.

[119] Adolf Rudnicki: *Przedmowa do „Żołnierzy"*, „Świat", 1956, nr 18.

[120] Julian Tuwim: *Dzieła.* T. III, „Czytelnik", Warszawa 1958, s. 589.

[121] Tadeusz Szafrański: *Nowy epos stalingradzki.* „Kierunki", 1961, nr 6.

[122] Anna Bratkowska, Ryszard Turski: *Mit na karuzeli.* „Przegląd Kulturalny", 1959, nr 44.

[123] Jan Błoński: *Sarmata święty i śmieszny.* „Życie Literackie", 1960, nr 52.

[124] Tamże.

[125] Tamże.

[126] Tamże.

[127] Jarosław Iwaszkiewicz: *Rocznice.* „Twórczość", 1959, nr 8.

[128] *O co walczymy? Deklaracja programowa PPR, listopad 1943 r. Kształtowanie się podstaw programowych Polskiej Partii Robotniczej w latach 1942 — 1945. Wybór materiałów i dokumentów.* Zakład Historii Partii przy KC PZPR, „Książka i Wiedza", Warszawa 1958, s. 141—142.

[129] *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej.* T. III, *Armia Krajowa.* Cyt. wyd., s. 193.

[130] Płk rez. Jan Rzepecki: *W sprawie decyzji podjęcia walki w Warszawie.* „Wojskowy Przegląd Historyczny", 1958, nr 2.

[121] *Polskie Siły Zbrojne...* T. III, *Armia Krajowa.* Cyt. wyd., s. 546.

[122] Tamże, s. 554.

[123] Aleksander Skarżyński: *Cele polityczne „Burzy" a sprawa wybuchu powstania warszawskiego.* „Najnowsze dzieje Polski". Materiały i studia z okresu II wojny światowej. T. II, PWN, Warszawa 1959, s. 23.

[124] Patrz tamże, s. 36. AMSW, syg. 295 VIII/100, s. 68.

[125] Maria Turlejska: *Sprawa polska w II wojnie światowej.* Referat na VIII Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w 1958 r. „VIII Powszechny Zjazd Historyków Polskich. Referaty i dyskusja PTH". Warszawa 1960, t. V, s. 317.

[126] Patrz Aleksander Skarżyński: op. cit., s. 29.

[127] *Sprawa polska podczas II wojny światowej w świetle pamiętników.* Oprac. Stanisława Zabiełło. PISM, Warszawa 1958, s. 429.

[128] Patrz Aleksander Skarżyński: op. cit., s. 42: AMSW, sygn. F IV/1, s. 96—97.

[129] Jerzy Kirchmayer: *Powstanie Warszawskie.* „Książka i Wiedza", Warszawa 1959, s. 426—435.

[130] *Meldunki sytuacyjne „Montera" z powstania warszawskiego.* „Najnowsze dzieje Polski". Materiały i studia z okresu II wojny światowej. T. III, PWN, Warszawa 1959, s. 100, 101.

[131] Zbigniew Florczak: *Autoportret z rubinem.* Wyd. MON, Warszawa 1960, s. 128—129.

[132] Kazimierz Koźniewski: *Mundur z papierowego worka.* „Polityka", 1960, nr 22.

[133] Tamże.

[134] Stanisław Mackiewicz: op. cit., s. 20.

[135] Krzysztof T. Toeplitz: *Bohaterska niedojrzałość.* „Dialog", 1959, nr 6; *Święci młodziankowie.* „Dialog", 1960, nr 2.

[136] Krzysztof T. Toeplitz: *Seans mitologiczny.* Wyd. Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1961, s. 23.

[137] Witold Zalewski: *Sztuczny planeta Ubu.* „Przegląd Kulturalny", 1960, nr 13.

[138] Kazimierz Koźniewski: *O trylogii Andrzeja Wajdy.* „Polityka", 1958, nr 46.

[139] Tamże.

[140] Tamże.

[141] Zygmunt Kałużyński: *Polski Szwejk był naprawdę gorliwy.* „Polityka", 1960, nr 17.

[153] O *filmie intelektualnym, szkole polskiej i snobizmie mówi Andrzej Munk.* „Nowa Kultura", 1961, nr 9.

[154] Zygmunt Kałużyński: *Antyheroizm w fazie kabaretowej.* „Nowa Kultura", 1960, nr 18.

[155] Tamże.

[156] Tamże.

[157] Tamże.

[158] Tamże.

[159] Zygmunt Kałużyński: *Tragedia antydogmatyczna.* „Polityka", 1961, nr 7.

[160] Kazimierz Koźniewski: *Polemiki ciąg dalszy.* „Polityka", 1960, nr 47.

[161] Jerzy W. Paprocki: *Daleka perspektywa.* „Polityka", 1961, nr 4.

[162] „Trybuna Ludu", 1961, nr 92.

[163] „Szpilki", 1959, nr 51—52.

[164] Wiesław Nowakowski: *Towarzystwo dobrej roboty.* „Świat", 1961, nr 7.

[165] Jan Jakub Rousseau: *Emil, czyli o wychowaniu.* Ossolineum, Wrocław 1955, s. 12.

[166] *Pisma Tadeusza Kościuszki.* Wybrał H. Mościcki. PZWS, Warszawa 1947, s. 127.

[167] „Wojsko Ludowe", 1960, nr 7—10.

[168] *Jak działać, jak żyć.* „Nowa Kultura", 1961, nr 49.

[169] Jan Szczepański: *Przygnębienie.* „Przegląd Kulturalny", 1962, nr 1.

[170] *W 22 rocznicę pamiętnej bitwy w lesie koło Jeżowa.* „Trybuna Ludu", 1961, nr 249.

[171] Jerzy Putrament: *Katar.* „Przegląd Kulturalny", 1961, nr 43.

[172] Andrzej Kijowski: *O co chodzi?* „Przegląd Kulturalny", 1961, nr 42.

[173] Por. Zofia Kucnerowa: *Sąd nad historią.* „Walka Młodych", 1962, nr 2.

[174] Krzysztof T. Toeplitz: *Seans mitologiczny.* Wyd. Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1961, nr 188.

[175] Wilhelm Szewczyk: *Pisarz w otoczeniu robotników.* „Życie Literackie", 1961, nr 50.

[176] Stanisław Dygat: *Rozmyślania przy goleniu.* „Przegląd Kulturalny", 1961, nr 42.

[177] (IBIS): *Ara sepleni po angielsku.* „Życie Warszawy", 1962, nr 12.

[178] Anna Pawełczyńska i Stefan Nowak: *Światopogląd studentów w okresie stabilizacji.* „Przegląd Kulturalny", 1961, nr 46.

[179] Tamże.

[180] Jerzy Szperkiewicz: *Uszy po sobie.* „Życie Warszawy", 1961, nr 295.

[181] Tamże.

[182] Jan Brodzki: *Pudła i postawy.* „Trybuna Ludu", 1962, nr 15.

PRZYPISY
do
„Nieśmiesznych igraszek"

[1] *Ostatnie słowo oskarżonego* i *Komentarze do wojny o Grzechy* dotyczą obszernej polemiki prasowej i licznych dyskusji wokół *Siedmiu Polskich Grzechów Głównych* zapoczątkowanych artykułem K. Koźniewskiego *Grzech ósmy — bezkrytycyzm* („Polityka" 1962, nr 49). Cytowane w szkicach wypowiedzi pochodzą spod pióra różnych moich ówczesnych polemistów. Nie sądzę, aby dzisiaj celowe było podawanie pełnej bibliografii tego sporu.

[2] K. Koźniewski: *O trylogii Andrzeja Wajdy*, „Polityka" 1958, nr 46.

[3] F. Engels do K. Kautskiego 7.II.1882 r. w *Marks i Engels o Polsce*. KiW, Warszawa 1960, t. II, s. 118.

[4] Tamże.

[5] R. Matuszewski: *Literatura polska lat 1918—1956*, PZWS 1958, s. 273.

[6] A. Kijowski: *Pokłońmy się ideom martwym*, „Przegląd Kulturalny" 1963, nr 6.

[7] K. Koźniewski: *Grzech ósmy — bezkrytycyzm*, „Polityka" 1962, nr 49.

[8] J. Willhelmi: *Wiecznie polskie*, „Nowa Kultura" 1963, nr 1 i 2 (s. 51).

[9] K. T. Toeplitz: *Tradycja za tradycję*, „Przegląd Kulturalny" 1963, nr 5.

[10] K. T. Toeplitz: *Seans mitologiczny*, Wyd. Art. i Film., Warszawa 1961.

[11] Andrzej Jarecki: *Iskra z popiołów*, „Sztandar Młodych" z 25.9.1965.

[12] Obszerne wypowiedzi na łamach prasy zamieścili wówczas m. in. prof. prof. K. Grzybowski, B. Leśnodorski, S. T. Herbst,

J. Z. Jakubowski, J. Pachoński, K. Wyka, A. Zahorski oraz B. Grochulska, A. Garlicki, J. Gerhard i S. Treugutt.

[10] „Stolica" 1965, nr 44.

[11] Andrzej Wajda o *Popiołach*, „Polityka" z 18.9.1965.

[12] Andrzej Wajda: *Popioły*, „Ekran" 1965, nr 40.

[13] Andrzej Wajda o *Popiołach*, „Polityka" z 18.9.1965.

[14] Tamże.

[15] J. Strzelecki: „Współczesność" 1965, nr 22.

[16] J. Gerhard: *Sprawa San Domingo*, „Polityka" 1965, nr 43.

[17] Andrzej Wajda: op. cit.

[18] Roman Hivernd (!??) *Zostanie po nas...* „Argumenty" 1965, nr 37.

[19] S. Morawski: „Ekran" 1965, nr 42.

[20] J. Strzelecki op. cit.

[21] A. Grodzicki: *Popioły Wajdy i Żeromskiego*, „Życie Warszawy" z 7.10.1965.

[22] Z. Kałużyński: *Tragedia sprzed półtora wieku*, „Polityka" z 2.10.1965.

[23] Marian Brandys: *Kozietulski i inni*, „Iskry", Warszawa 1967. Cytaty z dokumentów dotyczące Kozietulskiego i szwoleżerów zaczerpnąłem z omawianej książki.

[24] B. Grochulska: *Księstwo Warszawskie*, „Wiedza Powszechna", Warszawa 1966, s. 26, 31.

[25] St. Staszic: *O statystyce Polski* w: „Pisma filozoficzne i społeczne", Warszawa 1954, t. II, s. 300.

[26] *Agnieszka 46*, film fabularny prod. ZRF „Iluzjon" rok 1964.

[27] Cytaty zamieszczone w poniższym szkicu pochodzą z różnych recenzji pióra kilkunastu autorów, którzy ocenili film pozytywnie na łamach najprzeróżniejszych czasopism polskich. Danych bibliograficznych nie podaję, ponieważ jestem zdania, iż istotna jest atmosfera, jaką stworzono wokół filmu, a nie nazwiska poszczególnych jej współtwórców. ZZ.

[28] St. Grzelecki: *Ostatni kombatant*, „Życie Warszawy" z 26. 11.1964.

[29] L. Goliński: *Prasa Polska* 1964, nr 12, s. 167.

SPIS RZECZY

Zamiast uzasadnienia 5

7 POLSKICH GRZECHÓW GŁÓWNYCH

BAŁWOCHWALCY I SZYDERCY 23
Rzeźnia narodowa 23
Co o tym sądził KuK Infanterist Józef Szwejk? . . 26
„Król Ubu, czyli Polacy" 27
Potępienie umierających frajerów 29
Siedem grobów głównych 32

TRAKTAT O SAMOBÓJCACH, CZYLI DOMNIEMANE GRZECHY POLSKIE

ZUCHWALCY, CZYLI GRZECHY PIESZE 37
Grzech pierwszy: z kosami na harmaty 38
Grzech wtóry: z dubeltówkami na karabiny . . . 42
Żeby nie było nieporozumień 48

SZALEŃCY, CZYLI GRZECHY KAWALERYJSKIE . . 51
Grzech trzeci: z szablami na baterie 52
Grzech czwarty: z lancami na czołgi 60
Jak to było pod Krojantami 64
Metaforyka Września 74

STRACEŃCY, CZYLI GRZECHY PIROTECHNICZNE . 77
Grzech piąty: „Reduta Ordona" 78
Grzech szósty: Westerplatte 85

Od antybohaterszczyzny do kolaboracji 88
Polska — Ordonem narodów 93

TOPIELCY CEREMONIALNI — A WŁAŚCIWIE JEDEN KSIĄŻĘ JÓZEF 97
Grzech siódmy: „Bóg mi powierzył honor Polaków" 99
Statysta czy charakternik? 103
Intermezzo: koloryt narodowy 113

GRZECHY ÓSME, CZYLI O CZYM W PIŚMIE GŁUCHO 119
Małe przypomnienie szturmowania nieba 122
Punkt wyjścia: Apogeum mocy 127
Punkt wyjścia: Apogeum grozy 129
Grzechy ósme: Czternastu z jednym karabinkiem . 132
Teoretyczne możliwości i historyczna rzeczywistość . 140
Grzechy ósme: między Trigubową a Połzuchami . . 145
Wzajemny kredyt i wspólna krew 149
O „miejsce pod słońcem" dla milionów 154
Grzechy — naprawdę — ostatnie 162

PRZYCZYNEK DO PROBLEMU NIEOSTROŻNEGO OBCHODZENIA SIĘ Z HISTORIĄ

KRYTYCZNY RYS DZIEJÓW SZYDERSTWA I POGARDY 167
Psychopatologia poetycka, a ściślej: „odwracalna" teoria wyjątkowości 168
Co się komu nie podoba — i dlaczego? 172
Humanizm w szlafmycy, czyli upadek Paryża . . 176
Epigoni-neoprześmiewcy i kto z tego korzysta . . 182

GRZECHÓW OSTATEK — ALBO JESZCZE O TRUPOCHWALCACH 187
Święty, święty, święty Sarmata Śmieszny! . . . 187
Czy stanęły zegary historii? 189
Pseudorejtan, czyli Ordonkowie „trzeciej światówki" 191
Tysiąc karabinów i jeden odważny 197
Kto poprzestawiał zegary, a głównie — po co? . . 201

HISTORIOZOFOWIE POKĄTNI I HASŁO „ŚMIERĆ FRAJEROM" 206
Bardzo śmieszne, ale nieobojętne dla zdrowia . . . 210

Trans-Atlantyk, czyli uciekinierzy spod władzy króla Ubu 212
Apostołowie reedukacji antybohaterskiej 216
Sławmy Piszczyka nad brzegiem rynsztoka . . . 222
Nie dajmy się zwariować 225
„Śmierć frajerom" — a co będzie z ludźmi? . . . 229

PRZECIWKO SZYDERCZO-PSEUDOKRYTYCZNEMU BZDURZENIU 233
O ostrożne obchodzenie się z historią 235
Kryzys wartości względnych 238
Ratunek — w ludzkiej prawdzie historii 240

POSTSCRIPTUM: GARŚĆ BANAŁÓW 244

NIEŚMIESZNE IGRASZKI

OBRACHUNEK RACJI

OSTATNIE SŁOWO OSKARŻONEGO 261
Co trzeba powtórzyć? 262
Co wypada przypomnieć 265
Co należy sprostować 269
Istota sporu I: stereotypy postaw 273
Nonkonformizm i socjalizm 276
Odpowiedzialność i możliwości 279
Nowe aspekty: krytycyzm — analiza czy kpina? . . 281
„Lewica" i „prawica" wobec historii Polski . . . 286
Solidaryzm narodowy czy jedność narodu 288
Istota sporu II: bagaż historyczny a droga do socjalizmu 294
Słowo o metodzie 298

KOMENTARZE DO WOJNY O „GRZECHY" 300
Czy stare etykietki zasłonią nowe problemy . . . 301
Co i po co nam się wmawia 303
Dlaczego Polacy strzelali zamiast murować . . . 306
Czy sami sobie wierzymy 309
Wołanie o czyn — na melodię kołysanki 312
Koronny świadek odwołał zeznanie... 314

Postępowość przerażonych i kopniaki historii . . . 315
Co na to... nastolatki 318
Odstępstwa i zastępstwa 321
„Normalka" — rzeczywistość historyczna 323
Moje credo: myślenie ma kolosalną przeszłość . . 325

„NARÓD BEZ MÓZGU..."

LISTY DO PRZERAŻONEGO

List pierwszy 333
List drugi 343

POPIÓŁ POKUTNY 351
Czy to Żeromski? 352
Dokąd „idzie żołnierz borem lasem" 356
Na wojence dalekiej... a na bliskiej? 362
Maćki, Wawrzki, Bartki i Adolf Bonaparte . . . 367
Pokolenie skrwawione czy stracone 372
Kogo będzie straszył po nocy — pan Stefan? . . . 378
Osobliwe poglądy Andrzeja Wajdy 382
Wajda zwycięski 385

ZGRZEBNE, DUMNE PRAWDY 388
„...i inni" 389
Cesarz i natrętni Polacy 391
Czas nie utracony 393
Pomnożenie wartości 398
Przedwczoraj i dziś 402

RZECZY BLIŻSZE I RZECZY WAŻNIEJSZE

TWÓJ BRAT — ZBIR 411
Kombatanci 1946 411
Agnieszka w krainie koszmarów 414
Śmiała diagnoza — cudowny lek 418
Dziejowa misja niemowlaka 422
Zbrukani i nieskalani 426
Agnieszka na tle epoki 428
Ciekawe jako objaw 433
„Obrazili się rotmistrze..." 435
Co mi wolno 438

O TRADYCJI SERIO 442
Tradycja a współczesność 442
Wschód — zachód 444
Niepodległość — postęp 446
Polska — Rosja 451
Rządy czy ludy 453
Suma doświadczeń 455
Dwudziestolecie 456
Tradycja a ruch rewolucyjny 459
Skazani na historię 462
Na odchodnem 464
Do spadkobierców 467
Co czynić wypada 469

PRZYPISY do „Siedmiu polskich grzechów głównych" 473

PRZYPISY do „Nieśmiesznych igraszek" . . . 482

siaj Polsce i Polakom w walce z bezwładem i egoizmem, tępotą i nieodpowiedzialnością, w walce o rewolucyjne, cywilizacyjno-techniczne i kulturalne, socjalistyczne przeobrażenie ojczyzny.

Jest wreszcie rzeczą niewątpliwą, iż ta wizja historii Polski, ten model walczącego Polaka, taki stereotyp polskiego charakteru narodowego — jakie przywołują, by je potępić, wyśmiać i odrzucić — są nieprawdziwe. Ta bezmózga i niepiśmienna słomiana kukła, odziana w szwoleżerski mundur — bez głowy, lecz za to na rączym koniu — z szabelką, lecz z „dwoma lewymi rękami", gdy chodzi o pracę — jest wspólnym wytworem, wspólnym ukochanym dziecięciem nie prawdziwej historii Polski, lecz jej interpretatorów — szyderców i chwalców narodowej jatki. A tu już jesteśmy przy głównym temacie sporu o „Siedem — domniemanych — polskich grzechów głównych", przy głównym temacie tego „pamfletu na was wszystkich", jak początkowo chciałem tę książkę nazwać.